

Eric Van Lustbader - Ninja

„KB”

*Nie ma różnicy  
między miłością i śmiercią*

*dla*

NINJA

- O Boże! - usłyszała swój głos brzmiący tak, jakby dobiegał z zaświatów.

Patrzyła mu w twarz. Głowa, tak jak całe ciało, okryta była czarnym matowym materiałem. Spod ściśle przylegającego kaptura i maski widoczne były tylko jego oczy, znieruchomiałe nie dalej niż piętnaście centymetrów od jej twarzy, martwe niczym kamienie na dnie jeziora.

- O Boże! - czuła się tak bezradna, wygięta w tył w uścisku, z którego nie miała szansy się wyrwać, co przerażało ją jeszcze bardziej.

Błyskawicznym ruchem przesunął się nad nią. Poczowała, że wzmocnił chwyt i zdało się jej nagle, że znalazła się w uścisku siły potężnej jak wichur, bo nie było możliwe, aby człowiek posiadał w sobie taką moc.

Nie! Proszę! Gwałć mnie, ale nie zabijaj! Nieeee. Błagam!... - chciała wydobyć z siebie te słowa, ale był to daremny trud, była bezradna wobec jego siły...

*Natsu-gusa ya Tsumamono-domo ga yume no ato*

Te trawy latem

tylko ślad snów i marzeń dawnych rycerzy

Matsuo Basho: *Haiku* {przekład Agnieszka Żuławska-Umeda)

*Pani DARLING: Kochane gwiazdy, opiekunki moich śpiących dzieci, świećcie ostro i niezachwianie dzisiejszej nocy*

J.M. Barrie *Piotruś Pan*

Ciemność oznacza śmierć.

To była pierwsza lekcja, którą otrzymał i nigdy jej nie zapomniał. Mógł się poruszać niezauważalnie o każdej porze, znał wszystkie sposoby, ale noc była czymś specjalnym...

Nagle przenikliwy pisk włączanego alarmu zagłuszył wszystkie odgłosy nocy: monotony dźwięk cykad, uderzenia fal o piaszczysty brzeg i skały kilkadziesiąt metrów niżej oraz krakanie wrony gdzieś w oddali. Liście starego klonu rozzłościły się pod wpływem światła zapalanych w całym domu. Wszystko to na próżno, przy samochodzie już go nie było. Schował się za precyzyjnie przyciętym żywopłotem, choć tak naprawdę to mógł się nie kryć. Był ubrany cały na czarno. Buty, bawełniane spodnie, koszula, kamizelka ochronna, rękawice i kaptur zakrywały go całkowicie. Miał tylko otwór na wysokości oczu, ale i tu skóra posmarowana była czarną maścią. Zawsze go uczono, że lepiej nie ryzykować i przeceniać wroga zamiast go lekceważyć. Taki sposób myślenia zmniejszał ryzyko do minimum.

Światło przed domem zapaliło się, przyciągając rój owadów. Alarm zagłuszył skrzypnięcie otwieranych drzwi, ale on już miał wszystko dokładnie wyliczone...

Barry Braughm wszedł w krąg złotawego blasku bijącego z otwartych drzwi wejściowych. Miał na sobie dzinsy i podkoszulek. Rozpięty rozporek świadczył o pośpiechu, z jakim się ubierał. Z górującego progu przeczesywał latarką okolicę samochodu. Światło odbite od karoserii zniknęło w ciemnościach, a on wysilając wzrok zmienił kierunek latarki. Nie miał zbytniej ochoty, by majstrować przy samochodzie lub czymkolwiek innym. Minęło niespełna pół godziny, od kiedy pokłócił się z Andym, który odjechał jak zwykle w takich przypadkach. Barry przypuszczał, że pojechał do miasta. Dobrze mu tak, niech robi sobie na złość. Cały Andy...

Boże święty - pomyślał - jakim cudem ja to wszystko jeszcze znoszę?... Nieprawda - zaprzeczył sam sobie - wiesz aż za dobrze. No cóż...

Zszedł po kilku kamiennych schodkach, omijając pierwszy, pęknięty (Andy obiecał, że go naprawi). Poszedł po zroszonej trawie w kierunku samochodu. Wiatr poruszył młodym klonem stojącym obok. W ciemności majaczył zarys żywopłotu.

Po *co mi, u licha, mercedes?* - zapytał sam siebie. - To wszystko przez Andy'ego; on lubił komfort, musiał mieć wszystko co najlepsze. To dotyczy również mnie - pomyślał z niechęcią. Obejrzał się w nadziei, że zobaczy na drodze reflektory czarnego audi swojego przyjaciela. Odwrócił się.

Jeszcze nie teraz - pomyślał - tak szybko by mu nie przeszło.

Idąc zwirowym podjazdem, przesunął strumieniem światła nad szczytem żywopłotu, następnie rzucił okiem na maskę swego wozu.

To ta pogoda - wytłumaczył sobie - przekłete ciepło włącza alarm. Nie chce mi się iść samemu do łóżka, ale już za późno, nie trzeba było nazywać Andy'ego gówniarzem.

Jeszcze raz się rozejrzał, a potem otworzył maskę samochodu. Spojrzał do środka, omiotł promieniem latarki po wszystkich częściach, obejrzał akumulator. Zadowolony z oględzin zatrzasnął maskę i obszedł samochód sprawdzając po kolei wszystkie drzwi. Oświetlił okna, obejrzał złącza szyb z metalowymi ramami, poszukując jakichkolwiek śladów świadczących o próbie włamania. Ponieważ nic nie znalazł, podszedł do lewej strony pojazdu, nachylił się i włożył niewielki kluczyk do małego otworu. Po odpowiednim przekręceniu mechanizm zadziałał i znowu nastąpiła cisza. Odgłos cykad powrócił, a szum fal znów dawał znać, że morze napiera niezmordowanie na ląd.

Już wracał w stronę domu, gdy nagle wydało mu się, że słyszy chrzęst kamieni leżących nad urwiskiem, brzęmiący tak, jakby ktoś lekko po nich stąpał. Spojrzał w tę stronę kierując tam latarkę, ale nic nie zauważył. Zaciekawiony, przeszedł przez trawnik i wszedł w zarośla, których nigdy nie kosił ze względu na bliskość urwiska, by po chwili znaleźć się na kamienistej krawędzi. Spojrzał w obie strony. Poniżej grzywy fal uderzające o skały mieniły się pastelowymi odcieniami. Zauważył, że jest pora przyływu.

Ból w klatce piersiowej przyszedł niespodziewanie. Ślizgając się na mokrych kamieniach zaczął przewracać się w tył, tak jakby jakaś dłoń pchała go z całej siły. Starał się utrzymać równowagę wymachując rękami. Wypuścił latarkę, która zaczęła spadać jak mały meteor. Słyszał, jak odbiła się od skał i poleciała wprost do wody. Próbował

złapać oddech. Zamiast krzyku wydobył z siebie tylko westchnienie, równie bezużyteczne, jak rozpaczliwa szarpanina ryby uwięzionej na haczyku.

Czuł, że ciało ma jak z ołowiu, a w powietrzu brakuje tlenu, jakby znajdował się na innej planecie. Nie mógł wykonać żadnego ruchu, niebezpiecznie balansując nad krawędzią, z której długa droga wiodła prosto w dół do morza. Pomyślał, że ma atak serca, starał się sobie przypomnieć, co piszą w podręcznikach o postępowaniu w takiej sytuacji. Umarł z tą myślą...

Gdy było już po wszystkim, niewidzialna postać wyszła z zarośli poruszając się po kamieniach tak szybko i cicho, że nie zauważyły tego nawet nocne zwierzęta.

Tajemniczy cień nachylił się nad ciałem, jego czarne dłonie próbowały wyjąć mały przedmiot wbity w pierś ofiary poniżej serca. Wyrwał go po kolejnym szarpnięciu, następnie dotknął tętnicy szyjnej, spojrzał w oczy zmarłego, wpatrując się długo w ich białka, na koniec sprawdził opuszki palców. Po cichu wyrecytował wersety *Hannya-Shin-Kyo*.

Wstał. Uniósł ciało z taką łatwością, jakby nic nie ważyło. Po chwili znalazło się w powietrzu i poszybowało w ciemności, trafiając do wody. Silny prąd morski od razu je pochłonął.

Po chwili także czarny cień stopił się z otaczającym mrokiem i zniknął bez śladu.

**ZWÓJ PIERWSZY**

***Księga ziemi***

## LATEM, WSPÓLCZEŚNIE

Kiedy Nicholas Linnear zobaczył, jak wyciągają z wody sine zwłoki, odwrócił się i poszedł w przeciwnym kierunku. Gdy zebrał się tłum gapiów, był już daleko.

Muchy szalały wzdłuż wydm, do których przyływ nigdy nie dochodził. Pył wodny wysychając na piasku wyglądał jak rozrzucone loki dziecięcych włosów. W oddali niebieskie fale zbliżały się, przechodząc w pienistą biel, nim dotarły do brzegu i zmoczyły jego nogi.

Wbił palce w piasek, tak jak dawniej, gdy bawił się na plaży jako dziecko. Ale morze było bezlitosne, woda wymywała piasek spod jego stóp i centymetr po centymetrze obsuwał się coraz niżej.

Nic nie zapowiadało, że coś się stanie. Był środek tygodnia, w Dune Road było spokojnie, chociaż minęło dopiero kilka dni od święta narodowego 4 lipca. Sięgnął odruchowo po cienkie papierosy ze specjalnej mieszanki zapominając o tym, że ich nie nosi, od kiedy rzucił palenie. Zrobił to sześć miesięcy wcześniej. Pamiętał dokładnie, bo tego samego dnia zwolnił się z pracy.

Tamtego zimowego dnia, kiedy przyszedł do pracy, było mroźno i posepnie. Wszedł do swojego pokoju tylko po to, żeby położyć skórzaną walizkę na nowoczesnym, pozbawionym nawet szuflad, biurku z drewna i szkła. Dostał ją od Vincenta pewnego dnia bez żadnego specjalnego powodu - bo to ani urodziny, ani awans. Następnie, ku zdumieniu swojej sekretarki Lill, wyszedł i podążył korytarzem wyłożonym beżowym dywanem.

Kiedy podjął decyzję? Sam nie wiedział. W drodze do pracy o niczym nie myślał. Wszystkie wątpliwości przemyślał poprzedniej nocy teraz nie miał już żadnych. Pozbył się ich tak, jak inni pozbywają się fusów od kawy.



Przeszedł obok dwóch sekretarek strzegących szefa przed światem. Siedziały po obu stronach wielkich mahoniowych drzwi jak sfinksy pilnujące grobu faraona. Były nad wyraz skuteczne w wypełnianiu swoich obowiązków. Zapukał lekko i wszedł.

Goldman właśnie rozmawiał z niebieskiego aparatu. Oznaczało to rozmowę z poważnym klientem. W mniej ważnych sprawach korzystał z beżowego. Nie chcąc przeszkadzać, Nicholas odwrócił się do okna. Ostatnio wszystkie rozmowy są poważne - pomyślał. Zdarzały się takie dni, że widok z ich trzydziestego szóstego piętra był przyjemny, ale tym razem było tak pochmurno i szaro, jakby miasto zostało czymś przykryte. Pod wieczór powinien znów padać śnieg, ale nie był pewien, czy to coś poprawi.

- Nick, drogi chłopcze! - krzyknął Goldman odkładając słuchawkę. - Jakiś szósty zmysł cię tu przywiódł! Wiesz, kto dzwonił?

Nie? - Machnął ręką tak, jakby to było skrzydło. - Albo lepiej nie zgaduj, sam ci powiem. Dzwonił Kingsley. - Wybałuszył oczy, robił tak zawsze, gdy coś go podnieciło. - Wiesz, co powiedział? Gadał cały czas o tobie i tej kampanii reklamowej. Mają już pierwsze sondaże. Nastąpiła niesamowita poprawa. To były jego słowa: niesamowita poprawa.

Mając prawie sześćdziesiątkę na karku, Sam Goldman wyglądał na pięćdziesięciolatka. Był szczupły, wysportowany i zawsze opalony. Nicholas przypuszczał, że miało to w efekcie stanowić interesującą całość z jego białą, zaczesywaną do tyłu czupryną. Był człowiekiem pełnym kontrastów. Miał wyniosłą, podłużną twarz pokrytą zmarszczkami. Duże piwne oczy, długi nos, wklęsłe policzki i pełne usta dopełniały całości. Nosił prążkowaną koszulę z białym kołnierzykiem i granatowo-brązowy krawat z włoskiego jedwabiu. Tak, Goldman potrafił ubierać się z klasą. Choć teraz zawinął sobie rękawy po łokcie.

Nicholas wiedział, że rozmowa nie będzie łatwa.

— To świetnie, Sam - powiedział.

— Na co czekasz? Siadaj. - Goldman wskazał mu skórzany fotel naprzeciw swojego wielkiego biurka. Nie umeblowałby tak domu, ale tu, w pracy, robiło to dobre wrażenie.

— Wolę stać. - Teraz już był pewien, że będą problemy. - Odchodzę, Sam.

— Jak to? Już chcesz urlop? Przecież jesteś na tym stanowisku dopiero sześć miesięcy...

— Siedem.

Nieważne. Chcesz urlop? Proszę, weź urlop. Gdzie chcesz jechać?

- Chyba źle mnie zrozumiałeś, Sam. Ja chcę odejść, składam wypowiedzenie.

Goldman przekręcił się z krzesłem w stronę okna.

- Wiesz, wieczorem spadnie śnieg. W radiu nic nie mówili, ale ja wiem lepiej.

Doświadczenie mi to mówi, czuję to w nogach, kiedy gram w tenisa. Właśnie dziś rano mówiłem Ednie...

— Sam, czy ty mnie słyszałeś?

— Taki Kingsley! Co za dupek! Być może zna się na wydawnictwach, ale gównie o reklamie. Nie wiedział, co zrobić. - Przekręcił fotel z powrotem. - Nie to co ty, Nick, ty się na tym znasz.

— Sam...

— Wypowiedzenie, Nick? Jakie wypowiedzenie? Nie wierzę własnym uszom. Przecież masz wszystko, czego chcesz. Dosłownie wszystko. Wiesz, ile zarobimy na czysto, rozumiesz, na czysto, za tę twoją cholerną robotę?

— Nie obchodzi mnie to, Sam.

— Pieprzone dwieście tysięcy! Nick, dlaczego ty chcesz odejść?!

— Mam już dosyć, Sam. Naprawdę, czuję się, jakbym przepracował w tej firmie całą wieczność. Mam już koszmarnie sny. Czuję się jak Drakula.

Goldman nic nie rozumiejąc uniósł głowę.

— On spał zamknięty w trumnie. Mam takie samo uczucie, zamknięcia.

— Chcesz wrócić do Japonii?

— Jeszcze nie wiem. - Był zadowolony z takiego pytania, nie zdziwiło go. Goldman był bardzo przenikliwy. - Czy to ważne?

— Oczywiście, że ważne! - zareagował ostro Goldman. - Ja ciągle rozmyślam o powrocie do Izraela.

— Ale ty się tam nie urodziłeś - odpowiedział Nicholas.

— Bo kiedy się urodziłem, to Izrael nie istniał - parsknął. - Ale nieważne - znowu podniósł rękę - najważniejsza jest ta sprawa. - Zabrzęczał interkom, ktoś telefonował, Goldman kazał powiedzieć sekretarce, że oddzwoni. - Słuchaj, nie chodzi mi o tego przekłętą Kingsleya, przecież dobrze o tym wiesz. Ale coś w tym jest. Nie rozumiesz? Masz teraz dobrą passę. Czuję już od roku, że ona nadejdzie i teraz mam potwierdzenie. Chcesz to wszystko zostawić?

- To nie jest kwestia chęci - odpowiedział Nicholas. - Ja muszę. Goldman wyjął cygaro ze specjalnego pudełka i oglądał je uważnie.

- Nick, czy ty wiesz, ilu facetów dałoby sobie uciąć jaja, byleby tylko mieć twoje stanowisko...

— Doceniam ten fakt - odpowiedział krótko Nicholas.

— Każdy musi zadbać o siebie. - Goldman spojrział na czubek cygara. Obciął jego koniec i zapalił długą zapalną.

— Wolałbym, żebyś tego nie robił - rzekł Nicholas. - Rzuciłem palenie.

Goldman spojrział na niego, zapalną paliła się nadal.

— To jest do ciebie podobne, to, jak zmieniasz wszystko naraz. - Zgasił zapalną i wrzucił ją do szklanej popielnicy, ale nie chcąc się czuć całkowicie pokonanym i tak włożył cygaro do ust. - Wiesz, Nick, chciałbym być nie tylko twoim szefem. To już tyle lat, jak wyłowilem cię z tłumu wysiadającego ze statku...

— Samolotu.

Goldman znów machnął ręką.

— Jaka różnica. - Wyjął cygaro. - Wydaje mi się, że jesteś mi winien wytłumaczenie, jako przyjacielowi.

— Sam...

— Nie chcę cię zatrzymywać. Jesteś dorosły. Ale muszę przyznać, że zawiodłem się na tobie, bo tak jest w istocie. Przecież nie będę cię okłamywał. Chciałbym po prostu wiedzieć.

Nicholas wstał i podszedł do okna. Goldman jak radar prowadził go wzrokiem.

— Ja sam jeszcze dokładnie nie wiem - przesunął dłonią po czole. - Po prostu czuję się tu jak w więzieniu. Chcę stąd uciec, a nie sterczeć tutaj - spojrział na Goldmana. - Nie mam na myśli firmy. To nie o nią mi chodzi, tak sądzę... - wzruszył ramionami. - Może to ta robota. Czuję się zagubiony w tej reklamie. To tak, jakbym był z innej epoki. - Nachylił się, był cały spięty. - To tak, jakbym był rozbitkiem pośrodku morza, bez skrawka lądu na horyzoncie.

— A więc nie przekonam cię do pozostania?

— Nie, Sam. Goldman westchnął.

— Edna się zasmuci.

Patrzyli sobie głęboko w oczy, próbując nawzajem przełamać swój opór i ogarnąć myśli rozmówcy.

Goldman rozłożył szeroko na biurku swoje grube palce.

- Wiesz, dawno temu w policji była taka zasada, że radziłeś sobie tylko wtedy, gdy miałeś opiekuna w komendzie miejskiej, kogoś, kto pilnował, byś nie wpadł w tarapaty. Kto wie, może tak było wszędzie. - Przesunął cygaro w ustach. - Teraz jest inaczej. Firmy nie uznają tego sposobu. Trzeba się dopasować. Trzeba się po prostu podlizywać wszystkim dyrektorom, być zapraszany na ich przyjęcia, uśmiechać się do ich żon, które są tak zwariowane i przygnębione, że oddadzą się każdemu, kto powie, że wyglądają czarująco. Trzeba mieszkać poza miastem, gdzie oni wszyscy mają dwupiętrowe domy z eleganckimi podjazdami. Kiedyś wszyscy myśleli jak automaty, teraz

myślą jak komputery. Tak się awansuje w biznesie. Tak przynajmniej mówią. Ja tego nie doświadczyłem, przynajmniej na własnej skórze, wolałbym odejść, niż tak żyć. - Jego wzrok był przejrzysty, oczy mu lśniły mimo słabego oświetlenia. - Ja awansowałem według starych zasad. Są częścią mojego sposobu działania. Nie potrafię inaczej. - Wyprostował się w swoim krześle z wysokim oparciem, ręce położył na biurku i spojrzał wprost na Nicholasa. - Wiesz, co mam na myśli? Nicholas popatrzył mu w oczy.

- Tak, Sam - powiedział, a po chwili dodał: - Dokładnie cię rozumiem.

Iwryk krążących mew zagłuszał syrenę. Ale w miarę zbliżania się karetki jej modulowane wycie przytłumiło wszystkie inne dźwięki. Ludzie biegali wzdłuż plaży, tak cicho, jakby fruwali, ale z trudem, bo stopy grzęzły im w piasku.

Przyjechał do West Bay Bridge na początku lata. Musiał od wszystkiego odpocząć przez jakiś czas, aby nie zwariować. Nie za długo, nie za krótko, akurat tyle, ile potrzebował. I żaden topielec nie zakłóci jego spokoju.

A jednak coś w nim drgnęło, zaczął znowu wspominać. To się stało w kilka dni po odejściu z firmy. Właśnie czytał komentarz redakcyjny w *New York Timesie* i pił drugi kubek kawy z odrobiną spirytusu.

— Pan Goldman był tak uprzejmy, że podał mi pański numer telefonu, panie Linnear - odezwał się Dean Whoolson. - Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

— Nadal nie rozumiem, czego pan ode mnie chce.

— To bardzo proste. Ostatnio ponownie wzrosło zainteresowanie orientalistyką. Studenci oczekują czegoś więcej ponad to, co oferują im dotychczasowe wykłady. Uważają, że to, co robimy w tej dziedzinie, jest przestarzałe.

— Ale ja nie mam żadnych kwalifikacji pedagogicznych.

— Zdajemy sobie z tego sprawę - jego głos był oschły jak zapach starej tabaki unoszący się w powietrzu. Ale czuć było w nim życzliwość. - Panie Linnear, wiemy, że nie jest pan nauczycielem z wykształcenia, ale do tego, co chcemy zrobić, pan byłby idealny. - Przełknął, zabrzmiało to trochę jak odgłos wydawany przez postaci z filmu rysunkowego. - A i nam by to niezmiernie pomogło.

— Ale ja w ogóle nie znam programu studiów - odpowiedział Nicholas. - Nie wiedziałbym, od czego zacząć.

— Drogi kolego, to żaden problem. - Dean Whoolson mówił z pewnością w głosie. - Wykład ten jest formą seminarium prowadzonego przez czterech profesorów. Właściwie trzech, od czasu gdy doktor Kinkaid zachorował. Zajęcia w semestrze letnim prowadzone są dwa razy w tygodniu, przy czym cztery wykładowcy, łącznie z panem, robiliby to rotacyjnie. Możecie po

prostu tak się podzielić programem, aby pan wykladał to, na czym zna się lepiej niż ktokolwiek inny w naszej części świata. - Znowu przełknął jak poprzednio, tak jakby jadł jakieś słodycze. - Sądzę, że studenci byliby bardzo zadowoleni, tak jak i my wszyscy.

Kiedy żaden z nich nic nie mówił, słychać było jakieś nieokreślone dźwięki. Nicholas miał wrażenie, że to głosy innych osób, jakby duchy włączyły się do ich rozmowy.

- Może chciałby pan zobaczyć uczelnię - zaproponował Dean Whoolson. - Jest tutaj pięknie wiosną.

Dlaczego nie spróbować czegoś nowego? - pomyślał Nicholas.

- Dobrze.

Biegący ludzie, przyciągnięci przez syrenę karetki, nadal go mijali. Tłum gapiów kręcił się wokół miejsca wypadku jak ćmy wokół płomienia, okazując na przemian fascynację i obrzydzenie. Ale dla niego istniało tylko morze, wsłuchiwał się w szum fal płynących ku niemu jak przyjaciele. Jednak podniecone głosy tłumu zakłócały popołudniowy spokój. Dla nich to była jeszcze jedna rozrywka, możliwość włączenia telewizora i pokazania znajomym w czasie dziennika: „Widzisz? Ja tam byłem, widziałem, co się stało”. I równie dobrze mogłaby to być Elizabeth Taylor z przyjaciółmi, która przyszła plażować w tym miejscu. Po wszystkim spokojnie wracali do swoich drinków i smażonych kiełbasek, które ktoś przezornie przywiózł ze sobą z miasta.

Jego dom był zbudowany z jasnobrązowej cegły i pokryty drewnianym dachem, nie miał żadnych uduwnień w postaci wypukłych okien z pleksi, czy łuków i podcieni tak typowych dla większości domów w tej okolicy. Na prawo od domu wydmy gwałtownie się urywały i przechodziły w piaszczysty teren. Do grudnia stał w tym

miejscu dom wart ćwierć miliona dolarów, ale zima była tak parszywa jak tamta z przełomu lat 77/78 i cały został podmyty przez fale. Jego właściciele chcieli go odbudować za uzyskane odszkodowanie, ale na razie był tam znaczny obszar wolnej ziemi, w tym gęsto zabudowanym i zamieszkanym kurorcie.

Fale uderzały coraz mocniej w miarę narastania przyływu. Czuł, że zimna, słona woda sięga mu już do łydek. Podwinięte nogawki jego dzinsów były pełne piasku. Chciał go właśnie wytrząsnąć, kiedy ktoś gwałtownie wpadł na niego i razem przewrócili się do tyłu.

- Dlaczego, do cholery, pani nie uważa?! - wrzasnął, usiłując się podnieść.

- Przepraszam, chyba nie musi pan krzyczeć? Zrobiłam to niechcący. Najpierw zwrócił uwagę na jej twarz, ale jeszcze wcześniej poczuł

jej zapach, cytrynowy i oschły jak głos Deana Whoolsona. Była bardzo blisko. Jej oczy wydały mu się najpierw piwne, ale za chwilę stwierdził, że są zielone. W lewym miała dwie czerwone plamki. Miała bladą cerę, nieco piegowaną, szeroki nos przydający jej uroku oraz wydatne wargi, co było wyrazem wrodzonej zmysłowości.

Schwycił ją pod ramiona i pomógł się podnieść.

Odsunęła się od razu i splotła ręce na piersiach.

- Nie rób tego. - Patrzyła na niego nie próbując odejść. Gładziła swoje ciało palcami w miejscach, gdzie jej dotykał, tak jakby zrobił jej krzywdę.

— Czy my się nie znamy? - zapytał. Uśmiechnęła się w dziwny sposób.

— Chyba znasz lepsze teksty, co?

— Nie, naprawdę skądś cię znam.

Przez chwilę patrzyła na to, co działo się w oddali. Gdy ich oczy znowu się spotkały, powiedziała:

- Chyba jednak nie... Strzelił palcami.

- W biurze Sama Goldmana. Jesienią albo wiosną - potrząsnął głową. - Na pewno się nie mylę.

Jej wzrok pojaśniał, tak jakby nazwisko Goldmana było czymś magicznym.

— Znam Sama Goldmana - powiedziała powoli - pracowałam dla niego dorywczo. - Dotknęła palcem ust, polakierowane paznokcie lśniły w słońcu. Odgłos tłumu w oddali brzmiał jak szum kibiców na stadionie w czasie udanej akcji swojej drużyny.

— Ty jesteś Nicholas Linnear! - krzyknęła, a kiedy potwierdził, dodała: - On cały czas o tobie mówi.

Uśmiechnął się.

— Ale o naszym spotkaniu nie pamiętasz. Wzruszyła ramionami.

— Nie wiem, naprawdę. W mojej pracy... Nicholas zaśmiał się.

— Mogłaś potrącić kogoś ważnego.

- Z tego, co o tobie słyszałam, byłeś ważny. Ale porzuciłeś to wszystko. To było niezrozumiałe.

Mrużąc oczy przed słońcem, wpatrzona w niego, wyglądała jak nastolatka. Tak, jakby promienie wydobywały z niej niewinność dziewczynki. Wreszcie oderwała od niego wzrok.

— A tam, *co się* dzieje?

— Znaleźli topielca.

— Tak, kto to? Wzruszył ramionami.

— Nie mam pojęcia.

— Chyba stamtąd nadszedłeś? - Znowu spojrzała na jego twarz. Poczul to jak podmuch orzeźwiającego wiatru o zmierzchu. - Pewnie widziałeś, jak go wyławiali. - Jej oczy miały nad nim jakąś władzę, większą, niż gdyby go naprawdę trzymała. Było to takie niewinne, jakby była małym dzieckiem potrzebującym pomocy. Chciałby ją przytulić i pogłaskać.

— Odszedłem, nim się naprawdę zaczęło.

— Iw ogóle cię to nie zainteresowało? - Nie zwracała uwagi na wiatr, który burzył jej fryzurę. - Przecież to mógł być ktoś z okolicy. Wiesz chyba, że tu się zdarzają dziwne rzeczy.

— Jest mi to obojętne. Całkowicie.

Opuściła ręce, dłonie wsadziła do kieszeni swoich obdartych džinsów. Miała na sobie turkusową koszulkę bez rękawów, pasującą do koloru jej oczu. Wydatne piersi poruszały się wraz z oddechem, sutki wyraźnie się odznaczyły. Była szczupła w talii, nogi miała smukłe i zgrabne. Poruszała się jak baletnica.

— Widzę, że inne rzeczy cię interesują - powiedziała stanowczo. - Jak byś się czuł, gdyby ktoś patrzył na ciebie w taki sposób?

— Zaszczycony, po prostu zaszczycony.

Justine była projektantem reklam. Mieszkała cztery domy od Nicholasa. W czasie lata wolała pracować poza miastem.

Nienawidzę Nowego Jorku latem - powiedziała mu następnego

popołudnia przy kieliszku. - Czy wiesz, że któregoś lata nie wychodziłam w ogóle z mieszkania? Włączyłam tylko klimatyzację na pełny regulator. Dzwoniłam do pobliskiej knajpy i kazałam przysyłać sobie coś do jedzenia. Raz albo dwa razy w tygodniu przychodził z firmy krępy facet - taki „przynies, podaj, pozamiataj” - żeby odebrać wykonane projekty i przekazać mi czek. Ale w końcu i to mnie zdenerwowało, więc się spakowałam i pierwszym lepszym samolotem poleciałam do Paryża. Byłam tam dwa tygodnie, a w firmie wychodzili z siebie, żeby mnie znaleźć - odwróciła głowę, popijając swój cocktail - ale kiedy wróciłam, jedyną zmianą, jaka zaszła, było to, że wywalili tego krępego faceta.

Słońce zachodziło, morze połykało już czerwoną tarczę, choć jej odbłaski migotały na wodzie. A później było tak ciemno, że nawet światełka statków zniknęły w oddali.

To wszystko było podobne do niej - pomyślał. - Promienna, zewnętrznie interesująca, ale wielka niewiadoma wewnątrz.

— Nie wracasz na uczelnię jesienią? - spytała.

— Nie, nie wracam.

Nic nie powiedziała, rozsiadła się w fotelu, kładąc swoje szczupłe ramiona na oparciu. Nie dochodziło tam światło lampy, jej ręce przypominały skrzydła. Przechyliła głowę na bok i w tym momencie zakochał się jak szczeniak.

- Podobało mi się na uczelni. - Postanowił jej opowiedzieć wszystko od początku. - Kiedy się tam zjawiłem, był dopiero luty, daleko do wiosny, ale już sobie wyobrażałem te ceglane alejki, kwitnące drzewa magnolii i dereniu, gdzieniegdzie stare dęby... Sam wykład, „Początki filozofii Wschodu”, nie był specjalnym problemem. Studenci byli zainteresowani, a ci, co nie spali, zadawali nawet dość mądre pytania, niektórzy nawet bardzo. Byli zdziwieni, że naprawdę chciałem im coś przekazać. Początkowo stanowiło to dla mnie zagadkę, ale w miarę upływu czasu pojąłem, o co chodzi. Po prostu: pozostali trzej wykładowcy, którzy przerabiali z nimi większość programu, nigdy nie mieli dla nich czasu. Całą swą energię poświęcali pracy naukowej. Traktowali studentów z pogardą. Pamiętam, jak kiedyś byłem obecny na zajęciach prowadzonych przez doktorów Enga i Roystona. Ogłosili, że prace kontrolne zostały poprawione i będą tego dnia zwrócone. Kiedy dzwonek oznajmił przerwę, Eng poprosił wszystkich, żeby pozostali na swoich miejscach. Następnie położył na podłodze cztery pliki prac podzielonych alfabetycznie. Potem Eng i Royston wyszli, a studenci rzucili się na klęczkach, aby je pozbierać.



To było ponizające, ten brak szacunku dla drugiego człowieka. Ja nie mogę znieść takich rzeczy.

— A więc lubisz uczyć? Stwierdzenie to wydało mu się dziwne.

— Nie narzekam.

Przygotował sobie jeszcze jeden gin z tonikiem, ścisnął kawałek cytryny, potem wrzucił go do szklanki i dopełnił lodem.

— Tak naprawdę to czas mi się dłużył tylko wtedy, gdy miałem do czynienia z pozostałymi wykładowcami. Oni też nie mieli o mnie najlepszego zdania. Środowisko akademickie jest bardzo hermetyczne, funkcjonuje według ścisłych kryteriów. Oddaje to powiedzenie „Kto nie ma nowych osiągnięć, musi odejść”. Niestety, dla nich jest to przykra rzeczywistość - wzruszył ramionami. - Dlatego odnosili się do mnie tak niechętnie. Byłem takim samym wykładowcą jak oni, a nie miałem żadnych innych zobowiązań.

— A Royston i Eng, jacy oni byli?

— Royston w porządku. Tak sędzę. Trochę nadęty na początku, ale później zmiękł. Natomiast Eng... - pokiwał głową - Eng to po prostu skurwysyn. Miał o mnie wyrobioną opinię, zanim mnie poznał. Byliśmy któregoś popołudnia we trójkę w pokoju. „Więc urodził się pan w Singapurze?” - zapytał. Tak po prostu mnie zapytał, stojąc nade mną, patrząc przez te swoje druciane binokle. Tak, były zbyt stare, żeby je można było nazwać okularami. Mówił krótkimi, urywanymi zdaniami, tak że stanowiły oddzielne wypowiedzi, które przeszywały człowieka w taki sposób, że aż robiło się zimno. I dalej mówi do mnie: „Ten Singapur to okropne miasto, pan wybaczy, ale tak uważam - zbudowane przez Anglików, których Chińczycy obchodzili równie mało, co Hindusi”.

— I co mu odpowiedziałeś?

— Prawdę mówiąc, byłem zbyt zaskoczony. Ten skurwiel nigdy się do mnie wcześniej nie odzywał. Zaskoczył mnie całkowicie.

— I nie mogłeś mu coś odszczeknąć?

— Wytłumaczyłem mu tylko, że nie urodziłem się w Singapurze, a tylko zostałem tam począty. - Odstawił szklankę. - Opowiedziałem tę całą sprawę Deanowi Whoolsonowi, ale on to zlekceważył. Tłumaczył mi: „Eng to geniusz, a wiesz, jacy są tacy ludzie, prawdę mówiąc, mieliśmy szczęście, że go tu ściągnęliśmy, bo miał nauczać na Harvardzie, ale tu zaproponowaliśmy mu lepsze warunki do pracy naukowej”. Poklepał mnie po plecach i mówił dalej: „Kto go tam wie? Może myślał, że jesteś Malajem, musisz być wyrozumiały”.

— Nic nie rozumiem - powiedziała Justine. - To ty jesteś Malajem?

— Nie, ale Eng mógł tak pomyśleć i wówczas miałby rację. Chińczycy i Malajowie zawsze walczyli ze sobą w Singapurze. Nigdy nie zaznali spokoju.

— Więc kim jesteś? - Nagle zbliżyła się do niego, jej oczy błyszczały. - Masz rysy azjatyckie, tak mi się wydaje. A przynajmniej oczy i policzki.

— Mój ojciec był Anglikiem - odpowiedział - żydowskiego pochodzenia, ale zmienił nazwisko, żeby nie mieć trudności w interesach. W czasie wojny był pułkownikiem.

— A jak brzmiało jego poprzednie nazwisko?

— Nie wiem. Nigdy nie chciał mi powiedzieć. Mówił mi: „Synu, co to jest nazwisko? - to tylko słowa. Ludzie, którzy przywiązują wagę do takich rzeczy, nie są nic warci”.

— Ale czy nigdy to cię nie interesowało?

— Tak, przez pewien czas nawet bardzo. Ale później dałem sobie spokój.

— A twoja matka?

— Zdania są podzielone, choć ona zawsze twierdziła, że jest Chinką.

— No więc?

— Z całą pewnością była Chinką, choć podejrzewam, że z domieszką krwi japońskiej - wzruszył ramionami - aczkolwiek nie mam pewności. Ale ona zawsze myślała po japońsku - uśmiechnął się. - Tak czy inaczej, jestem romantykiem i myśl o tym, że była mieszanego pochodzenia, jest bardziej podniecająca. Tym bardziej jeżeli weźmiemy pod uwagę animozje między tymi dwiema narodowościami, dodaje to tajemniczości całej sprawie.

— A ty lubisz tajemnice.

Spoglądał, jak pukiel ciemnych włosów opadł jej na policzek i przysłonił oko z czerwonymi znamionami.

— Tak, istotnie.

— Ale masz wygląd Europejczyka.

— Tak - odpowiedział Nicholas - z wyglądu przypominam ojca. - Rozłożył się na kanapie, głową dotykając jej dłoni leżącej na oparciu. Cofnęła ją i zacisnęła palce. Patrzył na cień rzucony na sufit przez zapalone światło.

— Ale duchem jestem podobny do matki.

Doktor Deerforth nie lubił lata. Może było to dziwne, ale dla niego był to okres wytężonej pracy. Liczba przyjezdnych zawsze go zadziwiała. Przyjeżdżała tu większość dobrze sytuowanych mieszkańców Manhattanu, równie regularnie, jak ptaki odlatujące kluczami na południe przed zimą.

Choć ostatnio miał nikły kontakt z tą dzielnicą, nie był w centrum Nowego Jorku od pięciu lat; czuł się tam jak w domu wariatów. Ostatnio był tam, by odwiedzić starego przyjaciela Nate'a Graumanna, naczelnego lekarza sądowego Nowego Jorku.

Był zadowolony ze swojej pracy lekarza w West Bay Bridge. Choć jego żona zmarła przed dziesięciu laty na białaczkę, pozostały mu córki, które odwiedzały go ze swoimi rodzinami. Poza tym dodatkowo wykonywał dla Flowera badania sądowe w Hauppauge. Lubili go tam, za dokładność i pomysłowość. Flower nagabywał go, żeby w ogóle przeszedł do pracy u „County’ego”, lekarza sądowego w hrabstwie Suffolk, ale on był zadowolony, z tego co miał: wielu prawdziwych przyjaciół i czas dla siebie. Był zadowolony z życia, choć noce bywały nieraz ciężkie. Miewał koszmarne sny, które przychodziły znienacka, budził się wtedy zlany potem w rozrzuconej pościeli. Śniły mu się różne okropności, oznaki jego własnego strachu. Wstawał wtedy z łóżka, szedł do kuchni, przygotowywał kubek ciepłego kakao i brał się za czytanie któregoś z kryminałów Raymonda Chandlera. Ten rodzaj literatury dawał mu na tyle spokoju wewnętrznego, że po półgodzinie mógł znowu iść spać.

Deerforth przeciągnął się, ból w krzyżu trochę zelżał. Tak to jest, kiedy w moim wieku pracuje się po godzinach - pomyślał. Ale kontynuował zaczęłą robotę. Wszystkie fakty zaczęły tworzyć jeden logiczny ciąg, wreszcie znalazł rozwiązanie, jak stary egiptolog znajdujący wejście do grobowca.

Typowy wypadek - pomyślał, gdy mu zgłosili zatonięcie przy Dune Road. Nie znaczy to, że był gruboskórny, w jego lekarskiej praktyce każdy przypadek był indywidualny, a życie ludzkie najcenniejszą wartością. Ale śmierć poznał znacznie wcześniej, w czasie drugiej wojny światowej na Pacyfiku. W czasie walk na Filipinach widział dzień w dzień jak *kamikaze*, lecąc samolotami załadowanymi ponad toną materiałów wybuchowych, pikowali wprost na amerykańskie okręty. Widok tych samolotów najlepiej obrazował różnice kulturowe między Wschodem a Zachodem. Japończycy nazywali je *oka* - kwitnące wiśnie, a Amerykanie zmienili to na *baka* - idioci. W myśli zachodniej nie ma miejsca na etos rytualnego samobójstwa, tak typowego dla japońskich samurajów. A przecież to było to, co pozwoliło wojownikowi przeżyć mimo wszelkich przeszkód. Deerforth pamiętał wiersz, który, jak mówiła legenda, został napisany przez dwudziestodwuletniego pilota, tak jak nakazywała tradycja...

*Gdy dane nam będzie opaść*

*Jak kwitnące wiśnie na wiosnę*

*Tak nieskażone i lśniące*

I tak Japończycy odnosili się do śmierci. Samuraj wiedział, że ostatecznym celem jest bohaterska śmierć w walce.

A on wtedy chciał tylko, żeby wojna się skończyła, żeby przeżyć i nie zwariować - i tak się stało, nie licząc koszmarnych snów, które pozostały i męczyły go w nocy jak potwory powstałe z grobu.

Deerforth wstał od biurka i podszedł do okna. Za koroną dębu osłaniającego tę stronę domu przed popołudniowym słońcem mógł zobaczyć całość Main Street. Kilka samochodów stało w kolejce do bankomatu, mieszczącego się w starym budynku banku Fourth Federated Savings. Trochę dalej, w miejscowej bibliotece, zakończyło się jakieś zebranie. Jeszcze jeden spokojny letni dzień. A prawdziwy świat wydawał się tak odległy, jakby był na innej planecie.

Odwrócił się w stronę biurka, chwycił brązową tekturową teczkę z całą zawartością i wyszedł z domu na ulicę. Szedł w stronę jednopiętrowego, ceglanego budynku mieszczącego straż pożarną oraz, po drugiej stronie podwórka, miejscowy posterunek policji.

Po drodze spotkał Nicholasa, wychodzącego z pełną torbą ze sklepu spożywczego przez automatycznie otwierane drzwi.

— Cześć, Nick.

— Cześć, doktorku. Jak leci?

— W porządku. Właśnie idę do Raya Floruma. - Nicholas i Deerforth poznali się, jak większość mieszkańców, któregoś dnia na Main Street poprzez wspólnych znajomych. Zresztą trudno by było nawet zaprzysięgłemu odludkowi nie zaprzyjaźnić się z ludźmi na tyle, żeby ich nie pozdrawiać nawet zwykłym „cześć”. - Właśnie wróciłem z Hauppauge.

— Chodzi o wczorajszego topielca?

— Tak. - Deerforth odwrócił głowę i wypluł jakąś resztkę jedzenia, która mu weszła między zęby. Był zadowolony ze spotkania, tym bardziej że bał się wizyty u Floruma ze względu na wynik swoich badań. Poza tym lubił Nicholasa.

— Być może go znałeś. Mieszkał niedaleko od ciebie. Nicholas się uśmiechnął.

— Mało prawdopodobne...

— Braughm. Nazywał się Barry Braughm.

Nicholas przez chwilę poczuł się słabo i pomyślał o słowach Justine, kiedy się zderzyli na plaży: „Wiesz, tu się zdarzają dziwne rzeczy”. Miała rację.

- Tak - powiedział powoli. - Znałem go, kiedy pracowaliśmy w jednej firmie, w reklamie.

- Bardzo mi przykro, Nick. Znałeś go dobrze?

Nicholas pomyślał. Braughm miał wspaniały umysł, potrafił rozpracować gust społeczeństwa lepiej niż ktokolwiek w firmie. Co za nieszczęście, że tak niespodziewanie odszedł.

- Dość dobrze - rzekł w zamyśleniu.

Kołysała się w tańcu przez całą noc. Muzyka dobiegająca z gramofonu przez otwarte drzwi zagłuszała szum fal. Tylko we dwoje.

Zadrzała w pierwszej chwili, gdy chwycił jej dłoń i przeszli na werandę. Zrobił najlepszą rzecz pod słońcem. Ona uwielbiała tańczyć, tak po prostu. Sposób w jaki ją trzymał, był dla niego normalny, choć w tańcu wszystko nabierało bardziej erotycznego charakteru. Mimo to tańczyła nadal...

*Siedzi mnie ciągle w lustrze*

*I zawsze pragnie ciemności...*

Całkowicie zapamiętana w tańcu była podniecająca, w jej ciele ujawnił się żar witalnej, prymitywnej energii.

*A słów, które jej szepczę*

*Nie uważa za wyznanie miłości...*

To tak, jakby pod wpływem muzyki zniszczyła wszystkie ograniczenia, wszelkie opory wewnętrzne, cały strach - nie przed nim, ale przed samą sobą.

*pragnie sama doprowadzić mnie*

*Do pełnej szczęśliwości.*

Gdy byli przytuleni, tańcząc, a muzyka wypełniała cały dom, powiedziała:

- Wychowałam się na książkach. Najpierw czytałam, co popadło. W tym czasie moje siostra, która miała szczęście do facetów, była zawsze na jakiejś randce. Ja pożerałam książki. Ale to nie trwało długo, po pewnym czasie zaczęłam przebierać w lekturach – zaśmiała się, z takim ciepłem i serdecznością, że był zaskoczony. - Były różne okresy, najpierw książki o zwierzętach, później Howard Pyle i jego *Robin Hood*. Pewnego dnia, gdy miałam szesnaście lat, wpadła mi do ręki książka markiza de Sade, literatura dla mnie zakazana i dlatego podniecająca. Starłam się go czytać jak najwięcej. A potem miałam wrażenie, że stąd się wzięło moje imię. Gdy byłam starsza, spytałam o to matkę, a ona powiedziała: „Wiesz, po prostu mnie i twojemu ojcu bardzo się to imię podobało”. Pewnie zgodnie z jej europejskimi ciągotami; sądzę, że to dlatego, iż była Francuzką. Ale nie powinnam jej o to wszystko pytać. Moje przypuszczenia okazały się zbyt kolorowe. Cóż, czego mogłam się spodziewać? Byli zwykłymi ludźmi.

- Twój ojciec był Amerykaninem?

Spojrzała na niego, pod wpływem ciepła zapalonych w pokoju lamp jej policzki zarumieniły się tak, jakby artysta pomalował je farbą.

— I to jakim!

— A kim był?

— Wejźmy do środka - powiedziała odwracając się. - Zimno mi.

Pierwszą rzeczą, która się rzucała w oczy, było duże, czarno-białe zdjęcie dobrze zbudowanego mężczyzny z pokaźnym podbródkiem i przenikliwym wzrokiem. Pod spodem był napis: *Stanley J.Teller, Komendant Policji 1932-1964*. Obok wisiała kopia obrazu Normana Rockwella „Runway”.

Biuro mieściło się w skromnym pokoju, zza podwójnych szyb można było zobaczyć samochody zaparkowane na podwórku. Poza tym o tej porze dnia niewiele więcej się widziało.

Przestań kręcić, doktoru, i powiedz mi, jak właściwie się sprawy mają - powiedział porucznik Ray Florum. - Co jest specyficznego w tym utonięciu?

Ciągły szum z radiotelefonu, który stał w pomieszczeniu obok, zakłócał rozmowę tak jak wtedy, gdy nałoży się kilka rozmów telefonicznych.

- To właśnie chciałem ci przekazać. - Deerforth mówił powoli i spokojnie. - Ten człowiek zmarł, zanim wpadł do wody.

Ray Florum z impetem usiadł na swym drewnianym krześle obrotowym, tak że aż zatrzeszczało pod nim. Florum był potężnym mężczyzną, grubym i wysokim, co powodowało, że stał się tematem wielu dowcipów opowiadanych przez jego współpracowników. Był komendantem policji w West Bay Bridge. Miał opaloną twarz, pośrodku której znajdował się wielki czerwony nos. Jego kędzierzawe włosy ścięte były na jeża. Nosił brązowy płócienny mundur. Nie lubił go, ale takie były przepisy. Wolałby flanelową koszulę i jakieś stare spodnie.

— A więc - zapytał - na co zmarł?

— Został otruty - odpowiedział Deerforth.

— Doktoru - powiedział Florum przecierając twarz. - Chcę, żeby nie było żadnych wątpliwości, rozumiesz? Żadnych. Nie chciałbym, żeby doszło do jakichś nieporozumień, kiedy będę sporządzał meldunek. Bo oprócz policji stanowej, której muszę przesłać kopię meldunku i która wyśle tu chmarę ludzi, każe nam przeprowadzić całe dochodzenie, po czym wszystko sobie przywłaszczy - a więc oprócz tych sukinsynów, muszę się jeszcze liczyć z tymi skurwielami z komendy hrabstwa, którzy uważają, że takie sprawy im podlegają. Na domiar złego mówisz mi, że jest to morderstwo. Niedługo zjawi się tu Flower, jak szeryf na białym rumaku, i zacznie się dopytywać, dlaczego jeszcze nie znaleźliśmy sprawcy lub kiedy skończy się sprawa tego umrzyka, bo on ma jeszcze parę innych. - Uderzył ręką w biurko, na którym leżał egzemplarz książki *Przestępczość w USA - 1979*. - Tym razem tak ustawimy sprawy, żeby nie deptali mi ciągle po piętach.

Wszedł jakiś sierżant, podał Florumowi kilka kartek maszynopisu i wyszedł.

— Chryste Panie, to wszystko mnie nieraz wkurza. Na tym stanowisku trzeba by polityka, bo ja się chyba nie nadaję. Co to kogo obchodzi, czy znam się na swojej robocie. Co za ludzie! - Wstał, wziął jakąś teczkę i położył ją na biurku. Podrapał się w czoło i zaczął przeglądać zdjęcia. Deerforth rozpoznał zdjęcia topielca.

— Po pierwsze, nie masz co się martwić - powiedział spokojnie Deerforth. - Zająłem się Flowerem. Na razie nie będzie się ciebie czepiał.

Florum na chwilę podniósł z zaciekawieniem głowę, po czym wrócił do zdjęć.

— Tak? A jak ci się ta sztuka udała?

— Po prostu - nic mu nie powiedziałem.

— Chcesz powiedzieć - rzekł wyciągając z szuflady duże szkło powiększające - że nikt nie wie nic o tym... morderstwie - oprócz nas dwóch?

- Właśnie to chciałem powiedzieć. Po chwili Florum rzekł:

— Słuchaj, ale ja na tych zdjęciach nic nie widzę. - Przerzucał je jak karty do gry, aż znalazł zbliżenie głowy i korpusu topielca. - Nic, tylko typowe oznaki utonięcia.

— Bo też nic nie zobaczysz.

— No właśnie.

— To nie znaczy, że nic nie można znaleźć.

Florum rozsiadł się wygodnie i skrzyżował ręce na piersi.

— Dobrze, doktorku. Zamieniam się w słuch. Powiedz, co jest.

— Najkrócej mówiąc, ten człowiek już nie żył, kiedy jego ciało wrzucano do wody - Deerforth odsapnął. - Chodzi o drobny szczegół, który nawet tak dobry lekarz jak Flower mógł przegapić. - Florum zamruczał ze zrozumieniem. - Widzisz, takie małe nakłucie z lewej strony klatki piersiowej można wziąć za zadrapanie zrobione jakimś kamieniem. Przeczucie skłoniło mnie jednak do pobrania próbek krwi z kilku punktów ciała, w tym z aorty, gdzie trucizna taka jak ta się odkłada. Po dwudziestu minutach w innych miejscach zanika, choć nie mam pojęcia, jak to się dzieje. Jest to bardzo dziwna trucizna oddziałująca na system krążenia.

Florum strzelił palcami.

— Po prostu powoduje atak serca?

— Tak.

— Jesteś pewien?

— Co do zatrucia, tak. Inaczej bym tu nie przyszedł. Ale muszę jeszcze sprawdzić parę rzeczy. Wydaje mi się, że część ostrza z trucizną pozostała w ciele.

— Nie ma rany wylotowej?

— Nie.

— Upadek mógł spowodować wysunięcie ostrza. Albo jak był już w wodzie...

— Albo też ktoś je usunął.

— Czy chcesz mi powiedzieć, że... - zatrzymał się i odkładając zdjęcia wziął kartę osobową denata - że ten facet, Barry Braughm, główny księgowy w... - wymienił nazwę firmy Sama Goldmana - ...mieszkający pod numerem 31 na Sześćdziesiątej Trzeciej Ulicy w Nowym Jorku, został zamordowany? I to w taki sposób? Przez kogo? Przecież mieszkał tu sam. Nie miał ani zazdrosnej żony, ani kochanki... - zaśmiał się. - Miał siostrę mieszkającą w dzielnicy Queens, z którą już rozmawialiśmy. Obejrzelśmy ten jego dom przy Dune Road. Nic. Żadnych oznak włamania czy kradzieży. Samochód stoi tam, gdzie go zostawił: przed domem, zabezpieczony jak Ford Knox. Nie ma żadnych...



-Są - powiedział Deerforth wiedząc, że przysła chwila, której się tak obawiał od momentu, gdy wykrył ślad zbrodni i pobrał próbki krwi. To było nieprawdopodobne, ale wszystkie badania potwierdziły jego domysły - powtarzał to sobie co chwila jak pacierz chroniący przed złem. Czuł się nieswojo, tak jakby był duchem i słuchał tego, co za chwilę powie Florumowi.

Z zewnątrz dobiegł ich śmiech dziecka. Wydawało mu się, że zabrzmiał równie nieprzyjemnie jak małpi krzyk w filipińskiej dżungli.

— Chodzi o tę truciznę - tłumaczył. - Jest bardzo nietypowa. - Wytarł spocone ręce o spodnie. Dawno tak się nie spocił. - Poznałem ją dawno temu, kiedy byłem za granicą.

— W czasie wojny? - zapytał Florum. - Ależ człowieku, ile to już lat. Chcesz mi powiedzieć...

— Ray, takich rzeczy się nie zapomina, choćby minęło i sto lat. Któregoś dnia wysłaliśmy pięcioosobowy zwiad. Wrócił tylko jeden, praktycznie martwy, ale tym razem nic nie słyszeliśmy, żadnych strzałów, tylko świergot ptaków... - Deerforth musiał zaczerpnąć powietrza. - Zbadałem ciało tego, który dotarł do obozu. Był bardzo młody, miał co najwyżej dziewiętnaście lat. Jeszcze żył, gdy go zacząłem opatrywać. Próbowałem wszystkiego, ale to nic nie dało. Zmarł na moich oczach.

— Ta sama trucizna co teraz? Deerforth posępnie pokiwał głową.

— Ta sama.

Mam już sobie iść?

— Tak - odpowiedziała Justine - albo... sama nie wiem. Stała za kanapą trzymając się kurczowo bawełnianego obicia.

— Boże, ale namieszaleś mi w głowie.

— To nie był mój zamiar - zaczął przepraszać.

— To tylko słowa.

Był zaskoczony, że z profilu wyglądała na niepodobną do siebie - może wydawała się starsza, może po prostu inna. Przypomniała mu się Yukio. Ale u Yukio chodziło o jej mieszane pochodzenie, wywodzące się z tajemnych mroków historii świata, który był mu obcy i który poznał, choć nigdy nie stał się jego częścią. Teraz rozumiał, że jego ówczesne postrzeganie tamtego świata zdominowane było przez zachodnie pochodzenie, choć teraz widział te sprawy inaczej. Być może to kwestia czasu, który zdążył upłynąć od tamtych chwil, że oceniał Yukio za to, kim naprawdę była dla niego i jego bliskich. Być może zmiana otoczenia, odejście od japońskiego stylu życia, powodowała, że rozumiał, jakie popełnił błędy. Że znalazł swoje miejsce w świecie.

Justine poruszyła się na drugim końcu kanapy. Czuł, że jest równie daleko, jakby była na drugim końcu świata. Poczł zapach jej perfum.

- Późno już - powiedziała.

Zignorował to. Sądził, że powiedziała to tylko po to, żeby przerwać ciszę. Ta jej nerwowość fascynowała go najbardziej. To prawda, że jego zdaniem była bardzo ładna; gdyby ją spotkał na zatłoczonej ulicy, obejrzałby się lub nawet poszedł za nią kawałek, nim zginęłaby w tłumie. Jak inaczej postąpić w takiej sytuacji? Gdyby próbował zawrzeć taką znajomość, można by się rozczarować. Można nawet przez jakiś czas o takiej dziewczynie pomarzyć. Ale co dalej? Uroda, jak się już dawno przekonał, była złym doradcą, nieraz nawet niebezpiecznym. A on oczekiwał czegoś więcej, zarówno od kobiet, jak i od życia. Wierzył, że tylko to ma jakąś wartość, co zostało zdobyte z trudem - nawet, a może przede wszystkim, miłość. Tego się nauczył w Japonii, gdzie z kobietami trzeba postępować delikatnie jak z kwiatem i roztropnie jak przy rozwiązywaniu zagadki, a gdy się je pozna, człowiek przekonuje się, jak są szalenie czułe i równocześnie niebezpiecznie przebiegłe.

Było słychać już tylko szum fal rozbijających się o brzeg. Na znieruchomiałym gramofonie zaczął powoli osiadać kurz. Krzyk mew brzmiał tak, jakby, zagubione, potrzebowały pomocy.

Zastanawiał się, co ma zrobić - czy cokolwiek ma robić. Był zdenerwowany prawie tak samo jak ona.

— Czy miałeś już wiele kobiet? - spytała zniecka. Zobaczył, że jej ręce drżą, a głowa unosi się z trudem. Patrzyła na niego, jakby czekała, aż ją wyśmieje albo zbeszta.

— Dziwne pytanie.

Odwróciła głowę. Światło lampki podkreślało jej rysy, kształt nosa odcinał się od oka i policzka. Czerwone znamiona lewego oka nabrały rdzawego koloru, prawa strona twarzy ginęła w ciemnościach.

— Ale odpowiesz? Uśmiechnął się.

— Wiele, których nie kochałem, I kilka, które kochałem bardzo. Cały czas wypatrywała w jego wzroku oznaki drwiny. Na próżno.

— Ale co konkretnie chciałabyś wiedzieć? - zapytał. - Czy myślisz, że ci nie odpowiem?

— Nie - pokręciła głową. - Boję się prawdy. - Jej palce nerwowo szarpały krawędź oparcia kanapy, jakby to były struny

wyimaginowanego instrumentu. - Nie wiem, czy chcę to usłyszeć - powiedziała po chwili.

Miał jej powiedzieć, że wszystko to bzdury, ale nagle zdał sobie sprawę, że nie dla niej. Obszedł kanapę i stanął przy niej.

— Jestem z tobą - powiedział - ja jeden. Nie ma nikogo więcej.

— Wiem - powiedziała to tak, jakby sama nie wierzyła swoim słowom, oczekując, że ktoś je potwierdzi.

Zmieniła temat, czuła, że ich rozmowa zbacza w niebezpiecznym kierunku. Podeszła do dużego okna. Światło przed domem było jeszcze zapalone. W oddali, za oświetloną werandą i rojem ciem, morze łączyło się z piaszczystym brzegiem czarnym jak węgiel.

— Nie wiem dlaczego, ale ten widok przypomina mi panoramę San Francisco.

— Byłaś tam kiedyś? - spytał, siadając na poręczu kanapy.

— Jakies dwa lata temu. Przez prawie półtora roku.

— Dlaczego wyjechałaś?

— Bo... zerwałam z kimś. Wróciłam w te strony, na Wschodnie Wybrzeże. Genialna córka wróciła na łono rodziny. - Miało to zabrzmieć dowcipnie, ale nie mogła wydobyć z siebie uśmiechu, coś go zdławiło.

— Lubiałaś to miasto.

— Tak, naprawdę, nawet bardzo.

— Więc dlaczego tam nie zostałaś?

— Bo... nie mogłam. - Uniosła swą wątlą dłoń i spojrzała na nią jakby ze zdziwieniem, że jeszcze tam jest. - Byłam wtedy inna, miałam wiele problemów. - Złożyła dłonie razem i opuściła je w dół. - Czułam się taka bezbronna. Czułam, że sama nie dam sobie rady. Tak, jakby porywał mnie podmuch wiatru.

Po namyśle dodała:

— To wszystko było takie głupie. Ja też. - Pokręciła głową, ubolewając nad swoim ówczesnym zachowaniem.

— Ja byłem tam tylko dwa razy - powiedział Nicholas. - Mam na myśli San Francisco. Zakochałem się w tym mieście. Jest takie wielkie. I ta, z oddali bijąca w oczy, biel masy budynków. - Spoglądał na fosforyzującą pianę kolejnych fal rozbijających się o brzeg. - Chodziłem na brzeg oceanu tylko po to, żeby spoglądać na fale. Te same, które brały swój początek u brzegów Japonii.

— A dlaczego ją opuściłeś? - zapytała. - I dlaczego tu się znalazłeś?

Zrobił głęboki wdech.

- To trudne pytanie. Było wiele powodów, powoli narastały...

Paul Deerforth dzwonił do mnie wczoraj wieczorem - powiedział Graumann. - Pamiętasz go?

— Tak. Poznałem go w zeszłym roku, kiedy wpadłem do ciebie na parę dni, jak byłeś na urlopie. Ta miejscowość nazywała się chyba West Bay Bridge, prawda?

— Tak - Graumann pochylił się do przodu. - Ma jakiś problem, z którym nie może sobie dać rady. Współpracuje z lekarzem sądowym hrabstwa Suffolk. - Spojrzał na swe długie paznokcie. - Prosił, abyś właśnie ty przyjechał.

W bawialni domu Nicholasa, przy ścianie, stało duże akwarium. Na oko miało pojemność dwustu litrów. Jego mieszkańcami nie były jednak jakieś popularne rybki. Właściciele domu zostawili mu pod opieką zbiór różnorodnych ryb morskich, które - jak stado tropikalnych ptaków przelatujących przez zieloną dżunglę - nadawały swemu otoczeniu wszystkie barwy tęczy.

.Przyglądał się Justine przez tę wodną soczewkę, tak jak dzikus podgląda obcych spoza osłony gęstej roślinności. Miała na sobie czerwony kostium kąpielowy, wycięty na biodrach tak wysoko jak gimnastyczny trykot, w sposób znakomicie podkreślający długość jej nóg. Z ręcznikiem zarzuconym na kark wyglądała, jakby wróciła prosto z treningu. Oblizwała palce ubrudzone jajkiem i wytarła talerz resztką chleba. Odwróciła się w jego stronę.

- Są twoje? - spytała.

Skończył już karmienie, ale bez żadnego powodu nadal trwał przykucnięty, zafascynowany drganiem wody spowodowanymi przez przepływające ryby i pracującą pompkę powietrzną. Ten zadziwiający obraz uspokajał go, chociaż on wolałby raczej nazwać to rozmarzeniem.

- Nie, nie moje - mówił zza akwarium. - Właściciele tego domu. - Roześmiał się i wstał. - Na pewno należą do nich bardziej niż ja.

Wstała i zaniósła brudne talerze do kuchni.

- Boże, znowu pada. - Oparła się łokciami o zlew i wyjrzała przez okno. - A ja chciałam popracować dzisiaj na dworze.

Deszcz, napędzany wiatrem od morza, bębnił w dach i w szyby bawialni. Na zewnątrz było chłodno i ponuro, niebo przypominało szary marmur.

- Zrób to tutaj - powiedział. - Przecież wszystko, co potrzebujesz, masz ze sobą.

Wyszła z kuchni i wytarła ręce.

- Raczej nie. Jak już mam pracować w domu, to wolę przy desce kreślarskiej.

Zbiła go nieco z tropu. Uważał, że nierobienie niczego było prawie takim samym grzechem jak robienie czegoś źle. Nienawidził niezdecydowania.

— Czy masz ze sobą swoje rysunki?

— Tak... - Spojrzała na swoją dużą, płócienną torbę stojącą obok kanapy. - Oczywiście.

— Chciałbym je zobaczyć.

Pokiwała głową z aprobatą, wyjęła z torby blok w niebieskiej okładce i podała mu.

Chodziła po pokoju, podczas gdy on oglądał po kolei jej rysunki. Słychać było tylko brzęczenie pompki w akwarium i szum fal.

- Co to?

Podniósł wzrok. Stała, trzymając ręce z tyłu, przed niskim orzechowym regalem. Miała na myśli to, co wisiało nad nim na ścianie: dwa lekko zakrzywione miecze w pokrytych laką pochwach. Zawieszony wyżej był długi na osiemdziesiąt centymetrów, ten drugi - na blisko pięćdziesiąt.

Patrzył na jej figurę i porównywał ją z postacią na rysunku, który miał przed oczami.

— To są miecze japońskich samurajów - powiedział. - Dłuższy to *katana* - miecz bojowy, ten drugi to *wakizashi*.

— Do czego służą?

— Do walki i *seppuku* - rytualnego samobójstwa. W dawnych czasach tylko samuraje mogli nosić i używać *daisho* - obu mieczy.

— Skąd je masz? - Patrzyła na nie nadal.

— Są moje - odpowiedział. Odwróciła się do niego z uśmiechem.

— Chcesz mi powiedzieć, że jesteś samurajem?

- Poniekąd - odrzekł całkiem poważnie i wstał z kanapy. Podeszedł do niej, myśląc o tych trzech godzinach, które codziennie poświęcał na trening.

- Czy mogę zobaczyć ten dłuższy? - spytała. Powoli sięgnął po miecz.

— Nie powinienem tego robić. - Jedną ręką trzymał za pochwę, drugą za długą rękojeść.

— Dlaczego?

powoli zaczął wysuwać głownię, ukazało się dziesięć centymetrów błyszczącej stali.

- *Katana* powinna być wyjmowana tylko w momencie zagrożenia. Jest rzeczą świętą. Dostaje się ją podczas specjalnej ceremonii i okazji osiągnięcia dojrzałości przez mężczyznę. Mieczowi nadaje się imię, gdyż jest on duszą samuraja. To jest *dai-katana*, trochę dłuższa od normalnego miecza. Nie dotykaj go - powstrzymał ją stanowczo, tak że natychmiast cofnęła dłoń. - Mogłabyś stracić palce.

Na głowni było widoczne odbicie jej twarzy, szeroko otwarte oczy, lekko rozwarte usta. Słyszał jej oddech.

— Wysuń go bardziej. - Odgarnęła garść włosów, które zasłaniały jej oczy. - Jest piękny. Czy ma imię?

— Tak - powiedział, myślał o Czeong i Itami. - *Iss-hogai*, to znaczy „dla życia”.

— Ty go tak nazwałeś?

— Nie, mój ojciec to zrobił.

— Podoba mi się, bardzo pasuje.

— Ostrze miecza ma magiczną moc - objaśnił wsuwając głownię z powrotem do pochwy. - Ten miecz ma prawie dwieście lat, ale został tak doskonale zrobiony, że nie widać po nim najmniejszego zużycia. - Odłożył go na miejsce. - Najlepsza broń, jaką kiedykolwiek wykonano.

Zadzwoił telefon, podniósł słuchawkę.

— Nick? Tu Vincent.

— Cześć, co słyhać?

— Wszystko w porządku. Jadę w twoje strony.

— Na wyspę?

— Nie, o wiele bliżej. Do West Bay Bridge.

— To świetnie. Nie widzieliśmy się już od...

— Marca, o ile pamiętam. Będę mieszkał u doktora Deerfortha, w centrum miasta.

— Nie. Zamieszkaż ze mną nad wodą. Tu jest kupa miejsca, a poza tym w mieście nie popływasz.

— Przykro mi, ale nie przyjeżdżam na urlop i, dopóki nie skończę roboty, lepiej żebym był na miejscu.

— Co słyhać u Nate'a?

— To co zawsze. Zbyt wiele roboty, zbyt mało ludzi.

Nicholas spojrział na Justine, przeglądającą własne rysunki. Odgarnęła włosy z czoła, nachyliła się, wyjęła z torby ołówek i zaczęła wykańczać któryś z nie dokończonych szkiców.

— Czy jesteś w towarzystwie?

— Tak.

— Rozumiem. Będę dzisiaj po południu - zaśmiał się, ale jego głos wydawał się gorzki i zmęczony. - To musi być coś ważnego, skoro Graumann dał mi samochód z kierowcą. Mogę więc się rozsiąść na tylnym siedzeniu i zdrzemnąć. - Westchnął. - Szkoda. Dawniej, gdy finanse miasta były w lepszej kondycji, pewnie przyjechałbym jakąś limuzyną, a tak muszę się zadowolić zwykłym osobowym, na dodatek sraczkowatego koloru.

Nicholas roześmiał się.

— Jak już się rozlokujesz, to przedzwoń, umówimy się na drinka.

— Dobra. Cześć!

Odłożył słuchawkę, usiadł obok Justine i przyglądał się, jak nanosi na papier coraz to nowe kreski. Ale myślami był już gdzie indziej.

Teraz rozumiem, po co mnie wezwałeś - powiedział Vincent.

- Czy wiesz, co to za trucizna? - zapytał Deerforth.

Vincent przetarł oczy kciukiem i palcem wskazującym. Światło jarzeniowe raziło go, więc przybliżył zwykłą lampę na ruchomym ramieniu do kartek tekstu, który czytał.

— Naprawdę nie wiem, co o tym wszystkim myśleć.

— Człowiek, którego ciało oglądaliśmy, nie utonął.

— Bez wątplenia. - Vincent potwierdził kiwnięciem głowy. - Na cokolwiek zmarł, na pewno nie był to brak tlenu.

— Jak widzisz - mówił Deerforth wskazując na akta, które trzymał Vincent - denat nie miał wcześniej żadnych problemów z sercem. Również w jego rodzinie nie było takich przypadków. Był zdrowym trzydziestosześcioletnim mężczyzną, być może niezbyt wysportowanym, a jednak...

— Zmarł na bardzo ciężki atak serca - Vincent dokończył zdanie.

— Spowodowany, o czym jestem przekonany - rzekł Deerforth i pochyliwszy się, wskazał na jedną z kartek - przez tę truciznę.

- Czy wprowadziłeś jej dane do komputera? Deerforth przecząco potrząsnął głową.

— Pamiętaj, że do tej pory sprawa ta figuruje w aktach jako „przypadkowe utonięcie”. Zmiana statusu i tak by teraz nic nie dała.

— A co ze sprawozdaniem dla lekarza sądowego? - Vincent złożył dokumenty i zwrócił je Deerforthowi.

— Czy już nie mówiłem?... Rodzina zmarłego stwarza pewne

problemy. - Wziął dokumenty pod pachę i obaj wyszli z pracowni gasząc światło. Dwudziestominutowa podróż powrotna do West Bay Bridge ciągnęła się w nieskończoność.

Justine siedziała skulona w najodleglejszym kącie wersalki, obejmując splecionymi rękami kolana podciągnięte pod brodę. Otwarty blok rysunkowy leżał obok, na niskim nocnym stoliku. Okna naprzeciwko były nadal zroszone kroplami deszczu, choć przestało już padać i wstawała mgła.

— Opowiedz mi o Japonii - powiedziała nagle, zniżając głowę tak, że mogła zajrzeć mu prosto w oczy; jej spojrzenie było pełne uczucia.

— Nie byłem tam już od dawna - odpowiedział.

— Jak tam jest?

— Inaczej niż tutaj. Zupełnie inaczej.

— Chodzi ci o język?

— Nie tylko. To coś więcej. Przecież, jeżeli pojedziesz do Francji czy Hiszpanii, tam też mówią obcym językiem. Ale kultura nie jest aż tak odmienna od naszej. Z Japonią jest inaczej. Większość ludzi z Zachodu nie rozumie, a nawet boi się Japończyków.

— To nie jest tak.- skomentowała. - Każdy się boi tego, czego nie rozumie.

— Ale są też i tacy, którym zrozumienie nieznanego przychodzi z łatwością. Mój ojciec był taki. On kochał Daleki Wschód.

— Tak jak ty.

— Tak. Tak jak ja.

— To jak się tutaj znalazłeś?

Spoglądał na nią, a tymczasem zapadła noc i świat stał się granatowy. Zastanawiał się, skąd u niej tyle ciekawości, wtedy gdy pytała, i tyle skrytości, gdy udzielała odpowiedzi. W pokoju, w którym siedzieli, obok akwarium, światło nabrało koloru miodowego.

- Chciałem stamtąd wyjechać - powiedział, zdając sobie sprawę z tego, że to krótkie stwierdzenie z jednej strony mówiło wszystko, a z drugiej - tak naprawdę nic. Ale nie był pewien, czy dałoby się to w ogóle określić słowami.

— A więc przyjechałeś i z miejsca zacząłeś pracę w reklamie? Kiwnął twierdząco głową.

— Zasadniczo... tak.

— Zostawiając rodzinę?

- Nie mam już rodziny. - Od słów tych powiało grozą, trafiały do wyobraźni jak strzały z łuku, godząc też w nią.



-Po tym, co powiedziałaś, wstydę się, że nie utrzymuję kontaktu ze swoją siostrą - powiedziała odwracając głowę, tak jakby chciała ukryć zażenowanie.

— Musisz jej nienawidzić. Odwróciła się w jego stronę.

— Nie wolno ci tak mówić.

— Dlaczego? - Był zdumiony jej reakcją. - Ja tak nie uważam. - Spojrzał na nią. - Chyba mi nie powiesz, że jest ci obojętna. To by było jeszcze gorsze.

— Nie - obruszyła się. - Nie jest mi obojętna. Jest przecież moją siostrą. Zresztą... I tak byś tego nie zrozumiał. - Ostatnie słowa wypowiedziała z wahaniem i pojął, że chciała najpierw powiedzieć coś innego, ale zmieniła zdanie w ostatniej chwili.

— Dlaczego nic nie mówisz o swoim ojcu? Mówiłaś o nim przedtem, ale w czasie przeszłym. Czyżby nie żył?

Jej oczy nabrały dziwnego wyrazu, stały się zamglone, tak jakby spoglądała w próżnię. Powiedziała:

— Tak, nie żyje. Bardziej martwy już być nie może. - Wstała z kanapy, podeszła do akwarium i zaczęła się tak w nie wpatrywać, jakby chciała stać się na tyle mała, by wskoczyć do środka i dołączyć do pływającego rybiego towarzystwa. - Co to cię zresztą obchodzi? Nie jestem do niego podobna, poza tym nie wierzę w te rzeczy. - Ale sposób, w jaki to mówiła wskazywał, że jest inaczej i Nicholas zaczął się zastanawiać, co zaszło między nią a jej ojcem, że aż tak bardzo go nienawidziła.

— A twoja siostra? - zapytał. - Ciekawi mnie to, bo sam jestem jedynakiem.

Odwróciła głowę. Światło akwarium, odbite od falującej powierzchni wody, padało na jej twarz, nadając jej niesamowity wygląd podmorskiego stworu, który wyszedł mu na spotkanie. Wyobraził sobie, że są na dnie oceanu - wodorosty kołyszą się z prądem niczym krzewy na wietrze, a oni rozmawiają, wysyłając fale raz w jedną, raz w drugą stronę - na podobieństwo skaczącej piłki tenisowej.

- Gelda - jej głos zabrzmiał inaczej. - Moja starsza siostra. - Zrobiła głęboki wdech. - Powiem ci tylko tyle, że powinieneś się cieszyć z tego, że jesteś jedynakiem. Resztę pozostawię dla siebie - są rany, których nie należy rozdrapywać.

A więc schowała głowę w piasek - pomyślał. Nie powinien mieć do niej żalu o to, że mu wszystkiego nie mówi, a jednak denerwowała go jej ciągła skrytość. Nagle odczuł nieodpartą potrzebę poznania wszystkich jej tajemnic, upokorzeń, dziecięcych problemów, nienawiści

i miłości, strachów, wstydu. Wszystkiego tego, co powodowało, że zwykły człowiek, tak jak drogocenny kamień, stawał się różnym od innych poprzez swoje niedoskonałości. Jej tajemniczość przyciągała go, brnął w nieznane niczym pływak, który osiągnął kres swoich możliwości i czuje, że zaczyna tonąć, gdyż mierzył zamiary ponad swoje siły, ale wie też, iż ta prawda pomoże mu przezwyciężyć słabość i jednak dotrze do celu.

Z Nicholasem było trochę inaczej - przynajmniej część jego osobowości zdawała sobie sprawę z tych ukrytych niespodzianek, które zawarte były w ludzkich tajemnicach. Nie chciał mieć z nimi znowu do czynienia, jak kiedyś - i o mało go to nie wykończyło.

Wyszli z domu na nocny spacer. Wiatr przegnał chmury na zachód i niebo było nareszcie czyste. Gwiazdy świeciły, mieniając się niczym cekiny na aksamicie, tak jakby świat został nim owinięty specjalnie na ten wieczór. Szli plażą, dalej niż zwykle z uwagi na odpływ. Ich stopy zaczepiały o wodorosty, a podeszwy wyczuwały ukłucia ostrych skorupki krabów. Fale były tak małe, że wyglądały jak widziane przez lunetę przyłożoną odwrotnie do oka. W tym miejscu plaży byli sami, ale nikły, pomarańczowy odbłask rozżarzonych węgli świadczył o nocnym ognisku na wydmach, gdzieś w oddali.

Czy ty się mnie boisz? - Jego głos był delikatny niczym mgła.

— Nie - odpowiedziała. - Nie ciebie. - Włożyła ręce do kieszeni swoich dzinsów. - Po prostu... boję się. Od półtora roku tak jest. Ten strach jest ze mną wszędzie jak cień, którego nie można się pozbyć.

— Każdy się czegoś obawia.

— Nick, nie pouczaj mnie. Ty nigdy nie przeżywałeś czegoś takiego.

— Ponieważ jestem mężczyzną?

— Nie, chodzi mi właśnie o ciebie. - Patrzyła nieruchomo w bok. Potarła dłońmi swe nagie ramiona, tak jakby z zimna. - Och, Boże!...

Schylił się i podniósł oblepiony piaskiem kamień. Wytarł go, czuł jego nieopisaną gładkość na swojej skórze. Z upływem czasu wszystkie krawędzie zniknęły, morskie fale nadały mu taki kształt. Ale jego istota, kolorowe kropki i prążki, doskonałość struktury, gęstość i twardość były niezmiennie. Niezniszczalne.

Wzięła kamień z jego dłoni i cisnęła daleko w morze. Uderzył o lustro wody i zniknął bez śladu. Ale Nicholas czuł dalej jego ciężar, jakby nadal go trzymał.

-Byłoby o wiele prościej - powiedział - gdybyśmy mogli nawiązywać kontakt z bliskimi nam osobami bez balastu przeszłości; nic by ich wtedy nie obciążało.

Stała w ciszy patrząc na niego i tylko drgania przebiegające po jej szyi świadczyły o tym, że wszystko, co mówił, docierało do niej.

— Ale to niemożliwe - mówił dalej. - Pamięć ludzka jest pojemna, to nagromadzenie przeżyć powoduje, że znajdujemy wspólny język, że dwoje ludzi od pierwszej chwili wie, że coś ich łączy, przez jakiś niewidzialny znak. Podświadome wyczuwanie bratniej duszy, jakies tajemnicze prądy; można to określać na wiele sposobów. To istnieje, choć jest niewidoczne. - Na chwilę zamilkł. - Czy czułaś to, kiedy się poznaliśmy?

— Tak... Czułam coś. - Trzymali się za ręce, jej kciuk gładził grzbiet jego dłoni wyczuwając kształt kostek. - To było jak iskra. - Spojrzała na swoje stopy, na mokry piasek, na przepływającą wodę. - Boję się ci zaufać. - Nagle podniosła głowę, tak jakby coś sobie przemyślała i zamierzała koniecznie to zrobić. - Widzisz, wszyscy faceci, których miałam dotychczas, okazali się takimi świniami, a przecież to ja ich wybierałam, a zatem...

— Czy ja będę inny, o to ci chodzi?

— Ale ty jesteś inny, Nick. Ja to czuję. - Puściła jego rękę. - Nie chcę jednak, żeby mi to się jeszcze raz przytrafiło, po prostu nie chcę. To nie jest film, nie mam pewności, że wszystko się dobrze zakończy.

- A czy można w ogóle mieć taką pewność? Nie zwróciła uwagi na jego pytanie mówiąc dalej:

— Każdy z nas wychowuje się w cieplarnianych warunkach, które są tak niezgodne z prawdziwym życiem, że na początku zawsze robimy błędy. Miłość i małżeństwo miały być dozwolone. Kino, telewizja, a przede wszystkim reklamy też nas w tym utwierdzały. Jesteśmy teraz dziećmi ery elektroniki. Tylko że nikt nie wpisał nam programu na życie w pojedynkę, kiedy we dwoje nie wychodzi, a w pojedynkę jest bardzo samotnie...

— Sądzę, że trzeba szukać, aż się znajdzie. Tak to w życiu jest. Jedno wielkie poszukiwanie tego, czego pragniemy - miłości, pieniędzy, sławy, uznania bliźnich, poczucia bezpieczeństwa - wszystkich tych rzeczy. Tylko każdy przykłada do czego innego wagę.

— To mnie nie dotyczy - podkreśliła Justine z goryczą. - Sama już nie wiem, czego chcę.

— A czego szukałaś w San Francisco? - zapytał widząc w ciemnościach tylko jej sylwetkę, jakby była hebanową figurką przesłaniającą gwiazdy.

Jej głos był jak podmuch czasu, jak zimna nić, coś nienaturalnego - aż poczuł dreszcz w całym ciele.

- Chciałam być pod czyjąś władzą.

Nadal nie mogę uwierzyć, że ci to wszystko powiedziałam.

Leżeli nago, przykryci prześcieradłem. Księżyc przebijał się przez okna od strony morza, jak jakiś nieziemski most wiodący nad wodą do innej ziemi.

— Dlaczego? - zapytał Nicholas.

— Bo wstydę się tego. Wstydę się stanu swojego ducha, który mnie skłonił do tych wynurzeń. Nie chcę już nigdy czuć się w ten sposób. Odrzucam to wszystko.

— Czy jest coś złego w chęci bycia pod czyjąś władzą?

— W taki sposób, jak ja chciałam... tak. Było to niezgodne z prawami natury.

— Co masz na myśli?

Odwróciła się, a on poczuł dotyk jej delikatnych piersi na swojej skórze.

- Nie chcę już o tym więcej myśleć. Zapomnijmy, że cokolwiek powiedziałam.

Chwycił ją za nagie ramiona i spojrzał prosto w twarz.

— Wyjaśnijmy sobie jedną rzecz. Jestem kim jestem. Ale nie jestem tym facetem z San Francisco, jak on się nazywał...?

— Chris.

— Nie jestem Chrisem ani którymkolwiek z twoich poprzednich facetów. - Przez chwilę milczał, patrząc jej w oczy. - Czy rozumiesz, co do ciebie mówię? Jeżeli boisz się, że kolejny raz powtórzy się to samo, to zawsze będziesz we mnie widziała któregoś z nich. Wszyscy myślimy takimi kategoriami od czasu do czasu, podświadomie zawsze doszukujemy się stereotypów. Ale ty teraz tego nie możesz robić. Jeżeli teraz nie uda ci się przełamać tego nastawienia, to nigdy to się nie stanie. I każdy kolejny mężczyzna będzie podobny do Chrisa, a ty będziesz wciąż żyła w strachu.

Odsunęła się.

- Nie masz prawa mnie tak pouczać. Za kogo ty się uważasz? Opowiadam ci trochę o sobie, a ty od razu sądzisz, że mnie znasz. - Wstała. - Nie wiesz, cholera, o mnie nic. Nigdy nie będziesz wiedział. Zresztą kogo to, kurwa, obchodzi, co ty masz do powiedzenia?

Patrzył, jak odchodziła, a po chwili usłyszał trzask drzwi łazienki. Spuścił nogi na ziemię i wstał. Chciało mu się palić, więc szybko zaczął myśleć o czymś innym. Przygładził włosy, popatrzył tępo na morze. Nawet teraz myślał o Japonii. Czuł, że jest to jakiś znak, ale nim trafi na jego ślad, minie dużo czasu, bo sam starał się go zatrzeć. Wstał.

- Justine! - zawołał.

Drzwi łazienki otworzyły się i wyszła, ubrana w ciemnogrnatową bluzę i džinsy. Jej oczy

były jak jasne, wyraziste, świecące punkty.

— Odchodzę - powiedziała twardo.

— Już? - Był rozbawiony jej nadmiernym tragizowaniem i nie bardzo wierzył w jej słowa.

— Ty świnió! Jesteś jak oni wszyscy! - Skierowała się do wyjścia. Złapał ją za nadgarstek i zawrócił.

— Gdzie ty się wybierasz?

- Precz! - krzyknęła. - Jak najdalej stąd! Jak najdalej od ciebie, ty sukinsynu!

- Justine, zachowujesz się niepoważnie. Drugą ręką zamachnęła się i uderzyła go w twarz.

- Nie mów tak do mnie. - Jej głos brzmiał jak warczenie, a twarz nabrała zwierzęcego wyrazu.

Oddał jej bez namysłu. Cios był na tyle mocny, że odrzuciło ją na ścianę. Ale w tym momencie zabolalo go serce i wykrzyknął czule jej imię, a ona rzuciła mu się w ramiona. Jej usta całowały naprężone ścięgna jego szyi, gorące lzy parzyły mu skórę, ręce gładziły kark.

Podniósł ją i zaniósł z powrotem do rozkopanego łóżka. Kochali się na wszystkie sposoby przez wiele godzin.

Potem długo leżeli objęci, w mocnym uścisku splecionych nóg i ramion. Zwrócił się do niej poważnie.

— To się już nigdy nie powtórzy. Nigdy.

— Nigdy - odpowiedziała jak echo.

usłyszał przez sen dzwonek telefonu i z wolna zaczął się budzić. Kiedy się ocknął, poczuł skurcz w żołądku. Przechylił się i podniósł słuchawkę. Leżąca obok Justine poruszyła się.

- Halo? - rzucił podniesionym głosem.

Justine przytuliła się jeszcze bardziej. Poczuł, że nawet jej paznokcie są ciepłe.

— Cześć! Mówi Vincent. - I po krótkiej przerwie: - Może ci przeszkadzam?

— Nie da się ukryć.

-Przepraszam.

Przez moment słyhać było tylko szum linii telefonicznej, miał czas się obudzić. Vincent był zbyt przywiązany do zwyczajów japońskich, więc nie dzwoniłby tak wcześnie, gdyby sprawa nie była ważna. Nicholas wiedział, że teraz on musi podjąć decyzję. Jeżeli powie, że nie ma czasu, to Vincent odwiesi słuchawkę i więcej już nie zadzwoni.

— O co chodzi, Vincent? To chyba nie jest zwykły telefon towarzyski.

— Nie.

— Co się stało?

— Czytałeś o tym facecie, którego wyłowili z morza parę dni temu?

— Tak. - W żołądku znów go ścisnęło. - No i co z tym facetem?

— Właśnie w jego sprawie dzwonię - Vincent przełknął ślinę, najwyraźniej coś się stało. - Jestem w kostnicy sądowej w Hauppauge. Wiesz gdzie to jest?

— Wiem, jak dotrzeć do Hauppauge, jeżeli o to ci chodzi - odpowiedział zwięźle.

— Tak, niestety właśnie o to, Nick. Nagle poczuł się nie najlepiej.

— Co się dzieje, do licha? Po co ta tajemniczość?

— Chyba powinieneś zobaczyć to, co tu mamy, na własne oczy. - W jego głosie wyczuwało się napięcie. - Nie chcę... Nie chciałbym ci nic sugerować w tej sprawie, dlatego nie podaję żadnych szczegółów przez telefon.

— Mylisz się, kolego. Dajesz mi mnóstwo do myślenia. - Spojrzał na zegarek, była 7.15. - Będę za czterdzieści minut, dobrze?

— Dobra. Będę czekał na zewnątrz, żeby cię wprowadzić. - Znowu nastąpiła przerwa. - Jeszcze raz cię przepraszam.

— W porządku.

Kiedy odłożył słuchawkę, zauważył, że jego dłoń jest cała spocona.

Nicholas jeszcze raz spojrział przez mikroskop na fragment ostrza, które Deerforth znalazł w klatce piersiowej denata.

- Tu są wyniki badań spektrometrycznych - powiedział Vincent, kładąc kilka kartek na stół z blachy cynkowej. Nicholas wyprostował się. - Powtórzyliśmy badania trzy razy, żeby mieć pewność.

Nicholas podniósł kartki i obejrzał wyniki. Już wcześniej przeczuwał, co w nich znajdzie, ale mimo to wszystko wydawało mu się niesamowite.

- Ta stal - stwierdził - została wytopiona ze specjalnej odmiany rudy żelaza i piasku żelazistego. Składa się z około dwudziestu oddzielnych warstw. Z tego wycinka byłoby to trudno wydedukować, dlatego mówię na podstawie własnych doświadczeń.

Vincent, który cały czas patrzył na Nicholasa, wziął głęboki oddech i powiedział:

— To nie pochodzi stąd.

— Nie - potwierdził Nicholas. - Z Japonii.

— Czy wiesz, co to oznacza? - rzekł Vincent. Cofnął się tak, aby Deerforth mógł się przybliżyć.

— Czy można coś wywnioskować wyłącznie na takiej podstawie? - zapytał Nicholas.

Vincent wziął teczkę ze stołu i podał mu.

- Popatrz na trzecią stronę.

Nicholas otworzył teczkę i zaczął przewracać strony. Przeleciał kartkę wzrokiem od góry do dołu. Siedział całkiem spokojnie, ale czuł, jak krew pulsuje w jego żyłach. Serce biło mu coraz szybciej. Rozwiązanie było tak proste - nareszcie wiedział na czym stoi. Spojrzał na nich.

— Kto badał truciznę?

— Ja - powiedział Deerforth. - Nie ma mowy o pomyłce. W czasie drugiej wojny światowej walczyłem na Filipinach. Już raz zetknąłem się z podobnym przypadkiem.

— Czy wiesz, jak ta trucizna działa? - zapytał Nicholas.

— Mniej więcej. Jest to trucizna naturalna, atakująca układ krążenia.

— Nazywa się *doku* - tłumaczył Nicholas. - To bardzo silna trucizna, robiona z wywaru ze słupków chryzantem. Sposób jej przygotowania jest nieznan poza Japonią, a i tam zna go tylko garstka ludzi. Tak w ogóle, podobno pochodzi z Chin.

— A więc wiemy już, jak trucizna dostała się do organizmu - powiedział Vincent.

— Co masz na myśli? - zapytał Deerforth.

— Chciał powiedzieć - wyjaśnił Nicholas - że denata trafiono *shaken*, czyli latającą gwiazdą, która wchodzi w skład *shuriken* - zestawu metalowych przedmiotów przeznaczonych do walki na dalszą odległość. Końce *shaken* zatruwano właśnie za pomocą *doku*.

— A to oznacza, że wiemy także, kto dokonał zabójstwa - dokończył Vincent.

Nicholas przytaknął.

- Tak. Tylko jeden człowiek mógł to zrobić. *Ninja*.

Dla dobra śledztwa Deerforth wyprowadził ich z budynku tylnym wyjściem. Wzięli ze sobą wszystkie potrzebne dowody i dokumenty.

Ponieważ żaden z nich nie zdążył zjeść śniadania, w drodze powrotnej do West Bay Bridge, jadąc autostradą Montauk, zatrzymali się w przydrożnej restauracji, która serwowała dania kuchni portugalskiej. Nikt nie kwapił się do rozpoczęcia rozmowy, ale ktoś w końcu musiał coś powiedzieć, więc Vincent zaczął:

— Kim jest twoja nowa dziewczyna, Nick?

— Co proszę? - Nicholas odwrócił się od okna i uśmiechnął. - Nazywa się Justine Tobin. Mieszka o kilka domów dalej.

— Przy Dune Road? - chciał się upewnić Deerforth, a gdy Nicholas przytaknął, dodał: - Znam ją, to śliczna dziewczyna. Tyle że nazywa się Tomkin.

— Przepraszam, doktorku - powiedział Nick - ale chyba się mylisz, ta dziewczyna nazywa się Tobin.

— Ciemne włosy, zielone oczy, na jednym z nich czerwone kropki, około metra siedemdziesięciu wzrostu.

- To właśnie ona. Deerforth pokiwał głową.

— Nick, ona nazywa się Justine Tomkin, przynajmniej pod takim nazwiskiem się urodziła. To to samo Tomkin co Tomkin Oil.

— Naprawdę?

— Tak, to jej ojciec.

Każdy słyszał o Raphaelu Tomkinie. Ropa naftowa była tylko jednym z jego ponadnarodowych interesów, ale chyba najlepszym. Jego majątek osobisty wynosił, gdzieś o tym czytał - chyba w *News-weeku*, około stu milionów dolarów. Na tym poziomie dokładna cyfra nie grała roli.

— Ona nie lubi ojca - powiedział Nicholas. Deerforth zaśmiał się.

— Tak można to określić. Po prostu nic od niego nie chce. Nicholasowi przypomniały się jej słowa: „Już bardziej martwy być nie może”. Teraz zrozumiał sens tych słów, ale denerwowało go, że sama mu tego nie powiedziała.

- A teraz opowiedzcie mi coś o tych *ninja* - poprosił Deerforth, w chwili gdy jedli jakieś skorupiaki.

Nagle pod restaurację zajechał biały ford z czarną tapicerką. Zobaczyli potężnego mężczyznę z przekrwioną twarzą i wielkim nosem, który po chwili wysiadł i podszedł do nich.



— Mam nadzieję, że nie będzie wam to przeszkadzać - powiedział Deerforth. - Zadzwoń do Raya Floruma, jak tylko tu weszliśmy. Jest szefem policji w West Bay Bridge. Uważam, że ma prawo wiedzieć, co jest grane. W porządku? - Nicholas i Vincent przytaknęli. - Nick, co ci jest?

— Nic takiego, doktorku - odpowiedział słabym głosem. - Po prostu nie byłem na to przygotowany. Nie myślałem, że ona... - Machnął ręką zamiast dokończyć.

Drzwi lokalu otworzyły się i Florum wpadł do środka. Kiedy usiadł, Deerforth go przedstawił. Przekazali mu dotychczasowe wyniki śledztwa.

- Tak dosłownie - zaczął Nicholas - to *ninja* znaczy „tajemniczy”. - Florum nalał sobie kawy. - Poza Japonią mało kto wie o *ninjutsu*, czyli technikach stosowanych przez *ninja*. A nawet tam wiedza ta jest pilnie strzeżoną tajemnicą. Jeżeli ktoś się nie urodził w rodzinie *ninja*, to mógł nie mieć złudzeń, że kiedykolwiek nim zostanie...

Jak pewnie wiecie, społeczeństwo japońskie jest bardzo zhierarchizowane. Istnieje dokładnie określony porządek społeczny i nikt nie stara się zmienić swojej pozycji w grupie. To jest część ich świadomości, ma wymiar zarówno społeczny, jak i religijny. Na przykład samurajowie, rycerze japońscy, należeli do szlachty; wywodzili się z klasy *bushi*. Nikt inny nie mógł zostać samurajem i nosić dwóch mieczy. Natomiast *ninja* wywodzą się z drugiego końca drabiny społecznej, z *hinin*. To klasa pogardzana przez wszystkich, czego dowodem jest, że w tłumaczeniu jej nazwa znaczy „podludzie”. Dlatego tak wiele ich dzieliło od arystokratów *bushi*. Ale w związku z nasileniem walk między rodami samurajowie zaczęli dostrzegać przydatność *ninja*, gdyż sami byli ograniczeni kodeksem honorowym *bushido*, który jednoznacznie zabraniał wielu form walki. Więc poszczególne rody wynajmowały niezależnych *ninja* do dokonywania podpaleń, zabójstw, szpiegostwa i aktów terroryzmu, w których im samym nie wypadało brać udziału. Z historii wiem, że po raz pierwszy *ninja* zostali wykorzystani do celów szpiegowskich w szóstym wieku naszej ery przez księcia Shotoku.

Zapotrzebowanie na usługi *ninja* było tak duże, że w okresach Heian i Kamakura ich liczba znacznie wzrosła. Ośrodki *ninjutsu* powstawały głównie na południu. Nawet w Kioto, to oni tam rządzą nocą. Ostatni raz pojawili się całym oddziałem podczas tak zwanej wojny Shimabara w 1637 roku, aby stłumić powstanie chrześcijan na Kyushu. Nieoficjalnie pełnili rozmaite funkcje podczas długiego panowania shogunów z rodu Tokugawa.

— Jak bardzo byli wszechstronni? - zapytał Deerforth. Coś zatykało mu nos, przez moment miał wrażenie, że to zapach filipińskiej dżungli.

— Ogromnie - kontynuował Nicholas. - To od *ninja* samurajowie uczyli się życia w lesie, kamuflażu, szyfrowania, porozumiewania na migi, przygotowywania bomb zapalających i zasłon dymnych. Inaczej mówiąc *ninja* byli czymś w rodzaju sztukmistrzów pola walki. Każde *ryu*, czyli szkoła walki danego klanu, specjalizowało się w innych technikach. Po tym można było rozpoznać, z jakiego *ryu* wywodził się dany zabójca. Na przykład adepci *Fodo ryu* specjalizowali się w zabijaniu małymi metalowymi ostrzami, w *Gyokku ryu* stosowano techniki ucisku w witalne miejsca ciała ofiary, a *ninja* z *Kotto ryu* znani byli jako eksperci w sztuce łamania kości. Stosowano również hipnozę. Wielu *ninja* było znakomitymi *yogen* - chemikami.

Zapadła cisza, dopiero po chwili Vincent powiedział:

— Nick, chyba powinienes powiedzieć wszystko do końca. Nicholas milczał.

— O co chodzi? - zapytał Florum. Nicholas wziął głęboki oddech.

— Sztuka *ninjutsu* - kontynuował - jest bardzo stara. Tak stara, że nikt nie jest pewien, skąd pochodzi, choć wielu twierdzi, że z Chin. Japończycy przez wieki przejęli wiele z chińskiej kultury. Tu wchodzi w grę sprawa... nadprzyrodzone. Można by rzec: magiczne.

— Magiczne? - powtórzył Deerforth. - Czy chcesz powiedzieć, że...?

— W dziejach Japonii - mówił - niezwykle trudno oddzielić prawdę od mitu. Nie chcę być tajemniczy, po prostu tak jest. Wielu *ninja* przypisywano takie wyczyny, które byłyby niemożliwe bez użycia magii.

— Baśnie - powiedział Florum. - Ma je każdy naród.

— Możliwe.

— A co z tą trucizną?

— To jest trucizna *ninja*. Połknięta, jest całkowicie bezpieczna. Popularną metodą jej stosowania było sporządzenie szybko schnącego syropu, którym pokrywano *shaken*.

— Co to takiego? - pytał Florum.

— Część ekwipunku *ninja*, złożonego z cichych w użyciu, łatwych do ukrycia narzędzi, czyli *shuriken*. *Shaken* jest bronią w kształcie gwiazdy, którą rzuca się w przeciwnika. Wystarczy, że ostrze dotknie ciała, aby ofiara została otruta.

Florum zachnął się.

— Czy chcesz powiedzieć, że nasz denat został zabity przez *ninjdł* Linnear, przecież sam mówiłeś, że oni wymarli trzysta lat temu.

— Nie - sprostował. - Powiedziałem, że wtedy ostatni raz użyto ich w większej liczbie. Bardzo wiele się zmieniło w Japonii od szesnastego wieku. Nie ma już Togukawów, a i państwo już nie jest tym, czym było. Są jednak tradycje, których nie może wykorzenić ani czas, ani człowiek.

— Jest chyba jednak jakaś inna hipoteza - powiedział Florum kręcąc głową. - Co, u licha, by robił w West Bay Bridge jakiś *ninjdł*

— Na to pytanie niestety nie umiem odpowiedzieć, ale wiem na pewno, że gdzieś tutaj kręci się *ninja* i nie ma na całym świecie groźniejszego, czy bardziej przebiegłego przeciwnika. Musicie być bardzo ostrożni. Wasza broń - pistolety, granaty, gaz łzawiący, nie zda się na nic. On ją poznał i nic nie odstraszy go od dopadnięcia ofiary i zniknięcia bez śladu.

— To już zrobił - skomentował Florum wstając. - Dzięki za informację. - Podał wszystkim rękę. - Cieszę się, że was poznałem. - Kiwnął głową i wyszedł.

w chwili gdy Justine usłyszała pukanie do drzwi, poczuła się słabo. Odłożyła pióro, wytarła ręce w irchę i odeszła od deski kreślarskiej. Światło na zewnątrz było w sam raz, wołała je od sztucznego, choć lampa na długim ramieniu przypięta do deski dawała jednocześnie światło żarowe i jarzeniowe, co razem biorąc, dość dobrze naśladowało światło dzienne.

Wpuściła Nicholasa do środka.

— Wezwali cię w związku z tym topielcem, prawda? Przeszedł przez pokój i usiadł na kanapie, ręce splótł za głową.

— Jakim topielcem?

— Dobrze wiesz. Tym, którego wyłowili w dniu, w którym mnie poznałeś.

— Tak, w związku z nim. - Nicholas wyglądał na zmęczonego i wycieńczonego.

— A dlaczego właśnie ciebie? Spojrzał na nią.

— Bo myśleli, że będę mógł pomóc im dowiedzieć się, jak zginął.

— Chcesz powiedzieć, że on nie utonął? Ale co ty...

- Justine, dlaczego mi nie powiedziałaś, że Raphael Tomkin to twój ojciec?

Jej splecione ręce opadły.

— A niby dlaczego miałam ci powiedzieć? - odpowiedziała.

— Czy uważasz, że zainteresowałbym się twoimi pieniędzmi?

— Nie bądź śmieszny - zaśmiała się, ale głos ledwie się z niej wydobywał. - Ja nie mam żadnych pieniędzy.

— Wiesz, o co mi chodzi.

— Co za różnica, kim jest mój ojciec?

— Żadna. Bardziej mnie ciekawi, dlaczego podałaś mi inne nazwisko.

— To - nie twoja sprawa.

Wstał i podszedł do jej deski, żeby zobaczyć nad czym pracowała.

- Ładne - powiedział. - Podoba mi się. - Wszedł do kuchni i otworzył lodówkę. - Ten człowiek został zamordowany - krzyknął przez ramię - przez zawodowego mordercę! Ale nikt nie wie dlaczego. - Wyjął butelkę wody mineralnej, otworzył i wlał zawartość do szklanki. Wypił trochę. - Wezwali Vincenta, a ten z kolei mnie, ponieważ sprawca jest najprawdopodobniej Japończykiem, płatnym mordercą. - Odwrócił się i wszedł do pokoju, gdzie wciąż stała. Spojrzała na niego rozszerzonymi oczyma. - Nie zwykłym zabijaką, o jakich się czyta w gazetach z okazji walk między gangami w Brooklynie albo w pobliskim New Jersey, ale człowiekiem nieznanym, zbyt inteligentnym, by robić sobie reklamę szerszą niż tylko w wąskim gronie potencjalnych klientów. Aż tak wiele o tych sprawach nie wiem. - Patrzył na nią rozsiadając się na kanapie. - Czy ty coś z tego rozumiałaś?

Nastąpiła cisza, przerywana szumem fal gdzieś w oddali. Podeszła do gramofonu i nastawiła płytę. Ale prawie od razu wyłączyła, tak jakby muzyka była nieproszonym gościem.

- Wezwał mnie do domu, jak byłam na drugim roku studiów - mówiła odwrócona tyłem. Głos miała spokojny, suchy i równy. - Przysłał po mnie swój odrzutowiec, żebym nie musiała urywać się z zajęć. - Odwróciła się, ale miała opuszczoną głowę, wzrok skupiony na biurowym spinaczu, który wyginała tak długo, aż pękł. - Nie wiem, czy dobrze to ujmę, ale po prostu się wystraszyłam takiego pośpiechu. Pomyślałam, że może coś z matką. Dziwne, że nie z Geldą, ale ona była okazem zdrowia. Nie to co matka. Jak przyjechałam, poprowadzono mnie do jego gabinetu. Stał przed kominkiem, grzejąc ręce. Patrzyłam na niego, stojąc w moim ośnieżonym futrze, nie myśląc nawet, aby je zdjąć. Zaproponował mi drinka. - Poderwała głowę i przygwoździła go wzrokiem. - Czy ty możesz to sobie wyobrazić? Zaoferował mi drinka z takim spokojem, jakbym była klientem, z którym ma omówić jakąś transakcję. Dziwne, ale już wtedy miałam o nim dokładnie takie wyobrażenie, to było jak jasnowidztwo z mojej strony. „Kochanie - powiedział - mam dla ciebie niespodziankę. Spotkałem wspaniałego człowieka, który będzie tu za chwilę, gdyż pewnie śnieżycy go zatrzymała. Podejdz i zdejmij płaszcz”. Ale ja się nie ruszałam, byłam całkowicie zaskoczona. „Czy tylko po to mnie tu ściągnął?” - spytałam. „No... tak. Chcę, żebyś

go poznała, jest dla ciebie idealny. Pochodzi z dobrej rodziny o znacznych koneksjach, jest przystojny i na dodatek ma trzy imiona”. „Ojciec - powiedziałam - omal nie umarłam ze strachu na samą myśl, że...” „Ze strachu przed czym?” „Myślałam, że coś się stało matce albo...” „Nie bądź śmieszna, Justine! Nie wiem, co z tobą począć”. Wyszłam wściekła, a on nie wiedział, o co mi chodzi. Twierdził, że robi to z miłości do mnie. „Czy wiesz, ile czasu zajęło mi wybranie faceta właściwego dla ciebie?” - krzyczał za mną, kiedy wychodziłam. - Westchnęła. - Dla ojca czas był zawsze najcenniejszy.

— Teraz już takie rzeczy się nie zdarzają - powiedział. - To znaczy traktowanie ludzi jak towary, którymi można handlować.

— Nie? - zaśmiała się ironicznie. - Zdarzają się na każdym kroku wokół nas. - Rozłożyła ręce. - W małżeństwie, kiedy od żony automatycznie wymaga się pewnych rzeczy. Przy rozwodzie, kiedy dzieci stanowią punkt przetargowy. Między kochankami. Cały czas, Nick. Kiedy ty wreszcie dorośniesz?

Wstał z kanapy, niezadowolony z tego, że spoglądała na niego z góry.

— Założę się, że ojciec ci mówił: „Justine, kiedy ty wreszcie wydorosłejesz?”

— Jesteś chamem, wiesz o tym?

— No nie!... Chyba znowu nie zaczniesz się kłócić, co?... Mówiłem ci już...

— Cham! - Rzuciła się na niego ponad stołem, ich ciała zderzyły się, jej ręce uderzyły, ale złapał ją z łatwością za wątle nadgarstki i sparaliżował wszelkie ruchy.

— A teraz mnie posłuchaj - powiedział. - Nie mam nic przeciwko figlowaniu z tobą. Ale już ci mówiłem, że nie jestem Chrisem i nie będziesz zaczynać ze mną sprzeczki za każdym razem, jak chcesz zwrócić moją uwagę na swoje problemy. Są inne sposoby, mogłabyś po prostu poprosić.

— Ja nie powinnam o nic prosić.

— A więc to tak. Ale ja nie jestem jasnowidzem, tylko zwykłym człowiekiem. I nie potrzebuję awantur.

— A ja, tak.

— Nie, nie potrzebujesz. - Puścił ją.

— Udowodnij to.

— Tylko ty sama możesz tego dokonać.

— Ale nie sama. - Patrzyła mu prosto w twarz. Podniosła rękę i palcami pogładziła jego policzek. - Pomóż mi - szeptała. - Pomóż mi...

Jego usta przykryły jej rozchylone wargi.

Wydawało się mało prawdopodobne, żeby taki człowiek jak Billy Shawtuck miał przydomek „Dziki Bill”, a jednak tak było. Był czterdziestoletnim, niskim mężczyzną o rumianej twarzy. Zawsze nosił koszulę z długimi rękawami, nawet w letnie upały, również tu, nad morzem, gdzie łatwiej było się spocić, niż poczuć wiatr. Jego kumple w barze Grendela mówili, że nie chciał się chwalić swoimi muskułami. Oczywiście - jeśli ich nagabywać - powiedzieliby jeszcze, że jego przydomek wzięło się stąd, że zamiast piwa pił zawsze whisky z lodem. Upał mu w tym nie przeszkadzał.

Billy pracował dla firmy Lilco, naprawiając linie energetyczne, i zawsze mawiał do tych, których pokonał po godzinach pracy w pojedynkach na ręce u Grendela, że doszedł do takich muskułów w uczciwy sposób. „Nie muszę chodzić codziennie na siłownię, żeby je mieć” - mówił wypijając szklaneczkę whisky i zamawiając kolejną. „To zasługa mojej roboty. Twarde zajęcie, przy którym można się narobić”. Potem potrząsał swoją bujną czupryną i mówił: „Nie jestem jednym z tych urzędników”.

Lokal Grendela był miejscową knajpą z wyłącznie robociarską klientelą, kilka kilometrów za miastem przy autostradzie Montauk. Pisarze również mieli swoją.

Późnym wieczorem Bill Shawtuck stanął w drzwiach lokalu gotowy do wyjścia. Niebo zmieniło swój kolor z ciemnoniebieskiego na czarny. Ruch samochodowy nabierał nowego wymiaru, światła przejeżdżających samochodów mrgały jak ciekawskie oczy jakichś nocnych zwierząt.

Będąc na szczycie schodków Billy wziął głęboki oddech i przeklął nalot wczasowiczów. Wszyscy zginiemy któregoś dnia zatruci spalinami - pomyślał.

Kilka kroków dalej stał jego służbowy samochód, ale tego wieczoru nie bardzo chciało mu się opuszczać dobrą zabawę w barze. Muzyka dobiegała go z tyłu, z szafy grającej w środku. Akurat Tony Bennett śpiewał *Moje serce zostało w San Francisco*.

Możesz sobie wziąć swoje San Francisco - pomyślał Billy - wziąć całe Zachodnie Wybrzeże i wsadzić se do dupy. Służył tam, kiedy był w wojsku, i nienawidził tego miejsca. Nie zostało tam nic po mnie oprócz dziewczyny z kiłą - zaśmiał się. Cholera, nie był zadowolony z tak późnych godzin pracy. Praca na półtora etatu jest korzystna, ale są takie dni, że się wszystkiego odechciewa. Czuł, że dzisiaj jest właśnie taki dzień.

Głęboko wzdychając zszedł po schodkach, ale najpierw pokazał gestem, by Tony Bennett i jego zasrane San Francisco odpierdolili się od niego.

Jego nastrój zmienił się, gdy zjechał na nie oświetloną boczną drogę, zaczął nawet sobie pogwizdywać. Sądził, że ta robota nie zajmie mu zbyt wiele czasu.

No i oczywiście myślał o Helenę i o podarku, który jej kupił w domu wysyłkowym; mógł przyjść z dzisiejszą pocztą. Był już najwyższy czas.

Właśnie sobie wyobrażał długonogą figurę Helenę ubraną w to coś - zaśmiał się - jeżeli to w ogóle można było nazwać ubiorem. I nagle wyjeżdżając zza zakrętu w stronę plaży zauważył w świetle swojego lewego reflektora ubraną na czarno postać.

- Co, u licha! - Nacisnął hamulec i zjechał do prawego krawężnika. Wychylając się przez okno krzyknął: - Ty głupi skurwysynu! Mogłem cię rozjechać. Co się z tobą...

Drzwi od jego strony zostały wyrwane i poczuł się, jakby huragan unosił go z szoferki.

- Hej! - Przeturlał się po chłodnym asfalcie. - Hej, kolego! Wstał i przyjął pochyloną postawę boksera, trzymając przed sobą gardę.

- Z tobą nie można żartować, ty sukinsynu.

Oczy mu się otworzyły szeroko na widok błyszczącego w świetle reflektorów, długiego ostrza. Boże - pomyślał - miecz. Miecz?! Chryste, chyba naprawdę jestem pijany.

Ćma obijała się o szkło reflektora, cykady ćwierkały. Nie opodał fale szumiały i syczały jak niańka usypiająca małe dziecko.

Próbował zadać cios, ale nie sięgnął celu.

Wydawało się, że powietrze przed nim się rozwiera i drży jak koralowa zasłona. Jednocześnie poczuł dwie rzeczy. Najbardziej bolesne odczucia, jakich kiedykolwiek doznał.

Kiedyś, w wojsku, miał bójkę z żandarmem i sukinsyn sieknął go nożem w bok, zanim zdążył wpasować pięść w jego twarz. Siedział za to w anclu, ale nigdy w życiu nie był tak z siebie zadowolony. Ale tamto draśnięcie było niczym wobec tego, co Billy Shawtuck poczuł w tej chwili. Smuga miecza przecięła najpierw czerń nocy, a później jego ciało od prawego barku, przez cały brzuch, aż do lewego biodra. Wnętrznosci zaczęły wypływać, a jego nozdrza poczuły okropny smród.

- O Bo...!

A potem drewniany przedmiot, świszczący niczym rozbawiony chłopiec, uderzył w jego

ramię. Słyszał dźwięk łamanych kości, w miarę jak kolejno ulegały zniszczeniu, choć nie czuł żadnego bólu. Miał tylko dziwne uczucie, że został wbity prosto w asfalt.

Po raz pierwszy od wielu lat łzy pojawiły się w jego oczach. Na koniec pomyślał: Mamo, idę do ciebie.

Chyba jestem w stanie to sprecyzować - powiedziała.

Była już noc, silny powiew wiatru od strony lądu zakolysał drzewami. Gdzieś w oddali jakiś statek zabuczał raz i zamilkł. Leżeli obok siebie, ciesząc się bliskością swych ciał, nie robili nic - po prostu dwoje ludzi.

— Nie będziesz się śmiał - powiedziała, odwracając twarz w jego stronę. - Obiecuj, że nie będziesz się śmiał.

— Obiecuję.

— Jeżeli jestem fizycznie maltretowana, to mnie to przygotowuje.

— Do czego?

— Do złego traktowania w innych sprawach, do zerwania i opuszczenia przez inną osobę.

— To bardzo pesymistyczne spojrzenie na stosunki międzyludzkie.

— Owszem.

Objął ją ramieniem, a ona włożyła stopę pomiędzy jego nogi i zaczęła nią lekko pocierać. Po chwili powiedział:

— Czego ty właściwie chcesz?

— Być szczęśliwą - odpowiedziała. - Nic więcej. - W tym momencie nie było dla niej nic innego na świecie oprócz ich splecionych ciał, ich połączonych dusz i poczuła, że jeszcze nikt nie był jej tak bliski, jak teraz Nicholas. Zaufanie musiało skądś brać swój początek, może właśnie teraz należało to zacząć.

Poderwała się słysząc potężne uderzenie gdzieś w głębi domu, w okolicach kuchni. Krzyknęła tak, jakby jakaś zimna ręka chwyciła ją za gardło i zobaczyła, że Nicholas podniósł się opuszczając nogi na podłogę.

Wstał i kiedy tak przesuwał się w stronę drzwi, wydał jej się nagle kimś zupełnie innym. Stał nago, ale wyglądał tak, jakby ubrany był w jakąś powłokę - jego pulsując mięśnie i świecąca od potu skóra tworzyły tajemniczy strój. Poruszał się bezszelestnie w kierunku rozjaśnionego żółtym światłem korytarza. Lewa noga do przodu, ciało ustawione bokiem jak u szermierza, nogi ugięte, stopy prawie nie odrywały się od ziemi. Podążał w głąb korytarza nie odzywając się ani słowem.

Zebrała myśli i poszła za nim. Ręce miał wyciągnięte przed sobą, widziała je - ich krawędzie wyglądały jak ostrza, palce sztywne jak ze stali. Ukradkiem wsunął się do kuchni.



Zobaczyła, że okno nad zlewem zostało wbite do środka, kawałki szkła lśniły teraz w świetle. Bała się posunąć dalej - była boso. Zastłony poruszały się od wiatru wpadającego przez otwór, uderzając o ściany pokryte glazurą. Patrzyła, jak Nicholas posuwał się do przodu i nagle zatrzymał się, sztywny niczym posąg, zauważywszy coś na podłodze przy oknie. Stał w bezruchu tak długo, że podeszła ostrożnie wzdłuż zabrudzonej podłogi i stanęła za nim. Jęknęła i odwróciła się. Ale to coś przyciągało jej wzrok i spojrzała po raz drugi.

Na podłodze leżało coś wielkiego i nieruchomego, pokryte czarnym futrem. Krew ciekła po podłodze w kilku kierunkach, błyszcząc tam, gdzie zetknęła się z kawałkami szkła. Dziwny, ostry zapach dotarł do jej nozdrzy i zaczęło jej się zbierać na wymioty. Oczy zaczęły jej łzawić.

— Co... - Coś zebrało jej się w gardle, ale przełknęła ślinę i poczuła się lepiej. - Co to jest?

— Nie bardzo wiem - rzekł powoli. - Za duże na nietoperza, przynajmniej w tym regionie, nie jest to też latająca wiewiórka.

Gdy zadzwonił telefon, Justine aż poskoczyła. Objęła dłońmi ramiona.

— Mam gęsią skórkę - powiedziała. Nicholas stał tam gdzie przedtem, patrząc na stworzenie, które wybiło szybę.

— Oślepiło je światło - stwierdził.

Justine podeszła do ściany i podniosła słuchawkę, a on stał, nieświadomy, że ona z kimś rozmawia. Musiała podejść i poklepać go w ramię.

- Vincent chce z tobą mówić - powiedziała. Spojrzał na nią, odrywając wzrok od podłogi.

— Dobrze - jego głos był niski, myślami był daleko. - Nie zbliżaj się do tego - ostrzegł ją, podchodząc do telefonu. - Co się stało? - rzucił gwałtownie.

— Dzwoniłem do ciebie - mówił Vincent. - Ponieważ nikt nie odbierał, spróbowałem tutaj.

- Nicholas nie odpowiedział. - Słuchaj,

Ja wiem, która jest godzina. - Jego głos rzeźił do ucha Nicholasasa, brzmiało w nim coś dziwnego. - To znowu się stało. Florum przywiózł kolejne ciało. Właśnie je fotografuję. - Wiatr dął przez wybite okno, aż Nicholasowi zrobiło się zimno. Nic nie mówił, pot pojawił mu się na plecach. Patrzył na pobojowisko na podłodze, ciało zwierzęcia, czerwoną krew sączącą się nadal tak, jakby czegoś lub kogoś szukają - Nick, ciało zostało przecięte po przekątnej od ramienia do miednicy, dokładnie, jakby... zrobiono to jednym cięciem. Czy mnie zrozumiałeś?

## WIOSNA/LATO 1945/ZIM A1951

Świątynia shintoistyczna znajdowała się w najgęstszym lesie, jaki Nicholas kiedykolwiek widział, jedynie trzysta metrów od granicy posiadłości jego ojca. Kolejne sto pięćdziesiąt metrów dalej był dom - wysoka, delikatna konstrukcja, dokładnie rozplanowana zgodnie z japońską tradycją. Od frontu miał kształt litery „L” i otoczony był typowym ogrodem, który oczywiście wymagał nieprzerwanej opieki i troski - niczym małe dziecko.

Cała ironia tej lokalizacji stała się widoczna znacznie później, gdy na drugim końcu łagodnie opadającego na zachód zbocza zbudowano supernowoczesną ośmiopasmową autostradę dla rozładowania dużego natężenia ruchu w okolicach Tokio.

Resztki wojskowej potęgi Japonii obróciły się już w proch, cesarscy wodzowie zostali osądzeni i odsiadali wyroki za zbrodnie wojenne. Cesarz pozostał, ale wszędzie znajdowali się żołnierze amerykańscy, wygrzewając się - jak żartobliwie mówili - „w promieniach atomowego słońca”. Ale dla Nicholasa nauka historii miała się zacząć gdzie indziej.

Kiedy miał dziesięć lat, jego ojciec przyszedł pewnego dnia i opowiedział, jak 5 lutego 1942 roku brytyjskie wojska w twierdzy Singapur poddały się Japończykom. Okupacja trwała trzy i pół roku, aż do września 1945, kiedy to Brytyjczycy ponownie tu wkroczyli. Wtedy jego ojciec poznał matkę, która była uchodźcą z tego zniszczonego przez wojnę miasta. Była żoną dowódcy japońskiego garnizonu okupacyjnego, lecz kiedy on zginął od eksplozji w ostatnich dniach tego wilgotnego lata, tylko na krótki czas wpadła w przygnębienie. Pierwsi brytyjscy żołnierze zapuszczali się już na przedmieścia miasta, kiedy dowódca ten zarządził manewr oskrzydłający, lecz okazało się wkrótce, że przecenił swoje możliwości i sam znalazł się z wojskiem w okrążeniu. Złapany w krzyżowy ogień, zdążył posiekać sześciu Brytyjczyków swoim mieczem, nim ktoś rzucił w niego granatem. Nie pozostało z niego zbyt wiele.

Wiele lat później, w Tokio, idąc wąską, boczną uliczką, Nicholas napotkał w starym, zniszczonym sklepie sprzedającym drzeworyty *ukiyo-e* obraz zatytułowany „Ostatnie chwile samuraja”. Pokazywał tragedię śmierci wojownika - miecz wyrwany z jego ręki przez wybuch czarnego prochu. W tym obrazie zobaczył los pierwszego męża swojej matki, pojednanie historii z wrogiem.

Jego matka zawsze była apolityczna. Wyszła za mąż z miłości, a nie z rozsądku. Ale wraz z przegraną Japończyków w Singapurze, wraz ze śmiercią swego męża, całe jej życie się rozpadło,

pozostawiając chaos, którego zawsze się obawiała. Sytuacja taka ją przerażała. Uważała, że świat powinien należeć do żyjących. Trzeba było pogrzebać zmarłych i żyć dalej. Wierzyła w przeznaczenie bardziej niż w cokolwiek innego. Ale nie tak jak w kulturze zachodniej, nie była fatalistką, o co można by ją posądzać. Po prostu wiedziała, kiedy należało przestać się przeciwstawiać losowi. Również wtedy, gdy zginął jej mąż.

Lecz był to czas epokowych zmian, a ona, jak piękny kwiat złapany w niewytłumaczalny wir, znalazła się pośrodku zamętu strzałów karabinowych i wybuchów moździerzy.

Ojca Nicholasa poznała - dzięki ironii losu - w tym samym gabinecie, z którego jej pierwszy mąż dowodził aż do końca. Weszła tam, jakby to była świątynia buddyjska ocalona z pożogi wojny, która spaliła wszystko dookoła. Być może przyszła tam, gdyż było to jedno z niewielu miejsc w Singapurze, które dawało się rozpoznać. Być może, to dziwne, ale myśl o ucieczce nigdy jej nie przeszła przez głowę. Wolą krążyć po tym groźnym mieście, nie zważając na swoje bezpieczeństwo.

Miasto zmieniło się tak bardzo w wyniku walk, że zagubiła się, nie mając pewności, gdzie się mieści dzielnica bankowa albo gdzie jest stary budynek, w którym kiedyś mieszkała. Wszędzie leżały kupy gruzów, a ulice przepełnione były chmarami nawołujących się dzieci, tak jakby to one były pokłosiem wojennego koszmaru spuszczonego ze straszliwej uwięzi. Przypomniało jej się wtedy poczucie szczęścia, jakiego doznawała w dzieciństwie podczas karnawałów noworocznych, bez troska wobec kłopotów i ograniczeń świata dorosłych. I to też ją teraz przygnębiało.

I tak przez wiele dni wędrowała po kipiących ulicach, chowając się w ciemnych bramach na każdy odgłos kroków nadchodzących żołnierzy, obojętne której armii. Jakimś cudem uniknęła poważniejszych kłopotów. „Przeznaczenie” - mówiła później.

Przeżyła dzięki dobrej woli i litości Chińczyków, którzy ją znaleźli i nakarmili, tak jakby była małym dzieckiem. Wlewali jej ciekłą zupę ryżową pomiędzy ledwo rozchylające się wargi, wycierając za każdym razem podbródek, gdyż nawet tak prostej czynności nie była w stanie sama dobrze wykonać. Załatwiała potrzeby fizjologiczne do rynsztoka, a o tym, jak wygląda kąpiel już prawie zapomniała. Gdy przypadkiem znalazła nie zniszczoną pompę, wkładała dłoń pod strumień wody i przyglądała się, jakby nic podobnego w życiu nie widziała. Kiedy padał deszcz, stała w miejscu, patrząc w niebo na kłębiące się chmury; może doszukiwała się tam Boga.

Tego ranka, gdy weszła do biura, ojciec Nicholasa był w trakcie rozwiązywania poważnego problemu. Nie dość, że jego żołnierze mieli zająć się ostatnimi gniazdami oporu Japończyków, to jeszcze przyszedł rozkaz, żeby dopilnował, by jego ludzie strzegli porządku w mieście w celu zapobieżenia coraz częstszym brutalnym zajściom między Chińczykami i Malajami, którzy nigdy nie żyli w pełnym pokoju. Gdyby żołnierze mieli spełnić oba te zalecenia, nie spaliby więcej niż półtorej godziny na dobę. Nie mógł się na to zgodzić i poszukiwał jakiegoś polubownego rozwiązania, nie będącego w sprzeczności z rozkazami. Siedział na tym samym drewnianym krześle, którego przez trzy poprzednie lata jedynym użytkownikiem był japoński dowódca, od poprzedniego ranka.

Nie licząc kilku wyjść do toalety, pułkownik Denis Linnear tkwił stale w tym samym miejscu, gdy jakaś oteźpiała kobieta weszła do jego gabinetu. Jak to się stało, że prześlizgnęła się przez trzy posterunki straży wewnętrznej, nigdy nie był w stanie wyjaśnić - choćby dla własnego spokoju. Jednak ten problem zajął jego umysł znacznie później. W tej chwili interesowało go tylko jej pojawienie się, wyskoczył więc zza swojego zawałonego papierami biurka, co spowodowało większe zamieszanie wśród podwładnych niż obecność nie zapowiedzianego gościa.

Danvers! - zawołał adiutanta. - Załatwić mi tu łóżko polowe. Biegiem!

Żołnierz natychmiast wybiegł, a gdy pułkownik chciał przywitać się z kobietą, ta zaczęła mdleć. Jej powieki zadrżały i upadła wprost w jego ręce.

— Panie pułkowniku? - powiedział porucznik McGivers. - W sprawie tej...

— Rany boskie, człowieku, daj trochę wody! - krzyknął w zdenerwowaniu. - Ściągnąć mi tu Greya.

Grey, lekarz garnizonowy, był wysokim, kanciastym człowiekiem z krzaczastym wąsem i opaloną skórą. Przybył w momencie, gdy Danvers usiłował precyzyjnie przesuwać łóżko przez drzwi.

- Pomóż mi, McGivers - powiedział Linnear do porucznika. Razem wcisnęli łóżko do pokoju.

Pułkownik podniósł kobietę, zauważając jej subtelne azjatyckie rysy pod warstwą kurzu i brudu - i położył na łóżku. Pozwolił Greyowi nią się zająć. Jednym okiem śledził, co się dzieje aż do chwili, gdy lekarz wstał.

- Dobrze, poruczniku - powiedział ze znużeniem pułkownik - proszę wszystkich stąd zabrać. Kolejna odprawa punkt ósma.

Wstał, przecesał ręką włosy i podszedł do Greya, który wciąż obserwował pacjentkę. Kiedy zostali sami, zapytał:

- W jakim ona jest stanie? Lekarz wzruszył ramionami.

- Trudno powiedzieć, dopóki nie dojdzie do siebie na tyle, że będę mógł ją lepiej zbadać.

Oczywiście, przeżyła szok i jest wycieńczona.

Kilka dobrych posiłków postawi ją na nogi, jestem pewien. - Wytarł ręce w ścierkę, którą przedtem obmywał ciało kobiety. - Słuchaj, Denis, mam trochę pacjentów do obejrzenia. Jeżeli będą jakieś problemy, kiedy się obudzi, przyślij po mnie Danversa. Sądzę, że wiesz, czego ona potrzebuje, równie dobrze jak ja.

Pułkownik wezwał Danversa i wysłał go, żeby załatwił skądś trochę ciepłej zupy i kawałek gotowanego kurczaka. Potem klęknął obok niej patrząc, jak krew delikatnie pulsuje w jej tętnicy szyjnej.

Tak więc pierwszą rzeczą, którą Czeong zobaczyła, kiedy otworzyła oczy, była twarz pułkownika. Tym co ją od razu uderzyło, jak opowiadała później Nicholasowi, były jego oczy. „Były najsympatyczniejszymi oczami, jakie kiedykolwiek widziałam” - opowiadała swoim melodyjnym głosem. „Ciemnoniebieskie, a ja nigdy wcześniej nie widziałam niebieskich oczu. Mieszkałam poza miastem, nim Brytyjczycy przybyli, to znaczy przed wybuchem wojny. Często rozmyślałam o tym i uważam, że to te niebieskie oczy tak mnie zaskoczyły, że aż przyszedłam do siebie. Wtedy przypominałam sobie te nie kończące się chwile po śmierci Tsuko, tak jak gdyby były częścią pełnometrażowego filmu, który oglądałam w całości, łącząc poszczególne sceny, w jeden ciąg. Już świadomie patrzyłam i myślałam. Wtedy, gdy tylko go ujrzałam, zdałam sobie sprawę, że twój ojciec jest częścią mojego przeznaczenia - nie pamiętam, jak weszłam do budynku sztabu ani czy napotkałam jakichkolwiek innych żołnierzy”.

Pod koniec dnia pułkownik zabrał ją do domu, w blasku długiego, błękitnego zmierzchu, gdy miasto wciąż dusiło się od unoszonego wiatrem kurzu, wojskowe jeepy jeździły bezustannie ulicami, a żołnierze trenowali marszobiegę po chodnikach, podczas gdy Chińczycy i Malajowie

przystawali w drodze do domu, nieruchomi i niezniszczalni w swoich spodniach z bawełnianej przędzy i spiczastych słomkowych kapeluszach.

Jak zwykle był duży ruch, więc pułkownik kazał podstawić wóz, choć normalnie wolał się przespacerować. Przejście ze sztabu garnizonowego, który się mieścił koło portu Keppel, drogą na północ do centrum, gdzie stał jego dom, zajmowało mu około dwudziestu minut. Jak łatwo sobie wyobrazić, przełożeni zbytnio nie pochwalali jego pieszych eskapad i został zmuszony do towarzystwa dwóch uzbrojonych żołnierzy, którzy ochraniali go przez całą drogę. Pułkownik uważał to za niewybaczalne marnotrawstwo skromnych zasobów ludzkich, jakie posiadał - ale nie miał wyboru.

W pierwszym momencie przydzielono mu ogromny majątek na zachodnim krańcu miasta, ale szybko się przekonał, że sąsiedztwo rozległego, bagnistego terenu, od którego na domiar złego wiał ciągle wiatr, nawet dla niego było zbyt męczące. Więc rozejrzał się i ostatecznie wprowadził do obecnej siedziby - mniejszej, ale znacznie wygodniejszej.

Jego dom mieścił się na wzgórzu, co pułkownikowi przypadło do gustu, gdyż patrząc na północ mógł zobaczyć Bukit Timah, najwyższy szczyt miejscowego granitowego górotworu. Za tym ciemnym wzniesieniem, wyglądającym jak garb jakiegoś olbrzyma, znajdowały się wody cieśniny Johore i Malezja, najbardziej na południe wysunięty punkt kontynentalnej Azji. W dni, kiedy wilgotność była nie do zniesienia, gdy koszula kleiła się jak gorący wosk, a pot ściekał z czoła wprost do oczu, kiedy w mieście było parno jak w lesie tropikalnym, wydawało mu się, że cały ten kontynent powyżej Singapuru zjeżdża w dół i przygniata go razem ze wszystkimi bagnami, komarami i ludźmi tam się znajdującymi. W takie dni ból w karku stawał się nie do zniesienia.

Ale tak było, dopóki nie zjawiała się Czeong. Dla pułkownika graniczyło to z cudem, tak jakby zjawiała się w jego pokoju nie jak człowiek z ulicy, ale wysłannik niebios. Tego wieczoru, gdy ją przyprowadził i przekazał w opiekę małej Pi, aby ją wykapała i ubrała, a później stał przy swoim biurku popijając pierwszego tego dnia większego drinka, poczuł, że zmęczenie spływa z niego jak resztki soli zmywanej ciepłym prysznicem. Cieszył się z tego, że po tylu godzinach jest wreszcie w domu. Ale być może była to najbardziej przyziemna ze spraw, gdyż jak później wspominał po latach (co lubił często robić), nie był całkiem pewien, co nim kierowało. Pamiętał tylko, że kiedy przyprowadzono ją do jego gabinetu, już w domu, i znów ujrzał jej twarz, po raz pierwszy - odkąd opuścił Anglię na początku 1949 roku, by przyjechać na Daleki Wschód - nie czuł się tu obco. Stał jak pusty dom, który opuściły nawet duchy z poprzednich epok, a teraz czeka na nowych lokatorów ze świata żywych. Czuł, że jego dusza raduje się - wreszcie wolna, a przed nim stoi prawdziwy powód jego wyjazdu do Azji.

Wpatrywał się w jej twarz, wykorzystując resztki światła kończącego się dnia, ostatni poryw blasku słońca - nim ciemność zapanowała z taką siłą, z jaką on zwalczał swoich wrogów. Ta siła

była największą bronią pułkownika, którą wysoce ceniono zarówno w amerykańskim, jak i angielskim dowództwie i za którą był wielokrotnie wyróżniany awansami.

Jej twarz nie miała czysto chińskich rysów. Nie wywnioskował tego z jakichś konkretnych szczegółów, ale z ogólnego charakteru postaci. Na przykład - nie miała typowego wyglądu Chinki. Dla pułkownika było to niezwykle fascynujące, nie mówiąc już o tym, że również pociągające. Twarz kobiety była owalna, bardziej pociągła niż pełna, z wysoko osadzonymi kośćmi policzkowymi, oczy jak duże migdały, a nos nie tak płaski jak u innych. Usta - wydatne i szerokie - razem z oczami nadawały jej obliczu wyrazistość. Po latach był w stanie ocenić stan jej ducha patrząc tylko na jej usta.

Pi zaczesła do tyłu długie włosy Czeong i choć najpierw chciała je obciąć, to w końcu spięła je mocno czerwoną aksamitką w taki sposób, że powstał koński ogon zwisający przez jedno ramię. Był on tak gruby i lśniący, że pułkownikowi wydawała się jakąś mityczną zjawą. Miała w sobie tyle z istoty Dalekiego Wschodu, jakby sama była jego uosobieniem.

- Jak się czujesz? - spytał w dialekcie kantońskim, a kiedy nic nie odpowiedziała, powtórzył pytanie w dialekcie mandaryńskim.

- Teraz już lepiej, dziękuję - odpowiedziała z ukłonem. Wtedy to pierwszy raz usłyszał jej głos i był lekko zaskoczony, gdyż nigdy przedtem nie słyszał głosu równie pięknego i dźwięcznego. Była wysoka - ponad metr siedemdziesiąt, szczupła, a figurę miała tak zgrabną, jak tylko można by sobie wyobrazić.

- Jest to w istocie wielkie szczęście, że cię spotkałam - powie działa ze spuszczoneym wzrokiem. Próbowwała na próżno wymówić jego nazwisko. - Jest mi wstyd za to, co się stało - ciągnęła zaniechawszy kolejnych prób. - Pi nagadała mi w czasie kąpieli. Jest mi bardzo przykro.



-Nie przejmuj się tym - odpowiedział pułkownik. - Mów mi Denis.

To przyszło jej znacznie łatwiej, wymawiała „D” w sposób nie znany w języku angielskim. Powtórzyła sobie dwa razy i powiedziała:

- Nie zapomnę, Denis.

W tej chwili pułkownik poczuł, że będzie jego żoną.

Kiedy pułkownik otrzymał poprzez oficera łącznikowego prośbę Amerykanów, by dołączył do sił okupacyjnych w Japonii jako doradca generała Douglasa MacArthura, pierwszą rzeczą, o której pomyślał, było to, jak decyzję tę przyjmie Czeong. Nie było mowy o odrzuceniu propozycji. Już się palił do wyjazdu do Tokio.

Był początek 1946 roku i ten zakątek świata jeszcze nie otrząsnął się z psychicznego ciosu, jakim było zrzućenie bomb atomowych na Hiroszimę i Nagasaki; skutki tego były trudne do oszacowania, a ich różnorodność nieskończona.

Od czterech miesięcy stanowili już małżeństwo i Czeong była w trzecim miesiącu ciąży. Nie zmieniło to jednak jego woli opuszczenia Singapuru, który teraz był dla niego taką samą ojczyzną jak Anglia. Pomijając fakt, że uważał za swój obowiązek podjąć służbę w siłach okupacyjnych i rozumiał doskonale kompleksowość sytuacji, jaka powstała w Japonii po bezwarunkowej kapitulacji kończącej rok wcześniej wojnę, to chętnie wziąłby udział w tym, co MacArthur nazwał „wprowadzeniem Japonii na nowe tory”.

Pułkownik zastanawiał się tylko przez chwilę, nim zawołał Danversa i powiedział, że tego dnia już go nie będzie i jeżeli pojawiłoby się coś ważnego, to można go złapać w domu. Gdy przyjechał do domu, został osobiście obsłużony przez Czeong, która odesłała Pi, kiedy tylko usłyszała silnik jeepa zajeżdżającego pod dom.

- Wróciłeś dzisiaj wcześniej, Denis - powiedziała z uśmiechem. Wsiadł z samochodu i odesłał go z powrotem.

— Pewnie zaraz mi powiesz, że służący są tu po to, żeby sprzątać - rzucił szorstko.

— Och, nie - rzekła, biorąc go pod ramię i prowadząc po schodach do domu. - Wręcz przeciwnie. Zrugałam ich i odesłałam do kuchni, do pracy, którą już od dawna mieli zrobić.

Przeszli korytarzem do jego gabinetu, gdzie zrobiła mu drinka.

- Ach - powiedział, biorąc w ręce chłodną szklanę. - Czy zrobili coś, za co powinni być ukarani?

-Och, nie - położyła swą drobną rękę na ustach, tak jakby sama myśl o tym ją szokowała.

Pokiwał głową z zadowoleniem.

— Oczywiście, powiedziałałabyś mi, gdyby coś było nie tak?

— Raczej nie. - Wskazała mu gestem jego ulubiony fotel, a kiedy już w nim zasiadł, wyciągnąwszy długie nogi przed siebie, uklękła przy nim. Miała na sobie granatową sukienkę z jedwabnego brokatu z pomarańczowym kołnierzem i rozszerzającymi się u dołu rękawami. Gdzie zdobyła ten strój, nie miał pojęcia, ale z grzeczności nie pytał.

— To nie twoja sprawa - mówiła dalej. - Ja jestem panią domu. Porządek tutaj jest moją sprawą, tak jak twoją tam. - Miała na myśli sztab garnizonowy. - Ty musisz mi powierzyć utrzymanie domu w idealnym porządku. Najważniejszy dla dobrego samopoczucia jest spokój, chyba się zgadzasz? - A kiedy przytaknął patrząc jej w oczy, mówiła dalej: - Spokój w domu nie zależy tylko od jego umiejscowienia i znajdujących się tam służących, ale również od jego głównych lokatorów. - Przerwała, a pułkownik, który powoli popijał drinka w trakcie jej wypowiedzi, wyprostował się i postawił szklankę na stoliku obok. Jego europejska dusza nakazywała mu wziąć jej dłonie w swoje, przytulić ją do siebie i spytać: „Co się stało? Jakie masz problemy?” Ale on wiedział, że nie może tak postąpić, bo tym by ją zawstydził. Spędziła przecież tyle czasu przygotowując się do rozmowy. Musi zatem pozwolić jej samej dojść do sedna. Jeżeli cokolwiek się nauczył przez te sześć lat na Dalekim Wschodzie, to cierpliwości, gdyż brak tej umiejętności oznaczał ryzyko szybkiej przegranej tutaj, gdzie życie było inne, jakby uzależnione od odwiecznego Pacyfiku.

— Wiesz, Denis, spokój to tylko jeden z elementów pełnej harmonii w życiu. A harmonia to cel w życiu każdego człowieka. Jest ona podstawą czystości umysłu oraz prawidłowej i silnej *karmy* na przyszłe wcielenie. - Położyła swą dłoń na jego dłoni opartej o drewnianą poręcz. - Ty masz taką *karmę*. Jest bardzo mocna, jak sieć doświadczonego rybaka. - Spojrzała na ich złączone ręce, a później znów na jego twarz. - Dlatego boję się zrobić cokolwiek, aby nic nie zburzyć. Tym bardziej że muszę się już martwić o dwie osoby. Nasze *karmy* się przeplotły i wymieszały, będą teraz jeszcze silniejsze, prawda?

Przytaknął jeszcze raz, a ona, zadowolona, że jej słucha i się z nią zgadza, powiedziała:

— A teraz muszę cię o coś poprosić.

— Wiesz, że możesz prosić, o co zechcesz - odrzekł całkiem szczerze pułkownik. - Ty, która czynisz moje życie szczęśliwym, możesz mieć wszystko, co jest w moich możliwościach.

Ale to czułe wyznanie nie wywarło żadnego wrażenia na Czeong.

- Sprawa, o którą chcę cię prosić, jest bardzo poważna. Pokiwał głową.

- Musimy stąd wyjechać - powiedziała wprost. Widząc, że jej słowa nie wywołały u niego reakcji, kontynuowała: - Wiem, ile ta praca znaczy dla ciebie, ale - próbowała znaleźć właściwe

słowa, by jasno przekazać swoje myśli - to jest konieczne. Dla ciebie, dla mnie i dla dziecka. - Położyła swą rękę na brzuchu. - Musimy wyjechać do Japonii, do Tokio.

Zaśmiał się, po pierwsze ze względu na zbieg okoliczności, po drugie zaintrygowany jego niesamowitością.

— Czy powiedziałam coś śmiesznego? - spytała, nie rozumiejąc jego zachowania. - Pozostawanie tutaj zaszkodziłoby nam. Bardzo. W Japonii nasze *karmy* się rozwiną, rozkwitną. Tam leży nasze - jak to wy mówicie? - przeznaczenie, dobrze powiedziałam? Nasze przeznaczenie.

— Śmiałem się tylko z dziwnego zbiegu okoliczności - uspokoił ją pułkownik. - Nie śmiałem się z tego, co powiedziałaś. - Poglaskał jej dłoń. - A teraz wyjaśnij mi, dlaczego musimy wyjechać do Tokio.

— Ponieważ mieszka tam Itami, siostra Tsuko.

— Rozumiem. - Opowiedziała mu kiedyś o swym poprzednim małżeństwie, ale poza tym rzadko rozmawiali o tamtym okresie jej życia. - A co ona ma wspólnego z naszą *karmą*?

— Nie jestem w stanie powiedzieć - odrzekła Czeong - ale miałam sen dzisiejszej nocy.

Pułkownik wiedział, ile wiary tubylcy pokładają w swoich snach. Podobni w tym byli do starożytnych Rzymian. On sam całkowicie nie odrzucał ich znaczenia. Podświadomość grała większą rolę w kształtowaniu przyszłości człowieka, niż większość ludzi była gotowa przyznać. A niezależnie od tego sny były silnie powiązane z istotą *karmy*, a *karma* była czymś, w co pułkownik silnie wierzył. Za wiele lat spędził na Dalekim Wschodzie, żeby było inaczej.

- Śniła mi się Itami - powiedziała Czeong. - Śniło mi się, że jestem w jakimś mieście, chyba w Tokio. Robiłam zakupy i właśnie skręciłam w spokojną, boczną ulicę. Wszędzie wokół były sklepy zbudowane z drewna i pergaminu, zupełnie jak w czasach, gdy Tokio nosiło jeszcze nazwę Edo, a państwem rządził shogun Tokugawa. Przechodziłam właśnie obok sklepu z barwnie udekorowaną witryną, pośrodku której stała lalka. Była to najpiękniejsza lalka, jaką kiedykolwiek widziałam. Miała coś w sobie. Zrobiona z porcelany, z białą twarzą, wytwornie ubrana w strój *bushi*. Jej oczy patrzyły wprost na mnie, a ja nie mogłam oderwać od nich wzroku. Tak jakby mnie prosiła, bym ją kupiła...

Sprzedawca zapakował ją w jedwabisty materiał i wzięłam lalkę do domu. A kiedy ją rozpakowałam, zaczęła mówić. Miała głos wyniosły, rozkazujący i bardzo stanowczy. Była oczywiście panią z wielkiego rodu...

To była Itami i powiedziała, że musimy do niej przyjechać. Powiedziała, że musimy opuścić Singapur i pojechać do Tokio.

— Czy ty kiedyś spotkałaś Itami w rzeczywistości? - zapytał pułkownik.

— Nie.

— A czy Tsuko pokazał ci kiedyś jej zdjęcie?

— Nie.

— A jednak uważasz, że ta lalka w twoim śnie to była Itami.

— Tak, Denis, to była Itami.

Nareszcie się nachylił i ujął jej dłonie, co pragnął zrobić już od kilku chwil. Jej długie paznokcie, jak zauważył, były polakierowane na kolor ciemnoczerwony.

- Czeong, pojedziemy do Japonii, do Tokio. I spotkamy się z Itami, jak nakazuje twój sen.

Jej rozpromieniona twarz przypominała wschodzące słońce.

— Tak, Denis? Naprawdę?

— Naprawdę.

— A teraz powiedz dlaczego, bo chociaż dusza moja jest szczęśliwa i to jej wystarcza, to rozum chciałby jednak znać przyczynę.

w dniu poprzedzającym wyjazd zabrała go do So-Penga.

Mieszkał na północny zachód od miasta, w wiosce zbudowanej z trzciny bambusowej i impregnowanego papieru, w której jeszcze żaden biały człowiek nigdy się nie pojawił. Nie było jej na żadnej mapie tego rejonu, jaką pułkownik miał w swoich rękach. Prawdę mówiąc, gdy Czeong podała mu lokalizację wioski, zaśmiał się i powiedział, że nic tam nie znajdą i natrafią tylko na mokradła. Ale ona była zdecydowana i w końcu przychylił się do jej życzenia.

To była niedziela i Czeong nalegała, żeby nie wkładał na siebie munduru. „To jest bardzo ważne” - wytłumaczyła mu, a on wdziwiąc kremowy lniany garnitur z szerokimi klapami, białą jedwabną koszulę i granatowy wojskowy krawat czuł się ubrany tylko częściowo. Był różową plamą pośrodku zielonej dżungli, znakomity cel - nie do spudłowania. Z kolei Czeong miała na sobie białą jedwabną sukienkę do samej ziemi, z wyhaftowanymi niebieskimi czaplami i pomarańczowym kołnierzem. Wyglądała cudownie.

Słońce pięknie świeciło, kiedy wyruszali za miasto, fale upału oblewały ich ze wszystkich stron. Lekki wiatr przynosił zaduch znad mokradeł po lewej stronie. Dwukrotnie byli zmuszeni nieruchomieć w chwilach, gdy srebrno-czarne żmije przecinały im drogę. Za pierwszym razem pułkownik chciał zabić gada, ale Czeong powstrzymała go, silnie chwytając za nadgarstek.

W oddali, na zachodzie, choć wyglądało to jak fantazyjnie namalowana scenografia teatralna, niebo gęstniało od szarych chmur pchających się jedna na drugą jak gromada niesfornych dzieci. Nad nimi niebo było żółte, bez śladów błękitu, co jakiś czas grom przecinał chmury rozjaśniając je na moment do białości. Aż dziw brał, że tutaj, gdzie szli ścieżką przecinającą zakosami zbcze pagórka, było tak spokojnie.

Singapur już dawno zniknął im z pola widzenia, jak kotwica wyrzucona za burtę, pozostając częścią świata, który zostawili za sobą przekraczając niewidzialną granicę nowego świata. Tak

przynajmniej wyobrażał to sobie tego popołudnia pułkownik, a później przez lata wspominał często w sennych, wczesnych godzinach poranka.

Po przeciwnej stronie lesistego pagórka ginał wszelki ślad po drodze, którą szli, nie było nawet nic na podobieństwo ścieżki przez gęstwinę. Ale Czeong nie miała żadnych kłopotów z orientacją w terenie i biorąc go za rękę, poprowadziła do wsi. Leżała w płytkiej kotlinie, granicząc z osłaniającym ją bazaltowym górotworem, chroniącym ją przed wzburzonym morzem.

Doszli do domu, który zewnątrz był podobny do pozostałych i wchodząc po kilku schodkach, znaleźli się na szerokiej werandzie w stylu kolonialnym, pokrytej dachem chroniącym przed ulewnymi deszczami i palącym słońcem.

Drzwi się otworzyły, powitała ich srebrnowłosa, elegancko uczesana staruszka ubrana w długą, jedwabną, popielatą suknię. Złożyła ręce na piersiach i ukloniła się. Zachowali się podobnie, a kiedy wyprostowała się i uśmiechnęła do nich, pułkownik zobaczył, że nie ma ani jednego zęba. Miała zmarszczki na twarzy, ale ciało jej zachowało pewne oznaki jędrności i urody, którą musiała niewątpliwie szczycić się w młodości. Jej czarne migdałowe oczy wyrażały niewinną ciekawość małej dziewczynki.

Czeong przedstawiła pułkownika.

- A to jest Czia Szeng - powiedziała bez bliższych wyjaśnień.

Czia Szeng zaśmiała się, patrząc na potężną figurę mężczyzny i pokiwała głową, jakby chciała powiedzieć: „Jacy teraz ci młodzi są wyrośnięci”. Wzruszyła swymi wątlými ramionami i klasnęła językiem o podniebienie.

Czeong rozmawiała tylko w dialekcie mandaryńskim, więc pułkownik zrozumiał, że musi czynić podobnie.

Znaleźli się w dość dużym pokoju. W żadnym innym domu w Singapurze, nawet w głównym budynku posiadłości, w którym poprzednio mieszkał, nie widział tak dużego pomieszczenia. Wygląd zewnętrzny domu był bardzo mylący, o czym mógł się przekonać zaraz po wejściu, ale jeszcze dziwniejsze okazało się to, że pokój był wyłożony *tatami*, czyli tradycyjnymi japońskimi matami słomianymi o typowych rozmiarach, według których Japończycy określali wielkość pomieszczeń. Nie była to jednak ostatnia niespodzianka.

Czia Szeng przeprowadziła ich nic nie mówiąc przez pierwszy pokój, skromnie umeblowany niskimi, łąkowymi stolikami i poduszkami. Przy tylnej ścianie umieszczono wielki kawał nefrytu, tak bogato wyrzeźbiony, że stał się azurowy. Pośrodku ściany znajdowały się obrotowe drzwi, zwane, jak dowiedział się kiedyś pułkownik, „księżycową bramą”. Miały je tylko domy najbogatszych Chińczyków w drugiej połowie dziewiętnastego wieku.

Przed tą „bramą” zwiślała z bambusowej żerdzi duża płachta szarego jedwabiu. Wyszyto na niej granatowe koło ze szprychami. Ten wzór wydał się mu znajomy. Po chwili przypomniał sobie, że wdział podobną płachtę na drzeworycie *ukiyo-e* wykonanym przez Ando Hiroshige. Była to grafika z serii „Pięćdziesiąt trzy etapy drogi Tokaido”, choć nie mógł sobie przypomnieć tytułu tej konkretnej. Wiedział jednak, że godło należało do podróżującego *daimyo*. Jeszcze jedna niespodzianka. Pułkownik wzdrygnął się w duchu, podczas gdy Cziaszeng poprowadziła ich przez „bramę” z zielonymi i czarnymi wykończeniami na białym tle.

Znaleźli się w pokoju nieco tylko mniejszym od pierwszego. Z trzech stron znajdowały się ozdobne parawany o intensywnych, nadal żywych kolorach pomimo ich wieku.

Poczuł w nozdrzach suchy zapach palonego węgla, osty - kadzidła i inne, słabsze: olej kuchenny, łój mydlany, oraz takie, których nie był w stanie nazwać.

- Proszę za mną - powiedziała Cziaszeng prowadząc ich obok niskiego, łąkowego stolika. Świeże, cięte kwiaty pływały w misce pośrodku stołu. Weszli w szczelinę na styku dwóch parawanów, gdzie znajdowały się drzwi tak czarne, jakby je wyrzeźbiono z kawałka onyksu. - Uwaga na schody - wyszeptała Cziaszeng, gdy zaczęli wchodzić na górę. Spiralna klatka schodowa miała wąskie stopnie i szerokość umożliwiającą przejście jedynie gęsiego.

Na koniec długiego marszu znaleźli się w czymś na kształt wieżyczki, choć dla pułkownika wyglądało to bardziej na poddasze. Dach z zielonej dachówki podtrzymywały cztery narożne filary. Poza nimi rozpościerał się nieograniczony widok we wszystkich kierunkach, pomijając bazaltową

górze, która, jak mitologiczny wielkolud, stała blisko, jakby na straży.

Wchodząc, pułkownik zauważył wysoką postać przyglądającą się przez lunetę nadchodzącej burzy. To był So-Peng.

- Witam, pułkowniku Linnear.

Głos był niski i głęboki, poddasze jakby zadrżało pod jego wpływem. Mówił dialektem mandaryńskim dziwnie, można powiedzieć, że skracał słowa. Nie odwrócił się, ani w żaden inny sposób nie przywitał Czeong. Czia Szeng, wypełniwszy swe zadanie, wyszła schodząc z powrotem na dół.

- Proszę podejść i stanąć obok mnie, pułkowniku - powiedział So-Peng. Nosił staromodną, chińską wyjściową sukmanę w kolorze perłowym. Zrobiona była z materiału nie znanego pułkownikowi, każdy najmniejszy ruch powodował, że mieniła się w świetle we wspaniały sposób.

- Popatrz tam - powiedział starzec podając pułkownikowi lunetę. - Tam, na burzę, i powiedz mi, co widzisz.

Pułkownik wziął mosiężną lunetę, zamknął jedno oko i przyłożył ją do drugiego. Teraz, w tym orlim gnieździe So-Penga poczuł burzę, którą wcześniej tylko widział. Wzmagął się wiatr.

Widział pęczniejące chmury, które teraz stały się fioletowoczarne, prawie sine, zmienił się również kolor nieba nad nimi. Żółta barwa była poprzecinana bladozielonymi pasmami w sposób, którego żaden człowiek by nie wymyślił. Słychać było ochryple grzmoty, przewalające się nad ziemią niczym niewidoczna, olbrzymia fala *tsunami*. Pułkownik zgodnie z życzeniem opisał wszystko, co spostrzegł.

- I nic więcej - rzekł So-Peng. W jego komentarzu nie było nic z pytania.

Pułkownik miał już powiedzieć „tak”, powstrzymał się jednak w ostatniej chwili wiedząc, że nie zauważył czegoś, co starzec chciał mu pokazać.

Przez dłuższy czas przesuwiał lunetę centymetr po centymetrze, ale nie zauważył nic nowego. Nie dawało mu to spokoju, więc jeszcze raz podniósł tubus i zaczął badać od nowa. I nic. Potem zwrócił się niżej, w kierunku ziemi. Mimo napierającej burzy kobiety nadal obrabiały

poła ryżowe, bez osłony nawet pojedynczego drzewa albo prowizorycznego daszka. Jednocześnie, jakby na rozkaz, schylały się, chwyciły i wrywały dojrzałe rośliny. Ich spódnice były podwinięte, związane w olbrzymie węzły między ugiętymi nogami. Tkane worki owinięte wokół pleców nadawały im wygląd utrudzonych potworów. Stały po kostki w wodzie.

— Kobiety nadal pracują w polu - stwierdził pułkownik - tak jakby nie było żadnej burzy.

— Ach! - powiedział So-Peng, potakując. - No i co z tego wnioskujeś, pułkowniku?

Opuścił lunetę i popatrzył na So-Penga, na jego łysą, żółtą głowę, siwy kosmyk brody zwisającej z końca podbródka oraz ciemne, dostojne oczy patrzące na niego z perspektywy wieków.

— Wiedzą o czymś, o czym my nie wiemy - powiedział pułkownik.

— Hmm - zamruczał So-Peng porozumiewawczo. Wiedział, że mówiąc „my” jego gość miał na myśli białych. Nie był tylko pewien, czy mówi poważnie, czy też tylko protekcyjnie. So-Peng, jak wielu innych Azjatów, miał okazję spotkać się wielokrotnie z tym drugim podejściem. Ale nie zakończył krótko swojej rozmowy z pułkownikiem, co oznaczało, że już na tym etapie miał inny stosunek do tego człowieka.

Ze swej strony tamten wiedział aż za dobrze, że to spotkanie jest ważnym punktem w jego pożyciu z Czeong. Potrzebowała błogosławieństwa tego starca. Nie mógł tylko zrozumieć, dlaczego nie nastąpiło to przed ich ślubem. Ale wiedział, że So-Peng musiał zaangażować się osobiście, aby mogła wyjechać z nim z Singapuru.

Ten dom, ta wioska były na takim odludziu, zupełnie nie znane białym i dlatego starał się być ostrożny. Wiedział, że wielu Chińczyków nie lubiło białych, tych wielkich barbarzyńców zza morza. To, że ta niechęć, a nawet wrogość miała w istocie swoje uzasadnienie, nie obchodziło go w tej chwili.

Ale darzył tych ludzi wielkim szacunkiem za ich sposób życia, historię, religię, zwyczaje i właśnie ta wiedza podtrzymywała go teraz na duchu oraz skłoniła do powiedzenia:

- Nie ulega wątpliwości, że mamy tu wiele do nauczenia się, ale uważam również, że najkorzystniej jest wtedy, gdy ludzie wzajemnie wymieniają się swą wiedzą, a później i zaufaniem.

Ręce So-Penga były skrzyżowane na piersiach, schowane w szerokich rękawach jego sukmany.

- Zaufanie - powtórzył z zamyśleniem, jak gdyby to słowo było nowym, egzotycznym owocem, którym się delektuje. - Widzisz, pułkowniku, słowo „zaufanie” może - mieć wiele znaczeń w zależności od intonacji i kontekstu. Tak więc, drogi chłopcze, mógłbym również sądzić, że rozumiesz przez nie wymianę tajemnic.

— To nie było dalekie od prawdy - odpowiedział.

— A co - pytał So-Peng - skłania cię do myślenia, że jesteś godzien takiego zaufania?

Pułkownik nie mógł oderwać spojrzenia od oczu starca - tak przenikliwych, że reszta twarzy



zamazywała się, pozostawiając tylko te dwa punkty unoszące się w atmosferze wymijającej wymiany zdań.

- Po pierwsze poważanie. Potem wiedza, wiedza poszukiwana i przyjęta jako swoja. Następnie pogodzenie się z tym, co jest i z tym, co było, znalezienie swojego miejsca w życiu. Potem ciekawość poznania nieznanego. I na koniec miłość. - Powiedziawszy te słowa, rozluźnił się wiedząc, że mówił od serca, że wyraził się w sposób go zadowolający i oddający cześć jego żonie. Nie było nic więcej do zrobienia.

Gdy So-Peng przemówił, zwrócił się nie do pułkownika, a do jego żony.

- Czeong - powiedział. - Sądzę, że słyszałem jak Czia Szeng cię woła. Jej głos dochodzi do mnie w tym naelektryzowanym powietrzu.

Czeong ukloniła się bez słowa i odeszła. Pułkownik pozostał na miejscu nic nie mówiąc. Za balustradą tarasu burza rozgościła się już na dobre.

- Czeong mówiła mi, że wyjeżdżacie niedługo do Japonii. Pułkownik przytaknął.

— Tak, jutro. Zostałem zaproszony przez generała MacArthura do współpracy przy odbudowie Japonii.

— Tak, jest wiele chwały w takiej pracy. Można się zapisać w historii, co, pułkowniku?

— Mówiąc szczerze nie rozpatrywałem tego w takich kategoriach.

— Czy nie uważasz - ciągnął So-Peng - że o tej odbudowie powinni zdecydować sami Japończycy?

— To by była sytuacja idealna. Ale niestety, są siły w japońskim społeczeństwie, które w minionych dwudziestu latach poprowadziły państwo w złym kierunku - gdy nie usłyszał odzewu, kontynuował. - Jestem pewien, że jest pan zorientowany na temat tego, co robili w Mandżurii.

— Mandżuria! - So-Peng krzyknął. - A co ja i moi krajanie mają wspólnego z Mandżurią? Dla nas jest to nieużytek na końcu świata. Równie dobrze można by ją pozostawić Japończykom i bolszewikom, aby o nią walczyli. Według mnie brak Mandżurii nie byłby wielką stratą dla Chin.

— Ale Japończycy pragnęli tej ziemi tylko jako przyczółka do zdobycia reszty Chin. Zbudowaliby tam bazy, z których organizowano by dalsze wypad.

— Tak - westchnął So-Peng. - Ich imperialistyczne skłonności bardzo mnie smuca, a na pewno mnie smuciły w młodości. Wówczas było to jak drzazga w moim ciele, bo Japończycy są militarystami, zawsze byli. I nie może być inaczej, gdy jest to im przekazywane z pokolenia na pokolenie. A skutki tego nie mogą zostać wykorzenione, ani przez przemówienia polityków, ani żaden rodzaj masowej amnezji. Czy mnie rozumiesz, pułkowniku? Niemcy zaprzeczają teraz, że są rasistami. Ale głupi byłby ten, kto im uwierzy, bo przecież to niemożliwe. Bliższe prawdy byłoby zaprzeczenie, że powietrze jest źródłem życia. Dziś Chiny nie mają się co obawiać Japonii. Mówię to jako wyraz zaufania, prawda? Obecne zagrożenie występuje ze strony bolszewików i ich należy

się obawiać bardziej niż kiedykolwiek Japończyków.

*Bushido*, pułkownika. Czy wiesz, na czym polega jego filozofia?

— Chyba tak - przytaknął.

— Dobrze. A więc rozumiesz, co chciałem powiedzieć. - Popatrzył w niebo, szare i poruszające się tak, jakby jakiś niewidzialny wielkolud wymachiwał do nich chorągiewką. - To jest dobra miara przyjaźni, wiesz o tym? Mówię o dobrej przyjaźni, a nie takiej, jaka występuje między współnikami w interesach lub sąsiadami. Taka przyjaźń w dzisiejszych czasach zdarza się rzadziej, niż się sądzi, kiedy komunikowanie się nie jest już problemem, a przynajmniej barierą. Czy zgadzasz się z moim zdaniem?

— Tak, oczywiście.

— Uhm. Byłem pewien, że się zgodzisz. - Zaśmiał się lekko, przyjaźnie. - Wiesz, to właśnie w taki dzień jak dziś Czeong zjawiała się u mnie pierwszy raz. Była bardzo mała, nie miała chyba jeszcze trzech lat. Jej rodzina kiedyś była bardzo liczna. Nie wiem, co się im przytrafiło, nikt nie wie, prowadziłem poszukiwania przez wiele lat. Wszystko na nic... Po pewnym czasie to już nie miało znaczenia. Tutaj mieszkała jej rodzina i nie kochałbym jej bardziej, gdyby była moją rodzoną córką. Mam wiele dzieci, a teraz również wnuków i prawnuków. Mój Boże, jest ich tak wiele, że nieraz myślę mi się twarze z imionami. Ale jest to wybacalne, jestem przecież już starym człowiekiem i mój umysł zaprzętają inne sprawy. Ale mogę ci powiedzieć z pełną szczerością, że wśród całego mojego potomstwa Czeong ma miejsce szczególne. Może nie jest wynikiem pracy moich łędwii, ale jest na pewno wynikiem pracy mojego umysłu. Czy mnie rozumiesz? Ona stąd pochodzi i ty musisz o tym wiedzieć i zrozumieć, co to oznacza, nim wyjedziecie z Singapuru.

Mówił cicho, jakby marzył o jakimś odległym lądzie lub dawno minionych czasach. Powietrze jakby się rozwarło i deszcz runął w dół z ciemnego nieba uderzając o mały, kwadratowy dach wieżyczki, kapiąc z malutkich okapów. Zielone liście drzew uginały się i trzęsły pod naporem deszczu, aż nastąpiło oberwanie chmury i wydawało się, że z nieba schodzi w dół ściana wody. Wychylając się, pułkownik nie był w stanie dostrzec dachu pozostałej części domu So-Penga. Otoczyła ich mgła, gęsta jak dym. Świat wyglądał jak szarozielony obraz impresjonistyczny, na którym ledwo odcinały się kontury przedmiotów i ludzi, podobne echu myśli ogromnego mózgu.

- Wyglądamy tutaj jak opuszczeni przez wszystkich - powiedział pułkownik.

So-Peng się uśmiechnął.

- W Azji człowiek nigdy nie jest całkowicie opuszczony, czyż nie tak?

Wyglądał jak nieruchomy posąg, co wydało się pułkownikowi dziwne biorąc pod uwagę gwałtowność otoczenia. Woda odbijająca się od balustrady, otoczyła go drobną mżawką i musiał się cofnąć o krok czując się tak, jakby stał na dziobie szybkiego kutra na pełnym morzu.

- Świat jest tutaj inny - kontynuował So-Peng. - Nasz świat jest inny. Rodzimy się,

dorastamy i w istocie żyjemy cały czas ze stałą świadomością wieczności. Ta, powiedzmy, zażyłość, jest według mnie bronią obosieczną. Jest to niewątpliwie nasza wielka siła, ale również, powiem ci to w zaufaniu, nasza słabość, nasza pięta Achillesa w stosunkach z Zachodem. Wydaje mi się, że zbyt wielu moich rodaków nie docenia ludzi z Zachodu właśnie dlatego, że uważają ich za barbarzyńców niezdolnych do zrozumienia filozofii życia, honoru i podejścia do sprawy czasu na Wschodzie. To może być groźne. Popatrz na Japończyków. To, czego próbowali dokonać, było głupie. Wspaniałe, ale głupie. Ale Japończycy umieją honorowo przegrywać. Większość ich bohaterów narodowych na Zachodzie uważano by za nieudaczników. Ich sposób bycia, ich myśli są czczone. Na Zachodzie liczy się tylko wygrana. Etyka protestancka, tak to się chyba nazywa. Nie jest to nic, z czego można by szydzić, przyzna to dziś każdy Japończyk. To właśnie ta etyka doprowadziła do klęski Japonii. Musiała zapłacić wysoką cenę za Pearl Harbour. Stany Zjednoczone były prawdziwym *uśpionym* olbrzymem, kiedy się obudził, *jego* wściekłość była zbyt wielka, by ją powstrzymać. - Popatrzył na strugi deszczu. Wilgotność powietrza były ogromna. - Do tej pory nie mamy właściwego spojrzenia na czas. Myślimy nadal kategoriami z przeszłości, kiedy wieczność była odpowiedzią na wszystko, w tych sprawach nie doścignęliśmy jeszcze teraźniejszości. - Zaśmiał się. - Ale dajcie nam trochę czasu. Jesteśmy bardzo pomysłowi. Pokażecie nam tylko drogę i zostaniemy zbawieni. Ludzie na Wschodzie są bardzo otwarci. Jak nie będziecie uważać, to was przegonimy!

Wizjonerskie, zamyślane spojrzenie So-Penga trwało w jego oczach, gdy zwrócił się do pułkownika i powiedział:

- Jestem pewien, że moje osobiste poglądy na filozofię nie interesują cię. Słowa mądrości... nie wierzę w coś takiego. Nie można zmądrzeć przez wysłuchiwanie stale jednej osoby. Trzeba samemu doświadczać, robić błędy, czuć rozkosz w uczeniu się życia, gdyż jest ono różne u każdego człowieka. Ponieść porażkę, podnieść się, spróbować jeszcze raz w inny sposób. Doświadczyć i wyciągnąć z tego lekcję. To jedyna metoda... No, ale dosyć gadaniny. Jestem dzisiaj jak stara baba. Może to wina pogody. Jestem gadatliwy w czasie burzy, to mnie uspokaja. W dzieciństwie pora monsunowa była dla mnie czasem strachu... Nieco przydługi wstęp. Pewnie zastanawiasz się, pułkowniku, skąd ja się wywodzę. No więc mój ojciec był Chińczykiem. Ale na szczęście nie jakimś Mandżurem, tylko oświeconym, statecznym mandarynem. Swego czasu był kupcem, ale dzięki swej przebiegłości szybko stał się ważnym człowiekiem interesu. Wyemigrował do Singapuru w wieku trzydziestu trzech lat. Ja oczywiście urodziłem się w Chinach, nie tutaj. Moja matka była Japonką. - Otworzył szeroko oczy. - Och, pułkowniku, nie powinieneś być aż tak zdziwiony. Takie związki zdarzały się od czasu do czasu, choć muszę przyznać, że nie za często. Dlatego prawdziwe pochodzenie mojej matki skrzętnie ukrywano z wiadomych powodów. Jej odmienne rysy mój ojciec tłumaczył pochodzeniem z północnych Chin, znad granicy rosyjskiej,

gdzie żyje mieszanina ras mongolskiej, mandżurskiej i nie wiadomo jeszcze jakiej... Jednak co do pochodzenia Czeong, nie ma żadnych pewnych informacji. Może ona wie... Nigdy z nią na ten temat nie rozmawiałem. Może któregoś dnia powie ci, ale to już wasza sprawa. Według mnie to nie jest ważne, gdyż jej rodzina jest tutaj. Tutaj dorastała, tutaj się ukształtowała... Kiedy jest się w stanie zobaczyć macierz, z jakiej wydobyto drogocenny kamień, jest o wiele łatwiej ocenić jakość tego kamienia. - Potrząsnął głową. - Może to był zły przykład, dam inny. Spotykasz bardzo piękną kobietę, ale w miarę przebywania z nią stwierdzasz, że jej zachowanie jest nieco ekscentryczne i dziwne, krótko mówiąc niezrozumiałe. Później dowiadujesz się, że ta kobieta była średnią z trzech siostr. W takiej sytuacji staje się możliwe zrobienie pierwszego kroku w rozwiązaniu zagadki jej zachowania. I w miarę jak się coraz więcej dowiadujemy, jej zachowanie wydaje się nam coraz mniej dziwne, aż w końcu jest całkowicie zrozumiałe. - Wciągnął nosem powietrze. - Niedługo burza się skończy - powiedział. - Chodź, zejdziemy na dół.

Siedzieli we trójkę: pułkownik, Czeong i So-Peng przy czerwonym, lakowanym stoliku w pokoju z parawanami, podczas gdy Czia Szeng w milczeniu podawała im kolejne dania. Pułkownik już od trzech lat nie widział jednocześnie tyle jedzenia ani nie próbował naraz tylu znakomitych i tak wspaniale przyrządzonych potraw. Najpierw podano różne rodzaje *dim sum*, czyli małych ryżowych klusek z różnymi nadzieniami. Potem zupę rybną, gorącą i ostrą, ale lekko strawną. Następnie sześć dań z ryżu, od gotowanego do dwukrotnie smażonego, z siekanymi rybami i gotowanym żółtkiem. Czwarte danie składało się z sałatki przyprawionej chrzanem i ogórkami. Następnie było główne danie: chrupiący smażony kurczak nacierany solą i ziołami, gotowane krewetki, raki i kraby z połyskującymi czerwono-niebieskimi pancerzami. Na koniec podano ogromne kawałki melona, z których ściekał sok zalewający gliniane talerze, niczym strumyki zimnej wody.

Po zakończeniu posiłku So-Peng odepchnął swój zdobiony talerz, głęboko odetchnął i poklepał się po brzuchu.

- Opowiedz mi o swoim pochodzeniu, pułkowniku - powiedział. Więc opowiedział mu wszystko o swoim ojcu, wszystko czego się dowiedział o swojej matce, która zmarła na dyfteryt, kiedy miał dwa lata, i której nie pamiętał. O swojej macosze, której nienawidził, nie z jakiegoś jednego ważnego powodu, ale z wielu drobnych. Opowiedział So-Pengowi, jak to jest być jedynakiem, co wywołało u starca duże zainteresowanie i ciekawość, ale również zdziwienie nad możliwością posiadania tak nielicznego potomstwa. Opowiedział o Anglii, o swoim dzieciństwie na wsi w hrabstwie Sussex, o nauce w kolejnych szkołach zakończonej w Londynie. O swym młodzieńczym zaciekawieniu Dalekim Wschodem, studiach i służbie wojskowej.

- A teraz - powiedział So-Peng - rozpocznesz kolejny rozdział w swoim życiu. Zostaniesz politykiem, twórcą historii. Bardzo dobrze. Niedługo ja również opuszczę Singapur, gdyż

potrzebują mnie gdzie indziej. Tak więc mamy tu dzisiaj prawdziwą pożegnalną ucztę - zamilkł, tak jakby oczekiwał, że coś się stanie. Czas upływał w milczeniu, słychać było tylko powolne kapanie zamierającego deszczu, spływającego z gęstych drzew otaczających dom.

W tym momencie zjawiała się Czia Szeng” niosąc coś w rękach przyciśniętych do ciała. Kiedy stanęła przy stole, złożyła ten przedmiot na rękach So-Penga. Tym razem nie wyszła, ale stała obok w milczeniu.

So-Peng wysunął przedmiot przed siebie, na wysokość piersi i pułkownik zobaczył, że jest to miedziane pudełko o wymiarach dwadzieścia pięć na dwadzieścia centymetrów, emaliowane i misternie pokryte laką. Na pokrywie widniał wspaniale namalowany ziejący ogniem i pokryty łuskami smok splątany z ogromnym tygrysem o wielkich łapach.

Nadal trzymając pudełko w powietrzu, So-Peng powiedział:

- Moim obowiązkiem jest przeprosić cię, najdroższa Czeong, za *moją* nieobecność w Singapurze w dniu, w którym poślubiłaś pułkownika Linneara. Myślałem o tym przez wiele miesięcy, nie mogąc się zdecydować, jaki prezent byłby najwłaściwszy, gdyż jak wiesz, i tak wszystko co posiadam, jest twoje. Jak również wszystkich pozostałych dzieci. - Powoli położył pudełko na stół, gdzie wyglądało jak najszlachetniejszy z klejnotów dopiero co wydobyty na powierzchnię. - Ale ty, Czeong, znaczysz dla mnie więcej niż inni, to uczucie jest teraz większe i czystsze, wkraczasz bowiem na trudną drogę. Nie pragnąłem niczego dla żadnego z moich dzieci. To zdążyłaś już chyba zauważyć. Ale choć nie zdajesz sobie z tego sprawy, twój sposób myślenia był najbliższy mojemu. To mnie bardzo wzruszyło, gdyż stało się to samoczynnie, bez mojej ingerencji. A teraz, co do pożegnania na zawsze, gdyż obawiam się, że już nigdy się nie zobaczymy, ten podarek jest dla ciebie, dla twojego pułkownika, dla dziecka, które ma się narodzić, i dla następnych, które spłodzicie. Daję ci go z miłością. Jest ode mnie, od Czia Szeng, od wszystkich pokoleń naszej rodziny. Takie pudełko jest tylko jedno na świecie. A i jego zawartość stanowią pojedyncze okazy, niepodobne do niczego innego na ziemi. To jest moja spuścizna. Stosujecie ją w miarę potrzeb - jego stare ręce z długimi palcami, na których skóra była napięta jak pergamin, wyciągnęły się powoli pchając pudełko na sam środek stołu.

Pułkownik trzymając drżącą dłoń Czeong patrzył w oczy So-Penga. Chciał coś powiedzieć, ale nie mógł wydobyć z siebie ani słowa. Siedział więc na końcu stołu, jakby dzieliła ich wieczność, patrząc na człowieka, który był równie ważny, co tajemniczy, nie wiedząc tak naprawdę, kim on jest, czym się zajmuje i dlaczego jest tak ważny.

Ziarówno pułkownik, jak i Czeong, pokochali posesję na przedmieściach Tokio. Generał MacArthur żądał, pewnie słusznie, aby pułkownik znalazł kwaterę bliżej centrum i był bardziej dyspozycyjny, ale on nie mógł znaleźć właściwego miejsca, a przynajmniej takiego, które odpowiadałoby jemu i Czeong. Dlatego kręcili się po okolicy i prawie od razu natrafili na ten dom. Rejon, w którym się znajdował, jakimś cudem uratował się od zniszczeń, podczas gdy połowa miasta i większość przedmieść były zrównane z ziemią.

Posiadłość znajdowała się na wschodnim skraju ogromnego lasu sosnowo-cyprysowego, gdzie, niczym niesamowity, rozkwitły kwiat, leżała świątynia shintoistyczna. Jej wdzięczna architektura, naturalny spokój i skromność zauroczyły umysł pułkownika od pierwszego wejrzenia, dając mu jaśniejszy obraz, czym jest wieczność i godność japońskiego ducha, niż zrobiłyby to najtęższe umysły. I zawsze, kiedy tam bywał, myślał o So-Pengu.

Nikt nie wiedział, kto był właścicielem posesji, zanim pułkownik i Czeong się tam wprowadzili, nawet Ataki - mądry, stary ogrodnik. Stała tak nie zamieszкана od lat, opowiadał, choć przychodzili co dzień, by opiekować się ogrodem. Niestety, z wiekiem jego pamięć się pogorszyła. Być może, myślał pułkownik z lekkim zwątpieniem, po prostu nie chciał powiedzieć. W każdym razie posiadłość należała teraz do nich.

Właściwy ogród znajdujący się przed domem był wspaniały, z kwitnącymi drzewkami *bonsai* i płytką sadzawką wyłożoną kamieniami, w której pływały niebieskookie złote rybki z cienkimi jak pajęczyna płetwami. Pułkownik szybko zakupił akwarium i ustawił je w kuchni, jednym z niewielu pomieszczeń w zachodnim stylu, aby ryby miały gdzie spędzić zimę.

Z tyłu domu był zupełnie inny ogród, wielki prostokąt z kamyczków z czterema głazami umieszczonymi w wyznaczonych miejscach określonych przez projektanta ogrodu. Pułkownik uważał, że są one jak wyspy na środku spokojnego morza, Nicholas zaś, kiedy już nauczył się mówić, orzekł, radując swą wypowiedzią oboje rodziców, że są to góry wystające ponad chmury. Tak czy inaczej, ogród ten był, o ironio losu, miejscem pełnym spokoju i medytacji w państwie umierającym, zdewastowanym i spalonym, ale walczącym o nowe życie.

Nicholas uwielbiał dom i ogrody z niebywałą namiętnością. Ciągnęło go stale do ogrodu medytacyjnego, gdzie Czeong często go znajdowała siedzącego w zamyśleniu, z głową opartą o dłoń, patrzącego ponad nieskażonym majestatem głazów leżących w otoczeniu dokładnie ułożonych kamyczków. Po pewnym czasie było to pierwsze miejsce, w którym go szukała, gdy zniknął.

Nicholas nigdy nie mógł się zdecydować, kiedy bardziej kochał ogród: gdy był sam, czy gdy Ataki przychodził z wiadrem wody i grabkami dbając o to, by ziemia nie wyschła oraz sprawdzając, czy żaden z kamczyków nie został przesunięty. Kochał możliwość samotnego tam przebywania. Opisał to kiedyś ojcu następująco: „W tym miejscu można poczuć, że dusza żyje”. Lubił patrzeć na dokładne, oszczędne ruchy ogrodnika zajmującego się kamyczkami. Były one tak gładkie, że Nicholas uważał, że pochodzą gdzieś z wybrzeża, gdyż tylko stałe oddziaływanie morza mogło je tak zdumiewająco wypolerować.

Nicholasowi wydawało się, że ogrodnik wykonuje swoje ruchy bez najmniejszego wysiłku, nie zużywając przy tym energii. Kiedy miał już sześć lat, spytał Ataki, jak to się dzieje, a kiedy ten odpowiedział mu: *bujutsu*, Nicholas pobiegł zaraz do ojca, żeby się dowiedzieć, co to znaczy. Spytanie samego Ataki nie miałyby sensu, bo i tak powiedziałyby tylko to, co chciałby, żebyś wiedział.

- *Bujutsu* - mówił pułkownik odstawiając filiżankę herbaty i składając wzdłuż gazetę, którą właśnie przeglądał - jest ogólną nazwą wszystkich japońskich sztuk walki.

- Chcę się tego nauczyć - powiedział zdecydowanie Nicholas. Pułkownik popatrzył na syna. Bardzo szybko zauważył, że Nicholas nie rzuca słów na wiatr i jeżeli teraz powiedział, że chce nauczyć się *bujutsu*, to był naprawdę gotów tego dokonać, byłoby więc stratą czasu tłumaczenie mu, jak mozolne jest to zadanie. Pułkownik wstał od stołu i kładąc rękę na ramieniu syna odsunął *shoji* - ruchome drzwi z drewna i pergaminu, tak aby mogli wyjść na zewnątrz.

Stali na skraju kamiennego ogrodu, ale Nicholas zauważył, spoglądając na ojca, że jego wzrok skierowany był poza ogród, a nawet poza granicę ich posiadłości, na zielone, strzeliste drzewa lasu cyprysowego.

— Czy wiesz, Nicholas - mówił pułkownik dość lekkim tonem - że na terenie świątyni w środku lasu znajduje się mały ogród, w którym podobno rośnie czterdzieści odmian mchu?

— Nigdy tam nie byłem - stwierdził Nicholas. - Zabierzesz mnie tam?

— Być może, kiedyś - odpowiedział ojciec z bólem serca, gdyż wiedział, że nigdy nie będzie miał tyle czasu i że przyjechał tu spełnić zadanie, ogromne, straszne, okropne zadanie, które niestety trzeba było wykonać i on musiał to zrobić. Każdy inny, mniej odważny i wytrwały człowiek, dawno już by się załamał, ale on za każdym razem, gdy jego znużony umysł chciał powiedzieć „dość”, myślał jednocześnie o So-Pengu i swym synu. Tak mijała długa noc i jeszcze dłuższy kolejny dzień, a później przychodził koniec tygodnia i wszystko zaczynało się od nowa.

— Ale musisz wiedzieć, że niewielu ludzi oprócz samych mnichów widziało ten ogród. - Przez chwilę milczał, nim znów przemówił. - Chciałem przez to powiedzieć tylko, że chcesz wejść na drogę, którą niewielu chce dzisiaj kroczyć i że ma ona wiele odgałęzień.

— Chcę zacząć od początku, ojciec. Nie jest to chyba wygórowana prośba? - Spojrzał w

górze.

— Nie - odpowiedział przytulając syna. - Nie jest. - Przez chwilę myślał ze zmarszczonym czołem. - Powiem ci coś - powiedział. - Porozmawiam w tej sprawie z twoją ciotką, dobrze?

Nicholas przytaknął, przenosząc swój wzrok z ojca na szczyty gór wystające ponad chmury.

Osobą, o której wspominał pułkownik, była Itami. Nicholas, wiedząc, że nie są spokrewnieni, nigdy nie uważał jej za ciotkę. Może spowodowane to było tym, że dawno temu znienawidził ją i wyrobiwszy sobie raz zdanie na jej temat, nie potrafił na nowo tej sprawy rozważyć.

Nie byłoby chyba żadnym zaskoczeniem dowiedzieć się, że jego niewytłumaczalna niechęć do Itami była tylko wtórna w stosunku do uczucia, jakie żywił do jej męża, pana Satsugai. Chłopca, który od małego uczony był zachowywać spokój wewnętrzny, jakby niósł go chłodny strumień, bliski kontakt z wujem doprowadzał do rozstroju. W takich chwilach czuł się bezradny, jak księżyc kręcący się wokół wielkiej gwiazdy. Straszne turbulencje, silne prądy wirowe niszczyły jego spokój i ku swemu przerażeniu nie był w stanie go odzyskać dopóki Satsugai był w pobliżu.

Wręcz przeciwnie było z ciotką, która nie wywoływała takiej reakcji. Była bardzo drobną, piękną osobą o delikatnej budowie. W opinii Nicholasa doskonała symetria jej twarzy nie dawała się jednak porównać z twarzą jego matki.

Itami nosiła zawsze tradycyjny strój japoński. Miała służących na każde wezwanie. Drobną figura dodawała jej tajemniczości i zgodnie z tym, co powiedział mu ojciec, należała do jednego z najszlachetniejszych i najstarszych japońskich rodów *buski*. Była kobietą klasy samurajów i od jedenastu lat żoną Satsugai, który, zgodnie z tym co wiedział Nicholas, był bogatym i wpływowym człowiekiem interesu.



Itami miała też syna, Saigo. Był o rok starszy od Nicholasa, duży i mocno zbudowany, miał głęboko osadzone, ponure oczy oraz okrutne, wyrachowane usposobienie. Spędzał wiele czasu z ojcem, ale przy częstych spotkaniach obu rodzin nieuchronnie sadzano go razem z Nicholasem.

Nicholas odniósł wrażenie, że Saigo znienawidził go od pierwszego wejrzenia. Dlaczego tak się stało - nie był w stanie sobie wyobrazić, zrozumiał to znacznie później. Ale wówczas zareagował tak jak każdy chłopak w podobnej sytuacji. Odpłacił pięknym za nadobne.

To Satsugai nastawił tak syna do niego. Gdy Nicholas zdał sobie z tego sprawę, jego nienawiść i strach przed tym człowiekiem wzrosły. Ale to właśnie Saigo doprowadził do spotkania Nicholasa i Yukio. Bo przecież we wszystkich sprawach musi zostać zachowana równowaga.

Nieprawdaz?

## **ZWÓJ DRUGI**

*Księga wiatru*

## LATEM, WSPÓLCZEŚNIE

Kiedy mężczyzna w lustrzanych okularach pilota wyszedł z Pennsylvania Station wyjściem na Siódmą Aleję, nie rozglądał się ani nie zbliżył do jezdni, jak większość pozostałych, by zatrzymać przejeżdżającą taksówkę. Zamiast *tego* czekał zdyscyplinowanie *na zmianę* świateł, po czym szybko przeszedł na drugą stronę nie zwracając uwagi na lekko kropiący deszcz. Po sposobie, w jaki się poruszał i długiej czarnej sportowej torbie przewieszanej przez plecy można by sądzić, że był zawodowym tancerzem.

Ubrany był w granatową jedwabną koszulę z krótkimi rękawami, bawełniane spodnie w tym samym kolorze i ciemnoszare zamszowe buty bez obcasów na bardzo cienkiej podeszwie. Miał dość szeroką twarz z głębokimi bruzdami poniżej kącików ust, tak jakby nigdy się nie uśmiechał. Jego czarne włosy były ścięte na jeża.

Idąc po wschodniej stronie Siódmej Alei minął hotel Statler-Hilton, przeciął Trzydziestą Drugą Ulicę, przemknął pod zielono-białym dachem Chinatown Express i wszedł do sąsiadującego z nim baru McDonalda.

Znalazłszy się w środku, przeszedł przez całą długość jaskrawej, żółtopomarańczowej sali i skierował się do budek telefonicznych. Z boku lewej, skrajnej budki leżał zestaw książek telefonicznych przyśrubowanych do blatu dla zniechęcenie potencjalnych złodziei i wandalii. Wisiały w stojaku, na wysokości pasa, jak nieruchome nietoperze w jaskini.

Człowiek w okularach wybrał książkę instytucji. Jej okładka była potargana i zniszczona, a dolne części znacznej liczby środkowych stron poszarpane, tak jakby ktoś chciał je odgryźć. Przekartkował książkę, aż doszedł do rozdziału, który go interesował. Przesunął palec wzdłuż haseł. Przy końcu strony zatrzymał się i pokiwał głową. Znał adres wcześniej, ale wolał sprawdzić posiadane informacje.

Wyszedł z baru, przeszedł na drugą stronę ulicy i żwawym krokiem ruszył na zachód wzdłuż sportowo-rewiowego kompleksu Madison Square Garden. Na Ósmej Alei złapał zatłoczony autobus z centrum. Wewnątrz było gorąco i duszno, śmierdziało potem i pleśnią.

Wysiadł na przystanku przy Siedemdziesiątej Czwartej Ulicy i przeszedł o jedną przecznicę dalej. Tam skręcił i skierował się na zachód do alei Central Park West w kierunku rzeki Hudson. Chwilowo deszcz przestał padać, ale ciemna powłoka chmur pozostawała nisko nad ziemią, przypominając stan umysłu po całonocnej hulance. Powietrze stało nieruchomo, było parno.

Znalazł wskazany adres w pół drogi między alejami Broadway i West End, po północnej stronie ulicy. Jego nozdrza rozdęły się na chwilę, kiedy wchodził po schodach z czerwono-brązowego piaskowca. Otworzył drewniane, oszklone drzwi i wkroczył do małego przedpokoju. Natrafił tam na drugie drzwi ze stali i zbrojonego szkła. Na ścianie był guzik dzwonka, który zdecydowanie nacisnął. Nad nim znajdowała się mała, mosiężna tabliczka, na której wygrawerowany był napis TOHOKU NO DOJO, a jeszcze wyżej głośnik interkomu.

— Kto tam? - usłyszał delikatny głos. Człowiek w okularach przechylił się nieco w bok.

— Chcę się spotkać z mistrzem - powiedział. Czekał z dłonią opartą na klamce.

— Proszę wejść na górę. Drugie piętro, na lewo i do końca. Zamek zabrzączał, a on popchnął drzwi do środka. Wyczuwał ostry zapach potu, z dodatkiem smaku zmęczenia

i strachu. Pierwszy raz od momentu zjawienia się w tym mieście czuł się u siebie. Z pogardą odrzucił tę myśl. Szybko i bezszelestnie wszedł do pokrytych chodnikiem schodach.

1 erry Tanaka właśnie rozmawiał przez telefon z Vincentem, gdy Eileen podeszła do niego. Widząc jej dziwny wzrok, przerwał na chwilę rozmowę i przykrywając mikrofon, zapytał:

— Co się stało, Ei?

— Przyszedł jakiś człowiek, które chce dzisiaj poćwiczyć.

— No więc? Chyba dam radę. Zapisz go na jakąś godzinę.

— Sądzę, że sam powinieneś z nim porozmawiać - odpowiedziała.

— Dlaczego? Co się stało?

- Po pierwsze dopytuje się o ciebie. A poza tym widziałam, jak się porusza. On nie potrzebuje nauki.

Terry uśmiechnął się.

-Widzisz, jacy stajemy się popularni? To przez ten artykuł w *New Yorku*. - A gdy nie reagowała, spytał: - Coś poważniejszego?

Przytaknęła.

- Ten facet przyprawia mnie o dreszcze. Jego oczy... - Wzruszyła ramionami. - Sama nie wiem. Ale wolałabym, żebyś ty się nim zajął.

— Dobra. Podaj mu herbatę albo co będzie chciał. Zaraz przyjdę. Przytaknęła lekko się uśmiechając.

— Co się tam dzieje? - zapytał Vincent. Terry zdjął dłoń z mikrofonu.

— Och, pewnie nic takiego. Jakiś klient przestraszył Ei.

— A co u niej?

— W porządku.

— A jak wasze sprawy?

- Och, sam wiesz. Na razie bez zmian - Terry zaśmiał się. - Nadal czekam na jej zgodę. Już tyle razy się oświadczałem, że starłem kolana w czterech parach spodni.

Vincent też się zaśmiał.

— Jesteśmy umówieni na kolację wieczorem, chyba nic się nie zmieniło?

— Nie ma sprawy. Tylko wolałbym wcześniej, bo chcę się jeszcze zobaczyć z Ei.

— Dobra. Chcę ci po prostu zadać parę pytań. Nick też miał być, ale...

— O rany! Co tam u niego? Dzwonił do mnie tuż przed wyjazdem. Czy objaja się cały czas?

Vincent się zaśmiał.

— Tak, dopóki go nie dorwałem. Ma też nową dziewczynę.

— To dobrze - powiedział Terry. - Najwyższy czas. Nie zerwał z przeszłością, co?

— Nie - Vincent wiedział o co mu chodzi. - Kazał pozdrowić ciebie i Ei. Sądzę, że niedługo wróci i wtedy wpadnie do nas.

— To mi wystarczy. Hej, mój klient chyba odgryzie głowę Ei, jeśli się nie pospieszę. Do zobaczenia o siódmej. Cześć.

Odwiesił słuchawkę, przeszedł pokój i skręcił za drzwiami, by spotkać się z tym wspaniałym gościem.

Kiedy Terry wszedł, obawy, które żywiła Eileen Okura po części zniknęły. Była zaniepokojona dwoma faktami. Po pierwsze, mężczyzna podszedł tak, że go nie usłyszała. Po drugie, jego zachowanie było nietypowe. Stał cały czas w tej samej pozycji z torbą przewieszoną

przez plecy, kręcił okularami trzymając je między palcami prawej ręki. Skóra na jego twarzy i rękach była zbyt jasna jak na Azjatę. Ale zauważyła, gdy spojrzała na jego szyję pod rozpiętym kołnierzykiem, że jaśniejsza cera kończyła się tam i jego tors był znacznie ciemniejszy, bardziej naturalnego koloru. Tak jakby był po jakimś strasliwym wypadku, na przykład wybuchu, w którym jego ciało zostało poparzone. Przede wszystkim jednak chodziło o jego oczy. Patrzyły bez życia, czarne kamienie wrzucone do stojącej wody, nie wyrażały - żadnych emocji. Oczy te patrzyły na nią teraz tak, jakby była jakimś przypadkiem medycznym i leżała nago na stole przed dokonaniem sekcji. Poczowała, jak chwytają ją dreszcze.

— *Watashi ni nanika goyo desu ka* (W czym mogę pomóc)? - Terry zwrócił się do mężczyzny.

— *Anata ga kono dojo no master desu ka* (Czy pan jest mistrzem w tym *dojo*)!

Terry, ignorując bezpośredniość, a tym samym niegrzeczną formę pytania, odpowiedział:

— *So desu* (Tak).

— *Koko de renshu sasete itadakitai no desu ga* (Chciałbym poćwiczyć).

— Rozumiem. A w jakich dyscyplinach?

— *Aikido, karate, kenjutsu*.

— Jeżeli chodzi o *aikido* i *karate*, nie ma problemów. Natomiast trening *kenjutsu* jest niemożliwy, gdyż instruktor wyjechał na urlop.

— A czy pan nie mógłby go zastąpić?

— Ja? Już nie nauczam *kenjutsu*.

— Nie potrzebuję nauki. Chcę potrenować przez godzinę.

— Ale...

— To lepsze niż wypełnianie jakichś druczków.

— Słusznie. Nazywam się Terry Tanaka, a pan?

— Hideoshi.

Imię z tradycją. Terry pokiwał głową.

- Dobrze. Panna Okura da panu formularz. Opłata wynosi czterdzieści dolarów za godzinę.

Mężczyzna lekko kiwnął głową. Terry spodziewał się, że wyjmie plastikowy portfel wypełniony czekami podróżnymi, ale on wyciągnął rulon banknotów z prawej kieszeni spodni i odliczył sześć dwudziestodolarówek.

— Proszę tu podpisać - wskazał Terry. Kiwnął głową w stronę małych drzwi na końcu pokoju. - Tam może się pan przebrać. Czy ma pan własny strój?

— Tak.

— Dobrze. W porządku. *Dojo jest* piętro wyżej. Od jakiej dyscypliny chciałby pan zacząć?

— Niech to będzie niespodzianka z pana strony - powiedział Hideoshi odchodząc. Wyszedł i zniknął w ciemnościach przebieralni.

Terry odwracając głowę zobaczył, że Eileen wpatruje się w te drzwi. W pokoju nie było cieni, gdyż na wpół przymknięte żaluzje przykrywające wysokie, wąskie okna dawały jedynie światło rozproszone, które wytwarzało aureolę wokół jej ciała. Wygląda na małą i szczupłą, pomyślał. Jak pobladła baletnica przed wykonaniem trudnego fragmentu.

- Kto to jest? - Jej głos zabrzmiał jak szept w tym wysokim pokoju. Nad ich głowami słyszać było stąpanie po klepkach podłogi.

Terry wzruszył ramionami. Był wysoki, metr osiemdziesiąt wzrostu, z szerokimi barkami, szczupły w pasie i biodrach. Miał płaską twarz z wysoko położonymi kośćmi policzkowymi, czarne oczy. Powiedział Eileen, co ustalili.

- Chyba nie zrobisz tego, Terry? Wzruszył ramionami.

- Dlaczego nie? To tylko godzina treningu. - Ale wiedział, co ma na myśli i nie było mu aż tak lekko na duszy, jakby wynikało z wypowiedzi. Był, obok Nicholasa, jednym z największych mistrzów *kenjutsu* mieszkających poza granicami Japonii. Z trzydziestu ośmiu lat życia, Terry spędził trzy czwarte z nich na nauce sztuki władania mieczem. Powody, dla których w ciągu ostatniego roku jej nie praktykował, mogłyby być trudne do zrozumienia dla człowieka z Zachodu.

Po pierwsze, żadna ze sztuk walki nie opierała się wyłącznie na kondycji fizycznej. Właściwie duże znaczenie odgrywała psychika. Wiele lat temu przeczytał *Go rin no sho - Księgę pięciu zwojów* Musashiego, jeden z najlepszych traktatów dotyczących strategii. Napisana na krótko przed śmiercią wielkiego wojownika, zawierała myśli o ponadczasowym znaczeniu. W dzisiejszych czasach wielu wybitnych ludzi interesu w Japonii planowało duże kampanie reklamowo-handlowe korzystając ze wskazówek Musashiego.

Minął rok, gdy Terry po raz kolejny sięgnął po *Go rin no sho*. Tym razem znalazł w jej słowach inne, bardziej ponure znaczenia. Nabral pewności, że nie chce poświęcić życia ćwicząc się w sztuce panowania nad innymi ludźmi. Nękały go sny, tajemne znaki bez kształtu lub oblicza, tym bardziej przerażające i niebezpieczne. Czuł, że musi pozbyć się książki i wyrzucił ją w środku nocy nie czekając nawet do rana.

Gdy przyszedł dzień, złe samopoczucie pozostało. Poczł nagle, że być może wykonał w nocy złe posunięcie i znalazł się na krawędzi wielkiej otchłani. Czuł chęć spojrzenia poza tę krawędź, ale wiedział, że pewnie straci równowagę i stoczy się w krainę ciemności. Dlatego cofnął się i odłożył swój miecz na zawsze.

Lecz oto dzisiaj pojawił się dziwny człowiek, imieniem Hideoshi. Terry aż zadrżał w duchu, ale był zbyt opanowany, by okazać Eileen swoje odczucia. A poza tym nie chciał jej denerwować.

To był jakiś tajemniczy znak, gdyż nie ulegało wątpliwości, że ten człowiek na pewno znał nauki Musashiego. Co więcej - nie miał również wątpliwości, że Hideoshi jest adeptem *haragei*. Istotą tego terminu było połączenie dwóch słów: *hara*, czyli skupienie, i *ki*, czyli energia wewnętrzna, która faktycznie dawała więcej niż intuicja lub „szósty zmysł”, a jak mawiał mistrz Terry’ego: „Był to sposób postrzegania rzeczywistości”. Taki człowiek miał jakby oczy z tyłu głowy i wzmacniacze w uszach. Ale *haragei* funkcjonowało na dwa sposoby. Będąc bardzo czułym odbiorcą, adept tej sztuki był równie dobrym nadawcą. Terry właśnie coś poczuł.

— To tylko kolejny Japończyk, który przyleciał samolotem - powiedział nonszalancko do Eileen. Nigdy, pod żadnym pozorem nie powiedziałaby jej, co wiedział o tym człowieku.

— Jednak coś z nim jest nie tak. - Stała nieruchomo patrząc nadal na drzwi, które wyglądały jak zęby uśmiechniętego kościotrupa. - Te jego oczy... - Zadrżała. - Takie nieludzkie jak obiektywy. - Podeszła bliżej Terry’ego. - Jak myślisz, co on tam tak długo robi?

— Na pewno medytuje - odpowiedział Terry. Podniósł telefon i przełączył go na interkom. Mówił krótko i cicho z kimś piętro wyżej, informując o przybyciu nowego klienta. Odłożył słuchawkę. - To jeszcze mu zajmie co najmniej ze dwadzieścia minut - powiedział. Spojrzał na jej długie, czarne, błyszczące włosy. Zaczesane w tył, bez związywania, wyglądały jak ciemny strumyk spływający z ramion, po placach, jak wodospad, kończąc się tuż nad pośladkami. Już miała coś powiedzieć, ale on zaczął pierwszy.

— O co chodzi? Odwróciła głowę.

— Nic. Czuję, że się we mnie wpatrujesz. Uśmiechnął się.

— Robię to cały czas.



-W nocy to w porządku. - Jej wzrok był poważny, wydatne wargi proste i nieruchome. - Ale nie rób tego tutaj, Terry. Proszę cię.

Wiesz, że tego nie lubię. Pracujemy razem i... - Ich oczy spotkały się i przez chwilę czuł, jakby coś ścisnęło go za serce. Czy był to wyczuwany przez niego strach, czyhający niczym nocny zbój?

Wyciągnął rękę i przyciągnął Eileen do siebie. Tym razem nie stawiała oporu i jakby szukając ciepła, pozwoliła, by ją przytulił, sama ściskając go mocno. Czuła się teraz bezpiecznie, kiedy on był tak blisko.

- Czy dobrze się czujesz, Ei?

Pokiwała głową, opartą o jego ramię, bez słowa, lecz poczuła, jak łzy zbierają się w jej oczach. Gardło zaciskało się, a ona nie mogła zrozumieć dlaczego.

— Chcę być z tobą dziś w nocy - usłyszała swój głos i od razu poczuła się lepiej.

— Dlaczego nie każdej nocy? - zapytał Terry.

Zadawał to pytanie nie po raz pierwszy, choć dawniej pytał w inny sposób. Jej odpowiedź, do tej pory, zawsze brzmiała tak samo, lecz dzisiaj wiedziała, co jest powodem jej wewnętrznego niepokoju, wiedziała, że jeżeli ją dziś wieczór poprosi jeszcze raz, co na pewno uczyni, to wówczas jej odpowiedź będzie brzmiała „Tak”.

- Dziś wieczorem - powiedziała cicho. - Oświadcz mi się dziś wieczorem. - Przetarła oczy. - O której mam przyjść?

- Jestem umówiony z Vincentem na kolację. Może zjesz z nami? Lekko się uśmiechnęła.

- Och, nie. Za dużo jest spraw, o których mówicie, a które mnie nie interesują.

- To porozmawiamy o czymś innym. Obiecuję. Zaśmiała się.

— Ależ nie, przecież nie mam żalu o to, że *bushido* jest dla ciebie tak ważne.

— To część naszego dziedzictwa. Bez tego nie bylibyśmy Japończykami. Jeszcze na tyle nie zasymilowałem się z kulturą amerykańską, by zapomnieć historię mojego narodu... - Przerwał widząc, że ona drży, a jej powieki mrugają.

— Mój naród - powtórzyła jego słowa jak echo. - *Bushido*. Zginę za cesarza i moją ukochaną ojczyznę. - Łzy wyciekły spod opuszczonych powiek, stwarzając wrażenie tęczy. Za nimi ukrywał się ogrom bólu. - Przeżyliśmy wielki pożar w marcu - jej szept brzmiał niczym okrzyki umierających - kiedy to amerykańskie lotnictwo zrzuciło prawie trzy czwarte miliona bomb z napalmem, kiedy dwieście tysięcy cywilów ugotowało się, bądź usmażyło żywcem, kiedy połowa Tokio zamieniła się w zgłiszczą, a gdy się szło następnego dnia ulicą, wiatr rozdmuchiwał pył zwęglonych szczątków mieszkańców.

— Ei, przestań...

— Dlatego wyjechaliśmy z miasta, z dala od wojny, na południe, do Hiroszimy. Ale wkrótce moi rodzice przerażeni plotkami wysłali mnie do dziadków w góry. - Patrzyła tępo na

niego, jakby go nie widziała. - Nigdy nie starczało nam żywności i powoli ludzie zaczęli umierać z głodu. Och, nie było to nic makabrycznego, po prostu coraz większe osłabienie. Siedziałam na dworze godzinami i nie byłam zdolna myśleć o czymkolwiek. Czesanie zabierało mi kilka godzin, bo nie mogłam podnosić rąk z wycieńczenia. Taki był mój los. A dla mojej matki i mojego ojca była Hiroszima i bomba, która spadła z nieba. - Jej wzrok skupił się na nim. - Co mi pozostało oprócz wstydu i bólu? Co nasz naród zrobił i co z kolei jemu zrobiono. Mój biedny kraj.

— Teraz jest już po wszystkim - powiedział.

— Nieprawda. To właśnie ty, jak nikt inny, powinienes to zrozumieć. Bo przecież ciągle rozprawiacie z Vincentem i Nickiem o duchu naszej historii. Jak wy możecie ją czcić bez odczuwania wstydu? Być może pamięć jest wybiórcza, ale nie historia. Jesteśmy, kim jesteśmy. Nie można w sposób arbitralny selekcjonować historii, odrzucać negatywne fakty udając, że ich nigdy nie było. Nick tego nie robi, wiem o tym, on pamięta i nadal czuje ból. Ale ty i Vincent postępujecie inaczej.

Chciał jej opowiedzieć o swych ostatnich przemyśleniach, ale poczuł, że nie może. Przynajmniej nie teraz. Nie było to ani właściwe miejsce, ani właściwa pora, a on przywiązywał do tego wielką wagę. Być może dziś wieczorem. Wieczorem wszystko sobie wyjaśnią. Patrzył na nią, jak stała w rozproszonym świetle, na jej aksamitną cerę, długą, szczupłą szyję, zgrabne ciało. Trudno było sobie wyobrazić, że ma czterdzieści jeden lat. Nie wyglądała na więcej niż trzydzieści, nawet przy ostrym świetle.

Minęły już dwa lata, jak się spotkali, a rok, jak zostali kochankami w tajemnicy przed personelem ośrodka, choć ich przyjaciele o wszystkim wiedzieli. Przez cały ten czas o nic nie prosiła, nie żądała zabezpieczenia na przyszłość. To on ostatnio poczuł potrzebę zmian. Zdał sobie również sprawę z tego, że jego odejście od *kenjutsu* nastąpiło jednocześnie z początkiem znajomości z Ei. Teraz było oczywiste, że nie ma dla niego ważniejszej sprawy na świecie niż bycie z nią. Szkoła, którą otworzył przed pięciu laty, miała dobrą renomę i był pewien, że może funkcjonować przez jakiś czas bez niego. Czas wystarczający, aby wziąć ślub i pojechać w długą, nie męczącą podróż poślubną, gdzieś daleko stąd. Może do Paryża. Tak, na pewno do Paryża, było to *jej* ulubione miasto, a on tam nigdy nie był. Pozostawało tylko się oświadczyć. Dziś wieczorem. Czy się zgodzi? Podejrzywał, że tak i aż mu się zrobiło błogo na sercu.

- Dziś wieczorem - powiedział. - Wrócę przed dziewiątą lub dziesiątą, jeżeli Vincent gdzieś ugrzęźnie w korku. Ale masz przecież klucz do mnie, są tam jeszcze twoje rzeczy. Przyjdź, o której chcesz, ale przynieś szampana, najlepiej Dom Perignon. Ja kupię kawior.

Mogła zapytać na co te przygotowania, ale uważała, że popsułoby to nastrój. Będzie przecież dość czasu, by się dowiedzieć tego, co i tak serce już jej mówiło.

- Dobrze - powiedziała z szeroko otwartymi oczami. Odwrócił się gwałtownie,

przypominając sobie klienta.

- Lepiej jak pójde na górę i przygotuję *bokken*. Hideoshi wkrótce skończy, a ja chcę być gotów, gdy wkroczy do sali.

Oczy Justine były suche. Stanowiło to dla niej nowe doświadczenie, ale nie przyniosło pociechy. Nie mogło, gdyż niepokój powrócił, poczuła jakby skręt kiszek, potem ból w mostku utrudniający oddychanie, ból, którego nie mogła się pozbyć. Nic się ze mną nie dzieje, po prostu nic. Dostała dreszczy, było jej zimno. Palce miała zupełnie skostniałe.

Stała w zaciemnionej bawialni domu Nicholasa, patrząc na padający deszcz i mgłę w tę potworną niedzielę. Gdzieś tam, na zewnątrz, było morze falujące bez przerwy, ale deszcz przesłaniał jej widok, jakby na złość, niczym różga od Mikołaja. Myślała o tym, żeby wyjść, przebić się przez mgłę i dotrzeć do oceanu, ale nie miała wystarczającej siły, by pokonać taką pogodę.

- O Boże!

Odwróciła się od okna, w które bębnił grad i pobiegła na oślep przez dom, szukając łazienki, a kiedy wreszcie do niej dotarła, upadła na kolana przed muszlą i zwymiotowała. Jej ciało trzęsło się, na czole pojawił się pot, który spływał do oczu małymi, dokuczliwymi strumyczkami.

Po dłuższym czasie, gdy już nie mogła znieść dokuczliwego zapachu, pociągnęła za gałkę i spuściła wodę. Wykorzystała do tego całą swoją energię. Ale później znalazła w sobie jeszcze tyle siły, by się podnieść i nachylić nad zlewem. Zimna woda uderzyła ją w twarz niczym pociski z karabinu maszynowego. Drżała, starała się wypłukać usta. Nie potrafiła przełknąć.

Siedząc na krawędzi żeliwnej wanny, czując, jak zimna poręcz odciska się na jej pośladkach, skuliła się, kryjąc twarz w ramionach opartych o kolana. Bujała się tam i z powrotem myśląc: Nie mogę tego zrobić, nie mogę.

Przyszła kolej na samooczyszczenie umysłu. Obraz zdrady, rozwijający się przed nią niczym znieawidzony sztandar na wietrze, przesłonił wszystko. Wszyscy jej dotychczasowi faceci. Timothy, jej pierwszy chłopak, trener koszykówki w szkole średniej. „Będę delikatny, Justine” - tak mówił, a później wbijał się w nią członkiem raz po raz jak szaleniec, zadowolony z wyrazu bólu na jej twarzy, jej płaczu w ciemnościach pustej sali gimnastycznej, a w oczach miał ogień, gdy ona się bała. Potem był Jodie, absolwent Harvardu, ze śmiejącymi się oczami i okrutną duszą. „Chcę być chirurgiem, Justine” - mówił i jak chirurg ją traktował. Następnie Eddie, który sypiał na przemian z nią i ze swoją żoną mówiąc, że żadnej nie porzuci. I w końcu, w San Francisco, był Chris. Gdy się zeszli, to tak jakby wybuchł wulkan rozkoszy, byli sobą nienasyceń, obojętni na wszystko i wszystkich wokół. Ale może zachowywał się tak tylko wtedy, kiedy był z nią. Nie mogła znieść prawdy, o której się dowiedziała, nawet teraz. Przypominanie sobie o tym było aktem

wyrafinowanego masochizmu, jak zdzieranie strupa z gojącej się rany i drażnienie nerwów.

Używała wówczas nazwiska ojca, a także jego pieniędzy. Być może ktoś je liczył, ona na pewno nie. Być może to właśnie nadmiar pieniędzy powodował jej słabość i lenistwo. Jakże łatwo było wszystko zwalić na ten powód, gdy powróciła wówczas do domu. Jak nienawidziła ojca za to wszystko, za pieniądze i za nazwisko, które w jej mózgu kojarzyło się ze słowem „sława”. On postępował inaczej, miał dokładne wyliczenie wydatków córki, ale nie dlatego, żeby je ograniczać, bo to żadne sumy, tylko po to, aby zmniejszyć odprowadzany przez siebie podatek.

Boże, od tych nastrojów stając się coraz bardziej opryskliwa i zgorzkniała - pomyślała. - To tak, jakbym miała chorobę polegającą na nadmiernym wytwarzaniu żółci. Znowu dostała mdłości, skuliła się, żeby jakoś to przetrzymać, ale w środku nie było już nic, co można by z siebie wyrzucić. Czowała się tak, jakby połknęła próżnię.

Nie mogę tego zrobić - mówiła do siebie. - Nie mogę.

Wydała pieniądze od ojca, bardzo dużo pieniędzy, nie bezmyślnie, ale z premedytacją. Bo nienawidziła go i chciała mu dokuczyć. Ale szybko stwierdziła, że jego zasoby finansowe to studnia bez dna. Tego, nad czym tak się trudziła, on nie odczuł ani trochę.

Najbardziej zależało oczywiście Chrisowi, który te pieniądze wydawał. Przynajmniej tak to wyglądało w dniu, gdy jej ojciec zjawił się w jej domu z bandą miejscowych, wynajętych detektywów. Mogła sobie wszystko przeczytać w meldunku, który sporządzono na jej temat. Była tak tym zszokowana, że nie potrafiła wydobyć z siebie ani słowa, a co dopiero się bronić, gdy detektywi pakowali wszystkie jej rzeczy, a ona wraz z ojcem odjeżdżała jego limuzyną. W drodze powrotnej na Wschodnie Wybrzeże nie rozmawiali ze sobą, gdyż ojciec siedzący po przeciwnej stronie w ich prywatnym odrzutowcu, był zbyt zajęty czytaniem dokumentów. Choć nie była ani głodna, ani zmęczona, czowała się podle.

Obecnie tamte dni wydawały się bardzo odległe. Lata wydłużały się, a nie skracały. W drodze powrotnej przypomniawszy sobie ich starą posiadłość w stanie Connecticut, którą tak uwielbiała, ze ścianami pokrytymi zielonym bluszczem, wysokimi oknami ze szkła ołowiowego, brukowanym tarasem, szmaragdowym trawnikiem i drogą polną, ceglаныmi stajniami z zapachem siana, końskich odchodów i potu. Kochała tamten dom, czowała się w nim zupełnie jak w Anglii. W przeciwieństwie do nowego domu na Gin Lane, jednej z najznajmniejszych ulic w Ameryce, który jej ojciec kupił po śmierci matki za dwa i pół miliona dolarów, sprzedając jednocześnie starą posiadłość.

.Pamiętała Wielkanoc w starej posiadłości. Miała wtedy osiem lat. Gelda zaprosiła trochę znajomych dzieci, których ona nie lubiła lub po prostu nie miała ochoty z nimi przebywać. Jej matka pojechała do miasta po zakupy. Chodziła po ogromnym domu, wielkich jasnych pokojach, w których tu i ówdzie kręcili się służący przygotowując jakieś wieczorne przyjęcie. Wyglądając przez

okno zauważyła, że na okrągłym podjeździe stało kilka samochodów. Zeszła na parter po spiralnych głównych schodach i za zamkniętymi drewnianymi drzwiami do biblioteki usłyszała głosy. Przekręciła klamkę i weszła.

- Tatusiu?

Jej ojciec był tam, dyskutował z grupą mężczyzn o sprawach, które dla niej nic nie znaczyły.

— Justine - powiedział spoglądając na nią niechętnie - chyba widzisz, że jestem zajęty. - I nie ruszył się nawet z miejsca.

— Chciałam tylko z tobą porozmawiać. - Czuła się jak zaszczuta przez to grono mężczyzn. Jeden z nich poruszył się na kanapie, aż skóra zaskrzypiała pod jego ciężarem.

— Nie teraz. Czy mam wezwać Clifforda. - Jego wypowiedź, choć miała gramatyczną budowę pytania, jednak nim nie była.

Patrzyła bez słowa. Ojciec pociągnął za sznur dzwonka. Za chwilę pojawił się lokaj.

— Pan mnie wzywał?

— Clifford - powiedział ojciec. - Dopilnuj, żeby Justine miała jakieś zajęcie, dopóki pani Tomkin nie wróci, dobrze? Nie chcę, żeby mi więcej przeszkadzano. Czyż Gelda nie zaprosiła jakichś przyjaciół?

— Tak, proszę pana.

— No to tam jest dla niej towarzystwo, jasne?

— Tak, oczywiście, proszę pana. - Odwrócił się. - Idziemy, panno Justine...

Ale ona, odwróciwszy się, pobiegła długim korytarzem, trzaskając drzwiami wejściowymi. Słyszała za sobą tupot stóp Clifforda. Lubiła go, spędzała z nim dużo czasu na rozmowach, ale w tej chwili chciała być sama. Skręciła za rogiem domu i skierowała się do stajni, a kiedy już tam dobiegła, ledwo mogła złapać oddech.

Mieli sześć koni czystej krwi arabskiej. Jej ulubieńcem był King Said. To był jej koń, na każde żądanie. Ale oczywiście, jako dziecko, choć była dobrym jeźdźcem, nie mogła dosiadać koni bez opieki osoby dorosłej.

Ale teraz niewiele ją to obchodziło. Poszła środkiem stajni, zarzuconym sianem, aż znalazła zagrodę King Saida. Zawołała go, a on usłyszał, gdyż zaczął tupać kopytami i parskać, chętny do przejażdżki. Wychylił głowę nad nią, jego sierść lśniła. Chciała podnieść rękę i go pogłaskać, ale była zbyt niska. Wtedy wpadła na pomysł otwarcia drzwi do zagrody. Właśnie podnosiła zapadkę, gdy zjawił się Clifford.

- Och, panno Justine, nigdy nie wolno panience tak robić...

A ona odwróciła się, wtuliła w jego ramiona i zaczęła płakać, niepokieszona.

Powrót do Nowego Jorku zapowiadał kolejny dołek w jej życiu. Pełna niepokoju, nad którym nie mogła zapanować, w poszukiwaniu ratunku zwróciła się w stronę badań psychologicznych. Na początku nie czuła poprawy, ale jej ocena była niesłuszna. Jakkolwiek by było, taka ocena to rzecz wysoce subiektywna, a w jej stanie umysłu nie mogła właściwie reagować. Czuła się, jakby leżała w łóżku, bezsennie, wpatrzona w okno, za którym trwa noc, spoglądając na zegarek wskazujący bliski już poranek, który dla niej jednak się nie pojawia. Przynajmniej na razie.

Nie miała żadnego zajęcia. Nie mogąc tego znieść, zaczęła rysować, powracając do tego, co kiedyś uwielbiała. Powoli uzbierała teczkę swoich prac, była gotowa, by wyruszyć w świat.

Nie było aż tak źle, jak myślała, choć przez dwie noce nie spała ze strachu przed rozmowami w sprawie pracy. Otrzymała ją w drugiej firmie, do której się udała. Ale choć robiła to, co lubiła, szybko się zorientowała, że to jej nie wystarczy. Być może już wtedy wiedziała, że jest z nią lepiej? Dobrze wiedziała, czego jej trzeba. Ale myśl o ponownym zaangażowaniu się

uczuciowo była dla niej nie do zniesienia.

Dlatego znalazła sobie taniec. Poszła kiedyś z koleżanką z pracy na trening i zakochała się w tańcu po uszy. Teraz miała sposób na wyładowanie nadmiaru energii, rozkoszując się możliwościami różnych rytmów, występującą jednocześnie w tańcu potrzebą koncentracji i rozluźnienia.

Nie chodziło jednak o sam taniec, fascynowała ją również rozgrzewka. Ich instruktor stosował do tych celów sztukę *tai-chi*. Po jej zgłębieniu Justine zauważyła z rozkoszą, że mogła teraz uprawiać każdy styl: od nowoczesnego - po klasyczny.

Ćwiczyła już rok, gdy instruktor któregoś dnia powiedział jej: „Wiesz, Justine, gdybyś zaczęła ćwiczyć za młodu, to dzisiaj byłabyś wielką tancerką. Mówię ci to, żebyś wiedziała, jaki jest twój poziom. Jesteś jedną z moich najlepszych uczennic, nie tylko dlatego, że masz odpowiednie ciało, ale również dlatego, że twoja dusza żyje tańcem. To jest oznaką wielkości, Justine. Niestety, straconych lat nie da się odrobić”.

Była dumna i szczęśliwa. Wiedziała, dlaczego tak jest. Po raz pierwszy w życiu czuła, że panuje nad sobą, nie była już narażona na kaprysy losu. Czuła wreszcie możliwość bezpośredniego wpływania na swoje życie, to było dla niej bardzo ważne.

W ciągu miesiąca porzuciła pracę w firmie i przeszła na własny rozrachunek. Firma jednak nadal chciała z nią współpracować i ona na to przystała. Ale teraz mogła przebierać w ofertach. Po sześciu miesiącach samodzielności potroiła swoje przeciętne dochody w stosunku do pensji w firmie.

Wtedy zdecydowała się na ten dom w West Bay Bridge.

I spotkała Nicholasa.

- Nie mogę tego zrobić, nie mogę...

Wstała i zataczając się jak pijana, wyszła z łazienki. Szła wzdłuż korytarza trzymając ręce wyciągnięte przed sobą niczym niewidomy, by nie stracić kierunku. W bawialni uderzyła w bulgoczące akwarium. Wszyscy kolorowi przybysze z głębin morskich pływali jakby uśpieni, niewidomi, głusi czy niemi. Piękni i nieświadomi jak roślinność dryfująca w kierunku powierzchni. Znowu poczuła mdłości i odwróciła się kierując kroki w stronę drzwi wyjściowych.

- Nie mogę się zaangażować. Nie mogę mu zaufać. O Boże!

Wytoczyła się na deszcz, potknęła się na drewnianych schodkach, padając na kolana w mokry piasek. Był jak ciasto, przylepiał się do wszystkiego.

Podczołgała się kilka metrów, potem odzyskała jakoś równowagę i pobiegła do siebie.

Niedługo po tym Nicholas powrócił z plaży, gdzie znaleziono drugie ciało. Tym razem nic nie ruszali do jego przybycia.

„Zrobiono to jednym cięciem. Czy mnie zrozumiałeś?” - tak powiedział przez telefon Vincent. Oczywiście, że rozumiał. Chodziło o cięcie mieczem.

Denat przecięty był od prawego ramienia, na ukos w dół, do lewej kości biodrowej. Jednym ruchem, jednym cięciem najlepszego ostrza, jakie kiedykolwiek pojawiło się na Ziemi. Mogło przeciąć pancerz, a ciało i kości rozcinało jak papier. Te same stare główne używane były przez setki lat przez kolejne pokolenia wojowników nie tracąc nic ze swej ostrości czy skuteczności. Nawet w dzisiejszych czasach żadna inna broń nie dorównywała w swej wspaniałości japońskiej *katana*.

Teraz musieli całkowicie zmienić wyciągnięte uprzednio wnioski. Barry Braughm nie był jedynym celem *ninja*. Choć na pierwszy rzut oka nic nie łączyło tych dwóch ofiar. Ten leżący tutaj pracował dla Lilco, przedsiębiorstwa energetycznego obsługującego Long Island, był robotnikiem, pochodził z rodziny zaliczanej do niższej klasy średniej. Nie mieli ze sobą nic wspólnego, po prostu nic.

Ale *ninja* wciąż tu był i zabijał.

Kiedy Nicholas wszedł do swego domku, zrzucił z siebie cienki płaszcz przeciwdeszczowy koloru khaki. Miał przemoczone trampki i dżinsy, ale nie zważał na to zbyt. Myślał o Justine i tym stworzeniu, które nocą wpadło wybijając kuchenne okno. Wolał nie zastanawiać się, co to mogło być. To i tak by nic nie dało. Ale prosił ją, by nie opuszczała jego domku i nie wracała do siebie.

Justine jednak nie było.

Cicho zaklął, w drodze powrotnej przez bawialnię podniósł płaszcz i wyszedł.

Nikt nie odpowiadał na jego pukanie, ale idąc tutaj widział, że z tyłu domu, w sypialni, pałą się światła. Zapukał jeszcze raz, a następnie w obawie, że coś się mogło stać, nacisnął klamkę. Drzwi były otwarte, wszedł do środka.



Zaraz za progiem zamarł w bezruchu, nasłuchując i wypatrując cieni. Ktoś był w środku, ale nie obcy. Wywnioskował to od razu, był na tyle wytrenowany, że jego umysł nie potrzebował czasu na to spostrzeżenie.

Zawołał ją.

- Justine!

Martwiło go nie tylko to pojedyncze cięcie. Zarówno Vincent, jak i Deerforth nie zauważyli innej rzeczy, a przynajmniej nie wiedzieli, od czego pochodzi. Nachylając się nad ciałem miał okazję przyjrzeć się dokładnie lewemu ramieniu. Krwiak właśnie zaczął ciemnieć. Dotknął go, wyczuł złamanie obojczyka. Od razu się domyślił przyczyny, ale nie chciał się paniki wśród innych, nawet u Vincenta. Bo jeżeli to, co przypuszczał, było prawdą...

Był kiedyś człowiek, który nazywał się Miyamoto Musashi; być może największy wojownik w historii Japonii. Utworzył między innymi *Niten-ryu*, czyli Styl Dwojga Niebios w *kenjutsu*, który polegał na walce dwoma mieczami. Musashi, znany także jako Kensei - Święty Szermierz - ufnął w swe umiejętności, używał często podczas pojedynków drewnianych mieczy treningowych - *bokkenów*, uważając je za równie skuteczną broń jak *katana*.

Te wszystkie rozmyślenia prowadziły do jednego. Ofiara została trafiona dwa razy, a nie raz, jak uważał Vincent. Pierwszym było cięcie ostrzem *katana*, które rozkroiło ciało, drugim, które nastąpiło prawie równocześnie, uderzenie *bokkenem* łamiące obojczyk.

- Justine, to ja, Nick.

Usłyszał jakieś poruszenie z tyłu domu. Poczul się nagle tak, jakby z niebios wokół niego leciało konfetti, a on rozpoznawał zbliżającą się postać, powoli, w miarę jak wszystko opadało na ziemię.

To co zobaczył, przeraziło go do głębi.

Justine ukazała się, obrysowana światłem padającym od tyłu, wysuwając się przez wpółotwarte drzwi.

— Co ty tu robisz?

— Justine? - Wiedział, że to ona, ale był zaskoczony jej głosem.

— Po co przyszedłeś?

— Mówiłem, żebyś została u mnie, z dala od tego domu. Wolał nie myśleć o tym czarnym, włochatym stworze w kałuży krwi na kuchennej posadzce. Starał się uspokoić, zignorować fakt, że przez przypadek było to zwierzę używane przez *ninja* do rytualnych ostrzeżeń. Ale nie udało mu się o tym nie myśleć.

— Miałam atak klaustrofobii, rozumiesz? Mówiłam ci, że zdarza mi się to od czasu do czasu.

— Tu nie jesteś bezpieczna.

— O czym ty mówisz? Jest mu tu dobrze. To jest mój dom. Mój, Nick. - Światło wokół niej błyszczało jak aureola, nie był w stanie dostrzec jej ruchów. Ale nie musiał.

— Chyba mnie nie rozumiałaś.

— Nie - powiedziała poważnym głosem. - Obawiam się, że to ty mnie nie rozumiałeś. - Podeszła bliżej. - Może byś już sobie poszedł. Proszę.

— Ale co się stało?

— Nie mam ci nic do powiedzenia.

— Ależ to niemożliwe.

— Nie chcę na ten temat rozmawiać i tyle.

— Ale zaangażowani jesteśmy obydwój.

— Nick, nikt się w nic nie zaangażował.

— Wiesz, co chcę przez to powiedzieć.

— Tak. Dlatego powiem ci tylko, że nie jestem jeszcze gotowa na coś takiego.

— Co takiego?

— Nie każ mi nazywać rzeczy po imieniu.

— Chcę tylko wiedzieć, co cię napadło.

— Po prostu... ty mnie w ogóle nie znasz. A ja już taka jestem. Zmienna, niepewna - westchnęła. - Nick, idź już sobie. Nie urządź teraz scen.

Skierował w jej stronę otwartą dłoń.

— Żadnych scen. - Podeszedł bliżej. - Chcę tylko usłyszeć parę odpowiedzi.

— Tutaj nic nie usłyszysz. A na pewno nie dzisiaj. - Zaczęła się odwracać, kierując się tam, skąd przyszła.

— Justine, zaczekaj! - Wyciągnął rękę i złapał ją za ramię.

— Odejdź ode mnie! - krzyknęła, odpychając go. A później spokojnie szepnęła: - Odejdź ode mnie. Mówię serio, Nick.

Odwrócił się i odszedł, pozostawiając ją podobną cieniowi człowieka.

Słychać odgłos uderzeń, chwila ciszy i znów to samo.

- *Hai!*

W miarę jak przesuwali się wzdłuż cienkiej linii, będącej średnicą wyimaginowanego pola walki, Terry po raz pierwszy w swym życiu poczuł strach przed przeciwnikiem. Dla mistrza *kenjutsu* strach był rzeczą nie znaną. Aż do tego dnia.

Nie bał się przegranej w pojedynku, przegrał nawet już kilka razy i wiedział, że ten człowiek jest w stanie go pokonać. Nie, tu chodziło o coś bardziej wyrafinowanego. Chodziło o sposób, w jaki walczył Hideoshi. Styl walki był podstawą *kenjutsu*, po nim można było wiele

dowiedzieć się o przeciwniku. Nie tylko, gdzie i u kogo uczył się szermierki - ale również jakim był człowiekiem. Bo styl wyznaczał filozofię życia i podejście do religii, a także system wyznawanych wartości.

Terry był zaniepokojony, gdyż zauważył w filozofii walki swego przeciwnika pogardę dla ludzkiego życia. Więc Eileen miała rację, gdy mówiła, że jego oczy są bez życia, nie mają żadnego blasku, jakby były ze szkła, że nie kryje się za nimi żadne uczucie. To wszystko niepokoiło Terry'ego. Czytał i słyszał opowiadania o samurajach z siedemnastowiecznej Japonii, z czasów gdy Ieyasu Tokugawa połączył zwaśnione księstwa tworząc shogunat, który przetrwał dwa stulecia. Ludzie ci nie przywiązywali wagi do ludzkiego życia, byli maszynami do zabijania wykonującymi rozkazy swego pana, lojalni tylko wobec niego i kodeksu *bushido*. Choć kodeks ten mimo swej surowości uwzględniał istnienie uczuć. Ale samuraje nie korzystali z tej możliwości. Terry często się zastanawiał, co spowodowało ich upadek moralny.

Pojedynekował się właśnie z takim człowiekiem. Wydawać by się mogło, że przybył do niego z tamtej epoki. To jest właśnie *karma*, pomyślał Terry.

Przesunął się w lewo i zaatakował, ale cios został natychmiast sparowany. Ich miecze świstały w powietrzu, poruszali nimi tak szybko, że dla niewprawnego oka mogło to wyglądać tak, jakby trzymali wielkie wachlarze.

Terry przyklęknął, wykonując cięcie poziome, lecz nie przebił się przez blok przeciwnika. Mniej doświadczony szermierz próbowałby teraz zadać cios ostateczny, tnąc z góry, lecz poniósłby klęskę, gdyż wystarczyło krótkie pchnięcie, aby koniec miecza Terry'ego zagłębił się w jego brzuchu.

Zamiast tego Hideoshi cofnął się, zmuszając Terry'ego do powstania i podjęcia dalszej walki. Zremisowali dwa starcia, a ponieważ upłynęła już godzina, to było ich ostatnie złożenie. Jednak po odparciu kilku błyskawicznych ciosów, Terry zdał sobie sprawę, że nie poznał jeszcze wszystkich możliwości swojego przeciwnika. Prawdę mówiąc, odniósł wrażenie, że przez ostatnie czterdzieści minut Hideoshi po prostu się bawił.

Zdenerwowany, zadawał kolejne ciosy. Lecz przeciwnik, zamiast je parować, trzymał *bokken* blisko jego miecza, jak cień kopiując jego ruchy. Nagle zbliżyli się do siebie i Terry miał okazję po raz pierwszy przyjrzeć się twarzy Hideoshiego. Na krótką chwilę, nie dłuższą niż dziesiąta część sekundy, jego *zanshin* - czyli połączenie odpowiedniej postawy ciała z zachowaniem pełnej koncentracji i zdolności do walki, uległ osłabieniu. Przeciwnik niemal z pogardą odepchnął miecz Terry'ego. Nie było czasu na odpowiedź. Terry poczuł sztych na swoim gardle. Był pokonany.

Nadciągał zmiernych, gdy Justine wyszła z sypialni, by zrobić sobie drinka. Przez frontowe

okna można było zobaczyć tylko grubą powłokę szarych chmur, ciągnących się niczym serpentyny po zabawie karnawałowej, wystrzępione i porwane przez wiatr. Białe światło wymazywało wszystkie kolory z krajobrazu. Piasek wyglądał jak twarda, krucha masa - niczym stygnący ołów.

Zastygła z dłonią zaciśniętą na butelce rumu. Zauważyła jakiś cień na werandzie. Odstawiając butelkę przesunęła się w prawo, żeby mieć lepszy widok. Minęła filar dzielący dwa duże okna. Zasłony poruszały się utrudniając dodatkowo patrzenie. Przesunęła się w lewo i zamarła. Cień zamienił się w postać. Ktoś tam był.

Poczuła, jak ogarnia ją trudny do określenia strach i bezwiednie położyła rękę na gardle. Jej serce biło jak kafar i przypomniała sobie słowa Nicholas: „Tu nie jesteś bezpieczna”. Czy taką sytuację miał na myśli? Żałowała teraz, że nie wysłuchała jego rad, ale wówczas jej jedynym celem było odtrącenie go, słyszała wtedy tylko własne słowa. Teraz do szaleństwa doprowadzała ją myśl, że mogła nie zamknąć drzwi frontowych po jego wyjściu. Sądziła, że raczej je zamknęła; bała się do nich podejść, by nie ściągnąć na siebie uwagi. Musiałaby przejść tuż obok okien. Myślała o tym, żeby się podczołgać, ale bała się, że nie zrobi tego wystarczająco cicho.

W końcu pomyślała o telefonie. Nie odrywając wzroku od postaci, wycofała się powoli do korytarza. Sięgnęła po słuchawkę trzęsąc się tak, że prawie ją upuściła. Uklękła, żeby ją podnieść i wykręciła numer Nicholas. Zamknęła oczy modląc się, by był w domu. Każdy sygnał był jak soplel wbijany w jej serce, poczuła zimno, w chwili gdy odkładała słuchawkę, całe jej ciało pokryła gęsia skórka.

Przeszła po cichu, na czubkach palców, do bawialni. Usiadła na poręczy kanapy i obserwowała tajemniczą postać. Pomyślała o wyjściu przez tylne drzwi, ale co dalej? Miała zapukać do sąsiadów? I co powiedzieć? Że się boi cieni?

Nagle poczuła się głupio, jak wariatka osaczona przez szaleństwa swojego umysłu. A poza tym postać ta nie poruszyła się od chwili, gdy ją zauważyła. Mogło to być oparcie krzesła albo...

Wstała i ruszyła w stronę drzwi nie dając sobie czasu na zmianę decyzji. Otworzyła je i wyszła na taras. Powietrze było aż ciężkie od parującego morza, choć może to tylko wilgoć była otepiająca. Od wschodu wiał orzeźwiający wiatr.

Jakby była robotem - zmusiła się, by spojrzeć w kierunku postaci.

- Nicholas! - krzyknęła.

Siedział w pozycji lotosu z rękami opartymi o kolana, patrząc w morze.

— Co ty robisz? - podeszła do niego. - Nick? - Zatrzymała się i pochyliła. - Co ty, do diabła, wyprawiasz?

— Myślę.

— O czym? - Łatwo jej to się powiedziało, choć biorąc pod uwagę swój nastrój, nie powinna być tego mówić. Mogła lepiej powiedzieć: „Mógłbyś to robić gdzie indziej, z dala”. Ale

nie powiedziała tak i to ją zdziwiło. Zadziwiło ją, że w momencie, gdy stwierdziła, iż jest strażnikiem jej domu, a właściwie bezpieczeństwa jej samej, nie napastnikiem, jej niepokój zniknął jak zły sen. W jego miejsce wkradło się... no właśnie, co? Gdy się tak zastanawiała, usłyszała jak powiedział:

— Teraz będę musiał ci to powiedzieć.

zareagowała lepiej, niż się spodziewał. Choć to, co mówił, było równie przerażające jak powiedzenie „masz nowotwór złośliwy”.

— Czy jesteś pewien? - spytała.

— Nie mówiłbym tego, gdybym nie był. Nie mogę powiedzieć, że już wszystko rozumiem, ale to zwierzę wrzucone przez okno to nie przypadek. To było ostrzeżenie ze strony *ninja*.

— Może się mylę - powiedziała szczerze - ale czyż nie mówiłeś, że jedną z cech działalności *ninja* był niespodziewany atak?

Przytaknął.

— Tak, to prawda, tak jest najczęściej. Ale podczas wojen pomiędzy klanami, lub z rozkazu zwierzchnika albo też gdy *ninja* chciał zademonstrować swą obecność, przykazywano ofierze rytualne ostrzeżenie.

— Ale to jest bez sensu - zaprotestowała. - Co *ninja* mógłby chcieć ode mnie? Nie miałam nigdy nic wspólnego z... - Zamilkła, a on nic nie powiedział czekając, aż sama do tego dojdzie. Sądził, że da sobie radę bez podpowiadania.

Wstała z kanapy, chodziła nerwowo po pokoju strzelając palcami. Zatrzymała się przed barkiem, zrobiła sobie duży rum z lodem, nie proponując mu nic, była bowiem zbyt pochłonięta myślami. Wróciła na kanapę i popijała, myśląc.

— Jest tylko jeden powód, który mi przychodzi do głowy - powiedziała trochę niepewnie.

— Zobaczymy, czy doszliśmy do tego samego.

— Mój ojciec.

— Twój ojciec - Nicholas powtórzył. - Raphael Tomkin. - Wstał i nalał sobie soku cytrynowego. - Powiesz, co wiesz o interesach swojego ojca?

Wzruszyła ramionami.

- Niestety niewiele więcej niż wszyscy. Nigdy się tymi sprawami nie interesowałam. Tylko zasadnicze rzeczy. Że podstawą jest nafta.

Że jego firma jest ponadnarodowa. I to-wszystko.

— Inaczej mówiąc niewiele. Drgnęła.

— Przecież mówiłam.

— No dobrze. Zostawmy ten temat na razie w spokoju. A teraz... Zdążyła położyć swój długi palec na jego ustach.

- Nick, przestań. Nie zadawaj mi pytań, nie teraz, jeszcze nie. Dajmy sobie na razie spokój z tym wszystkim. Proszę cię.

Patrzył ją w oczy i zastanawiał się, czy czegoś nie rozumie. Być może niczego nie rozumiał, być może wszystko. Nie chciał mieć takich wątpliwości. Pragnął jej bardziej niż kiedykolwiek, a to wymagało, aby się pogodzili. Wiedział jednak, że będzie to niełatwe, w najlepszym wypadku. Stara zasada w kontaktach międzyludzkich mówiła, że dialog jest zawsze lepszy od jego braku. Ale być może tym razem miała rację, że jest to nieodpowiednia chwila. Jednym haustem wypił połowę zawartości szklanki.

- Więc co robimy?

Dobre pytanie, pomyślał Nicholas patrząc na nią. *Ninja* chciał ją zabić; co do tego nie miał wątpliwości. Przyjął, że jest to robota zlecona, jednak nie wykluczał innego powodu. Ale w tej kwestii nie było mowy o uzyskaniu szybkiej odpowiedzi, dlatego postanowił na razie nie zaprzętać sobie tym głowy. To, co go martwiło najbardziej, to specyfika działania tego *ninja*. Już samo pojawienie się tak wyrafinowanego zabójcy było rzeczą niespotykaną, choć jak sam powiedział Vincentowi i Deerforthowi, kilku z nich działało poza klanem, przyjmując zlecenia wymagające niezwyklej sprawności. Co gorsza, ten *ninja* był adeptem *Niten*, jednej z najtrudniejszych szkół *kenjutsu*. Jego obecność nasuwała Nicholasowi pewne podejrzenia. Obawiał się, że to nie przypadek.

- Jedyna rzecz, jaką na razie możemy zrobić, to pozostać razem.

Justine przytaknęła. Ku swemu zdziwieniu nie przeraziła się tej decyzji. Mogła ona doprowadzić do poprawy jej samopoczucia. Tylko Bóg wiedział, jak bardzo tego pragnęła.

Tak - przyznała w duchu - pragnę tego.

W tym momencie zaczęła się czuć znacznie lepiej.

Deerforth śnił. Leżał w hamaku rozwieszonymi między belkami na werandzie swego domu, kołysząc się. Delikatny, monotonny szum deszczu uspił go. Śnił o zielonym lesie, lśniącym jak wielki szmaragd, przesyconym wilgocią. Ale nie było to miejsce do podziwiania czy zażywania rozkoszy. Nie dla niego. Biegł przez splątaną roślinność poszycia, a za każdym razem, gdy odwracał głowę, by spojrzeć do tyłu, widział przez moment to straszne stworzenie, które go goniło zawzięcie. Był to tygrys. Długi na trzy metry, sprawiał wrażenie, jakby poruszał się w gęstej roślinności bez żadnego wysiłku, on tak nie potrafił. Potężne mięśnie pod błyszczącą pasiastą sierścią pracowały z niespotykaną płynnością. Co parę chwil Deerforth spoglądał w oczy wroga. Ich zieleń jarzyła się w nocnym mroku niczym błyskające sygnalizatory, oświetlając mu drogę. Ale nie były to oczy kota, kształt ich był typowy dla człowieka, a konkretniej - Japończyka. Były to oczy *ninja*, którego Deerforth spotkał w dżungli filipińskiej w czasie wojny.

Nagle drogę zastawiła mu ogromna przegroda z bambusu. Gdziekolwiek spojrzał, droga była zagrodzona. Odwrócił się, by zobaczyć, jak potwór otwiera paszczę. Wystrzelił z niej ogromny płomień, pokrywając go galaretowatą substancją, która szczypała niczym drapieżny ptak. Wił się z bólu, próbując zrzucić z siebie palącą powłokę. Ale ona trzymała się kurczowo, jakby rozumiała, jakie jest jej zadanie. Miał jakby drugą skórę, zwyrodnienie, które zaczynało wżerać się w ciało. Jego skóra łuszczyła się i spopieliała, odsłaniając mięśnie. Na koniec, gdy już był cały przesiąknięty tą substancją, zaatakowała jego kości, tak że zostały spopielone. Przez cały ten czas tygrys z obliczem *ninja* stał i uśmiechał się. A kiedy czuł, że opuszczają go wszystkie siły życiowe, tak jakby wypluwał swą duszę na ziemię, potwór podniósł prawą łapę. Ale była to ręka ludzka, właściwie kikut obcięty w łokciu. Skóra na nim była czarna, brakowało jakiegokolwiek umięśnienia - resztką ręki bez ciała pokieroszowana nagłym wybuchem. Tak, jakby tygrys z obliczem *ninja* chciał powiedzieć: „Popatrz na mnie i zapamiętaj”. Po wewnętrznej stronie ręki miał wytatuowany siedmiocyfrowy numer. „Obóz” - myślał raz po raz. Upodobił się do meduzy, pozbawiony wyglądu człowieka, czy nawet małpy. Następnie znalazł się w innej dżungli, unosił się w niej. Wrócił do czasów, gdy przodkowie człowieka nadal pływali w morzu, nim nastąpił początek ewolucji, nim pierwsza ryba wyszła na brzeg i zamieniła się w płaza, a ląd okazał się możliwy do zamieszkania. W tej morskiej dżungli pływał razem ze swym nieubłaganym wrogiem. „Popatrz, popatrz, popatrz!” - krzyczał potwór, zbliżając się do niego, unoszącego się bezwładnie w wodzie, tym uosobieniu ewolucji. „Nie - krzyknęła meduza. - Czy nie rozumiesz? Zniszczysz wszystkich!”

Ale nim mrugnął okiem, potwór już miał go w ręku. „Robię to dla...”

Deerforth obudził się gwałtownie. Był oblany potem, a jego bawelniana koszula była poskręcana, tak że czuł się, jakby miał na sobie kaftan bezpieczeństwa. Zatykało go, musiał złapać oddech. Deszcz przestał padać, gdy jeszcze spał, ale jego resztki nadal kapały z okapu, przypominając mu o morzu, meduzie, *ninja* i zagładzie.

I erry omal nie zginął w drodze na spotkanie z Vincentem. Ale nie przejął się tym, jego umysł był zajęty innymi myślami.

Gdy przekraczał Szóstą Aleję, skręcając na wschód w Czterdziestą Szóstą Ulicę, myślał o Hideoshim. Miał się spotkać z Vincentem w „Michita”, małej japońskiej restauracji między Piątą a Szóstą Aleją. Lokal ten, posiadający tradycyjny wystrój z barem *sushi* i kilkoma pomieszczeniami wyłożonymi *tatami*, otwarty był praktycznie całą dobę. Miał sporą klientelę spośród japońskich ludzi interesu, przyjeżdżających na delegacje, a których zegary biologiczne ustawione były jeszcze na czas tokijski. Nicholas, Vincent i on byli tu stałymi gośćmi.

Przechodził na czerwonym świetle i kiedy wszedł na jezdnię, o mały włos nie najechała na niego stara zdezelowana taksówka. Otrzeźwiony rykiem klaksonu wskoczył z powrotem na chodnik przy wtórze pisku opon i serdecznych przekleństw grubego taksówkarza o brudnych włosach.

- Pieprzony żółtek! - usłyszał, gdy taksówka go mijała; poczuł podmuch wiatru.

To zdarzenie tylko na moment oderwało go od wspomnień. Był z powrotem w sali przygotowując swój *bokken* i miał okazję obserwować tego człowieka podczas pojedynków *aikido*, a później *karate*. Zaszokowała go jego siła i zwinność. Już po kilku chwilach stało się



Taksówka zatrzymała się gwałtownie i kierowca odwrócił się do niego.

- Mam prośbę, chłopie. Nie każ czekać na siebie latami. Kapujesz pan?

Terry schował ołówek, kartkę i w biegu wyskoczył z wozu. Tylko parę chwil zajęło mu zamówienie u kierownika i zapłata za sześć-dziesięciogramową porcję kawioru „Bieluga”. Kiedy wrócił do taryfy, kierowca ruszył z miejsca jak wariat.

— Teraz trudno odróżnić - powiedział. - Kapujesz pan? Faceci wsiadają, wyglądają na porządnym. Każą się zatrzymać i znikają. Nie znalazłbyś ich nawet na pustkowiu, kapujesz pan? Dawniej ich mogłem wyłapać, teraz nie. Jechać przez park?

— Jasne - odpowiedział Terry. - Nie ma sprawy.

Nie zajęło im to wiele czasu. W parku był grobowy spokój. Tak różnił się od otaczających go błyszczących światłami wieżowców. Wyglądał nieskazitelnie.

Wszedł po wysokich, kamiennych schodach swojego bloku gwizdząc sobie pod nosem. Był w połowie drogi na trzecie piętro, gdy usłyszał muzykę Manciniego płynącą zza drzwi jego mieszkania. Uśmiechnął się, czuł się rozgrzany i pewny siebie. Ei kochała muzykę Manciniego. Przekręcił klucz i wszedł do środka.

Od razu wyczuł, że musi dotrzeć do sypialni. Zatrzasnął drzwi powodując powrót ciemności, przykucnął, za pomocą przewrotów i padów przedostał się na drugi koniec bawialni.

Wszystkimi zmysłami wyczuł, że coś jest nie tak i zareagował odpowiednio. Wchodząc nie słyszał nic oprócz muzyki. Maskowanie - pomyślał. - Gdyby nie to, wyczułbym wszystko przed wejściem. Jestem tego pewien. Pieprzona muzyka!

Eileen! - myśl o niej przemknęła przez jego umysł w chwili, gdy dosięgnął go cios.

Pokonał trzy czwarte drogi do na wpół otwartych drzwi sypialni, kiedy otrzymał cztery ciosy w pierwszej sekundzie starcia. Trzy pierwsze udało mu się sparować, ale czwarty go dosięgnął tuż nad prawą nerką. Nie mógł złapać oddechu. Stracił czucie w nodze, upadł. Przeturlał się po podłodze, świadom uchodzącego z sypialni nikłego światła i słodkawego zapachu.

Kolejny cios przeleciał ze świstem obok jego ucha, ale uniknął go nagłym przewrotem. Nagle krawędź stolika obok niego rozprysnęła się, drzazgi pofrunęły w powietrze niczym szalone owady. Podciągnął nogi i szybkim ruchem wyrzucił je w górę. Jęknął z bólu, usłyszał podobną reakcję przeciwnika. Wstał i zaczął uciekać tak szybko, jak tylko mógł, wlokąc za sobą zdrętwiałą nogę.

Potem minął drzwi, zatrzasnął je za sobą. Rozejrzał się, myśląc: - Czas, potrzebuję trochę czasu.

Widok zniekształconej postaci rozciągniętej na łóżku z jedną nogą na okryciu wstrzymał tok jego rozumowania. Poczul się słabo, miał uczucie, że ktoś rozcina mu brzuch rozpalonym do białości ostrzem. Twarz kobiety była ciemna i niewyraźna, pokryta rozrzuconymi kosmykami

czarnych jak noc włosów, które owijały ściśle jej szyję. Ręce odrzucone do tyłu nad głową, piersi pokryte śladami torsji. Spojrzał na jej krocze, nie było tam żadnych obrażeń. Nie musiał jej badać, by wiedzieć, że jest martwa, ale i tak nachylił się, jakaś część umysłu kazała mu się upewnić co do tego. Tulił jej głowę, aż usłyszał jakieś dźwięki za drzwiami.

Ledwo widząc podszedł do ściany. Jego zdrętwiałe palce objęły chłodną, polakowaną pochwę wiszącego na ścianie lekko zakrzywionego miecza. Pełnym szacunku ruchem przycisnął broń do ciała. Szmer ostrza wysuwającego się z pochwy zabrzmiał jak najgłośniejszy hałas. Głośniejszy nawet niż odgłos rozpadających się pod ciosami *karate* drewnianych drzwi, których kawałki posypały się do sypialni.

Hebanowoczarna postać stała w drzwiach, w lewym ręku trzymała drewniany miecz treningowy, prawa ręka była pusta. Dopiero w tej chwili Terry pogodził się ze swoimi myślami. Zatrząśł się bezwiednie.

- *Ninja* - szepnął. Ledwo mógł rozpoznać własny głos, z przejęcia utracił nad nim panowanie. - Przychodząc tutaj, skazałeś się na śmierć.

Wskoczył na dzielące ich łóżko, wykonując cięcie swoim mieczem *katana*. Było to nie przemyślane posunięcie, z czego natychmiast zdał sobie sprawę, gdyż nie mając pod sobą twardego podłoża, nie mógł wykonać wystarczająco silnego i szybkiego ruchu.

Zręcznie, praktycznie bez wysiłku, *ninja* uniknął jego ciosu bez potrzeby użycia własnej broni. „Nie muszę nawet użyć miecza” - pokazywał mu jego przeciwnik. - „Nie jesteś tego wart”. Wycofał się w ciemność bawialni i Terry nie miał innego wyjścia, jak iść za nim. Przeczynał, że daje się podejść, gdyż pole bitwy było tak samo istotne jak sama walka. Przeskoczył ciało Eileen ze skurczonym sercem, ale z zimną krwią. Do diabła ze wszystkim! - pomyślał pochmurnie. - Mogę go zwyciężyć w każdym miejscu. Pełen żalu i wściekłości odrzucił to, czego tyle lat uczył się i praktykował.

W bawialni, w której płyta Manciniego grała nadal, jakby nic się nie stało, zauważył zarys drewnianego miecza i tam się też skierował. Lecz *ninja* już był w ruchu, atakował, a Terry podniósł swój miecz w oczekiwaniu na silne cięcie. Dlatego był całkowicie nie przygotowany na kopnięcie, które trafiło go w piersi. Poleciał do tyłu prawie dwa metry, jakby pod wpływem wybuchu. Zatoczył się, z rwącym bólem w mostku i w żebrach. Bolało go wszystko od góry do dołu.

- Co...? - kaszłał, nie wiedząc, co się stało.

Widział ruchy *ninja* jakby przez mgłę. Odruchowo podniósł miecz, choć nie był pewien, gdzie padnie cios.

Drugi cios znów trafił go w piersi i kolejny raz poleciał do tyłu, klękając na jednej nodze. Podnosząc prawą ręką miecz miał uczucie, że waży on tyle co ludzkie ciało. Jego płuca się męczyły, stracił orientację. Trzeci cios otrzymał, gdy z trudnością udało mu się wstać. Tym razem

wyczuł, co się stanie dopiero w momencie, gdy został wbity w ścianę. Usłyszał, choć nic nie poczuł, jak coś pękło, tak jakby dach miał się zawalić, i poczuł dziwną wilgoć w lewej stronie ciała. Żebra - pomyślał, jego rozgrzany umysł analizował to, co się stało. Wydawało mu się, że śni, przecież rzeczywistość nie mogła być tak niesamowita. Kolejne uderzenie odrzuciło go od ściany, miecz wypadł mu z ręki. Spojrzał na swe ciało i zobaczył złamane żebra wystające przez rozdartą skórę. Krew miała kolor atramentu, lecąc jak woda z odkręconego kurka do kanału.

Był to obraz prosto z *Go rin no sho*. Klasyczne uderzenie, o którym pisał Musashi. „Atakuj lewym ramieniem. Nie ustawaj, aż przeciwnik zginie. Naucz się tego dobrze”. *Ninja* umiał to aż za dobrze, ale Terry myślał o tym obojętnie. Teraz, gdy Eileen leżała martwa w sąsiednim pokoju, nie dbał już o to, czy przeżyje... Ale zabicie tego wroga, tak, to dla niego jeszcze miało wartość.

Ruszył do przodu, wzdłuż ściany, później od niej odskoczył. Lecz jego ciało nie reagowało wystarczająco szybko. Kręcił się, trzymając cały czas wzrok zwrócony na *ninja*, ustawiając ręce w podwójny blok, by ochronić się przed ciosami.

Na nic się to zdało. Przewrócił się w tył z jękiem, jego mostek został roztrzaskany serią silnych uderzeń i, jakby pod wpływem wybuchu, rozdarł powłokę klatki piersiowej. Skulony, oparty o ścianę, spojrzał przeciwnikowi w kamienną twarz i pomyślał, że Musashi miał rację. Docierający do jego uszu delikatny dźwięk muzyki Manciniego, przypomniał mu o Eileen. Jej ciepło przepelniło go niczym lont przepalający się przez całe ciało od stóp aż do mózgu. Gdy zawołał jej imię głosem tak cichym, jak szelest cienkiego papieru, z jego ust wyciekła krew.

-Eileen - powiedział - kocham cię. Jego głowa opadła, powieki się zamknęły.

*Ninja* stał władczo w pustce ciemności, prawie nie oddychając. Patrząc na leżące przed nim ciało nie okazywał żadnych ludzkich uczuć. Przez dłuższą chwilę nasłuchiwał dźwięków, które zwiastowałyby coś nienormalnego. Po chwili, zadowolony, odwrócił się i przeszedł przez pokój. Spod kanapy wyciągnął sportową torbę, rozsunął zamek i delikatnie ułożył na wierzchu swój *bokken* obok *katana*. Jednym ruchem zamknął torbę i zarzucił ją na ramię. Wychodząc z mieszkania nawet się nie obejrzał.

Za nim pozostał Mancini, grający romantyczną melodię o utraconej miłości, rozlewającą się po całym pokoju. Ze splekanych ust Terry'ego wydobył się, wraz z kolejną porcją krwi, ciężki jęk. Podniósł głowę i na oślep zaczął się czołgać do sypialni, nie wiedząc nawet dlaczego, czując tylko, że musi. Boleśnie, centymetr po centymetrze, poruszał się, by w końcu przekroczyć próg i dotrzeć do ciała Eileen, cały czas jęcząc i ociekając krwią.

Przed jego twarzą wisiał sznur telefoniczny, uniósł rękę i pociągnął go. Aparat spadł prosto na jego lewe ramię, ale on przekroczył już próg bólu, przy którym nie odczuwa się już takich drobnostek. Drżącą ręką wykręcił powoli siedem cyfr. Sygnał w aparacie przypominał mu bicie dzwonu w odległej świątyni.

Nagle wydało mu się, że Eileen potrzebuje pomocy, a odległość dzieląca ich jest zbyt duża. Słuchawka łatwo wyslizgnęła się ze zboczonych krwią palców. Podczołgał się kilkadziesiąt centymetrów, choć w tej sytuacji czuł, jakby to były kilometry.

- Halo - ze słuchawki dobiegł głos Vincenta. - Halo! Halo! Ale nikt już nie mógł go usłyszeć. Terry leżał twarzą w dół na

kosmyku czarnych włosów Eileen, jego mętniejące, szeroko otwarte oczy nic już nie widziały, kałuża krwi wydobywająca się z jego ust niczym długi język dotykała twarzy kobiety. W bawialni gramofon przestał grać.

### **WIOSNA 1959 / WIOSNA 1960**

Jr osłuchaj, Nicholas - powiedział pułkownik któregoś brzydkiego i ponurego popołudnia. Korona góry Fudzi ukryta była w deszczowych chmurach, co pewien czas pojawiała się błyskawica, której grom słychać było po jakimś czasie gdzieś w oddali.

Pułkownik był u siebie w gabinecie, trzymał w dłoniach pudełko pokryte laką. Na jego wieku namalowane były wizerunki tygrysa i smoka ze splątanymi kończynami. Nicholas rozpoznał w pudełku znany z opowiadań podarek pożegnalny, który jego rodzice otrzymali od So-Penga.

— Sądzę, że nadszedł czas, byś to obejrzał - powiedział pułkownik. Wziął do ręki woreczek z wilgotnym tytoniem i zanurzywszy w nim główkę fajki, napełnił ją wskazującym palcem. Nim zaczął mówić dalej, potarł o kant biurka zapalną sztormową, a następnie pociągnął parę razy, tak by fajka nie zgasła. Uderzał palcem w wieko pudełka, wodząc opuszką wzdłuż rysów obydwu zwierząt.

— Nicholas, czy znasz symbolikę tygrysa i smoka w mitologii japońskiej?

Nicholas zaprzeczył ruchem głowy.

Pułkownik wypuścił z płuc obłok niebieskiego, aromatycznego dymu, chwycił fajkę zębami tak, by cybuch znajdował się w kąciku ust.

— Tygrys jest panem wszystkich zwierząt, a smok królem przestworzy. Zawsze mnie dziwiło, że podobne znaczenie przypisywano w mitologii Majów latającemu wężowi Kukulkan. Interesujące jest to, że dwie tak odległe geograficznie kultury mają tak wiele wspólnych akcentów w swoich mitologiach, nie uważasz?

— Ale dlaczego So-Peng podarował wam pudełko japońskie? - zapytał Nicholas. - Przecież był Chińczykiem.

— Uhm, dobre pytanie - powiedział pułkownik pykając fajkę - ale niestety nie mam rozsądnej odpowiedzi. Co prawda So-Peng pochodził z prowincji Liaoning w północnych Chinach, lecz dał mi do zrozumienia, że jego matka była Japonką.

— Ale to nie tłumaczy sprawy pudełka - zauważył Nicholas. - To prawda, że udawaliście się wtedy do Japonii, ale to pudełko jest stare, niełatwo je było zdobyć, szczególnie wtedy.

— Tak - odpowiedział pułkownik głaszcząc wieko pudełka - nie mam wątpliwości, że była to pamiątka rodzinna, prawdopodobnie przywieziona przez jego matkę do Chin. Pytanie jednak, dlaczego So-Peng nam to dał? Akurat właśnie to. Nie był to kaprys, on takimi kategoriami nie rozumował. I, jak sądzę, nie był to również przypadek. - Wstał z miejsca i podszedł do

zaparowanych, zalanych deszczem okien. - Zastanawiałem się nad tym przez dłuższy czas - mówił patrząc przez okno. Przetarł owalny kawałek szyby tak, by mógł coś zobaczyć, zupełnie jakby wyglądał przez szczelinę w ścianie fortecy. - Prawdę mówiąc So-Peng prosił nas, byśmy nie otwierali prezentu, zanim nie znajdziemy się na miejscu, i dotrzyaliśmy słowa.

Na lotnisku Haneda oczekiwała nas grupa przedstawicieli wojsk okupacyjnych, bo oczywiście przylecieliśmy samolotem wojskowym. Jednak ktoś jeszcze czekał na nas. Twoja matka rozpoznała ją od razu, podobnie jak ja po opisie znanym mi z jej snu. Była to Itami i wyglądała zupełnie jak we śnie - wzruszył ramionami. - Ale jakoś nie byłem zaskoczony. Tutaj człowiek przyzwyczaja się do takich niesamowitości, to jest normalne na Dalekim Wschodzie, o czym się niedługo przekonasz.

Byłem wtedy zaskoczony czułością ich powitania. To tak, jakby były starymi przyjaciółkami lub siostrami, a nie szwagierkami. Nie widziało się żadnego zderzenia kulturowego, jakiego można by się spodziewać, gdy młoda dziewczyna, wychowana w małej chińskiej wiosce, spotyka kobietę z wyższych sfer japońskiego społeczeństwa. Było tak, choć twoja mama i Itami tak bardzo się różnią - pułkownik odwrócił się w stronę syna. - Ciepło twojej matki i chłód Itami, wesołość jednej i powaga drugiej, to wszystko nie stanowiło dla nich bariery. Myślałem nad tym przez jakiś czas i doszedłem do następującego wniosku: choć So-Peng mówił, że nic nie wie o prawdziwym pochodzeniu Czeong, ten prezent był pośrednim sposobem przekazania mi jakiejś myśli.

— Chcesz powiedzieć, że mama jest Japonką.

— Po części - usiadł obok syna i położył mu rękę na ramieniu. - Ale, Nicholas, musisz mi obiecać, że nie będziesz na ten temat z nikim rozmawiał, nawet z matką. Chcę ci teraz powiedzieć coś jeszcze. Jestem angielskim Żydem, choć z serca Japończykiem. Mój umysł żyje

ich historią, bratnia jest im moja dusza. A zatem co z moim pochodzeniem? Chcę, żebyś mnie dobrze zrozumiał, Nicholas. Nie wyrzekłem się swego żydowskiego nazwiska, po prostu go nie używam. Mógłby ktoś oczywiście powiedzieć, że to to samo. Ale tak nie jest. Nie zrobiłem tego z własnej woli, tylko pod przymusem. W Anglii nie lubią Żydów, nigdy nie lubili. Gdy zmieniłem nazwisko, nagle okazało się, że w różnych miejscach jestem o wiele milej widziany. Oczywiście, można tę kwestię rozpatrywać w kategoriach moralnych. Czy powinno się takie rzeczy robić? Uważam, że tak, bo jak sam o sobie nie pomyślisz, to cię diabli wezmą. Choć to wyłącznie mój punkt widzenia. Mimo że z ducha jestem Japończykiem, to nie wyznaję ani buddyzmu, ani shintoizmu. Nie znajduję w tych religiach innych wartości oprócz czysto poznawczych. Bo w duchu nigdy nie porzuciłem swego pochodzenia. Sześć tysięcy lat walki o przetrwanie nie może pójść w zapomnienie. W twoich żyłach płynie również krew Salomona, Dawida i Mojżesza. Nie zapominaj o tym. Czy kiedyś z tego skorzystasz, to twoja sprawa, nie mam zamiaru się w to wtrącać. Ale jest moim obowiązkiem o wszystkim ci powiedzieć, sądzę, że mnie rozumiesz. - Spojrzał uroczyście na syna, nim otworzył pudełko z wizerunkiem tygrysa i smoka, ostatni podarunek tajemniczego So-Penga.

Nicholas spojrział w dół i ujrzał świetlisty blask szesnastu oszlifowanych szmaragdów.

Choć Nicholas trenował *bujutsu* już przez siedem lat, nadal miał wrażenie, że niewiele umie. Był silny i miał wspaniałe refleksy, wszystkie ćwiczenia i postawy wykonywał z dużą koncentracją i pieczołowitością, choć bez przekonania i zaangażowania duchowego. Dziwiło go to i denerwowało. Od początku był przygotowany na wysiłek i wyrzeczenia, tego oczekiwał i to go przyciągało. Ale nie spodziewał się, że zubożeje. Pewnego dnia, gdy w ośrodku treningowym ćwiczył na macie, zdał sobie sprawę, że nie chodzi o to, że stracił chęć nauki *bujutsu*. Przeciwnie, ta wzrosła. Jego rozterka była trudna do określenia, może po prostu wynikała z braku wiary.

A może winę ponosił instruktor. Tanka był flegmatycznym, dobrze zbudowanym człowiekiem, który wierzył w doskonalenie techniki wyłącznie przez wielokrotne powtarzanie ćwiczeń. I tak, bez przerwy, Nicholas powtarzał te same elementy. Raz po raz, aż każdy najmniejszy ruch utrwalił się w jego umyśle, mięśniach i nerwach. Było to tak nudne, że zaczął nienawidzić treningów. Nie mógł też znieść tego, że Tanka traktował ćwiczących, jakby byli dziećmi nie przygotowanymi jeszcze do wejścia w świat dorosłych.

Prawie zawsze spoglądał z zazdrością, jak w drugim końcu *dojo* mistrz szkoły, Kansatsu, prowadził zajęcia indywidualne z niektórymi ze starszych uczniów. Marzył o tym, aby znaleźć się tam i porzucić te wszystkie ćwiczenia przygotowawcze.

Trenował w tej samej szkole co jego kuzyn Saigo - jak mu powiedziano, tylko dzięki interwencji Itami. Denerwowało go to, że Saigo, który zaczął trenować wcześniej, był bardziej w tej nauce zaawansowany. Jego kuzyn udawadniał mu to zresztą przy każdej okazji. W ośrodku odnosił

się zawsze do Nicholasa z pogardą, podobnie jak wielu innych, głównie ze względu na jego europejskie pochodzenie. Uważali, że *gaijin*, czyli obcokrajowiec, nie powinien być dopuszczony do trenowania *bujutsu* - jednego z filarów japońskiego sposobu życia. Saigo nigdy nie traktował go tam jak kuzyna, w przeciwieństwie do domu, gdzie był dla niego aż nadto uprzejmy. Nicholas po trzech nieudanych podejściach porzucił już wszelką nadzieję na porozumienie się z Saigo. Prawdę mówiąc, Saigo był dla Nicholasa bardzo dużym utrapieniem podczas ćwiczeń. Mógł uczynić wiele dobrego dla młodszego kuzyna, ale on wręcz odwrotnie, starał się utrudnić mu życie, podburzając nawet na niego innych.

Któregoś wieczoru, po zakończeniu treningu i kąpieli, Nicholas właśnie się przebierał, gdy otoczyło go kilku chłopaków.

- Co tu robisz? - powiedział największy z nich. - To nasze miejsce. Nicholas nic nie mówiąc nadal się ubierał. Na zewnątrz nic nie okazywał, ale jego serce uderzało jak katar.

— Czy nie chcesz nam nic powiedzieć? - odezwał się inny. Był mniejszy i młodszy od pozostałych, ale w towarzystwie swych kolegów czuł się pewnie. Zaśmiał się ironicznie.

— Może on nas nie rozumie. Może powinniśmy mówić do niego po angielsku, tak jak do małp w zoo? - wszyscy się roześmieli.

— Masz rację - włączył się pierwszy. - Słuchaj, ty małpo, chcę, żebyś mi odpowiedział na jedno pytanie. Powiedz, co robisz w naszym miejscu. Chcesz je zarazić kiłą?

Nicholas wstał.

— Idźcie sobie gdzie indziej ze swoimi głupimi dowcipami.

— Patrzcie, patrzcie! - powiedział mały. - Małpa mówi!

— Siedź cicho! - pierwszy uciszył małego, a później zwrócił się do Nicholasa: - Nie podoba mi się, małpo, twój ton. Pożałujesz tego. - I bez ostrzeżenia spróbował prawą ręką zadać cios w szyję Nicholasa. Nicholas zablokował go i wtedy wszyscy rzucili się na niego.



W rozgardiaszu zauważył Saigo, który akurat wychodził, nieświadomy tego, co się dzieje. Zawołał go po imieniu. Saigo podszedł.

— Przestańcie! - zawołał przepychając *się między* chłopakami. Odepchnął wszystkich tak, że Nicholas odzyskał swobodę ruchów. - Co tu się dzieje?

— To ten obcy - rzekł pierwszy chłopak nadal zaciskając pięści. - Znowu rozrabia.

— A więc to tak? - powiedział Saigo. - W pojedynkę na sześciu? Trochę trudno uwierzyć. - Wzruszył ramionami i krawędzią dłoni wyrznął Nicholasa prosto w brzuch.

Nicholas przewrócił się na kolana, czołem dotykając podłogi, jak gdyby się modlił. Jednocześnie wymiotował i próbował złapać oddech. Sapał niczym ryba wyjęta z wody.

- Nie zaczepiaj ich nigdy więcej, Nicholas - powiedział Saigo stojąc nad nim. - Nie wiesz, co nakazuje dobre wychowanie? Ale czego się spodziewaliście po synu barbarzyńcy i Chinki. Idziemy. - I poprowadził ich zostawiając Nicholasa zwijającego się z bólu na ziemi.

Przyszła do nich swoimi drobnymi kroczkami w środku tygodnia, wywołując wielką panikę, głównie u Czeong, która uważała, że w domu nigdy nie jest wystarczająco czysto, jedzenie nigdy niewystarczająco dobre, a jej rodzina nigdy wystarczająco ładnie ubrana, by zrobić dobre wrażenie na Itami.

Dla Nicholasa wyglądała jak lalka, małe porcelanowe cudo, które należy ustawić na półce w gablocie, by uchronić przed zniszczeniem. Choć tak naprawdę Itami nie potrzebowała żadnej ochrony, miała bardzo silną wolę i potrafiła ją narzucić, nawet swemu mężowi.

Nicholas przyglądał się w tajemnicy z sąsiedniego pokoju, jak matka podawała Itami herbatę klęcząc na macie przed stolikiem pokrytym zieloną laką. Miała na sobie tradycyjną japońską szatę, a jej długie, lśniące włosy były spięte grzebieniem z kości słoniowej. Pomyślał, że w tej chwili wyglądała tak pięknie i majestatycznie, jak nigdy wcześniej. Choć brakowało jej sporo do chłodnej wyniosłości Itami, a może właśnie dlatego, podziwiał coraz bardziej swoją matkę. Takich kobiet jak Itami było pełno w albumach fotograficznych z lat przedwojennych. A Czeong? Nikt nie mógł jej dorównać. Jej dusza miała szlachetność, której Itami nie byłaby nigdy w stanie osiągnąć, przynajmniej w tym wcieleniu. I choć Itami tryskała siłą, jej atrakcyjność była niczym w porównaniu z możliwościami Czeong, która

wykazywała głęboki spokój wewnętrzny, niczym bezruch powietrza w upalny, letni dzień. Była jedyna w swoim rodzaju, żywy skarb. Jednak najbardziej godna szacunku i podziwu, według Nicholasa, była spójność jej duszy, myśli i działań.

Nie miał zbytniej ochoty rozmawiać z ciotką, ale dobre wychowanie nakazywało pokazanie się, zanim opuści ich dom, w przeciwnym razie zdenerwowałby swoją mamę, która w końcu miałaby pretensje do samej siebie. Nie chciał, aby tak się stało, dlatego późnym popołudniem odsunął ruchome drzwi *shoji* i wszedł.

Itami podniosła wzrok.

— Ach, Nicholas. Nie wiedziałam, że jesteś w domu.

— Dzień dobry, ciociu.

— Muszę was na chwilę przeprosić - powiedziała Czeong, wstając z lekkością. - Herbata już ostygła. - Z niewiadomych powodów podczas wizyt Itami nie lubiła korzystać z pomocy służących. Wyszła z pokoju i Nicholas poczuł się nie najlepiej pod taksującym spojrzeniem ciotki.

Podszedł do okna i popatrzył na cyprysowo-sosnowy las.

— Czy wiesz - zapytała Itami - że w tym lesie znajduje się stara świątynia *shintol*

— Tak - odpowiedział Nicholas odwracając się. - Ojciec mi mówił.

— Czy byłeś już tam?

— Jeszcze nie.

— A czy wiesz, Nicholas, że wewnątrz świątyni jest ogród pełen mchów?

— Tak, chyba czterdzieści różnych gatunków, ciociu. Ale słyszałem, że tylko mnisi z klasztoru mogą tam przebywać.

— Może nie jest aż tak źle, Nicholas. Nie wyobrażam sobie, abyś chciał zostać mnichem, nie pasowałoby to do ciebie. - Niespodziewanie wstała. - Co byś powiedział na to, żebyśmy tam poszli? Do świątyni i ogrodu?

— Kiedy? Teraz?

— Oczywiście.

— Ale przecież...

— Wszystko da się załatwić w ten lub inny sposób - uśmiechnęła się i zawołała: - Czeong, idziemy z Nicholasem na spacer! Nie zajmie nam to wiele czasu. - Odwróciła się do niego i wyciągnęła rękę. - Chodź - powiedziała delikatnym głosem.

Szli w milczeniu, aż doszli do lasu. Skręcili w dróżkę wiodącą jego skrajem, którą szli jakieś dwieście metrów, po czym poprowadziła go dalej. Znaleźli się na wąskiej, ale dobrze wydeptanej ścieżce, wiodącej między drzewami i bujnym poszyciem.

— No więc, Nicholas, musisz mi opowiedzieć, jak ci idą treningi - powiedziała Itami. Szła ostrożnie w butach na wysokich, drewnianych obcasach, używając pergaminowej parasolki do

podpierania się, aby nie stracić równowagi na nierównym podłożu.

— Trzeba w to wkładać dużo wysiłku, ciociu.

— Rozumiem - machnęła ręką, jakby odganiając jego uwagę. - Ale wiem, że spodziewałeś się tego.

— Tak.

— Czy ten wysiłek sprawia ci przyjemność?

Popatrzył na nią, zastanawiając się, o co jej chodzi. Nie miał najmniejszego zamiaru opowiadać jej o rosnącej niechęci między nim a Saigo. Nie wypadało tego robić. Nie powiedział o tym nawet rodzicom.

— Czasami - mówił - chciałbym przyspieszyć tempo. - Wzruszył ramionami. - Jestem chyba niecierpliwy.

— Są takie sytuacje, Nicholas, gdy to właśnie niecierpliwi są nagradzani - powiedziała, przechodząc po wystających konarach. - Słuchaj, pomóż mi te kilka ostatnich kroków, dobrze? - Podał jej rękę. - No, już po wszystkim!

Wyszli na polanę, opuszczając cień sosen. Itami podniosła swój parasol i rozłożyła go. Jej cera była śnieżnobiała, wargi ciemnoczerwone, oczy ciemne jak węgiel.

Ściany świątyni, pokryte ciemną laką, stały w pełnym blasku słońca, co zmusiło go do zmrużenia oczu, póki nie przyzwyczał się do jasności. Czuł się, jakby przed nim rozpościerało się złote morze. Szli chodnikiem z drobnego, jasnoniebieskiego wapiennego żwiru, który otaczał świątynię ze wszystkich stron.

— Ale jakoś przetrwałeś te trudy - powiedziała delikatnie. - To jest pocieszające. - Doszli do długich, drewnianych schodów prowadzących do drzwi zrobionych z brązu i pokrytego laką drewna, które stały otworem, przyczajone, nieruchome, jakby wygodnie usadowione w oczekiwaniu na kogoś lub coś. Zatrzymali się. Położyła rękę na jego ramieniu, robiąc to tak delikatnie, że gdyby nie widział tego na własne oczy, mógłby nic nie poczuć.

— Miałam wiele wątpliwości, gdy twój ojciec przyszedł do mnie i poprosił, bym pomogła ci dostać się do właściwej szkoły - pokręciła głową. - Nie miałam innego wyjścia, jak się zgodzić, a honor nakazywał mi nie komentować decyzji twego ojca, choć byłam nią wielce zmartwiona - westchnęła. - W pewien sposób żał mi ciebie. Twoje życie będzie

bardzo dziwne. Biali nigdy cię w pełni nie zaakceptują ze względu na twoich azjatyckich przodków, a Japończycy będą cię nienawidzić za twe europejskie rysy. - Uniosła rękę, niczym lecący motyl, w powietrzu i delikatnie dotknęła na chwilę palcem wskazującym jego policzka. Popatrzyła na niego. - Masz nawet oczy ojca. - Opuściła dłoń, wyglądała tak, jakby jej nigdy nie podnosiła. - Ale mnie nie tak łatwo oszukać. - Odwróciła swój nieubłagany wzrok od niego i powiedziała: - A teraz wejdźmy do środka i pomódlmy się.

C-zyż nie jest tu pięknie? - rzekła Itami.

Nie mógł się z nią nie zgodzić. Stali nad wolno płynącym strumyczkiem, spadającym po omszałych skałkach z wysokości nie większej niż dwa metry. Wszystko było zielone, woda, nawet kamyczki. Nicholas odniósł wrażenie, że widzi przed sobą cztery tysiące gatunków mchu, a nie czterdzieści.

- I spokojnie - mówiła dalej. - Jest tu tak spokojnie. Tak, jakby świat zewnętrzny nie istniał. Po prostu zniknął.

Gdy znaleźli się w cieniu cyprysa, złożyła parasol. Odchylając głowę do tyłu zrobiła głęboki wdech. - To tak, jakby czas stanął w miejscu, Nicholas. Jakby nie było dwudziestego wieku, podbojów, imperializmu, wojny. - Zamknęła oczy. - Nie było wojny. - Patrzył na nią, aż jej oczy nagle otworzyły się szeroko i skierowały na niego. - Ale wojna była. - Odwróciła się. - Może byśmy tak usiedli na tej kamiennej ławie? Dobrze. Kto wie, może któryś shogun z rodu Tokugawa siedział tutaj, tak jak my. Widzisz. To daje poczucie ciągłości historycznej, nieprawdaż? Poczucie przynależności. - Zwróciła się w jego stronę. - Ale nie tobie, przynajmniej na razie. Jesteśmy w tym podobni. Tak, naprawdę. - Zaśmiała się. - Widzę z twojej miny, że jesteś zdziwiony, ale nie powinieneś być. Bo widzisz, oboje jesteśmy obcymi, odcięci od tego, czego najbardziej pragniemy.

- Ale jak to możliwe? - zaprotestował Nicholas. - Przecież pochodzisz z rodu Nobunaga, jednego z najstarszych i najzaciejszych w Japonii.

Itami uśmiechnęła się zupełnie jak łowca na widok zwierzyny, odsłaniając białe, równe, błyszczące zęby.

- O tak - westchnęła - z rodu Nobunaga, istotnie. Ale i to, jak wiele innych spraw w Japonii, jest tylko maskującą powłoką, kolorową laską kryjącą zmurszałe wnętrze. - Jej twarz postarzała się pod wpływem odczuwanego żalu. - Posłuchaj mnie dobrze, Nicholas.

Z naszego społeczeństwa uciekło pojęcie honoru. Zachodni barbarzyńcy zepsuli nas. Jesteśmy teraz godnym pogardy narodem, uczyniliśmy tyle okropności. Nasi przodkowie widząc to, przewracają się w swoich, grobach, ich duchy wołają zrezygnować z reinkarnacji.

Jej głos nabierał siły w trakcie wypowiedzi, więc Nicholas siedział nieruchomo obok, pozwalając, by powietrze nieco ją ostudziło. Ale ona nie chciała, a może nie była w stanie się uspokoić. Podejrzywał, że miała wiele oporów przed rozpoczęciem tej rozmowy, lecz gdy już zaczęła, nic nie mogło jej powstrzymać.

— Czy wiesz czym są *zaibatsul*

— Tylko z nazwy - odpowiedział, znowu niepewny, o co jej chodzi.

— Niech ojciec opowie ci kiedyś o *zaibatsu*. Pułkownik wie o nich wiele i ty też powinieneś. - A później, jakby już wszystko wiedział, dodała: - Satsugai pracuje dla nich.

— Dla kogo?

— Nienawidzę swego męża, Nicholas. I wiesz - zaśmiała się przez chwilę - tylko twój ojciec zna tego powody. To trąci ironią, ale takie jest życie. Jakieś diabelskie moce trzymają z dala od człowieka to, czego najbardziej pragnie. - Jej zaciśnięte w pięści dłonie, które trzymała na kolanach, wyglądały jak dłonie dziecka. - Co z tego, że jestem z rodu Nobunaga, kiedy ciąży na mnie cień czynów mojego pradziadka? Mój wstyd jest tak samo nieodwracalny jak twoje mieszane pochodzenie. Mój pradziadek, gdy miał dwadzieścia osiem lat, rzucił służbę, by stać się *roninem*. Czy wiesz, kto to taki?

— Samuraj bez pana.

— Tak, wojownik bez honoru, bandyta, złodziej. Został najemnikiem, sprzedając swoje usługi najlepiej płacącemu. Rozwścieczony tym niehonorowym i nieprzyzwoitym postępowaniem shogun wysłał za nim ludzi, a kiedy go złapali, trzymali się ściśle otrzymanych rozkazów. Nie pozwolono pradziadkowi na *seppuku*, shogun nie zgadzał się na honorową śmierć dla takiego człowieka. Nie należał już do rycerstwa, był ścierwem. Ukrzyżowano go jak najgorszą szumowinę. W takich sytuacjach najczęściej mordowano całą rodzinę winowajcy, kobiety i dzieci, tak by stracił to co najcenniejsze, swoją linię rodową. Ale nie w naszym przypadku.

- Dlaczego? - pytał Nicholas. - Co było tego powodem? Itami wzruszyła ramionami i słabo się uśmiechnęła.

- *Karma*. Moja *karma*, na której opiera się moje życie. Sprzeciwiam się temu, boli mnie to i w nocy z tego powodu płaczę. Wstydzę się powiedzieć, że należę do klasy *bushi*, do rycerstwa, nawet w naszych czasach. Pewnych rzeczy nawet czas nie odmieni. Moja krew kipi siłą tysięcy bitew, moja dusza drży cięciem śmiercionośnego ostrza *katana*.

Wstała i rozłożyła parasol, jakby rozkwitły ogromny kwiat.

- Któregoś dnia to wszystko zrozumiesz. I pamiętaj. W szkole treningi będą teraz

szczególnie ciężkie. Nie przerywaj, wiem, o co chodzi. Ale nie wolno ci się poddać. Czy mnie zrozumiałeś? Nigdy. - Odwróciła się, delikatne pastelowe kolory parasola przesłoniły jej pałające namiętnościami czarne oczy. - Chodź - usłyszał jej słowa. - Czas wracać do rzeczywistości.

To jest *ai uchi* - powiedział Muromachi. Trzymał w rękach *bokken*. Siedmioosobowa grupa Nicholasa stała półkolem wokół instruktora. - Tutaj, w szkole Itto, to pierwsza lekcja, pierwsza z setek następnych. *Ai uchi* znaczy atakować przeciwnika tak, jak on atakuje ciebie. Przy okazji będziecie ćwiczyli refleks, czyli to, co jest podstawą *kenjutsu*. To, czego nie możecie zapomnieć. *Ai uchi* uczy także wyzbycia się złości. Powinniście traktować przeciwnika, jakby był oczekiwany od dawna gościem. Jednocześnie musicie wyzbyć się strachu i bez wahania zaryzykować życie, jeśli zajdzie taka potrzeba. *Ai uchi* jest pierwszą z technik, a zarazem ostatnią. Pamiętajcie o tym. To jest krąg zen.

Tak wyglądała pierwsza lekcja Nicholasa. Od tamtej pory minęło siedem lat. Choć nie w pełni ją zrozumiał, nigdy jej nie zapomniał. W czasach które nastąpiły później, kiedy ćwiczył z zimną krwią pod okiem Muromachiego tysiące cięć i uczył się duchowej strony *kenjutsu*, a wiedza gromadziła się w nim z ogromną prędkością, zawsze myślał o tej pierwszej lekcji i zastanawiając się nad jej sensem, czuł spokój, jakby znajdował ratunek za każdym razem, gdy powstawało zagrożenie.

Powtarzał więc te tysiące cięć raz po raz, czując, jakby jego ręce i nogi wyłobily dla siebie miejsce w powietrzu, aż nastąpił dzień, gdy pojawiła się nagroda za wysiłek, a jego miecz jakby zniknął, jego wola stawała się naturalna, a on zrozumiał, że pierwsza lekcja, którą dał im Muromachi, była w istocie najtrudniejsza.

Lecz to mu nie wystarczało. Zastanawiał się właśnie któregoś dnia po treningu nad tym, co dalej, gdy wyczuł w szatni czyjąś obecność. Rozejrzał się, ale nikogo nie zobaczył. Pomieszczenie było puste, a jednak nie mógł wyzbyć się uczucia, że ktoś tam jest. Wstał i miał już zawołać, kiedy pomyślał, że pewnie znowu jacyś chłopcy czyhają, żeby go zaczepić, więc zachował ciszę, żeby im utrudnić zadanie.

Zaczął powoli sprawdzać pomieszczenia w blasku zachodzącego słońca. Przeciwny koniec pustej sali treningowej oświetlony był przebijającym się zza szarego smogu krwistoczerwonym światłem słońca, którego promienie obejmowały zbocza dostojnej góry Fudzi. Nagle jego odczucie zmieniło się. Choć nadal był pewien, że ktoś go obserwuje, czuł, że osoba ta nie żywi złych zamiarów. Skąd brało się takie odczucie, nie był w stanie powiedzieć, było to coś bezwarunkowego.

Blask światła zalał róg *dojo*, padając na krawędź jasnej poręczy, znaczną część znajdującego się za nią podwyższenia, pozostawiawszy w ciemności narożny filar. Wpatrywał się w ten obraz, gdy nagle usłyszał głos.

- Dobry wieczór, Nicholas.

W ciemnościach zauważył ruch, postać wynurzającą się ze swego ukrycia na światło dzienne. Był to Kansatsu.

Chudy, drobny mężczyzna. Miał twarde krótko przystrzyżone siwe włosy. Jego oczy sprawiały wrażenie wiecznie nieruchomych, choć wszechogarniających. Zszedł z podwyższenia, nie powodując nawet najmniejszego hałasu i stanął przed nagim do pasa Nicholasem, który oniemiał z zaskoczenia. Kansatsu zamienił z nim od czasu jego przyjścia do szkoły zaledwie parę słów. Teraz byli sam na sam i Nicholas zrozumiał, że ich spotkanie nie jest przypadkowe.

Zauważył, że Kansatsu go obserwował, by następnie podejść i wyciągniętym palcem wskazującym dotknąć sińca poniżej jego mostka.

- Dla Japonii nastały bardzo ciężkie czasy - powiedział Kansatsu. - Bardzo przykre czasy. - Podniósł głowę. - Włączyliśmy się do wojny z powodów ekonomicznych, a później rodzimi imperialiści wmówili narodowi, że trzeba dokonać podboju innych ziem - westchnął. - Ale ta wojna to zły pomysł, bo wynikała z zachłanności, a nie z obrony naszego honoru. Nowoczesny Japończyk uświęca swój cel ideologią *bushido* interpretowaną inaczej niż na podstawie myśli w niej zawartej. - Miał smutek w oczach. - A teraz musimy za to wszystko zapłacić. Nasz kraj jest zalany Amerykanami, nasza nowa konstytucja została napisana przez Amerykanów, cała gospodarka zaś została nastawiona na zaspokojenie potrzeb amerykańskich. Niepodobna służyć takiemu panu. - Wzruszył ramionami. - Ale widzisz, niezależnie od tego, jaki los spotka Japonię, *bushido* przetrwa. Nasi ludzie interesu zaczynają nosić garnitury, nasze kobiety cheszą się nowocześnie, przejmujemy coraz więcej waszych zwyczajów. Ale to nic nie zmienia. Japończyk jest jak wierzba, ugina się pod wpływem podmuchu czasów, ale nie łamie. Te zachowania to tylko zewnętrzne okazywanie chęci bycia partnerem innych rozwiniętych społeczeństw. Do tego celu służą nam nieświadomie Amerykanie, bo za ich pieniądze staniemy się silniejsi niż kiedykolwiek. Ale zawsze musimy szanować tradycję, bo tylko dzięki *bushido* możemy być silni.

Chcesz stać się taki jak my - powiedział niespodziewanie. - Ale widzę - wskazał na siniak, dzieło Saigo - że na razie nie idzie ci to najlepiej.

- Wszystko przyjdzie z czasem - odrzekł Nicholas. - Staram się być cierpliwy.

Kansatsu przytaknął.

- Dobrze, bardzo dobrze. Ale to nie wystarczy. - Złączył razem opuszki palców rąk na piersiach i zaczął się przechadzać po sali wraz z idącym obok Nicholasem. - Sądzę, że przyszedł czas, byś zaczął ćwiczyć z innymi mistrzami. Nie chciałbym oczywiście, byś zaprzestał swoich bardzo ważnych zajęć z Muromachim. Chodziłoby raczej o zajęcia dodatkowe. Od jutra będziesz miał zajęcia ze mną - powiedział prowadząc Nicholasa po zaciemnionym pomieszczeniu - z *haragei*.

Nicholas dzielił swoją znajomość z Satsugai na dwa okresy. Punktem zwrotnym było przyjęcie organizowane przez jedno z *zaibatsu*, na które zabrali go rodzice. Możliwe, że ta zmiana nastawienia była wynikiem bardziej dojrzałego spojrzenia. Z drugiej strony wierzył, że równie ważne było to, co się stało tamtej nocy.

Satsugai nie był dużym człowiekiem, ale mimo to było w nim coś niesamowitego. Miał masywny tors i brzuch, krótkie ręce i nogi - zbyt krótkie w porównaniu z korpusem. Głowa wyrastała mu prosto z ramion bez czegoś na podobieństwo szyi; była okrągła, pokryta na czubku kępą czarnych włosów obciętych na jeża, co dla Nicholasa stanowiło dowód jego wojskowych powiązań. Twarz miał płaską, ale niepodobną do typowego Japończyka. Na przykład jego oczy, o kształcie migdałów, błyszczące czernią niczym kawałki kamienia wulkanicznego, były skośne. Ta anomalia, zestawiona z małymi, wysoko umieszczonymi kośćmi policzkowymi i ciemnożółtą cerą świadczyła wyraźnie o jego mongolskim dziedzictwie. Nicholas z łatwością mógł sobie wyobrazić, że jest on potomkiem Dżyngis-chana. Nie było to aż tak nieprawdopodobne, jak by się mogło wydawać, gdyż historia Japonii, o czym Nicholas wiedział, znała dwa najazdy Mongołów w latach 1274 i 1281. Głównym miejscem naporu był okręg Fukuoka, ze względu na bliskość kontynentu. Satsugai, wedle wiedzy Nicholasa, pochodził właśnie z okręgu Fukuoka i choć był Japończykiem z krwi i kości, przywiązany do tradycji i skorym do działania, to kto wie, czy jego przodkowie nie należeli do siejących postrach koczowników?

Można by sobie wyobrazić, że opisując tak szczegółowo jego zewnętrzny wygląd, równie łatwo można opisać samego człowieka. Nic bardziej błędnego. Satsugai był urodzonym przywódcą. Będąc członkiem społeczności skierowanej na zaspokojenie interesów grupowych - starszyny rodzinnej, pana, a w ostateczności shoguna, który przez okres ponad dwustu pięćdziesięciu lat symbolizował japoński model społeczny w sposób bliższy rzeczywistości niż cesarz - był mimo wszystko samotnikiem. Zewnętrznie oczywiście nie było tego widać, gdyż był całkowicie oddany Japonii, swojej Japonii, w tym celu należąc do wielu stowarzyszeń, niejednego bractwa *zaibatsu*. Ale dla Nicholasa podczas przyjęcia stało się jasne, że wewnętrznie Satsugai uważał się za lepszego od innych. W dość dziwny sposób właśnie taki stan stanowił po części podstawę jego zdolności przywódczych. A Japończycy są urodzonymi podwładnymi, od najmłodszych lat zawsze przyuczano ich do ślepego i dozgonnego posłuszeństwa wobec shoguna. Czyż zatem mogło budzić zdziwienie to, że Satsugai miał tylu fanatycznych popleczników? Byli to ludzie słabi, którymi się wysługiwał, ale czyż Cezar nie postępował inaczej? W każdym razie dla niego miało to pierwszorzędne znaczenie.

Itami była ciągle przy jego boku. W okolicy kręcił się też Saigo, jakby w nadziei, że trochę blasku ojca spłynie na niego. Ale tego wieczoru była z nimi jeszcze inna osoba i od chwili, gdy Nicholas ją zobaczył, przykuła na stałe jego uwagę. Nachylił się w stronę matki i spytał, co to za



dziewczyna.

- To siostrzenica Satsugai. Pochodzi z południa - powiedziała Czeong. - Przyjechała tutaj na krótko. - Ze sposobu, w jaki to powiedziała, Nicholas wiedział, że jeżeli chodzi o Czeong, nawet najkrótszy pobyt dziewczyny był o wiele za długi. Chciał zapytać matkę, dlaczego nie lubiła tej dziewczyny, ale nim zdążył, Satsugai już zaczął ją przedstawiać Czeong i pułkownikowi.

Była szczupła i wysoka. Europejczyk powiedziałby, że jest „rosła jak topola”. Miała długie ciemne włosy, a jej ogromne błyszczące oczy posiadały w sobie coś zwierzęcego. Skórę miała delikatną, z naturalnymi rumieńcami, na pewno nie używała kosmetyków. Nicholas był olśniony. Nazywała się, zgodnie z tym jak ją przedstawił Satsugai, Yukio Jokoin.

Na przyjęcie przyszła z Saigo. Podkreślał ten fakt, pozostając u jej' boku przez większość wieczoru. Choć Nicholas starał się odgadnąć, nie był w stanie jednoznacznie powiedzieć, czy to towarzystwo jej odpowiada. Przez większość wieczoru męczył się dylematem, czy poprosić ją do tańca. Sam pragnął tego bardzo, ale nie wiedział, jak dziewczyna na to zareaguje. Nie był bynajmniej zastraszonej obecnością Saigo u jej boku, lecz raczej zmartwiony tajemniczością jego ojca, którego stosunki z pułkownikiem były, delikatnie mówiąc, nie najlepsze.

Niestety nie mógł liczyć na niczyje wsparcie prócz własnego, więc w końcu stwierdził, że martwi się pewnymi sprawami na wyrost. Postępując zgodnie z tym rozumowaniem podszedł do nich. Nawiązanie rozmowy ułatwiła Yukio, która z miejsca zaczęła go wypytywać o Tokio, w którym nie była od dłuższego czasu. Odniósł wrażenie, że rzadko opuszczała okolice rodzinnego Kioto.

Saigo, jak należało się spodziewać, nie zapatrywał się pozytywnie na jego nadejście i już miał zamiar to wyrazić słowami, gdy zawołał go ojciec.

Prowadząc ją na parkiet Nicholas miał czas podziwiać kimono dziewczyny. Było jasnoszare, przetykane platynową nicią, z wyszytym granatowym kołem ze szprychami, typowym wzorem używanym przez możnych władców w dawnych czasach.

Wolna muzyka sprzyjała temu, by trzymał ją blisko, wydawało mu się, że jest lekka jak piórko, przez cienkie kimono czuł delikatne ruchy i gorąco jej ciała.

— Jesteśmy oboje za młodzi, by pamiętać wojnę - powiedziała suchym głosem. - Ale mimo to jesteśmy pod jej przemożnym wpływem. Czyż to nie dziwne?

— Nie do końca. - Czuł zapach jej ciała i wydało mu się, jakby nawet pocila się perfumami. - Bo przecież historia to ciąg zdarzeń. Poszczególne wydarzenia nie dzieją się w próżni, każde z nich jest źródłem kolejnych, te oddziałują na inne ciągi zdarzeń, zmieniając ich bieg, a i one same podlegają temu samemu procesowi.

— Ale to mądre. - Wydawało mu się, że drwi sobie z niego, dopóki się nie zaśmiała i nie powiedziała:

— Mnie się jednak to podoba. Czy wiesz dlaczego? Nie? Bo to oznacza, że wszystko, co zrobimy, wpłynie na naszą przyszłość.

— Czy masz na myśli nas?

— Tak. Nas dwoje. Taki duet. Jak biały i czarny. Jak *yin* i *yang*.

Gdy tak rozmawiali, bez najmniejszego uprzedzenia przybliżyła się jeszcze bardziej do niego. Nagie, gdy poruszali się w rytm muzyki, jej lewa noga wsunęła się głębiej między jego uda. Przycisnęła się do niego tak, że poczuł ciepło jej uda, a później wżgórka łonowego. Mówiła do niego, patrząc mu głęboko w oczy, ocierając się o jego ciało raz w jedną, raz w drugą stronę. Czuł się tak, jakby nic ich nie dzieliło. Bał się nawet oddychać, aby przez nieuwagę nie zmienić ich uścisku. Ich zachowanie było bardzo poufale, biorąc pod uwagę otaczających ich ponad sześciuset innych wytwornie ubranych gości tego przyjęcia, którzy z pogardą odnosili się do nowych zwyczajów, czy postępowych poglądów. Skrytość ich ruchów podniecała go dodatkowo, w szczególności w momentach, gdy widział, jak Saigo spogląda na nich z boku, nie mogąc odejść od rozmówców ojca. Były to jedyne chwile, gdy myślał życzliwie o swoim kuzynie.

Zdawało mu się, że tańczyli bez końca, a kiedy on jednak nastąpił, rozstali się bez słowa na temat tego, co między nimi zaszło. Wówczas nie wiedział, że nie ujrzy jej przez najbliższe cztery lata.

W niedzielę pułkownik sypiał zwykle dłużej. Na taki luksus pozwalał sobie pewnie dlatego, że gdy miał wolny dzień, lubił całkowicie odrzucić normalny harmonogram dzienny. I choć zrywał się o szóstej rano przez sześć dni tygodnia, w niedzielę wstawał, o której mu się żywnie podobało. Nikt mu wtedy nie przeszkadzał oprócz Czeong, która nie była narażona na jego skądinąd rzadkie ataki złości. Nieraz pozostawała z nim na ich posłaniu, aż się obudził, innymi razy wstawała wcześniej ponagając służbę do przygotowywania posiłku.

W weekendy sama szykowała jedzenie. Nicholas wiedział, że chętnie gotowałyby codziennie, bo uwielbiała to robić, ale ojciec zabronił jej.

— Od gotowania jest Tai - powiedział w złości któregoś dnia. - Za to jej płacimy. A ty masz mieć czas dla siebie, by robić, na co masz ochotę.

— No to co mam robić? - zapytała.

— Wiesz, o co mi chodzi.

— Kto, ja? - zapytała wskazując na siebie. - Ja gupi Chintsyk, panie pułkowniku - powiedziała w żargonie kolonialnym, choć doskonale znała angielski. Następnie kłaniała się wielokrotnie. Potrafiła rozculić go do łez swoimi parodiami, swą bezbłędną mimiką, swym naśladowaniem charakterystycznych cech i akcentów różnych osób.

Nie lubił wspominać ukrytego za mgłą kontynentu azjatyckiego, który znajdował się tak blisko za cieśniną, tej całkowitej pogardy, z jaką Amerykanie i Anglicy traktowali zarówno Chińczyków, jak i Malajów, jakby byli podludźmi przeznaczonymi jedynie do czarnej roboty, bądź uciech cielesnych. Pułkownik wziął Czeong w swoje opalone, silne ramiona i pocałował ją mocno w usta, ściskając jej ciało, wiedząc, że tylko w taki sposób może ją uciszyć, a jakkolwiek znak jego złości by ją tylko rozzuchwiał.

Tego to właśnie niedzielnego poranka Czeong była już na nogach krojąc świeże jarzyny, gdy Nicholas wszedł do kuchni. Promienie słoneczne ożywiły szyby w oknach, dodając im blasku. W oddali słychać było samolot podchodzący do lądowania na lotnisku Haneda. Daleko nad horyzontem zauważył klucz gęsi, odlatujący od tarczy wschodzącego słońca.

Ucałował ją, a ona go objęła.

— Czy idziesz dzisiaj na trening? - spytała cicho.

— Nie pójdę, jeżeli tata będzie w domu. Dzieliła zieloną fasolę.

— Myślę, że ma dla ciebie jakąś niespodziankę. Miałam nadzieję, że postanowisz dzisiaj zostać.

— Czuję, że muszę zostać - powiedział. - Sam tego chciałem.

— Może przyjść taki dzień - mówiła Czeong nie przerywając pracy - że to nie będzie możliwe.

— Masz na myśli ojca?

— Nie, ciebie.

— Nic nie rozumiem.

— Kiedy z ojcem opuściliśmy Singapur, So-Peng był umierający. Umierał powoli i jeszcze wiele uczynił przed odejściem. Lecz powiedział mi, że widzimy się po raz ostatni i miał rację. - Jej ręce wycierały plamę na drewnianym blacie. - Wiedziałam, że muszę zabrać twego ojca i wyjechać z Singapuru na zawsze i zamieszkać gdzie indziej. Ale moje serce po opuszczeniu So-Penga było złamane. Był moim ojcem, a nawet czymś więcej, a ja czymś więcej niż córką. Być może stało się tak dlatego, że sami nawzajem się wybraliśmy, łączyły nas więzy duchowe, a nie więzy krwi. Tego dnia, gdy już odchodziliśmy, zatrzymałam się na werandzie jego domu, jak wielokrotnie wcześniej czyniłam jako dziecko, i już miałam ruszać, gdy So-Peng położył rękę na moim ramieniu. Był to pierwszy raz, gdy mnie dotknął, odkąd stałam się dojrzałą kobietą. Twój ojciec był gdzieś w przodzie. „Teraz jesteś jak ja, Czeong” - powiedział mi w dziwnym dialekcie man-daryńskim, którego używaliśmy tylko między sobą.

— Co chciał przez to powiedzieć?

— Dokładnie nie wiem, mogę tylko się domyślać. - Wytarła ręce, zanurzyła je w roztworze kwasu cytrynowego i ponownie zaczęła kroić, szybko i sprawnie, tym razem ogórki. - Płakałam przez całą drogę powrotną do naszego samochodu. Twój ojciec oczywiście o nic nie pytał, choć pewnie bardzo pragnął to uczynić, ale nie chciał mnie zawstydząć.

- Czy musieliście wyjeżdżać?

- Ja musiałam - powiedziała, tym razem odwracając się od roboty. - To był mój obowiązek wobec twego ojca. Teraz tu jest moja rodzina. Ja o tym wiedziałam i So-Peng również. To by było dla niego nie do pomyślenia, żebym porzuciła swe małżeńskie obowiązki i została z nim. Tak nie mogło się stać. Niespełnienie obowiązku oznacza niszczenie tego, co czyni każdego z nas innym i zdolnym do niesamowitych dokonań. Wypełnianie obowiązków jest istotą życia, Nicholas. Jest to jedyna rzecz, na którą nie wpływa śmierć. Oznacza to nieśmiertelność.

Jak się okazało, pułkownik miał cały dzień wolny, a ponieważ była wiosna, pojechał z Nicholasem do Ogrodu Botanicznego Jindaiji w centrum miasta, by obejrzeć kwitnące wiśnie. Po drodze podzucili Czeong do Itami, z którą obiecała się wybrać w odwiedzinach do chorego wuja.

Poranna mgła już opadła, a silny wschodni wiatr przepędził mżawkę, kłębki chmur tworzyły ciąg, niczym zestaw obrazów impresjonistycznych w galerii. Również park wyglądał, jakby opadł z niebios. Silnie kwitnące drzewa z długimi gałęziami uginającymi się pod ciężarem różowych kwiatów miały niebiański wygląd. W innych porach roku być może park jawił bardziej surową urodę. Ale był kwiecień i piękno, które tu można było obejrzeć, zapierało dech w piersiach. Kimona i wielokolorowe pergaminowe parasole były strojem popularnym, co dało się zauważyć w trakcie ich spokojnego spaceru ścieżką pod podwójnym niebem - jednym pachnącym tuż nad nimi, drugim niedostępnym w oddali. Zatrzymali się przy sprzedawcy cukierków. Pułkownik kupił dla każdego porcję, tak że obaj mogli spokojnie jeść słodczyce podczas drogi. Mijały ich uśmiechnięte dzieci oraz młode pary idące pod rękę. Było tam wielu Amerykanów.

— Ojczy, czy opowiesz mi o *zaiatsu* - zapytał Nicholas. Pułkownik wziął cukierka do ust i possał go chwilę.

— Jestem pewien, że coś nie coś już na ten temat wiesz.

-Wiem, czym są *zaibatsu* - odpowiedział Nicholas. - Czterema największymi kompleksami przemysłowymi. Wiem również, że zaraz po wojnie wielu dyrektorów *zaibatsu* było sądzonych za przestępstwa wojenne. Nie rozumiem tego.

Pułkownik był zmuszony pochylać się, aby przejść pod opadającymi gałęziami. Czuł się, jakby był pilotem przelatującym wśród różowych chmur. Wydawało się, że Tokio jakie znali nie istniało na jawie, a było tylko opowieścią z gatunku science fiction. Tubylec przechodzący tędy nie miałby kłopotu z określeniem znaczenia takich symboli, w Japonii było ich pełno, a każdy miał swoją moc oddziaływania. Dla Japończyków najważniejszym symbolem była kwitnąca wiśnia. W różnych odniesieniach oznaczała odnowę, czystość, miłość i nieograniczone piękno, wszystko to, co charakterystyczne dla japońskiego systemu wartości. Pułkownik myślał o tym, zastanawiając się, jak zacząć.

- Jak ze wszystkim w tym kraju - rozpoczął - nie można tu zająć jednoznacznego stanowiska. Wszystko należy odnosić do przeszłości. W 1868 roku, po tak zwanej Restauracji Meiji, Japonia podjęła poważne starania w kierunku odejścia od izolacjonizmu i feudalizmu poprzednich dwustu pięćdziesięciu lat shogunatu. To oznaczało również odejście od wielu tradycji, które część społeczeństwa przyjmowała za istotę ich tożsamości narodowej.

Skrećili w prawo, idąc lekko opadającym zboczem w dół, w kierunku małego jeziora. Zza krzaków usłyszeli dziecięce głosy.

- Razem z nastaniem nowej rzeczywistości - mówił dalej pułkownik - na podobieństwo Zachodu, że się tak wyrażę, nastąpiło automatyczne uszczuplenie dużych wpływów samurajów. Jakkolwiek było, oni zawsze byli najgorliwszymi obrońcami japońskich tradycji. Zaczęto ich jednak określać mianem konserwatystów, gdyż byli przeciwni wszelkim reformom wprowadzanym przez cesarza. Jak dobrze wiesz, od 1582 roku, gdy władcą kraju został Hideoshi Toyotami, tylko samuraje mogli nosić dwa miecze, tylko samuraj mógł mieć miecz *katana*. To wszystko zostało zmienione. „Ustawa o powszechnej służbie wojskowej” zabroniła noszenia *katana*, a poprzez utworzenie armii z poboru obejmującego wszystkie klasy społeczeństwa zniszczyła obowiązujące od 792 roku hierarchiczne stosunki w społeczeństwie, w którym samuraje stali dotąd na piedestale.

Przez pewien czas spacerowali wokół jeziora, którego chłodny błękit kontrastował z jasnoróżowymi kwiatami. Pływały po nim modele statków, ich białe żagielki falowały, a mali kapitanowie wesoło biegali po brzegu śledząc ich losy.

- Jednak samurajowie nie poddawali się tak łatwo - kontynuował pułkownik. Widok małych stateczków płynących tak pewnie po wodzie przypominał mu obrazy z krwawej przeszłości Japonii. - Wielu z nich podjęło bezpośrednią walkę, a gdy to nic nie dało, powstały tajne stowarzyszenia. Największe z nich nosiło nazwę *Genyosha*, czyli Stowarzyszenia Mrocznego Oceanu, ale były też

inne - jak *Kokuryukai*, czyli Stowarzyszenie Czarnego Smoka. Te stowarzyszenia, dzisiaj bardzo potężne, są ze swej natury reakcyjne, propagują imperialistyczne idee i misję dziejową Japonii w stosunku do reszty kontynentu. Stowarzyszenie *Genyosha* powstało w Fukouka i nadal ma tam swą główną siedzibę. Ale biorąc pod uwagę, że ten skrawek Kyushu jest częścią Japonii położoną najbliżej kontynentu, nie jest dziwne, że właśnie tam są oni najbardziej zajadli.

Nicholas znów wspomniał inwazję Mongołów i gwałtowne nastroje nacjonalistyczne, jakie musiały wywołać te niespodziewane najazdy. Nagle przypomniał sobie twarz Satsugai.

Znaleźli ławkę nad wodą i usiedli. Na drugim końcu jeziora stało dziecko z wiązką kolorowych balonów, a jeszcze dalej nad wysokimi drzewami unosił się na tle nieba latawiec skrzynkowy, pomalowany na podobieństwo ziejącego ogniem smoka.

- Ponosząc klęskę przy próbie dokonania bezpośredniego przewrotu przeciwko panującemu cesarzowi Meiji, członkowie *Genyosha* zajęli się podważaniem przemian od wewnątrz. Byli bardzo przebiegli. Wiedzieli, że panujące elity, które propagowały uprzemysłowienie, będą potrzebowały podstaw do dalszego rozwoju gospodarczego. Oznaczało to dla nich konieczność przejęcia władzy nad Chinami. Działając w ramach nowego systemu politycznego Japonii, ludzie z *Genyosha* starali się pozyskać przedstawicieli najwyższych władz. Szczególnym celem byli dla nich przedstawiciele Sztabu Generalnego armii japońskiej, w którym poglądy reakcyjne były raczej regułą niż wyjątkiem. Pomogła im również kampania wyborcza do parlamentu w 1882 roku. *Genyosha* porozumiała się z dotychczasowymi posłami, którzy w zamian za gwarancję wyboru mieli zapewnić realizację przez rząd imperialistycznej polityki zagranicznej. Zgodnie z umową *Geyno-sha* wysyłała wszędzie swoich zbirów, którzy bijąc wyborców zagwarantowali, przez zastraszenie, korzystny dla siebie wynik.

Minęło ich dwóch oficerów armii amerykańskiej idących ze swymi rodzinami. Mieli na sobie mundury, jakby odznaki chwały. Szli krokiem zwycięskich bohaterów, którymi niewątpliwie byli. Ale mimo tego, że widzieli tutaj wiele rzeczy i zdarzeń, było mało prawdopodobne, by coś z tego głębiej zrozumieli.

— W ślad za polityką agresji i zdobyczami wojennymi w Mandżurii i Szanghaju przyszedł czas na zabezpieczenie interesów gospodarczych Japonii za granicą. Rozwijająca się gospodarka była teraz państwu niezbędna, stąd jej niesłychane tempo wzrostu. Z tej kipieli powstały cztery ogromne koncerny przemysłowe tworzące *zaibastu*.

— A więc Kansatsu miał rację mówiąc, że przedstawiciele gospodarki są równie odpowiedzialni za wywołanie wojny, co wojskowi - stwierdził inteligentnie Nicholas.

Pułkownik przytaknął.

— W wielu kwestiach Japonia była krajem zacofanym, shogunowie się o to postarali. Ale z drugiej strony, lepiej niż inni rozumieli problem tożsamości narodowej. Z żalem muszę stwierdzić, że była to jedyna z rzeczy, których generał MacArthur w ogóle nie rozumiał. Oczywiście wiedział wystarczająco wiele, by pozostawić na tronie cesarza, tam gdzie był przez wielki, mimo krzyków i nawoływań, by go osądzić i rozstrzelać jako zbrodniarza wojennego. Bo widzisz, niezależnie od tego, że cesarz od pierwszego dnia starał się z całych sił pomagać Amerykanom w ich dziele, to dodatkowo MacArthur był świadom tego, że pozbawienie go władzy doprowadziłoby w Japonii do chaosu. Była to tradycja, którą respektowali nawet shogunowie. Ale również od pierwszego dnia Amerykanie szerzyli mit, że za skierowanie Japonii w stronę wojny odpowiedzialni byli jedynie wojskowi. - Polizał czubki palców i wyjął fajkę. - A przecież nic bardziej błędnego. To przecież członkowie *zaibatsu* doprowadzili do takiej sytuacji ekonomicznej, w której wojna była jedynym możliwym rozwiązaniem.

— A jaki był stosunek do tej sprawy całego społeczeństwa? - spytał Nicholas. - Chyba nie pragnęło wojny?

Pułkownik włożył nie zapaloną fajkę między zęby. Spojrzał w górę na lekko kołyszące się, obciążone kwiatami gałęzie.

- Niestety, to społeczeństwo wciąż kultywuje tradycję wodza. Bierze się to z tak późnego odejścia od państwa feudalnego, od ślepego posłuszeństwa w stosunku do cesarza, shoguna i pana. To jest u nich wrodzone. - Wyprostował się, częściowo zwrócony do syna, z fajką w ręku. - Nie dziwi zatem informacja, że tuż przed wojną praktycznie nie było nastrojów antywojennych. Co więcej, Partia Socjaldemokratyczna, która była jawnie przeciwna inwazji w Man dżurii, straciła wiele głosów w wyborach roku 1932. Tylko maleńka, niezniszczalna Partia Komunistyczna była jedyną siłą, która do końca przeciwstawiała się japońskiemu militarystom. Ale było to zaledwie źdźbło na wietrze, *zaibatsu* i *Genyosha* tak zmanipulowały wpływowymi osobami w rządzie i środkach masowego przekazu, że wojna stała się nieunikniona.

Obaj podnieśli wzrok słysząc odgłos szybkich kroków. Zobaczyli, jak z lewej strony dwóch mundurowych policjantów zbiega schodkami, po trzy naraz, z ramionami rozpostartymi w celu utrzymania równowagi. Inni ludzie też patrzyli. Słyszać było ostry jęk. Nawet dzieci się



podwracały, ich stateczki bezpiecznie kołysały się na wodzie. Kilku oficerów amerykańskich zastanawiało się tylko przez chwilę, nim ruszyli biegiem za policjantami. Nicholas i pułkownik wstali i poszli razem z tłumem lewą stroną jeziora.

Przed nimi stało kilka drzew wiśniowych, które rozkwitły tak obficie, że nie można było ujrzeć, co się za nimi dzieje. Nim doszli na miejsce, zebrał się już spory tłum, choć szli na skrót przez trawnik, by ominąć zatłoczone schody. Osłaniając Nicholasa ramieniem, pułkownik przecisnął się przez zbitą cizbę. Po bokach dochodziło do przypychanek. Ale szamotanina się szybko skończyła, kiedy przybyły policyjne posiłki.

Ludzie z przodu rozstąpili się i oto ujrzeli trawnik wyglądający jak leśna polana. Na trawie porzucane były kwiaty wiśni, jakby na powitanie powracającego bohatera. Nicholas zauważył również kawałek wzorzystego kimona. W pierwszej chwili wydawało mu się szare, ale gdy napierający tłum popchnął go bliżej, zobaczył, że było zrobione z lamowanego białą taśmą materiału w białe i czarne, falujące pasy, które z większej odległości się zlewały.

W miarę jak pojawiało się coraz więcej policjantów, ci, którzy przybyli pierwsi, przesunęli się. Wtedy Nicholas zobaczył klęczącego na trawie człowieka. Jego czoło dotykało ukwieconego podłoża. Prawą rękę przycisnął do ciała kryjąc dłoń za klapą kimona na wysokości brzucha. Przed nim leżało małe pudełko z mosiądzu i drzewa różanego oraz, nieco w cieniu, długi pasek białego jedwabiu. Stojąc za Nicholasem pułkownik ścisnął jego ramię, mówiąc:

- Przecież to Hanshichiro! - wymienił imię słynnego japońskiego poety.

Nicholas usiłował zobaczyć więcej. W gęstwinie nóg okrążających ciało dojrzał twarz, szeroką i płaską, z wyrazistymi bruzdami schodzącymi w dół od kącików ust. A potem spostrzegł, że pasek z białego jedwabiu nie był ocieniony, tylko splamiony; przez porowaty materiał przeciekała na ziemię u stóp Hanshichiro krew.

-*Seppuku* - powiedział pułkownik. - Tak giną ludzie honoru. Nicholas zastanawiał się nad tym, w jak uporządkowany sposób odbywała się ta śmierć. Często słyszał o wojnie, tam śmierć była nieczysta. Ale tutaj, jaka dostojna, jak precyzyjnie zadana, zupełnie niczym przemijanie czasu, choć jej spokój mącił ruch otoczenia.

- Czy dobrze się czujesz, Nicholas? - Pułkownik położył lekko rękę na ramieniu syna i spojrzał na niego z niepokojem.

Nicholas przytaknął.

- Chyba tak. - Spojrzał w górę. - Tak, sądzę, że wszystko ze mną w porządku. Choć... mam dziwne uczucie, tak jakby za wiele wrażeń na jeden raz. Ja... Ale dlaczego on to zrobił w parku? Czyżby chciał, by wszyscy to zobaczyli?

Zobaczyli i zapamiętali - powiedział ojciec. Odeszli od jeziora i weszli na pagórek tak zalesiony, że nie było widać nawet najbliższej okolicy. Nad nimi Nicholas mógł nadal widzieć latawiec - unoszącego się smoka ziejącego ogniem w powietrze, jakby wbrew wiatrom, popychającym go to tu, to tam.

- Był zgorzkniałym człowiekiem zapatrzonym w przeszłość, nie mogącym się pogodzić z drogą, po jakiej kroczy jego kraj.

Obok nich przeszła otyła Japonka pchająca przed sobą granatowy wózek z parą ubranych na różowo dzieci.

- Hanshichiro był wspaniałym artystą wizjonerem. Człowiek wielkiego charakteru. Chciał w ten sposób zaprotestować przeciwko zbytniemu unowocześnianiu Japonii, nowoczesności, która jak był przekonany, ją zniszczy.

Młody amerykański marynarz i jego japońska dziewczyna szli w dół w ich kierunku, śmiejąc się i ściskając za ręce. Marynarz objął dziewczynę i pocałował ją w policzek. Zachichotała i odwróciła głowę. Jej włosy powiewały na wietrze, falując jak ciało żywego smoka.

- Jest wielu innych takich jak Hanshichiro - powiedział Nicholas. - Czy Satsugai nie urodził się przypadkiem w Fukuoka?

Pułkownik popatrzył w zamyśleniu na syna. A później sięgnął do kieszeni marynarki. Wyjął woreczek z tytoniem i zaczął napełniać fajkę, upychając tytoń kciukiem. Nicholas obserwując unoszącego się wysoko ponad drzewami smoka powiedział:

- Czytałem, ojczu, ich konstytucję. Wiem, że brałeś udział w jej redagowaniu. Nie wypływa z tradycji japońskiej, ale jest bardzo demokratyczna. O wiele bardziej niż polityka obecnego rządu. Politycznie Japonia znowu poszła na prawo, *zaibatsu* nigdy nie zaprzestali

działania. Nie rozumiem powodów, dla których większość przedwojennych kadr nie została wymieniona.

Pułkownik wyjął zapalniczkę firmy Ronson w szarej, metalowej obudowie i odwracając się tyłem do wiatru, zapalił wysoki płomynek. Zaciągnął się trzy lub cztery razy tak głęboko, jakby wzdychał z zadowolenia, nim zamknął zapalniczkę.

— Chciałbym znać twój stosunek do tego, nim ci odpowiem. Czy cię obchodzi to, że Hanshichiro nie żyje? Albo że widziałeś, jak człowiek odbiera sobie życie?

— Nie wiem, naprawdę nie wiem. - Położył rękę na czarnej żelaznej poręczy ustawionej wzdłuż ścieżki, poczuł całym ciałem chłód metalu. - Nie wiem, czy już odreagowałem. To było tak, jakbym oglądał film, a nie rzeczywistość. Nie znałem ani autora, ani jego dzieł. Chyba jest mi smutno, choć nie wiem dlaczego. Ostatecznie, zrobił to, co chciał.

Pułkownik wyjął fajkę z ust i zastanawiał się nad tym, co powiedział syn. Jakiej reakcji się po nim spodziewał? Łez? Ataku hysterii? Bał się powrotu do domu i opowiedzenia wszystkiego Czeong. Ona tak kochała poezję Hanshichiro. To nie było w porządku uważać, że śmierć poety może dotknąć Nicholasa w taki sam sposób, jak jego. Mieli inne doświadczenia życiowe i pokoleniowe, tak czy inaczej Nicholas nie posiadał jeszcze wycucia historii takiego jak on i Czeong. A poza tym miał na historię zupełnie inne spojrzenie. Przez chwilę myślał o mężu Itami. Nicholas miał rację, a zatem będzie musiał to teraz brać pod uwagę.

- Choć oficjalne amerykańskie stanowisko jest takie, że to wojskowi w całości odpowiedzialni byli za wojnę - powiedział pułkownik - to trzeba sprawiedliwie przyznać, że zaraz po wojnie w *zaibatsu* była przeprowadzona czystka. Ale oni wcześniej zdążyli zniszczyć tyle dokumentów i podrobić dziesiątki innych, tak że wielu wysokim funkcjonariuszom udało się bez problemu umknąć sprawiedliwości. Nie dotyczyło to wszystkich, część pogodziła się z losem i została osądzona. - Zaczęli iść w kierunku wschodniej bramy, za którą stał ich samochód. - Amerykanie przychodząc tu mieli, oczywiście, jak najlepsze chęci. - Pułkownik wyjął fajkę z ust i wypuścił niebieskawy dym. - Pamiętam dzień, w którym zakończyliśmy prace nad projektem ich nowej konstytucji. Przedstawiliśmy go premierowi i ministrowi spraw zagranicznych, co wywołało zaskoczenie równe zrzuconiu bomby atomowej. Aż oniemieli z przerażenia. Dokument nie miał nic wspólnego z tradycją japońską, był sporządzony całkowicie na wzór zachodni. Ale to generał MacArthur stanowczo nalegał, by ten kraj zerwał ze swą feudalną przeszłością, bo inaczej mogłoby to grozić jakimś nawrotem. Istotą zmiany było pozbawienie cesarza władzy wykonawczej i przekazanie jej organom wybieralnym, zachowując go jako tytularną głowę państwa.

— A co było dalej? - zapytał Nicholas.

— W 1947 roku rząd amerykański poprzez MacArthura całkowicie zmienił swą politykę. Pewne ustawy zostały cofnięte, dokonano rewizji wyroków na zbrodniarzach wojennych, a

przywódcy *zaibatsu* wrócili na swe dawne funkcje.

— Ale to było zaprzeczeniem poprzednich działań.

— Tylko jeżeli patrzysz wyłącznie na to, co się działo w Japonii - powiedział pułkownik. - Widzisz, Amerykanie jak ognia boją się komunizmu. Są w stanie wiele poświęcić, by ograniczyć jego wpływy na całym świecie. Wystarczy popatrzeć, ile zrobili dla Franco w Hiszpanii, lub Czang Kajszeka w Chinach. Uważają faszyzm za najlepszą broń w walce z komunizmem.

— Czyli to oznacza, że Amerykanie z premedytacją ignorowali zapisy konstytucji własnego autorstwa, oddając władzę w ręce *zaibatsu* i wykonując polityczny skręt w prawo.

Pułkownik kiwnął głową nic nie mówiąc. Czuł, że może nie dojść do bramy wyjściowej z parku, tak jakby był po długim, pełnym niebezpieczeństw marszu, do którego końca już nie miał sił dobrać.

- Usiądźmy na chwilę - powiedział cicho. Powoli przeszli nad niską poręczą i usiedli na nasłonecznionej trawie. Ale nadal było mu zimno, odwrócił się więc plecami do wiatru. Rzadki chmurki co jakiś czas przesłaniały tarczę słoneczną, rzucając na ogromny trawnik ruchomy cień, niczym obraz tańczących duchów. Drzewa wiśniowe szumiały, sfora psów szczekała jak orkiestra dęta, brązowo-biały motyl fruwał wzdłuż trawnika jak wesoły, samotny tancerz. Według pułkownika ten dzień mógł stać się tematem obrazu. Tylko, zastanawiał się, dlaczego tak wiele obrazów wywoływało smutek?

Pułkownik był świadkiem, swego czasu, śmierci przyjaciół i nieznajomych. Z czasem wyrobił w sobie odporność na ludzkie nieszczęście, inaczej by zwariował. Wtedy śmierć jest jak część przedstawienia teatralnego, na którą nie zwraca się uwagi. Jednak tę śmierć, którą zobaczył w parku, w słoneczny, wiosenny dzień, pośród dzieci, tych przyszłych spadkobierców Japonii, przyjął inaczej. Czuł się nieswojo, niczym Cezar wracający z objęć Kleopatry, z krainy wiecznego słońca, do chłodnych dni w przededniu Idów Marcowych. Pomyślał o orle krążącym nad posągiem Cezara na środku placu niczym jakiś tajemny

znak. I wydawało mu się, że ta znacząca śmierć, której tego dnia był świadkiem, też była takim znakiem. Tylko jeszcze nie wiedział czego.

— Tato, czy dobrze się czujesz? - zapytał Nicholas i złapał ojca za rękę.

— Co? - przez chwilę pułkownik był myślami gdzie indziej. - O tak, zupełnie dobrze. Nie martw się. Zastanawiałem się, jak powiedzieć twojej matce o śmierci Hanshichiro. Będzie nią bardzo wstrząśnięta.

Przez chwilę nic nie mówił, wpatrując się w otaczające ich jasnoróżowe kwiaty. Po pewnym czasie poczuł się lepiej.

- Ojciec, chciałbym cię o coś zapytać.

Być może nadeszła chwila, której pułkownik tak się obawiał, ale głos syna świadczył, że Nicholas długo sobie układał to pytanie.

— O co chodzi?

— Czy Satsugai należy do *Genyoshdl*

— Dlaczego o to pytasz?

— Bo chcę potwierdzić swoje rozumowanie. Satsugai stoi na czele jednego z *zaibatsu*, jest skrajnie reakcyjny w swoich poglądach i urodził się w Fukuoka. - Odwrócił się w stronę ojca. - Dlatego byłbym zdziwiony, gdyby nie należał do tego stowarzyszenia. Przecież to chyba dzięki temu wrócił do władzy po 1947 roku?

— Ach - powiedział sarkastycznie pułkownik. - Co za logiczne założenie. Nicholas, jesteś dobrym obserwatorem otoczenia.

Zamyślił się. Po lewej stronie kilka szarych siewek zerwało się w pośpiechu z drzew i po wykonaniu jednego okrążenia nad parkiem poleciało w kierunku słońca. Gdzieś dalej jakieś niewidzialne ręce ściągnęły w dół latawiec z namalowanym smokiem. Kończył się dzień.

- *Genyosha* - mówił powoli pułkownik - została utworzona z inicjatywy Hiraoki Kotaro. Jego najbardziej zaufanym człowiekiem był niejaki Munisai Shokan. Satsugai jest jego synem.

Nicholas dopiero po chwili powiedział:

- Czy to znaczy, że mam rację?

Pułkownik przytaknął, ale już myślał o czymś innym.

— Czy wiesz, dlaczego Satsugai nazwał swego jedynego syna Saigo?

— Nie.

— Pamiętasz, co ci powiedziałem, że *Genyosha* od początku założyła sobie funkcjonowanie w ramach obowiązującego w państwie systemu politycznego?

— Tak.

— Ale doszli do takiej koncepcji okrężną drogą. „Ustawa o powszechnej służbie wojskowej” podzieliła polityków zgrupowanych

wokół cesarza Meiji na trzy frakcje. Jednej z nich przewodził człowiek o imieniu Saigo. Był przywódcą skrajnie konserwatywnych samurajów. W 1877 roku Saigo poprowadził trzydzieści tysięcy samurajów do bitwy przeciwko rządowej armii poborowej. Żołnierze, wyposażeni w karabiny i działa, łatwo pobili samurajów.

— Oczywiście! - krzyknął Nicholas. - Bunt w Satsuma. Nie pomyślałem o tym wcześniej. - Zerwał źdźbło trawy. - To było chyba ostatnie powstanie samurajów, prawda?

— Tak, ostatnie. - Pułkownik powstał czując, że jest gotów stawić czoło światu i smutkowi Czeong. Nie znosił, jak była smutna.

Doszli do wyjścia i przeszli pod wysoką bramą. Za nimi na niebie nie było już latawców, a słońce zginęło gdzieś w gęstniejącej mgiele, czerwieniąc niebo niczym kropla krwi na bibułce.

Tej nocy obydwaj śnili o śmierci Hanshichiro, ale każdy w inny sposób.

## **ZWÓJ TRZECI**

*Księga wody*

## LATEM, WSPÓLCZEŚNIE

Ozare betonowe wieżowce Manhattanu drgały w gorącym powietrzu ostatnich dni lipca. Było parno. Nicholas czuł, jak ciepło rozgrzanego chodnika przebija się przez cienkie podeszwy jego letniego obuwia.

Stał na Siódmej Alei przy krawężniku na wysokości nowoczesnej konstrukcji kompleksu Madison Square Garden i Pennsylvania Station. Spojrzał na budowlę zauważając, że nie jest już tak awangardowa jak kiedyś. Po drugiej stronie stał hotel Statler-Hilton, a przecnicę dalej widać było plastikowo-szklane wejście do baru McDonalda.

Od niechcenia patrzył na sznur samochodów ruszających po zmianach świateł, zmieniających pasy niczym blaszane fale. Myślał o rozmowie telefonicznej, którą odbył poprzedniego dnia wieczorem. Słowa Vincenta zadały mu straszny cios. Terry i Eileen zamordowani. Wydawało mu się to trudne do wyobrażenia. Żaden włamywacz nie dostałby się do mieszkania Terry'ego bez jego wiedzy, nikt nie mógł go w taki sposób zaskoczyć. Jak więc to się stało? Vincent był wyraźnie nieprzystępny, jego głos brzmiał sucho, a gdy Nicholas nalegał, powtórzył mu jeszcze raz, że ma czekać przy wejściu do stacji Pennsylvania od strony Siódmej Alei, jak tylko przyjedzie pierwszym porannym pociągiem.

Słońce, jaśniejące na bezchmurnym niebie, wypalało ziemię. Koszula Nicholasa przyklejała mu się do ciała. Przygładził włosy, żałował, że nie obciął ich krócej ze względu na upał. Właśnie zapaliły się czerwone światła dla kierunku jazdy na wprost aleją, a zanieczyszczone powietrze unosiło się jak brokatowe zasłony, nieruchome, jakby stwardniałe od ciepła.

To nie Vincent miał po niego wyjść, ale jak mu powiedziano, niejaki porucznik Croaker. Lew Croaker. Nicholasowi wydawało się, że skądś zna to nazwisko. Z nudów nawet *New York Times* wzbudził jego zainteresowanie. Chodziło o głośną sprawę sprzed jakiegoś czasu. Didion. Gazety, nawet stateczny *Times*, zrobiły z niej najbardziej interesujące wydarzenie, być może dlatego, że wszystko wydarzyło się w Actium House, najwykwintniejszym z nowych bloków mieszkalnych przy Piątej Alei. Sprawą tą zajmował się Croaker. Był czymś pupilkiem, środki masowego przekazu ciągle o nim mówiły, a w szczególności dziennik telewizyjny o osiemnastej.

Zapaliło się zielone światło i nieskoordynowany ruch samochodów, głównie taksówek, zaczął się od nowa. Z tego zamieszania wynurzyła się niespodziewanie elegancka czarna limuzyna. Przyciemnione szyby uniemożliwiały zajrzenie do wnętrza. Bezszelestnie podjechała i stanęła przy nim. Tylne drzwi po prawej stronie otworzyły się i Nicholas ujrzał mężczyznę po drugiej stronie siedzenia, który nachylił się i zaprosił go do środka.

- Proszę wsiąść, panie Linnear - rzekł drgającym głosem, jakby z głębin morskich.



Gdy się zastanawiał, czy spełnić prośbę, przednie drzwi otworzyły się i wyszedł z nich postawny, krótko ostrzyżony brunet w granatowym garniturze, który rozwiał wszelkie wątpliwości co do jego decyzji. Drzwi zamknęły się z miłym odgłosem charakterystycznym dla drogich samochodów i po chwili włączyli się w ruch uliczny.

Ilość miejsca przekraczała jego wyobrażenia o samochodach, a panująca cisza wręcz go zaskoczyła. Krajobraz za szybami przesuwał się tak cicho, jakby był ciągnięty po aksamitnym podłożu. Równie dobrze mogliby stać i obserwować przesuwaną scenografię, gdyby nie lekkie przechyły przy ostrym przyspieszaniu i hamowaniu. Wewnątrz tapicerka zrobiona była z jasnoszarego aksamitu, co świadczyło o wykonaniu na specjalne zamówienie. Nic w samochodzie nie wskazywało na jego seryjną produkcję. Było ciemno i chłodno niczym w ekskluzywnym barze. Drgania spowodowane pracą ośmiocylindrowego silnika ledwo dawało się odczuwać.

W samochodzie było trzech ludzi: kierowca, ten w granatowym garniturze siedzący obok niego oraz mężczyzna na tylnym siedzeniu. Ten ostatni właśnie mu się przypatrywał. Był wysoki i krępy. Miał na sobie idealnie skrojony, lekki, lniany dwurzędowy garnitur. Pod garniturem nie było miejsca na tłuszcz, zajmowały je mięśnie. Duża głowa z wystającą szczęką nadawała mu agresywny wygląd. Miał pochyle czoło, krótkie, srebrzyste włosy i pociągłą, ospowatą twarz z głęboko osadzonymi, niebieskimi oczami, z czarnymi, krzaczastymi brwiami. Na podstawie tej twarzy Nicholas wywnioskował, że człowiek ten stawał już wiele razy przed trudnymi dylematami i zawsze wychodził z nich zwycięsko. Gdyby był żołnierzem, to z pewnością w randze marszałka.

— Może się pan czegoś napije? - Aczkolwiek pytanie zadał jego sąsiad, pierwszy ruch wykonał mężczyzna w granatowym garniturze odwracając się na tyle, by położyć rękę na szczycie swego oparcia, jakby wymuszając odpowiedź. Nicholas myślał o tym, co mogło się stać z porucznikiem Croakerem.

— Rum Bacardi z cytryną, jeśli można. - Człowiek w granatowym garniturze natychmiast otworzył szafeczkę między przednimi siedzeniami. Nicholas usłyszał odgłos wpadających do szklanki kostek lodu. Zachowywał się spokojnie, choć nadal nie wiedział, kim są ci ludzie. Chciał podtrzymać rozmowę, by jak najszybciej wyjaśnić, co się dzieje.

— Nie wygląda pan tak jak na zdjęciach - powiedział sąsiad, jakby z wyrzutem.

W chwili gdy człowiek w granatowym garniturze nalewał rum, Nicholas zauważył schowany z prawej strony pod marynarką rewolwer w kaburze z koziej skóry. Spojrzał na to, co działo się na zewnątrz, wszystko wydawało się takie odległe.

- To zrozumiałe - rzekł. - O ile pamiętam, nigdy specjalnie nie pozowałem do zdjęć.

- Pana drink - powiedział człowiek w granatowym garniturze. Nicholas wyciągnął rękę po szklankę. W tym momencie wyczuł ze zmiany zachowania drugiego, co się święci, o dziwo jednak nie próbował zmieniać przebiegu wypadków. W chwili gdy jego dłoń wysunęła się poza tylną część

kabiny, człowiek w garniturze odsunął naczynie i drugą ręką chwycił Nicholasa za nadgarstek. Ta na pozór błyskawiczna akcja z punktu widzenia Nicholasa była powolna i niezdarna. Mógłby zareagować na kilka sposobów, mimo to przypatrywał się spokojnie, jak tamten wykręca mu rękę i z bliska ogląda krawędź jego dłoni, twardą i zrogowaciałą jak poroże. Następnie podniósł wzrok, kiwnął głową w kierunku sąsiada Nicholasa i w końcu podał mu szklanę z drinkiem.

Nicholas skosztował napoju, smakowało nieźle. Przełknąwszy, zapytał:

— Czy to panu wystarczy?

— Jeżeli chodzi o pana tożsamość - odpowiedział sąsiad - tak.

— Pan wie więcej o mnie niż ja o panu - stwierdził Nicholas. Ten wzruszył ramionami.

— I tak być powinno.

— Chyba tylko pana zdaniem. - Żaden z nich nie nosił okularów przeciwsłonecznych. Żaden nie palił.

— Bo tylko ono się liczy, panie Linnear.

— Mogę zapalić? - I gdy zaczął sięgać do kieszeni spodni po paczkę, ten granatowy włożył lewą rękę pod marynarkę i pokręcił głową.

— Pan chyba nie chce tego zrobić, panie Linnear - powiedział sąsiad. - Przecież rzucił pan palenie ponad sześć miesięcy temu. - Żachnął się. - No i dobrze. Te papierosy z czarnym tytoniem są zabójcze.

Zaimponowali Nicholasowi ilością zebranych o nim informacji. Kimkolwiek był ten człowiek, na pewno był zawodowcem.

- Czy pan wie, panie Linnear, że wysokonikotynowy dym może zniszczyć zmysł smaku?

Przytaknął, tak jakby wypowiedź sąsiada wymagała widocznego potwierdzenia.

— Mówię poważnie. Grupa naukowców z Uniwersytetu Północnej Karoliny właśnie zakończyła badania w tym zakresie. - Uśmiechnął się. - Czyż to nie ironia losu? Teren uniwersytecki jest otoczony plantacjami tytoniu.

— Nigdy nie słyszałem o tych badaniach - powiedział Nicholas.

— To zrozumiałe, gdyż badania są na razie otoczone ścisłą tajemnicą. Planujemy je ogłosić w październiku, w trakcie dorocznego zjazdu plantatorów tytoniu w Dallas.

— Jest pan dobrze poinformowany.

— Powinienem być - uśmiechnął się - bo to ja te badania sfinansowałem. - Na chwilę się odwrócił, żeby dać Nicholasowi czas na przemyślenie jego słów.

— Jak dużo pan o mnie wie? - zapytał Nicholas. Był pewien, że zna skądś tę twarz.

Sąsiad znowu się do niego odwrócił, przygważdżając go lodowatym spojrzeniem.

- Wystarczająco dużo, by chcieć z panem porozmawiać w cztery oczy.

Teraz już był pewien.

- Nie poznałem pana w pierwszej chwili - powiedział. - To z powodu tej zgolonej brody.

Jego rozmówca uśmiechnął się i pogłaskał po wygolonym podbródku.

- To prawda, zarost zmienia człowieka. - Nagle jego oblicze całkowicie się zmieniło, tak jakby twarz została wyżłobiona w skale, ta metamorfoza była przygnębiająca. - Czego pan chce od mojej córki, panie Linnear? - Jego głos był ostry niczym chłostający bat. Nicholas aż bał się pomyśleć, jak można mieć tak ostrego ojca, nie zazdrościł Justine.

- To co każdy mężczyzna od kobiety - odpowiedział. - Nic więcej, panie Tomkin. Nic więcej.

Zauważył kątem oka, że granatowy się poruszył, zanim spojrzał wprost na niego. Nie reagował, jeszcze nie nadszedł czas. Potężne ręce tamtego chwyciły go za koszulę. Zawartość

szklanki częściowo rozlała się, ściekając po jego spodniach. Nicholas ocenił, że ten osiłek równie łatwo dźwignąłby w górę fortepian. Gdy tamten go trzymał, Tomkin nachylił się w jego stronę i powiedział:

— Nie bądź takim mądrąłą. - Jego głos znów był inny, zmieniał się jak kolor skóry kameleona, podobny teraz do ostrza osłoniętego aksamitem. - I zapamiętaj, Justine jest nie tylko kobietą, jest moją córką.

— Czy tak samo rozmawiał pan z Chrisem w San Francisco? - zapytał Nicholas.

Tomkina zamurowało, na chwilę wstrzymał oddech. Bez odwracania się dał znak ręką i osiłek rozluźnił swój chwyt, odwrócił się w kierunku jazdy i zamknął szklaną przegrodę dzielącą tył kabiny od przodu.

— A więc to tak - rzekł Tomkin, gdy byli już sami. - Ciekawe. - Spojrzał na Nicholasa. - Moja córka musi naprawdę coś do pana czuć. - Jego ton znów był zgryźliwy. - Albo jest pan po prostu dobry w łóżku. Od czasu powrotu z Kalifornii z żadnym facetem nie zabawiła się dłużej niż dwie godziny. W jej wieku to nie najlepiej. - A po chwili zastanowienia dodał: - Jest dziewczyną z problemami.

— Każdy je ma, panie Tomkin - odpowiedział lakonicznie Nicholas. - Nawet pan. - Jednak gdy tylko wypowiedział te słowa, pożałował, że to zrobił. Dał się ponieść emocjom, nie powinien był tego robić.

Tomkin rozsiadł się na miękkim siedzeniu, zezując w stronę Nicholasa.

- Ale z pana dziwny człowiek. Robię kupę interesów z Japończykami, nawet jeżdżę tam do nich trzy, cztery razy w roku. Ale nawet wśród nich nie spotkałem takiego człowieka jak pan.

— Rozumiem, że to był komplement. Tomkin wzruszył ramionami.

— Niech pan to rozumie, jak chce. - Nachylił się i nacisnął ukryty guzik, z boku wysunął się mały stoliczek z równie małą lampką. Za stoliczkiem, w oparciu siedzenia, znajdowała się skrytka. Tomkin włożył do niej rękę i wyjął kartkę papieru zgiętą wpół. Podał ją Nicholasowi. - Co pan o tym sądzi?

Był to bardzo cienki arkusz papieru ryżowego. Nicholas rozłożył go delikatnie. Ujrzał namalowane czarnym tuszem koło otoczone dziewięcioma małymi diamentami, niczym gwiazda satelitami. Pośrodku widniał japoński ideogram *komuso*, czyli żebrak-asceta.

— No i co? - Tomkin ponaglał. - Czy wie pan, co to znaczy?

— Proszę mi powiedzieć, w jaki sposób to do pana dotarło. - Nicholas spojrział na niego i zobaczył, że te lodowate niebieskie oczy zawierają w sobie oznaki skrywanego zaniepokojenia.

— Przyszło w przesyłce. - A gdy zauważył z irytacją, że Nicholas nie bardzo go rozumiał, dodał: - Przesyłce z Japonii. Każde z naszych zagranicznych przedstawicielstw nadaje codziennie do centrali przesyłkę ze sprawami, których nie sposób omówić przez telefon. Najpierw myślałem,

że to jakiś głupi żart, ale później... - Wzruszył ramionami. - Niech mi pan powie, co to oznacza.

— To jest godło - odpowiedział wprost Nicholas. Podał Tom-kinowi arkusz, a gdy ten nie wyciągnął ręki, położył go na stoliczku. - Godło jednej ze szkół *ninja*. - Wciągnął głęboko powietrze starając się znaleźć właściwe słowa, ale nim znowu przemówił, Tomkin rzucił się do szklanej przegrody i zaczął w nią uderzać. Człowiek w granatowym garniturze odwrócił się i lekko uchylił przegrodę.

— Frank, jedziemy na wieżę.

— Ale... panie Tomkin...

— Natychmiast, Frank.

Frank przytaknął i zamknął przegrodę. Limuzyna skręciła na najbliższym skrzyżowaniu kierując się na wschód. Gdy dojechali do Park Avenue South, skręcili w lewo i skierowali się na północ. Siedzący obok Nicholasa Tomkin obserwował leżący arkusz tak, jakby kryło się za nim czyjeś zmartwychwstanie.

Detektyw porucznik Croaker nie był zadowolony, gdy wychodził tego ranka z gabinetu kapitana Finnigana. Prawdę mówiąc, o mało nie wybuchnął. Szedł dużymi krokami korytarzem oświetlonym jarzeniówkami, pełnym policjantów i referentów.

- Słuchaj, Lew, ja zaraz... - Ale Croaker minął sierżanta nie zważając na niego, tamten wzruszył ramionami i odwrócił się. Croaker miewał nieraz takie nastroje i wówczas najlepiej było trzymać się od niego z daleka.

Gdy doszedł do swego gabinetu za matową szybą, wręcz wpadł do środka i trzasnął pięścią w biurko pokryte laminatem. Było odporne nie tylko na jego ciosy, ale i na próby przepalenia go papierosem.

Croaker rozwalił się w swym ciemnozielonym krześle obrotowym. Wpatrywał się tępo w matową szybę, ale tak naprawdę to miał jeszcze przed oczyma tę grubą, irlandzką mordę Finnigana z jej delikatnymi, łzawiącymi, niebieskimi oczami patrzącymi na niego mętным wzrokiem.

- Mówię ci to wprost, Croaker - powiedział kapitan - sprawa Didion jest zakończona. - Podniósł swe grube ręce do góry, jakby uprzedzając protest Croakera. - Wiem, wiem, że to ja wyznaczyłem cię do tej sprawy. Ale wtedy myślałem że się z tym szybko uwiniemy.

Wszyscy, począwszy od mera Nowego Jorku, żądali znalezienia winnego. A później doszła prasa, a sam wiesz, jak oni potrafią każdą sprawę rozdmuchać. - Położył ręce na biurku. Croakerowi przypominały kawałki mięsa gotowe do umieszczenia na ruszcie. - Sam wiesz, jacy ludzie mieszkają w Actium House. A bogacze nie lubią, gdy coś takiego się u nich dzieje. Było sporo nacisków.

Croaker przymknął oczy i zaczął liczyć powoli do dziesięciu, tak jak wtedy, gdy jako dziecko grał w piłkę w najbiedniejszej części Manhattanu. To było jedyne wyjście, by powstrzymać

się od walnięcia Finnigana w mordę. Jego oczy otworzyły się szeroko, przypomniał sobie kapitana rozłożonego w swoim fotelu z wysokim oparciem, z palcami splecionymi na wielkim brzuchu. Croaker zastanawiał się, ile szklanek whisky musiał tego dnia już wypić. Odruchowo spojrzął na dolną, prawą szufladę biurka, gdzie w zasięgu ręki zawsze leżała butelka. Jego spojrzenie powróciło na przekrwiony nos Finnigana. W świetle porannego słońca, przebijającego się przez żaluzje, jego oczy wydały się jeszcze bardziej mętne. Na zewnątrz biurowce Manhattanu wyrastały jak kamienne olbrzymy.

— Wiem o naciskach, kapitanie. - W jego głosie nie było nic z wewnętrznej złości. - Były zawsze, odkąd dziesięć lat temu wstąpiłem do służby. Ale nie rozumiem, dlaczego dopiero teraz...

— Nie posunąłeś się ze śledztwem ani o krok - powiedział spokojnie Finnigan. - Ja tylko to uprawomocniam.

— Gówna prawda! Pierdolisz bez...

— Tylko nie rozmawiajcie ze mną w taki sposób, poruczniku. - Oczy Finnigana zapłonęły i odrobina błyszczącej śliny ukazała się na jego wystającej dolnej wardze. - Nie mam nastroju do wysłuchiwania waszych dąsów. - Wyprostował się, a gdy się nachylił, jego małe oczy wydały się złośliwe i pełne goryczy, jednym słowem bezlitosne. - Może wśród dziennikarzy masz powodzenie, zezwalam na to, bo poprawia to obraz całej policji, społeczeństwo leci na bohaterów. Ale nie myśl, że to ci dalej jakieś specjalne prawa tu lub tam. - Jego wielki kciuk skierowany w tył wskazywał świat zewnętrzny. - Już poznałem się na tobie i mnie twoje zachowanie nie bierze. Lubisz być na pierwszych stronach gazet, jesteś łasy na popularność. Mnie to nie przeszkadza, ale przeszkadza mi, gdy traktujesz mnie jak idiotę. - Widząc wyraz twarzy rozmówcy, podtrzymał temat. - Tak. Jak idiotę. Jesteś w policji na tylej długo, by wiedzieć, że niektóre sprawy są tuszowane. Ze względu na odgórne naciski. Zrozumiałeś? Chyba wystarczająco jasno się wyraziłem. - Jego twarz nabrzmiała krwią, a worki pod policzkami aż drgały. - Wierz mi, że już wiele razy myślałem o tym, by się ciebie pozbyć. Ale jesteś mi potrzebny. Dzięki tobie dostajemy każdego roku kilka listów pochwalnych od mera. Nie wstydzę się przyznać, że zależy mi na nich, bo zostają zapisane w moich aktach. - Wstał i oparł się o biurko zaciśniętymi pięściami, niczym na kolumnach, tak mocno, że aż mu zbieleły palce. - Ale prędzej mi tu kaktus wyrośnie, niż zezwolę ci na powtórzenie numeru jak ze sprawą Lyman. Była oficjalnie zamknięta, a ty nadal w niej grzebałeś. Zrobiłeś ze mnie przede wszystkim idiotę, mam szczęście, że nasz komendant nic się nie dowiedział. - Podniósł palec wielkości parówki i pogroził nim Croakerowi. - Zajmij się teraz sprawą podwójnego morderstwa Tanaka-Okura i nie chcę nigdy więcej usłyszeć, że odesłałeś jakąś sprawę z powrotem na komisariat, tak jak zrobiłeś wczoraj wieczorem. - Zakaszlał ciężko i wytarł usta szarą chusteczką. - O co chodzi? Masz coś przeciwko żółtkom? Nie? To bierz sprawę i ciesz się, że masz coś, w czym możesz się wykazać. Croaker miał już wyjść, ale gdy chwycił klamkę, Finnigan dodał: - Aha,

jeszcze jedno, poruczniku. Pan wie, jakie tu są układy. Proszę mnie nie zmuszać, bym za każdym razem tłumaczył wszystko „kawa na łąkę”, tak jakby był pan początkującym glina, dobrze?

Croaker zdecydował się jednak na dokończenie sprawy Didion. Tylko wiedział, że teraz będzie musiał robić to na własną rękę. W robocie nie mógł zaufać nikomu. Spojrzał na zegarek, a potem na fusy po kawie zasuszone w brudnym, plastikowym kubku stojącym na jego biurku. Był już spóźniony na spotkanie z Linnearem, ale zbytnio go to nie obchodziło, wciąż myślał o sprawie Didion. Finnigan miał rację, nie posunął się ze śledztwem ani o krok. No, może niezupełnie. Denatka musiała mieć jakichś przyjaciół, tylko cholernie ciężko było trafić na ich trop. Obecnie zbliżał się do odkrycia

pierwszego z nich. Gadatliwy Matty dał mu cynk. Ale on potrzebował nazwiska i adresu, bez tego to była bezwartościowa informacja. Właśnie nad tym pracował, dlatego był tak niezadowolony z zamknięcia sprawy. Nie widział sensu we wtajemniczeniu Finnigana na tym etapie śledztwa, żadnego sensu. I tak nie odniosłoby to skutku. Dlatego Croaker nigdy się nikomu nie zwierzał z prowadzonych dochodzeń, między innymi dzięki temu Finnigan mógł otrzymywać co roku upragnione listy pochwalne od mera. To była jedyna rzecz, do której nie miał zastrzeżeń. Tak czy inaczej, mógł mniej się martwić o dyscyplinę, przede wszystkim chciał wyników. I kto tu jest łasy na popularność! - Croaker zachnął się kręcąc się na krześle. Kapitanowi zależy na wynikach równie mocno jak na whisky.

Croaker zaklął i wstał. Najwyższy czas, by spotkać się z Linnearem.

w tym samym czasie Vincent znajdował się w kostnicy. Nie było go w pracy, gdy poprzedniego wieczoru przywieziono ciała Terry'ego i Eileen, ale zaraz zadzwoniła po niego Tallas, gdyż uważała, że powinien o wszystkim wiedzieć. Miała, jego zdaniem, najlepsze wyczucie ze wszystkich współpracowników. Dzięki jej wezwaniu przybył akurat, by wysłuchać sprzeczki między dwoma dzielnicowymi a jakimś detektywem. Wielkim krępy typkiem, który dawał tym gliniarzom niezły ochrzan. Vincent nie zwracał uwagi na podniesione głosy i coraz ostrzejszą wymianę zdań. Jedyne czego chciał, to upewnić się, że to nie pomyłka, mógł to być jeden ze współpracowników Terry'ego, będący akurat w jego mieszkaniu, albo... Ale niestety był to Terry i była to Eileen. Martwi. Przypomniał sobie telefon, głuchy telefon. Nikt się wtedy nie odezwał. Może to Terry? Odwrócił się ze smutkiem. To i tak nie miało teraz znaczenia.

Schował ciała do lodówek, by poczekały do rana na sekcję i upewnił się, czy ich ubrania i drobiazgi są prawidłowo spakowane i oznaczone dla potrzeb śledztwa. A później pojechał do domu, by przeczekać w niepokoju te kilka godzin.

Doszedł już do takiego etapu, że czuł się naprawdę dobrze tylko w kostnicy. Mógł tam pracować w spokoju, rozwiązując zagadki drogą dedukcji, śledząc trop w zmasakrowanym ciele. Nieraz odnosił sukces i wyniki jego badań doprowadzały wprost do ujęcia mordercy, często był jedyną podporą dla rodzin denatów, które codziennie przewijały się przez kostnicę.

Te wszystkie szczegóły w każdym ciele były niczym tajemnicze napisy na niemych głazach czekające na rozszyfrowanie, a on badającym je archeologiem. Praca w „trupiarni”, jak niektórzy lekarze nazywali kostnicę, sprawiała mu wielką satysfakcję. Każdego dnia pracował ciężko wraz ze współpracownikami, by uszczknąć coś z sekretu, który zabrała ze sobą śmierć. Atakowali ją, odbierając jej tajemniczość kawałeczek po kawałeczku, aż większość strachu przed nią szła w niepamięć. Czyż inna praca mogłaby przynieść tyle pożytku żywym?



Tego ranka Vincent stał w głównym pomieszczeniu, plecami do rzędów stalowych drzwiczek lodówek. Nagi Murzyn z przechyloną głową leżał z boku na wózku. Stał tak, patrząc na drzwi wahadłowe prowadzące do sali operacyjnej, gdzie dokonywali sekcji. Za tą przegrodą leżał jego przyjaciel Terry Tanaka, a po nim przyjdzie kolej na Eileen. Po raz pierwszy od rozpoczęcia wykonywania tego zawodu miał wątpliwości, czy powinien przejść przez te drzwi. Jakby ta śmierć była o tę jedną za dużo i już nie czuł tego zadowolenia co poprzednio. Pragnął wrócić do Japonii. Ale wiedział, że jest to na razie niemożliwe, tak jakby się czymś zaraził tu, na Zachodzie, w wielkomijskim świecie, w Nowym Jorku i pod wpływem tego na tyle zmienił wewnętrznie i zewnętrznie, że powrót do tamtej kultury by go zabił. Ale tak naprawdę chyba zrozumiał, że obecnie jedynym rozwiązaniem dla niego było brnąć dalej. Przypomniawszy sobie wyobrażenie śmierci z dzieciństwa, kamiennej ściany, zbyt wysokiej, by ją pokonać. Czuł, że musi tę ścianę rozwalić albo zwariuje, a jedyna droga do tego prowadziła przez jasne, uporządkowane pomieszczenie za drzwiami. Tam mógł rozprawić się ze śmiercią, rozbierając ścianę cegła po cegle, aż pozna całą prawdę o tym, co się stało jego przyjacielom. Bo, jak czuł, musiał ją koniecznie poznać. Otrząsnął się więc i popychając drzwi wszedł do środka, by rozpocząć swoją pracę. Japonia, do której tak pragnął wrócić, już nie była dla niego.

Limuzyna wyłączyła się z ruchu w okolicach Pięćdziesiątej Ulicy i bezszelestnie podjechała do krawężnika. Frank wysiadł jako pierwszy i otworzył im tylne drzwi.

Stali przy posesji, której głównym elementem był metalowy, w trzech czwartych gotowy, szkielet przyszłego wieżowca, ustawiony w znacznej odległości od jezdni. Zerwano również chodnik, który miał być zastąpiony płytami ceglatego koloru. Aby nie stwarzać problemów przechodniom, na okres budowy ustawiono tu drewnianą kładkę. Na południowym skraju placu stała ogromna betoniarka, której obracający się bęben pomalowano w wielokolorowe kropki. Stojący obok betoniarki dźwig właśnie podnosił kilka kątowników. Fronton budynku był już częściowo pokryty czarnymi płytami, choć niektóre z nich miały jeszcze zrobione białą i żółtą kredą oznaczenia wyglądające jak współczesne pismo obrazkowe. Od jednej strony konstrukcja była nadal odkryta niczym przezroczysty kokon oczekujący na poczwarkę.

Przeszli po rozłożonych deskach patrząc, jak stojący w gruzie mężczyźni o wielkich muskułach i usmarowanych twarzach dziurawili beton pneumatycznymi świdrami, podobni posępnym dentystom. Znaleźli się w cieniu zadaszonej kładki. Powietrze było pełne duszącego kurzu, który osiadał na ich włosach i ramionach niczym łupież.

Podszedł do nich mężczyzna z chudą, ospowatą twarzą. Miał na sobie jasnożółty kask z granatowym napisem „Lubin Bros.” Gdy rozpoznał Tomkina, uśmiechnął się szeroko i podał mu rękę. Następnie poprowadził ich na prawo, do mikrobusu, który służył kierownikowi budowy za biuro. Tomkin krótko przedstawił mężczyznę jako Abe’a Russo, majstra budowlanego. Russo

uściskał dłoń Nicholasa silnie, ale obojętnie. Rozdał wszystkim kaski i wyszli z powrotem na zewnątrz.

Frank poprowadził ich do wnętrza konstrukcji poprzez ogromny hol, wzdłuż korytarza, w którym gołe żarówki zwisały na samych kablach, a zgniły zapach świeżego betonu zatykał nozdrza. Maty w kolorze oliwkowym nadal osłaniały ściany windy. Pojechali na samą górę. Tam na korytarzu stał człowiek równie szeroki w barach jak Frank, choć niższy od niego. Poszli za nim w milczeniu.

Sufit był już wykończony, także ściany działowe, pokryte granatowym, mechowatym materiałem, podobnym do nie obrobionego jedwabiu. Ściana zewnętrzna po prawej stronie wykonana była ze szkła do wysokości ich goleni, powyżej zaś znajdowała się tylko kratownica z delikatnie zespawanej blachy, pomalowana pomarańczową farbą antykorozyjną. A dalej rozciągał się już tylko zapierający dech w piersiach widok Manhattanu w kierunku północnym i zachodnim. Najpierw inne wieżowce po drugiej stronie alei Parkowej i dalej, kolejne przecznice, aż do rzeki Hudson. Z kolei w kierunku północnym widoczne było zagłębienie pośród wyniosłych budynków Manhattanu, które niewątpliwie stanowiło południowy kraniec Parku Centralnego.

Na końcu korytarza znajdowały się podwójne drzwi obite metalem z pretensjonalnymi, mosiężnymi klamkami pośrodku. Po lewej stronie zwykłe drewniane drzwi prowadziły do małych pokoi biurowych, na razie z betonowymi podłogami. Jednak w kilku z nich Nicholas zauważył bele wykładziny dywanowej czekającej na rozłożenie.

Co jakiś czas owiewał ich podmuch ciepłego wiatru. Mimo wysokości czuli nadal gorąco, niełatwo było uciec letniemu upałowi na Manhattanie. Wiatr unosił sadzę i pył leżące na podłodze, niczym drobiny wody na morzu. W tym momencie widać było, jak mało osłonięty jest jeszcze korytarz.

Tomkin zatrzymał się przed drzwiami i wyjrzał na zewnątrz. Jego ręka uniosła się niczym u śpiewaka operowego.

- Czy widzisz to, co ja widzę, Nicholas? - Odwrócił się na moment w jego stronę. - Chyba mogę się tak do pana zwracać? - Ale było to pytanie retoryczne, więc szybko kontynuował: - To, co widzimy, to był kiedyś wielki świat. Każdy mógł coś z niego mieć, a przynajmniej każdy, kto miał tyle odwagi, by pójść i powalczyć o to. - Opuścił rękę zaciskając palce. - Teraz jest to jeden wielki kombinat. Nie ma miejsca ani czasu dla nowych ludzi. Rozumiesz, co chcę powiedzieć? Nie? Więc ci wytłumaczę. Teraz już nie wystarcza dla każdego. Skaczemy sobie do gardeł, aby tylko przeżyć. Tak, dobrze słyszałeś. Teraz chodzi o przeżycie, a nie tylko o to, by zarobić. Na całym świecie jest tak samo. - Kątem oka spojrzął na Nicholasa. - Czy wiesz, co chcę przez to powiedzieć? Nie? Czy chciałbyś być Marco Polo, co? Podróżować dwa i pół roku po nie kończących się, niebezpiecznych wertepach Azji, by w końcu dotrzeć do Chin, ziemi, do której wcześniej żaden inny Europejczyk nawet w snach nie dotarł?

Czy jest coś na tym świecie, co mogłoby rywalizować z tak niesamowitym przeżyciem? Nie, po stokroć nie.

Podszedł dalej, jak w transie, opierając się o zewnętrzny pręt stalowej konstrukcji.

— Czy uwierzysz - szepnął - że tak naprawdę nie wiem, ile mam pieniędzy. Oczywiście mógłbym zatrudnić ludzi, by to policzyli, tyle że nimby skończyli swą pracę, jej wynik byłby już nieaktualny. Tak czy inaczej, jest to suma za duża, by spokojnie o niej mówić. - Jego cera świeciła się od drobnej warstwy potu. - Właściwie nie ma na tym świecie rzeczy, na którą by mnie nie było stać, jeżeli bym jej pragnął. Czy możesz w to uwierzyć? - zwrócił się do Nicholasa. W jego głosie słychać było złość, a na skroni ukazały się nabrzmiałe krwią żyły. - Mógłbym cię kazać stąd zrzucić nawet w tej chwili, tak po prostu. I nic by mi się za to nie stało. Och, oczywiście musiałbym przemęczyć jakieś czysto formalne dochodzenie i to wszystko. - Machnął ręką. - No, ale oczywiście nie każę tego zrobić.

— Cieszę się - odpowiedział Nicholas, ale Tomkin mówił dalej, jakby go nie słyszał.

— To by było zbyt despotyczne z mojej strony, trąciłoby zbytym obnoszeniem się ze swoimi możliwościami. Nie interesują mnie takie rzeczy.

— Czyżby pan tego żałował?

— Co? - Powoli otrząsnął się ze swojej wizji. - Och, oczywiście, że nie. Ale chcę ci powiedzieć, że tak jak inni wielcy przede mną niepokoję się śmiercią, swoją śmiercią. - Zastanowił

się. - Bo chciałbym jak najlepiej dla Justine, dla obydwu córek.

Z niewiadomych powodów Nicholas miał wyraźne uczucie, że Tomkin miał zamiar powiedzieć mu zupełnie coś innego.

— No to pewnie tak się stanie - skomentował.

— Proszę mnie nie pouczać - odpowiedział Tomkin z wyrzutem. - Jestem świadom tego, że nie byłem najlepszym ojcem. Justine ma kłopoty w kontaktach z mężczyznami, a Gelda właśnie się rozwiodła ze swoim czwartym mężem i nie mogę zatrudnić wystarczającej liczby ludzi, by ją powstrzymali od alkoholu. Ciągłe muszę wkraczać w ich życie. Tak się sprawy mają. Jeśli którejś z nich się to nie podoba, trudno.

— Z tego, co wiem, to przynajmniej Justine nie chciałaby, aby w ogóle wkraczał pan w jej życie - stwierdził Nicholas.

— Ona nie ma wyjścia - warknął Tomkin. - Jestem nadal jej ojcem, niezależnie od tego, co opowiada innym. Nadal ją kocham. Obie kocham. Każdy człowiek jest trochę nienormalny, w taki lub inny sposób. Tyle że u nich jest to bardziej widoczne, to wszystko.

— Ale, panie Tomkin...

— Nie spieprz teraz wszystkiego, Nicholas. Teraz, gdy się ułożyło między nami. - Wyrzucił te słowa z siebie, jakby chciał się ich pozbyć. - Oczywiście, znenawidziła mnie za to, że wkroczyłem w jej życie dwa lata temu. Ale cóż ona wtedy wiedziała? Boże, przecież wpadła w to gównie jak śliwka w kompot. - Pokręcił głową. - Słuchała się tego skurwysyna, jakby był jakimś bożkiem.

— Mówiła mi... - zaczął Nicholas.

— A czy mówiła ci, że był męskim sutenerem? Że był narkomanem? Że był pedałem? Czy mówiła ci, że nim ją dymał, to najpierw ją wiązał i chłostał? Czy ci cokolwiek z tego powiedziała? - Jego twarz była pełna złości i wstydu, ślina pryskała mu z ust.

- Nie - odpowiedział delikatnie Nicholas. - Nic nie mówiła. Tomkin zaśmiał się z goryczą.

- Byłem pewien, że nic nie mówiła. - Głowę wysunął do przodu, co upodobniło go do psa myśliwskiego na czatach. Nicholas zastanawiał się, czy przypadkiem to nie on ma zagrać rolę zwierzyny. Jeśli tak, to Tomkin przeliczył się co do swoich możliwości.

— Nie powinien był pan tego wszystkiego mówić - powiedział. Jego głos przybierał niebezpiecznie na sile.

— O co ci chodzi? Czyżby cię skręcało na samą myśl o tym? - Uśmiechnął się. - Czy nabrałeś do niej obrzydzenia teraz, gdy wiesz, jak potrafi się zachować? Czy nienawidzisz siebie za to, że się w ogóle z nią zadawałeś?

— Dla mnie nieważne jest to, co robiła w przeszłości - odpowiedział powoli Nicholas. - I o ile nie będzie żyła wspomnieniami, nie ma to dla mnie znaczenia. - Patrzył na Tomkina, na jego spoconą twarz wiszącą tuż przed nim. - Ja wiem, jaka ona jest, Tomkin. Zastanawiałem się tylko, czy ty wiesz.

Przez chwilę oczy Tomkina się powiększyły. I nagle znów był w pełni sobą, kontrolując swe zachowanie i ukrywając oznaki zdenerwowania. Uśmiechnął się i poklepał Nicholasa po plecach.

- Chyba nie można mnie winić za to, że chciałem cię sprawdzić? Nicholas zdał sobie sprawę ze słabości Tomkina. Lubował się w dyskredytowaniu swych córek, choć tak naprawdę były one mu niezbędne, bo oznaczały jego nieśmiertelność. Nicholas zastanawiał się, czy pogodził się z tym, że nie ma syna, który by wszystko po nim przejął. Co dziwniejsze to właśnie ta słabość Tomkina uniemożliwiła Nicholasowi zniechęcenie go do głębi. W szkole *Itto* uczono go, aby najpierw odnaleźć słaby punkt przeciwnika, a dopiero później uderzyć. Ale gdy wychodził z zajęć widział, że wiele osób przeżywa swoje życie albo znaczną jego część pod dyktando własnych słabości. To czyniło z nich ludzi, czyniło ich wrażliwymi i interesującymi. Weźmy na przykład Musashiego. Gdyby całkowicie wierzyć w słowa *Go rin no sho*, ujrzałoby się nie człowieka, ale stalowy posąg, niepokonany i pozbawiony emocji. Jednak o życiu Musashiego krążyło wiele anegdot. Ta, którą zapamiętał Nicholas opowiadała jak słynny szermierz został pokonany przez *ninja* walczącego papierowym wachlarzem. *Ninja* byli znani z tego, że potrafili okiełznać siły nadprzyrodzone i powszechnie uważano, że to zdecydowało o przegranej mistrza. Nicholas przypuszczał, że kryło się za tym coś więcej, lecz pokrzepiał go fakt, że nawet wielki Musashi poznał smak porażki.

Nicholas wiedział, że mógłby po prostu uznać Tomkina za drania i przestać się z nim zadawać. Ale pierwsze wrażenie mogło być często mylące. Trafił go w czuły punkt i przez chwilę ujrzał innego człowieka, który jakby spokorniał, stał się bardziej ludzki. Co więcej, Tomkin był na tyle inteligentny, by zdać sobie sprawę, że odkrył się przed Nicholasem, a on musiał teraz się dowiedzieć, dlaczego tamten to zrobił. Nie musiał czekać długo na odpowiedź.

— Chcę, abys dla mnie pracował - powiedział wprost Tomkin. - Chcę, żebyś to wszystko sprawdził. Poznałem już japońską mafię - *yakuza*, a nawet zetknąłem się z samym Shoto. Chyba o nim słyszałeś? - Nicholas przytaknął, więc tamten kontynuował: - Niezły z niego zawodnik. Ale jakoś dałem sobie z nim radę. - Palcem wskazującym i kciukiem złapał się za dolną wargę, jakby zamyślony. - Ale nie znam się zupełnie na *ninja*, a to, czego nie znam, zlecam swoim ekspertom. - Wbił w pierś Nicholasa palec wskazujący. - A ty się znasz na tych sukinsynach, prawda?

— Można tak to ująć.

— Dlatego chcę cię zatrudnić. Masz dowiedzieć się, o co w tym wszystkim chodzi. - Wyjął arkusz papieru ryżowego z namalowanym godłem *ninja* i potrząsnął nim. - I zabierz to świństwo, nie chcę tego widzieć.

Nicholas nie ruszał się z miejsca.

— Kiedy pan to otrzymał? - zapytał.

— Jak już mówiłem, przyszło w przesyłce z Japonii, zaraz, niech pomyślę, sądzę, że jakiś tydzień temu.

Tydzień temu - pomyślał Nicholas. To nie mógł być przypadek, ciało Barry'ego znaleziono mniej więcej w tym samym czasie. A więc jego przypuszczenia były słuszne. Główny cel stanowił Tomkin.

— Sądzę, że chcą pana zamordować - powiedział. Tomkin nawet nie mrugnął.

— Dobrze, nie pierwszy raz ktoś chce to zrobić.

— Ale pierwszy raz ma to wykonać *ninja*.

— To prawda - przyznał Tomkin. - Ale mówiłem już, że miałem do czynienia z *yakuza*. Dam sobie radę.

— To nie to samo.

— A niby dlaczego? On nigdy do mnie nie dotrze.

— Są tysiące sposobów, jakie może zastosować, ale radziłbym nie tracić czasu na ich wyliczenie, i tak pan wszystkich nie przewidzi.

— Czy ty nie przesadzasz? - Wzrok Tomkina nabrał powagi. - A może trochę to podbarwiasz, żebym ci więcej zapłacił?

- Nic nie wspominałem o tym, że się zgadzam dla pana pracować. Tomkin wzruszył ramionami.

- Rób, jak uważasz. Nie ma się o co martwić, gdy Frank i Whistle są ze mną.

Nicholas nawet na nich nie spojrział.

— Tomkin, jeżeli rzeczywiście *ninja* został wynajęty do tej roboty, to zmiecie twych dwóch niczym wichura stóg siana.

— Jak mówiłem, potrafisz nieźle się zareklamować.

-To nie żadna reklama. Tak czy inaczej, przez pana spóźnię się na spotkanie. Nie interesuje mnie...

Nie zauważył momentu, gdy Tomkin dał sygnał, ale już szli na niego z dwóch stron. Frank miał opuszczone ręce, palce lekko skulone. Whistle trzymał broń w ręku, rewolwer z krótką lufą kalibru 38 skuteczny do pięciu metrów, ale on i tak był bliżej.

Nicholas przyjął pozycję *yoroï kumi-uchi*, która kiedyś była stosowana przez wojowników ubranych w zbroje, a obecnie świetnie nadawała się dla osób noszących ciasne ubrania. Rewolwer Whistle'a był już w niego wymierzony, palec wskazujący pociągnął za spust. Nicholas zrobił wykrok, ustawiając prawą stopę po wewnętrznej stronie lewej stopy przeciwnika i uderzył kantem lewej dłoni w lufę rewolweru. Usłyszał wystrzał, pocisk zrykoszetował od ściany działowej pozostawiając na granatowym tle szary ślad.

Whistle upuścił broń i spróbował uderzyć Nicholasa w brzuch. Zauważył ze zdziwieniem, jak jego ręka w połowie drogi natrafiła na niemożliwą do przebycia barierę. Zawył rozzwierając w momencie, gdy została wykrecona, potem usłyszał trzask zrywanego ścięgna. Chwilę później lewa dłoń Nicholasa strzaskała mu obojczyk. Zemdlął z bólu.

Do akcji wkroczył Frank. Nie sięgał po broń. Jego palce były sztywne jak deska, gdy skoczył w kierunku Nicholasa, który stał nieruchomo, obserwując atak. Miał dużo czasu. Przeciwnik był mańkutem i spodziewał się walki *karate*.

W chwili starcia Nicholas poruszał się jakby ospale, wchodząc między ręce przeciwnika. Dla przyglądającego się z boku z zainteresowaniem Tomkina wyglądało to tak, jakby Nicholas w ogóle się nie poruszył, lecz gdy tylko lekko dotknął łokciem klatki piersiowej Franka, ten natychmiast upadł na betonową podłogę.

- Wiedziałem, że jesteś niezły - powiedział podniecony Tomkin. - Byłem pewien! W sprawozdaniu tak mi napisali, ale nie zawsze można im zaufać. Polegaj wyłącznie na innych, a znajdziesz się w kłopotach. Ciągłe trzeba, cholera, uważać. - Spojrzał na dwóch niezdolnych już do niczego goryli. - Pięknie, kurwa, pięknie. - Spojrzał na Nicholasa i wyciągnął dłoń. - Cieszę się, że jesteś z nami, Nick.

Nicholas popatrzył w twarz Tomkina ruszając korytarzem w stronę windy.

- Mówiłem już, że nie interesuje mnie praca u pana. - Nacisnął przycisk, który się natychmiast zapalił. Winda zaczęła jechać w górę.

- Pan nie szanuje innych ludzi.

Tomkin ruszył w jego stronę omijając leżące ciała.

— To nie jest zupełnie tak.

— Właśnie, że jest. Nie lubię być traktowany jak przedmiot. Sądzę, że Justine uważa podobnie. Nie jestem pana dłużnikiem, Tomkin, nie masz do mnie żadnych praw.

Winda podjechała i drzwi się otworzyły, wszedł do środka.

— Zaczekaj chwilę, Nick. - Tomkin wyciągnął dłoń.

— I nie szukaj mnie, sam się zgłoszę.

Nacisnął guzik „Parter” i drzwi zaczęły się zamykać, ale Tomkin podbiegł i przytrzymał je rękoma. Jego twarz była niczym skała, a spojrzenie zwierzęce.

- Czy o czymś nie zapomniałeś? - wypluł z siebie. - Tu chodzi nie tylko o moje życie, ale również mojej córki. Chyba nie chcesz, żeby ten skurwysyn ją dostał, co? Pomyśl o tym - wykrzykiwał dziko i pozwolił, by drzwi się zasunęły.

Jadąc w dół Nicholas przypomniał sobie ten wieczór, gdy był razem z Justine i ciało zwierzęcia wpadło do kuchni wybijając szybę. Zakrwawione czarne futro. Wizytówka *ninja - kuji-kiri*, której celem było wywołanie przerażenia. *Kuji-kiri*, najstraszniejszy ze stylów *ninjutsu*, którego godłem był właśnie ideogram *komuso* otoczony kołem i dziewięcioma diamentami.

Justine! - pomyślał gwałtownie. Popatrzył ze zniecierpliwieniem na przeskakujące w miarę opadania windy cyferki pięter. Musiał natychmiast zadzwonić.

Na ulicy zauważył ciemnowłosego, szerokiego w barach mężczyznę z płaską twarzą. Było w niej coś szczególnego, jak w twarzy przysłowiowego kowboja. Stał przy białym, czterodrzwiowym fordzie. Nawet gdyby nie miał na dachu błyskającego na czerwono koguta, Nicholas poznałby, że to samochód policyjny. Znał tę twarz - detektyw porucznik Lew Croaker. Wyszedł z cienia holu wejściowego biurowca i rzuciwszy swój kask ochronny jednemu z robotników, przeszedł po deskach w stronę krawężnika.

Skorzystał z telefonu w kanciapie Abe'a Russo. Najpierw chciał zadzwonić do Raya Floruma, komendanta policji w West Bay Bridge, ale czuł, że nie sposobą się to Justine. Dlatego odnalazł przez biuro numerów telefon doktora Deerfortha i porozmawiał z nim przez chwilę. Tamten zgodził się zaglądać do niej co jakiś czas.



— Linnear - powiedział Croaker, podchodząc do niego w pełnym blasku słońca - co ty, do cholery, kombinowałeś z Tomkinem? - Dłubał właśnie w zębach drewnianą wykałaczką trzymaną dwoma chudymi palcami.

— I ja pana serdecznie witam, poruczniku - Nicholas uklonił się.

— Przestań sobie żartować i wsiadaj - powiedział tamten schylając się, by wsiąść za kierownicę. - Mamy robotę.

Nicholas otworzył sobie drzwi z drugiej strony i wsiadł. Gdy tylko oderwał nogę od ziemi, ruszyli z kopyta. Zatrzasnął drzwi już w ruchu.

- Czy twój kumpel Ito nie powiedział ci dokładnie, co masz zrobić? - zapytał Croaker. Potem zaczął się przedzierać przez śródmiejski korek, kierując się na lewo w stronę alei Parkowej i znajdującej się tam wysepki.

- Tomkin zgarnął mnie, kiedy czekałem na pana. Croaker zachnął się.

- Czy mamusia cię nigdy nie uczyła, by nie wsiadać do samochodu z obcymi ludźmi? Boże! Co ten kutas od ciebie chciał?

- Chyba nie muszę panu odpowiadać. Croaker odwrócił się w jego stronę nie zwracając uwagi na duży ruch uliczny. Popatrzył na Nicholasa.

— Słuchaj, koleś, nie utrudniaj mi roboty. Mówię ci, że jeżeli masz coś wspólnego z Raphaelem Tomkinem, to jest to mój pierdolony interes, jasne? Teraz gadaj! - Zahamował gwałtownie, by skręcić w lewo, w kierunku centrum.

— Dlaczego pan tak się interesuje Tomkinem? - Nicholas miał już dość ciągłych pytań i braku jakichkolwiek odpowiedzi.

— Słuchaj, Linnear - powiedział Croaker dokładnie cedząc każde słowo. Było oczywiste, że ledwo panuje nad sobą. - Staram się jak mogę, by być uprzejmym, by cię nie obrazić. Nie mam z tobą żadnej zadry, przynajmniej na razie. Ale dzisiaj mam fatalny dzień, jestem na granicy wytrzymałości. A to oznacza, że jak jesteś ze mną, to też będziesz miał nie najlepszy dzień. Więc bądź grzeczny i powiedz mi wszystko, o co proszę. Nic ci się z tego powodu nie przytrafi. - Nacisnął klakson i skręcił w aleję.

— Chodzę z jego córką - odpowiedział Nicholas. - Chciał więc ze mną pogadać.

Croaker uderzył dłonią w kierownicę, aż podskoczyła.

- Cholera! - krzyknął. - Cholera jasna! - Pokręcił głową. - No i co byście powiedzieli! - A potem zaklął, zmuszony do ominięcia powoli jadącej taksówki. Docisnął gaz i skoczył do przodu drogą wokół Dworca Centralnego. Gdy znaleźli się na wysokości Czterdziestej Drugiej Ulicy powiedział: - Boże, myślałem, że ominiemy korek na Drugiej Alei, a tu jest jeszcze gorzej. - Wskazał na ogromną masę samochodów błyszczących przed nimi w słońcu. Silniki się grzały, powietrze śmierdziało wyłącznie spalinami i olejem. - Do diabła z tym wszystkim! - Lewą ręką

włączył syrenę, kogut na dachu znów zaczął błyskać. - Boże - rzekł, gdy samochody zaczęły im ustępować z trudem miejsca - i jak tu latem wytrzymać.

Skręcili w lewo, w Trzydziestą Ulicę i Croaker wyłączył syrenę.

— Z którą?

— Co, z którą?

— Córką, Linnear. Którą córką? Geldą, tą, która kocha likier Chivas, czy z tą młodszą, jak ona tam się nazywa?

— Justine.

— Tak, jakoś nigdy nie mogę tego imienia zapamiętać. - Wzruszył ramionami. - Zbyt ładna jak na resztę rodziny. - Odwrócił się w stronę okna i wypluł wykałaczkę. - Rozmawiałem z nią kiedyś, jakieś parę miesięcy temu. Trudno jej nie zapamiętać.

— Tak - powiedział Nicholas. - Jest naprawdę piękna. - Chciał być z nią teraz, zamiast gotować się w tej puszcze w drodze do kostnicy. Pieprzony Tomkin! - pomyślał z wściekłością. Potem uśmiechnął się do siebie. Na pewno można o nim powiedzieć, że wie sporo o swych ludziach. Ta myśl poprowadziła go dalej. - Widzę, że poznał pan dobrze tę rodzinę.

Tyle samochodów stanęło na czerwonym świetle, że znaleźli się w pół drogi między Trzecią, a Drugą Aleją. Ciężarówka-chłodnia do przewozu mięsa próbowała włączyć się do ruchu wbijając przedni zderzak między samochody.

Croaker spojrział na niego wystawiając łokieć przez otwarte okno. Miał szare oczy i gęste długie włosy zaczesane do tyłu. Wyglądał jak weteran wojenny, jak jeden z bohaterów *Stąd do wieczności*.

— Jesteś zbyt ciekawski jak na cywila. - Samochody ruszyły, choć ich prędkość była nie większa niż konduktu pogrzebowego. Zmienił mu się nastrój, a głos złagodniał. - Sądzę, że temu staremu skurwysynowi nie podobało się to, że widzisz jego córeczkę.

— Można tak to ująć. - Znów stanęli, upał był zabójczy. - Jak mnie odnalazłeś?

Croaker wzruszył ramionami.

— Jak dotarłem do Pennsylvania Station, właśnie wsiadałeś do tej limuzyny. Frank to typ mędrca.

— Tak, zauważyłem. - Nicholas uśmiechnął się. - On i Whistle próbowali mnie nakłonić do wejścia.

Croaker spojrział na niego.

— Nie widziałem, żebyś się tym specjalnie przejął.

— I tak miałem już sobie iść.

Croaker oparł głowę o podgłówek i zaśmiał się.

- Linnear - powiedział - poprawiłeś mi humor.

W końcu dotarli do przyczyny korka. Wlew do kanału był zatkany i cała jezdnia zalana była wodą. Trochę dalej kilka rozebranych do pasa dzieci z podwiniętymi nogawkami tańczyło wokół odkręconego hydrantu. Croaker zamknął okno i przejechali ochlapując samochód, tak jakby byli w myjni.

— Czy nie masz znowu na to ochoty? - zapytał Nicholas.

— Na co? Ochoty na co? - Croaker przyspieszył i przejechał skrzyżowanie na pomarańczowym świetle.

— Zapalić. - Zauważył poślizgnięcie opuszki palców prawej ręki policjanta.

— A jakże - warknął Croaker. - A po co, do diabła, bym żuł tę pieprzoną gumę? Cholera! Nie mam czasu nawet nic wrębać, tyle jest tej pierdolonej roboty. Nie spałem w łóżku od trzech dni. - Wziął zakręt w lewo w Pierwszą Aleję z takim piskiem opon, że na asfalcie zostawił grube, czarne ślady. Zatrzymali się przed siedzibą naczelnego lekarza sądowego. Fronton budynku wykończony był turkusową, ozdobną cegłą. Zaparkowali „na drugiego” i weszli do środka.

Croaker podszedł do Biura Przepustek i okazał legitymację służbową wraz z odznaką policyjną. Gdy strażnik kiwnął głową, powiedział:

- Do doktora Ito.

Tamten wykręcił trzycyfrowy numer wewnętrzny. Gdy odłożył słuchawkę, zwrócił się do nich i rzekł:

- Doktor Ito zaraz przyjdzie, poruczniku. Jest w tej chwili w kostnicy.

Croaker rozejrzał się, obserwując policjanta na służbie. Niestety, nie znał go.

Gdy ukazał się Vincent, miał na sobie zawiązany na plecach zielony fartuch.

- Cześć, Nick - powiedział pośpiesznie. Przywitał się również z Croakerem. Poszli z powrotem tą samą drogą, obok izby przyjęć, z której zwłoki zjeżdżały windą do kostnicy, a potem schodami do podziemi. Nie było tam zupełnie żadnego zapachu, choć Nicholasowi zawsze wydawało się, że w takim miejscu czuć środkami dezynfekującymi i formaliną. Było cicho, zza drzwi wahadłowych, gdzie właśnie przeprowadzano kolejną sekcję, dochodził jedynie lekki szum. Vincent podszedł do ściany z rzędami lodówek, otworzył stalowe drzwiczki i wyciągnął szuflady. Następnie opisał wyniki przeprowadzonych sekcji.

— Nie napotkali u siebie zwykłego włamywacza - stwierdził. - Widzicie, jak strzaskany jest obojczyk i klatka piersiowa?

— Boże - skomentował Croaker. - Jeszcze się z czymś takim nie spotkałem. Wygląda, jakby go ktoś zmiądzzył kijem baseballowym.

Vincent pokręcił głową.

- Nic tak prymitywnego, poruczniku. To zrobił człowiek posługujący się jedynie rękoma.

Croaker warknął:

- Bzdura. Żaden człowiek nie byłby w stanie tak zmasakrować ciała. Musiałby mieć stalowe pięści.

— To nie były pięści - powiedział Vincent. Croaker spojrzał na niego.

— Pan do czegoś zmierza, doktorze.

— Poruczniku - powiedział Nicholas. - Terry był mistrzem *kenjutsu*, *karate* i *aikido*. Żaden człowiek nie byłby w stanie się do niego zbliżyć, a co dopiero zabić, chyba że...

— Chyba że co? Muszę wszystko wiedzieć. - Croaker skrzyżował nogi, opierając się bez zahamowań o stalowe drzwiczki.

— Jest pewna technika w *kenjutsu*, opracowana i opisana przez Miyamoto Musashiego, najslawniejszego szermierza w historii Japonii. Technika ta nazywa się *mi no atari*. Używając ramienia...

— Ten facet musiał być zbudowany jak ciężarowiec - zauważył Croaker.

— Wręcz przeciwnie - odpowiedział Nicholas - mógł być nawet słabiej zbudowany od Vincenta. Bo nie wchodzi tu w grę wyłącznie siła fizyczna, poruczniku, ale również energia wewnętrzna.

— Posłuchaj mnie, Linnear, kogoś używającego energii wewnętrznej widziałem jedynie w serialu *Kung-fu* i wyglądało to na wielką lipę.

Nicholas się uśmiechnął.

— To musi się pan jeszcze wiele nauczyć, poruczniku. Croaker wstał i powiedział:

— Więc obaj twierdzicie, że tych dwoje zabił jakiś Japończyk.

- Znam kilku białych, którzy są mistrzami *kenjutsu*, ale żaden z nich nie potrafiłby zrobić czegoś takiego. To morderstwo wymagało stanu ducha, którego oni nie potrafiliby osiągnąć.

Croaker spojrzał na strzaskany tors Terry'ego.

— Nie widzę w tym nic uduchowionego. Jego zmiądzzył kafar.

— Czy w domu Terry'ego znaleziono narzędzie zbrodni? - zapytał Nicholas.

— Tylko miecz...

— *Katana* Terry'ego - przerwał Vincent, dając wzrokiem wiele do zrozumienia. - Leżała obok niego.

— O właśnie - dodał Croaker. - Tyle że nie było na niej krwi. Żadna inna z rzeczy tam znalezionych nie mogła być narzędziem zbrodni. Ale to nic, kurwa, nie znaczy, równie dobrze ten zbir mógł zabrać je ze sobą.

— Ale nie zrobił tego - powiedział Nicholas. - Poruczniku, zabijanie od dwóch tysiąceci jest w Japonii sztuką. Kiedyś było ono częścią ówczesnego sposobu życia. A dzisiaj, choć wyrosło tam nowoczesne państwo, nadal obowiązują stare zwyczaje. Także *bushido*, kodeks wojownika.

— Tak? A co to, u diabła, jest? Nicholas się zaśmiał.

— To trudno wytłumaczyć w kilka minut.

- Nie ma problemu, mam kupę czasu. - Wyjął kolejną gumę z górnej kieszeni i wrzucił ją do ust. - Nic nie jadłem od ładnych paru godzin. Co ty na to, abyśmy obgadali to przy obiedzie?

Nicholas kiwnął głową, a Croaker zwrócił się do Vincenta:

— Wie pan co, doktorze, teraz mogę pokwitować te torby z rzeczami denatów.

— Dobra. - Vincent poszedł do małego magazynu, gdzie spora liczba foliowych toreb z ubraniami i rzeczami osobistymi nieboszczyków oczekiwała na odbiór przez policję. Przyniósł dwie i dał rewers do podpisania.

Croaker spojrzał na niego oddając długopis.

- Będziemy w kontakcie - powiedział.

Deerforth poczuł się nieswojo pod wpływem telefonu Nicholasa. Choć rozmawiali krótko, usłyszał wystarczająco wiele, by mieć o czym myśleć.

Do pół do pierwszej miał umówione wizyty, ale gdy tylko wyszedł ostatni pacjent, opuścił gabinet i pojechał wprost na Dune Road. Przez cały czas był w kontakcie z Rayem Florumem, ale śledztwo w sprawie tych dwu zabójstw niewiele się posunęło i, niestety, musiał wezwać do pomocy w tej sprawie policjantów z komendy hrabstwa. Choć nie mogło to nic zmienić, Deerforthowi ci faceci przypominali gliniarzy z przedwojennych, niemych komedii - dużo szumu i zero efektów.

Mijał właśnie stalowy most zwodzony prowadzący na Dune Road. Skręcił w prawo i poprawił się na siedzeniu. Mewy wlatywały nad wodą po lewej stronie, zataczając kręgi nad dwupiętrowym Crosstree, najnowszym domem przy Dune Road. Miał beżowobrazową elewację i klatki schodowe zarówno od morza, jak i od lądu. Dalej były już tylko mniejsze domki.

Myśl o *ninja* prześladowała go przez całą drogę do Justine. Od czasu gdy na początku przekonał się, z kim mają do czynienia, nie przespał spokojnie ani jednej nocy. W snach powracał obraz parnej dżungli, wystrzałów moździerzy w dzień i snajperów w nocy. Ale najbardziej bał się śnić o tej jednej, szczególnej nocy i walczył ze sobą, by tego umknąć. Zrozumiał, że będzie chyba

musiał użyć chloroformu, by zapaść w spokojny niebyt.

Zaparkował samochód niedaleko domu i udał się drewnianą kładką pod górę, przez zarośnięte wydmy, aż dotarł do plaży. Wszedł po schodkach i zapukał w drzwi zasłonięte siatką. Morze za jego plecami falowało, a dalej słychać było, jak dzieci pluskają się przy brzegu. Widział kudłatego, rozszczekanego psa, skaczącego po piasku w pogoni za kółkiem do gry w ringo. Plaża wyglądała jak szachownica ułożona z kolorowych kocy, na których pod osłoną wzorzystych parasoli leżały błyszczące od olejków ciała. Od morza powiała chłodna bryza. Przez chwilę słyszał warkot przelatującego samolotu.

Justine podeszła do drzwi i otworzyła je z uśmiechem.

— Cześć. Co pana tu sprowadza?

— Nic takiego - skłamał Deerforth. - Byłem w okolicy i pomyślałem, że wpadnę na chwilę.

Nie widzieliśmy się od początku lata.

Justine zaśmiała się i cofnęła, by wpuścić gościa.

— Dzięki Bogu, że ta alergia szybko minęła. Nie wytrzymałabym z nią całe lato. - Weszła do kuchni. - Może drinka? - A kiedy potwierdził, dodała: - Na przykład gin z tonikiem?

— Świetnie. - Kiedy zaczęła przygotowywać drinka, powiedział: - Spokojnie tu. Miałas jakichś gości?

— Co?! - krzyknęła, próbując zagłuszyć trzask kruszonego kawałka lodu. - Nie usłyszałam pytania.

Wszedł do kuchni.

- Pytałem, czy miałaś ostatnio jakichś gości?

Wręczyła mu drinka i zabrała się do robienia drugiego, dla siebie.

- Tylko Nicholas. - Spróbowała. - Uhm... Ale ja tak lubię. Większe towarzystwo mi nie służy, przynajmniej nie w domu. - Przeszli do bawialni i usiedli na kanapie. - Co innego w interesach. Ale ja nie lubię łączyć jednego z drugim.

Deerforth pokiwał głową.

- Rozumiem cię, mam podobne podejście do tych rzeczy.

Spojrzała na niego znad wysokiej szklanki. Dotknęła ustami zroszonego szkła.

— Niech pan się przyzna, doktorze - powiedziała. - Nie przyjechał pan tu po to, by rozmawiać o pogodzie, prawda?

— Przyjechałem sprawdzić, co z tobą.

— Jestem zdrowa - potwierdziła. Deerforth uśmiechnął się.

— Nie chodzi mi o zdrowie, nie przyjechałem tu jako lekarz.

- Rozumiem. - Nie spuszczała z niego wzroku. - Czy Nicholas dzwonił do pana.

Zaśmiał się, zadowolony, że nie musi już udawać.

— Wiesz, przypominasz mi moją najmłodszą córkę, Kathy. Przed nią też nic się nie da ukryć. - Pokiwał głową. - Dzwonił do mnie dziś rano.

— Mógł zadzwonić do mnie - skomentowała Justine. - Wolałabym, żeby nie wyjeżdżał.

— Z tego, co wiem, musiał. - Deerforth odstawił szklankę. - Tak czy inaczej mogłaś z nim jechać.

Pokręciła głową.

— Za dużo mam roljtoiy, a poza tym to byli jego przyjaciele. Tylko bym zawadzała. Nie mam zamiaru pętać mu się pod nogami. - Upiła większy łyk. - Każde z nas ma swoje sprawy. Tam, gdzie one się stykają, jest nasza miłość. Nasz związek to jak dwa szybko kręcące się żyroskopy, każdy na oddzielnej osi. Dążymy ku sobie, mamy wiele wątpliwości, zastanawiamy się, jak daleko możemy się posunąć bez zachwiania własnej równowagi.

— A co się stanie, jeśli się przeliczycie - zapytał Deerforth - i, jak to ujęłaś, równowaga zostanie zachwiana?

Justine wstała i podeszła do okna, by spojrzeć na rozgrzany piasek i chłodne fale.

- Wówczas - powiedziała głosem dobiegającym jakby z innego świata - mogłoby to się źle skończyć.

Myślałem, że zabierze mnie pan do tego lokalu przy alei Parkowej - powiedział Nicholas - tego w śródmieściu. - Byli właśnie gdzieś w okolicach Pięćdziesiątej Ulicy, po wschodniej stronie Manhattanu.

- Masz na myśli „Belmore Cafeteria”? - zapytał Croaker. - Boże, tylko nie tam, to jest miejsce dla tych pieprzonych tajniaków, tam nie da się zjeść.

-Dziewczęta zaraz panów obsłużą. - Kierownik sali cofnął się w prawo, ruchem ręki wskazując kierunek: ciemne, strome schody.

Palcem wskazującym i kciukiem podkręcił swe cienkie wąsiki.

Weszli do spokojnego lokalu, na piętro, tylko jeden stolik był zajęty, na końcu sali przy oknach było podwyższenie. Obydwie kelnerki prezentowały się całkiem ładnie, ubrane w ciemne, zamszowe kamizelki i krótkie spódnice. Obie mówiły z lekkim akcentem.

Croaker poprosił o miejsce przy oknie i jedna z nich poprowadziła ich na podwyższenie. Gdy zamówili drinki, zostawiła ich, by przejrzeć kartę.

— Od jak dawna znałeś Tanakę? - spytał Croaker. Jego wzrok był skierowany na kartę.

— Jakieś sześć lat - odpowiedział Nicholas. - Spotkaliśmy się na treningu *kenjutsu*.

— Tu, w Stanach?

— Tak. Nadal ćwiczę. Pojedziemy tam po obiedzie.

— W ramach nadrabiania braków, co? Hmm, chyba wezmę smażone jajka z szynką. - Kelnerka podeszła z napojami - wodą sodową dla Nicholasa i rumem z kostkami lodu dla Croakera. Croaker zamówił pierwszy, Nicholas poprosił o to samo. Gdy odeszła, policjant mówił dalej: - Gdzie Tanaka zdobył forszę na ten ośrodek treningowy?

— Zapracował na nią, tak sędzę. - Nicholas pociągnął większy łyk napoju. - Oprócz tego miał pewną sumę, gdy tu przyjechał, zdaje się, że w spadku po matce.

— Ile?

Nicholas wzruszył ramionami.

— Nie mam pojęcia. Pochodził z bogatej rodziny, ale było ich dziewięcioro.

— A gdzie jest jego rodzeństwo?

— O ile wiem, wszyscy mieszkają w Japonii. Terry wyjechał jako jedyny.

— A jego ojciec?

— Zginął w czasie wojny.

— Jasne. - Pokiwał głową. - Nie zmienia to faktu, że trzeba mieć kupę szmalu, by otworzyć w Nowym Jorku interes.

— O co panu chodzi?

Croaker wzruszył ramionami i zajrzał do szklanki.

- Wiesz, jak jest z forszą. Potrzebujesz, to pożyczasz, a później nie masz jak zwrócić. Tamci się denerwują, bo nie chcą czekać.

Nicholas pokręcił głową.



— Jedyne współniki Terry'ego to bank Chase Manhattan, któremu spłacił ostatnią ratę pożyczki dziewięć miesięcy temu. Interes rozwijał się znakomicie.

— Może ktoś chciał mieć z tego swoją działkę.

— Nie sądzę, poruczniku.

Croaker podniósł do góry rozwartą dłoń.

— Tylko sprawdzam wszystkie możliwości. Jesteś pewien, że nie prowadził żadnych ciemnych interesów? Przecież nie byłeś z nim cały czas.

— Znałem go wystarczająco dobrze. Nic robił nic niezgodnego z prawem, przynajmniej nie tak, jak pan to rozumie.

— Co prowadzi nas znów do *bushido*, tak? - Kelnerka przerwała im, przynosząc dania. Gdy odeszła, kontynuował: - Powiem ci coś, Linnear. Jeżeli te dwie ofiary były twoimi przyjaciółmi, to nie widać po tobie, abyś się tym specjalnie przejął.

Nicholas siedział nieruchomo. Czuł, jak krew silnie pulsuje w jego tętnicy szyjnej i jak chłodny wiatr przeszywa jego umysł. Uderzyły w niego przeraźliwe odgłosy, jakby krzyk przodków. Pod stołem jego palce stały się sztywne jak ostrza, a mięśnie niczym ze stali. Był jednością, najniebezpieczniejszą maszyną do zabijania, jaka kiedykolwiek istniała.

Croaker spojrzał mu w oczy.

- No, już dobrze - powiedział spokojnie i widelcem umazany w jajku wskazał jego nakrycie. - Wystygnie ci jedzenie. - Wrócił do swojego talerza, zupełnie nieświadom tego, jak niewiele brakowało mu do nagłej śmierci.

Można być wściekłym na wiele sposobów, tak jak i można obrażać się na wiele sposobów. Lew Croaker był po prostu jeszcze jednym z zachodnich ignorantów, myślał Nicholas. Nie miał pojęcia, co wyprawia lub jaki może być skutek jego wypowiedzi. Powiedział to, co powiedział, by się przekonać, jak Nicholas zareaguje. Nie powinno być żadnej widocznej reakcji. Uczył się tego w ramach *bujutsu*, ale to było dawno temu. Nie zachował czujności myśląc, że nie będzie takiej potrzeby.

To tylko świadczy o tym, że trzeba uważać - pomyślał Nicholas. Bo niebezpieczeństwo może przyjąć różne formy. Nie żeby obawiał się czegoś ze strony Croakera, wręcz przeciwnie. Ale uważał, że głupota sama w sobie też może być źródłem niebezpieczeństwa i Croaker o mało tego nie doświadczył. Powód nie miałby znaczenia, gdyby Nicholas go zabił lub choćby tylko poturbował.

Croaker, jedząc, spoglądał co jakiś czas na Nicholasa, który starał się mu objaśnić skomplikowaną istotę *bushido*. Mógłby zacząć od pojęcia „posłuszeństwo”, ale w kulturze zachodniej słowo to odbierane było pejoratywnie, więc zrezygnował z tego. Ponieważ *bushido* miało swoje korzenie nie tylko w religii i socjologii, ale i w historii, wytłumaczenie tego Amerykanom, patrzącym wstecz z perspektywą nie dłuższą niż dwóchsetletnie istnienie ich państwa, było trudnym zadaniem.

Jednak w przypadku Croakera wydawało się, że podchodzi do tematu poważnie, słuchając z zainteresowaniem tym większym, im więcej Nicholas opowiadał. Pod koniec posiłku, popijając kawę, rozsiadł się wygodnie i wyjął paczkę gumy. Rozejrzał się wokół, aż ni stąd, ni zowąd powiedział:

— Moja stara doprowadza mnie do szału. Nigdy jej nie ma, kiedy wracam do domu.

— Z tego, co zrozumiałem - skomentował Nicholas - to rzadko pan wraca.

Croaker upił trochę kawy, skrzywił się i dołał śmietanki. Rozerwał paczkę porcjowanego cukru, dosypał i rozmieszał.

— Nie wiem, od czego to zależy, ale nie potrafię normalnie żyć. - Znowu skosztował, pokiwał głową z zadowoleniem i podniósł wzrok. - No dobrze. Źle się wyraziłem. Chciałem powiedzieć, że nawet wtedy gdy wracam do domu, to jej też nie ma. A to chyba jeszcze gorzej, rozumiesz?

— Trzeba zmienić pracę - doradził Nicholas.

— Nie, raczej kobietę, to wystarczy. Bo widzisz, Alison jest endokrynologiem. Od trzech i pół roku pracują nad jakimś problemem, który musi być cholernie trudny, bo przez ten czas nie posunęli się z jego rozwiązaniem ani o krok. - Przesunął wykałaczkę z jednego kącika ust w drugi. - Chodzi o rekombinację DNA.

— Proces klonowania?

Croaker się ucieszył, twarz mu poweselała.

- O to, to. - Zaśmiał się. - Chcą stworzyć armię pierdolonych nadludzi. Będziemy już, chłopie, niepotrzebni. - Znowu zarechotał. - Nic, nic aż tak straszego. Próbuje znaleźć sposób na zmianę kodu genetycznego, tak by na potomstwo nie przenosiły się choroby dziedziczne. - Rozmyślał, wpatrzony w kawę. - Ostatnio idzie mi nie najlepiej, chyba czas z tym skończyć.

- No to niech pan skończy - powiedział Nicholas. Croaker spojrział na niego.

- Masz rację. - Przez chwilę milczeli. - Słuchaj, to, co powiedziałem wcześniej...

-Chodźmy już - powiedział Nicholas wstając. - Mamy umówione spotkanie i nie wypada się na nie spóźnić.

Mimo braku klimatyzacji w pomieszczeniu było chłodno i sucho. To tak, jakby znajdowali się głęboko pod ziemią, na poziomie wiecznej zmarzliny. Słońce tu nie docierało. Ściany zrobione były z dużych, kamiennych bloków, tak by chłód panował tu nawet w najgorętsze dni.

Oprócz głosu Nicholasa i swojego Croaker słyszał jeszcze jakieś dźwięki, wydobywające się niczym spod wody. Słów nie rozumiał. Gdy się zbliżyli, był w stanie rozpoznać krótkie odgłosy podobne do komend musztry, przypominające mu długie dni służby wojskowej spędzone w jakimś zagubionym miasteczku w stanie Georgia.

- Kino i telewizja rozpropagowały sztuki walki już parę lat temu - mówił Nicholas podczas marszu - lecz sprowadziły je do formy czystej rozrywki. W związku z tym traktuje się je w Ameryce z równą powagą, co zapasy wolnoamerykanki. Jest to co najmniej nieporozumienie. - Zatrzymał się i spojrzał na Croakera. - Sztuka walki nie polega wyłącznie na zabijaniu. To tylko tutaj jest takie podejście: wyjąć pistolet i pif-paf. - zabić kogoś. Tam jest inaczej. Podstawą wszystkiego jest rozwój osobowości.

Ruszyli dalej, dochodzące dźwięki były coraz bliżej. Croakerowi wydawało się, że słyszy tupot bosych stóp o parkiet i uderzenia drewnianych kijów, tak jakby jakiś olbrzym postukiwał pałeczkami perkusji.

— Zapewniam pana, poruczniku, że *bujutsu* nie można lekceważyć - mówił Nicholas. - Nie ma to nic wspólnego ani ze sztuczkami magicznymi, ani z zabawą towarzyską. To rzecz bardzo poważna. - Odwrócił się w jego kierunku. - Mam nadzieję, że nie rozwlekam zbyt długo tematu, ale chcę, żeby wszystko było jasne. Bo, widzi pan, typowy Amerykanin nigdy nie zobaczy, a nawet nie usłyszy prawdy o *bujutsu*. Nikomu z nas nie zależy na reklamowaniu tej sztuki. Mimo pewnych elementów brutalności *bujutsu* ma więcej wspólnego z religią, głównie z *zen* i *shintō*, niż - powiedzmy, ze sportem. Jest to sposób życia, rządzony zasadami *bushido*. Osoba praktykująca wolałaby popełnić *seppuku*, czyli rytualne samobójstwo, niż złamać którąś z zasad. Wszystko, co się wiąże z życiem, poruczniku, dosłownie wszystko, podlega tym zasadom. Mam nadzieję, że pan to zrozumie.

— Nie jestem taki pewien - odpowiedział szczerze Croaker. W jego umyśle coś zaczynało świtać. Zastanawiał się, co to może być,

ale w końcu to porzucił. Zbytne wyęzanie umysłu tylko pogorszyłoby sprawę.

- Nic dziwnego. - Nicholas uśmiechnął się zdawkowo. - Niektórym ludziom z Zachodu zajmuje to lata. - Wiedział, że ma teraz nad Croakerem przewagę. - Innym - wzruszył ramionami - nie udaje się to nigdy.

Nie było nic takiego na świecie, co mogłoby wywołać płacz u Geldy Tomkin Odile, choć czuła, że teraz to może łatwo nastąpić. Stała w chłodzie swego mieszkania przy Sutton Place patrząc, jak promienie słoneczne zdają się zamieniać East River w twardą masę. Dla niej równie dobrze mogłaby to być słona rzeka. Znajoma panorama wydawała jej się płaska niczym obraz i równie mało podniecająca. A może to jest obraz, pomyślała, choć wiedziała, że myślenie nie jest jej najmocniejszą stroną. A to był znak, że jest dobrze, że stało się to, czego chciała. Sama whisky już nie wystarczała i w dodatku, stwierdziła, szkodzi jej na wątrobę. Marihuana, co zauważyła już dawno, też jest do niczego, ponieważ mogła nad sobą panować, a potrzebowała czegoś, co będzie panować nad nią. Środki halucynogenne na nią nie działały, a opium po prostu ją usypiało. I wtedy zauważyła, że tabletki kodeiny popite whisky były właściwym lekarstwem na jej problemy. Zaśmiała się z tego.

W sąsiednim pokoju zadzwonił telefon, jego delikatny brzęczyk był równie integralną częścią jej otoczenia, co długa, skórzana kanapa, której powierzchnia mogła być rozgrzana jedynie przez nagie ciało.

Gelda patrzyła przez okno nie spiesząc się z odebraniem telefonu, będzie tak długo dzwonił, aż zechce podnieść słuchawkę. Gdyby jej nie było albo chciałaby spokoju, automatyczna sekretarka włączyłaby się już po pierwszym sygnale. To była na pewno Pear, potrzebująca jej pomocy, mogła więc chwilę poczekać.

Pragnęła teraz zapłakać, ale nawet w uniesieniu alkoholowo-narkotycznym jej oczy były suche, a dusza zwiędła i niedostępna niczym wypalona słońcem pustynia.

Odwróciła się i bezszelestnie przeszła po bładniebieskiej wykładzinie swojej sypialni. Przez otwarte drzwi widać było ogrom jasnobrazowej skórzanej kanapy i brunatnego dywanu, które dominowały nad resztą bawialni lub - jak ona mówiła - „pracowni”. Rzadko kiedy robiła te rzeczy w sypialni.

Miała gęste włosy koloru miodu, nabierające jedwabistego połysku w promieniach słońca. Jej ciało opięte było, niczym drugą skórą, ciemnozielonym, lekko zawiązanym w pasie szlafrokiem podkreślającym krągłe pośladki i długie nogi, ukrywając jednocześnie te części jej ciała, których w skrytości nienawidziła. W mieszkaniu nie wisiało ani jedno lustro, nawet w łazience nad umywalką, choć wiele było schowanych w szafie, bo czuła, że ich potrzebuje. Podniosła słuchawkę.

— Słucham.

— Kochanie, co tak długo? - usłyszała głos Pear. - Czyżbyś robiła coś brzydkiego?

- Jak dla mnie, to niewystarczająco. - Gelda przymknęła oczy. Pear ucieszyła się.

— Moja szkoła. - Nagle zmieniła ton. - Gelda, czy dobrze się czujesz?

— Tak, a o co chodzi?

— Ostatnio cię nie widać. Niektóre z dziewcząt się dopytywały. Tęsknią za tobą.

— Ja też za nimi tęsknię - odpowiedziała zastanawiając się, czy tak jest naprawdę. - Wiesz, Pear, ostatnio myślałam o wielu sprawach.

— Ależ, moja droga - mówiła spokojnie Pear. - Wiesz, że myślenie nie służy sprawom duchowym. Powinnaś częściej wychodzić, wybrać się na parę przyjęć.

— Wiesz, że to nie w moim stylu - odburknęła.

— Nie denerwuj się, do niczego cię nie namawiam. - Pear robiła wrażenie zakłopotanej. - Kochanie, ja się o ciebie troszczę, szczerze.

— Jestem wiele dla ciebie warta.

— Przestań tak gadać, Gelda - powiedziała ostrym tonem. - Chcesz mi zrobić na złość. Ja to rozumiem i wybaczam ci to, co powiedziałaś. Nie ma na świecie zbyt wielu ludzi, na których mi zależy. Bóg mi świadkiem, na żadnej z dziewcząt. Ale na tobie tak.

— To znaczy, że jestem jedną z twoich dziewcząt - skomentowała złośliwie Gelda.

Usłyszała po drugiej stronie westchnienie Pear.

— Kochanie, czy mam ci znowu przypomnieć, że to ty się na początku do mnie zwróciłaś? Tak, to prawda, ja ci ustawiam klientów, ale są to nie byle jacy klienci, sama o tym wiesz. Tysiąc dolarów za noc nie chodzi piechotą. Może byś i mogła zarobić więcej pracując na godziny, ale, kochanie, po co? To by ci nie sprawiło przyjemności, a teraz ją masz. Ale to nie oznacza, że mogę cię nazwać jedną ze swoich dziewcząt. Boże, a to wielka różnica! Klienci, kochanie, dopytują się o ciebie, ot co.

— Masz kogoś dla mnie? - spytała oschle Gelda.

Pear znów westchnęła, odpuszczając sobie dalszą dyskusję.

— Tak. Dare, ta aktorka. Pamiętasz...

— Pamiętam.

— Chce wyłącznie ciebie.

— Zgadzam się.

— Czy masz wszystko, czego potrzebujesz? - zapytała Pear. Gelda zastanowiła się przez chwilę.

— Skóra jest świeżo wyczyszczona, ale jedwab...

- Wyślę Lawless do ciebie dziś po południu, by się tym zajęła. Czy coś jeszcze?

Gelda pomyślała o ogromnym sześciostrzałowym rewolwerze Remington Navy, z długą, ośmiokątną lufą i kolbą z polerowanego drewna. On rzeczywiście był sześciostrzałowy.

- Tak - powiedziała w marzycielskim nastroju - pół funta łososia i cztery bułki. - Przez chwilę milczała. - I, Pear, przypomnij jej, by nie używała cebuli, nie wtedy, gdy pracuję.

W słuchawce usłyszała śmiech Pear.

- Taką cię lubię. Wiesz, że dzisiejszy wieczór to będzie bardziej przyjemność niż praca.

Przynajmniej miała na co oczekiwać. Odwróciła się, by spojrzeć przez okno na rozpromienione słońce. Upuściła słuchawkę. Widziała, jak błyskająca rzeka daje jej znaki.

Główne pomieszczenie *dojo* wykończone było wyłącznie drewnem. Wszystkie elementy połączono drewnianymi kołkami i klejem, a następnie polakierowano. Sala miała kształt prostokąta i wysoki sufit. Oświetlona była delikatnie i równomiernie. Pomieszczenie przypominało zwykłą salę gimnastyczną, poza otoczonym niską barierką podwyższeniem, które ciągnęło się wzdłuż całej tylnej ściany. Nie było żadnych mebli ani jakiegokolwiek innego sprzętu.

Dwunastu mężczyzn w białych bawełnianych bluzach i spodniach stało parami naprzeciw siebie. Każdy z nich trzymał w ręku polerowany kij zaopatrzony w małą okrągłą gardę. Croaker był skłonny uznać ową broń za miecze, gdyby nie brak główki czy ostrego sztychu. Mężczyźni nie nosili masek. Wszyscy byli Japończykami, przeważnie dwudziestoletnimi, choć zauważył jednego nastolatka i dwóch około czterdziestki.

Między nimi, obok schodków prowadzących na podwyższenie, stał człowiek ubrany na szaro. Był niskiego wzrostu i całkowicie łysy, co utrudniało określenie jego wieku. Croaker ocenił go na gdzieś między czterdziestką a pięćdziesiątką. Mężczyzna wydał krótki okrzyk i ćwiczący wykonali po dwa szybkie kroki, rozpoczynając coś, co wyglądało na rytualną formę walki.

- To grupa adeptów *kenjutsu*, poruczniku - powiedział Nicholas. - Najlepsza na zachodniej półkuli i po części na wschodniej.

Croaker patrzył zafascynowany, jak walczący napierali i wycofywali się, atakowali i bronili przy akompaniamencie głośnych okrzyków. Ale uderzenia były tak powolne, że z trudem

wyobrażał sobie, aby można ich było użyć w realnym starciu.

Po chwili zabrzmiał dźwięk małego dzwonka. Na ostrą komendę mistrza mężczyźni przerwali ćwiczenia i wykonali głęboki ukłon. Następnie rozeszli się na chwilę przerwy. Niektórzy zeszli na bok i usiedli w pozycji medytacyjnej, inni odpoczywali leżąc. Wszyscy byli zajęci wyłącznie sobą.

Nicholas poprowadził Croakera po wypolerowanej podłodze w stronę mistrza *kenjutsu*. Ukłonił się i coś wytłumaczył mu po japońsku, po czym tamten jeszcze raz się ukłonił i podał Croakerowi rękę. Niezbyt pewny całej tej sytuacji Croaker ucisnął ją. Była twarda jak beton. Tamten uśmiechnął się.

- To jest Fukashigi - powiedział Nicholas do Croakera. - Proszę czuć się przedstawionym.

Croaker puścił dłoń mistrza i spytał:

— Co teraz?

— Niech pan patrzy - odpowiedział Nicholas.

Fukashigi spojrział w lewo i szybko krzyknął coś po japońsku. Jeden z uczniów wstał i zatrzymując się po drodze, by zabrać jeszcze jeden miecz, podszedł bezszelestnie do mistrza. Ukłonił się Nicholasowi i wręczył mu jeden z mieczy. Fukashigi przez chwilę coś mu tłumaczył, po czym tamten skłonił głowę i potwierdził przyjęcie polecenia głośnym - *Hai!*

Uczeń był wysoki i chudy, z poważną twarzą i ruchliwym, inteligentnym spojrzeniem. Obaj z Nicholasem przyjęli postawę wyjściową: stopy rozstawione na szerokość barków, kolana lekko ugięte, obiema rękoma trzymali rękojeść broni.

- A więc tak - Nicholas mówił do Croakera nie odrywając wzroku od przeciwnika. - W *kendo* jest pięć - tylko pięć - pozycji trzymania miecza: nad głową, przed sobą, głównią skierowaną w dół, nad lewym ramieniem i nad prawym. Pierwsze trzy mają znaczenie podstawowe, pozostałe dwie są pomocnicze i wykorzystuje się je tylko przy blokowaniu cięć bocznych. Ale to nie wszystko. Aby stać się mistrzem, należy osiąść umiejętność „postawy - bez postawy”, czyli odruchowo reagować na zachowanie przeciwnika, tak aby cała walka stanowiła jeden ciąg, niczym ruch morskiej fali. Tych pięć postaw, poruczniku, jest kwintesencją *kenjutsu*.

Zaatakował ucznia z taką szybkością i zaciekłością, że Croaker aż się przeraził.

- Atak z pozycji środkowej - powiedział Nicholas i powtórzył dokładnie ten sam cios, tyle że w zwolnionym tempie, uwidoczniając jego poszczególne fazy. Podniósł miecz tak, aby jego sztych znalazł się przed twarzą ucznia. Tamten z miejsca zaatakował, lecz w tym momencie Nicholas niewielkim ruchem odbił jego miecz w prawo, unikając uderzenia. Następnie uniósł broń nad głowę. Uczeń ruszył do przodu i w tej samej chwili Nicholas ciął w dół. Trzymał teraz miecz nisko. Przeciwnik zrobił nowy wypad. Gdy Nicholas zaczął podnosić broń, zablokował ruch, lecz w tej samej chwili Nicholas uwolnił swój miecz ze zwarcia i wykonał cięcie zakończone lekkim

uderzeniem w ramię. Uczeń natychmiast zaatakował z prawej strony. Nicholas trzymał miecz przy lewym boku, poniżej pasa. W momencie ataku uniósł *bokken* w górę i zadał cięcie wzdłuż ramion przeciwnika. Teraz z kolei uczeń przyjął podobną postawę i starał się trafić z prawej. Nicholas znowu zaczął unosić miecz, a gdy jego ruch został zablokowany, przeszedł do postawy wysokiej i zadał markowany cios w czubek głowy, który w autentycznej walce byłby śmiertelny.

Obaj cofnęli się i uklonili.

— Widział pan - powiedział Nicholas, zwracając się do Croakera - istotę *kenjutsu*.

— Ale używaliście tylko drewnianych mieczy - odpowiedział Croaker. - Takim czymś nikomu krzywdy...

- Wręcz przeciwnie, *bokkeny* są równie groźne co *katana*. One... W tym momencie wykonał obrót, wyczuwając w jakiś sposób podwójny atak wykonany z boku jednocześnie przez ucznia i mistrza. Nim Croaker zdał sobie sprawę z tego, co się stało, Nicholas rozbroił już młodzieńca i ostro walczył z Fukashigim. Zajęło mu to dziesiątą część sekundy - obliczył błyskawicznie. Mój Boże, przecież ja widziałem nadchodzący atak, nim on go mógł zauważyć!

Trzask *bokkenów* wypełniał całą salę, lecz ruchy walczących były tak szybkie, że ich postacie się rozmywały. Croaker przyglądał się uważnie, ale choćby nie wiadomo jak próbował, i tak nie był w stanie rozróżnić poszczególnych pozycji. Wspomniał, jak Nicholas porównywał taki ruch do fal morskich i teraz go rozumiał.

Nagle zabrzmiał głośny stuk. Fukashigi silnie ciął z góry, lecz jego atak został zablokowany przez uniesiony miecz Nicholasa. Mistrz odskoczył do tyłu z lekkością baletnicy, gotów do powtórzenia ataku. Gdy cofał miecz, by zyskać na sile podczas cięcia w przód, Nicholas rozciągnął się niczym rzeka i poprowadził swój miecz równolegle do broni przeciwnika. Nagle opuścił ręce i skierował sztych wprost w twarz mistrza, nieomal dotykając jego nosa. W tej samej chwili lewa pięść Japończyka dotknęła twarzy Nicholasa ruchem, który mógłby mu zmiażdżyć głowę.

Obaj się cofnęli i uklonili. Żaden z nich nie był specjalnie zmęczony.

Gdy doktor Deerforth odjechał, Justine usiadła nad deską kreślarską, pracując nad projektem, z którym męczyła się już od czterech dni. Raz, czy dwa była już blisko rozwiązania, po to tylko, by widzieć, jak jej pomysł rozplywa się w nadmiarze luźnych kresek. Wydawało jej się, że próbuje złapać śliską płytkę gołymi rękoma. W końcu odrzuciła pióro z obrzydzeniem, oderwała arkusz kalki przytrzymywanej pinezkami i zmięła go. Poszła do kuchni i zrobiła sobie kanapkę z tuńczykiem. Przeżuwała ją bez zastanawiania się nad jej smakiem, starając się zlokalizować błąd w swym rozumowaniu. Była pewna, że wstępna koncepcja jest dobra. Popiła resztę kanapki sokiem pomarańczowym.



Ubrana była w kostium kąpielowy. Przez chwilę stała, patrząc na deskę kreślarską jak na wroga. Takie podejście jest niebezpieczne, pomyślała. Wierzyła w tajemne znaki. Chwyciła ręcznik i wyszła na plażę. Zaczęła biec, upuszczając ręcznik na piasek, podskokami posuwała się nad załamującymi się falami z trudem pokonując opór zimnej wody. Widząc zawisłą nad sobą wysoką falę, mającą się lada chwila załamać, zanurkowała w jej zieloną otchłań.

Znajdując się samotnie w głębinie prawie nie słyszała załamania fali i drgań kotłującej się wody. Ruszyła do przodu wiosłując silnie dłońmi ułożonymi w „łódki” i wyciągniętymi stopami, czując napinanie się mięśni w krzyżu, udach i ramionach. Wezbrana woda zaczęła ją unosić z powrotem do góry. Bańki powietrza miarowo opuszczały jej usta niczym krople z dozownika. Unosiła się z łatwością w górę wypływając ponad falującą powierzchnię, oswajając oczy, wypełniając płuca świeżym zapachem powietrza po to tylko, by znów się zanurzyć.

Myślni była z Nicholasem, bo chociaż Deerforthowi powiedziała inaczej, chciała pojechać z nim do miasta. Od wyjazdu nie odezwał się do niej, co oznaczało, że był zajęty. Boże, tak bardzo bała się angażować, ale pragnęła Nicholasa jeszcze bardziej i nic na to nie mogła poradzić. Płynęła cały czas w morze, wynurzając się tylko po to, by złapać nowy haust świeżego powietrza. Kiedy uznała, że jest już wystarczająco daleko, zaczęła płynąć wzdłuż brzegu.

Myślała o długiej pochwie pokrytej czarno-złotą laką, wiszącej na ścianie w pokoju Nicholasa. Wyobrażała sobie, że podchodzi na palcach i delikatnie zdejmuje ją z uchwytu. Czuje jej ciężar, gładkość i świetne wyważenie. Lewą ręką chwyta koniec pochwy, a prawą - długą rękojeść miecza *katana*. Jego miecza. Centymetr po centymetrze, w miarę napinania mięśni, jej szeroko otwartym oczom zaczyna się ukazywać nagie, jakby nieskończone ostrze. Błysk odkrytej stali oślepia ją, migotanie jest początkiem niespotykanie wielkiej erekcji.

Poczuła parcie w płucach, dudnienie w sercu, szum w uszach. Opływająca woda gładziła jej ciało. Sutki jej piersi nabrzmiały i poczuła podniecające mrowienie pomiędzy nogami. Ciągle płynąc opuściła jedną dłoń i zaczęła pocierać swój wzgórek łonowy. Wydała jęk rozkoszy. Uchodzące z ust bańki powietrza przypominały jej ptaki lecące po bezchmurnym niebie.

Poczuła, jak jej nogi opływa prąd zimnej wody, pnąc się w górę, wzdłuż ud. W pierwszej chwili przypominało to dotknięcie kochanka, jednak po chwili aż otworzyła oczy z zaskoczenia. Prąd już oplótł jej biodra, potem tors. Przekręciła się. Wtedy poczuła wciąganie. Najpierw powolne, aż nagle, gdy pod wpływem ruchów wody i własnych znalazła się głębiej, zaczęło ją obracać.

W pierwszej chwili chciała złapać oddech, ale na czas się powstrzymała. Ściągało ją coraz dalej w morze. Prądy kręciły nią wokół jej własnej osi niczym walec. Oszołomiona, starała się płynąć na oślep w stronę lądu. Choć świetnie pływała i miała zaprawione płuca, postanowiła przede wszystkim wydostać się na powierzchnię. Wirowanie niemal niweczyło jej próby pójścia w górę. Czuła się unieruchomiona niczym w objęciach oślizłych splotów potężnego węża morskiego,

przybywającego z tajemniczej otchłani.

Gdy wreszcie jej głowa znalazła się ponad wodą, wszystkie siły włożyła w złapanie oddechu przerywanego głębokim kaszlem. Ale tym samym przestała myśleć o utrzymaniu się na powierzchni. W chwili gdy z uniesioną głową próbowała przetrzeć oczy piekące od słonej wody, poszła znowu na dno.

Ogarnęła ją panika, doznała skrętu kiszek, jej ciało już nie płynęło, tylko wykonywało jakieś nieskoordynowane ruchy. Nie mogła zrozumieć, dlaczego będąc na powierzchni nie zawołała o ratunek. Próbowała więc wznieść się jeszcze raz, ale opór wody był nie do pokonania. Zamiast do góry, poszła na dno. Ale tu znalazła ratunek, bo zamulona woda prawie w ogóle się nie poruszała. Przez chwilę była pełna strachu, nie wiedząc, co się dzieje, ale nagle zrozumiała, że im niżej, tym prąd był słabszy. Wyciągniętymi rękoma wymacała kamień i przyciągnęła się do niego. W ten sposób zaczęła się posuwać w stronę brzegu.

Płuca ją paliły. Poczula skurcz w lewym udzie, opuściła bezwładną nogę, aż mięśnie zwiotczały i znów mogła poruszać kończyną. Posuwała się po dnie niczym wielki krab. Walczyła z pragnieniem wydostania się na powierzchnię, w strachu, że znów dostanie się w objęcia prądu. Brnęła więc dalej. Czowała, jak słona woda wypala jej gałki oczne, a w uszach szumił potężny wichur.

Wreszcie poczuła ciepło płytkiej wody, napierającej na wznoszące się piaszczyste dno. Wybiła się w górę, wkładając w to resztkę sił, przekraczając granicę wodną niczym łapiący oddech wieloryb. Zatykało jej oddech, wnętrzności były jak jedna wielka galareta. Poczula piach pod stopami, ale w miarę wychodzenia z wody czowała coraz większy bezwład ciała. Padła na kolana, a kolejna fala przewróciła ją.

Gdy zwracała morzu połkniętą słoną wodę, usłyszała podniesione głosy zbierającego się tłumu. Chwycili ją pod ramiona, jej głowa opadła bezwładnie.

- Czy wszystko w porządku?

Chciała przytaknąć, ale zamiast tego znowu zwinęła się w kolejnych odruchach wymiotnych. Czowała dotyk rozgrzanego piasku na plecach. Starła się oddychać całym ciałem, tak jakby chciała nabrać nieskończone ilości powietrza. Płuca pracowały niczym miechy, wydając suchy, ochryply dźwięk, jak u astmatyka. Ktoś podłożył pod jej głowę złożony ręcznik tak, by była lekko uniesiona. Czując szczypanie skóry na policzkach i wargach chciała je przetrzeć, ale ręce odmówiły posłuszeństwa, jakby nie stanowiły części jej ciała. Nie miała na nic siły.

- Tylko spokojnie - powiedział ktoś stojący obok. - Proszę się nie ruszać.

Zamknęła oczy, poczuła, że kręci jej się w głowie, jakby przed chwilą zakończyła przejażdżkę na wielkiej karuzeli. Nadal czowała obracający ją wir. Po pewnym czasie jej myśli zaczęły się rozjaśniać, uspokajając oddech.

- Teraz już chyba lepiej?

Przytaknęła, nie odważając się na otwarcie ust.

- Czy pani mieszka w tej okolicy? - spytał jakiś kobiecy głos. Znowu kiwnęła głową.

T - Zadzwoniliśmy po lekarza.

- Ale ze mną wszystko w porządku - odpowiedziała. Własny głos wydał jej się obcy.

- Niedługo tu będzie.

Kiwnięciem głowy potwierdziła przyjęcie wiadomości. Wspomniała dawne czasy, gdy razem z siostrą bawiły się w wodzie przy brzegu. Gelda miała wtedy dziewięć lat, ona sześć. Dla żartu ukłuła siostrę pomiędzy żebra. Wówczas Gelda odwróciła się z wściekłością i wyciągając ręce, wcisnęła jej głowę pod wodę. Przez chwilę było to zabawne, jednak po kilku sekundach chciała złapać oddech, ale siostra nadal ją trzymała. Zaczęła się wyrywać, ale uścisk Geldy był za silny. W duszy modliła się, by już ją puściła, a później zaczęła siostrę przeklinać. Gdy wreszcie wydostała się na powierzchnię, dostała ataku hysterii. Wybiegła z wody wprost w objęcia matki. Ale nigdy nie wyznała rodzicom, co się stało, jedynie przez tydzień nie spojrzała siostrze w oczy ani się do niej nie odzywała. Ta zaś w odpowiedzi pyszniła się swoim wyczynem.

Kiedy Justine otworzyła oczy, ujrzała doktora Deerfortha nachylającego się nad jej ciałem i przemawiającego do niej. Uniosła się, cała drżąca, i przytuliła się do niego, płacząc.

Gdy porucznik Croaker wyszedł z *dojo*, połączył się przez radiotelefon, by sprawdzić, czy coś mają dla niego w centrali. McCabe prosiła go o kontakt - na pewno w sprawie morderstw Tanaka-Okura, Vegas chciał z nim porozmawiać, no i Finnigan chciał bieżący meldunek. Sunął przez miasto, przebijając się przez korki uliczne.

- Jeżeli dopadniecie Vegasa, powiedzcie mu, że będę około wpół do piątej, dobra? - Nie chciał na razie rozmawiać z prokuratorem, a co do Finnigana - chuj mu w dupę! - To wszystko. - Croaker próbował być cierpliwy, ale zbyt długo czekał na upragniony meldunek. - No dobra - powiedział - połączcie mnie z Vincentem Ito w siedzibie lekarza sądowego, jasne? - Rozgrzane powietrze aż falowało, otarł spocone czoło. Gdy uzyskał połączenie, zaproponował wspólną kolację. Vincent zasugerował restaurację „Michita” i podał Croakerowi jej adres. Croaker przejechał przez Park Centralny drogą na wysokości Siedemdziesiątej Drugiej Ulicy, by po paru chwilach zajechać przed trójkondygnacyjny budynek z brązowego piaskowca, w którym mieścił się ośrodek treningowy Terry’ego Tanaki. Przesłuchał wszystkich trenerów. Ściągnął policyjnego plastyka, by stworzyć obraz pamięciowy tajemniczego Japończyka, który w dniu morderstwa odwiedził ośrodek. Nikt tego człowieka wcześniej ani później nie spotkał, nikt nie wiedział, skąd pochodzi. Jedynie trener *aikido* przypomniał sobie, że przedstawił się jako Hideoshi, ale dla Croakera to nie był żaden ślad. Możliwe, że człowiek ten był mordercą albo miał z tą sprawą coś wspólnego.

Było już po czwartej, gdy stamtąd wyszedł. W domu Terry'ego znaleziono wyłącznie ślady palców obojga zamordowanych, ale i tak kazał ekipie zebrać wszystkie odciski w ośrodku. Nie należało nigdy pomijać żadnej ewentualności, choćby nie wiadomo jak mało prawdopodobnej. Kto wie, pomyślał, może będziemy mieli szczęście i na coś wpadniemy. Potem rozkazał jednemu z detektywów przesłuchać wszystkich sąsiadów z bloku. Może któryś z nich widział tajemniczego mężczyznę.

Gdy był już w biurze, zadzwonił do Irenę. Torby foliowe z ubraniami i rzeczami osobistymi Terry'ego i Eileen rzucił w ką. Sprawdził, czy coś do niego przyszło, ale nie było nic nowego. Miał właśnie rozwiązać jeden z worków, gdy przez drzwi wpadła ciemna postać Vegasa. Był to potężny facet z gęstą brodą i przesywającym wzrokiem. Czerń jego skóry nabrała błękitnego połysku w jarzeniowym oświetleniu pomieszczeń posterunku.

— No, cześć - powiedział Croaker, odwracając się w jego stronę.

— Co to? - Jego głos był niczym grom słyszany z oddali.

— Słyszałem, że mnie szukałeś.

— Ta-jes.

— Siadaj.

Vegas usiadł pochrzając. Miał na sobie wytarte dżinsy, wysokie kowbojskie buty i szaroczarną flanelową koszulę z perłowymi zatraskami.

— Chcę stamtąd odejść - powiedział. Miał na myśli dział narkotyków. - Bo inaczej, kurwa, zwariuję.

— Czy ma z tym coś wspólnego Sallyson?

— Masz na myśli kapitana Ahaba? - Vegas odburknął. - Ten chuj pierdolony nadaj się tylko do czubków. - Nachylił się do przodu, opierając łokcie na swych długich udach. - Słuchaj, Lew, chcę się przenieść tutaj, do działu zabójstw.

Croaker spojrzał na swego przyjaciela. Znali się do dawna, wiele razy łączyli swe siły w najśmielszych operacjach, wyświadczali sobie przysługi, robiąc to z pełnym zaangażowaniem.

— Finnigan jest niezłym sukinsynem, chłopie - rzekł całkiem serio Croaker. - Też jest, kurwa, wredny.

— Facet, nie szukaj problemów - powiedział Vegas. - Chcę być po prostu z dala od tych narkotyków, to już mnie nie bawi.

Croaker zerknął na niego.

- Pomyślmy. Dział zabójstw to nie jedyna możliwość. Mógłbyś iść bez problemu do kryminalnego.

Twarz Yegasa wydała się zmartwiona.

— Kurwa! Jasne, mógłbym mieć niezłą sumkę biorąc swoją działkę co miesiąc. Jest tylko jeden problem, te skurwysyny nie pozwolą, by jakiś czarnuch załapał się na taką robotę, kapujesz? Oni mnie tam nie przyjmą.

— Ale, Vegas, nie mam, do diabła, pojęcia, czy Finnigan by ciebie zechciał.

— Facet, przecież wiesz, że on, kurwa, nie ocenia ludzi po skórze. Co, nie chcesz ze mną pracować?

Croaker zaśmiał się.

— Jasne, że bym chciał, tylko ostatnio nie jestem ze starym w najlepszych układach.

— Przecież tu nie chodzi o coś wielkiego. Sam wiesz, jak jest. Jak rozwiążesz kolejną poważną sprawę i burmistrz da mu kolejną pochwałę, znów ci będzie włożył po palcu do dupy.

Croaker uśmiechnął się.

- Może i tak.

- Facet, nie mam żadnych wątpliwości w tym temacie. Croaker chciał opowiedzieć Vegasowi o sprawie Didion, swoich podejrzeniach i etapie, na jakim się znajdował. Byłaby to sprawa pragmatyki, przy podejmowaniu każdego działania zawsze powinien być ktoś w odwodzie. Ale nie mógł tego zrobić, nie żeby mu nie ufał, zbyt wiele razy ratowali sobie życie, by w ogóle rozważać taką możliwość. Po prostu nie chciał go skrzywdzić. Czym innym było bowiem ryzykowanie samemu, a czym innym wplątywanie kolegi, nawet w dobrej wierze. Croaker wyciągnął rękę i klepnął Vegasa w nogę.

- Dobra, masz to jak w banku. Pójdę z twoją sprawą do Finnigana, gdy tylko wyczuję właściwy moment i będę pewien, że nie urwie mi za to głowy.

Vegas uśmiechnął się.

— Kapuję. - Wstał i popatrzył z góry na Croakera. - Ustaw go odpowiednio i zobaczymy, co powie. A na razie masz przed sobą czarnucha, który znowu ma do wykonania robotę na mieście. Sallyson dał mi wytyczne do zrealizowania, kapujesz? Kurwa! - Odwrócił się i pomachał ręką. - Na razie.

— Ustaw mi jakąś dobrą laskę - powiedział Croaker.

— Facet, masz u mnie najlepszą.

Cóż, Nick, czuję się tak, jakbym spędził tu ze sto lat. - Vincent patrzył na rozłupywany orzeszek ziemny. - To dziwne, ale Tokio wydaje mi się odległe niczym sen, nic więcej.

— Powinieneś więc tam pojechać, choćby na urlop.

— Tak, masz pewnie rację. - Wrzucił orzeszek do ust.

Szli po wydeptanych kamiennych schodach prowadzących do zoo w Parku Centralnym. Kroczyli po sześciokątnych płytach, czując mieszaninę zapachów różnych zwierząt. Skierowali się na północ, w stronę małpiarni.

— Ale nie pojedę tam, jestem o tym przekonany.

— Przecież nic nie stoi na przeszkodzie, zupełnie nic.

Vincent pokręcił głową. Zeszli po kamiennych schodach na mały placyk. Po lewej stronie, za wielką pustą klatką na ptaki, zauważyli basen fok, gdzie kilka nowo nabytych lwów morskich nurkowało i krążyło wokół starszej samicy, jedyne zwierzęcia pamiętającego dawne, dobre lata.

- Chodzi o moją rodzinę, Nick, o moje siostry. Gdybym tam pojechał, musiałbym je spotkać, a nie jestem w stanie im spojrzeć w oczy. Nie teraz, nie po tym, co się stało.

Przy małpiarni stał śniady mężczyzna z gęstym wąsem, który na oczach zaciekawionych dzieci napelniał kolorowe balony helem z długich zielonych butli. Za każdym razem wydawało się, że nadmuchuje je potężny oddech olbrzyma.

- A co takiego się stało? Vincent odwrócił głowę.

— O co tu chodzi, sam nie bardzo rozumiem. Po prostu zmieniłem się, upodobniłem do otoczenia, czuję, że tutejsze środowisko mnie zepsuło, mój system wartości już nie jest ten sam, nie przywiązuję wagi do tradycji. - Przed klatką z gorylami tłum ludzi przypatrywał się z radością, jak kobieta dozorująca małpią rodzinę kąpała je strumieniem z węża. Nagle samica ustawiła swą dłoń na drodze lecącej wody, opryskując nią stojących ludzi. Słysząc było piski i tłum rozpierzchnął się, by po chwili ze śmiechem znów się zgromadzić. W klatce obok wyniosły orangutan przypatrywał się tym scenom niewzruszony, jakby dokonywał naukowej analizy zachowania tych dziwnych stworzeń za kratą, na potrzeby swojego najnowszego podręcznika.

— Daj spokój - powiedział spokojnie Nicholas. - Pamiętam nasze pierwsze spotkanie. Ty, Terry i ja. To było w restauracji „Michita”, pamiętasz? Wszyscy mieliśmy ten sam problem, nie mogliśmy się odnaleźć w tym otoczeniu. Pewnie dlatego od razu stworzyliśmy paczkę. - Vincent uśmiechnął się, a przynajmniej spróbował. - Czuliśmy się jak w Japonii. - Potrząsnął głową. - Ale to chyba nie wszystko. Chyba nie chodziło tylko o tęsknotę za ojczyzną. Tak sędzę.

-Eileen uważała, że łączą nas przeżycia duchowe, niczym niewidzialna pępowina, przy której my odgrywaliśmy rolę dziecka.

Nicholas pokręcił głową.

— Mylisz się, Eileen doceniała naszą filozofię życiową. Choć sędzę, że nie w pełni ją rozumiała. Ale widząc jej siłę, akceptowała ją. Dlatego nigdy nie chciała brać udziału w naszych spotkaniach. Wiedziała, że czułaby się nie na miejscu, mimo naszych usilnych starań, by tak nie było. Terry zwierzył mi się kiedyś, że powiedziała mu, że jej zdaniem tylko by nas krępowała. Miała w tym rację.

— Sam już nie wiem - powiedział Vincent. - To wydaje mi się teraz równie odległe jak, powiedzmy, zwyczaje ludowe Finów. Nie jestem pewien, czy mogę to wszystko ogarnąć.

— Marudzisz, tyle w twojej mowie pustosłowia co u Amerykanina. Pomedytuj trochę i znów będziesz sobą. To, że tutaj mieszkasz, to jeszcze nie powód do zmiany osobowości. - Wyglądało na to, że wmawia to wszystko nie tylko Vincentowi, ale i sobie. - Urodziliśmy się w ojczyźnie tego samego ducha. Wiąże nas on mocniej i trwalej niż więzy krwi. Wiesz równie dobrze jak ja, że to, czego doświadczyliśmy, nigdy nas nie opuści. Pamiętaj, że tam w środku jesteś ciągle tą samą osobą, która dwanaście lat temu wysiadła z samolotu japońskich linii lotniczych.

— Wcale nią nie jestem, już od dawna. Myślę inaczej, mówię inaczej. Ameryka zmieniła mnie w sposób nieodwracalny. Nie ma już dla mnie drogi powrotnej. Moje miejsce nie jest już ani w Japonii, ani tutaj. Zachodni świat zabrał mi niespodziewanie coś bardzo drogiego.

- Wszystko można jeszcze naprawić. Nie jest wcale za późno. Vincent spojrzał na niego, schował ręce do kieszeni i poszedł dalej.

Byli nie opodal łuku, na którym stał słynny zegar, wygrywający co godzina melodię, w której rytm przesuwwały się postacie zwierząt. Za łukiem znajdowało się zoo dla dzieci, słychać było stamtąd radosny śmiech i tupot rozbieganych stóp.

— Nie mówiłem o tym nikomu, nawet policji. Tamtego wieczoru, gdy zamordowano Terry'ego i Eileen, zadzwonił u mnie telefon, tyle że nikt się nie zgłosił. - Spojrzał w górę. - Ale im więcej o tym rozmyślam, tym bardziej jestem pewny, że coś słyszałem. Jakąś muzykę.

— Czy pamiętasz jaką?

— Tak. Jestem pewien, że był to utwór Manciniego. - Obaj wiedzieli, że to ulubiony kompozytor Eileen. Vincent aż zadrżał. - To tak, jakby Terry wołał do mnie z zaświatów. - Podniósł rękę. - Wiem, wiem. Sam nie wierzę w takie rzeczy. Ale niech mnie licho! To było tak, jakby chciał mi powiedzieć, kim był zabójca.



-Uważasz, że Terry go znał? Vincent wzruszył ramionami.

- Może mam zbyt bujną wyobraźnię. Po prostu... Po prostu szkoda, że ciebie wtedy tu nie było. Przecież, na Boga, to byli również twoi przyjaciele!

Nicholas nic nie odpowiedział. Wpatrywał się w uśmiechnięte dzieci jedzące lody, pokazujące umazane języki małpom. Chciał dać upust jakiemuś uczuciu, na przykład goryczy, tak by nie trzymać tego w sobie. Czuł niesamowity spokój, jakby był w oku wirującej trąby powietrznej, sam bezpieczny, a wokół pełnia zniszczenia. Czy mógł coś zrobić, by to zmienić? Na pewno tak, ale miał wątpliwości, czy powinien. Vincent wpatrywał się w Nicholasa, jakby chciał wzrokiem wydrzeć z niego prawdę. Musiał to uczynić. Tak jak przypuszczał od początku. Musiał, to był jego obowiązek. Vincent miał rację, Terry i Eileen byli jego przyjaciółmi.

Vincent położył mu dłoń na ramieniu.

- Przepraszam cię, druhu - powiedział. - To moja wina. Jestem na granicy wytrzymałości. Chyba to widać. To cholernie niesprawiedliwe, że wyżywam się na tobie. - Lekko się uśmiechnął. - Sam widzisz, jak się zmieniłem.

Nicholas również się uśmiechnął, nawet bardziej, niż miałby na to ochotę.

— No tak, miałeś rację, żaden z nas nie zapomniał znaczenia słów: obowiązek i służba.

— Słuchaj, Croaker zaprosił mnie na kolację. Może byś się do nas przyłączył?

— Dobrze - zgodził się Nicholas. - Zrobię to z ochotą. Vincent spojrzał na zegarek.

— Czas do roboty. Do zobaczenia później.

Nicholas szukał budki telefonicznej po całym parku, aż był zmuszony wyjść na Piątą Aleję. Zadzwoił do Justine, słuchawkę podniósł doktor Deerforth.

— Mieliliśmy tu mały wypadek, nic poważnego. Ale uważam, że powinieneś przyjechać, jeżeli czas ci na to pozwala.

— Co się stało?

— Justine porwał prąd morski, ale już wszystko w porządku.

— Czy na pewno był to tylko prąd morski?

— Raczej tak. A co innego?

— Czy ktoś obcy był w okolicy? Może widziano coś podejrzanego?

— Było pełno ludzi. Jeden z sąsiadów pomógł jej wyjść z wody. Ale nikt o niczym nie wspominał.

— Czy możesz tam zostać, dopóki nie przyjdę? Ruszam pierwszym pociągiem. - Spojrzał na zegarek.

— Dobra. Nie mam żadnych pilnych spraw. Moje pielęgniarki wiedzą, gdzie mnie znaleźć. Ale gdybym musiał jechać do wypadku...

— Rozumiem. Powiedz jej, że niedługo będę.

— Gdy się obudzi. Nie martw się.

Odwiesił słuchawkę, kiwnął na taksówkę i pojechał na Pennsylvania Station. Zjechał na dół i kupił bilet na pociąg do Long Island. Miał jeszcze dwadzieścia pięć minut do odjazdu, zadzwonił więc do Tomkina. Długo nie mógł się połączyć. Obserwował przechodzący tłum, bezwiednie czegoś wypatrując. Para nastolatków męczyła się z wielkimi plecakami, dalej młoda kobieta stała oparta o filar z niepokojem wypatrując swojego chłopaka, a może chodziło o jej szefa.

— Tomkin.

— Cieszę się, że dzwonisz. Czy zastanawiałeś się nad moją propozycją?

To skurwysyn - pomyślał Nicholas. Ten skurwiel wciągnął w to Justine, a teraz rzeczywiście była już w to zaangażowana. Nienawidził swojej sytuacji. Powoli się jednak uspokoił.

— Tak postanowiłem się. Zaczynam pracę od dzisiaj.

— Świetnie. Może być przyjechał do wieżowca i...

— Nie. Jestem na Pennsylvania Station i wybieram się najbliższym pociągiem na Long Island.

— Nie rozumiem...

— Mam tam robotę. Justine tam jest.

— Rozumiem.

— Nie wątpię w to - powiedział ze złością Nicholas. - Skontaktuję się jutro.

— Nick...

Odkładając słuchawkę przerwał potok słów.

Był właśnie w pracy. Podjął ją w firmie Lubin Bros niecałe dwa tygodnie wcześniej. Skierowano go najpierw na budowę przy alei Ralpa w dzielnicy Brooklyn, ale gdy zachorował Manucci, przeniesiono go tutaj, na aleję Parkową. Tomkin płacił wiele, by budowa postępowała we właściwym tempie, a kierownictwo firmy robiło wszystko, by temu zadaniu sprostać. Sprowadzało się to również do zapewniania niezbędnej liczby robotników.

On sam pracował wytrwale przy każdej wyznaczonej robocie. Był solidny i małowówny, nikomu nie wpadał w oko. Kiedy tego dnia przyszedł do pracy, rozmyślał o tym, co zrobił poprzedniego wieczoru, a raczej już nad ranem. Był to sposób na przygotowanie się do nowego zadania. Będzie potrzebował więcej zmarszczek. Choć jego rozum rozpamiętywał zajścia ostatniej nocy, gdzieś w podświadomości rozważał już inne sprawy.

Nie miał problemu z dostaniem się do podziemnego parkingu wieżowca Actium House. Wjechał tam schowany za oparciami limuzyny Lincoln Continental, której pasażerowie opuścili przednie siedzenia przed głównym wejściem. Później była to już tylko kwestia czasu.

Samochód Tomkina zjechał w dół dziesięć po trzeciej w nocy. Było to typowe dla jego chorobliwej bezsenności, pod wpływem której w dni robocze spędzał większą część nocy w biurze swego nowego wieżowca. Reflektory najpierw ostro oświetliły sufit, by po chwili opaść, w miarę jak samochód zjeżdżał w dół po pochylni. Silnik poruszającego się w ciemnościach pojazdu pracował delikatnie, aż w końcu zamarł, gdy kierowca zatrzymał go we właściwym miejscu.

Znał na pamięć wszystkie czynności wykonywane przez kierowcę, ale mimo to poczekał jeszcze godzinę. Jednego czego mu nie brakowało, to czasu. A wiedział, że czas może być najlepszym sprzymierzeńcem lub najgorszym wrogiem, dlatego szanował go ponad wszystko. Pośpiech był według niego złym doradcą.

Wreszcie poderwał się i ruszył w stronę samochodu, ledwo uchwytny, niczym cień. Tylko chwilę zajęło mu rozpracowanie zamka i znalezienie się wewnątrz. Wyjął z kieszeni miniaturową latarkę i skalpel. Na złączu tylnego siedzenia z podłogą wykonał nacięcie, a potem drugie, pośrodku, prostopadłe do pierwszego. Następnie odchylił rogi wykładziny i podłożył pod nią krążek o średnicy półtora centymetra. Posmarował rogi bezwonną żywicą i ułożył je w pierwotnej pozycji. Teraz skierował swą uwagę na telefon. Otworzył jego skrytkę i nie dotykając słuchawki, umieścił wewnątrz drugi krążek. Potem usiadł na zwykłym miejscu Tomkina i ponownie otworzył skrytkę spoglądając na słuchawkę. Z zadowoleniem zamknął pokrywę; krążek był niewidoczny. Zgasił latarkę i wysiadł z samochodu. Potrzebował niespełna dwudziestu sekund, by znaleźć się na Pięćdziesiątej Pierwszej Ulicy, skulony w swej czarnej nylonowej wiatrówce. W sumie cała robota zajęła mu równo dziewięć minut.

To było w nocy, teraz układał wykładzinę w wielkim holu biurowca Tomkin Industries i zastanawiał się, jak dotrzeć na górę. W porze obiadowej wsiadł do zewnętrznego dźwigu osobowego i pojechał na możliwie najwyższe piętro, jedno poniżej biur Tomkina. W korytarzu nadal były gołe tynki, poznaczone ołówkiem niczym malunkami jakiegoś szalonego inżyniera. W przejściach nikogo nie widział, ale był ostrożny ze względu na dużą liczbę drzwi. Zatrzymywał się więc co jakiś czas i stojąc nieruchomo wsłuchiwał się w podejrzane dźwięki. Wyczułby od razu, gdyby coś było nie tak.

Nie martwił się o swój wygląd. Na policzkach i nosie miał wykonane nadkłady o identycznej karnacji co jego własna. Poduszkami włożonymi pod dżiasta sztucznie poszerzył szczękę. Nawet jego postawa zmieniła się od czasu, gdy złożył wizytę w *dojo* Terry'ego Tanaki. Garbił się lekko i utykał, jakby miał jedną nogę krótszą. Osiągnął ten efekt przez dwucentymetrową podkładkę wewnątrz prawego buta. Zmiana wyglądu twarzy nie nastęrczała trudności, ale pozostawało dziesiątki innych cech, na podstawie których ktoś wprawny mógł go rozpoznać. Dlatego równie starannie co twarz trzeba było maskować wszystkie inne elementy ciała. Przebranie musiało być kompletne. Ale trzeba było dokonywać tylko niewielkich zmian, gdyż celem ostatecznym był kamuflaż, a zbytnia przesada w charakteryzacji temu nie służyła.

Schodami ewakuacyjnymi wszedł ostrożnie piętro wyżej. Panował tu duży ruch, byli obecni zarówno robotnicy budowlani, jak i pracownicy biurowi. Tym lepiej - pomyślał.

Biuro Tomkina, zajmujące znaczną część piętra, prawie już wykończono i normalnie wykorzystywano, tak więc ciągle ktoś tam przebywał. Przerwa obiadowa była tu niezauważalna, bo gdy pierwsza zmiana zjeżdżała na posiłek, do akcji wkraczała zmiana rezerwowa. Właśnie do niej się przyłączył, przechodząc pod czujnym spojrzeniem Franka, który stał na straży przy metalowych drzwiach wejściowych. Wszystko do tej pory okazało się bardzo proste, co innego to, co musiał zrobić na oczach wszystkich.

Rozwiązanie było proste. Po prostu musiał sprawiać wrażenie, że wie, jaka robota do niego należy i nikt wtedy na niego nie zwróci uwagi. To mogłoby się nawet wydać zabawne, ta łatwość, z jaką wykonywał pewne skryte czynności na oczach wszystkich, gdyby spojrzeć na to tylko w taki sposób. Ale takie rozumowanie było mu obce, dlatego zjawisko to stanowiło tylko przyczynek do pewnej refleksji, niczym wzorzysty kamień znaleziony w czasie letniej wędrówki.

Musiał oczywiście wykonywać swe zadania po kawałku, pomiędzy pracą, którą faktycznie mu zlecano. To powodowało jedynie, że czas jego pobytu w tych pomieszczeniach strasznie mu się dłużył. Ale wykorzystał ten fakt na swoją korzyść, starając się dokładnie zapamiętać każdy szczegół, małe załamania i wnęki, prześwity i ściany. Sprawdził, gdzie pod farbą i tynkiem ściana była pełna, a gdzie są bruzdy, któredy szło okablowanie i w którym miejscu znajdowały się wszystkie punkty sieci, umiejscowienie bezpieczników i rozkład oświetlenia alarmowego. Na razie ta wiedza nie była mu potrzebna, ale nie był pewny, czy kiedyś się nie przyda. Szczegółowe planowanie jest podstawą, ale zawsze trzeba mieć pewien zapas błędu, gdyż życie płałało figle i często, zbyt często przytrafiało się coś niespodziewanego - przypadkowy przechodzień, brzydka pogoda, czy nawet nie przewidziany dźwięk, jakiś drobny szczegół, którego nie można zaplanować. Nigdy nie można być zbyt pewnym.

O pierwszej trzydzięści skończył pracę i pod poślódkim spojrzeniem podsiniaczonych oczu Franka wyszedł razem z całą zmianą. Za metalowymi drzwiami skręcili w prawo idąc w stronę

zewnątrznego dźwigu osobowego piętro niżej. W chwili gdy skręcał, drzwi windy na końcu korytarza rozsunęły się i ukazał się w nich Tomkin wraz z Whistle'em.

Na chwilę się zatrzymał, patrząc na nich śmiercionośnym, błyszczącym wzrokiem. Jak łatwo można by to było zrobić - atakując ich teraz. Whistle martwy na miejscu, a Tomkin leci przez rozgrzane powietrze, by roztrzaskać się o nie dokończony chodnik. To był niezły pomysł, miał w sobie coś z ironii losu, ale brakowało mu stylu i finezji i dlatego go odrzucił. A poza tym Tomkin nie miałby czasu na strach, tyle tylko, ile by leciał, czując otaczające go gorące powietrze i widząc zbliżającą się ziemię. Zastanawiał się, o czym Tomkin by wtedy myślał. O Bogu? Zagładzie? Piekło? Westchnął, to nie miało dla niego znaczenia. Pojęcia zachodniej kultury były mu obce. Dla niego istniało tylko *kami*, w którym zamieszka z całym bagażem swej *karmy*, gdy umrze w oczekiwaniu na kolejne wcielenie.

Jego filozofia życiowa była tak prosta i wszechogarniająca, że miał świadomość tego, iż jest nie do pojęcia dla ludzi pokroju Tomkina. Nie zmieniało to w niczym czynu, którego miał dokonać, tyle tylko, że zabójstwo nie będzie wymagać od niego zaangażowania duchowego. Jego umysł zajęty był opracowywaniem metod zastraszenia ofiary, dotarcia do jej duszy. Samo zadawanie śmierci było dla niego czynnością równie prostą, co rozgniecenie robaka. Jakkolwiek by było, takim czymś był Tomkin, bo nie można go przecież nazwać człowiekiem.

Jeżeli zaś chodziło o drogę powrotną, to wiedział, że tym razem może się nie udać. Ale świadomość tego wcale go nie osłabiała, gdyż przygotowywał się na taką ewentualność przez całe życie. Śmierć w boju była najszczytniejszym celem, bo jakkolwiek by było, historia zawsze odnotowywała sposób rozstania się ze światem żywych. Utrwalała ten moment skrzętniej niż epizody codziennego życia.

Nie brał pod uwagę oczywiście możliwości schwytania go podczas wykonywania wyroku na Tomkinie. Chodziło o inną sferę jego działań, tę, dla której się naprawdę poświęcił. Zapłacono mu za zgładzenie Tomkina bardzo wiele, ale on nie przywiązywał dużego znaczenia do pieniędzy. W rzeczy samej, gdy przyjechał pierwszy raz, aby jak to powiedział swoim klientom, rozejrzeć się co nieco, o mało nie zrezygnował ze zlecenia. Ale natknął się na coś tak niesamowitego, że nie mógł sobie odmówić tej przyjemności. Nauczył się bardzo wcześnie nie przepuszczać okazji. Tym razem nadarzyło mu się coś tak wspaniałego, że podniecał się na samą myśl o tym. Odrzucić takie zrządzenie losu byłoby grzechem. Taki przypadek już nigdy by się nie powtórzył. Tak wymarzona sytuacja nigdy by nie zaistniała.

Był to drugi powód, dla którego nie zaatakował Tomkina w tej chwili. A poza tym, przez sam sposób, w jaki doszło do tego spotkania, jego działanie byłoby nieefektywne, co wynikałoby z konieczności improwizacji, której był przeciwnikiem. Mógł to zrobić, i to skutecznie, ale oparł się pokusie. Nie do zniesienia bałaby konieczność porządkowania na chybcika innych wątków. Lubił

robić wszystko systematycznie i spokojnie; w innym wcieleniu mógłby być jubilerem. Spojrzał więc tylko uważnie na Tomkina, który szedł korytarzem nie wiedząc, że ociera się o śmierć.

Potem poszedł z resztą swojej zmiany wzdłuż nie wykończonych przejść, schylając się, by nie zaczepić o kawałek przewodu zwisającego z otwartego włazu w suficie. Minęli drzwi i schodami ewakuacyjnymi zeszli piętro niżej.

Gdy był już na ocienionym parterze, włożył palec do ucha, jakby chciał się podrapać. Wewnątrz małżowiny miał kulkę koloru skóry, spłaszczoną od strony zewnętrznej. Dla wszystkich była całkowicie niewidoczna. Dotknął jej końcem palca wskazującego i zaczął nasłuchiwać.

Nicholas poczuł to, gdy odchodził od rzędu błyszczących aparatów telefonicznych wiszących na jednej ze ścian dworca kolejowego. Jakby siódmy zmysł ostrzegał go przed czymś. Szedł spokojnie w stronę księgarni, choć wcale nie miał zamiaru do niej wejść, był to po prostu kierunek, w którym zmierzał, nie chcąc wykonywać żadnych nerwowych ruchów. Jednak zamiast wejść do środka, stanął przed witryną. Klienci wchodząc i wychodząc ocierali się o niego. Z powodu dwudziestoprocentowej obniżki cen na dziesięć najpopularniejszych książek miesiąca przy kasie ustawiła się kolejka. Patrzył pod kątem na szkło witryny, używając go jak lustro do obserwowania tego, co się dzieje na stacji, za jego plecami. Zadanie utrudniała zła jakość odbitego obrazu. Blask oświetlenia oraz zniekształcenia wywołane brudem na szybie. Analizując obraz uwzględniał te wszystkie czynniki.

Nie powinien był stać w jednym miejscu tak długo. Spojrzał na zegarek, miał jeszcze piętnaście minut do odjazdu pociągu. Nie widział powodu, dla którego miałby przesiedzieć ten czas na peronie. Szczególnie w takiej sytuacji. Oddalił się więc od księgarni, idąc po przekątnej stacji. Jakaś starsza kobieta ciągnąca za sobą walizkę na kółkach przecięła mu drogę, potem minęło go dwóch marynarzy w śnieżnobiałych mundurach, którzy opowiadali sobie sprośne kawały. Młodej kobiety, która stała przy filarze, już nie było - albo doczekała się wreszcie swego partnera albo zrezygnowała. Troje ciemnowłosych dzieci poganianych przez ponuro wyglądającą kobietę biegło śmiejąc się i poszturchując. Jakiś człowiek w ciemnej wiatrówce z papierosem zwisającym z ust stał przy rzędzie skrytek. Naprzeciwko mężczyzna w beżowym ubraniu kartkował najnowszy numer *Hustlera* do chwili, gdy podszedł do niego inny mężczyzna z brązowym neseserem. Przywitali się i wspólnie odeszli.

Nicholas wszedł do baru szybkiej obsługi „Nedick” i przysiadł obok grubasa pożerającego ciastko z kremem. Na blacie leżał banknot jednodolarowy i trochę drobnych, a twarz mężczyzny oblepiona była okruszynami ciasta i drobinami kremu. Nie zwrócił na Nicholasa najmniejszej uwagi, gdy ten usiadł na wysokim stołku i zamówił kielbaskę oraz sok pomarańczowy. Filary w lokalu obłożone były kawałkami lustro, które Nicholas mógł wykorzystać do dalszej obserwacji w trakcie jedzenia. Gdy otrzymał to, co zamówił, od razu zapłacił.

Cały czas miał to samo uczucie, nie mógł się mylić. Mogło być tylko jedno wytłumaczenie, śledził go adept *haragei*. Ze względu na swą bliskość nie tylko odbierał bodźce, ale i je nadawał, nie było na to siły. Zbliżył się do Nicholasa za bardzo, było to nieodpowiedzialne i niemądre.

Nicholas wytarł usta serwetką, spojrzął jeszcze raz w lustro i wyszedł. Zostało już tylko pięć minut do odjazdu pociągu i przez ten czas musiał zgubić swego przeciwnika. Nie miał wątpliwości co do tego, czy wsiąść do pociągu, najważniejszą sprawą dla niego w tej chwili było życie Justine. Była z pewnością w niebezpieczeństwie, a on, tak daleko od niej, czuł się zupełnie bezradny. Krótkie, codzienne odwiedziny doktora Deerfortha to jedno, a jego możliwości w razie jakiegoś niebezpieczeństwa to zupełnie coś innego. Nicholas słusznie ufał w takich sytuacjach tylko sobie.

Musiał zrobić jeszcze jedną rzecz. Znów podszedł do rzędu aparatów telefonicznych i wykręcił numer porucznika Croakera.

— Słucham - powiedział szybko ostry głos w słuchawce.

— Mówi Nicholas Linnear, poruczniku.

— Co jest?

— Wracam do siebie. Justine przytrafił się jakiś wypadek. Przez chwilę trwała cisza.

Nicholas nadal rozglądał się po okolicy.

— Croaker, jestem śledzony.

— Masz przywidzenia. A może za dużo oglądałeś ostatnio kryminałów?

— Na razie nikogo nie zauważyłem.

Szumy na łączach brzmiały niczym ludzki głos, jedyny, który było słychać.

— To skąd wiesz, że ktoś cię śledzi? - spytał po jakimś czasie Croaker.

— Nie uwierzysz, jak ci powiem.

— Mimo wszystko, spróbuj.

— Chodzi o *haragei*, część techniki *bujutsu*. To takie odczucia ponadzmysłowe, możliwość głębszego odbierania bodźców ze świata, coś w rodzaju szóstego zmysłu.

Nicholas spodziewał się po swojej wypowiedzi jakiegoś niewybrednego zarciku, ale zamiast tego usłyszał:

— Kto to może być?

— *Ninja*.

Usłyszał głęboki oddech na drugim końcu linii.

— Nie ruszaj się stamtąd, Linnear. Już jadę.

— To nie ma sensu. On nie będzie tu tak długo czekał, a poza tym wyczułby cię na kilometr.

— Nie możemy czekać z założonymi rękoma.

— Uwierz mi, to jedyny sposób. Pozwól mi działać.

— Tobie? A co ty, u diabła, masz z tym wspólnego?

— Sądzę, że jego głównym celem jest Tomkin, ale również Justine. Dlatego do niej jadę.



-Od kiedy tak bardzo zależy ci na życiu Tomkina? - Głos zabrzmiał teraz jeszcze ostrzej.

— Od czasu gdy dla niego pracuję, od dzisiaj. Znów usłyszał głęboki oddech.

— Kurwa mać! Słuchaj, ty chujku...

- Nie, ty mnie posłuchaj, Croaker. Zupełnie nie zdajesz sobie sprawy, z kim walczysz. Staralem się wytłumaczyć ci to dzisiaj w *dojo*, ale chyba mają rację ci, co mówią, że Amerykanie to zakute łby.

Trzasnął słuchawką w widelki i dołączył do tłumu zjeżdżającego po schodach na peron sąsiadujący z torem 17. Pod czaszką cały czas czuł to samo. W chwili gdy był już na dole, wydało mu się, że ujrzał szczególną twarz. To była tylko chwila, przeblysł, blady wizerunek twarzy z profilu. Coś w tej twarzy go uderzyło. Przez chwilę pomyślał o zawróceniu, ale siła napierających ludzi była zbyt wielka.

Znalazł się w pociągu, z miejscem przy oknie. Dziwne uczucie wreszcie ustało. A może go nigdy nie było? Jednak wiedział, że zbędne tu są wątpliwości. Tylko po co właściwie *ninja* go śledził? Musiała być na to odpowiedź, tyle tylko, że nie był w stanie na nią wpaść.

Na korytarzu było trochę przepychanek. Kilka osób próbowało w ostatniej chwili wsiąść do pociągu. Klimatyzacja była chwilowo wyłączona. Ktoś narzekał. Nagle oświetlenie zamigotało i włączono pełne zasilanie. Wszystko stało się jasne i przejrzyste. Usłyszeli dzwonek i drzwi wagonu zasunęły się z sykiem, zamykając ich w środku. Chwilę później pociąg ruszył i zaczął oddalać się od peronu. Spojrzał przez okno. Zobaczył jakiegoś Murzyna zamiatającego koniec peronu, a dalej już tylko najprzeróżniejsze wzory światła i cienia migające w zależności od prędkości jazdy. Znaleźli się już poza centrum, a on rozmyślał o Justine. Zaczął usypiać, opierając głowę o okno.

- Bilety do kontroli.

Obudził się z przerażeniem, w umyśle nadal miał blady obraz profilu twarzy z zamazanymi rysami - niczym widok księżyca przez letnią mgłę.

Gelda śmiała się, a w tym śmiechu trzęsły się jej piersi. Wówczas zdaniem Dare była najbardziej seksowna. Dare zawsze potrafiła rozśmieszyć Geldę, co było jednym z powodów, dla których ją uwielbiała. Drugim było jej ciało.

Jej skóra miała brązowożółtą karnację, tak jakby była opalona. Ale nie miała na sobie żadnych śladów odzieży co świadczyło, że jest to jej kolor naturalny, choć Gelda nigdy o to nie pytała. Była wysoka, wyższa od swojej partnerki, która sama odznaczała się słusznym wzrostem. Była smukła, ale nie chuda i rosła, ale bez widocznego umięśnienia. Miała długie, naturalnie kręcone blond włosy. Wszystko to razem bardzo do siebie pasowało. Nogi Dare były jeszcze dłuższe niż Geldy, na dodatek bardziej smukłe, ale równie rozkoszne. Miała małe, idealnie okrągłe, wysoko zawieszane piersi, była wąska w pasie i szczupła w biodrach. Miała w sobie coś

chłopięcego, a zarazem tyle kobiecości. Nie było przesady ani w jej zachowaniu, ani w sposobie ubierania. Kochała Dziki Zachód, opalonych kowbojów, dynamiczne ciała galopujących koni, ale przede wszystkim samą dzicz. Jak określiła to Pear, miało to więcej wspólnego z przyjemnością niż z pracą.

- Wiesz, Gelda, o mało nie natrafiłam na właściwego - mówiła do niej.

Leżała ościężała w wannie, w powietrzu unosił się zapach fiołków. Gelda klęczała obok kręcąc kryształowymi kurkami. Woda spadała na białą emalię wprost pomiędzy rozłożone nogi Dare, chlapiąc na jej owłosienie łonowe, które pod wpływem kropelek wody zmieniało swą barwę. Za nimi, na ścianie, wisiały poplamione skórzane spodnie, jakby czekając na rytualne spalenie.

— Ale wiesz - mówiła dalej - nawet gdy już było tuż-tuż, do końca nie byłam pewna.

— No i co się stało? - Gelda odkręciła bardziej kurek z ciepłą wodą.

— Co się stało? - Dare zawyła. - Mój wspaniały Teksańczyk, mój wielki byk, mój bohaterski jeździec okazał się mięczakiem. - Wyjęła łokcie z wody i poruszyła trochę pośladkami, w miarę jak zwiększał się poziom wody. - Żalił mi się w łóżku, ze łzami w oczach, jak to kobiety go onieśmialają. - Odchyliła głowę do tyłu, zamknęła oczy i rozkoszowała się otaczającym ją ciepłem. - Chyba nigdy nie napotkam tego jedyne. - Jej oczy otworzyły się szeroko, ich szarość były równie intensywne jak topazowa żółć oczu Geldy. - Ale wiesz, już mi chyba na tym nie zależy. - Jej głos zamienił się teraz w szorstki szept. - Mam ciebie i to mi wystarczy. - Wyciągnęła do niej dłoń. - Chodź, przytul się do mnie, kochanie, będzie ci cieplej.

Gelda podniosła się i zrzuciła z siebie szlafrok z pomarańczowego atlasu, który okrywał jej ciało. Gdy upadł delikatnie na ziemię, Dare aż zadrżała na widok jej nagiego ciała.

Ich dłonie zetknęły się, Gelda weszła do wanny, a Dare przesunęła się, by zrobić jej miejsce.

- Jesteś jedyna w swoim rodzaju - szeptała Dare - na całym świecie. - Głaskała ramiona Geldy, jej piersi. - I nieważne jest, ile to mnie kosztuje.

Gelda długimi paznokciami masowała pod wodą uda swojej partnerki.

- A gdyby tak - powiedziała delikatnie - nic cię to nie kosztowało?

Brwi i czoło Dare zmarszczyły się. Gelda wygładziła je swym palcem wskazującym.

— Nie rób tak - powiedziała.

— Może to by miało sens na początku - mówiła Dare. - Ale nie teraz. - Wzruszyła ramionami. - Tak czy inaczej, płaci za to moja firma, ale nawet gdybym to ja... - Jej szerokie usta uśmiechnęły się. - Odwiedzam ciebie, kochanie. A to, że trzeba za to płacić, to zbieg okoliczności. Jaka różnica? Trzeba umieć zarobić i trzeba umieć stracić. Jesteś sto razy więcej warta od narkotyków czy futra z soboli.

Gelda uśmiechnęła się.

— To chyba był komplement. Dare zaśmiała się.

— Wiesz dobrze, że tak. - Rozejrzała się wokół. - Gdzie to masz? Palce Geldy głaskały ją cały czas - delikatnie, ale systematycznie.

Nagle jakiś mięsień uda blisko krocza zadrżał, aż Dare podskoczyła. Gelda wyczuła, że jej tętno się wzmacnia.

- Mamy dużo czasu, kochanie, odpręż się. Jest w bezpiecznym miejscu. - Jej palce głaskały jędrne ciało. - Zjawi się, gdy będziesz gotowa.

Dare odwróciła głowę, jej dłonie objęły wydatne piersi Geldy, kciukami pocierała wielkie sutki, aż poczuła, jak pęcznią.

— Ummm - wydała dźwięk rozkoszy. - To właśnie w tobie uwielbiam, tę dwoistość. Chłód i żar, siłę i delikatność, kurewstwo i niewinność małego dziecka.

— Jestem tylko odbiciem innych - szepnęła Gelda.

— Nie, to nieprawda, nie w moim przypadku. Wiem, że sprawia ci to równie wiele rozkoszy, co mnie. Możesz oszukiwać facetów, ale nie kobiety. Ja wszystko widzę. Pragniesz mnie równie bardzo, jak ja ciebie.

Gelda delikatnie rozchyliła paznokciami wargi sromowe Dare, powoli wsuwała je do środka uważając, by nie pobudzić łechtaczki.

- Jesteś jedyną kobietą na świecie, z którą pragnę to robić - powiedziała.

Dare poruszyła biodrami wywołując falowanie wody, która pluskała o ściany wanny. Była teraz we własnym świecie. Pełnia księżycyca wywoływała fale sztormowe.

Gelda podłożyła drugą rękę pod pośladki Dare, muskając bruzdę pomiędzy nimi.

-Mówiąc szczerze, nie jestem pewien, czy wiedział. Problem w tym... że on też przeżywa pewne przewartościowanie duchowe, tyle tylko, że u niego się jeszcze nie rozstrzygnęło i nie wiem, co to za sobą pociągnie. Jestem z nim nadal bardzo blisko, a on był również blisko z Terry, ale ostatnio trochę się odsunął. Jestem pewien, że Terry miał niejedną okazję, by mu o wszystkim powiedzieć, lecz zdecydował, by tego nie robić. - Wzruszył ramionami. - Tak czy inaczej, jeżeli to jest morderca - palcem wskazał na portret - to był przebrany. Zarówno ja, jak i Nicholas możemy go znać, ale nigdy go nie rozpoznamy na podstawie portretu pamięciowego.

Croaker pokiwał głową.

— No dobra. - Zaczął chować arkusze. Vincent wyciągnął rękę.

— Może byś poczekał, aż Nick wróci? Może, jak by zobaczył te portrety...

— Linnear dzwonił do mnie po południu. Pojechał z powrotem do West Bay Bridge. Jego dziewczyna miała wypadek. - Zamknął kartonową teczkę z portretami. - Nikt nie widział tego skurwiela, ani jak się zjawił, ani jak zniknął. Zarówno w *dojo*, jak i w mieszkaniu Terry'ego.

— To mnie nie dziwi. Mamy do czynienia z zawodowcem, bardzo niebezpiecznym zawodowcem. Obawiam się, że nie zdajesz sobie z tego sprawy.

— To samo powiedział mi Linnear - warknął Croaker. - Nie lubię takich tekstów.

— Ale taka jest prawda, poruczniku. Lepiej mieć tego świadomość. Ten facet może uśmiercić praktycznie każdego, kogo będzie chciał.

— Nawet Raphaela Tomkina? Vincent potaknął.

— Nawet jego.

- Próbowano już to zrobić wiele razy - zauważył Croaker. - Przy udziale zawodowych morderców.

Vincent westchnął.

— Ale ten zawodowiec jest inny. Nie mówimy tu o jakimś zabijace z Detroit, czy skądkolwiek tycy faceci pochodzą.

— Z Jersey City - powiedział Croaker z uśmiechem.

— Tak... to jest *ninja*, poruczniku. Oprócz tego, że jest zawodowym mordercą, jest także magikiem. Supermanem i Człowiekiem-Pająkiem w jednej osobie. - Vincent stukał w stół końcem palca. - Ten facet jest czarownikiem.

Croaker popatrzył mu głęboko w oczy, jakby się starał znaleźć ukrytą w nich drwinę. Ale nic takiego nie ujrzał.

— Mówisz poważnie, prawda?

— Biorąc nawet pod uwagę, że może to zabrzmieć dramatycznie, tak, całkowicie poważnie. Kelner znów się zjawił, zamówili kolejną porcję wódki i coś do zjedzenia.

— Proszę się nie spieszyć - powiedział do kelnera Vincent. Ten przyjął uwagę i odszedł.

— Linnear zabrał mnie do jednego z ośrodków *kenjutsu* - powiedział Croaker.

— Którego?

— Nie znam nazwy. Ale poznałem tamtejszego mistrza, nazywa się Fukashigi.

Vincent popatrzył na niego ze zdziwieniem.

— Spotkał cię nie lada zaszczyt. Niewielu białych ma tam prawo wstępu. No i to, że zabrał cię Nicholas... - Z wrażenia aż gwizdnął.

— Ano tak - zaśmiał się Croaker - i to po tym, jak go obraziłem. Na pewno nie można uważać, że jest pamiętliwy.

Wzrok Vincenta spoważniał, powiedział:

— To nie on powinien być obrażony, tylko ty, świadom, że utraciłeś jego zaufanie.

— Zaufanie? O co ci chodzi?

— Po prostu. Podstawą znajomości jest wzajemny szacunek. To wyzwala zaufanie i wzajemną pomoc. Nie będę cię pytał, co konkretnie mu powiedziałaś - nie, nie mów mi, nie chcę o tym wiedzieć - ale powiem ci tyle, że jeśli obraziłeś go, to jego szacunek dla ciebie znacznie zmaleł.

— A co mnie, u licha, obchodzi, co on o mnie pomyśli?

— Być może nic. - Vincent uśmiechnął się. - To w takim przypadku moje wcześniejsze uwagi są bezprzedmiotowe. - Natychmiast łyknął wódkę i dopełnił naczynia. Croaker odchrząknął i po chwili powiedział:

— No, dokończ, co chciałeś powiedzieć.

— Uważam, że nie masz co czekać, aż Nick ci wybaczy, on już to zrobił, inaczej nie zabrałby cię do *dojo* Fukashigi. Teraz chodzi o to, byś ty naprawił wyrządzoną szkodę.

— A niby jak mam to zrobić? - zapytał podejrzliwie Croaker.

— No, jeżeli znalazłbym odpowiedź na to pytanie, to można by mnie uważać za mędrca. - Vincent pokręcił głową. - A dziś wieczorem, poruczniku, na pewno się takim nie czuję.

Przy barku siedział człowiek z niezauważalną charakterystyką na twarzy. Zaokrągląa jego płaskie policzki, spłaszczyła szeroki nos i pogłębiała oczodoły. Nawet jego matka by go nie poznała, a była przecież bardzo spostrzegawcza. Był w połowie spożywania porcji *saskimi*, gdy zauważył wchodzących do lokalu Vincenta i porucznika Croakera, zasiadających w jednej z odgródzonych salek. Nie odwrócił się jednak, lecz obserwował kątem oka.

Po kilku chwilach odsunął delikatnie talerz i przeszedł na sam koniec sali, do toalety. W całym lokalu było ciemno i tłoczno od żywo rozmawiających ludzi. Po drodze musiał przejść obok przepierzeń. W łazience nie było nikogo. Umył ręce przeglądając się w lustrze. Nagle otworzyły się drzwi i do środka weszło dwóch mężczyzn. Wyszedł więc, przeszedł obok rozsuwanych *shoji*, zapłacił za posiłek i opuścił lokal.

Na zewnątrz poczuł gorąco letniej nocy. Zatrzymał taksówkę. Musiał je jeszcze zmieniać cztery razy, nim znalazł odpowiednią.

Dokładnie o dwudziestej osiemnaście funkcjonariusz Pete Travine zatrzymał swój radiowóz w taki sposób, że prawe koła otarły się o krawężnik. Był to już jego drugi przejazd Dwudziestą Ósmą Ulicą tego wieczoru. Gdy przejeżdżał tędy dwadzieścia minut wcześniej, na pewno nie było tego, co właśnie ujrzał w przejściu między salonem krawieckim a budynkiem pokrytym piaskowcem. Wspominał stare czasy, gdy gliniarze jeździli parami. Teraz, ze względu na kłopoty finansowe miasta, eksperymentowano w niektórych rejonach z patrolami policyjnymi w pojedynkę, mimo sprzeciwów związku zawodowego policjantów. Przez radiotelefon ciągle nadawano jakieś wezwania, ale nic, co by dotyczyło jego rejonu. Wyłączył silnik, wziął do ręki latarkę i poświecił w ciemne przejście. Promień światła przesuwiał się wzdłuż rzędu srebrzystych kubłów na śmieci. Wokół panowała cisza, ani jednego przechodnia, słyszał tylko delikatny szum ruchu ulicznego na alei Lexington.

Otworzył drzwi od strony chodnika i wysiadł. Jedną ręką odpiął zamknięcie twardej, skórzanej kabury, zabezpieczające broń w czasie jazdy. Przeszedł ostrożnie w poprzek chodnika, oświetlając latarką ciemności. Otwarta metalowa furtka prowadziła na schody do właściwego przejścia. Po prawej stronie zaułka, na pokrytej piaskowcem ścianie, nie było ani jednego okna. Po lewej okna zaczynały się od drugiego piętra, nad lokalem krawca. Dochodziło stamtąd dziwne, kolorowe światło. Widocznie oglądali telewizję.

Travine zszedł po schodach. Przez chwilę chciał powiadomić posterunek, ale szybko zmienił zdanie. Wolał najpierw zdobyć jakieś konkretniejsze informacje. Za kublami było już zupełnie ciemno, ale coś zza nich wystawało i, oświetlone słabym światłem, rzucało dziwny cień na ceglaną ścianę. To właśnie wzbudziło jego podejrzenie.

Stał teraz nad tym, co zauważył. Zdjął rękę z kolby rewolweru i wyciągnął ją, by tego dotknąć. Stojąc tak blisko stwierdził, że jest to ciało, częściowo przykryte starym, szmacianym workiem. Spojrzał na twarz, jeden policzek dotykał ściany. Dwoma palcami dotknął tętnicy szyjnej, by upewnić się, że ma do czynienia z nieboszczykiem.

Travine podniósł się i wrócił po schodach na ulicę. Rozejrzał się na wszystkie strony. Minęła go jakaś zakochana para idąca ręką w rękę wzdłuż alei Lexington. Żadnego innego ruchu. Wezwał przez radio posterunek, a następnie Biuro Lekarza Sądowego.

- Tylko żeby nie czekał na wyniki do jutra - powiedział koledze z centrali. - Chcę coś wiedzieć już dzisiaj.

Potem wrócił do ciała, aby je zidentyfikować, ale nic nie znalazł. Żadnego portfela, pieniędzy, kart kredytowych, po prostu nic, choć mężczyzna ten raczej nie był biedakiem. Znów dotknął ciała, stwierdził, że jeszcze się nie oziębilo. Wstał. Cisza nocna została przerwana odgłosem zbliżających się syren.

Po sprawdzeniu linii papilarnych znali już nazwisko denata. Zajęło im to ponad trzy godziny i wtedy dopiero zaczęli się zastanawiać, co stało się z jego taksówką.

Po wyjściu z lokalu Vincent rozglądał się za taksówką. Nie można powiedzieć, że był jedynie lekko podchmielony, ale nie wstydził się tego. Czuł się bardzo swobodnie mimo dusznego i parnego wieczoru. Wszystkie troski i zmartwienia, które przyczepiły się i gnębiły go przez ostatnie miesiące zniknęły niczym złuszczone skóra. Poruszał się trochę niepewnie, ale kiedy zdał sobie z tego sprawę, był nawet, po pewnym zastanowieniu, zadowolony. Potrzebował takiego odprężenia. Oddychał zatrutym powietrzem, pełnym spalin i zapachu smażonego oleju z pobliskiego baru. Czuł się, jakby był w centrum Tokio na Ginzie, zatłoczonej i ruchliwej, rozjaśnionej neonami reklamującymi nocne lokale i zachodnie towary. Patrzył na mijających go ludzi, czując lekkie oszołomienie. Mimo ochoty powstrzymywał się od hałasowania, aż w końcu pomyślał: a dlaczego nie? - i ryknął na cały głos. Nikt na niego nie zwrócił uwagi.

Szedł w kierunku zachodnim. Odgłosy samochodów na Szóstej Alei przypominały mu fale rozbijające się o morski brzeg. Pomyślał o porcie Urąga, w którym w 1853 roku zacumowały okręty komandora Perry'ego, kończąc tym samym dwustupięćdziesięcioletni okres japońskiego izolacjonizmu. Tajemnicze fale podążające w stronę wyspiarskiego państwa. Byłoby lepiej, gdybyśmy wówczas nie poddali się tym wpływom zza oceanu, o wiele lepiej. Naruszono wtedy wieczną barierę w tajemny sposób ochraniającą Japonię. Tak mówiła mitologia, na której opierała się cała historia Japonii, ubarwiająca fakty ponad miarę.

Zbliżając się do następnej przecznicy, będąc na rogu Szóstej Alei, zauważył taksówkę, która ruszała; powoli odbiła od krawężnika i podjechała w jego stronę. Na chwilę przed zrównaniem się z nim kierowca zapalił lampkę „wolna”. Zwrócił uwagę na lampkę, lśniąca nocą niczym brylant. Myślni był nadal w Japonii. Zataczając się, dał znak kierowcy, który natychmiast zatrzymał wóz. Samochód był pojemny i wygodny, no i miał klimatyzację.

Gdy wsiadł, od razu zdał sobie sprawę, że wnętrze robione było na zamówienie, że samochód nie był własnością firmy taksówkowej. Brakowało przegrody z pleksiglasu między tylnym a przednim siedzeniem, a z przodu zamontowano kubełkowe fotele z beżowej skóry. Vincent podał kierowcy adres domowy i rozsiadł się wygodnie na siedzeniu.

Nawet w najnowocześniejszych zakątkach Tokio - wspominał w myślach - w wielkomiejskim rozgardiaszu, wśród wszechobecnego zachodniego stylu można nagle natrafić na starą świątynię shintoistyczną, wciśniętą gdzieś między dwa wieżowce. Można wtedy usłyszeć tajemnicze dźwięki wielkich, pozieleniałych od patyny dzwonów z brązu i poczuć unoszący się w powietrzu delikatny zapach kadzidła. W takich chwilach ginęły nagle wszystkie spaliny i zanieczyszczenia, a starodawny duch Japonii znów wygrywał z zachodnimi naleciałościami, wzywając z zaświatów dawnych bogów.

W taksówce było dość ciemno. Spojrzał przez okno na oświetlone miasto i zdał sobie sprawę, że jada bardzo wolno. Nachylił się więc do przodu i powiedział:

- Panie, chciałbym dotrzeć do domu, nim zacznie świtać. - Zauważył, że kierowca poruszył głową, a gdy podniósł wzrok ujrzał jego oczy we wstecznym lusterku. Zobaczył, że kierowca jest z pochodzenia Japończykiem, więc starał się sprawdzić jego nazwisko na tabliczce informacyjnej w prawym rogu deski rozdzielczej, co jednak okazało się niemożliwe przy takim oświetleniu. Przemówił więc po japońsku, przeprasząc za swe uniesienie.



-Nie ma sprawy - powiedział kierowca - ja też miałem kiepski dzień.

Znaleźli się na Czterdziestej Piątej Ulicy, podążali na zachód. Następnie kierowca skręcił w prawo, w Ósmą Aleję. Na tym odcinku po obu stronach ulicy znajdowały się na przemian bary szybkiej obsługi i tandetne kina porno. Na chodnikach stało wiele prostytutek czekających na kolejnego klienta, kilku czarnych oszustów, drobnych handlarzy narkotyków, portorykańskich zbirów. Pełny obraz drugiego oblicza tego miasta w swej twardej, przykrej istocie.

Kierowca minął skrzyżowanie przy pomarańczowym świetle, ale na następnym już nie zdążył.

— Noc zupełnie jak u nas w kraju - skomentował po japońsku Vincent.

— Nikt o to nie prosił - powiedział kierowca - więc niepotrzebnie się zjawiała.

Vincent znów pomyślał o czterech okrętach Perry'ego, wpływających do portu Urąga. Być może on ma rację - pomyślał - nie powinniśmy byli...

Kierowca odwrócił się w jego stronę. Jego twarz, w świetle migających neonów pobliskiego kina, nabrała okropnej, zielono-niebieskiej barwy. Uśmiechnął się, lecz jego usta wyglądały jak otwór gębowy w starej masce japońskiego teatru *No*. Oczy miał jak z kamienia, nie widać w nich było ani ciepła, ani przyjaznego nastawienia. Ta różnica między uśmiechem a szyderstwem czyniła jego spojrzenie przerażającym. Vincent przypomniał sobie, że gdy pierwszy raz w życiu widział sztukę *No*, jako sześciolatek, był przerażony maskami strasznych demonów.

Coś w tej twarzy wydało mu się znajome, ale przy takim oświetleniu nie widział co. Nachylił się więc do przodu. Wydało mu się, jakby skóra na twarzy kierowcy była owrzodzona, jakby... Cofnął się, przerażony nagłym odkryciem, ale alkohol osłabił jego refleks i w chwili, gdy próbował się odsunąć, zauważył, jak twarz mężczyzny napina się niczym głowa żmii przed ukąszeniem. Policzki wydęły się, a usta ułożyły w mały, okrągły otwór. Wytrysnęła z nich delikatna mgiełka akurat w chwili, gdy Vincent brał oddech. Zanim zamknął usta, część substancji znalazła się w jego płucach.

Po wyjściu Vincenta Croaker pozostał w łozy. Siedział na macie ze skrzyżowanymi nogami, z głową opartą na zaciśniętej dłoni. Zamówił kolejną porcję *sake* i rozmyślał z wściekłością na temat

powrotu do domu. Wypił wódkę jednym łykiem. Była schłodzona, dlatego spokojnie czekał na nową butelkę. Smakowała mu. Choć jej smak był ledwie wyczuwalny, działała wysoce pobudzająco.

Nie chciało mu się wracać do domu. Ale po chwili zdał sobie sprawę, że to nie o to chodzi. Tak naprawdę, to nie chciało mu się wracać do Alison. Fakt ten trochę go zdziwił i zdenerwował. Zdziwił, bo choć spodziewał się tego już od pewnego czasu, to niekoniecznie z taką siłą i jednoznacznością. Był na siebie wściekły za to, że sprawy same zabrnęły tak daleko. W stosunku do Alison nie miał żadnych zarzutów, po prostu nie chciał już mieć z nią do czynienia. Zastanawiał się jak to możliwe, że dwoje ludzi darzy się tak wielkim uczuciem po to, by po jakimś czasie nie czuć do siebie nic. Część istoty człowieczeństwa, stwierdził filozoficznie, ale bardzo paskudna część.

Przyniesiono kolejną butelkę wódki, pozwolił, by kelner nalał pierwszy kieliszek. Wypił go natychmiast i od razu nalał sobie następny. Miał ochotę zadzwonić do Matty'ego Gaduły, ale podejrzewał, że jeżeli to zrobi, może zepsuć całe dochodzenie w sprawie *Didion*. Wydało mu się, że jej rozwiązanie wisi na włosku. Trzeba tylko poznać nazwisko i adres tej cizi.

Nie musiał zamykać oczu, by jeszcze raz przywołać z pamięci obraz mieszkania Angeli Didion, ale jednak zrobił to i prześledził jeszcze raz wszystkie wydarzenia. Pierwszą rzeczą, która zwróciła jego uwagę, gdy tam wszedł, był mdły zapach. Jakaś mieszanina eteru z nie wiadomo czym. W zaciemnionej bawialni nie było nic ciekawego, ale za to w sypialni znalazł indiańską fajkę z kości. Gdy ją powąchał, poczuł opium, a gdy dotknął językiem, stwierdził, że jest to narkotyk pierwszej czystości, niepodobny do tego, który można kupić u ulicznych handlarzy. Ale ponieważ znajdował się w sypialni Angeli Didion, nie należało się spodziewać, by kobieta, która oficjalnie była najlepszą płatną modelką świata, miała cokolwiek w kiepskim gatunku. Nie dotykał fajki gołymi rękoma, prawdę mówiąc nie dotykał niczego. W rękawiczkach chirurgicznych podszedł do szafy stojącej naprzeciwko ogromnego łóżka. Całe pomieszczenie wykończone było w kolorze granatowym: od jedwabnej tapety - do atlasowych abażurów. Gdy wszedł do mieszkania, świeciła się tylko nocna lampka. Pozostawił pokój nietknięty. Powoli odsunął drzwi szafy. Wewnątrz znajdowały się jedwabne sukienki z domów mody Calvina Kleina i Ferragama i sześć futer: od długich po kostki, farbowanych soboli do krótkiego futra ze srebrnego lisa. Na dnie stały buty projektu Botticellego i Charlesa Jourdana. Czarna jedwabna koszula nocna leżała między łóżkiem a szafą, na grubym dywaniku w kształcie księżycy tkanym na zamówienie. Ominął go, zbliżając się do łóżka. Prześcieradło było z granatowego perkalu, ale poszwa kołdry jedwabna. Leżała teraz owinięta wokół stóp Angeli Didion niczym pochłaniająca ją morska fala.

Jej ciało w znacznej części spoczywało na łóżku. Głowa wisiała w powietrzu, a długie blond włosy opadały aż na podłogę. Miała zrobiony makijaż - rzęsy pokryte tuszem, widoczny róż na policzkach, usta uszminekowane na czerwono. Jediną rzeczą, którą miała na sobie, był cienki złoty

łańcuszek, który nosiła wokół pasa. Nie zauważył żadnej innej biżuterii. Leżała po lewej stronie łóżka i choć prawa strona była pusta, to wygnieciona poduszka świadczyła, że tam też ktoś wcześniej leżał. Na prześcieradle spostrzegł plamy, na dodatek jeszcze wilgotne, ale nie była to krew. Pod ciało Angeli, na wysokości kości krzyżowej, wsunięta była mała poduszka.

Ktoś nieźle ją urządził. Sińce dopiero co zaczynały się ukazywać na jej szyi, klatce piersiowej i brzuchu. Plecy wygięte w tył, niczym w nagłej rozkoszy, twarz bez wyrazu, bez żadnych oznak bólu czy podniecenia.

Taka sceneria mogłaby się wydać groteskowa, jednak tylko wtedy, gdyby ofiarą był ktoś inny, Croaker wiedział to, bo już nieraz oglądał coś podobnego. Ale tym razem ofiarą nie był byle kto, zamordowano Angelę Didion. Musiała być wspaniałą kobietą - pomyślał Croaker patrząc na jej ciało - bo jej uroda przetrwała nawet najtrudniejszą próbę: śmierć. Croaker zadał sobie sprawę, że ma przed sobą ideał ludzkiego ciała i żał mu było, że zostało ono tak bezsensownie zniszczone. Miał zresztą to samo uczucie w większości przypadków, o ile ciała nie należały do jakichś oprychów, których zgubiła własna chciwość i z których odejścia wszyscy byli zadowoleni.

Oderwał wzrok od łóżka i omijając je uklęknął przy koszuli nocnej z czarnego jedwabiu, leżącej na dywanie. W półmroku pokoju była prawie nie do odróżnienia, czerń na tle równie ciemnego granatu. Chwytnym palcem podniósł koszulę na wysokość nosa i powąchawszy, wyczuł delikatny zapach perfum. Wstał i podszedł do toaletki. Przesunął ręką nad grzebieniem i szczotką z kości słoniowej, lusterkiem oprawnym w żółwią skorupę, tuszem do rzęs, tuszem do powiek, różem, pudrem, kremami i innymi drobiazgami. Zatrzymał się dopiero przy dwóch butelkach perfum - „Joy” i „Bal a Versailles”. Powąchał obydwie, każdą z osobna, powoli. Potem, by nie mieć żadnych wątpliwości, jeszcze raz podszedł do koszuli, by stwierdzić inny zapach, ślad obecności innej kobiety.

Musiał włożyć wiele pracy i czasu, by w końcu dotrzeć do Matty’ego Gaduły. Teraz oczekiwał na nazwisko i adres tej kobiety, kochanki Angeli Didion. A tak naprawdę to jednej z kochanek. Choć oczywiście nie ona była mordercą. Oceniając po rozmiarach była zbyt drobna, by zadać takie straszne rany innej dorosłej osobie.

„Nie użyto żadnych narzędzi zbrodni innych niż ręce” - powiedział lekarz sądowy. A to oznaczało, że mordercą był ktoś silny, potężnie zbudowany, ktoś, kto mógł zadać tak rozległe rany.

Nie, ta kobieta nie zamordowała, ale Croaker był przekonany, że widziała całe zdarzenie. Ona o wszystkim wie - pomyślał - o wszystkim. I ma wielkiego pietra z tego powodu. Do tej pory nikt jej nie odnalazł, nikt nie powinien oprócz niego, musiał tego dopilnować.

No dalej, Matty, daj wreszcie znać o sobie. Zauważył, że drży mu, oparta o stół, ręka; patrzył na nią, jakby należała do kogoś innego. Sam wiedział najlepiej, jak bardzo pragnie rozwiązać tę sprawę. A najgorsze było to, że wiedział, kto zabił Angelę Didion, był tego pewien tak

samo, jak swojego nazwiska. Ale bez choćby jednego świadka jego wiedza nie była niczym więcej niż przypuszczeniem, możliwym wariantem czy poszlaką, na które McCabe nawet nie rzuciłaby okiem, a co dopiero wносиła o nakaz aresztowania. Cholera, nienawidził sytuacji, gdy musiał tak bardzo polegać na kimś innym, ale przez siedem lat hołubił Matty'ego Gadułę i wreszcie wyglądało na to, że nie był to daremny wysiłek. Kiedy już da znać, postara się zmienić podejście do całej sprawy, wyszukiwać plusy.

Tymczasem wrócił myślami do *ninja*. Sprawa ta żyła własnym życiem, a on ani trochę nie posunął się w dochodzeniu. Taka sytuacja, jak znał to z doświadczenia, była bardzo niebezpieczna, bo oznaczała, że nie miał na nic wpływu. A wtedy bardzo często zdarzało się coś nowego.

No i jeszcze sprawa Linneara, co do którego Vincent jego zdaniem miał chyba rację. Nick rzeczywiście mógł się czuć obrażony. Zrozumiał, jak bardzo głupio postąpił. Teraz czuł, że Linnear może być kluczem do całej sprawy. „On wie więcej o *ninja* niż ktokolwiek w Japonii czy poza nią” - powiedział pod koniec ich spotkania Vincent. „Zaufaj mu, wie co robi”. Tymczasem on pracuje dla tego drania Tomkina - pomyślał Croaker. Miał ochotę wycofać się i rzucić w diabły całą sprawę. Może wykończą Tomkina, ale wiedział, że nie może do tego dopuścić. Nie chciał, aby stało się to w taki sposób. No i te cztery inne trupy. Jeżeli *ninja* chciał dopaść Tomkina, to po co zabijał czworo ludzi, którzy nie mieli z nim nic wspólnego? Nikt nie znał odpowiedzi na to pytanie, a w policji nie było nikogo, z kim mógłby na ten temat porozmawiać. Znowu myślami powrócił do Linneara, tylko on mógł odnaleźć rozwiązanie całej sprawy.

Croaker spojrzął na zegarek, przez chwilę myślał, czy nie zadzwonić do Linneara, ale szybko się rozmyślił. To nie była rozmowa na telefon, a poza tym był zbyt pijany, by wystarczająco jasno formułować myśli. Westchnął i wykończył zawartość butelki. Miał już wreszcie dosyć.

Ale nadal nie mógł się pogodzić z powrotem do domu, choć pragnął pokochać się z jakąś kobietą. W myślach ukazał się mu jej portret i nagle drgnął. Twarz wydała się znajoma, choć nie wiedział skąd. Być może znał ją z afisza, a być może się mylił. Ten portret pojawił się w głębi jego duszy. Przedstawiał kobietę, która już dawno odeszła, a może w ogóle nie istniała.

Yincent starał się wykonać jak najgłębszy wdech, by oczyścić swe płuca. Choć jego umysł przeczuwał, że starania te nic nie dadzą, to ciało odmawiało kapitulacji. Palące oczy łzawiły obficie. Na oślepek poszukiwał klamki. Światła uliczne zmieniły kolor i taksówka ruszyła z miejsca. Znalazł klamkę, nacisnął ją mocno, otwierając drzwi za drugim podejściem. W pierwszej chwili o mało nie wyleciał na pędzący w tył asfalt. Przez chwilę jedna noga mu się zaklinowała, ale szybko ją uwolnił. W końcu zdecydował się wyskoczyć, turlał się po jezdni, wśród trąbiących samochodów, pisku hamujących kół i wulgarnych okrzyków pod jego adresem. Wstał i zaczął niezdarnie biec, ale po chwili pośliznął się na psich odchodach niczym na skórce od banana. Rozkładając ręce utrzymywał równowagę, by dotrzeć wreszcie do krawężnika i wskoczyć na chodnik.

Czuł jednak, że taksówkarz nie odstąpi go ani na chwilę, zahamował bowiem gwałtownie i wyskoczył za nim w pośpiechu.

- Panie! - krzyknął. - Proszę wrócić i zapłacić za kurs! Vincent posuwał się wzdłuż zatłoczonego chodnika, co chwila wpadając na kogoś. Szeroko otwarte oczy Murzynów wpatrywały się w niego. Niezły drań - pomyślał, gdy nagle potrącił wielkiego Murzyna w rozpiętej koszuli i obcisłych brązowych spodniach.

- Te, facet! - krzyknął. - Patrz, gdzie leziesz!

Zygzakiem kroczył naprzód rozmyślając jaką ma przewagę czasową. Nie miał wątpliwości, czym został porażony. Nawet bez typowego zapachu rozpoznał środek porażający układ nerwowy. Odwrócił głowę, ale nie zauważył ścigającego go myśliwego. Chciał wykorzystać każdą możliwość ratunku, wyskoczył więc na jezdnię i starał się zatrzymać

przejeżdżającą taksówkę. Próżne też były nadzieje na spotkanie patrolu policyjnego. Po chwili zauważył swego przeciwnika śledzącego go z pewnego dystansu, ruszył więc czym prędzej naprzód.

Odwrócił się i zanurzył w przesuwającym się tłumie. Znowu biegł, choć wiedział, że przyspieszy to rozchodzenie się trucizny po organizmie. Czuł, jak jego serce wali, a palce powoli drętwieją, co znaczyło, że trucizna zaczyna działać. Chociaż to, że nadal był ścigany, mogło oznaczać, że wchłonął jej zbyt małą ilość.

Vincent wiedział, że jest o krok od śmierci. Czuł ją na plecach niczym spodziewanego napastnika. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak bardzo bał się umierania, jak usilnie pragnął przeżyć. Świadomość tego dała mu nowy impuls i podtrzymała go przez parę chwil na duchu. Wiedział, że będzie potrzebował całej swojej inteligencji, by pokonać tego potwora. Wiedział, że tamten ma przewagę, ale starał się skupić, biegnąc poprzez gwiazdzistą noc. Skręcił w prawo schodząc na jezdnię, ale przeciwnik czuwał. Jego próba nie zdała się na nic, ucieczka taksówką nie wchodziła w grę.

Kaszał, starając się wymiotować w biegu. Nie mógł złapać tchu. Czuł, że traci siłę w nogach i rękach. Usłyszał za swoimi plecami jakiś okrzyk i tupot biegnącego człowieka. Z desperacją zaczął się przepychać przez gęsty tłum. Kręciło mu się w głowie, starał się wpaść na jakiś pomysł. Ta trucizna! Jak głupi popełnił błąd. Przecież była wchłaniana poprzez skórę, a nie przez płuca, świadczyło o tym odczuwalne swędzenie.

Muszę znaleźć... Rozumiał, jak bardzo narażony jest tu-, na ulicy, gdzie nie mógł liczyć na niczyją pomoc. Restauracja nie wchodziła w grę ze względu na jasne oświetlenie. Musiał znaleźć coś innego. Nagle znalazł coś odpowiedniego przed sobą. Przyspieszył jeszcze kroku, czując ból spracowanego serca.

Zatrzymał się dopiero przed wejściem do kina. Przed nim stała wielka tablica reklamowa, której głównym elementem była postać nagiej blondynki z wielkimi piersiami. Obok wywieszono powiększone recenzje z gazet. „Wytrysk fantazji!” - głosiła jedna z nich. - „Wyłącznie dla dorosłych!” Vincent odepchnął innego klienta, rzucił kasjerowi banknot i wszedł do środka nie zwracając uwagi na okrzyk: - Panie! Chwileczkę, tu jest reszta!

Wszedł do ciemnej sali, czując zapach stęchlizny, sfermentowanych słodyczy i zaschniętej spermy. Na ekranie poruszały się niewyraźne postacie, słyszał ich głębokie westchnienia wzmacnione przez aparaturę. Z sali dochodziły jęki.

Vincent zmrużył oczy przyzwyczajając je do ciemności. Wypatrywał toalety, wreszcie zauważył, że jest dwie kondygnacje wyżej, ponad miejscami balkonowymi. Czuł, że droga ta jest ponad jego siły. Poszedł wzdłuż tylnego rzędu, mijając dwóch stojących widzów. Dotarł do rzędu automatów z prażoną kukurydzą, słodyczami i wodą sodową. Włożył ręce do kieszeni i wyskrobał z

nich dwie dwudziesto-pięciocentówki. Wrzucił je do otworu i nacisnął guzik. Czekał zniecierpliwiony, aż opadnie papierowy kubek, a następnie spłynie do niego woda sodowa i sok. Wówczas wsunął na jego miejsce swą dłoń i złapał spadające kostki lodu. Zaczął nimi przecierać twarz. Mrużył oczy czując, jak zimna woda spływa mu do oczu. Lód był ukojeniem, osłabiającym pieczenie skóry. Być może miał jakąś szansę. W taksówce, co prawda, ze względu na klimatyzację były zamknięte okna, ale bardzo szybko z niej wyskoczył. Starał się obliczyć czas, w jakim narażony był na działanie trucizny, lecz stwierdził, że to nie ma sensu.

Odwrócił głowę w stronę drzwi. Ktoś wszedł, ktoś inny wyszedł. Ale były to tylko ciemne sylwetki. Być może jego przeciwnik już był na sali. Nie mógł tego sprawdzić, a tu, przy automatach, stanowił dla niego idealny cel. Ruszył więc w stronę widowni, posuwając się wzdłuż rzędów foteli. Jego wzrok już się przyzwyczaił. Widział siedzących mężczyzn, wpatrzonych nieruchomo w przewalające się na ekranie ciała.

Wybrał rząd pośrodku, wsuwając się z prawej strony na miejsce przy samej ścianie. W tym najbardziej zaciemnionym punkcie widowni wreszcie mógł odpocząć. Podłoga aż lepiała się do butów, śmierdziało tu starzyzną. Obrócił głowę. Ludzie wchodzili i wychodzili. Na ich twarzach odbijała się luna z ekranu.

Wyprostował się. Ręce mu drżały, sądził, że to być może ze zdenerwowania. Miał sucho w ustach i zachrypnięte gardło. Poza tym poczuł się trochę lepiej. Wiedział, że nie otrzymał śmiertelnej dawki. Starał się odprężyć, oddychając głęboko, czuł ból w boku, być może od biegania. Tymczasem jego umysł rozważał wszystkie warianty, choć nie było ich tak wiele. Gdy już raz tu wszedł, znalazł się w pewnego rodzaju pułapce. *Ninja* też tu był. Jeżeliby tylko próbował stąd wyjść, tamten dopadłby go już po kilku krokach.

Musiał więc walczyć, nie miał innego wyjścia. Ale w przeciwieństwie do Nicholasa albo Terry'ego, nie był mistrzem sztuk walki ani *haragei*. Jednak starał się nie myśleć o Terry, bo to go tylko przygnębiało, bo jeżeli nawet Terry został pokonany, to...

Ale z drugiej strony Terry wpadł w zasadzkę i jeszcze musiał myśleć o obronie Ei. On zaś wiedział, co go czeka. Potrzebował czasu na regenerację, która właśnie postępowała; czuł się coraz lepiej. Myśl więc! Sam siebie poganiał. Musiał przecież jakoś wyjść z tego wszystkiego obronną ręką.

Z tyłu, po jego prawej stronie, ktoś siedział. Po schodkach cały czas poruszali się ludzie. Słysząc było szelest ubrań wstających i siadających widzów. Ktoś wcisnął się do jego rzędu i przysiadł o jedno siedzenie od niego. Sprężył się i wytrzeszczył w jego stronę oczy. Zobaczył młodego urzędnika, krótko ostrzyżonego, w drogim garniturze firmy Brooks Brothers, z cienkim skórzanym neseserem. Wzorcowy wygląd człowieka interesu - pomyślał.

Vincent oderwał od niego wzrok i powrócił do swoich myśli. Nagle ktoś chwycił go za rękę. Podskoczył, odwrócił się w - tę stronę. To ten krótko ostrzyżony urzędnik, poczerwieniały na twarzy, który pewnie na co dzień mieszkał razem z żoną i dziećmi w rejonie Jersey Palisades, miejscu dla lepiej sytuowanych. Człowiek nachyliwszy się w jego stronę, szepnął coś patrząc mu w oczy, ale Vincent nic nie usłyszał ze względu na odgłosy dochodzące z głośnika. Nachylił się więc ponad wolnym miejscem w stronę tamtego.

- Może byś tak się do mnie przysiadł? - zapytał mężczyzna z nadzieją.

Vincent wpatrywał się w niego przez dłuższą chwilę zaskoczony, po czym pokręcił ostro głową i się cofnął. Przetarł czoło, jego palce były całe mokre. Wiedział, co należy robić, musiał czekać.

Na końcu rzędu coś się poruszyło, zauważył stojącą tam postać. Obrócił głowę, by się lepiej przyjrzeć, ale zobaczył tylko czarną plamę. Tymczasem urzędnik, który próbował go poderwać, wykonywał dyskretne ruchy w swoim fotelu, onanizując się pod osłoną nesesera. Było zbyt gorąco, by mógł mieć ze sobą płaszcz.

Ktoś wsunął się do jego rzędu. Z trudem powstrzymał oddech, jego serce pompowało krew w szaleńczym tempie. Mógł to być *ninja*. Postać zbliżała się powoli w jego kierunku. Spojrzał w tę stronę. Człowiek ten znajdował się już obok urzędnika. W jego oczach ujrzał odbicie poświaty ekranu. To był *ninja*. Nachylił się i powiedział coś na ucho urzędnikowi, który bez odrywania oczu od filmu przesunął nogi, by zrobić przejście.

Był coraz bliżej. Vincent wiedział, co ma teraz zrobić. Wymagało to od niego użycia całej szybkości i siły, na jaką mógł się zdobyć. *Ninja* stał przy sąsiednim fotelu, ale nie usiadł.

Teraz Vincent musiał wykonać ruch. Teraz!

Starł się poderwać, ale nic się nie stało. Wytrzeszczył oczy z niedowierzania. Był sparaliżowany!

Chciał unieść dłoń, ale jego ręka pozostała nieruchoma, tak jakby ktoś przywiesił do niej ołowiany ciężar. Chciał wstać, ale nie czuł w **ogóle**, że posiada jakieś kończyny, stopy, łydki, po prostu nic.



W tym momencie zrozumiał z absolutną pewnością, że trucizna nie miała wcale go zabić, a tylko unieruchomić. Postać stanęła nad nim, przesłaniając całe dochodzące światło. Usłyszał zwierzęce, lubieżne pojękiwania. Obserwował ruchy napastnika, jakby w zwolnionym tempie, z uczuciem spokoju i obojętności, gdy ten dłonią delikatnie nacisnął na jego obojczyk. Czuł, z jaką siłą *ninja* na niego napiera. W momencie złamania oczy Vincenta lekko zadrgały, a być może poruszył się nawet któryś z palców dłoni leżącej na drewnianym oparciu. Nie czuł żadnego strachu ani smutku, przed jego oczyma przesuwał się krajobraz Japonii, skalistego wybrzeża wokół portu Urąga z jego rozsypującymi się domami i śnieżnobiałymi żaglami łodzi rybackich na tle pomarańczowego wschodu słońca. Ujrzał sosnę nad urwistym brzegiem, otoczoną świetlistą aurą, samotną niczym strażnik pilnujący swej ziemi.

Nadal przytrzymując korpus, *ninja* chwycił drugą ręką głowę Vincenta z lewej strony, uciskając z ogromną siłą na wysokości ucha. Kręgosłup zginał się, skręcał... aż pękł.

JESIEŃ 1963

To idealne miejsce do obserwowania zachodu słońca - powiedziała Czeong. Odwróciła się w stronę Tai i podała jej tacę pokrytą laką, którą tamta wzięła kłaniając się i wychodząc bez słowa z kuchni. - Widzisz, powiedziałam twemu ojcu, by zamienić parawan na szkło. - Zaśmiała się. - Moja decyzja wywołała oburzenie u Itami, która nie odważyłaby się *uczynić podobnie* w swoim domu. - Westchnęła pełna powagi. - Aż wstyd przyznać, ale nieraz przebywanie z twoją ciotką wymaga wiele cierpliwości.

- Ależ mam, przecież nie łączą cię z nią więzy krwi. Położyła swą wątlą rękę na jego ramieniu i uśmiechnęła się.

— Nieraz tak się zdarza, Nicholasie, że ważniejszymi od więzów krwi stają się więzy duchowe. Być może sam dojdiesz do takiego przekonania, gdy dorośniesz. - Uniosła rękę. - Czy jesteś głodny?

— Tak.

— To dobrze, bo Tai zrobiła twe ulubione danie. - Wskazała mu potrawę.

— Moim ulubionym daniem jest *dim sum* - rzekł. - Tai nie przyrządza go tak smacznie jak ty, choć robi je według twoich wskazówek.

Czeong zaśmiała się i nachylając się pocałowała go w policzek.

— No dobrze - powiedziała cicho. - W najbliższy weekend sama przyrządę ci *dim sum*.

— Na ile sposobów?

- Wystarczająco dużo - odpowiedziała. - Wystarczająco. Wyjrzała przez okno. Niebo nad horyzontem było koloru żółtego kisielu, a wyżej ciemnogrnatowe.

— Nie masz zbyt dużo okazji, by podziwiać taki krajobraz, prawda?

— Nauka *bujutsu* zajmuje mi wiele czasu, mam.

— Wiem. - Przez chwilę wahała się, co powiedzieć. - Nie cierpi na tym twoja nauka w szkole. - Nie wypowiedziała tego jako pytanie.

— Nie mam z nią żadnych problemów.

— Bo wiesz, mój ojciec... - ojcem nazywała So-Penga, tak jakby to on ją spłodził - miał takie powiedzenie, że ważne jest to, skąd pochodzisz, bo wpływa na twoje zachowanie.

— Sam nie wiem - powiedział Nicholas. - Mam kilku kolegów wśród Amerykanów, którzy robią wszystko, by oderwać się od przeszłości. Rozumiesz, chodzi o ich rodziców i...

— No, ale powiedz sam, czyż to, co robili ich przodkowie, nie wpłynęło na ich obecne życie?

Spojrzał na matkę, zdając sobie sprawę, że chyba ma jednak rację.

— Wszystko, co odczuwał twój dziadek, przeszło na mnie - powiedziała Czeong. - Przekazał mi to na długo przedtem, nim opuściłam razem z twoim ojcem Singapur. U nas, w Azji, ma to wyjątkowe znaczenie, całkiem... - szukała właściwego słowa, by wyrazić swą myśl - nieporównywalne. Teraz i ja mogę zrobić to samo wobec ciebie.

— Ale ja nic o nim nie wiem.

— Z czasem się dowiesz, jesteś jeszcze taki młody.

— Ale ty byłaś młodsza niż ja obecnie, gdy zaczęłaś...

— Tak, ale to były inne czasy, niebezpieczne czasy. Cieszę się, że ty nigdy nie zaznałeś takiego cierpienia. Nie życzyłabym tego nikomu. - Jej piękna twarz uśmiechnęła się. - Ale pomówmy o sprawach bardziej przyjemnych.

Chciałbym wiedzieć - mówił w duchu - tak bardzo chciałbym wiedzieć, co się wówczas stało. Lecz nie mógł jej tego powiedzieć wprost, nigdy. Jeżeli kiedyś powie mu wszystko sama... Ale nie robi tego. Wątpił, czy nawet jego ojciec wie o wszystkim. Tak więc wiedziała tylko Czeong i dawno nieżyjący już So-Peng.

— Twoja ciotka dopytywała się dziś o ciebie - powiedziała, przerywając tok jego myśli. - Zawsze się pytaj gdy cię tu nie widzi.

— To ładnie z jej strony.

— Tak? - Czeong uśmiechnęła się i pogłaskała go. - Powinieneś sam jej to powiedzieć, bardzo by się ucieszyła.

— Nie mogę sobie wyobrazić... to znaczy...

— Nicholas, ciotka uważa nas... wszystkich... za część swojej rodziny. Ona bardzo cię lubi.

— Nie zawsze to po niej widać.

— No cóż, człowiek jest istotą złożoną. Trzeba go dobrze poznać, wdrzeć się w jego duszę. Potrzebna jest przy tym cierpliwość, być może to ci sprawia problemy. To wszystko przez twojego ojca, on nie zawsze jest cierpliwy. - Pokręciła głową jakby w zdziwieniu. - Jest zmienny.

To do dziś nie jest dla mnie całkiem zrozumiałe. - Głaskała go po karku. - Jesteś w tym tak bardzo do niego podobny. W przeciwieństwie do większości obcokrajowców nie nawiązuje tak łatwego kontaktu z drugą osobą. Ale z drugiej strony, nie jest tu obcy. Azja jest jego ojczyzną w równym stopniu co moja. Oboje mamy swe korzenie na Dalekim Wschodzie. Sami je tworzymy.

- To wszystko jest dla mnie trudne do zrozumienia i takie skomplikowane.

Uśmiechnęła się.

- Bo też nie może być inaczej.

Satsugai i Itami przychodzili na obiad coraz częściej. Ciotka Nicholas była prawie ich domownikiem, ale ostatnio towarzyszył jej mąż. Słuchając jego wywodów Nicholas powoli zaczął rozumieć, jak przez działalność przedstawicieli *zaibatsu* Japonia została wciągnięta w konflikt wojenny. Choć Satsugai ani słowem nie wspominał o sytuacji przed czy w czasie wojny. Dla niego mogło tej wojny w ogóle nie być. Niczym struś chował głowę w piasek i nie dostrzegał ceny, jaką zapłacił jego kraj, a której ślady nadal były widoczne w miastach i na wsi.

- W Japonii zawsze był problem z komunistami, pułkownik - Nicholas przypomniał sobie jego wypowiedź z któregoś chłodnego jesiennego wieczoru. Niebo zmieniało wówczas barwę z czerwonej na granatową, a wiatr pogwizdywał w pobliskim sosnowo-cedrowym lesie niczym zwiastun nadchodzącej zimy. Deszcz ciął ukośnie drobnymi kroplami zalewając wielkie okna wodą, która spływała po nich niby cichy płacz. Zmoknięty ptak poruszał się nerwowo w kółko pod kiepską osłoną równo przystrzyżonego żywopłotu tuż za oknem. Krople wody spływały po zachodzących na siebie liściach niczym staczające się perły, błyszcząca wodna pajęczyna roztoczyła się nad całą zielenią. Ptak trzymał głowę uniesioną do góry, wpatrując się w niebo, szukając oznak zmiany, która pozwoliłaby mu odlecieć.

Ich partia nie jest liczna nawet dzisiaj - odpowiedział mu pułkownik. Ubił tytoń w fajce i starannie ją zapalił. Aromatyczny, niebieski dym wypełnił pokój.

- Drogi pułkowniku - odpowiedział Satsugai - same liczby jeszcze o niczym nie świadczą, w szczególności u nas, w Japonii. - Mówił do ojca Nicholas tak, jakby ten był tylko przejezdnym turystą. - Trzeba brać pod uwagę zajadłość przeciwnika. Mówimy o ludziach, którzy są swojej sprawie oddani, powiem więcej, są fanatykami na punkcie panowania komunizmu na całym świecie. Nie należy ich lekceważyć, bo byłby to pierwszy krok do ich zwycięstwa.

Pułkownik nic mu nie powiedział, gdyż starał się podtrzymać prawidłowe żarzenie. Miał fajkę typu „brier” koloru umbry, nierówno ociosaną, z zakrzywionym ustnikiem i głęboką komorą. Nosił ją przy sobie przez całą wojnę i dlatego była dla niego bardzo cenna. Było w niej coś osobistego i choć miał w swojej kolekcji aż dwadzieścia pięć fajek, to ostatnio najczęściej palił tę.

Człowieka nachodzą w czasie wojny różne dziwactwa - pomyślał pułkownik. Jest to całkiem zrozumiałe, gdy każdego dnia czyha na ciebie śmierć, a ciemne noce pełne są grozy, twoi

dowódcy giną postrzeleni z automatu, a koledzy wylatują w powietrze na minach tylko kilka kroków od ciebie lub kończą rozcięci na pół przez bezszelestnego przeciwnika. W takich chwilach te dziwactwa są jedyną rzeczą, która cię chroni od całkowitego szaleństwa. Pułkownik właśnie ubzdurał sobie, że dopóki będzie miał tę fajkę, póki będzie mógł oderwać rękę od rozgrzanego automatu, włożyć ją do kieszeni i wyczuć kontury swej fajki, tak długo wszystko będzie z nim w porządku.

Pamiętał do dziś, gdy w pewien poranek, wczesnym latem 1945 roku jego oddział rozpoczął atak na roгатki Singapuru. Właśnie zwinęli obóz i powoli ruszyli na południe. Pododdziały były w ciągłej łączności radiowej. Będąc już w dżungli pułkownik sięgał do kieszeni, by poczuć kojący dotyk fajki, ale nie było jej tam. Zatrzymał się więc, rozglądając, ale w błotnistym zakorzenionym podłożu nie mógł ujrzyć nic, poza mrowiem stonóg i kleszczy. Ogarnęło go uczucie paniki i nie zastanawiając się ani chwili, nakazał swym ludziom odwrót, aż do miejsca obozowiska. Odnalazł tam fajkę na wpół zakopaną w mulistej ziemi i gdy czyszcząc ją miał rozkazać żołnierzom ponowny wymarsz, zaczęły napływać pierwsze meldunki. Ziemia dudniła od wybuchów niczym podczas trzęsienia ziemi. Na południu widzieli wylatujące gwałtownie w powietrze, zbroszone czerwienią, resztki ziemi i roślinności.

Pułkownik wydał rozkazy na migi i poszli naprzód, zygzakiem, poprzez zieloną gęstwinę, po to tylko, by natrafić na resztki ciała całej kompanii, gdyż tych, którzy nie wylecieli w powietrze na minach, dobijali snajperzy. Pułkownik sięgnął wtedy ponownie do kieszeni, fajka wydała mu się ciepła, gdy pocierał o nią zrogowaciałą skórę palców. Zarzucił swego stena na ramię i poprowadził wojsko na zachód, przez śmierdzące bagno, okrążając miejsce krwawej jatki, by po pewnym czasie znów znaleźć się na południowym szlaku. W nocy natrafili na obozowisko Japończyków. Zachodząc je od tyłu załatwili patrolujących strażników wieszając ich na pobliskich drzewach. Pułkownik wysłał połowę swych ludzi, by podeszli od południowego wschodu. Dokładnie o godzinie czwartej nad ranem jego ludzie otworzyli ogień od strony południowej. Pociski przecinały powietrze, automaty grały. Połowa Japończyków została wybita pod tym zmasowanym ogniem, a pozostała część też nie miała szczęścia, gdyż wycofała się wprost w objęcia jego żołnierzy, którzy zaszli ich z drugiej strony. Złapani w dwa ognie Japończycy poruszali się niczym zwariowane kukły, dopóki wszyscy nie zostali zabici.

Być może przy innej okazji pułkownik nakazałby większą oszczędność amunicji. Ale nie zrobili tego w tę piekielną noc. *Walpurgisnacht.*

- Wiesz, Satsugai - powiedział spokojnie pułkownik, wydmuchując flegmatycznie pachnący dym, myślami był nadal na wojnie - pozwolę sobie stwierdzić, że znasz historię swej ojczyzny nie gorzej niż ktokolwiek inny. Komunizm nie pasuje do Japonii, za wielkie jest tu przywiązanie do tradycji, by przyjęły się hasła wyidealizowanej równości. Idea tworzenia komun na terenie całego

kraju jest bezsensowna, ludzie by się na to nie zgodzili.

Na twarzy Japończyka pojawił się szyderczy uśmiech.

- Cokolwiek bym uważał, nie ma to znaczenia, nieprawdaż? Najważniejsze jest to, co uważają Amerykanie. Oni wiedzą, że komunistów należy się obawiać, widzą, że ludzie z *zaibatsu* stanowią najlepszą zaporę przed tym złem, z którym nie można walczyć zasadami demokracji. Ten wasz generał, MacArthur, przekonał się o tym w 1947 roku.

Oczy pułkownika spochmurniały.

— Wszyscy chcieliśmy jak najlepiej dla Japonii, aż...

— Dobre chęci, pułkowniku, to za mało - powiedział szczerze Satsugai. - Trzeba być większym realistą. Od Chin dzieli nas tylko cieśnina koło Fukuoki, niebezpieczeństwo jest tuż-tuż. Jestem prawie pewien, że oni nigdy nie zaniechają prób infiltracji czy podkopywania japońskiego rządu. Dlatego musimy przedsięwziąć odpowiednie środki i przestrzegać bezwzględnie prawa. W naszym kraju nie ma miejsca na demokrację, chyba pan to rozumie.

— Widzę tylko, jak kraj jest nadal wykorzystywany dla zaspokajania prywatnych interesów, zupełnie jak w czasie wojny.

Przez chwilę ich oczy się spotkały, powodując wzrost napięcia.

— Gdyby obecna sytuacja miała miejsce w 1873 roku - powiedział spokojnie Satsugai - to *seikanron* nigdy by nie przegrało. - Miał na myśli wniosek *Genyosha* w sprawie zaatakowania Korei. Upadek tego wniosku w parlamencie wywołał pierwszy atak przemocy *Genyosha* przeciwko legalnemu rządowi, próbę zabójstwa Tomomi Iwakury. - Proszę pamiętać, pułkowniku, że gdyby wówczas odniesiono sukces, to Korea poddałaby się bez walki, a nadchodzący komuniści byłiby odcięci od Mandżurii. A obecnie... - wzruszył ramionami - Amerykanie ciągle gdzieś walczą bez jednoznacznej świadomości swych racji.

— Co konkretnie masz na myśli?

— To chyba jasne? Sam walczyłeś w azjatyckiej dżungli. Tam amerykańskie czołgi i artyleria, czy ciężkie bombardowania nie mają racji bytu. Komuniści są zbyt dobrze zorganizowani i mają praktycznie nieograniczone zasoby ludzkie.

— Nie powinniśmy się interesować tym, co się dzieje w Wietnamie. - Fajka pułkownika zgasła, ale on był zbyt zajęty rozmową, by to zauważyć.

— Pozwól, drogi panie - powiedział Satsugai krzyżując nogi tak, by nie zmiąć kantów swych chesankowych spodni - że się z tobą nie zgodzę. Gdy padnie Wietnam, następna w kolejności będzie Kambodża, a potem Tajlandia. Teoria domina jest aż nazbyt realistyczna i na dodatek przerażająca.

Pułkownik sprawiał wrażenie śpiącego. Surowe, błękitne oczy skryły się pod opuszczonymi powiekami, ich tęczówki pociemniały. Wygasła fajka nadal tkwiła twardo w kąciку ust. Wsłuchiwał się w usypiające bębnienie deszczu padającego na szyby i metalowe okapy. Jego myśli ogarnęły wspomnienia.

Kierowały nimi idealistyczne przesłanki, przynajmniej na początku. Ale MacArthur był takim szalonym draniem. Ód 1947 roku, gdy Amerykanie zmienili swą politykę wobec Japonii, nikt nie mówił już o potrzebie spłaty reparacji wojennych, wszystkim wystarczał fakt, że Japonia była zdemilitaryzowana. Natomiast coraz częściej była mowa o uczynieniu z niej zapory powstrzymującej rozprzestrzenianie się komunizmu na Dalekim Wschodzie i w tym też celu rozpoczęto dwie oddzielne, choć ze sobą związane, operacje. Pierwsza polegała na przywróceniu dawnej pozycji wielu prawicowym politykom i ludziom interesu. Druga na zainwestowaniu milionów dolarów w japońską gospodarkę, aż osiągnięto ponad osiemdziesiąt procent przedwojennej zdolności produkcyjnej. Zezwolono równocześnie na przeprowadzenie przez samych Japończyków czystek wymierzonych przeciwko komunistom i lewicowym radykałom powtarzając to, co wcześniej zrobiono w Hiszpanii, Iranie i państwach południowoamerykańskich. Kolejny raz, tyle że tym razem na miejscu.

Tymczasem na dworze wiatr wzmagał się, dzwoniąc deszczem o szyby. Niebo pociemniało już całkowicie.

Ta mała, lecz nieugięta grupa pełnych entuzjazmu ludzi, którzy w 1945 roku byli pewni słuszności obranej przez nich dla Japonii drogi, prowadzącej od otrzymanego w spadku feudalizmu do demokracji. Jacy oni byli wszyscy naiwni! - stwierdził z żalem pułkownik powtarzając tym samym myśl Satsugai. Oni wszyscy, wszyscy jego przyjaciele już odeszli. Patrzył na ściekające, niczym beznadziejne łzy krople deszczu. Gwałtowne zawirowanie wiatru poderwało mokre liście, które spadły od czasu ostatniej wizyty ogrodnika Itaki i zakręciło nimi w powietrzu niczym małymi statkami kosmicznymi z innej planety. Przez dwadzieścia trzy lata spędzone na Dalekim Wschodzie nie czuł się aż tak obco jak dziś. Jego odejście od rzeczywistości wydawało się całkowite i trwałe. Jednego po drugim, członków tego najbliższego kręgu ludzi złączonych przyjaźnią, tworzących jądro zespołu doradców MacArthura, albo przenoszono na inne stanowiska, albo dymisjonowano. W istocie byli nieświadomi politycznych machinacji, które ich osiągały, a z czasem dotarły do samego MacArthura. Choć cały czas twardo trzymali się obranego kursu, nawet po 1947 roku, w nadziei, że ich wspólny wysiłek powstrzyma falę rewizjonizmu i zawróci Japonię na drogę demokracji. Teraz, z perspektywy czasu, było oczywiste, dlaczego nie mogło im się to udać. Polityka była stanowiona po drugiej stronie oceanu, a ich zadanie polegało jedynie na wcielaniu jej w życie, a nie ulepszaniu. Ale nikt im tego jasno na początku nie wyjaśnił. Terlain powiedział kiedyś co myśli i natychmiast został zdymisjonowany, załamany MacKenzie otrzymał przeniesienie do Stanów, a dwa lata temu na emeryturę przeszedł Robinson. Pozostał tylko pułkownik, człowiek z żelaza, na zewnątrz nie zmieniony, ale wewnątrz rozgoryczony i oszukany. Nie mógł pogodzić się z myślą, że to, nad czym pracował całe życie nie miało sensu, że to, o co walczył z taką zaciekłością nigdy nie stanie się faktem.

Ale nie potrafił dać za wygraną, nawet teraz, to po prostu nie leżało w jego naturze. Myślał, że jest mądrzejszy od innych, że ma przy sobie jeszcze jeden atut, o którym nikt nie wiedział.

Wygląda na to, że grałem i przegrałem. Zostałem jakoś okiwany. Ale to jeszcze nie koniec, tak nie może być, nie pozwolę, by tak się stało.

Przejrzał istotę sprawy w 1946 roku, nazajutrz po tym, gdy Satsugai został aresztowany przez żandarmerię wojsk okupacyjnych. Wydawało się, że pułkownik nie miał na to wpływu. Satsugai był znany w Japonii jako rewizjonista stojący na czele jednego z wielkich odłamów *zaibatsu*. Jego pojawienie się na liście podejrzanych, a następnie oskarżenie o zbrodnie wojenne było więc nieuniknione.

Itami znosiła to upokorzenie ze stoickim spokojem, podobnie jak wszystko w swoim życiu. Natomiast Czeong stała się na tym punkcie bardzo przewrażliwiona. Tej nocy, gdy leżeli obok siebie w łóżku, nalegała, by interweniował w jego sprawie, piastował przecież wysokie stanowisko w hierarchii wojsk okupacyjnych, był osobistym doradcą generała MacArthura.

- Ależ, kochanie - mówił do niej - to wszystko nie jest takie proste. Sytuacja jest bardzo



napięta. A poza tym - dodał - Satsugai

może naprawdę być winnym zarzucanych mu czynów.

Ale jego wypowiedź jeszcze bardziej ją rozogniła.

— To nie ma nic do rzeczy - powiedziała stanowczym głosem - on należy do naszej rodziny.

— I dlatego mam go nie uważać za przestępcę?

— Tak.

— Kochanie, to co mówisz jest nierozsądne.

— Być może. - W jej głosie słychać było powagę pełną siły, czego pułkownik był świadom.

- Ale to w niczym nie umniejsza twoich obowiązków wobec rodziny i jeżeli istnieje jakikolwiek sposób na przyście z pomocą Satsugai, musisz go wykorzystać. *Kakujin wa hombun wo tsukusa neba narimasen* - Każdy powinien wypełniać swoje obowiązki.

Kolejny raz pułkownik przekonał się jak bardzo inteligentną osobą jest Czeong, choć potrafi być przy tym nieraz niepoprawnie uparta. Był świadom tego, że nie zmieni jej zdania, jak również tego, że nie zazna w domu spokoju dopóki nie udowodni jej, że zrobił wszystko, co było w jego mocy, by pomóc krewnemu. Z tą myślą usnął tamtej nocy, by się obudzić jeszcze przed świtem z gotowym planem działania.

Był sposób na uwolnienie Satsugai, co do tego nie miał wątpliwości, ale jego wdrożenie zawierało duży stopień ryzyka. Był pewien, że jest w stanie przekonać co do swoich racji trybunał wojenny, musiał się tylko na to zdecydować. W końcu zdał sobie sprawę, że nie ma wyboru. Był świadom niepewności jutra grupy doradców, której był członkiem, potraktował więc to zadanie jako sposób na zabezpieczenie się przed ewentualnymi kłopotami.

Wiedział wiele o przeszłości Satsugai, o wiele więcej niż tamten przypuszczał. Jego powiązania z rejonem Fukuoki dawały zbyt wiele do myślenia. Ponieważ *Genyosha* nigdy nie została zdelegalizowana, jej archiwa okazały się łatwo dostępne. Pułkownik udał się więc potajemnie na południe, na wyspę Kyushu i dowiedział się, czego chciał. Satsugai był jednym z przywódców *Genyosha*. W tym czasie ujawnienie takiej informacji mogło spowodować nieobliczalne skutki. Gdyby dowiedział się o tym trybunał wojenny, to co Satsugai przedstawiłby na swoją obronę, nie miałyby znaczenia - i tak zostałby skazany na śmierć i rozstrzelany.

Jednak pułkownik nie miał najmniejszego zamiaru dzielić się tą informacją z kimkolwiek. Według niego skazanie kuzyna na śmierć nie miało najmniejszego sensu. Jego organizacja wysunęłaby kogoś innego na jego miejsce i kontynuowała swoją działalność. A taka działalność była sprzeczna z tym, co pułkownik uważał za właściwe dla Japonii. On chciał doprowadzić do upadku *Genyosha*. Uważał, że jeżeli Satsugai zostanie uniewinniony, to będzie od niego uzależniony. A wówczas z czasem ujawni przed nim tajemnice tej organizacji.

Pułkownik powrócił do rzeczywistości i oderwał spojrzenie od okna. Patrzył w skośne, mongoloidalne oczy swojego przeciwnika, które były tak wyćwiczone, iż nie mógł zajrzeć w ich głąb, chyba że ich właściciel miałby na to ochotę.

Minęło już wiele lat, wspominał, od czasu gdy mu pomógł i w niczym nie posunęło to jego planu. Widać wiedział od początku, co mi chodzi. Udało mu się jedynie ograniczyć władzę Satsugai, ale poza tym wszystkie jego próby były blokowane. Pułkownik czuł do siebie żal, gdyż zdał sobie sprawę, że nie miał szans wygrać z tym człowiekiem i błędem było podejmowanie tej rozgrywki. To, że Satsugai go nienawdził, w żadnej mierze nie dziwiło pułkownika. Jakkolwiek by było, mieli całkowicie przeciwne poglądy polityczne.

Choć pułkownik rozumiał lepiej niż jakikolwiek inny obcokrajowiec zamieszkały w Japonii znaczenie utrzymania tradycji i spuścizny historycznej, wiedząc, że bez tego to państwo się rozleci, to zauważył również, jakie zło i szkody mógł Japonii wyrządzić nacjonalizm w wydaniu Satsugai. W tym kraju nigdy nie czczono przestępców, zawsze zaś bohaterów, ale niestety było ich niewielu. W chwili gdy tak wpatrywał się w złe oczy Japończyka, wreszcie zrozumiał, że w całej tej grze coś przeoczył. Coś, co stanowiłoby, o czym był przekonany, podstawę jego sukcesu. Wydawało mu się, że rozpracował tajemnice Satsugai wiele lat wcześniej i wszystkie jego działania od tego czasu bazował na tym założeniu. Obecnie pojął swój błąd, mając do siebie żal za to, że tak łatwo dał się oszukać. Pułkownik był wściekły na samą myśl, że bawiono się z nim w kotka i myszkę. Nie było dla niego żadnym pocieszeniem, że swoją pomocą upokorzył Satsugai, który stał się dłużnikiem człowieka, którego nienawdził. Dla Japończyka była to sytuacja nie do zniesienia, ale Satsugai nie stwarzał wrażenia tym przejętego, co spotkało się z uznaniem pułkownika.

Mój Boże, pomyślał, cóż takiego udało mu się przede mną ukryć przez te lata? Ten stary wojownik był jeszcze wystarczająco przebiegły. I nagle pułkownik zrozumiał, co należy uczynić. Zbyt wiele lat spędził bezproduktywnie. Tak jak powiedział mu Satsugai, powinien być większym realistą. A prawda była taka, że musiał przerwać patową sytuację za wszelką cenę. Teraz już tę cenę znał.

Pułkownik wiedział, że ze strony kuzyna nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo. Mógł na przykład go obrazić, a tamten nic by w odpowiedzi nie uczynił, nie mógłby nic uczynić. Miał bowiem do spłacenia dług wdzięczności, dlatego musiał wszystko znosić w spokoju. Ta zależność była jednak tylko jednostronna.

Przez chwilę pułkownika ogarnął żal. Jego syn był jeszcze taki młody, nie miał nigdy dla niego zbyt wiele czasu. Spojrzał na swą rozległą posiadłość, na ociekające wodą drzewa przechylane podmuchami wiatru. Wypatrywał zauważonego wcześniej ptaka, ale ten już dawno odleciał, w ostatecznym rachunku wybierając lot w sztormie zamiast bezsensownego wyczekiwania. Świat za oknem był taki piękny, ale tego dnia nie mógł się tym nacieszyć.

Czego nauczyłeś się, czytając *Go rin no shol* - spytał Kansatsu któregoś dnia na treningu.

— Wielu przydatnych rzeczy - odpowiedział Nicholas - choć niektóre sprawy Musashi potraktował „na chłopski rozum”.

— Niektórzy uważają to dzieło za bardzo odkrywcz. - Głos Kansatsu nie zawierał intonacji, tym samym ukrywając opinię samego mistrza. Jego błyszczące oczy były pełne skrytości. Na zewnątrz popołudniowe niebo nabierało fioletowej barwy. Słońce zagubiło się gdzieś we mgle dając rozproszone światło, które zalało wszystko w swoim zasięgu, przysłaniając drzewa mgiełką, od której straciły swą barwę.

— Momentami żałuję, że ją czytałem Dlaczego?

- Bo jest w niej coś... jakby to powiedzieć, przejmującego. Kansatsu nic nie mówił w oczekiwaniu na dalszy ciąg jego słów.

Dochodzący z oddali stuk drewnianych mieczy i głębokich oddechów wypełniał całą salę treningową.

— Niektórzy uważają, że jej doskonałość polega na sposobie formułowania myśli - mówił ostrożnie Nicholas. - Ale dla mnie jest to zbyt monotematyczne. Jest w tym coś wewnętrznie niepokojącego.

— Co konkretnie?

— Wyobcowanie.

Kansatsu zadał pytanie, które prawdopodobnie dusił w sobie od początku rozmowy.

— Czy wiesz coś o życiu Musashiego?

— Niespecjalnie.

— Miyamoto Musashi urodził się w 1584 roku - opowiadał z powagą Kansatsu. - Jak pewnie wiesz, nie był to najszcześniejszy okres dla Japonii. Od dłuższego czasu dominowały problemy wewnętrzne spowodowane ciągłymi wojnami między rodami poszczególnych *daimyo*. Musashi zaś był *roninem*, a więc prawdę mówiąc, kimś niewiele lepszym od bandyty. Jego rodzina pochodziła z południa kraju, z Kyushu. Ale mając dwadzieścia jeden lat pojechał na północ do Kioto i tam stoczył swą pierwszą bitwę, dziesiątkując rodzinę, z której ręk kiedyś ucierpiał jego ojciec. O życiu Musashiego opowiedziano bardzo wiele historii i trzeba być bardzo ostrożnym co do ich wiarygodności. Tak jak w przypadku większości sławnych ludzi z przeszłości Japonii, jego życiorys stał się legendą. Pomieszczenie faktów z fikcją jest obojętne dla osoby szukającej w takich opowieściach wyłącznie rozrywki. Ale dla prawdziwego znawcy historii, a do takich powinni zaliczać się mistrzowie *bujutsu*, podobne podejście może okazać się pułapką.

— Legenda podtrzymuje nieraz chwałę samuraja - powiedział Nicholas.

— Nie - odparł stanowczo Kansatsu. - Tylko prawda może to uczynić. Czyny i honor, Nicholas, nic innego. Dla mitów nie ma tu miejsca, bo zniekształcają prawdę historyczną, a nawet ogłupiają umysł. *Bujutsu* obejmuje swą istotą sprawy najważniejsze dla każdego człowieka. Nie chodzi tu tylko o ochronę własnego życia, gdyż jest niezliczona ilość sposobów zadawania śmierci, z którymi mamy do czynienia na co dzień. Tego nie można się nauczyć bez świadomej odpowiedzialności za swe czyny. Legenda zaś przeszkadza w odpowiedzialnym podejściu. Widzisz, bez filozofii *bushido* byłibyśmy jak *ninja*, zwykłymi zabójcami czyhającymi w ciemnościach. Granica między tymi światami jest tak wątką, że nietrudno zrobić fałszywy krok i ją przekroczyć. - Wskazał dłonią, by Nicholas usiadł. - Zaszedłeś daleko - mówił dalej. - Posiadłeś znakomitą technikę walki, a twoje zdolności wydają się wręcz nieograniczone. Uważam, że w moim *dojo* osiągnąłeś już wszystko. Teraz musisz pokonać kolejny próg. Prawdę mówiąc, większość uczniów zakończyła swą edukację na tym etapie. Nicholas, musisz pokonać samego siebie. Ja nie mogę cię nauczyć już niczego. Czeka cię samodzielna praca.

- Czy mam przez to rozumieć, że już mnie tutaj nie chcecie? - Nicholas czuł, że ze zdenerwowania ma kłopoty z wypowiedzeniem najprostszyc słów.

Kansatsu pokręcił głową.

- Nic podobnego. Możesz z nami pozostać, jak długo będziesz tylko chciał.

Nicholas zrozumiał, że coś przeoczył i zaczął ze wściekłością przypominać sobie słowa ich rozmowy, by wpaść na trop ukrytej myśli. Kansatsu jednak nie wydawał się zawiedziony jego reakcją. Wręcz przeciwnie, czuł w nim narastanie podniecenia wywołanego tą sytuacją. Musiał to rozgryźć, tylko w czym rzecz?

Kansatsu wstał.

- Chciałbym, byś zaprezentował wszystkim walkę pokazową. - Spojrzał na Nicholasa. - Chodźmy.

Kansatsu wszedł na środek sali i klasnął w dłonie. Wszelki ruch i odgłosy natychmiast zamarły, a głowy wszystkich uczniów i nauczycieli zwróciły się ku niemu. Kansatsu wybrał czterech spośród trenujących uczniów. Wszyscy byli na ostatnim roku nauki i należeli do najpotężniej zbudowanych, byli też starsi od Nicholasa. Kansatsu odwrócił się i wezwał Nicholasa, który podszedł i stanął obok niego. W prawej ręce trzymał *bokken*.

- Proszę go otoczyć - powiedział Kansatsu do studentów, którzy okrążyli Nicholasa ze wszystkich stron. Mistrz skinął na jednego z nauczycieli, który oddał mu swój drewniany miecz. Podał go Nicholasowi. - Teraz - szepnął tak, by słyszał to tylko Nicholas - zobaczymy, jak dobrze pojąłeś tajniki walki *Niten ryu*, opracowanej przez Musashiego.

Odszedł na bok pozostawiając Nicholasa z *bokkenami* w obu dłoniach, otoczonego przez czterech uczniów trzymających swoje miecze. Każdy z nich ćwiczył tu dłużej niż Nicholas. Ciemność zapadła niczym czarna kurtyna. A on stał mając wrogów ze wszystkich stron, niby słońce otoczone czterema jasnymi księżycami. Słyszał tylko delikatny szmer stóp poruszających się po parkiecie.

## „Ważka”.

Tak nazywała się część *tai-sabaki*, czyli nauki przesuwania ciała za pomocą niewielkich obrotów, wchodząca w skład Stylu Dwóch Niebios opracowanego przez Musashiego.

Nicholas wielokrotnie był świadkiem, jak JCansatsu wykonywał perfekcyjnie ten i inne układy. Sam poznał je z lektur, zadanych przez mistrza. Niektóre z nich nawet ćwiczył samodzielnie, ale nigdy w pojedynku z innym uczniem.

Wiedział, że swoje ruchy musi dostosować do sposobu walki przeciwnika, gdyż tylko wówczas mógł z powodzeniem zastosować *tai-sabaki*, a tylko *tai-sabaki* pozwalały mu na odniesienie zwycięstwa w walce z czterema przeciwnikami.

Dwóch zaatakowało go jednocześnie, unosząc trzymane oburącz drewniane miecze. Ciosom towarzyszyły głośne okrzyki.

Wykonał ruch obróconego „motyla”. Skręcił po łuku i w tym samym momencie broń w jego prawej ręce cięła w dół, trafiając jednego z przeciwników w udo. Nie przerywając ruchu uniósł lewą dłoń. Sztych miecza uderzył w tchawicę drugiego przeciwnika. Obaj leżący na ziemi zostali natychmiast zastąpieni przez dwóch następnych. Nicholas przez moment myślał o zastosowaniu „koła wodnego”, ale się rozmyślił, gdy przeanalizował ich ruchy. Jedynie zamarkował ten układ. Rozdzielił ich, wygiął się w tył i rękojeścią miecza trzymanego w prawej ręce trafił w bok napastnika z lewej strony. W tym samym momencie broń w jego lewej dłoni powędrowała w górę, wytrącając *bokken* ostatniemu z walczących. Wykonał „cios przeplatany”, jeden z najtrudniejszych elementów *tai-sabaki*.

Stał nieruchomo trzymając miecze uniesione i drżące, jakby ze zniecierpliwieniem oczekiwały kolejnego starcia.

- Saigo - usłyszał głos Kansatsu. Czterej pokonani zeszli z pola walki, a zastąpił ich Saigo. Przychodził trenować coraz rzadziej. Nicholas wiedział, że uczęszcza do innej szkoły, ale podobnie jak inni nie wiedział do której. Na pewno nie była to żadna ze szkół w Tokio.

Bez ostrzeżenia zaczął biec w stronę Nicholasa. Jego miecz tkwił nadal w pochwie, ale po chwili już był wyciągnięty w stronę Nicholasa. Saigo, obok innych umiejętności, opanował *iaijutsu*. Istotą tej sztuki było połączenie ruchu wyciągania broni z pochwy z jednoczesnym atakiem. Mistrz *iai* mógł zabić przeciwnika, zanim tamten zauważył, że miecz został wydobyty. Jeszcze chwilę temu Saigo był pozornie bezbronny, by po upływie jednej dziesiątej sekundy stać się groźnym, zadającym śmiertelny cios przeciwnikiem. Ale w chwili gdy to robił, Nicholas wykonał na prawej nodze zwrot w tył, tak by stanąć lewym bokiem do atakującego. Cios, który miał trafić w jego serce przeszył powietrze, a miecz został podbity bronią, którą Nicholas trzymał w lewej dłoni. Nie przerywając ruchu przez chwilę stanął plecami do przeciwnika, lecz wciąż kontrolował jego zachowanie. Dokończył obrót i mieczem trzymanym w prawej ręce uderzył silnie w nie osłonięty

lewy bok Saigo. Wykonał tym samym „koło wodne”.

Stał teraz na rozstawionych nogach i z opuszczonymi mieczami, patrząc na rozpląszczone ciało Saigo. Wiedział, że w miejscu gdzie zadał cios, na ciele kuzyna powstanie fioletowa opuchlizna, która tam pozostanie co najmniej przez tydzień. Na sali zapanowała zupełna cisza, taka jaka działa na nerwy, a z czasem staje się nie do zniesienia.

Nicholas dostrzegł spojrzenie kuzyna. Pierwszy raz widział w czyimś wzroku tyle nienawiści. Jakkolwiek było, ośmieszył go przed wszystkimi. Jego, absolwenta, pokonał uczeń. Napięcie między nimi było tak wielkie, że przez chwilę wydawało się, jakby tę ciszę miała przerwać eksplozja.

Nagle Kansatsu klasnął dwukrotnie w dłonie i wszyscy się rozeszli, zajęcia dobiegły końca.

Nicholas poczuł, że drży, jego mięśnie podskakiwały, jakby żyły własnym życiem pod powłoką skóry. Czuł nadal napięcie i napływ adrenaliny, wyzwolone przez stresującą sytuację. Jego umysł już się uspokoił, ale ciało potrzebowało na to znacznie więcej czasu.

Oddychał głęboko, jakby miał dreszcze.

Gdy wrócił tego wieczoru do domu, przy drzwiach nie oczekiwał go nikt ze służby, ani też jego matka. Oczekiwała go Yukio.

Nie widział jej przez ostatnie trzy lata, kiedy to tylko przez chwilę spotkali się na pogrzebie kogoś z rodziny. Od tamtego zaś, dla niego pamiętnego, przyjęcia minęło ponad trzy i pół roku.

Skloniła się.

- Dobry wieczór, Nicholas. - Miała na sobie jasnoszare kimono poprzesywane od góry do dołu platynową nitką, z wyhaftowanym na granatowo symbolicznym kołem wozu - jednym ze znaków herbarza dawnej Japonii.

Odkłonił się.

- Dobry wieczór, Yukio.

Odsunęła się na bok, aby mógł wejść do środka, trzymając oczy utkwione w ziemi.

- Widzę, że zdziwił cię mój widok.

Postawił torbę na ziemi nie odrywając wzroku od twarzy dziewczyny.

należy koncentrować się wyłącznie na jednej dziedzinie wiedzy lub sposobie myślenia, bo bardzo szybko się do tego przyzwyczajamy i nasz umysł przestaje być otwarty. Należy przede wszystkim wyciągnąć wnioski z zaistniałych zdarzeń, bo jeśli z góry coś będziemy zakładali, to na pewno poniesiemy porażkę. - Znów zamknął oczy. - Byłbyś zdziwiony, ilu dobrze zapowiadających się uczniów, a nieraz nawet i mistrzów, robi takie błędy.

Na chwilę znów zapanowała cisza. Z zewnątrz dobiegł warkot zapuszczanego silnika. Gdy samochód ruszał, światło jego reflektorów omiotło salę. Po chwili znów nastąpiła ciemność. Przez moment słycać było śpiew ptaka, nim ten odleciał delikatnie trzepocząc skrzydłami.

Nicholas przełknął ślinę.

— Przeczytałem już wszystko.

— No i co o tym sądzisz?

— Szczerze mówiąc, nie wiem, jak to oceniać.

— Czy interesuje cię temat *ninja*, Nicholas?

— Tak.

— To skąd te wątpliwości?

— A skąd pewność, że wątpię?

— Zajrzyj w głąb własnej duszy. Przez chwilę rozmyślał.

— Czuję, że powinienem był zaprzeczyć.

— Hmm...

— *Ninjutsu* wydaje się tematem tabu.

- Tajemnicą owszem, ale nie tabu. - Kansastu patrzył na Nicholasa z bliska. - Nawet tutaj, w Japonii, mało kto zna prawdę.

*Ninja* wywodzą się z takiego odłamu społeczeństwa, którego wszyscy się wstydzą. Ale *ninjutsu* jest bardzo starą sztuką walki, która jak mówią, pochodzi z Chin, choć pewnie nikt nie mógłby tego orzec z całą pewnością. *Ninja* nie czuli się związani przez kodeks wojowników. *Bushido* było dla nich tylko pustym słowem. Bardzo szybko zyskali rozgłos. Ze względu na skuteczność działania władcy wykorzystywali ich coraz częściej. W miarę jak się bogacili, mieli również możliwość doskonalenia swoich umiejętności i wyposażenia. Aż w końcu nadeszły czasy, gdy samuraje zaczęli się uczyć sposobów walki od *ninja*. Wówczas zaprzeczono dawne wartości. W Japonii jest wiele szkół sztuk walki, więcej niż znajdziesz w jakimkolwiek wykazie... Nauczyć się w nich można niezliczonej ilości form i stylów. Następuje przy tym mimowolne przemieszanie dobrych i złych wartości. - Nie musiał pytać Nicholasa, czy rozumie, co ma na myśli. Chmury przesłoniły niebo, nastąpiła całkowita ciemność, jaśniały tylko światła w domostwach.

- Aby zostać prawdziwym mistrzem, trzeba poznać także ciemną stronę mocy, jaką daje umiejętność walki.



Tego wieczoru Czeong wzięła Nicholasa na bok. Poszli do gabinetu pułkownika, w którym unosił się zapach tytoniu i skóry. Było to jedyne oprócz kuchni pomieszczenie wykończone w stylu zachodnim w tej tradycyjnej japońskiej budowli. Czeong usiadła na drewnianym krześle z wysokim oparciem, które stało przed biurkiem. Nicholas usiadł na skórzanej kanapie obok niej.

- Cieszysz się, że Yukio przebywa u nas. - Było to stwierdzenie faktu, a nie pytanie.

- Tak - odpowiedział szczerze. - Czy jest w tym coś złego? Czeong uśmiechnęła się.

- Jesteś już coraz starszy, ale pozostajesz moim dzieckiem. Wydaje mi się, że masz prawo pytać, choć ty nie musisz odpowiadać, o czym dobrze wiesz.

Na chwilę opuścił wzrok.

- Wiem - powiedział cicho. Nachyliła się i chwyciła jego dłonie.

- Kochanie, nie masz się czego obawiać. Cokolwiek jest między tobą i Yukio, to wasza sprawa. Twój ojciec może tego nie pochwalać, ale on patrzy na wiele spraw inaczej. On jest nadal żołnierzem, nie ufa nikomu i niczemu.

Nicholas spojrzał na matkę.

- On nie ufa Yukio. Ale z jakiego... Czeong pokręciła głową, - To nie ma znaczenia, czy ty tego nie rozumiesz? On po prostu ma taki charakter. Nieważne. Jestem pewna, że nie ufał na początku również So-Pengowi.

Odwróciła się, przekręciła kluczyk, by otworzyć szufladę i wyjęła z niej szkatułkę, którą So-Peng podarował jej i pułkownikowi na pożegnanie. Zręcznym ruchem palców otworzyła ją.

- Widzisz - powiedziała przytłumionym głosem - jest ich piętnaście. - Miała na myśli szmaragdy. - Kiedyś było ich szesnaście, ale za jeden z nich kupiliśmy tę posiadłość. - Spojrzała na niego. - Jestem pewna, że ojciec opowiedział ci historię tego prezentu. - Nicholas przytaknął, a ona mówiła dalej. - Ale na pewno nie wyjaśnił ci znaczenia tego podarku, nie jestem pewna, czy nawet on je

— Och, Nicholas, nie bądź stale taki poważny.

— No więc.

— Być może... jeden raz. Usiadł, patrząc jej w twarz.

— Być może?

— No dobrze, zrobiłam to... ale to był przypadek.

— Tak jak ze mną - odparł zgryźliwie.

— Och nie. - Patrzyła mu w oczy. - Nie, zupełnie inaczej. On jest do ciebie niepodobny.

— Chcesz powiedzieć, że to wszystko, co mnie dotyczy to było zaplanowane? - W jego głosie słychać było pożądanie prawdy.

Jej powieki zadrgały przez chwilę.

— Ja... Wiem tylko, że tamtej nocy na przyjęciu chciałam się z tobą kochać, ale było to...

— Przecież powiedziałaś mi, że nic nie pamiętasz! - Oburzenie w jego głosie było tylko maskowaniem wewnętrznego zadowolenia.

Jej oczy co chwila spoglądały w innym kierunku.

- Skłamałam. - Uśmiechnęła się i pokazała język, co było niezgodne z japońskim wychowaniem. - Nie chciałam psuć nastroju.

I tak wiedziałam, czego pragnę, jak tylko cię znów ujrzałam.

— A ja nic nie wyczułem, gdy byliśmy w ogrodzie. Wzruszyła ramionami.

— Mam dwie osobowości, ty widziałeś obie.

— Jak wyglądało twoje dzieciństwo? - Po co pytasz?

Zaśmiał się.

— Gdyż jestem tobą zafascynowany. A co? Sądziłaś, że mi o coś chodzi?

— Każdemu o coś chodzi.

— Nieprawda - powiedział cicho przyciągając ją do siebie. - Na przykład mnie. - Pocałował ją zamkniętymi ustami. - Zależy mi na tobie Yukio, i to bardzo.

Zaśmiała się.

— No, przynajmniej nie oświadczyłeś mi się.

— Ale być może to uczynię - odrzekł jak najpoważniej. - Jeszcze nie jestem pewien.

Potrząsnęła głową.

— Przestań. Wiesz, że nie musisz mi mówić tych wszystkich bzdur, one i tak są pustosłowiem. I tak dam ci to, czego pragniesz, chyba o tym wiesz?

— Nie rozumiem cię.

— Już raz ci tłumaczyłam - powiedziała nie podnosząc głosu. - Nie ma potrzeby mówienia mi o uczuciach. Nie chcę się znowu rozczarować. Jest nam dobrze w łóżku i to mi wystarcza.

— Czy tak samo odnosiłaś się do Saigo? - skomentował zgryźliwie. - Ja cię nie oszukiwałem. Naprawdę mi na tobie zależy, na tym, co się z tobą dzieje, na tym, jak się czujesz, czy jesteś wesola czy smutna.

Patrzyła na niego przez dłuższy czas nie mogąc wydobyć z siebie głosu. Przypatrywała mu się uważnie. Po dłuższej chwili położyła się znów na trawie.

— Kiedy byłam małą dziewczynką - mówiła cichym głosem - jeździliśmy latem w góry, do malej miejscowości położonej wysoko, wśród zalesionych zboczy. Jak pamiętam, wszystkie domy stały na palach. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałam, miasteczko wyglądało jak z bajki. Moi przybrani rodzice, mimo okazałych sum, jakie im płacił Satsugai, nigdy nie mieli dla mnie czasu. Oni nigdy nie pragnęli mieć dziecka. Miałam wiele czasu dla siebie. Pamiętam, jak w ciągu dnia przesiadywałam na łąkach słuchając cykad, ostrego metalicznego dźwięku szarańczy późnym latem... - Oddychała głęboko, przypatrując się kiwającym się gałęziom drzew cedrowych. - Wydawało mi się wówczas, że popołudnia trwają wiecznie. Siadałam na zboczu ponad doliną. W pokrywającej zbocze zieleni były dwie długie bruzdy brązowe od wypalenia, jedynie naga ziemia, jakby jakiś olbrzym ją skaleczył. Godzinami potrafiłam tak siedzieć zastanawiając się pod wpływem czego nastąpiło takie zjawisko.

— Być może wojny - powiedział Nicholas.

— Masz rację, nigdy na to nie wpadłam. - Odwróciła od niego głowę. - Bili mnie za to, że tak długo tam przesiadywałam, mimo że nie tęsknili za mną. Nie okazywali mi żadnego współczucia ani zrozumienia. Byłam dla nich obca, jak jakieś dziwadło, dorosły karzeł. Zachowywali się tak, jakby sami nigdy nie byli dziećmi, nie czuli tego, jak to jest być dzieckiem.

- Yukio - powiedział czule, nachylając się, by ją pocałować. Kiedy wreszcie ją puścił, mówiła dalej:

- Na zboczu był też zagajnik drzew bambusowych, ale trochę niżej. Trafiłam do niego przez przypadek na samym początku, kiedy któregoś popołudnia zgubiłam drogę. Często w nocy wymykałam się z domu, gdyż ciemność przytłaczała mnie, kiedy leżałam bezsennie w łóżku. Była ona takim ciężarem dla moich powiek, że musiałam wyjść. Dom stał niedaleko strumyka, w którym woda stale się kotłowała. Kiedy była pełnia księżyca, wyglądało to tak, jakby płynęło nim srebro. Woda była tak zimna, że aż drętwiały usta. Przebywając w tym zagajniku czułam się jak w świątyni, z podobnymi do kolumn, wysokimi źerdziami bambusa. Późnym latem przed zniwami, gdy odgłosy cykad były najgłośniejsze, pomarańczowy księżyc wydawał się nabity na końce tych źerdzi. - Przytuliła się do niego, jakby chciała przyjąć wygodniejszą pozycję. Ich nagie ciała ocierały się o siebie. - Było to jedyne miejsce, gdzie czułam się u siebie. Było tylko moje. Tam po

raz pierwszy się z kimś kochałam. - Poczuł, że ona dostaje dreszczy, jakby było jej zimno. - Przeprowadziłam tam chłopca z pobliskiego gospodarstwa. Dla niego *to też* był pierwszy raz, tak sędzę. W swoim życiu widział tylko, jak to robią krowy, więc nie wychodziło mu to zbyt dobrze. Był bardzo zdenerwowany, chcąc to zrobić tak jak one, i tak podniecony, że oblał mi nasieniem całe udo.

— Na Zachodzie - powiedział Nicholas - w czasie miłosnej ekstazy kochankowie mówią „nadchodzę”. A tu u nas mówią „odpływam”. Zupełne przeciwieństwo.

— To samo ze śmiercią - szeptała. - Tak ludzie mówią. Ludzie z Zachodu nie rozumieją sensu *seppuku*, nieprawdaż? Oni są ekstrawertykami, zamiast zachować swe problemy dla siebie, dlatego skaczą z wieżowców...

— Albo strzelają do tłumu, nim sami się zastrzelą.

— Dziwne, prawda? - Zachichotała. - Być może są rzeczywiście barbarzyńcami. - Nadal drżała.

— Nie mówmy więcej o śmierci - powiedział przytrzymując ją.

— Masz rację - szepnęła. - Nie będziemy. - Wsunęła rękę w jego krocze, głaszcząc go delikatnie.

— Czy tylko o tym potrafisz myśleć? - zganił ją ostro.

— Tylko to mi pozostało - powiedziała, już jęcząc.

## **ZWÓJ CZWARTY**

*Księga ognia*

## LATEM, WSPÓLCZEŚNIE

Nie, po prostu nie! - powiedziała śmiejąc się. - Zapomnijmy o tym i tyle.

Szarżowała na niego zamiast uciekać, tak jak próbowała dotychczas. Zrobiła nura, sunąc po piachu, aż chwyciła go za łydki i przewróciła.

Śmiała się leżąc na nim. Wypluwając piasek z ust, dokończył przewrót i podniósł się.

- Kiepski dowcip!

Wskoczyła na niego i zaczęli turlać się po ciemnym piasku. Od morza powiał chłodny wiatr, burząc ich fryzury. Światło dobiegające z lamp przed domem było rozproszone pod wpływem mgły, co dawało efekt przytulności.

Jej twarz z szeroko otwartymi oczyma były tuż przy nim. Pod wpływem padającego światła ujrzał w jej oku czerwone skazy. Jej długie włosy jakby spajały ich ciała. Swymi cienkimi, delikatnymi palcami głaskała jego policzki. Było w nich coś z pewnością ruchu i precyzji dłoni rzeźbiarza.

— Nie chcę, abys był smutny, Nicholas - powiedziała cicho. Delikatnie ją pocałował.

— Jestem tutaj.

— Wiem.

- Niecodziennie mówię coś, myśląc tak naprawdę. - Całkowicie spowaźniała, chęć zabawy opuściła ją. - Miałam dużo czasu, by się nad wszystkim zastanowić...

- Jak sobie leżałaś? Pokręciła głową.

- Nie, gdy byłam pod wodą. Ale to nie o sobie wtedy myślałam. - Zaśmiała się, ale zabrzmiało to ironicznie. - Był taki moment, że przestałam wierzyć, że się uratuję. Płynąc rozmyślałam o tobie, rozumiesz, nic poważnego. - Jej oczy były rozbiegane, przytuliła się do niego. - Lecz gdy znalazłam się pod wodą, zdałam sobie sprawę, że już cię mogę nigdy nie ujrzeć. - Mówiła tak cicho, że choć była przy nim, ledwo słyszał jej słowa. Przełknęła, jakby coś w gardle utrudniało jej wydobyć głos. - Boję się, boję się, że popełniłam błąd mówiąc ci o tym. Co innego samemu do czegoś dojść, a co innego przyznać się do tego przed kimś innym, nieprawdaż! - Przez dłuższy czas nie odrywała od niego oczu. - Kocham cię - powiedziała. - O niczym innym nie mogę przy tobie myśleć. Gdy jestem sama, lubię gdzieś pójść, spotkać się z jakimiś ludźmi. Lecz gdy jestem z tobą, wszystko to staje się dla mnie obojętne. Wiem, że to brzmi głupio i zbyt romantycznie, ale... Zaśmiał się.

- Romantycznie tak, ale nie głupio. A poza tym, co w tym złego, że ktoś jest romantyczny? Ja też taki jestem, choć pewnie niewielu już nas pozostało.

Jej oczy wypatrywały czegoś.

- Czy mnie kochasz, Nick? Chcę, żebyś był ze mną szczery. Jeżeli odpowiedź brzmi „nie”, nie ma sprawy. Ale muszę znać prawdę.

Nie wiedział, co jej odpowiedzieć. Jego umysł był pełen wspomnień, dobrych i gorzkich, był świadom tego, że nadal rozmyślał o Yukio. Czuł się jak płynący łosoś, walczący z przeciwnym prądem. Ale przecież nie był rybą, zastanowiło go, dlaczego tak się zachowuje. O co mu właściwie szło i dlaczego to było takie ważne? Wiedział, że w nim samym kryją się odpowiedzi na te pytania, nie wiedział tylko, jak je uzyskać. Nadal był urażony uwagą, którą Croaker uczynił w restauracji i wkurzony, że tak łatwo dał się podejść. Być może Croaker miał rację? Czy aż tak bardzo przejął się śmiercią Terry’ego i Eileen? Na pewno trochę tak. Przecież nie mogło być inaczej, bo jakkolwiek było, jest człowiekiem. Choć nie uronił ani łzy, być może rozpacz można było okazać w inny sposób. Czuł, że jest w tym podobny do swej matki. Był zbyt opanowany, by dać się ponieść uczuciom, choć tym samym tracił z życia coś, czego mógł później żałować. Aby nadal w pełni nad sobą panować, musiał mieć pełny obraz obecnej sytuacji. Inaczej może przestać uważać się za mistrza zarówno sił dobra, jak i zła. Świadomość tego ożywiła go niczym ukłucie szpilką. Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl.

- O czym myślisz?

Przyjrzał się jej uważnie. Jej wyraz twarzy wskazywał, że jest naprawdę zatroskana.

- Nie powinnaś nic dla mnie poświęcać, ani dla nikogo innego. To niezdrowy odruch.

- Do jasnej cholery! Przecież nic nie poświęcam, nie zrobię tego, może kiedyś tak, ale nie teraz. Dla ciebie również, przynajmniej dopóki nie będę wiedziała, na czym stoję. - Jej oczy błyszczały niczym dwa słońca w ciemnościach. - Czy to takie straszne, że tak bardzo mi się podobasz? Że nic więcej mi nie potrzeba? Czy to ci aż tak przeszkadza?

Trafiła w samo sedno, choć wcale nie o to)QJ chodziło.

- Do diabła, dlaczego gadasz takie rzeczy? - Podniósł się, serce zaczęło mu bić szybciej.

- Bo to wszystko prawda. - Starła się patrzeć mu prosto w oczy. - Zresztą nie wiem. Jedno co wiem, to że nasze ciała są dla siebie stworzone. To są odruchy bezwarunkowe, takie jakie funkcjonowały miliony lat temu, gdy jeszcze nie wynaleziono książek, filmów, sztuk czy w ogóle rozrywki. Jedyne co ludziom pozostawało, to być ze sobą. Chciałabym wiedzieć, dlaczego ta myśl ci tak odstrasza. Czy uważasz, że twoje ciało zrobi coś wbrew twej woli? Może ono wie lepiej, czego ci potrzeba. - Zaśmiała się. - Aż trudno uwierzyć, że to właśnie ty, który całe życie ćwiczyłeś swoje ciało, masz teraz wątpliwości, jak ono się zachowa.

— Ty nic nie rozumiesz - skwitował krótko.

— Naprawdę? - Podniosła się. - No to w takim razie opowiedz mi o wszystkim, wytłumacz mi tak, by mój tępy kobiecy umysł wszystko zrozumiał.

— Nie bądź dziecinna.

— To nie ja jestem dziecinna, Nick. Gdybyś tylko posłuchał, co sam gadasz. Boisz się cokolwiek o sobie powiedzieć.

— Nie wpadło ci nigdy do głowy, że może mam ku temu powody?

— Tak. Dlatego właśnie cię o to pytam.

— A może nic ci do tego.

— Dobra, w porządku - wściekła się. - Widzę, że nic z tej rozmowy nie wyniknie.

— No właśnie, Justine. Po prostu nie jestem twoją własnością.

— Tyle mi przyszło z tego, że byłam z tobą szczerą.

— Chcesz usłyszeć coś szczerego? - Choć wiedział, że nie powinien jej tego mówić, nie obchodziło go to. - Widziałem się dziś z twoim ojcem.

Podniosła głowę z niedowierzaniem.

— Mój ojciec? Jak to?

— Czekał na mnie w swojej limuzynie, gdy wyszedłem z dworca. Niezłe się mną zaopiekował.

Wstała.



— Nie chcę nic więcej słyszeć na ten temat. - Jej głos stał się nagle ostry. Przypomniało jej się San Francisco, aż za dobrze. Wzbierała w niej złość. Ale wobec swego ojca była bezsilna, odkąd pamiętała.

— Uważam, że powinnaś - powiedział uszczypliwie. Widział z jej twarzy, że sprawia jej ból, kusiło go, by mówić dalej.

— Milcz! - krzyknęła, przykrywając uszy dłońmi. Uciekła od niego. Wstał i poszedł za nią po mokrym piasku.

— Ojciec chciał wiedzieć, co nas łączy. Wszystko na bieżąco o tobie wie, co robisz, a czego nie.

— Niech go diabli wezmą! - Potknęła się na szczycie wydmy, wstała i odwróciła w jego stronę. Jej oczy płonęły niczym ognisty żywioł, wielkie jak reflektory. Była wściekła.

— Boże, ale z was obu dranie! On, za to co robi, a ty, za to, że mi o tym mówisz. Jesteś niezłym sukinsynem, wiesz o tym?

Myślał jedynie o tym, by ją od siebie odtrącić.

— Ojciec myślał, że jestem jeszcze jednym Chrisem...

— Zamknij się! Zamknij się, ty złamany kutasie! Ale on nie przestawał.

— Zaproponował mi pracę i dowcip polega na tym, że ją przyjąłem. Pracuję teraz dla twojego ojca.

— Jak mogłeś mnie tak skrzywdzić? - jęknęła. Nie chodziło jej jednak o samą pracę. - O Boże! - Płacząc, zaczęła od niego uciekać i wdrapując się po zapiaszczonych schodkach do swego domu, zniknęła mu z oczu.

Nicholas załamany zaczął płakać, upadł na kolana na nieczuły piasek.

Powinien lada moment się zjawić - powiedziała Ah Ma. - Czy wszystko jest gotowe?

— Tak, mam - odpowiedziała Penny klęcząc u jej stóp. - Willow właśnie zwróciła ostatni... przedmiot. - Śliczna blada twarz Penny pochyliła się nad oprawioną w skórę księgą, którą wypełniała kolumnami pisma chińskiego. Używała do tego cienkiego pędzelka, który co jakiś czas maczała w butelce atramentu. Jej ruchy były zręczne i pewne. Zastanawiała się nad małomównością swojej pani, w końcu się zdecydowała.

— Czy jesteś pewna, że dobrze robimy wpuszczając tu tego człowieka? - Jej wzrok nie odrywał się od księgi, ale przez moment poczuła, jakby serce jej zamarło na myśl o tym, że mogła rozgniewać Ah Ma.

Lecz Ah Ma jedynie westchnęła. Nie zmieniało to faktu, że Penny miała słuszne obawy, gdyż dawniej reakcja byłaby inna. Wzdrygnęła się w duchu. No cóż, czasy się zmieniają - pomyślała - i trzeba się do nich jak najlepiej dostosować. Ale jej głos nie zdradzał nic z duchowych rozterek.

- Penny, kochanie, jak sama dobrze wiesz, wchodzi tu w grę duże pieniądze. Nie mam do nikogo uprzedzeń i tak samo powinno być z tobą. - Mówiąc to była świadoma, że kłamie, ale nie oznaczało to, że musi o tym wiedzieć Penny. Ah Ma, która miała prawie siedemdziesiąt lat, pochodziła z prowincji Fucien położonej w pół drogi między Szanghajem a Hongkongiem. Była jednym z piętnaściorga dzieci, ale nigdy nie czuła się ze swym rodzeństwem związana. Być może zawdzięczała to swemu imieniu. Wśród ludzi krążyła legenda, że kiedyś jakaś biedna dziewczyna z prowincji Fucien o takim samym imieniu chciała popłynąć dżonką. Ale w całym porcie tylko jeden kapitan się na to zgodził. Gdy statki wyszły w morze, rozszalał się potężny sztorm. Przetrwał go tylko statek, na którym była. Marynarze stwierdzili, że to dzięki tej dziewczynce i na wzgórzu Barra na wyspie Makao wybudowali na jej cześć świątynię.

Poruszyła się w krześle, aż zatrzeszczało. Wyczuła dotyk jedwabiu na swojej ręce. Poprzez otwarte okno dobiegał szum ulicy Doyers. Na rogu był targ rybny otwarty codziennie do późnych godzin. O tej porze roku można tam było dostać świeże mięso z mątwy. Usłyszała jakąś kłótnię między kilkoma osobami prowadzoną, ku jej zdziwieniu w dialekcie kantońskim. W wielkim mieszkaniu, które zajmowała, całe trzecie piętro budynku mówiło wyłącznie w dialekcie mandaryńskim. Tak było w jej domu zawsze, od samego dzieciństwa.

Ah Ma wstała i podeszła bezszelestnie do okna, spoglądając w dół na wąską, zatłoczoną ulicę. Wiedziała dobrze, że mogła sobie wybrać do zamieszkania dowolne miejsce w Nowym Jorku. Przez lata składano jej wiele atrakcyjnych ofert, ale zawsze odmawiała. Uważała bowiem, że jej miejsce jest tu, w samym sercu Chinatown. Rejon, w którym mieszkała, był trochę ponury i nieco podejrzany, ale za to nastrojowy. Przypominał jej rodzinny dom. Tu czuła się najlepiej. Choć była milionerką, najnowsze wieżowce ze szkła i betonu odstraszały ją równie mocno co widok budynku Chryslera, gdy przyjechała do Ameryki.

No tak - pomyślała Ah Ma, patrząc na zacienioną ulicę, z jej kolorowym ruchliwym i głośnym tłumem, z zapachem świeżych ryb, gdy dowozili nową dostawę nad ranem, ze smakowitym gotowanym *dim sum* z sąsiedniego domu. Jest mi tu dobrze - pomyślała - bardzo dobrze.

Westchnęła. Pewnie Komisja Planowania Chińskiej Dzielnicy nie byłaby zbyt zadowolona, gdyby wiedziała, czym Ah Ma zajmuje się naprawdę. Nie dotyczyło to jednak przedstawicieli policji, którzy co miesiąc dostawali tysiące dolarów łapówek. Wręczała je osobiście, zapraszając ich na herbatę, co jej zdaniem zwiększało jej wiarygodność.

Rodzinny dom w Fuczou pozostał na trwałe w jej pamięci i w miarę starzenia się coraz częściej go wspominała. Mieszkając w Chinatown czuła się prawie jak na ziemi ojczyznej, choć nie planowała tam powrócić. Nie żywiła zbyt wielkiej sympatii do chińskich komunistów i nawet teraz, gdy mogła tam się udać jako turystka, nie potrafiła sobie wyobrazić takiej sytuacji. Zresztą nie było takiej potrzeby, bo wszystko związane z Fuczou miała na miejscu.

Czerwono-niebieski neon restauracji za rogiem dawał rozjaśniającą ciemności lunę. Na długo przed tym, nim poznała się na komunistach, znienawidziła Japończyków. Zjawili się w jej rodzinnym mieście okazując swe bogactwo i pogardę dla miejscowych, gdy dopięli wszystkie interesy w Szanghaju, i nie interesowały ich już tamtejsze nocne lokale. Tak bardzo różnili się do Chińczyków - pomyślała Ah Ma - ale nic w tym dziwnego, skoro nie mogli czerpać z takiej tradycji jak my. Ich naród ma o wiele krótszą historię. Gdy w naszym kraju istniało już rozwinięte społeczeństwo, wynaleziono proch, ich wyspy zamieszkałe były przez dzikie ludy Ajno. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że współcześni Japończycy są ich potomkami, to nie dziw, że są tak wojowniczy.

Odwróciła się od okna wychodzącego na Doyers Street i powiedziała:

- Muszę się z nim teraz zobaczyć, Penny. Nie możemy popełnić błędu.

Penny przytaknęła, odłożyła księgę i pędzelek, wstała i przeszła przez pokój.

- Penny...

Zatrzymała się, gdy otwierała już drzwi.

— Słucham, mamó?

— On tu nie mieszka?

— Nie, mamó, mieszka o wiele dalej. Ah Ma pokiwała głową.

— To dobrze, nie chciałabym w to mieszać sąsiadów.

Po chwili Penny zniknęła, ale Ah Ma nadal o niej myślała. Dobrze zrobiła, że to właśnie ją tak uhonorowała. Była uzdolniona zarówno umysłowo, jak i manualnie. Choć nigdy by się do tego nie przyznała, często polegała na wyczuciu dziewczyny. Martwiło ją jedynie to, że Penny miała jakiś uraz do Japończyków.

Penny było imieniem nadanym przez Ah Ma, gdy dziewczyna przyszła u niej pracować. Robiła tak ze wszystkimi i odtąd byli oni znani wyłącznie pod tymi imionami. Dzięki swej prostocie i uporządkowaniu, system taki pozwalał na anonimowość tak niezbędną w jej interesach. A poza tym Ah Ma odczuwała zadowolenie z możliwości nadawania imion swoim „dzieciom” i przyjemność z tego, że zwracali się do niej z szacunkiem „mamó”, słowem otaczanym szczególną czcią w jej ojczyźnie.

Przyjdzie taki dzień, myślała Ah Ma, kiedy będzie musiała oddać władzę następcom. Nim ten moment nadejdzie, chciała mieć pewność, że wybrała właściwą osobę.

Penny wróciła i wprowadziła jedenastoletniego chłopca. Zatrzymali się zaraz za progiem, jej ręce spoczywały na jego ramionach. Chłopak stał nieruchomo, z obojętnym wzrokiem. Poprzez uchylone drzwi Ah Ma dobiegały odgłosy przygotowań. Zgodnie z jej planem dziś wieczorem będzie niewielu gości, co również stanowiło część zawartej z Japończykiem umowy, która tak wiele ją kosztowała. Nie stanowiło to jednak dla niej problemu.

Obejrzała chłopaka. Miał jasną, gładką cerę, w oczach i budowie policzków widać było cechy mongoloidalne. Tęczówki były czarne jak smoła. Miał szerokie usta i grube wargi.

— To jest Philip Chen - przedstawiła Penny.

— Zamknij drzwi, kochanie - rzekła cicho Ah Ma. Trzymała przed sobą złożone ręce ze splecionymi palcami. Patrzyła na niego. - Od dzisiaj twoje imię będzie inne - powiedziała mu - Wróbelek. Tak będziemy się do ciebie zwracać. Zrozumiałeś?

Chłopak przytaknął, po czym delikatnie się uśmiechnął.

— Do mnie masz mówić: mamó.

— Tak, mamó.

— Czy wszystkiego cię nauczono? Nie chciałabym mieć jakichś niespodzianek.

— Tak - odpowiedział radośnie. - Penny wszystko mi wytłumaczyła. Nie ma sprawy.

— Doprawdy? - Ah Ma zmarszczyła brwi ze zdziwienia. - Zobaczymy, jak będzie w rzeczywistości. No dobrze, Wróbelku, zostaw nas teraz same. Znajdź Willow, ona cię zaprowadzi do łazienki. Wiesz, co masz zrobić?

— Tak, mamó. - Odwrócił się i wyszedł.

Gdy Penny zamknęła za nim drzwi, Ah Ma zapytała:

— Co z rodzicami? Penny pokręciła głową.

— Mieszka z wujkiem, który pije zbyt wiele, by się nim zajmować.

— Sprawa jest więc bezpieczna? Penny przytaknęła. Jej czarne włosy zatrzęsły się niczym końska grzywa.

— Zresztą Willow się tym zajęła. Ah Ma delikatnie się uśmiechnęła.

— Dobrze się spisałaś, moje dziecko. Penny skłoniła głowę, by ukryć rumieńce. Było rzeczą nad wyraz rzadką, by Ah Ma zwracała się do kogoś tak czule.

— Dziękuję, mamó - szepnęła. Ah Ma podeszła, stanęła przed nią i uniosła jej głowę.

— Powiedz-mi, dziecko, co cię tak nurtuje? - cicho zapytała. Patrząc w przenikliwe oczy, Penny miała kłopoty z właściwym wysłowieniem się. Czowała, jakby gardło odmawiało jej posłuszeństwa, a z płuc nie mogło się wydostać powietrze.

— No dalej, dziecko. Czy chodzi o Japończyków? Co ci w nich tak przeszkadza?

— Jest mi wstyd, że nie potrafię ukryć swoich odczuć - powiedziała z goryczą. Powieki jej opadły, czuła, że za chwilę może się rozplakać.

— Bzdury! - powiedziała zdenerwowana Ah Ma. - To, że ja coś widzę nie znaczy, że widzą to inni. Nie zawiodłam się na tobie. Proszę więc, powiedz mi, co cię tak gnębi.

— Chodzi o narkotyki - powiedziała Penny. - Uważam, że nie powinniśmy w to wchodzić.

Przez chwilę Ah Ma milczała. Przypomniała jej się wycieczka do Szanghaju, na której była jako mała dziewczynka. Utkwił jej w pamięci wszechobecny, nużący zapach palonego opium. Czowała go w swych nozdrzach po dziś dzień, choć sama nigdy się nie narkotyzowała.

Zapach ten unosił się również w dniu, w którym komuniści przyszli zaaresztować jej męża. Nastąpiło to nagle, bez ostrzeżenia. Choć znajdowali się w ukryciu, komuniści wiedzieli dokładnie, gdzie ich szukać. Ktoś musiał ich wydać.

Mąż Ah Ma był działaczem politycznym o dużej dalekowzroczności. Wyczuł nadejście rewolucji, rozumiał jej nieuchronność, ale walczył z nią z nieprzejednaną zaciętością. „Choć raz - głosił w swoich przemówieniach - powinniśmy wziąć przykład z Japończyków. Co przyniosła im izolacja za panowania shogunów? Po pewnym czasie okazało się, że państwo podupada, że dusi się w ramach wyznaczonych starą tradycją. Świetlana przyszłość nadeszła wraz z zachodnim kapitalizmem i popatrzcie, dokąd zaszli. Czy stać nas na zignorowanie takiej lekcji? Przejęcie władzy przez komunistów odetnie nas od Zachodu, od systemu, dzięki któremu rozkwitły takie miasta jak Hongkong czy Szanghaj. Chiny staną się krajem zacofanym, prawdziwym olbrzymem na glinianych nogach”.

Komuniści wdarli się do środka, odpychając Ah Ma z taką siłą, że uderzyła głową o kant szafy. Wyciągnęli jej męża z łóżka, rozebrali go i pobili ciężkimi pałkami i kolbami karabinów.

Mieli czerwone gwiazdy naszyte na swych spiczastych czapkach i naramiennikach śmierdzących z brudu mundurów. Następnie wyciągnęli jej omdlałego i zakrwawionego męża z domu. Nie ujrzała go już nigdy, choć do dnia dzisiejszego nie była pewne co do jego losów. Modliła się jednak o to, by dla własnego dobra zginął jak najszybciej, być może znalazł kawałek drutu lub szmaty, by się powiesić. Woląla nie myśleć o tym, jakim torturom go mogli poddawać.

To wszystko wydarzyło się wiele lat temu, ale czasem, gdy była brzydka pogoda, deszcz ostro zacinał, a ulica zapadała w zupełną ciemność, Ah Ma na nowo rozdrapywała stare blizny.

Wróciła jednak myślami do rzeczywistości i uśmiechnęła się do Penny. Była taka piękna, piękna i doskonała.

- To zacnie z twojej strony, kochanie, że masz takie wątpliwości - powiedziała. - Wiesz, że z zasady nie pozwalam tutaj na żadne narkotyki. Ale ten człowiek stanowi wyjątek. - Walczył z komunistami w Chinach na swój sposób - pomyślała Ah Ma. On myśli, że nikt nic o nim nie wie. Ale oczywiście ja wiem wszystko. Inaczej nie byłabym sobą. Wiem wszystko o wszystkich, z którymi mam do czynienia, bez wyjątków. Tym razem zbieranie informacji zajęło mi po prostu więcej czasu, więcej pieniędzy. Bo przecież nie ma ludzi nieprzekupnych, jest to tylko kwestia stawki.

- Czy mogłabym poznać powód? - zapytała delikatnie Penny. Ah Ma poklepała ją po ramieniu.

- To cię nie dotyczy. - Uśmiechnęła się. - A teraz idź i pomóż Willow, zbliża się umówiona pora.

Penny opuściła głowę, jej wzrok skierowany był na podłogę.

- Tak, mam, już idę.

Ah Ma patrzyła jak bezszelestnie wyszła z pokoju, zastanawiając się nad tym, co zaszło.

W tej samej chwili Japończyk właśnie wychodził bocznym wyjściem z kina. Przeszedł na drugą stronę Czterdziestej Dziewiątej Ulicy i podbiegł kawałek, by zdążyć na autobus do centrum. Na początku panował tłok, który się jednak rozrzedził na przystanku przy Trzydziestej Czwartej Ulicy.

Wysiadł na ostatnim przystanku przed pętlą i pieszo pokonał resztę drogi do rejonu Greenwich Village. Doszedł do placu Coopera, na którym stała nowoczesna rzeźba w formie czarnej kostki umieszczonej na jednym z wierzchołków. Na jednej ze ścian kostki ktoś namazał białą farbą w sprayu napis: „Potwór kocha Karen R.”, który pasował tu idealnie.

Na rogu Ósmej Ulicy i Trzeciej Alei wskoczył do jadącego aleją Bowery w stronę Ratusza autobusu, którym dojechał aż do ulicy Canal. Tam skorzystał z budki telefonicznej. Spojrzał na masywny, stary zegar wiszący nad sklepem jubilerskim położonym na rogu ulicy.

Wykręcił numer i uzyskał połączenie. Natychmiast odłożył słuchawkę i odczekał dokładnie

jedną minutę i pięćdziesiąt sekund. Następnie wykręcił numer miejscowy. Nienawidził tego systemu, ale wchodziło to w zakres działań zabezpieczających i było sensownym posunięciem, dlatego też nie oponował.

Na drugim końcu linii ktoś podniósł słuchawkę. Japończyk odczytał siedmiocyfrowy numer aparatu, z którego dzwonił, po czym znowu natychmiast odłożył słuchawkę. Następnie przyłożył słuchawkę do ucha, przytrzymując widelki. Jakaś kobieta, która go obserwowała, odwróciła się z odrazą, rozglądając się za innym automatem.

Po czterech i pół minutach telefon się odezwał. Japończyk puścił widelki. Rozmawiali po japońsku.

— Słucham. - Odczuł puste brzmienie głosu przesyłanego linią międzykontynentalną.

— Jak leci?

— Pomalutku.

— Chcę wiedzieć coś więcej. Co osiągnąłeś?

— Osiągnąłem? - Nie bardzo rozumiał pytanie. - Jestem na miejscu, robota w toku.

— Rozumiem. - Nastąpiła chwila ciszy, w trakcie której dobiegł ich ledwo słyszalny odgłos innej rozmowy. - Czy nikt nas nie podsłuchuje?

— Na pewno nie tutaj.

Rozmówca nie zwracał uwagi na opryskliwość Japończyka.

— Życzymy sobie jak najszybszego zakończenia roboty.

— Tak też zrozumiałem sprawę, gdy się jej podejmowałem.

Co piętnaście sekund dokładnie się rozglądał, choć nie spodziewał się żadnych kłopotów, wiedział, że nigdy za wiele ostrożności. Bez niej ani rusz.

— W istocie.

— Niektórych rzeczy nie da się przyspieszyć, o czym sami dobrze wiecie. Pracuję w ustalony sposób, sami się na to zgodziliście, inaczej bym się tego nie podjął.

— No tak, mamy tego świadomość. Ale świat nie stoi w miejscu i ostatnie wydarzenia, które miały miejsce, gdy nie było już ciebie w kraju, wskazują na konieczność przyspieszenia działań.

— Ale to nie w moim stylu. Ja...

— Od tej chwili będzie. - Głos był delikatny niczym jedwab, równomierny, nie było w nim żadnego pośpiechu i ani krzty groźby. - Jest niezbędne, abyś wszystko zakończył w ciągu najbliższych siedemdziesięciu dwóch godzin.

— Nie uważam, aby...

— Podwajamy twoje honorarium.

Nim Japończyk zdążył coś powiedzieć, rozmówca odłożył słuchawkę.

Dobry wieczór - powiedziała Ah Ma. Na jej twarzy pojawił się uśmiech, wyciągnęła rękę. - To dla nas zaszczyt, że...

- Czy wszystko gotowe?

Ah Ma nie dała po sobie poznać, jak zdenerwowało ją to niekulturalne przerwanie powitalnych grzeczności. Była osobą dobrze wychowaną i nie znosiła chamstwa. Przez chwilę myślała o wyrzuceniu Japończyka za drzwi. Na pewno nie chodziło jej o jego pieniądze, raczej o jego zasługi w zabijaniu chińskich komunistów. Ona sama wiedziała o trzech przez niego straconych, a to oznaczało, że naprawdę było tych morderstw znacznie więcej. Nienawidziła komunistów bardziej niż Japończyków. A poza tym wszystko już było nagrane, wyrzucenie go byłoby czystym marnotrawstwem pracy wykonanej przez jej ludzi. Uśmiechnęła się więc serdecznie.

— Wszystko gotowe zgodnie z umową. - Jej szeroko rozstawione, czarne oczy czujnie go obserwowały. Zauważyła, że jego nastrój zmienił się od poprzedniego razu. Wyglądał na bardzo spiętego, jego nerwy wisiały na włosku. Być może po wizycie wyruszy zabić kolejnego komunistę. Wzdrygnęła się w duchu. Nic jej do tego.

— Może najpierw napijemy się herbaty?

— Nie.

- Właśnie szykują ciasteczka. Pokręcił głową.

Ah Ma wzruszyła ramionami.



- Jak sobie życzysz. - Co za dzikus, pomyślała. Takie grzeczności nic dla niego nie znaczą. Spiesz mu się niczym białemu. No cóż, Japończycy są teraz podobni do białych, we wszystkim ich naśladują. - Willow! - zawołała cichym głosem.

Gdy doszli do ostatnich drzwi po lewej stronie, Willow zatrzymała się i wyciągnęła rękę w kierunku klamki.

- Chwileczkę. - Palce Japończyka objęły jej wąty nadgarstek, odwrócił ją w swoją stronę. - Czy ty masz zamiar... - Mówił w dialekcie kantońskim, ale widząc po jej twarzy, że nic nie rozumie, przerzucił się na dialekt mandaryński, bo nie mógł sobie wyobrazić, by była zdolna rozumieć po japońsku. - Czy ta stara ciebie dla mnie wyznaczyła? Przecież mówiłem, że nie chcę nikogo wysokiego. - Willow patrzyła na niego chłodno. - Słuchaj, nie chcę cię, zrozumiałe? Nastąpiła chyba jakaś pomyłka.

Willow patrzyła teraz na dłoń ściskającą jej ramię.

- Powiedz starej, że nastąpiła pomyłka. Za te pieniądze chcę... - Zamilkł, zaciękawiony sytuacją. Dziewczyna nie próbowała się wyrzeć z uścisku. Wolałby, gdyby walczyła, a przynajmniej jęknęła. Jego palce zacisnęły się jeszcze mocniej, ale nic to nie dało. Puścił ją więc.

Willow ponownie się odwróciła i bezszelestnie otworzyła drzwi, sama jednak nie weszła do środka. Japończyk wszedł, a gdy się odwrócił, dziewczyna zniknęła za zamykającymi się drzwiami.

Znajdował się w wielkim pokoju. Na podłodze leżał zielony dywan, ściany wykończono na złoto, sufit był śnieżnobiały. W pokoju znajdowało się duże podwójne łóżko oraz komplet złożony z szerokiej kanapy i trzech foteli, pokrytych złotym obiciem. Otwarte drzwi wbudowane w ścianę po prawej stronie, prowadziły do wielkiej, równie ozdobnej wanny. Wzdłuż ściany po lewej stronie, obok dużego okna, stała dębowa szafa na wysoki połysk.

Podszedł do okna i wyjrzał na ulicę Pell. Od góry budynku zbiegały typowe, żelazne schody pożarowe. W łazience nie było okna. Zakończył rutynowe oględziny. Odwrócił się.

Ujrzał małego chłopca, a za nim młodą kobietę.

— Jak masz na imię? - zwrócił się do chłopca. Kobiety o to nie spytał.

— Wróbelek.

— Czy masz wszystko ze sobą?

Chłopiec przytaknął i ruszył w stronę Japończyka.

— Stój - rozkazał. - Przekaż to dziewczynie. Chłopiec odwrócił się i coś jej podał.

— Przynieś to tu.

Dziewczyna skłoniła się. Po drodze zatrzymała się, by nalać do naczynka podgrzanej *sake*, którą chciała mu podać.

Patrzył na nią, wbił wzrok w jej spojrzenie. Jego ręka uderzyła błyskawicznie, wytrącając naczynie z wyciągniętej dłoni dziewczyny. Wydobyła z siebie okrzyk bólu, palce aż jej zdrętwiały.

- Nie rób nic - powiedział z wściekłością - czego bym ci nie kazał. A nawet wtedy sprawdź, czy na pewno robisz to tak, jak powiedziałem. Zrozumiałe? - Dziewczyna tępo przytaknęła. Jego uwagi były skierowane wyraźnie do niej. - Pokaż, co tam masz.

Rozwarła palce, na jej dłoni leżały dwie brązowe tabletki oraz kawałek czegoś czarnego. Podniósł najpierw to drugie, powąchał i pokiwał głową z aprobatą. Odłożył następnie z powrotem na jej dłoń i wziął tabletki. Polizał je końcem języka, a gdy wyczuł właściwy smak, zwrócił jej, by je rozgniotła.

Ta kombinacja opium i narkotyków syntetycznych była mu znajoma. Przyzwyczyił się do niej za sprawą kolegi z treningów. Napięcie, jakiemu ich poddawano było ogromne. Większość z trenujących zadowalała się wypiciem wódki ryżowej, ale nie on, dla niego było to za słabe.

Patrzył szklistym wzrokiem, jak dziewczyna rozgniotła tabletki w kamiennym moździerzu, który wyjęła z szafy.

Gdy skończyła i napełniła dla niego fajkę, polecił jej, by przygotowała mu kąpiel.

— Ja to mogę zrobić - powiedział Wróbelek.

— Nie ruszaj się - warknął Japończyk. Następnie zwrócił się do dziewczyny. - A ty rób, co ci kazałem.

Skłoniła się i pobiegła przez pokój. Nim zdążył zapalić fajkę, słychać już było szum wody napełniającej wannę.

Japończyk zaciągnął się głęboko trzy razy, nim wyjął fajkę z ust.

- Podejź no tu, Wróbelku. A teraz zaciągnij się. Jeszcze bardziej. Dobrze. - Z powrotem wziął fajkę do ust i dokończył palenie. Słyszał tylko podobny do wodospadu dźwięk spadającej z kranu wody.

Za każdym razem, gdy robił wdech, powietrze wydawało się lodowate, przy wydechu zaś piekło wewnątrz jego nozdrzy. Czuł, jak serce mu przyspiesza, a krew gotuje się w żyłach. Było mu gorąco.

Poczuł ciężenie podobne do tego, jakie odczuwa się pod wodą. Oddziaływało ono na jego ręce i nogi, głowę i członki.

— Chodź za mną - nakazał chłopcu i razem udali się do łazienki. Wanna była w trzech czwartych pełna, a dziewczyna sprawdzała na kłęczkach temperaturę wody.

— Rozbierz chłopca - rozkazał dziewczynie. Za każdym razem gdy mówił, czuł palenie w płucach. Słowa, które wypowiadał, wydawały się krążyć w nim niczym fale wirując aż na zewnątrz.

Niektóre słowa podobne były do insektów, ruchliwe i pełne życia. Inne znowu były wielkie i nieosiągalne niczym żyrafy.

Japończyk przypatrywał się z pożądaniem, jak dziewczyna podchodzi do chłopca, który stał na progu.

- Rób to na klęczkach - rozkazał jej. Był zadowolony z jej posłuszeństwa. Będzie musiał podziękować za to starej kobiecie.

Chłopiec stał nago, jego wątłe ciało dopiero co zaczynało nabierać cech nastolatka. Japończyk przypatrywał się rozszerzonymi źrenicami. Wdech i wydech, płuca pracowały mu niczym miechy w zaparowanej kuźni. Dziewczyna siedziała w pozycji klęczącej, z głową pochyloną, pokrytą opadającymi długimi czarnymi błyszczącymi włosami.

Następnie nakazał jej, by go rozebrała zaczynając od koszuli, tak aby mogła dokończyć klęcząc przed nim. Nie zwracał na nią uwagi, patrzył na chłopca.

Gdy skończyła rozbieranie, jego członek był całkiem sztywny, chłopcu się również wyprostował. Nie spoglądając nawet na nią, chwycił ją z tyłu za włosy i przycisnął jej twarz do swej moszny. Otworzyła usta, by mógł się opróżnić. Chłopiec cały drżał, jego członek był sztywny.

Japończyk odepchnął dziewczynę i wszedł do wanny.

- A teraz - powiedział - masz mnie umyć.

Gdy skończyła, wstał i kazał jej, by dokładnie wyszorowała wannę. Gdy wanna już była wymyta i wypłukana, wszedł z powrotem do środka. A ona znowu napełniła ją wodą.

Odchylony do tyłu, mocząc się z zadowoleniem, wpatrywał się w śnieżnobiały sufit nie zwracając na nikogo uwagi. Rozmyślał o rozmowie telefonicznej. Uśmiechnął się. Tak czy tak już wcześniej zaplanował sobie zabicie Tomkina w ciągu trzech dni, ale nie miał zamiaru tego wyjawiać swym zleceniodawcom. Im mniej o nim wiedzieli, tym lepiej. Jeżeli ktoś coś o tobie wiedział, to już miał nad tobą przewagę. Dlatego też Japończycy unikali tego. Osiągał zawsze zamierzony cel, bo nigdy nie dawał nikomu forów, takiego właśnie postępowania go zawsze uczono.

Zaśmiał się, jego ciało zadrżało powodując falowanie wody w żeliwnej wannie. Tylko dlatego, że się nie zdradził, udało mu się podwoić stawkę. Choć była ona i tak wystarczająco wysoka, by się podjąć tej roboty. Nie był pierwszym, który miał zamiar zabić Raphaela Tomkina, ale nikomu wcześniej się to nie udało. Japończyk nie miał jednak wątpliwości, że w jego przypadku będzie inaczej. Zastanawiał się jedynie nad sposobem, w jaki to zrobi. Jego wstępne założenie okazało się słuszne, Tomkin był najłatwiejszym celem w swoim biurówcu. Miał gabinet na samym szczycie, z dala od wszystkich, otoczony gąszczem kanałów wentylacyjnych oraz dużą liczbą nie wykończonych pomieszczeń, w których Japończyk mógł bez trudu zniknąć.

Mógłby oczywiście zabić go na odległość, za pomocą karabinu, bomby lub czegoś

podobnego. Ale to nie było w jego stylu, bo wykazałby się jedynie tchórzostwem, tak jak robili to biali. On zawsze zabijał oko w oko, używając podręcznej broni, tego wymagał jego honor i tak go nauczono. Bo *ninja* też mieli swój kodeks honorowy, zgodnie z którym postępował, choć różnił się on bardzo od budzących w nim odrazę słabości wynikających z *bushido*. Nie brał więc zleceń, które nie gwarantowały mu bezpośredniego kontaktu z ofiarą. To było jego jedyne pragnienie.

Zrobi więc to, co mu zlecono w eleganckim gabinecie na szczycie biurowca. To idealna sceneria. Oczywiście nie dzisiaj, pewnie też i nie jutro, bo ma zbyt wiele innych spraw do załatwienia i rachunków do rozliczenia. W związku z tym zrobi to pojutrze wieczorem, bo nie ma co się spieszyć. Jeszcze raz przemyślał sobie całą sprawę, czując, że coś zaczyna się dziać w jego kroczu. Jedyna rzecz, która go martwiła, to to, czy się zbyt nie odkrył. Być może nie powinien był zabijać Ito, ale nie - pomyślał - planowałem to przecież zrobić od samego początku. Dla niego.

Koniec jego sztywnego członka wystawał już ponad powierzchnię wody. Przypatrywał mu się z zaciekawieniem.

- Już - powiedział do dziewczyny, która natychmiast wyjęła korek. Wstał, resztki wody spływały po jego ciele; ani na klatce piersiowej, ani na nogach nie miał owłosienia.

Wyszedł z wanny, ale odtrącił gruby ręcznik, który dziewczyna dla niego przygotowała.

- Bez tego - powiedział. - Masz zlizać tę wodę. - Przypatrywał się chłopcu, który stał w bezruchu, podczas gdy dziewczyna wzięła się do roboty.

No tak - pomyślał - nie pali się. Mam wystarczająco wiele czasu, by przyjść tu jeszcze jutro. Wiedział, że regularny wytrysk był niezbędny dla jego dobrego samopoczucia. Tymczasem dziewczyna lizła właśnie jego krocze.

Gdy przeszli do sypialni, znów zapalił fajkę, dając się zaciągnąć również chłopcu. Spośród całej trójki, tylko dziewczyna była jeszcze ubrana. Gdy jej rozkazał, stanęła przed nim ze spuszczonej oczyma. Jednym szybkim ruchem zdarł z niej jedwabny szlafrok. Miała małe jędrne piersi, z dużymi twardymi sutkami. Była szczupła w talii i biodrach. Miała obfite owłosienie łonowe. Natychmiast pokryła ją gęsia skórka. Ku jego zadowoleniu nadal nie odważyła się unieść wzroku.

Uniósł swą lewą dłoń, tak wielką, że był w stanie objąć nią wątłą szyję dziewczyny. Wyczuł delikatność jej cery. Drugą zaś z zaciekawieniem macał wypukłości jej ciała. Nadal uciskając szyję zamachnął się prawą dłonią i uderzył ją w piersi, które aż zadrżały. Na jej twarzy odmalował się ból, ale nie wydała z siebie żadnego dźwięku. Japończyk odwrócił głowę, by zaobserwować reakcję chłopca. Tamten jednak nawet nie drgnął. Uderzył więc piersi jeszcze raz, tym razem z drugiej strony. Dziewczyna jęknęła, ale natychmiast zagryzła wargi. Była cała spocona, pod swymi palcami czuł wilgoć na jej ciele.

Gdy uderzył ją po raz trzeci, zrobił to znacznie silniej. Dziewczyna aż zawyła i zemdląła.

Japończyk chwycił ją pod ramiona i zaciągnął na łóżko. Do każdego z narożników przyczepione były jedwabne chustki, którymi przywiązał jej rozłożone nogi i ręce, tak by nie mogła się ruszać. Jej klatka piersiowa ciężko pracowała, cała spocona. Dziewczyna majaczyła, na wpół przytomna.

Japończyk podszedł do kredensu, wziął butelkę *sake*, wrócił z nią do łóżka i przyłożył dziewczynie do ust. Zakrztusiła się, ocucona otworzyła oczy i zaczęła połykać zawartość. Trzymał butelkę aż wszystko wypła. Następnie wszedł na nią w rozkroku, twarzą na wysokości jej krocza, przygniatająca jej piersi swym ciałem.

— Chodź tutaj! - zawołał do chłopca. Wróbelek podszedł do łóżka i usadowił się zgodnie z rozkazem. Przykucnął między rozwartymi nogami dziewczyny, przyglądając się jej kroczu. Nagle przewrócił się ogluszony, a gdy się ocknął, poczuł, że ma zdrętwiałe prawy policzek, skóra na nim go piekła, była cała czerwona.

— Nigdy tego nie rób - powiedział Japończyk. - Patrz tylko na to - wskazał swój potężny członek.

Następnie Japończyk rozsiadł się na jej twarzy. Czuł gorąco jej oddechu, pocieranie otwierających się ust. Dziewczyna zaczęła pieścić językiem jego odbytu.

- Teraz - rozkazał chłopcu. Wróbelek nachylił się i otworzył usta.

Japończyk zamknął oczy i zaczął wypowiadać jakieś zaklęcia. Ale ani chłopiec, ani dziewczyna go nie rozumieli, gdyż mówił po japońsku. Jednak z samego tonu mogli wyczuć o co chodzi.

W miarę jak szczytował, wygadywał coraz większe sprośności. Tuż przed wytryskiem w usta chłopca, bezwiednie chwycił dziewczynę oburącz po wewnętrznej stronie ud tak silnie, że spowodował powstanie wielkich siniaków. Następnie uderzył ją w krocze tak mocno, że ponownie zemdląła z bólu.

Widząc po oczach Japończyka co się święci, chłopiec wycofał się z łóżka. Teraz była jego kolej.

Doktor Deerforth rozmyślał o wojnie. Był nadal w biurze, siedząc za biurkiem na swym starym drewnianym krześle. Przed nim, na jasnoniebieskim brulionie, stał kubek gorącej kawy. Głowę miał lekko skrzyżowaną, tak by przez duże okno spoglądać na rozciągający się za starym dębem widok ulicy Głównej. O tak wczesnej porze ruch był znikomy. Było przed siódmą rano.

Odruchowo sięgnął po kawę i pociągnął spory łyk. Poparzył sobie trochę język, ale zignorował to.

To jest podobne do malarii - pomyślał. Gdy się na nią raz zachoruje, nigdy jej się do końca nie wyleczy, bo ponawia się co jakiś czas z różnym natężeniem, jak pamiątka z przeszłości. Mogło

to mieć coś wspólnego z porą roku, szczególnie w upalne dni lipca i sierpnia, te piekielne dni, gdy nawet tu, w West Bay Bridge, słońce piekło, a powietrze było tak suche, że na drzewach więdły liście.

Jakoś nigdy nie rozmyślał o wojnie podczas zimy.

Podniósł słuchawkę i zatelefonował na posterunek policji do Raya Floruma. Ponieważ nikt nie podnosił, po sześciu sygnałach odłożył słuchawkę. Telefonował pod numer bezpośredni, który odebrać mógł tylko Florum.

Grdzie on, do diabła, się podział? - pomyślał zirytowany. Gdy spojrzął na zegarek, zdał sobie sprawę, że było za wcześnie, Ray zjawiał się w pracy koło ósmej. Deerforth jednak pragnął wiedzieć czy poczyniono jakieś postępy w dochodzeniu. Czuł w sobie złość, której źródłem, z czego zdawał sobie sprawę, był strach.

Kiedy usłyszał dzwonek do drzwi, aż podskoczył. Przez chwilę chciał udawać, że go nie ma, ale gdy zadzwonił jeszcze raz, wstał i podszedł do drzwi.

— Nicholas - powiedział, mrużąc oczy przed światłem. - Wejdz, proszę. - Zamknął za nim drzwi. - Co cię do mnie sprowadza o tak wczesnej porze? Źle się czujesz?

— Czy cię obudziłem?

Doktor Deerforth zaśmiał się.

— Och nie. Tylko sobie drzemałem. - Przypatrzył się Nicholasowi. - Nie wyglądasz najlepiej. Pozwól ze mną.

— Po prostu nie spałem tej nocy - wyjaśnił Nicholas, idąc jednak posłusznie za nim. Ale zamiast do gabinetu, poszli do kuchni.

— Najlepszym lekarstwem będzie dobre śniadanie - powiedział Deerforth. Otworzył lodówkę, wyjął kartonik soku pomarańczowego i podał Nicholasowi. - Nalej sobie. - Spojrzał na niego. - Zjesz jajka na szynce?

- Ależ nie musisz... Deerforth machnął ręką.

— Wiem, że nie muszę. Ale ja chcę. - Uśmiechnął się i podszedł do kuchenki. - A poza tym od dawna nie jadłem z nikim śniadania. To mi dobrze robi. Przesiaduję ostatnio do późnych godzin. - Zaczął wszystko szykować. Włączył ekspres do kawy, a następnie postawił szynkę na ogień. Skwierczenie tłuszczu jeszcze bardziej poprawiło mu humor. Przypomniawszy sobie, że odkąd tylko pamiętał, zawsze szykował śniadanie dla swych córek. Ale to było dawno. - Pewnie chciałbyś wiedzieć, czy Florum posunął się ze śledztwem do przodu - rzekł. Nicholas zasiadł do stołu, nalał sobie soku i spojrzał z nadzieją. - W ogóle się nie posunął - sam sobie odpowiedział. - Nie ma najmniejszego tropu, za którym by mógł pójść.

— Nie dziwię się - powiedział Nicholas. Opowiedział o wszystkim, co się wydarzyło w Nowym Jorku.

— Twoich przyjaciół, co? - skomentował Deerforth, gdy ten skończył. - To naprawdę pech. Współczuję ci. - Odwrócił szynkę na patelni. - I nadal uważasz, że jego właściwym celem jest Raphael Tomkin?

Nicholas przytaknął.

— To po co by mu były te inne morderstwa? Żadna z tych osób nie miała powiązań z Tomkinem.

— Z tego co wiem, to żadna.

— To czego on chce. Mógł już dawno go zabić i zdążyć wyjechać z kraju.

— Zastanawiałem się nad tym. - Nicholas wpatrzony był w szklanekę z sokiem. - Po pierwsze nie tak łatwo do Tomkina dotrzeć. Na to potrzeba czasu.

— Tym bardziej powinien unikać wszelkich zbędnych działań. - Wyjął szynkę i rozbił nad patelnią jajka.

— W normalnej sytuacji tak by było - zgodził się Nicholas. - Ale ten facet jest inny, znacznie bardziej przebiegły. Widzisz, on ma zamiar zabić człowieka, który już kilkakrotnie był celem zamachu. Tomkin nie bez powodu jeszcze żyje. *Ninja* pewnie uważa, że nie da się do niego dotrzeć w prosty sposób, że musi zastosować jakąś sztuczkę. Wiesz, jaką *ninja* mają filozofię,

będzie chciał dotrzeć do Tomkina osobiście. Nie zastosuje żadnych urządzeń zdalnie sterowanych ani karabinu.

— Wiem. - Kuchnia cała już pachniała. Deerforth wyjął chleb i podał Nicholasowi, by zrobił grzanki.

— No dobrze, chodzi mu o wprowadzenie zamieszania. Jest to stara technika walki w *kenjutsu* i podczas wojny. Trzeba ciągle zmieniać formy i miejsca ataku. A gdy twój przeciwnik jest już dezorientowany, wtedy zadajesz ostateczny cios.

Deerforth patrzył na Nicholasa, gdy ten niośł do stołu pełne talerze.

— I uważasz, że tak właśnie postępuje ten *ninja*?

— Tak, jest to dla mnie oczywiste.

Deerforth zaczął jeść, marszcząc brwi w skupieniu.

— A czy rozważałeś inne warianty? - spytał po chwili. Nicholas zdziwił się.

— Jakie inne warianty?

- Sam nie wiem. Ale z nich są cholerni kombinatorzy, nigdy nie można być pewnym, co im chodzi po głowie.

Nicholas na chwilę odwrócił się.

— Znałem kilku z nich, gdy byłem w Japonii.

— Naprawdę? - spytał Deerforth ze zdziwieniem w oczach. - Ale to było dawno temu.

— Oni kierują się własnym poczuciem czasu.

Nicholas zrozumiał, że Deerforth mówi o własnych przeżyciach. Odłożył widelec i zamilkł.

- To nie są ludzie - powiedział po chwili lekarz. Zapanowała taka cisza, że Nicholas słyszał, jak tyka zegar ścienny. - A przynajmniej mają w sobie jakieś nieludzkie cechy, jakby byli wampirami lub innymi potworami, czymś nadprzyrodzonym. - Spoglądał teraz we własną przeszłość. - Tam gdzie ja walczyłem podczas wojny - mówił dalej - wyglądało to zupełnie inaczej niż gdzie indziej. Nie było żadnego zajmowania kolejnych przyczółków przez pododdziały albo ich bohaterskiej obrony. Nie było linii frontu, ataków lub wycofywania się na z góry upatrzone pozycje. Po prostu trwaliśmy, pełni uporą, w tym całkowitym pomieszaniu, w którym rano znajdowałeś się przed linią frontu, a wieczorem na tyłach wroga, i to nie ruszając się ze swego miejsca ani o milimetr.

Nigdy nie mieliśmy pewności, gdzie znajduje się przeciwnik. Rzadko kiedy docierały do nas jakieś rozkazy, a gdy docierały, widać było, że w sztabie zupełnie nie orientują się w sytuacji. Funkcjonowaliśmy we własnym świecie znikomej dyscypliny, w którym anarchia była jedyną ochroną przed szaleństwem.

Sceny, o których wspominam miały miejsce pod koniec wojny. Większość z nas służyła w tym rejonie od początku i nie była już w stanie walczyć dalej. Malaria, ameba i inne choroby, o



których nigdy wcześniej nie słyszałem, stały się naszą codziennością. Ale po pewnym czasie bardziej nas przerażało to, co się działo w nocy niż ryzyko zachorowania na cholere. W nocy wkradali się do nas zwiadowcy, bezszelestni i niebezpieczni. Nie potrafiliśmy ich powstrzymać. Podwajaliśmy strażę, patrolowaliśmy obozowisko. I nic. Nasz zdesperowany dowódca wystawił nocne patrole. Ale ludzie strzelali ze strachu do cieni lub śpiewających ptaków. Nikogo nie złapali, sami zaś jeden po drugim ginęli.

Napięcie stale narastało. Któregoś dnia ktoś nieodpowiedzialnie zażartował, że atakuje nas jakieś wcielenie księcia Drakuli. Ponieważ miał ze sobą sfatygowany egzemplarz powieści Brama Stokera, więc ludzie bardzo szybko zaczęli traktować tę sprawę na serio. Strach zataczał coraz szersze kręgi. Zresztą nie ma co się dziwić, ludzkość wielokrotnie tłumaczyła niewytłumaczalne używając jakichś urojonych postaci. Panujący wśród nas nastrój coraz bardziej przypominał ten z książki. Nawet dzisiaj, po tylu latach, mam dreszcze, gdy o tym pomyślę. Jakkolwiek było, nauczono nas walczyć z żołnierzami z krwi i kości, a nie z duchami, które znikwały na naszych oczach. Gdybyśmy dopadli jednego z nich albo mogli chociaż mu się dokładnie przyjrzeć, wiedzielibyśmy, kim jest przeciwnik.

Strach potrafił narastać w bardzo szybkim tempie. Przecież żadnego z nas nie można było nazwać tchórzem, bo każdy miał na swoim koncie zabitych wrogów. Nawet ja... nawet ja jako lekarz musiałem kilkakrotnie to uczynić, gdy groziła nam przegrana. A mimo to byliśmy świadkami czegoś... czegoś niewytłumaczalnego. Wiem, że to może teraz brzmie śmiesznie, ale wierz mi, Nicholas, gdy opowiem ci, co się stało...

Przedzieraliśmy się właśnie przez wyspę Leyte. Było to już po słynnej bitwie powietrzno-morskiej. Marynarka japońska nie miała już nic do powiedzenia, ale w dżungli sprawy wyglądały zupełnie inaczej. Nie panowaliśmy jeszcze nad wyspą, a główna wyspa Luzon była nadal w japońskich rękach. Mieli za mało wojska i praktycznie brakowało zapasów. Myśleliśmy, że już po nich, że ostateczne zwycięstwo jest tuż-tuż. Byliśmy w błędzie.

Niedługo przed bitwą, prosto z Tokio, przybył nowy dowódca sił japońskich, wiceadmirał Onoshi z Pierwszego Korpusu Lotnictwa Marynarki Wojennej, stacjonującej w Manili. Dwa dni po przybyciu pojechał do Mabalacat, małego miasteczka, osiemdziesiąt kilometrów na północny zachód od stolicy, gdzie stacjonował Dwieście Pierwszy pułk Lotnictwa. Odbyła się tam narada, która choć nie nabrała wówczas rozgłosu, była jedną z decydujących w tej wojnie.

Nieco później doszły nas słuchy o tym, co się dzieje, lecz większość z nas zignorowała to jako kolejną plotkę. Ale w niespełna tydzień później zobaczyliśmy to na własne oczy. Wydawało nam się, że samoloty przeczesują dżunglę, ale one przeleciały nad nami tak, jakbyśmy nigdy nie istnieli. Doleciały do naszych okrętów, lotniskowca i dwóch niszczycieli, lecz Japończycy ani do nich nie strzelali, ani ich nie bombardowali, tylko prosto w nie zanurkowali. W pierwszej chwili myśleliśmy, że jeden z samolotów został postrzelony i dlatego się rozbił. Ale gdy jeden za drugim samoloty zaczęły robić to samo, zrozumieliśmy, co się dzieje. Choć właściwie nic nie rozumieliśmy, bo jak wytłumaczyć takie działanie u człowieka zdrowego na umyśle. Większość ludzi twierdziła, że piloci byli poddani praniu mózgu, co Japończycy stosowali często wobec więźniów.

Jednak coś w tej teorii mnie uderzyło. Nie mogłem się z nią pogodzić. Wiedziałem o tym, że zmiana osobowości wymaga czasu i na pewno nie może być osiągnięta bardzo szybko. A Japończycy musieli się spieszyć. Tak więc doszedłem do wniosku, że istota sprawy polega na czymś innym. Ale na czym?

Trwała akurat pora deszczowa i na całej wyspie nie można było znaleźć ani jednego suchego zakątka. Posuwaliśmy się naprzód, ale straty były duże. Którejś nocy dostaliśmy rozkaz wymarszu. Ponieważ mieliśmy sporo rannych, którymi trzeba było się zająć, zgłosiłem się na ochotnika, aby z nimi pozostać, by ich prawidłowo opatrzyć. Nad ranem miał się tu zjawić pododdział sanitarny. Ale sytuacja była zbyt dramatyczna i dowódca rozkazał mi dołączyć do reszty.

Obóz rozbiliśmy tuż przed wschodem słońca. Wielu z nas było zbyt zmęczonych, by spać, dlatego siedzieliśmy i gadaliśmy o Drakuli. Poprzedniej nocy w tajemniczych okolicznościach zginęło trzech żołnierzy i opowieści o wampirach stawały się coraz bardziej popularne.

Po jakimś czasie ich opuściłem, rozbiłem swój namiot i wczłogałem się do środka. Jeszcze przez chwilę słyszałem ich głosy, nagle dźwięki się urwały. Nie byłem pewien, czy to ja usnąłem, czy oni dali sobie spokój.

Byłem w tym dziwnym przejściowym stanie między snem a jawą.

Wydawało mi się, że postać, którą widzę jest częścią snu. Staralem więc się obudzić, ale nie byłem w stanie. Głowa wydawała mi się zbyt ciężka, próba koncentracji nie dawała żadnego skutku. Miałem uczucie, że mój umysł został pozbawiony władzy nad ciałem. Chciałem obrócić głowę, by spojrzeć za siebie, sądząc, że tam znajduje się źródło moich kłopotów, ale i w tym okazałem się bezsilny.

Nade mną unosiła się jakaś tajemnicza twarz. Nie byłem pewien, czy się obudziłem, czy też tak naprawdę nigdy nie usnąłem. Czułem ból w mostku i miałem trudności ze złapaniem oddechu. Było mi zimno, ale nie ze względu na chłodną noc, tylko ze strachu. Cały drżałem.

Była to twarz Japończyka, cała czarna, jakby pokryta sadzą lub okopconą, w matowym odcieniu, by nie odbijać światła. Jego oczy wydały mi się ogromne, było w nich coś dziwnego, i choć były na mnie skierowane, odniosłem wrażenie, że są skupione zupełnie na czymś innym. Były przerażające. Widziałem podobne spojrzenie w szpitalu podczas praktyki na ostatnim roku studiów. Zwiedzaliśmy oddział psychiatryczny, gdzie obejrzałem kilku pacjentów. Jednym z nich był dwudziestoparoletni chłopak, krótko ostrzyżony, z wysoko usadowionymi kośćmi policzkowymi i długim, cienkim nosem. Miał wygląd naukowca, ale siedział w kaftanie bezpieczeństwa. Przypatrywałem się przez dłuższy czas jego oczom, podczas gdy lekarz oddziałowy w kółko gadał niczym naganiacz odpustowy. Czułem się jak kukła. Ten człowiek, a właściwie stworzenie, 'był niepodatny na nowoczesne metody leczenia, które lekarz oddziałowy opisywał z taką pasją. Pacjent cofnął się w procesie ewolucyjnym, nie był już człowiekiem, ale półzwierzęciem niczym jego dawni przodkowie. Jego spojrzenie nie było tym, jakie powszechnie uważa się za inteligentne. Ale ja ujrzałem w nim specyficzny spryt, i to tak wielki, że aż zadrżałem. Przez chwilę myślałem wtedy, co by to było, gdyby go puścić na wolność. Czy kolejny przypadek Kuby Rozpruwacza? Trudno nawet to sobie wyobrazić, gdyż dla tej istoty jakiegokolwiek zasady moralne były obcym pojęciem.

To wszystko ujrzałem również w tych oczach, które spoglądały na mnie w moim namiocie w Leyte. Ale nie tylko, ujrzałem także oznaki szaleństwa ponad wszelkie granice. Nasz świat oparty jest na pewnym porządku, w którym wszystko, od nauki po moralność, rządzi się pewnymi prawami w ściśle określonych granicach. Taki świat był mu obcy, funkcjonował według własnej ponadczasowej filozofii, z której czerpał ogromną energię, zakorzenioną w chaosie. Nie potrafię tego lepiej wyrazić, ale widząc go przed sobą utwierdziłem się w przekonaniu

o jego nadprzyrodzonym pochodzeniu. Być może nasze opowieści o wampirach były bliższe prawdy, niż myśleliśmy. Wiem, że wszystko brzmi jak wysane z palca, może po to, by dodać romantyzmu mojej opowieści, ale zapewniam cię, że nic z tych rzeczy.

Gdy tak nad tym wszystkim rozmyślałem, wyczułem jego ruchy. Wyjął z kieszeni kawałek czarnego materiału i złożony go zakneblował mi mocno usta. Był na tyle blisko, że zauważyłem, że jest cały ubrany na czarno. Wyciągnął mnie z namiotu, przerzucił przez ramię i zaczął biec.

Biegł bezszelestnie. Ani razu nie padło na nas światło, ani razu nie pojawił się żaden cień. Droga, którą wydostaliśmy się poza obozowisko, nie była ani zawila, ani prosta. Jedyne co można o niej powiedzieć, to że była nie do wykrycia, posuwaliśmy się szlakiem, którego istnienia nikt nie podejrzewał, jego szlakiem.

Nie stawiałem oporu. Zastanawiałem się tylko, dlaczego mnie nie zabili tak jak innych. Byłem wprost zdumiony, nawet wisząc głową w dół rozumiałem, że mam do czynienia z czarodziejem. Żaden zwykły człowiek nie mógłby dostać się i wydostać z obozowiska nie zauważony. Poruszał się, jakby nie ruszając. Taka sytuacja tylko pozornie jest niemożliwa. Biegł z taką płynnością, że nie odczuwało się typowego unoszenia i opadania, a jedynie ruch w poziomie.

Gdy znaleźliśmy się w gęstej dżungli, poruszaliśmy się bardzo szybko. Prawdę mówiąc, mimo że na drodze poszycie i roślinność rosły coraz gęściej, nasza prędkość wzrastała. Jego siła i wytrzymałość były niesamowite. Byliśmy zupełnie osamotnieni, tak przynajmniej sądziłem. Nastała pora, w której zwierzęta nocne chowały się z powrotem do swych nor, a te ożywające za dnia jeszcze się nie obudziły. Panowała zupełna cisza, z rzadka przerywana pojedynczymi odgłosami zaspanych ptaków, niczym dźwiękami z zaświatów.

Poruszaliśmy się tak prawie trzydzieści minut. Nagle Japończyk zatrzymał się, zrzucił mnie z ramienia i rozciągnął materiał, którym mnie zakneblował, tak by zakrywał również moje oczy. Następnie zaczął przedzierać się przez gąszcze, trzymając mnie z tyłu za bluzę, tak że za każdym razem, gdy się potknąłem zawisałem na jego wyciągniętej ręce niczym na wieszaku. Było to strasznie upokarzające, dlatego starałem się o tym nie myśleć.

Po pewnym czasie usłyszałem jakieś ludzkie głosy. Nie mówiłem po japońsku, ale wystarczająco wiele rozumiałem, by się zorientować, o co chodzi. Nie chciałem jednak, by on o tym wiedział. Po pewnym czasie zdjęto mi opaskę i zdałem sobie sprawę, że znajduję się w sercu obozowiska Japończyków. Nie wyglądało ono tak,

jak się spodziewałem. Był to straszny widok, przez chwilę myślałem, że znajdujemy się w szpitalu polowym. Po pierwsze większość żołnierzy albo leżała, albo siedziała. Nie widać było ani wartowników, ani zwartych pododdziałów.

Byliśmy niedaleko morza, choć nie byłem pewien, z której strony wyspy, gdyż zauważyłem to jedynie przez przecinkę w gęstej roślinności. Przez chwilę stałem niepokojony, patrząc jak mój porywacz rozmawia z kilkoma kolegami ubranymi identycznie jak on. Wyglądali na jedynych w pełni sprawnych ludzi w obozowisku. Na początku starałem się zorientować, o czym mówią, ale albo mówili zbyt szybko, albo jakimś dialektem, gdyż nie byłem w stanie ich zrozumieć.

Właśnie nastał poranek i wzdłuż horyzontu pojawił się cienki biały pas, zrozumiałem, że patrzę w kierunku wschodnim. Nagle w oddali ukazała się jakaś plamka, a potem jeszcze jedna. W tej samej chwili usłyszałem ciężki warkot samolotów lecących z północnego zachodu w kierunku Luzon. Był to Dwieście Pierwszy Pułk. Spojrzałem w górę i ujrzałem czarne przeładowane samoloty na tle błękitnego nieba. Chmury, które widać było w nocy praktycznie zniknęły.

Samoloty przeleciały tuż nad nami, kierując się ku morzu, w stronę cienkich plam na horyzoncie, zbliżając się do nich coraz szybciej.

„One lecą zniszczyć wasze okręty”. Przestraszyłem się. Obok mnie stał o kulach szczupły Japończyk. Lewą nogawkę, od kolana w dół, miał podpiętą, ale jego wygląd wskazywał, że śmierć z głodu nadejdzie szybciej niż od gangreny w nodze.

„Twój angielski jest bardzo dobry” - powiedziałem.

„W istocie”. Nadal przyglądał się, jak okręty i samoloty podążają ku sobie. „Oni już nie powrócą, żaden z nich. Tak jest za sprawą Onishi”. Zrozumiałem, że chodzi mu o nowego dowódcę. Pokręcił głową ze smutkiem. „Ludzie mówią, że to on pomógł admirałowi Yamamoto opracować plan ataku na Pearl Harbour”. Strzelił językiem o podniebienie. „Trudno uwierzyć, że odnieśliśmy takie zwycięstwo. To było już tak dawno”. Odwrócił się w moją stronę. „Czy mówisz po japońsku? Nie? Szkoda”. Z powrotem przyglądał się samolotom, które właśnie zbliżały się do okrętów. Działa okrętowe zaczęły już strzelać, tworząc za każdym razem czarne chmury z pomarańczowym płomieniem. Ale odgłosy wybuchów dochodziły do nas dopiero po chwili, wstrząsając wszystko potężnym grzmiotem. „Nie, ci chłopcy już nie wrócą. Mają bilet tylko w jedną stronę”.

Nagle jego słowa dotarły do mnie, przebiwszy się przez mgłę, która zesłała przez ten krótki czas od mojego przybycia. „Czy chcesz powiedzieć - krzyknąłem - że lecą z samobójczą misją? Samolot i pilot...?”

„Tak, stanowią jedną wielką latającą bombę”. Japończyk stał nieruchomo. Wydawało mi się, że w oczach pojawiły mu się łzy, choć jego głos nie odzwierciedlał tego. „To był pomysł wiceadmirała Onishi, zupełnie desperacki. Miał kłopoty z przekonaniem innych dowódców, ale mu się udało”. Nagle powiedział coś po japońsku, co niewątpliwie było przekleństwem. „Widać za mało nas jeszcze zginęło w tej świętej wojnie. Nasz cesarz nadal wysyła swe dzieci na śmierć, choć wszystko już przegrane”. W oddali na poszarzałym horyzoncie samoloty zaczynały nurkować.

Usłyszałem za sobą okrzyk. Nawet nie znając japońskiego zrozumiałem, że to mój porywacz wzywał mnie do siebie. Odchodząc od inwalidy powiedziałem: „Powinieneś coś zjeść”.

Zaśmiał się. „Gdybym tylko mógł, tobym tak nie wysiadywał tu bez sensu”.

„A dlaczego nie jesteś w szpitalu?”

„Przyjmują tylko tych, co mają własny zapas żywności” - powiedział. Jego oczy lśniły rozpromienione. Pod bluzą munduru widać było żebra na wychudzonym ciele. Co ja wyprawiam, pomyślałem w tamtej chwili, przecież to wróg. „Wszyscy zdychamy tu z głodu. Nie chcą nas przyjąć do szpitala, a nasi dowódcy pozbyli się nas, bo nie mamy już sił na walkę z wrogiem. Jest to los niegodny żołnierza. Nie ma w tym nic z rycerskości”. Patrzył na mnie i przez chwilę mogło się wydać, że nie jesteśmy wrogami.

Potem mój porywacz wziął mnie w obroty, głośno pokrzykując pchnął mnie „w inną część obozowiska. Tam również wszędzie leżeli żołnierze. To wszystko wydało mi się bez sensu.

Dopiero wtedy zauważyłem, że porywacz miał przy sobie mały czarny worek, o który prawdopodobnie się kłócili. Było ich czterech, wyglądali jak bracia, żałowałem później, że nie spytałem inwalidy, kim oni są, gdyż było oczywiste, że nie są to zwykli żołnierze. Nie opodal znajdowała się kuchnia polowa, stał tam metalowy kocioł, obok którego leżała sterta *kamote*, czyli małych filipińskich ziemniaków. Leżały tam również jakieś uschnięte bulwy. Z tego najwyraźniej składały się ich posiłki, nic innego nie mieli.

Porywacz wyjął z worka kilka puszek, które niewątpliwie ukradł z naszego obozowiska, choć trudno sobie wyobrazić, jak tego dokonał.

Znów zaczęli się kłócić, zapewne o to, kto ile z tej zdobyczy zagarnie. Porywacz pchnął mnie dalej, rzucając na kolana przy leżących żołnierzach. Miałem ich opatrzyć. Zrozumiałem, w jakim celu mnie tu sprowadzono. Wiedzieli więc dokładnie, że jestem lekarzem, być może wiedzieli znacznie więcej.

Obejrzałem żołnierzy. Niestety nie mogłem im za wiele pomóc, tym bardziej że nie miałem ze sobą ani lekarstw, ani narzędzi. Ale nawet gdybym miał, to i tak nic by to nie dało. Inwalida opisał więc sytuację bardzo trafnie. Ci ludzie umierali z niedożywienia.

Po jakimś czasie wstałem i podszedłem do swego porywcz. „Przykro mi - powiedziałem - ale nic nie mogę dla nich zrobić”.

Bez ostrzeżenia uderzył mnie, robiąc to z taką szybkością, że nie byłem pewien, którą ręką zadał cios. Dopiero co stałem i do niego mówiłem, by po chwili wylądować na błotnistej ziemi.

„Są niedożywieni” - powiedziałem bez zastanowienia.

Schylił się i podniósł mnie. W jego oczach nie dojrzałem najmniejszego napięcia. Uderzył mnie ponownie, tym razem jednak mocniej, robiąc to kantem dłoni. Czułem się tak, jakby mnie uderzyła ciężarówka. Padłem na ziemię znokautowany.

Gdy oprzytomniałem, było już ciemno. Ból rozsadzał mi głowę, mój prawy bark był uszkodzony. Zaszło coś dziwnego, mogłem poruszać palcami, a nawet całą dłonią, ale nie byłem w stanie podnieść ręki nawet o milimetr.

Znajdowałem się w namiocie, leżąc na czymś twardym, wyczuwałem, że nie jest to ziemia. Miałem na sobie tylko bluzę i podkoszulek, od pasa w dół byłem nagi. Chciałem się obrócić, ale nie byłem w stanie, być może gdybym się napiął, tobym nieznacznie poruszył stołem, czy cokolwiek to było, na czym leżałem. Ale gdy próbowałem to robić, głowa zaczynała mi tak puchnąć, że musiałem natychmiast przestać; całe ciało przeszywał ból. Pod zamkniętymi powiekami odczuwałem jakby iskrzenie, zastanawiałem się, w jaki sposób porywacz oddziaływał na mój system nerwowy.

Po chwili zjawił się. Nic nie widziałem, ale wyczułem zmianę w otoczeniu. Ujrzałem jego twarz nad swoją, stał już z niej maskowanie. Natomiast miał nadal na sobie czarny strój, który widocznie służył za mundur.

„Ile zgromadziliście wojska?” - zapytał.

Nie mogło być wątpliwości. Ponieważ okazałem się nieprzydatny jako lekarz, postanowili mnie potraktować jako jeńca. Czułem, co może się z tym wiązać. Powiedziałem tylko swoje nazwisko.

„Jaką siłą ognia dysponujecie?”

Powiedziałem tylko swoje nazwisko.

„Do jakiego zgrupowania należycie?”

Powiedziałem tylko swoje nazwisko.

„Jak wygląda harmonogram działań ofensywnych?”

Tym razem zmieniłem odpowiedź i wymieniłem również swój stopień wojskowy i numer ewidencyjny.

„Kiedy Amerykanie planują zająć Luzon?”

„Wyspa Luzon już została zajęta - powiedziałem - przez Japończyków”.

Zaczął mnie torturować, choć używał tylko opuszek swoich palców - kciuka i wskazującego. Nie potrzebował żadnej z tradycyjnych technik: ani nacinania skóry, przypalania ogniem, ani wstrzykiwania środków farmakologicznych czy pobudzania prądem, ani podtapiania w wodzie. Był znacznie bardziej wyrafinowany.

Robił to przez całą noc, ponad dziesięć godzin. Oczywiście nie bez przerwy, bo bym tego nie zniósł. Ale nawet po tym wszystkim i tak nie było żadnych śladów na moim ciele.

Był prawdziwym czarodziejem. Dobrał się do mojego układu nerwowego i to nie tylko do głównych ośrodków nerwowych, ale do poszczególnych nerwów. Wiedział, gdzie mnie uszczypnąć. Z tego powodu o niczym innym nie byłem w stanie myśleć, taki był zresztą jego cel. Po pewnym czasie wydało mi się, że moje pozostałe zmysły przestały funkcjonować, czułem tylko jeden wielki ból. Nie mając kontroli nad swym ciałem dwa albo trzy razy oddałem mocz, zdając sobie z tego sprawę dopiero po pewnym czasie, gdy dochodził do mnie smród. Ale i zmysł węchu zaczął zanikać.

Wykorzystywał ból, tak jak doświadczona kobieta wykorzystuje rozkosz, gdy doprowadza cię do ekstazy powolnymi, delikatnymi, czułymi pieszczotami, aż znajdziesz się na granicy wytrysku. Pieści cię tak jeszcze przez chwilę, a gdy staje się to nie do zniesienia, przerywa czekając, aż się uspokoisz. Wtedy zaczyna wszystko od nowa, aż wreszcie za którymś razem doprowadza cię do końca i wówczas czujesz się tak wspaniale jak nigdy dotąd. Mój oprawca stosował podobną technikę. Sam wiesz, że po przekroczeniu pewnego poziomu bólu dalszy jego wzrost nie sprawia już żadnej różnicy. Tak jak gdy za często się pieprzysz, drętwieje ci penis. Tak jest i tutaj. Twój system nerwowy ma swój zakres działania, poza którym przestaje funkcjonować i człowiek nic nie czuje. To jest jedyna ochrona w przypadku brutalnego przesłuchania. Ale dzięki swoim umiejętnościom mój oprawca nigdy nie miał takich problemów. Raz po raz zwiększał poziom bólu, utrzymując go na granicy odczuwania, ale nigdy tej granicy nie przekraczał. Miał dokładne wyczucie, ile jestem w stanie znieść i za każdym razem, gdy to było potrzebne, przerywał.

Powtarzał te same pytania na okrągło. Robił to nienerwowo, bez unoszenia głosu, przemawiał do mnie przyjaznym, czułym tonem, tak jakbyśmy byli przyjaciółmi, którzy spotkali się po latach, by wspominać.

Dziwna to była sytuacja. Po pewnym czasie staliśmy się sobie bliscy niczym kochankowie. Chciałem go zrobić swoim powiernikiem, wyjawić mu wszystko, co wiem, tak by nic nas nie



dzieliło. Z czasem zacząłem inaczej odczuwać ból, stał się on... jakby to powiedzieć... mniej bolesny. Tak, mniej bolesny, choć do dzisiaj nie doszedłem do tego, jak to zrobił. Oczywiście zdawałem sobie wtedy sprawę, że znęcając się nad moim ciałem, dociera również do mego umysłu. Ale ta świadomość niczym nie zmieniała sytuacji. Czułem, że tracę równowagę, tak jakbym spacerował po krze. Po pewnym czasie nawet ta kra się załamała i zacząłem tonąć w błotnistej mazi, coraz głębiej. A dno było jeszcze tak daleko.

Przez cały czas ból powoli malał, co kusiło mnie, by zaufać memu oprawcy. Przecież był mi bliski i czułem się nie w porządku, że mu nie ufam. To było nieładnie z mojej strony, byłem niegodny jego przyjaźni.

Moje ciało osiągnęło pewien stan, ale nie było to odrętwienie, gdyż robił wszystko zbyt uważnie. Była to rozkosz. Ogarnęła mnie, gdy tak bardzo starałem się nic nie zdradzić. Pochłaniała coraz więcej mojej uwagi i kilkakrotnie w ostatniej chwili musiałem się ugryźć w język, gdy już byłem na granicy odpowiedzi na powtarzające się pytania.

Czułem, że moja dusza odpływa, dając miejsce zupełnie innej, obcej mi świadomości. Wydawało mi się, że ten człowiek poznał mnie lepiej niż ja sam i to mnie jeszcze bardziej przeraziło. Chciałem mu powiedzieć wszystko, co wiedziałem, a nawet więcej. Byłem przekonany, że gdy to zrobię, przytuli mnie i pocieszy. Rozkosz spowodowana bólem była coraz większa, sprawiał mi przyjemność, pragnąłem, by zadał mi go jeszcze więcej, bo była to jedyna łącząca nas nić i byłem przekonany, że jeśli ją przerwie, nic mi już nie pozostanie, będę wrakiem człowieka. Straciłem poczucie czasu, nie było dla mnie ani przeszłości, do której mógłbym wrócić, ani przyszłości, do której mógłbym dążyć, tylko pełna rozkoszy teraźniejszość. Tyle razy starałem się powstrzymać od mówienia, że mój poszarpany język zakrwawił całe usta.

Nagle wszystko ustało, rozkosz z bólem, po prostu wszystko. Będąc sam w namiocie zacząłem płakać, a właściwie bezłzawo szlochać, gdyż moje ciało tak bardzo odwodniło się podczas nocnych tortur, że nie byłem w stanie uronić ani jednej łzy. Czułem się opuszczony niczym dziecko porzucone przez matkę. Pod wpływem tego, co się stało mój umysł zdzieciniał na tyle, że nie mogłem sobie poradzić bez opieki swego oprawcy, tak jak niemowlę bez opieki matki. Pozostawił mnie samego specjalnie, bym to zrozumiał. Wiedziałem, że gdy powróci będę tak szczęśliwy, że powiem mu wszystko, co zechce i nic mnie przed tym nie powstrzyma.

Nagle wyczułem, że coś się w namiocie poruszyło, z tyłu za moją głową. Pomyślałem, że wrócił mój oprawca i ze szczęścia zacząłem płakać. Usłyszałem, jakby coś szorowało o ziemię. Chciałem przekręcić głowę, ale widziałem tylko falujący od wiatru dach namiotu.

„Wstawaj!” - usłyszałem zachrypnięty szept przy swoim uchu.

„Co się dzieje?” - wydałem z siebie jakiś nienormalny odgłos, był to efekt opuchlizny okaleczonego języka i odwodnienia, coś pomiędzy mową pijaka i chorego umysłowo.

„No, wstawaj! Szybciej!” - powtórzył się głośny syk.

Poczułem, jak ktoś podłożył mi ręce pod kręgosłup i pomaga się podnieść. Było to dla mnie zupełnie nowe odczucie. Przez chwilę patrzyłem z niedowierzaniem na swe ciało, tak jakbym się spodziewał ujrzeć ucięte kończyny albo ręce zagangrenowane od wbitych pod paznokcie żerdzi bambusowych. Ale nie byłem nawet drażniony. Zadrzałem na samo wspomnienie o przeżytych bólu.

„Tędy! - poganiał mnie głos. - No, jazda! Ruszaj się! Nie ma ani chwili do stracenia!”

Ostrożnie zsunąłem się z drewnianej ławy i odwróciłem. Przedemną stał mój znajomy inwalida. Miał twarz napiętą ze zdenerwowania. Wyciągnął dłoń i odchylił róg namiotu od tylnej strony. Przez szparę ujrzałem soczystą zieleń otaczającej dżungli. Wpadające światło poraziło moje oczy, tak że przez chwilę zakręciło mi się w głowie.

Niezdarnie poruszyłem się do przodu, aż musiał mnie podtrzymać, abym się nie przewrócił. „Nie dam rady” - powiedziałem.

„A właśnie że tak - szepnął. - W dzień nie będą cię ścigali”. Podał mi manierkę z wodą i patrzył, jak łapczywie piję. „My też już mamy dosyć tej wojny - powiedział cicho. - To wszystko już nie ma sensu, jest takie żalosne”. Posuwał się na swych kulach do przodu. „Chodź. Mamy mało czasu. Chyba nie chcesz, aby nas tutaj przyłapali?”

Podszedłem do odchylonego narożnika. Serce tak mi waliło, że myślałem, że dostanę zawału, zanim zrobię kilka kroków.

„Nie wiem jak ci dziękować” - powiedziałem, gdy zbliżyłem się do niego.

„Nie musisz - powiedział. - Jesteśmy sobie obcy. Nigdy byśmy nie znaleźli wspólnego języka”.

„Tak uważasz?” - Wyciągnąłem do niego dłoń. Dotknął jej tylko na chwilę i od razu puścił, jakby to go zawstydziło. „Jeszcze jedno pytałem

kim są ci ludzie na czarno?” Dokładnie zrozumiał, o co mi chodzi.

„To nieważne”. Odwrócił się i zaczął opuszczać narożnik namiotu, tę symboliczną granicę między walczącymi stronami.

„Dla mnie ważne, bardzo”.

Już go nie widziałem. „*Ninja*”. - usłyszałem głos, płótno namiotu sprawiło, że doszedł mnie jakby z oddali.

Życzyłem mu dużo szczęścia, ale pewnie już mnie nie usłyszał. Rzuciłem się wprost w zieloną gęstwinę, z dala od obozowiska, z dala od *ninja*...

Gdy doktor Deerforth zakończył swoją długą opowieść, usiadł i przyglądał się skorupce stojącego na stole jajka, jakby chciał w niej znaleźć odpowiedź na zagadki z przeszłości. Jego czoło i wolny od siwych włosów czubek głowy lśniły od potu. Po raz pierwszy od początku opowieści Nicholas wyczuł tykanie zegara ściennego.

Po jakimś czasie Deerforth uniósł głowę, jego zmęczone oczy wpatrywały się w oczy Nicholasa.

— Nigdy nikomu tego nie opowiedziałem - powiedział cicho. - Ani swoim towarzyszom broni, ani dowódcy, ani nawet żonie. Opowiedziałem tobie, Nicholas, bo jestem pewien, że zrozumiesz. - Jego spojrzenie uspokoiło się, Nicholas czuł, jakby był przez nie przesywany, jakby Deerforth prześwietlał jego mózg.

— A więc wiesz, jak jest.

Spojrzenie Deerforth'a wystarczyło za potwierdzenie, nie musiał nic mówić.

— Co masz teraz zamiar zrobić?

— Jak to co? - Deerforth wydawał się zaskoczony pytaniem. - Nic, a niby dlaczego ja miałbym coś zrobić?

— Rozumiem, co czujesz - powiedział Nicholas - do *ninja*.

— Do tego konkretnego - poprawił go Deerforth.

— Oni wszyscy są tacy sami.

— Co ty powiesz.

— Tak się ich wychowuje. Wymaga się od nich jeszcze więcej niż od samurajów, a wszystko otoczone jest wielką tajemnicą. Zgodnie z wielowiekową tradycją.

— Czyż to nie dziwne, że coś tak szlachetnego jak tradycja służy do przenoszenia tak strasznych wartości.

— Nigdy nie myślałem o tym w takich kategoriach, ale masz rację.

— Chcę, abyś tego *ninja* dopadł, Nicholas. - Deerforth odsunął od siebie talerz. - Ty jeden możesz to zrobić. Policja nawet nie wiedziałaby...

— Masz rację.

— ...jak się do tego zabrać. To dobrze, że traf chciał, byś był wmieszany w całą tę sprawę.

Pomyśl tylko, czyż nie mam racji?

Było słonecznie, ani jednej chmury na niebie. Odblaski od chromowanych detali samochodu tak go raziły, że musiał założyć okulary przeciwsłoneczne.

Nicholas opuścił miasteczko udając się w kierunku Dune Road. Zaparkował samochód obok swojego domu, podniósł gazetę pozostawioną przez doręczyciela przed drzwiami i przeleciał bezmyślnie po nagłówkach. Zszedł po schodkach prowadzących na plażę.

Podszedł do domu Justine z prawej strony, nie był więc w stanie zobaczyć, czy jej samochód stał na miejscu. Zarówno letnie drzwi, jak i główne wejście były zamknięte, ale nie było gazety. Ruszył więc po zapiaszczonych schodach.

- Nie ma jej w domu.

Nicholas odwrócił się. Z lewej strony budynku wyłonił się Croaker. Miał na sobie wymięty brązowy garnitur i przekrzywiony krawat. Wyglądało na to, że od kilku nocy nie spał.

— Nie ma jej samochodu.

— Co ty tu robisz, Croaker?

— Przejdźmy się.

Poprowadził Nicholasa w stronę plaży.

— Nie będzie ci w tym stroju zbyt wygodnie - stwierdził Nicholas.

— Nie ma sprawy. Lubię, gdy mi się piasek nasypie do butów, przypomina mi się wtedy dzieciństwo. Całe lato spędzaliśmy w mieście, bo rodziców nie było stać, by nas gdziekolwiek wysłać. Odkręcaliśmy więc hydranty, żeby się wykąpać. - Na drugim końcu plaży jacyś ludzie rozkładali już koce, gdzie indziej z radia włączonego na pełny regulator dobiegała muzyka disco. - Było nas siedmioro rodzeństwa. Nie wiem, jak to się działo, że dawaliśmy radę przy zarobkach ojca. Ale mimo to raz w miesiącu, każdego lata, z dokładnością zegarka, wołał mnie do siebie przed wyjściem do pracy. „Lewis - wołał - chodź no tu. Mam coś dla ciebie”. Po czym dawał mi drobne na bilety na Coney Island i kupno lodu. Wiedział, jak bardzo kocham kąpiel w morzu. „Ale obiecaj mi jedno - powtarzał za każdym razem. - Weź ze sobą ręcznik. Nie chcę, aby twoja matka się zamartwiała. Dobrze?”

Ktoś z rozpędem rzucił się na fale, śmiejąc się. Dalej w morze, nad wodą unosiły się głowy pływaków. Jakaś kobieta ubrana w jednoczęściowy obcisły kostium szła w ich kierunku z dużym ręcznikiem przerzuconym od niechcienia przez ramię. Nicholas pomyślał o Justine, zastanawiając się, gdzie ona może być.

- Taaak, z piaskiem zaznajomiłem się już dawno temu. Kobieta w kostiumie zbliżyła się na tyle, że mogli się przekonać o jej urodzie. Jej długie włosy mieniły się w słońcu. Przebiegła obok

nich, aby spotkać się z ukochanym.

Patrząc w górę, Croaker zmrużył oczy.

- Wczoraj wieczorem wyrzuciłem z domu Alison. Nicholas spojrział na niego milcząco.

Croaker uśmiechnął się, ale tamten nie dojrzał tego.

- No, może niezupełnie tak. Po prostu oboje mieliśmy już tego dosyć. Byliśmy zniecierpliwieni. - Włożył swe ogromne dłonie do kieszeni spodni. - Żadne z nas nie skrzywdziło drugiego. Ona da sobie jakoś radę. Wszystko... - wzruszył ramionami - z czasem się jakoś układa i w ogóle...

Stanęli jednocześnie, jakby na zawołanie. Woda dopływała prawie do ich stóp. Na małym wybrzuszeniu z piasku leżała ciemna gałąź wodorostów.

Croaker spojrział na swe buty, na wpół zanurzone w piasku. Gdy uniósł głowę, powiedział wprost.

- Słuchaj, Nick, Vincent nie żyje. Znaleźli go martwego wczoraj wieczorem. Miał złamany kark.

Nicholas wziął głęboki oddech i usiadł na piasku. Objął rękoma kolana i wpatrywał się w morze.

- Nick...

Był otępiały, jakby ktoś znieczulił jego mózg. Przypomniawszy sobie, co Deerforth mówił o bólu. Miał wystarczająco dużo problemów. Dzisiaj miał się odbyć pogrzeb Terry'ego i Eileen.

- O Boże - powiedział. - Wielki Boże. Croaker przykucnął obok niego.

- Nick - powiedział cicho. - Nie było innego sposobu na to, by ci przekazać wiadomość. Mogłem zadzwonić, ale nigdy bym tego nie uczynił.

Nicholas pokiwał głową. Mimo otępienia zrozumiał, że Croaker uważał się za jego dłużnika. Doceniał fakt, że przejechał taki kawał drogi, gdy równie dobrze mógł wziąć słuchawkę i wykręcić numer.

— Nick - powiedział Croaker. Zawahał się jednak. Nicholas odwrócił się w jego stronę.

— Co to wszystko ma znaczyć? Musisz mi wyjaśnić.

— Sam nie wiem. Co chciałbyś wiedzieć? Ja... widzisz, tu chodzi o Tomkina, jest w poważnych tarapatach. Jakiś tydzień temu dostał od *ninja* ostrzeżenie, wszystko się zgadza, widziałem je, to nie żaden kawał. On prowadzi wiele interesów z wielkimi japońskimi firmami. W interesach nie ma miejsca na sentymenty, w szczególności tam. Podpadł im w jakiś sposób. Tak czy inaczej obraził ich strasznie. Dlatego wysłali człowieka, by go zabił.

- Próbowano już to zrobić wiele razy, Tomkin to niezły chuligan, da sobie radę bez ciebie.

Nicholas pokręcił głową.

— I tu się mylisz. Bez mojej ochrony zginie.

— Ale to wszystko się nie trzyma kupy, nie widzisz tego? Dwa morderstwa tutaj, trzy w mieście. I żadna z tych osób nie miała nic wspólnego z Tomkinem.

— Musiały mieć - obstawał uparcie Nicholas. - Starano się nawet przestraszyć Justine. - Opowiedział mu o tym, co wrzucono przez okno do jej kuchni.

Croaker popatrzył na niego przez chwilę. W oddali słychać było syk fal wchłanianych przez nabrzeżny piasek.

- A może - Croaker mówił powoli - to ostrzeżenie nie było przeznaczone dla Justine.

Nicholas przyglądał się Croakerowi.

— Co masz na myśli?

— Powiedzmy sobie szczerze. Uważam, że było przeznaczone dla ciebie.

Nicholas próbował się zaśmiać.

— Dla mnie? Bądź poważny. Niby z jakiego powodu...

— Jakiś musi być - powiedział Croaker z powagą. - Przypatrz się uważnie. Obie śmierci tutaj, potem Terry i Eileen, teraz Vincent. Jesteś dla nich wspólnym mianownikiem.

— Nie znałem drugiej ofiary.

— Nie, ale zabito tego człowieka w pobliżu twego domu.

— Lew, to było w pobliżu wielu domów.

— Tak, ale tylko jednemu z okolicznych mieszkańców niedługo potem zabito trzech przyjaciół.

To oczywiście miało sens, ale Nicholas wiedział, że nie wszystko dzieje się zgodnie z logiką. Pokręcił głową.

— Nie przekonałeś mnie. Jak powiedziałem, nie widzę powodu. Sądzę, że te morderstwa są dla odwrócenia uwagi.

— Niezłe odwrócenie uwagi! - burknął Croaker.

— Dla niego to żadna różnica, czy ty tego nie rozumiesz? On wie, że poprzez Justine jestem w to wszystko wciągnięty. Ja jestem dla niego głównym zagrożeniem, a nie ty, ani nie goryle Tomkina. Ma tego świadomość. Ale jego celem jest Tomkin, to oczywiste. Chce nas tylko zmylić.

Croaker uniósł dłoń.

- No dobrze, już dobrze, to była tylko hipoteza. Mam nadzieję, że się nie mylisz, gdyż o wiele bardziej zależało mi na Vincencie Ito niż na Raphaelu Tomkinie.

Nicholas popatrzył na niego. Ich przyjaźń nie mogła już się bardziej uzewnętrznić. Uśmiechnął się.

- Dzięki. To co zrobiłeś, bardzo wiele dla mnie znaczy. Wiem, że znaczyłoby również dla Vincenta.

Wstali. Croaker przez cały ten czas, mimo gorąca, miał na sobie marynarkę. Pocił się obficie

i w końcu ją zdjął. Jego cienka biała koszula była cała przepocona.

— Jesteś gotów do drogi? Nicholas przytaknął.

— Mam jedno pytanie, Lew. - Zawahał się.

— Mów.

— Możesz nie chcieć mi odpowiedzieć.

— To ci wtedy nie odpowiem. Dobra? Nicholas uśmiechnął się.

- Dobra. - Poszli plażą w kierunku samochodu Croakera. - Co ciebie łączy z Tomkinem?

Croaker otworzył drzwi, wrzucił marynarkę na tylne siedzenie i siadł za kółkiem. Choć zaparkował samochód w cieniu, to i tak wewnątrz było nagrzane. Nicholas wsiadł z drugiej strony i ruszyli.

- Masz rację - powiedział - mógłbym nie chcieć ci powiedzieć. A parę dni temu nie zrobiłbym tego na pewno. - Wykonał niepełny nawrót i skierował się wzdłuż Dune Road w stronę mostu nad kanałem.

- Ale wiele się zmieniło i wydaje mi się, że mogę ci zaufać, nie mam nikogo innego, komu mógłbym, a nie potrafię dalej już tak żyć.

Przetoczyli się przez most, kierując się wzdłuż domków i małych łodzi, unoszących się na wodzie z uniesionymi silnikami, w stronę autostrady.

- Czy słyszałeś o aferze Didion? Nicholas był zaskoczony.

- Masz na myśli zabójstwo tej modelki? Pisali o tym w gazetach. Była na okładkach wszystkich czasopism.

— Taaak - powiedział Croaker w zamyśleniu. - Piękną kobietą, olśniewająco piękną. Wydawało się, że to dla jej urody wymyślono to słowo.

— Mówisz tak, jakbyś...

— Nie, nie mylisz się. - Wjechali na autostradę i Croaker dodał gazu. Powietrze „było tak nagrzane, że w ogóle ich nie chłodziło. - Ale wiesz, co mnie uderzyło; że ta dziewczyna niczym nie różni się od innych. Każdy ocenia taką osobę tylko po tym, co widzi w gazetach, po pięknej twarzy, po zgrabnym ciele. Nikt nie pomyśli, że ona też może być wkurwiona na świat, co? Że sobie beknie po dobrym posiłku, że od czasu do czasu sobie pierdnie. Normalne ludzkie odruchy.

Zjechał na sąsiedni pas, by ominąć biało-niebieski autobus, którego dieslowski silnik produkował trujące wyziewy. Gdy się z nim zrównali, Croaker nacisnął klakson, po czym pognali na zachód.

- A gdy już nie żyła, wszyscy szukali sensacji. Była gwiazdą, dzięki której zarabiano wiele pieniędzy, nie mówiąc o tych wszystkich zakochanych w niej facetach. Ale nikt, możesz być pewien, nie powiedział: „Kolejna niepotrzebna śmierć”. Ale wiesz, chłopie, ja tak właśnie pomyślałem, gdy wszedłem do jej sypialni i zobaczyłem ostygnięte ciało. Pomyślałem: „To przecież człowiek i dlatego muszę znaleźć jej zabójcę”. - Wzruszył ramionami. - Ale co tam, zrobiłbym tak samo w przypadku najpodlejszej kurewki, którą by sprzątnięto. Robiłem tak już wiele razy. Choć mój szef nie pochwała tego, ale chuj z nim, nigdy mi nie zależało na opinii tego kutasa. „Szkoda na to społecznych pieniędzy, Croaker - mówił. - Znajdź coś bardziej pożytecznego do roboty”. O Boże, ten cham zawsze ma jeden palec w nosie, a drugi w dupie!

Tak czy inaczej, sprawa stała się zagadką stulecia. Nie mam ani jednego tropu, którym mógłbym pójść. Nic, tylko same niewiadome, tak jakby ich nie było dosyć w filmach.

Z tego, co widziałem w jej sypialni, nie spędziła tej nocy sama. Była z nią inna kobieta. Kobieta, która utrzymywała z Angelą Didion kontakty seksualne i która prawdopodobnie była świadkiem zbrodni. Problem w tym, że zaginęła bez śladu, tak jakby jej nigdy nie było.

Stałem więc w martwym punkcie, a gazety cały czas nawołują, by znaleźć sprawcę, co powoduje, że komendant policji objeżdża mojego szefa, który z kolei... ale właściwie nie ma co się nad tym rozwodzić, prawda? Przecież łapiesz, jak jest.

Skreśli przed gąszczem zjazdów prowadzących na Manhattan i poruszając się długim łukiem trafili na Queens Boulevard. Ruch w kierunku zachodnim był umiarkowany, posuwali się więc z niezłą prędkością.

- Kilku naszych ludzi chodziło po domu zadając pytania. Ale ponieważ mieszka tam wiele sław, kazano nam robić wszystko bardzo dyskretnie, no i skończyło się na niczym.

No dobra, kończę. A więc tydzień później, gdy wszyscy szukali kozła ofiarnego, na którego można by zwalić brak postępów w śledztwie, a kozłem tym miałem być ja, zdecydowałem zająć się



wszystkim osobiście. Będę mówił skrótami, tak byś nie zasnął z nudów. Otóż okazało się, że nasi ludzie nie rozmawiali z jedyną z sąsiadek, która akurat była wtedy nieobecna. Wiesz, wystarczyło trochę poszperać, by trafić na interesujący szczegół, że sąsiadka ta wyjechała do Palm Springs na Florydzie następnego ranka po morderstwie. Pozostała tam przez tydzień i powróciła. Jest kobietą pod pięćdziesiątkę, ale wygląda na o dziesięć lat starszą. To z powodu alkoholu. Rozmawiałem z nią o dziesiątej rano i już zalatywało od niej ginem. Ręce jej się trzęsły i nie mogła powstrzymać się od picia nawet w mojej obecności.

Z bulwaru Queens na wysokości bulwaru Yellowstone skręcili na południe. Znaleźli się w dzielnicy Forest Hills.

- Ale najciekawsze jest to, że przysięgała mi, że widziała, jak jakiś mężczyzna odwiedzał Angelę Didion, i to od sześciu miesięcy. To mogło trwać nawet dłużej, ale dopiero od sześciu miesięcy przychodził regularnie. Podobno kiedyś mieli poważną awanturę i od tego czasu sąsiadka często obserwowwała korytarz przez wizjer. W jej wieku nie ma nic lepszego do roboty.

Zatrzymali się przy niewielkim parterowym budynku z białej cegły. Wykończenia zrobione były w kolorze pruskiej zieleni. Na trawniku przed budynkiem, stał słup ze zwisającym białoczarnym szyldem: DOM POGRZEBOWY PARKSIDE. Na drugim końcu trawnika stał potężny wiąz. Drewniane drzwi wejściowe były otwarte. Siedząc w samochodzie, Nicholas zauważył, jak weszło kilka osób, poznał wśród nich jednego z instruktorów sztuk walki.

— Opisała mi tego mężczyznę w najdrobniejszych szczegółach, Nick. Nie mam żadnych wątpliwości, że to był Raphael Tomkin.

— No więc Tomkin miał romans z Angelą Didion. Cóż w tym dziwnego, dwoje bogatych ludzi mieszkających w tym samym bloku. Czy widziała go tam tego konkretnego wieczoru?

Croaker spojrział przez okno na wiąz, który delikatnie zaszeleścił od podmuchu ciepłego wiatorku.

- Ona boi się latania - powiedział po chwili. - Wzięła więc jakieś środki uspokajające, popiła dużą ilością ginu i zasnęła, to było o szóstej po południu. Obudziła się dopiero następnego ranka koło piątej.

— Aby zdążyć na samolot do Key West na Florydzie.

— Taaak, otóż to. - Croaker spojrział na niego. - Wiem, ile wiem. Kilkakrotnie sprawdzałem miejsca pobytu wszystkich jej znajomych. To był Tomkin, to pewne.

— Ale nie masz na to dowodów, Lew - powiedział Nicholas. - Nie masz nic.

— Albo jeszcze mniej - dorzucił w zasepieniu Croaker. Wysiadł z samochodu razem z Nicholasem, który szedł za nim po kamiennej ścieżce do domu pogrzebowego.

Kolejny z instruktorów zatrzymał Nicholasa na schodach, by coś mu przekazać. Nicholas kiwnął głową.

— Posłuchaj - powiedział Croaker przyciągając Nicholasa jeszcze bliżej, by słyszał jego szept - dochodzenie w tej sprawie zostało oficjalnie umorzone i kwita. Tak mi przekazał ten tłuścioch, mój szef. Musiał dostać polecenia z góry, bo nikt nie byłby taki głupi, by załatwiać sprawy z takim dupkiem.

— Chcesz powiedzieć, że ktoś komuś posmarował, by tak się stało?

— Chcę powiedzieć, że gdybym nawet miał najmniejsze podejrzenia co do współudziału Tomkina w tym morderstwie, to i tak to nie ma znaczenia po umorzeniu sprawy. Niewielu jest ludzi, którzy mają takie wpływy, by uciąć jakieś dochodzenie, ale on się do nich zalicza. Ale ostatnio trafiłem na trop. Jeden z moich konfidentów dał mi cynk, że coś ma na temat kobiety, która była tej nocy w mieszkaniu Angeli Didion. Czekam, aż mi przekaże jej nazwisko i adres, a gdy tylko będę je miał, to dopadnę tego skurwysyna i powieszę.

Uroczystość była krótka choć bardzo wymowna, w połowie w języku angielskim, w połowie w japońskim. Ale tak naprawdę była w stylu amerykańskim, czego oboje zmarli pragnęli. Nicholasa poproszono, by wygłosił krótkie wspomnienie o Terrym i Eileen, co zrobił w języku japońskim. Przez cały czas towarzyszyła im muzyka, w wykonaniu kilku przyjaciół Eileen, zawodowych muzyków. Grali tradycyjne utwory japońskie na harfie *koto* i flecie *shakuhachi*. Było też pełno kwiatów.

Croaker poczekał, aż odeszli kawałek od grobów. Grabarze zaczęli już przysypywać urny. Spadająca brązowa ziemia nie dawała żadnych odgłosów.

- Nick - powiedział - co mógłbyś powiedzieć na temat takich nazwisk jak Hideoshi, Yodogimi i Mitsunari?

Nicholas zatrzymał się i odwrócił od rażącego słońca, by nie zakładać okularów.

-To imiona sławnych postaci w historii Japonii. A dlaczego pytasz?

Croaker udał, że nie słyszy pytania.

- Czy ludzie o takich imionach mogą żyć współcześnie? Nicholas wzruszył ramionami.

— Być może tak, nawet na pewno. To są znane imiona, powiązane ze sobą poprzez wydarzenia historyczne. Szansa na to...

— Rozumiem.

Idąc czarną szutrową drogą usłyszeli trzaśnięcie drzwiami samochodowymi, to znów odgłos silnika, dźwięki te trwały jakby unoszone dalej przez gorące powietrze. Pobocze wysadzone było klonami i platanami, których liście szeleściły. Było coraz cieplej.

- Powiedz mi lepiej, o co chodzi.

Croaker sięgnął do kieszeni marynarki i podał Nicholasowi cienką karteczkę papieru.

— Znalazłem to w kieszeni Terry'ego, gdy byłem w kostnicy. Mógł to napisać tego wieczoru, kiedy został zamordowany.

— No i co z tego?

— Otóż po południu, w dniu morderstwa, do *dojo* Terry'ego przyszedł pewien mężczyzna, Japończyk. Dwaj instruktorzy, jeden od *aikido* drugi od *karate*, ci tak zwani *sansei*...

— *Sensei*.

— No dobra, jaka różnica. Otóż oni stwierdzili, że był najlepiej wy trenowanym człowiekiem, z jakim kiedykolwiek się zmierzyli. Po nich walczył jeszcze w pojedynku *kendo* z Terryem. Vincent opowiedział mi, że gdy się później spotkali na kolacji, Terry był przejęty tą wizytą.

Nicholas patrzył na niego, nie zwracając uwagi na trzymaną karteczkę. Była cienka i wymięta, z plamami najprawdopodobniej od potu.

— Ale w czym tkwi problem?

— Otóż ten Japończyk przedstawił się jako Hideoshi.

Nicholas spojrział przez chwilę w stronę cmentarza. Białe marmurowe nagrobki aż lśniły w palącym słońcu, a nawet i te z szarego lub prążkowanego kamienia wydawały się podobne do obłoków, tak jakby zaraz miały się oderwać od ziemi i poszybować w niebo. Ponieważ był to dzień roboczy, niewielu ludzi spacerowało alejkami czy po nisko przystrzyżonym trawniku. Małe bukietki kolorowych kwiatków, ustawione tam gdzie umarli rozpoczynali swą wędrówkę do niebios, stwarzały nastrój niecmentarnej wesołości, jakby pobojuwiska po dopiero co zakończonym festynie. Na horyzoncie żółty spychacz wyrównywał jakieś ugory. Jeszcze dalej betonowo-stalowym łukiem unosił się wiadukt autostrady, z której szum samochodów dobiegał tak przytłumiony, że wydał się Nicholasowi podobny do odgłosów fal wylewających się na piaszczysty brzeg.

- W 1598 roku - zaczął opowiadać - Hideoshi, który pełnił godność *kampaku*, czyli zwierzchnika wszystkich *daimyo*, umierał. Powszechnie uważa się, że jako człowiek dalekowzroczny przekazał władzę Ieyasu Tokugawie, najpotężniejszemu z dostojników zasiadających w rządzącej radzie. Prawda jest jednak nieco inna. Hideoshi miał konkubinę o imieniu Yodogimi, która powiła mu syna. Kochał ich oboje, a przede wszystkim pragnął, by jego miejsce jako władcy Japonii zostało kiedyś zajęte przez syna. Dlatego wezwał swego bliskiego przyjaciela, komendanta straży imieniem Mitsunari. Przykazał mu w ścisłej tajemnicy, by chronił Yodogimi oraz chłopca i tym samym ustawiał go w opozycji do Ieyasu. „Mitsunari, mój przyjacielu - powiedział Hideoshi. - Ieyasu rozkoszuje się myślą o mojej rychłej śmierci, choć usiłuje to ukryć. Ale nie daj się zwieść, Ieyasu jest równie przebiegły jak silny. W niedługim czasie zapragnie zostać shogunem. Przyjacielu, musisz mu stawić czoło, jak tylko potrafisz, gdyż aby dopiąć celu, Ieyasu będzie musiał zabić Yodogimi i mego dziedzica”.

Niedługo później do Hideoshiego przybył Ieyasu. „Jesteś najsilniejszym z członków rady - mówił do niego umierający - dlatego to ty musisz objąć władzę, gdy ja odejdę”. „Nie wolno ci tak mówić, *kampaku* - odpowiedział Ieyasu, ale Hideoshi dał mu znać, by zamilkł. „Słuchaj dobrze, co powiem, bo nie mam czasu tego powtarzać. Gdy mnie już nie będzie, wśród członków rady zaczną się spory. Skłóceni dostojnicy podzielą się na obozy i kraj ponownie zostanie pogrążony w wojnie domowej. Trzeba temu zapobiec. Inni *daimyo* nic nie znaczą, musisz się ich pozbyć i swymi rządami zapobiec wojnie domowej, która mogłaby doprowadzić do rozpadu Japonii”. Wtedy Ieyasu Tokugawa schylił głowę zgadzając się z Hideoshim.

W taki to sposób, w chwili śmierci, Hideoshi puścił w ruch machinę, która w końcowym efekcie miała przynieść władzę jego synowi; pragnął tym samym już po swej śmierci wpłynąć na bieg wydarzeń w Japonii. Wiedział, że umiera w nie najszcześniejszym momencie, jego syn był stanowczo za młody, by móc się bronić lub utrzymać u swego boku wszystkich poza garstką tych, którzy popierali jego ojca. Wiedział, jak bardzo Ieyasu pragnie zostać shogunem, a na to nie miał zamiaru pozwolić. Ta godność była przeznaczona dla jego syna.

Po lewej stronie niewielki kondukt pogrzebowy poruszał się powoli, krocząc od nagrzanej czarnej szutrowej drogi, wzdłuż jednej z wąskich ścieżek, w kierunku otwartej mogiły. Błyszcząca urna była już na miejscu, otoczona wieńcami. Gdy żałobnicy ustawiali się, jedna z kobiet nagle przewróciła się wywołując tym pewne zamieszanie. Ze względu na odległość i rozgrzane powietrze, nie dobiegły ich stamtąd żadne dźwięki, co sprawiło, że odnieśli wrażenie, jakby oglądali nieme kino.

— Czy plan Hideoshiego powiódł się? - zapytał po chwili Croaker.

— Nie - odpowiedział Nicholas - nie powiódł się. - Nadal obserwował tamtą grupę. Kobieta podniosła się i ceremonia mogła trwać dalej. - Po pierwsze, Tokugawa był zbyt przebiegły i silny.

Po j drugie, Mitsunari zgromadził wokół siebie grupę *daimyo*, którzy niestety nie byli w stanie pokonać Ieyasu. W 1615 roku Ieyasu poprowadził swe wojska przeciwko tym, którzy stanęli w obronie Yodogimi i jej syna. Buntownicy schronili się w zamku w Osace, który rzekomo był nie do zdobycia. Czwartego czerwca tegoż roku wojska Tokugawy przekroczyły bramy warowni. Yodogimi i jej syn już nie żyli. Kobieta zabiła najpierw chłopca, a później popełniła *seppuku*.

— To kto w tej historii jest czarnym charakterem?

Coś błysnęło na niebie i dobiegł ich silny grzmot i drgania od boeinga 747 startującego z lotniska Kennedy'ego.

— To zależy od punktu widzenia - odpowiedział Nicholas. - Ale powiem ci jedno, Ieyasu był jednym z największych wodzów \*w całej historii Japonii. Czy Hideoshi dostrzegał w nim te cechy, jest sprawą dyskusyjną. Tak czy inaczej byli to ludzie całkowicie odmienni i trudno byłoby jednoznacznie stanąć za którymś z nich. Obydwaj odegrali dużą rolę w rozwoju swego kraju.

— Ale w końcu to Hideoshi okazał się przegranym - podsumował Croaker. - Był ostatnim przedstawicielem swej dynastii. - Nicholas nie odezwał się. Na cmentarzu zapanował całkowity spokój. Ludzie upodobnili się do posągów, nieruchomiejąc, jakby byli częścią fotografii. W oddali na zachodzie widać było zamglone wieżowce Manhattanu, które wydawały się nie na miejscu, niczym dekoracje teatralne wymieszane przez pijanego scenografa. Croaker, gdy znów przemówił, zrobił to ciszej. - Dlaczego więc ten człowiek przyjął imię Hideoshiego, o ile nie nazywa się tak naprawdę, jeżeli tamten w ostateczności poniósł porażkę?

Nicholas lekko się uśmiechnął i odwrócił w stronę Croakera. Odnosił dziwne wrażenie, że w zależności od tego, jak padło światło, twarz tamtego mogła się wydać bądź szorstka, bądź okaleczona. Być może była taka i taka jednocześnie.

-Masz typowy amerykański sposób patrzenia na sprawy - powiedział. - W Japonii istnieje coś takiego jak cześć pokonanego.

Wielu bohaterów narodowych poniosło porażkę w dążeniu do celu, ale same ich postawy i dążenia były godne szacunku. Tu na Zachodzie czci się tylko zwycięzców, czyż to nie jest godne pożałowania?

Croaker, zwrócony do słońca, przymrużył oczy.

- Chcesz przez to powiedzieć, że Hideoshi jest bohaterem narodowym?

Nicholas przytaknął.

— Otóż to.

— A co z pozostałymi nazwiskami na liście? Jak się mają do tego, co powiedziałeś?

— Szczerze mówiąc nie wiem, ale na pewno to nie są tylko bazgroły. - Oddał karteczkę Croakerowi.

— To ja już nic nie rozumiem.

— Ani ja - skomentował Nicholas.

Wokół nich panował spokój, który jednak nie miał nic wspólnego z żałobą ani śmiercią czy porażką. Nicholas pomyślał, że już bardzo długo nie czuł się tak blisko związany z innym mężczyzną jak teraz z Croakerem.

- Wiesz - powiedział - gdy wiele lat temu przyjechałem do tego kraju, z premedytacją starałem się zmienić swój sposób życia, wykluczając z niego część tego, co było do tej pory. Nikomu nie przychodzi to łatwo, a w szczególności komuś, kto wychowywał się w Japonii. Czułem jednak pewne zobowiązanie wobec swego ojca, do Zachodu, który on dla mnie uosabiał, skryte gdzieś głęboko.

Oczy Croakera błyszczały w świetle słonecznym, gdy patrzył na Nicholasa w milczeniu. Nauczył się doceniać taki sposób okazywania szacunku.

- I nagle stwierdziłem, że to nie to. Tak po prostu. I poczułem się tak, jakbym obudził się z letargu. Stwierdziłem, że przez te lata nic wartościowego nie robiłem, do niczego nie doszedłem. Nie chciałem tak jak mój ojciec czuć pod koniec życia, że je zmarnowałem. Wystarczyło mi, że byłem świadkiem jego cierpienia, jego smutku. Nie mogłem pozwolić, by to samo stało się ze mną.

Przez chwilę stali w milczeniu, jakby słuchając wiatru poruszającego więzami. Było potwornie gorąco.

- A po tym wszystkim? - Croaker zawahał się w pół zdania, nadal nie był pewien czy wypada. - Czy coś się zmieniło?

Nicholas zaśmiał się ironicznie.

- Wszystko. Czuję się tak, jakby ostatnich kilku lat w ogóle nie było.

-Staram się sobie wyobrazić, jakby mnie się coś takiego zdarzyło. Nicholas przyglądał mu się z zadowoleniem.

Niby na jakiś znak, ruszyli powoli ścieżką w stronę samochodu Croakera. Obaj nie spieszyli się, jakby obawiając się miejskiego harmidru. Przy samochodzie Croaker zapytał:

— Co sądzisz o ojcu Justine? Nicholas spojrział na niego.

— Dziwnie to ująłeś. Croaker wzruszył ramionami.

— Tak wyszło. Ale Nicholas podejrzewał swego przyjaciela o to, że chce go przed czymś przestrzec.

- Na początku go znienawidziłem - mówił powoli, jakby sobie sprawy przemyślał w trakcie wypowiedzi. - Ale nic w tym dziwnego, biorąc pod uwagę nastawienie do ojca samej Justine i sposób, w jaki ją poznałem. Jest rozważny i twardy, lubi, gdy wszystko jest po jego myśli. Nie znoszę takich osób.

- Domyślam się jednak, że widzisz też jakieś plusy. Nicholas stanął i spojrział mu w twarz.

— Słuchaj, nie ma nic prostszego niż ocenić go jednostronnie jako niedobrego bogacza, podobnego do jakichś książkowych czarnych charakterów. Tak nie można.

— Ależ to morderca, Nick.

— On jest w niebezpieczeństwie...

— O Boże...

— On kocha swoje córki niezależnie od tego, co o nim sądzą. Zrobiłby dla nich wszystko.

A poza tym nie jest taki pewny siebie, jak być powinien. Jest coś...

— Zgrywa się przed tobą. Potrzebuje twojej pomocy, a wie, że nie jesteś głupkiem.

— Ja naprawdę uważam, że się mylisz. Nie jest taki płytki, jak sądzisz.

— No dobra. Więc ten twój *ninja* chodzi i zabija ludzi - powiedział Croaker. - Ale musi gdzieś mieć jakiś dom, do którego wraca, by się pokochać. Jest przecież młody.

— Chyba nie łapiesz niuansów...

— Człowieku, nawet rekin ludojad musi się pierdolić.

— Patrzysz na to tylko z jednego punktu widzenia. Croaker pokręcił głową.

— Nie, Nick, ja po prostu znam go lepiej.

w drodze do centrum Croaker opowiedział Nicholasowi wszystko co wiedział o okolicznościach zabójstwa Vincenta. Niewiele tego było.

Potem wysadził go przed biurkiem Tomkina w alei Parkowej i pojechał dalej. W jego gabinecie w komisariacie czekało na niego sprawozdanie z sekcji zwłok Vincenta. Przerzucił przeпоconą marynarkę przez oparcie swego szarozielonego krzesła, z kieszeni wyjął gumę do żucia, włożył ją do ust i wziął się za sprawozdanie.

Podczas czytania na jego czole i nad górną wargą pojawiły się krople potu. Palcami przeczesał włosy i zaklął pod nosem. Potem chwycił za telefon, na drugim końcu podniesiono od razu słuchawkę.

— Nate? - powiedział, gdy usłyszał głos naczelnego lekarza sądowego. - Mówi Croaker. Dzięki za sprawozdanie w sprawie Vincenta. Ktoś się musiał się nieźle natrudzić, by móc je tak szybko podrzucić.

— Ja to zrobiłem. - Graumann wydał mu się zmęczony. - Wszyscy jesteśmy nadal pod wrażeniem tego, co się stało i...

— Słuchaj, Nate, staram się tę sprawę rozgryźć. Praktycznie żadnego tropu - przyznał Croaker. - Jedynie przypuszczenie, że to morderstwo wiąże się z wcześniejszą śmiercią Terry'ego Tanaki i Eileen Okury, którzy byli jego przyjaciółmi.

— Taaak, pamiętam ich nazwiska. Vincent sam przeprowadził na nich sekcje. Ale skąd to przypuszczenie, przecież nie ma żadnego podobieństwa w narzędziu zbrodni.

Croaker przetarł oczy.

— Wszystko co mogę w tej chwili powiedzieć, to że narzędzie zbrodni nie gra roli.

— Rozumiem. Dzwoniłem do doktora Deerfortha, chciałem, by się ode mnie dowiedział o tej śmierci.

— Jak to zniósł?

— Nie najlepiej. Słuchaj, Lew, byliśmy... to znaczy byłbym wdzięczny, jak byś się zajął tą sprawą... no wiesz, co chcę ci powiedzieć... - Jego głos zawisł w pół zdania.

— Wiem, że byliście bardzo ze sobą zżyci. Wierz mi, jak tylko coś będę miał, dam ci znać. - Podniósł wzrok i ujrzał Vegasa stojącego w drzwiach, uśmiechniętego niczym kot z „Alicji w krainie czarów”. Uniósł jeden palec, po czym przykrył dłonią mikrofon i powiedział: - Zaczekaj chwilę, zaraz kończę.

— ...przygotowania pogrzebu - dokończył Graumann.

— Zrób to - powiedział Croaker. - Chcę przy tym być. - Spojrzał na sprawozdanie. - Co do tej trucizny... jesteś całkiem pewien...



— Jak wspomniałem wcześniej, przeprowadziłem sekcję osobiście. Nie ma żadnych wątpliwości.

— To dobrze, ułatwi nam to trochę zadanie.

— Nie ma najmniejszej wątpliwości, aby ta trucizna dostała się do jego ciała przypadkowo. Tym bardziej że nastąpiło to na krótko przed śmiercią.

— Rozumiem - powiedział Croaker śledząc jednocześnie słowa w tekście. - To była jakaś odmiana środka paralizującego, która opóźniała reakcje jego ciała na bodźce w mózgu w taki sposób, że...

— Powiedziałbym, że w momencie samego ataku był całkowicie bezbronny.

— Czy tę truciznę wstrzyknięto?

— Nie, bo wówczas by nie zadziałała. Ona jest zrobiona na podłożu organicznym, a nie syntetycznym jak większość leków. Musiała więc zostać rozpylona na jego ciele z bliskiej odległości. Mógł więc znać swego mordercę.

— Albo zostać zaskoczonym. Mógł to być każdy, nawet ktoś, kto nagle wyłonił się z tłumu i rozpylił ten środek. Słuchaj, przedzwonię do ciebie za jakiś czas.

— Dobra, tylko żeby nie musiał zbyt długo czekać.

Croaker odłożył słuchawkę w zamyśleniu. Nadal żadnej wiadomości od konfidenta. Co on się tak, kurwa, z tym guzdra?

— Wejdz - powiedział do Vegasa. Przerzucił gumę z jednej strony na drugą. - Gdzie ty się podziewałeś? - Vegas miał na sobie fioletowy garnitur, z szerokimi klapami i rozszerzonymi u dołu nogawkami. Pod spodem miał różową koszulę ze stojącym kołnierzykiem.

— Byłem w terenie, polując na tych sukinsynów - odpowiedział Vegas, nadal pełen uśmiechu. - Wiesz, facet, ci goście co ich przyskrzynyłem, to jedno wielkie gówno. Trzy miesiące ciężkiej harówki, by ich mieć.

Croaker burknął:

— Tak bywa. - Nadal myślał o sprawozdaniu.

— Nie, facet, tak nie może być. - Vegas oparł swe potężne ciało o framugę otwartych drzwi, rezygnując z siadania na krześle. - Tym razem zwinęliśmy przy okazji jedną cizję.

Croaker mlasnęła głośno.

— Nie mów mi, że w trakcie roboty chcesz sobie podziubdziać. Vegas pokręcił głową, jego uśmiech stał się jeszcze większy.

— Eeech, na pewno nie z tą cizją. To naprawdę niezła laska.

- Co ty powiesz? Dla mnie one są wszystkie, kurwa, takie same te dziwki, z którymi mamy do czynienia...

Vegas czekał na taki komentarz. Skierował palec na Croakera i powiedział z zadowoleniem.

— Ale nie ta. To jest ta, której szukasz. Ja tylko ją tu odstawiłem. Croaker spojrzał na niego z niedowierzaniem.

— O czym ty, u diabła, mówisz? Vegas zaśmiał się dobrodusznie.

— Facet, ta dupcia, którą trzymam na dole w bryczce jest wiele warta. Chodź, zejdziemy na dół. - Croaker zarzucił marynarkę i poszedł korytarzem za Vegasem.

— Lepiej, żebyś mnie nie wpuszczał w maliny - powiedział. - Nie mam czasu na jakieś żarty.

— Zero żartów, facet, zero żartów. - Vegas znów się zaśmiał i nacisnął przycisk windy. - Ten podarek, który czeka na podwórku wpuści w ciebie trochę życia. Wierz mi. - Zaśmiał się znacząco i klepnął Croakera po plecach w momencie, gdy nadjechała winda. Jechali z funkcjonariuszem mundurowym prowadzącym jakiegoś zarośniętego Portorykańczyka do działu ewidencji, by zdjęli mu odciski palców i zrobili zdjęcie, dlatego do momentu aż znaleźli się na zewnątrz, nic do siebie nie mówili.

Znaleźli się obok furgonetki w chłodzie wybetonowanego podwórka. W tej niewielkiej przestrzeni Vegas wydawał się jeszcze większy.

Położył swą wielką dłoń na ramieniu Croakera, któremu przypomniało to jedną ze spraw, nad którą razem pracowali; chodziło o sprawę Athertona. Chryste, pomyślał, to była kurewska robota! Krew lała się litrami, myśleli, że już po nich. Boże! Pamiętał wszystko, jakby to stało się przed chwilą. Leżał postrzelony w ramię z pistoletu kaliber 45, gdy ujrzał jak Vegas wyłania się z ich wypalonego samochodu niczym duch zemsty. Croaker strzelił do napastnika, który padł, tak że kolejne strzały trafiły prosto w niebo. Ale był jeszcze drugi, wielki Murzyn uzbrojony w łańcuch przeciwszlizgowy do opon i rewolwer z krótką lufą, przerobiony tak, by pocisk mógł przebijać ściany z odległości trzech metrów. Vegas poszedł na niego z pustymi rękoma. Croaker jeszcze nigdy w życiu nie widział, by ktoś padł tak szybko od jednego ciosu jak ten pierdolony bandzior. Tej nocy położyli jeszcze trzech innych. Boże, jeden wielki pierdzielnik! To było kiedyś, teraz Croaker czuł, jak boli go ramię od uścisku Vegasa.

- Nie pękaj - powiedział cicho olbrzym. - Jakoś się nawzajem kryjemy, prawda? Wiesz, że ja mam gdzieś tych wszystkich facetów stąd. To banda hipokrytów. To co mam do zrobienia, to robię. A co do pozostałych, każdy z tego coś ma, w taki czy inny sposób. Sam wiesz, że na wojnie zawsze można zrobić interes. Najlepiej wychodzą na tym cwaniacy, nie targają nimi żadne skrupuły ani uczucia, martwią się tylko o swoją dupę, a gdy już niebezpieczeństwo minie, mają wystarczająco czasu, by rozejrzeć się za jakimś szmałem ukrytym gdzieś w tych brudach, świństwie i... - Vegas przerwał swą myśl, zdawszy sobie sprawę, że jego uścisk sprawiał koledze ból. Potrząsnął głową niczym postrzelone zwierzę. - Przepraszam, „wojaku”, ale miałem ciężki dzień. -

Miał niewesołą minę. - Bardzo ciężki.

- Nie ma sprawy, „tajniaku”. - Nadali sobie te przezwiska dawno temu, na samym początku swej współpracy. Dawały im one poczucie tożsamości w zderzeniu z anonimowością służby przez te wszystkie lata w policji. Jednak Croaker, w dni gdy miał na głowie zbyt wiele spraw jednocześnie, zdawał sobie sprawę, że sami siebie oszukiwali. - Wiesz, z nas są dwa głupie kutasy, którym się wydaje, że jak piorą brudy tego miasta, to ktoś im za to podziękuje. - Zaśmiał się. - Ale głowa do góry. Do diabła, przecież mogłoby być gorzej. To my moglibyśmy być tym brudem.

Vegas ze śmiechu aż odchylił się do tyłu, jego soczysty głos odbijał się od ścian komisariatu.

— Tu jest towar - powiedział. - Jak już mówiłem, rozpracowywaliśmy gang Scarsdale’a od trzech miesięcy. Dostaliśmy cynk, by zrobić nalot, no i zrobiliśmy. Zastaliśmy tam pełno towaru, tyle pigulek pobudzających, że zażywając je armia chińska mogłaby nie spać przez cały rok, pełno haszyszu, kilkaset kilogramów kokainy i pół tony marihuany. Całkiem niezły łup. Mieli to na zapleczu. Natomiast oficjalnie odbywało się tam przyjęcie, z którego wszystkich zgarnęliśmy, rozumiesz? Wtedy ujrzałem ją. Pomyślałem, że lepiej będzie, jak ją sam przywiozę, chyba się nie szpryco wała choć... - wzruszył ramionami - sam wiesz, że można się pomylić. Tak czy inaczej mogę ci ją przekazać, jeśli chcesz... sam załatwię wszystkie formalności.

— Skąd mogę wiedzieć, czy chcę - odpowiedział Croaker - jeśli nie wiem, o kogo chodzi.

Vegas puścił ramię Croakera, by złapać za rygiel blokujący tylne drzwi.

- Tu wewnątrz, facet, siedzi starsza z córek Raphaela - Gelda Tomkin Odile.

Croaker poczuł się, jakby ktoś go oblał kubłem lodowatej wody.

Vegas przekręcił rygiel, uśmiechając się i Croaker wszedł do środka. Gdy to uczynił, drzwi się znowu zatrzasnęły.

Stał przez chwilę nieruchomo, dopóki jego oczy nie przyzwyczyły się do półmroku, spowodowanego małą ilością światła wpadającą przez przednie okno, dodatkowo osłabionego siatką oddzielającą miejsca dla funkcjonariuszy od tych dla przestępców. Siedziała na jednej z metalowych ławek przykutych do bocznych ścian furgonetki, z głową przechyloną do tyłu, opartą o ścianę. To spowodowało, że ujrzał ją najpierw z profilu, jej wysokie czoło, prosty szlachetny nos, zmysłowość wydatnych ust, długą łabędzią szyję. Choć ich nie widział, wiedział, że ma ciemne błyszczące oczy, masywny tors z wystającymi piersiami i szerokie biodra. Wiedział też o długich szczupłych nogach, wyciągniętych teraz przed nią, na które padała odrobina światła. Dzięki tym wspaniałym nogom w jakiś niewytłumaczalny sposób jej potężna postura zyskiwała na uroku.

- A więc... - Czuł w sobie pewien ciężar oraz trudność w wypowiedzeniu czegokolwiek, która zmusiła go do odkaszlnięcia, nim zaczął od nowa. - A więc, Gelda, co tym razem narozrabiałaś?

Dobrze widoczny profil zniknął w ciemnościach w chwili, gdy odwróciła się w jego stronę.

— Kim pan, do diabła, jest? - Nawet w uniesieniu jej głos był tak soczysty i delikatny, że wydało mu się, jakby rozmawiał z nią wczoraj, a nie tak jak było naprawdę, kilka miesięcy wcześniej. Jej złość nie była w stanie tego zmienić.

— Nazywam się Croaker - powiedział zbliżając się do niej. - Jestem porucznikiem policji. Przypominasz sobie?

— A powinnam? - Jej głos stał się rozwodniony, cichy i apatyczny. Powietrze między nimi drgało niczym membrana.

— Powiedzmy. Spotkaliśmy się już kiedyś. - Stał teraz nad nią, nie widząc nic oprócz sinego blasku białek jej wielkich oczu. Ale czuł wyraźnie jej obecność i odczuwał zadowolenie z przyjętej przez siebie postawy. - Przesłuchiwałem cię w pierwszych dniach lata w sprawie morderstwa Angeli Didion, rozmawialiśmy o twoim ojcu.

— O tym gównie! - Choć zakląła, zrobiła to z klasą. Usłyszał, jak wzięła głęboki oddech. - Taaak, pamiętam. Cwaniaczek z gębą jak Robert Mitchum.

Jego śmiech zabrzmiał jak warknięcie.

— Ale komplement! Dzięki!

— Nie bądź taki pewniaczek. Bo jego twarz wygląda tak, jakby stoczono na niej trzecią wojnę światową, podobnie jak twoja.

Przez chwilę milczał, po czym zapytał:

— Pozwolisz, że usiądę?

— To ja tu mogę na coś pozwalać? - A gdy nie odpowiadał, wyczuł, że wzruszyła ramionami. - Rób, jak uważasz, ty tu jesteś gospodarzem.

-A ty w domu przy Sutton Place, tak? - powiedział siadając obok niej.

Nagle oderwała głowę od ściany.

— O co tu, do diabła, chodzi?! - krzyknęła. - Czy będę aresztowana?

— To zależy.

— Od czego?

Lewą ręką sięgnął w jej kierunku, chwycił ją za nadgarstki i pociągnął. W tym samym czasie wyjął prawą rękę z kieszeni i włączył latarkę, szukając śladów ukłuc na bladej skórze w zgięciu łokcia. Starał się nie rozmyślać o wyczuwanej gładkości jej ciała.

Puścił ją, a sam się rozsiadł.

— Mógłbym też sprawdzić, czy nie masz ich na udach - powiedział cicho. - Chyba że mi wszystko powiesz. - Ścisnął ją dość mocno i musiała poczuć w nadgarstkach ból, ale wcale ich nie pocierała, co mu się spodobało. Była dziewczyną bardzo honorową.

— Wstrzykuję to sobie do oczu - odpowiedziała zgryźliwie. - Chyba słyszałeś o tej metodzie. To nie pozostawia śladów. - Odwróciła głowę i na jej twarz padł szaroczarny cień oddzielającej ich od światła siatki. Wyglądała jak bohaterka filmu sensacyjnego z lat pięćdziesiątych. Nagle straciła trochę bojowości. - Nie robię nic, czego nie robiliby gliniarze, a nawet znacznie mniej. Na przykład nie palę trawki.

Nic nie mówił, tylko siedział wyczuwając jej zapach, aż odwróciła głowę znowu pograżając swą twarz w ciemnościach. Czuł się jak niewidomy, chciał jak najszybciej znów ją ujrzeć.

- Wierzysz mi? - Jej głos stał się łagodny, a on zastanawiał się, ile w tym jest aktorstwa.

Zdecydował się być z nią szczerzy, obawiał się, że w innym przypadku może nic nie osiągnąć i spowodować dodatkowe problemy.

— Tak - mówił powoli - wierzę ci.

— No to mogę już iść?

— Jeszcze chwila. - Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo sam również zmienił swój ton. - Po co, u diabła, się w to wplątałaś?

— Czyżbyś się bał, że ta wiadomość źle wpłynie na zdrowie mojego ojca? - Zaśmiała się szyderczo. - Nie żartuj, lepiej powiedz, czego tak naprawdę ode mnie chcesz?

— Chcę tylko porozmawiać - odpowiedział.

— Aha, już to widzę, w policyjnej furgonetce, po tym jak mnie zatrzymano w czasie obławy.

— To twoja wina, nie moja.

Przez chwilę milczała i choć jej nie widział, był pewien, że mu się przygląda. Wiedział, że wszystko może pójść na marne, siedział więc spokojnie i czekał.

Znowu się zaśmiała, z przerwami, niczym dzwon, aż w furgonetce powstało coś na kształt

echa.

— No dobrze - powiedziała cicho. - Opowiem ci po co to robię. Po prostu lubię to, bawi mnie, gdy mi płacą za to, że się pieprzę. Jestem jak aktorka czy modelka, sprzedaję pewien produkt. Tak samo było z Angelą Didion. To wszystko jest na zasadzie: nie ma sprawy, bo nie angażujemy się uczuciowo.

— I rzeczywiście nigdy się nie angażujesz?

Zadarła głowę niczym nieokielznany koń i w tym momencie zauważył w jej oczach jakiś błysk.

— Nieraz tak - odpowiedziała szczerze - w stosunku do kobiet. - Myślała o Dare. - Czy jesteś tym zgorszony?

— Raczej nie - odrzekł. - A powinienem być?

— To zależy jakim jesteś typem człowieka.

— Jestem typowym nowojorskim, niczym się nie wyróżniającym facetem.

— Taaak, to widać od razu. - Dotknęła go tą uwagą, wyczuła to, ale uważała, że sam się o to prosił.

— A co z alkoholem? - zapytał Croaker.

— A co ma być? - Wyczuł, jak jej głos poważnieje, gdy przyjmuje postawę obronną.

— Nadal tyle pijesz?

Przez chwilę napadło ją coś, by mu powiedzieć prawdę, ale jednak się powstrzymała.

— Nie tyle co dawniej - odpowiedziała. - Zamiast tego pracuję.

— Ale bez mężczyzn?

— Co to, jakiś konkurs z pytaniami?

— Nazywaj to jak chcesz.

— Ja nie chcę nic nazywać - skomentowała krótko. - Ja chcę stąd wyjść.

— Nie mogę cię już dłużej przetrzymywać.

— Czy to znaczy, że mogę sobie pójść?

— Nie będziemy wnosić żadnego oskarżenia.

— Może powinnam panu podziękować?

Wiedział, że już nic z niej nie wyciągnie, że równie dobrze mógł tej rozmowy w ogóle nie zaczynać. Był zmęczony i przygnębiony.

- Jesteś niewinna. Możesz sobie pójść. - Specjalnie użył jej wcześniejszych słów.

Ale ona ani drgnęła.

Siedział nieruchomo, z plecami przywartymi do ściany, z tyłkiem wciśniętym w złącze ławki ze ścianą. Ręce oparte miał swobodnie o uda. Przypatrywał się swym dłoniom, jego blade paznokcie były ledwo dostrzegalne.

- Czego ode mnie chcesz?

Jej głos był tak delikatny, że przez chwilę myślał, że przemawia do niego jego własna dusza.

— Niczego - odpowiedział. Jego głos nie miał w sobie nic życia. - Niczego od ciebie nie chcę.

— Gównno prawda.

— No dobra. - Odwrócił głowę i zobaczył, że mu się przypatruje. Mrugnęła okiem, a on odebrał to jakby w zwolnionym tempie. - Chciałem ci pomóc, Gelda.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

Wiedział, że jej nie oszukuje, że nie chodzi mu tylko o zdobycie informacji na temat Raphaela Tomkina, wiedział też, że od dwóch tygodni ciągle o niej myślał. Przeszył go jakby jakiś prąd i odwrócił się do niej. Jej oczy zdawały się wypatrywać czegoś w jego twarzy.

— Dokładnie to, co powiedziałem.

— Nie zaufałam ci nawet wtedy, gdybym tonęła, a ty byś był jedyną osobą w pobliżu.

— Ale ty właśnie toniesz - odpowiedział cicho. A po chwili dodał - Możesz żyć inaczej, odpuścić gorzałę, prochy i... tę pracę. - Zamilkł. - Mogłabyś wyjechać gdzieś daleko.

— Daleko! - wybuchnęła. - Boże, jak najdalej od samej siebie. - Oparła głowę o blaszaną ścianę, tak że mógł znów ujrzeć jej piękną szyję. - Chcesz wiedzieć, skąd się wzięło moje imię? Gelda. - Wypowiedziała je jakby z niesmakiem. - Moja matka dała mi je z nienawiści. - Zaśmiała się żałośnie, po raz pierwszy jej głos mu się nie spodobał. - Nie do mnie oczywiście, nigdy by się nie zniżyła do takiego uczucia. Nienawidziła stylu życia, od którego była tak uzależniona. Wielkie bogactwo było jej jedynym marzeniem, głównym celem... Tak, można chyba tak to nazwać: jej celem życiowym. Tak czy inaczej osiągnęła je wiążąc się z moim ojcem. Ale szybko zrozumiała, że to niezupełnie to, o co jej chodziło. Oczywiście miała i upragnione wpływy, i ogromne bogactwo, ale przebywanie z ojcem było dla niej koszmarem i z każdą chwilą była coraz bardziej przygnębiona. - Westchnęła. - Podejrzewam, że po pewnym czasie stało się dla niego zabawne patrzeć, jak bardzo może ją ograniczyć, nie finansowo, ale w tym, na czym mu najbardziej zależało: w samodzielności w myśleniu. Gdyby tylko stawiała opór, to w końcu choć sama poniosłaby straty, jednak odniosłaby nad nim zwycięstwo.

Ale ona tego nie zrobiła. Tak bardzo bała się stracić to, o czym zawsze marzyła, że zrezygnowała z wszelkiej godności. Była niewolnicą u boku mego ojca, a właściwie niewolnicą jego fortuny. Była osobą słabego charakteru, która z zadowoleniem przyjmowała pastwienie się nad nią przez mego ojca. No bo przecież tolerowała to wszystko, prawda? Nawet po tym jak... - Nagle zamilkła, zakrywając na chwilę usta ręką. - Boże, co ja opowiadam? I to na dodatek glinie. - Wykrztusiła z siebie nerwowy śmiech. - Chyba zwariowałam.

Poczuł przyspieszone bicie serca i powiedział:

— A co to ma wspólnego z twoim imieniem?

— Co? - zapytała jakby odruchowo.

— Miałś mi wyjaśnić pochodzenie swego imienia.

— No tak. - Złożyła dłonie, jedna na drugiej, a potem pocierała nimi o swe długie uda, tam i z powrotem, jak w transie. - Jestem przekonana, że ostatnią rzeczą, której moja mama pragnęła, to urodzić dziecko. Ale mój ojciec, jak zwykle, chciał, aby wszystko było po jego myśli. Chciał mieć dziecko. Choć, co może się wydać dziwnym, a może nie, nie nalegał, aby to był syn, byle tylko został ojcem. Był w tych sprawach dość staroświecki, uważał, że będzie to dowód jego męskości.

Ale moja mama nie wyczuła tego. Myślała, że ojciec pragnie syna, by zachować ród Tomkinów i że urodzenie córki będzie źle widziane. Jest to dowód na to, jak mało byli zżyci, że nie była w stanie go wyczuć w tak prostej sprawie.

Czuła się oczywiście podniecona faktem, że urodziła córkę. Dlatego dała jej na imię Gelda, czyli córka kastrata. Łapiesz, o co chodzi? Jasne, że łapiesz. - Odwróciła się, jakby od samego wspomnienia.

— Przecież mogłabyś je zmienić - stwierdził logicznie. A ona po raz pierwszy zaśmiała się wesoło.

— Pewnie jestem nienormalna - powiedziała - ale noszę je ku pamięci.

— Czego?

— A co ci do tego? - odburknęła. Całe ciepło, które jeszcze nie tak dawno płynęło z jej ust, nagle zniknęło.

— Słuchaj - rzekł - powiem ci prawdę. - Podejmował duże ryzyko, ryzyko, którego dużo wcześniej miał nadzieję nigdy nie podejmować. Teraz nie miał wyjścia. - Potrzebuję twojej pomocy przy prowadzeniu śledztwa.

— Czego?

Teraz przyszedł czas na najgorsze.

- Podejrzewam, że twój ojciec zamordował Angelę Didion.



-No i?

Nie takiej reakcji się spodziewał i przez chwilę milczał w zakłopotaniu.

Gelda była z siebie zadowolona.

— Widzę, że oniemiałeś - powiedziała z uśmiechem. - To dobrze. A może myślałeś, że powiem: „Nienawidzę go co prawda, ale słuchaj, glino, on jest nadal moim ojcem”. No więc dupa. Wcale by mnie to nie zdziwiło, gdyby ją zabił.

— Chcesz powiedzieć, że według ciebie byłby w stanie tego dokonać? - Serce waliło mu mocno, co uważał za dobry znak.

— Według mnie? - Zaśmiała się. - Tak, według mnie mój ojciec jest zdolny kogoś zabić. Odkąd pamiętam, nigdy zbytnio się nie przejmował obowiązującym prawem.

Lekko przekręciła głowę, tak że patrzyła prosto na niego i mógł ujrzeć jej oczy pełne cierpienia.

— Czy wiedziałaś o jego związku z Angelą Didion? - mówił cicho.

— Masz na myśli, że on ją walił? Jasne. Byłam kiedyś w rodzinnym domu, gdy się zjawiała. Zachowywała się tak, żeby dać wszystkim do zrozumienia, że jest tam panią domu, rozumiesz?

- Rozmawialiście ze sobą? Uśmiechnęła się.

— Nie przypadłyśmy sobie do gustu. Czuliśmy do siebie naturalną niechęć, niczym magnesy o tej samej biegunowości.

— Myślałem, że nie jesteś ze swoim ojcem w najlepszych stosunkach.

— Bo nie jestem. - Wydało mu się, jakby siedzieli bliżej siebie, choć ani on, ani ona nie przesunęli się ku sobie. - Ale są takie sytuacje, w których nie da się go uniknąć. Tak jest może dwa razy w roku. - Wzruszyła ramionami. - Kto go tam wie? Może po prostu chce sprawdzić, czy się zmieniłam.

— Zmieniłaś w jakich kategoriach?

— To nie twoja... - Ale natychmiast się uspokoiła i grzecznie odpowiedziała: - Że nie zadaje się już z kobietami. Nienawidzi tego. Być może właśnie dlatego to robię. - Wzruszyła ramionami. - Pewien psycholog powiedział mi to kiedyś. Natychmiast wyszłam z gabinetu, nie po to płaciłam mu pięćdziesiąt dolarów za godzinę, żeby mi mówił to, co wiedziałam bez niego.

— A skąd się o tym wszystkim dowiedział twój ojciec?

— O mnie i innych kobietach? Och, przyłapał mnie któregoś dnia w naszej letniej rezydencji przy Gin Lane pod miasteczkiem Southampton. To było już po tym, jak sprzedaliśmy posiadłość w stanie Connecticut, po tym, jak mama... umarła.

kryminalnych drogą dedukcji szło łatwo tylko w książkach. Gdyby tylko miał do pomocy Sherlocka Holmesa...

Czuł w tych imionach coś swojskiego. Znał oczywiście biografie historycznych postaci. Ale teraz nastąpiło ich przeniesienie w czasie. Ta sprawa dotyczyła ludzi żywych, a nie martwych.

Spojrzał w górę, cyferki kolejnych piętér przeskakiwały, jakby odmierzały sekundy, minuty, lata. Cały mijający czas.

O Boże! Co mi chodzi po głowie? Już za długo tu jestem i zaczynam myśleć tak jak oni. Zrobiło mu się głupio, choć miał trudności z przyznaniem się do tego przed samym sobą.

Czyż nie uczono mnie, że wszystkie zdarzenia tworzą jeden ciąg? Dlaczego cały czas starałem się o tym nie myśleć? Dlaczego nagle, w wieku trzydziestu trzech lat, wyłączyłem się z aktywnego życia? Porzuciłem pracę, wyjechałem z miasta, zacząłem żyć byle przetrwać - tak, chyba właściwie to ująłem - żyć na plaży, jakby to była „ziemia obiecana” pozbawiona wszelkich trosk i zmartwień.

Nagle poczuł, że coś w nim się wzmagą, coś przerażającego, czego nie potrafił zatrzymać. To była *tsunami* - ogromna fala przyboju. Czuł, jak powoli posuwa się po nim w górę. Czyżby nadszedł bez ostrzeżenia?

Ostrzeżenie nadeszło w porę, tylko on był zbyt zajęty czymś innym albo zbyt głupi, by je dostrzec. A może niebezpieczeństwo było już zbyt blisko.

Poczuł, że się dusi i wyciągnął rękę, opierając dłoń o obicie ściany. Była tak spocona, że aż się ślizgała. Wyobraził sobie, że jest Amelią Earhart lecącą wesoło przez niebo usłane wacianymi chmurkami do... no właśnie gdzie? Nie mógł sobie przypomnieć, zresztą nieważne. Leciał, poruszał sterami, gdy nagle...

Pustka.

Nic, ani nieba, ani chmur, ani ziemi w dole, ani gwiazd w górze.

Czyżby ona też wpadła w pułapkę czasu?

Drzwi windy rozsunęły się i wyszedł na korytarz. Nogi miał zdrętwiałe. Popatrzył na ruch uliczny przez wielką szybę, którą pewnie świeżo zainstalowano, gdyż jeszcze miała naklejoną na krzyż taśmę zabezpieczającą przed pęknięciem. Wydawało się, że myślami jest daleko.

Nagle wszystko wydało się oczywiste. Wspomnienie o Yukio powinno było wskazać drogę. Pamięć o niej nadal stała na drodze jego związku z Justine, niczym stojący na straży duch szczerzący swe kły. To właśnie jego przywiązanie do Yukio sprawiło Justine tyle przykrości. Bezwiednie zacisnął pięść. Po tylu latach nadal to w nim tkwiło, choć był świadom, że słowa nie są w stanie oddać tego, co czuł. Psychika nie uznaje upływu czasu, to było jedyne logiczne wytłumaczenie dręczących go wątpliwości.

Nagle to co czuł do Justine, ujawniło się z całą siłą, niczym gejzer wybuchający z

powierzchni zastygłego jeziora. Ale głupio się zachowywał!

Gdy już posegregował swoje myśli, czując spokój, jakiego dawno nie doznał, poszedł zwawo korytarzem i pociągnął metalowe drzwi do gabinetu Raphaela Tomkina.

Frank stał zaraz za drzwiami. Na widok Nicholasa jego oczy zabłyśły, a prawa ręka zadrżała. Nicholas minął go bez oglądania się.

- Chwileczkę, nie wolno...

Ale Tomkin dojrzał go zza biurka i dał Frankowi znać, by zamilkł.

- W porządku, Frank - powiedział przyjaznym tonem. - Nicholas pracuje teraz dla nas, mam rację? - Skierował wzrok na Nicholasa.

Gabinet był ogromny, niewiele mniejszy od sali balowej. Na pierwszy rzut oka wydało się to wielkim marnotrawstwem, dopóki nie dostrzegło się, że cała powierzchnia była podzielona, ale nie ściankami, tylko poprzez odpowiednie ustawienie mebli o różnym przeznaczeniu, tak że powstało z tego jakby minimieszkanie.

Zaraz po lewej stronie było coś na kształt bawialni, z obniżonym o jeden stopień kwadratowym parkietem otoczonym aksamitną narożnikową kanapą firmy Roche Bobois. Pośrodku stał stolik z chromowanych rurek, z blatem z ciemnego szkła, nad którym na wielkim półkolistym ramieniu zwisała lampa.

Po prawej stronie przy oknach urządzono coś co można by nazwać pracownią, stała tam deska kreślarska z podłączoną lampą na ruchomym wysięgniku oraz czarny wysoki plastikowy taboret. Obok stał metalowy segregator do przechowywania planów architektonicznych, na którym leżała makieta biurowca, razem z atrium, podjazdami i drzewami, które miały rosnać po wschodniej i zachodniej stronie.

Głębiej po lewej stronie, w panującej w gabinecie ciemności, Nicholas dostrzegł jakby małą kuchnię, z miniaturową lodówką, stalowym zlewozmywakiem, a wyżej kuchenkę elektryczną. Obok były drzwi prowadzące do łazienki. Na samym końcu znajdowała się biblioteka, z regałami na dwóch ścianach. Zobaczył tam dwie jasno świecące lampy z abażurami, stojące obok pary skórzanych foteli klubowych, które w przeciwieństwie do reszty rzeczy nie były nowe, lecz wręcz sfatygowane. Brakowało tam jedynie popielnicy z grubego szkła i stojaka z fajkami.

I w końcu sam gabinet, na wprost drzwi, tam gdzie znajdował się teraz Tomkin, ze wspaniałym dębowym biurkiem, wyraźnie robionym na zamówienie. Od przodu piękne w swej prostocie, ale zachodząc je od tyłu można się było przekonać, że zawierało w sobie skomplikowany zestaw urządzeń, który upodabniał mebel do kabiny pilota odrzutowca. Stały tam cztery aparaty telefoniczne w różnych kolorach, monitor z danymi z nowojorskiej giełdy, telewizory połączone z systemem ochronnym telewizji przemysłowej i kilka innych przyrządów, których przeznaczenia nawet się nie domyślał.

Tomkin rozmawiając przez telefon, dał znać Nicholasowi, by usiadł w miękkim fotelu naprzeciw niego. Nicholas spojrział w dół i zauważył, że w lewej poręczy zamontowany jest również aparat telefoniczny. Podniósł słuchawkę, wcisnął guzik wolnej linii i wykręcił numer Justine w West Bay Bridge. Gdy po szóstym sygnale nikt nie podnosił, wyłączył się. Pomyślał, że pewnie jest na plaży, spróbował jednak również połączyć się z jej nowojorskim mieszkaniem, ale i tu nikt nie odbierał.

Przełączył się na linię wewnętrzną, spytał Franka o numer do Abe'a Russo i wykręcił go. Gdy połączył się z majstrem, poprosił go o listę wszystkich Azjatów pracujących na budowie.

— To może trochę potrwać - odpowiedział Russo. - Mam na głowie inne sprawy. Nie wiem kiedy...

— Chcę ci coś wyjaśnić - mówił powoli Nicholas. - Jeżeli nie dostanę tej listy, to prace budowlane mogą zostać wstrzymane... i to całkowicie.

— Dobra, zaraz ją przygotuję.

— Doceniam twoją pomoc - powiedział Nicholas. - I jeszcze jedno, Abe. Chcę, abyś to zrobił sam, nikomu tego nie zlecaj, jasne? A gdy już tę listę przygotujesz, będę chciał porozmawiać z każdym z tych facetów. Zastanów się, jak to zrobić, aby nie wzbudzać podejrzeń. I żadnych przecieków na ten temat, dobra? Na razie. - Odwiesił słuchawkę, przewyciężył chęć zatelefonowania jeszcze raz do Justine.

Tomkin rozmawiał przez telefon jeszcze dziesięć minut. W tym czasie w gabinecie panował pełny spokój. W chwilach zupełnej ciszy słychać było syk pracującej klimatyzacji. Przy drzwiach Frank stał cały czas nieruchomo.

Nicholas wstał i omijając kwadrat bawialni, udał się na tył do biblioteki. Pod jedną ze ścian stał staromodny sekretaizyk, którego wcześniej nie dojrzał. Ustawiono na nim kilka zdjęć w ramkach z meksykańskiego srebra. Było tam kilka kolorowych zdjęć tych samych kobiet w różnym wieku, gdzieś tak od szesnastu lat aż pod trzydziestkę. Jedną z nich była niewątpliwie Justine, domyślił się, że drugą jest Gelda. Obie były piękne, choć każda w inny sposób, ale obie miały w sobie coś trudnego do określenia. Tylko na jednym zdjęciu były razem. Było czarno-białe i miało naderwany róg. Stały na trawniku, na tle narożnika jakiegoś budynku, z ceglana ścianą porośniętą

bluszczem, który pewnie był częścią większej rezydencji. Wyglądało, że miały wówczas odpowiednio siedem i dziesięć lat. Justine trzymała w ręku pisanekę, u jej stóp leżał wiklinowy koszyk, uśmiechała się. Gelda stała trochę w tyle, wyższa i znacznie cięższa, spoglądała na lewo. Nawet w tak młodym wieku widać było, że coś je dzieli, tak jakby jedna udawała, że nie dostrzega obecności drugiej. Równie dobrze to zdjęcie mogło być wynikiem fotomontażu, tak mało do siebie pasowały.

- Nicholas?

Odwrócił się i przeszedł z powrotem w stronę biurka. Tomkin wstał i podszedł do niego. Miał na sobie jedwabny garnitur w rudym kolorze, koszulę w biało-żółte paski z żółtym kołnierzykiem i mankietami oraz brązowy jedwabny krawat. Podał mu prawą dłoń. Była gruba, twarda i owłosiona. Na serdecznym palcu nosił obrączkę z platyny. Na lewej dłoni nie miał żadnej biżuterii.

— Cieszę się, że cię widzę - powiedział. Jego błękitne oczy wydały się tego dnia poszarzałe. - Zastanawiałem się, kiedy się znowu pokażesz. No i czego się dowiedziałeś?

— Słucham?

— Chodzi mi o informacje, Nicholas. - Mówił wolno, tak jakby tłumaczył komuś niedorozwiniętemu. - Pojechałeś do West Bay Bridge, bo myślałeś, że tam może być *ninja*. Przynajmniej tak mi powiedziałeś przez telefon.

— Nie pojawił się tam.

— Czy u Justine wszystko w porządku?

— Oczywiście.

— Nie podoba mi się sposób, w jaki ze mną rozmawiasz.

— Nie płaci mi pan za rozmawianie, tylko za ochronę.

— Zastanawiałem się, jak ty to robisz będąc na Long Island. Chyba zdalnie.

Nicholas przez moment się zaśmiał, miał lodowate spojrzenie.

- Skończmy z tym bełkotem, Tomkin. Nikt nie każe ci mnie lubić, masz mi tylko nie przeszkadzać. Inaczej nie będę w stanie wykonać swego zadania.

— Ależ ja cię lubię, Nicholas. Skąd ci przyszło do głowy, że tak nie jest? - Stał się teraz uprzejmy, prowadząc Nicholasa w inną część pomieszczenia. Siedli na kanapie. Była brązowa i szalenie wygodna.

— Chyba aż tak cię nie dziwi to, że jestem ciekaw... powiedzmy... twojego warsztatu. Jakkolwiek by było, jestem pod stałą opieką Franka. Daje mi poczucie bezpieczeństwa.

— Frank na nic się nie zda - powiedział Nicholas - gdy zjawi się tu *ninja*. Przejdzie przez niego jak przez masło.

Tomkin uśmiechnął się.

- Być może go przejdzie, ale przy okazji zainkasuje parę pocisków kaliber 45.

Nicholas wzruszył ramionami.

— Jeśli zamierza pan sobie z tego żartować...

— Zapewniam cię, że z niczego sobie nie żartuję, ani trochę. Inaczej nie wynajęłbym ciebie do pomocy, jasne? No a teraz... - klepnął swe grube udo - powiedz mi, co planujesz.

— Za chwilę powinien się tu zjawić Abe Russo.

— A po co, u diabła, on nam tu potrzebny? Ma wystarczająco roboty z dopilnowaniem dotrzymania terminu zakończenia budowy.

— Jednym z popisowych numerów *ninja* jest infiltracja - powiedział Nicholas. - *Ninja* nie podejmie próby zamordowania ciebie... zdalnie, jak to wcześniej ująłeś. - Uśmiechnął się. - Zjawi się osobiście i zrobi to bezpośrednio. Gdy przyjdzie tu Abe, będziemy wiedzieli, czy on już tu jest.

— Tutaj? Ale jak to możliwe?

— Najprawdopodobniej jako robotnik. Nikt nie zwracałby na niego uwagi, a jednocześnie miałby pełny wgląd w sytuację. To logiczne.

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi i Frank wpuścił do środka Abe'a Russo. Trzymał w ręku wydruk z komputera. Miał wygniecione ubranie, odgarniał właśnie swoje kędzierzawe włosy, które opadły mu na czoło.

- Proszę - powiedział, kładąc wydruk na stoliku, tak by mogli się przyjrzeć. - Zakreśliłem wszystkich Azjatów. Jest ich trzydziestu jeden - mówił, podczas gdy oni oglądali listę.

- Kogo szukasz? - zapytał Tomkin. - Znasz jego nazwisko? Nicholas pokręcił głową.

- Nawet gdybym znał, to on nie używałby go tu w pracy. - Było mało prawdopodobne, że znajdzie na liście imię Hideoshi, ale byłoby też nierozsądne nie sprawdzić tego. - To są wszyscy? - zapytał Russa.

Tamten przytaknął.

- Taaak, wszyscy. Dwudziestu pięciu z nich pracuje na pierwszą zmianę, pozostali na drugą.

— Wszyscy są dzisiaj w pracy? - pytał Nicholas. - Żaden nie jest na zwolnieniu?

— Żaden. O ile wiem, wszyscy są w robocie.

— T nikomu o tym nie powiedziałaś?

— Nikomu - odpowiedział Russo. - Sam to sporządziłem.

— Dobra - powiedział Nicholas. - No to chodźmy. - Wstał.

- Co się dzieje? - zapytał Tomkin. Nicholas zwinął wydruk w rulon.

- Chcę porozmawiać z każdym z tych facetów z osobna. Każdy z nich jest potencjalnie naszym *ninja*.

Russo prowadził go w różne zakamarki biurowca i jeden po drugim każdy z Azjatów był przez Nicholasa przepytany.

Trzynastym z kolei był niejaki Richard Yao. Russo nie bardzo wiedział, gdzie tego dnia pracował, odnaleźli więc jego brygadzystę, który nadzorował prace spawalnicze na jednym z odcinków w holu głównym. Był to człowiek dość tęgi, prawie łysy, z blisko siebie osadzonymi oczami.

— Spóźniłeś się, Abe. - Wyjął z ust niedopałek cygara, którego końcem wskazał za siebie. - Zerwał się stąd.

— Dlaczego? - zapytał Russo.

— Powiedział, że się źle czuje. - Wsadził niedopałek z powrotem do ust. - Prawdę mówiąc, nie wyglądał najlepiej.

— Dawno temu? - spytał Nicholas.

— Jakies piętnaście, dwadzieścia minut temu. Jak wspomniałem, spóźniliście się. - Spojrzał na Russa. - A co, ma jakieś kłopoty? To dobry chłopak.

Russo mrugnął okiem do Nicholasa, a potem jednoznacznie pokręcił głową.

— Dzięki, Mike. Potrzebujesz kogoś tu do roboty w zastępstwie tamtego?

— Przydałby się.

— Dobra. Przyślę ci kogoś.

Jadąc z powrotem windą na górę, zapytał:

— Co pan o tym sądzi, panie Linnear?

— Sądzę - odpowiedział Nicholas - że to ten, którego szukamy.

— Chwileczkę, niech pan mi to da... - Wziął wydruk z rąk Nicholasa i przerzucił kolejne strony. - O tu! - Palcem pokazywał na wydruk. - Tu jest jego adres: numer 547 na ulicy... chwileczkę! Na tej ulicy nie ma tak wielkich numerów. Podał nam fałszywy adres.

— Nie dziwię się.

Drzwi do windy otworzyły się i Nicholas pobiegł w stronę gabinetu, pozostawiając tamtego z tyłu w osłupieniu. Minął Franka. Tomkin siedząc za biurkiem właśnie rozmawiał przez telefon.

Przykrył dłonią słuchawkę.

- No więc - spytał - jak jest? Znaleźliście...

Ale Nicholas już sprawdzał biurko, macając obrzeże wokół całego blatu.

— Co ty, u diabła...

— Kończ rozmowę - powiedział Nicholas. Cały czas posuwał się w koło, wymacując. Jego palce nie przepuściły ani jednego milimetra zaimpregnowanego drewna.

Tomkin przyglądał się dłoniom Nicholasa, jakby to były samodzielne narzędzia. Przyłożył znów słuchawkę do swego ucha, wymamrotał parę słów i odwiesił ją na widelki.

— Dobra - powiedział Nicholas, robiąc nadal swoje. - Chciałbym z panem porozmawiać...

— Na temat tego, co się wydarzyło na dole? No dobra, dobra. - Jego błękitne oczy były szeroko otwarte. Właśnie wszedł Russo i stanął obok Franka, patrząc, co się dzieje.

— Właśnie. Na temat tego, co się zdarzyło na dole. - Nicholas klęknął i zaczął szukać pod biurkiem. Nie przerywał jednak dialogu. - Chyba znaleźliśmy naszego *ninja*. - Sprawdzał okablowanie i moduły komputera. - Trzynasty z kolei na liście, niejaki Richard Yao. Przeszedł tu niedawno z innej firmy Lubin Bros, z Brooklynu. - Kabli było tak wiele, że można by z nich uwić gniazdo. - Podobno dobry z niego pracownik, tak twierdzi jego brygadzysta.

— Naprawdę, no i co z tego? - Głęboko osadzone oczy Tomkina bez przerwy śledziły ręce Nicholasa. - Co mnie to obchodzi?

— Bo to nasz *ninja*. Zerwał się z roboty, po tym jak przedzwoniłem do Russa po listę pracujących tu Azjatów. - Przesunął się o jeden moduł dalej, ale cofnął rękę, by się upewnić. Lekko pociągnął. - Russo z nikim na ten temat nie rozmawiał, było też za mało czasu, by ktokolwiek mógł coś podejrzéć. - Jego palce były jeszcze w dole, trzymając miniaturową zdobycz. - Wiedzieliśmy tylko o tym Russo, ja i... - uniósł do światła i położył na błyszczącym blacie przed Tomkinem jakieś kolorowe, metalowo-plastyczne, bardzo cienkie urządzenie o średnicy około dwóch centymetrów - oczywiście osoba podsłuchująca naszą rozmowę.

Tomkin zaczerwienił się” na twarzy i aż zadrżał. Końcem palca wskazującego dotknął urządzenia podsłuchowego tak delikatnie, jakby się bał, że go ugryzie.

- Do diabła! - krzyknął. - Do diabła! I to u mnie w gabinecie! - Uderzył pięścią w biurko i spojrzał w stronę drzwi. - Frank, ty głupi skurwysynu! Jak mogłeś wpuścić tu tego zasańca? Zabiję cię! Frank stał jak wryty, całkowicie zaskoczony.

- On jest niewinny - powiedział spokojnie Nicholas. - Nie wiedział nawet kogo obserwować. Ale Tomkin nie dał się uspokoić. Wszedł zza biurka, grożąc Frankowi.

— Za co ja ci płacę, idioto? Za to byś pozwalał, by ten zasańiec sobie tu myszkował! Gdzie, do kurwy nędzy, się wtedy podziewałeś? Odpowiedz mi tylko na to! Gdzie ty, kurwa, byłeś?

— Byłem cały czas tutaj, panie Tomkin - odpowiedział natychmiast Frank. - Nawet jak pan



szedł na obiad, to ja tu zostawałem. Nie wychodziłem stąd ani na chwilę, musi mi pan uwierzyć. Ten facet musiał się tu włamać w nocy, gdy nikogo nie było. Nie...

Tomkin rzucił się do przodu i strzelił Franka kantem ręki w twarz.

— Nikt się tu nie włamał, ty durniu, bobym o tym wiedział następnego dnia rano. - Przypatrywał się zaczerwienieniu na policzku Franka. Mógł prawie wyczuć, jak bardzo jego skóra była rozpalona. - Nie, on tu był w ciągu dnia, i to pod naszym nosem. Tylko ty jesteś zbyt głupi, by cokolwiek zauważyć.

— Ale ja nie wiedziałem, kogo mam wypatrywać - odpowiedział Frank.

— Zamknij się! Po prostu się zamknij, jasne? - Tomkin odwrócił się do niego tyłem. - Boże, tłumaczysz się jak małe dziecko.

Nicholas poruszał się w kuchni wokół biurka, zakreślając coraz szersze kręgi. Po dziesięciu minutach wytrwałej pracy pod jednym z elementów brązowej kanapy znalazł drugi podsłuch. Nikt nic nie mówił, dopóki nie zakończył poszukiwań.

— Uważam - powiedział Nicholas otrzepując ręce - że w takiej sytuacji lepiej będzie, jak zjedziemy na dół.

— Po co? - Tomkin wydawał się zdziwiony. - Chyba już tu nie ma innych podsłuchów, nieprawdaż?

Nicholas skinął głową, ale ruszył już w stronę wyjścia.

- Powiem panu w windzie, dobra? Poważny głos Tomkina przerwał ciszę w trakcie jazdy.

- Nie będę się krył z tym, że uważam, że odwaliłeś na górze kawał dobrej roboty, Nick. Cholernie dobrej. Dzięki ci za to. - Westchnął. - Wiesz, regularnie co sześć miesięcy zarówno biuro, jak i dom są sprawdzane pod kątem podsłuchów, ale, do diabła, ja tu się jeszcze na dobre nie wprowadziłem. - Przeczesał palcami swoje siwe włosy. - Dobry Boże, gdy pomyślę o tym, co on mógł podsłuchać! Chciałbym mu osobiście urwać jaja!

Drzwi rozsunęły się i znaleźli się w głównym holu.

— Nie ma chyba niebezpieczeństwa, że on tu gdzieś czyha, jak sądzisz? - Rozglądał się na prawo i lewo.

— Żadnego - powiedział Nicholas, prowadząc Tomkina do wyjścia. - Wiedział, że jest spalony w chwili, gdy podsłuchał moją rozmowę z Russem. Dlatego się stąd zerwał, na jakiś czas.

Wyszli na aleję Parkową, wprost pod słońce. Poczuli się tak, jakby znaleźli się na powierzchni jakiejś rozdętej, wolno obracającej się planety, której atmosfera zawierała coraz mniej tlenu, albo jak w komorze ciśnień.

Gdy zbliżali się do samochodu, szczupły kościsty kierowca wyskoczył ze swego miejsca i stanął na nie wykończonym chodniku, gotowy, by w każdej chwili otworzyć drzwi.

Nicholas zatrzymał go w połowie drewnianej kładki. Stukot młotów pneumatycznych

wypełniał powietrze wibracją, tak że odnosiło się wrażenie, że na ulicy pracuje armia wiercących zęby dentystów. Tomkin musiał się aż nachylić, by usłyszeć, co mówi do niego Nicholas. Skinął głową i wsiedli do przyciemnionego, chłodnego wnętrza limuzyny.

Od razu ruszyli, włączając się do ruchu. Nicholas natychmiast wziął się do roboty. Najpierw chwycił telefon, rozkręcając głośnik i mikrofon; nic tam nie znalazł. Ale tamten musiał to zostawić w łatwo dostępnym miejscu, tak uważał. Być może w biurze Tomkina *ninja* nie musiał się spieszyć, ale nie w przypadku samochodu. Zajrzał do skrytki, w której schowany był telefon, było tam bardzo ciasno. Przejechał więc palcem wzdłuż krawędzi i znalazł. Przycisnął guzik i szyba opuściła się, wyrzucił podsłuch i zamknął okno.

- Wszystko? - spytał Tomkin.

Podniósł rękę, by go jeszcze powstrzymać i rozejrzał się po wszystkich innych możliwych miejscach.

— No dobrze. - Rozsiadł się. - Jesteśmy bezpieczni.

— Świetnie. - Na twarzy Tomkina pojawił się spokój. - Przeraziłem się trochę pod wpływem tego wszystkiego, gdyż wypada to akurat w najmniej odpowiednim momencie. - Nachylił się i przycisnął ukryty guzik. Szyba z przyciemnionego szkła oddzieliła ich od kierowcy; Nicholas zauważył, że jest zbrojona. - Jestem akurat w trakcie dogadywania jednej z największych umów, jakie kiedykolwiek podpisałem. Są w nią zaangażowane korporacje na trzech kontynentach, sumy, o których w niej mowa są astronomiczne. Boże, najważniejsze to to, aby mi nikt w tym nie przeszkodził, a tu zjawia się ten dupek i zatruwa mi życie. - Zaśmiał się pod nosem, jego nastrój wyraźnie się poprawił. - Właściwie nie powinienem narzekać. Na sam pomysł wpadli Japończycy. Tyle tylko, że są zbyt miękcy, bali się doprowadzić sprawę do końca, nawet potem jak im pokazałem idealny sposób. Po prostu się wystraszyli. I na tym tle powstał spór. - Zaśmiał się. - Bo ja im ukradłem pomysł. Do cholery, oni chcieli się jeszcze zastanowić, przeprowadzić analizy. - Zachnął się. - Jak tak dalej by poszło, to nic byśmy na tym nie zarobili. Chcieli się wycofać, gdy ja już puściłem całą operację w ruch. Wyobrazasz to sobie? Powiedziałem im, żeby się odpiardolili. Stracili przez to wiele na honorze, zbyt wiele. Dlatego przysłali tu tego *ninja*.

Tomkin rozsiadł się jeszcze bardziej na miękkim aksamitnym siedzeniu.

— Równie dobrze możemy gdzieś podjechać, skoro już jedziemy. - Włączył mikrofon i przekazał kierowcy jakiś adres po zachodniej stronie Manhattanu. - Jestem głodny, a ty?

— Chętnie coś przekąszę.

— Dobra. Świetnie. - Na chwilę zamknął oczy. - Nie chciałbym, aby cokolwiek przytrafiło się moim córkom, rozumiesz?

Nicholas milczał, zastanawiał się nad tym, co o Tomkinie opowiedział mu Croaker, zastanawiał się, gdzie leży prawda.

Tomkin zwrócił się nagle w jego stronę niczym warujący pies.

— Jestem pewien, że uważasz, iż mi na nich w ogóle nie zależy. Wyobrażam sobie co za potworne rzeczy naopowiadała ‘ci Justine na mój temat.

— Raczej rzadko o panu wspomina. Czy dziwi to pana?

— Nie bądź bezczelny - powiedział ostrym tonem Tomkin. - Nie lubię tego. - Jego ton zelżał. - Ale szczerze mówiąc, dziwi mnie, że nie nagadała ci na mnie. - Machnął ręką, jakby oddalał jakąś błahostkę. - To wszystko nieważne. Kocham je obie. Wiem, że nie jestem najlepszym ojcem na świecie, ale i one jako córki też pozostawiają wiele do życzenia. Powiedzmy, że wina leży po obu stronach.

— Być może gdyby pan w stosunku do nich nie wykorzystywał tak swych możliwości...

— A więc jednak opowiadała ci o mnie.

— Tak, co nieco. Kiedyś tam.

— Drogi chłopcze - powiedział Tomkin - nie chciałbym tu wygłaszać jakichś wielkich prawd, ale kto ma pieniądze, ten ma władzę, a tak właściwie to jest odwrotnie. Zresztą to na to samo wychodzi. Widzisz, ja mam do tego dar, jestem w tym doskonały, w podejmowaniu decyzji, w zdobywaniu władzy, robieniu pieniędzy. -

Podniósł palec wskazujący i trącił nim znacząco swój nos, wyglądał śmiesznie, niczym jakiś wujaszek z powieści Karola Dickensa. - Moja praca jest dla mnie wszystkim, bez niej życie nie miałoby sensu, nie mogę z niej zrezygnować dla nikogo, nawet dla moich córek.

— A czy chociaż podjąłby pan próbę?

— Szczerze mówiąc, nie wiem. - Wzruszył ramionami. - Zresztą, czy to ważne? To jest sprawa dyskusyjna. Nie kocham ich z tego powodu mniej, po prostu nie na wszystko mogę sobie pozwolić.

— Tak jak i one.

— Takie jest życie, co? Cieszę się, że do tego doszedłeś. - Odwrócił głowę. - Miałem co do ciebie dobrego nosa. Lubię twój styl pracy.

Przejechali Piątą Aleję i ruszyli dalej Pięćdziesiątą Siódmą Ulicą na zachód. Korek uliczny zatrzymał ich w pół drogi między przecznicami. Za nimi znajdował się biały nowoczesny łuk Ninę West. Powietrze unoszące się nad asfaltem aż falowało od gorąca i spalin samochodowych.

- Wiesz - powiedział Tomkin, gdy tak stali w miejscu - pieniądze to dziwna rzecz.

Większość ludzi biednych bardzo ich pragnie.

Ale ci co je mają, o ile potrafią myśleć, zdają sobie sprawę, jakim potrafią być ciężarem. Są takie dni, że nie chce mi się wstać z łóżka i iść do biura, choć tak bardzo tę pracę kocham. Czuję się, jakbym ważył setki kilogramów, a płuca nie były w stanie pod tym ciężarem pracować.

Tymczasem na skrzyżowaniu z Szóstą Aleją światło zmieniło się na zielone. Ale nikt nie ruszył z miejsca, więc po chwili rozległy się klaksony.

— Ale niestety są decyzje, które muszą być podejmowane natychmiast - mówił dalej. - Decyzje dotyczące milionów dolarów i bytu tysięcy moich pracowników na całym świecie. I tylko ja mogę je podjąć. - Jego ton stał się filozoficzny. - Czyż to nie jest podniecające? Wiedzieć, że jesteś niezastąpiony w tym, co robisz. Chyba czujesz to równie dobrze jak ja, co? Ty też w tym, co robisz jesteś niezastąpiony.

— A cóż to takiego?

Tomkin skupił swój wzrok, tak jakby starał się coś lepiej dostrzec.

- Jesteś niebezpiecznym człowiekiem, Nick. Nie pomyśl, że tego nie wyczuwam. Nawet zanim widziałem, jak poradziłeś sobie z Frankiem i Whistle'em. Tak, oczywiście, to była ładna próbka tego, co już wcześniej podejrzewałem. Ale od początku miałem do ciebie pełne zaufanie. Dlatego szczerze ci powiem, że cieszę się, iż to ciebie Justine polubiła, sądzę, że jesteś dla niej właściwym partnerem, ona potrzebuje mieć wreszcie prawdziwego mężczyznę.

Światło na skrzyżowaniu znów zmieniło się na czerwone, ale klaksony nie ucichły.

— Co tam się dzieje, Tom? - spytał przez mikrofon.

— Jakiś autobus nawalił, panie Tomkin - odezwał się głos w głośniku. - Chyba zaraz ruszymy.

— Autobus - westchnął Tomkin. - Boże, nie jechałem autobusem od zgoła trzydziestu lat.

— To wszystko przez te pieniądze - powiedział Nicholas.

— Jedyłą rzeczą, jaką powodują pieniądze - odpowiedział ostro Tomkin - to psują charaktery.

Nicholas zwrócił się do niego.

— Czy to pana też dotyczy?

— Wszyscy jesteśmy na to podatni i wszyscy z czasem ulegamy. Nie ma wyjątków, ale to żadnych. Pod tym względem pieniąż jest sprawiedliwy, on nie wybiera, ogłupia nas wszystkich. - Parsknął śmiechem. - Te wszystkie dupki, które chodzą i opowiadają, że nie zmienili się pod wpływem bogactwa, pieprzą głupoty. Jest wręcz przeciwnie. Jeśli chodzi o mnie, jestem realistą, dostrzegam minusy i się na nie godzę. Nie ma takiej rzeczy, której nie można by kupić, tylko trzeba się upewnić, czy się ma wystarczająco dużo forsy, by za to zapłacić.

Weźmy na przykład moją zmarłą żonę. Boże, to była kobieta, która aż za dobrze wiedziała, czego chce, tylko nie miała wystarczająco dużo ikry, aby pogodzić się ze wszystkim, co się z tym wiązało. Tacy ludzie jak ona mnie wkurwiają, gdyż chcieliby tylko korzystać z uciech tego świata w oczekiwaniu, że inni za nich wszystko zrobią. Czy myślisz, że oni wiedzą, co to jest odpowiedzialność? Ani trochę.

Powoli ruszyli i w końcu limuzyna zaparkowała na rogu ulicy, tam gdzie znajdował się lokal „Wolf s Delicatessen”.

- Chodź - powiedział Tomkin. - Nie wiem jak ty, ale ja nie mogę się doczekać specjalności zakładu.

Tymczasem drugie urządzenie podsłuchowe, spokojnie i niepostrzeżenie, pracowało ukryte pod wykładziną podłogową.

Czyżby nie zrobiło na tobie wrażenia?

- Trochę przyduże jak dla jednej osoby.

- Cierpię na klaustrofobię. Croaker zaśmiał się.

— Taaak, no cóż, na pewno nie grozi ci to tutaj. - Odszedł od okna, przez które widać było Rzekę Wschodnią i dzielnicę Queens. Palcami głaskał delikatne skórzane obicie brązowej kanapy.

— Piękna - szepnął.

— Bo się o nią dba. - Jej żółtawe oczy patrzyły na niego

prowokująco. - Poruczniku, pan się chyba zarumienił. Chyba pan mi nie powie, że nie miał do tej pory nigdy do czynienia z kimś uprawiającym podobny proceder, bo i tak bym nie uwierzyła. Słyszając podwójną aluzję aż jęknął.

— Czy zawsze rozmawiasz w taki sposób?

— Tylko wtedy gdy... tylko sporadycznie. - Zastanawiał się, co chciała powiedzieć.

— Słuchaj, zgłodniałem trochę.

— Och, ale lodówka jest prawie pusta...

— Nie ma sprawy i tak miałem...

— Och nie, zostań. Proszę, chociaż jeszcze przez jakiś czas. - Podeszła do telefonu. - Należy ci się trochę wolnego, przynajmniej na spożycie posiłku. A poza tym wiedzą gdzie dzwonić, jak by mieli coś pilnego.

Taaak, pomyślał. Do kobiety, która kolekcjonuje facetów. Zrobiło mu się głupio, ale nie wiedział dlaczego. Jeszcze nigdy tak się nie poczuł. Gelda trzymała już słuchawkę przy uchu.

— Zamówię coś do zjedzenia. Może być coś włoskiego? Lubisz włoską kuchnię? Bo ja wprost uwielbiam.

— Może być.

Wykręciła numer i przez chwilę czekała.

— Philip - powiedziała. - Mówi Gelda. Dziękuję, dobrze. A ty? Na pewno? Masz trochę zmieniony głos. No? Słuchaj, może byś skoczył i przyniósł mi coś do jedzenia. Tak, z knajpką „Mario's”. Dwie porcje. To co zawsze. Dobra. Pa. - Odwróciła się.

— Kto to jest ten Philip? - zapytał. - Chyba nie jakiś goniec czy coś podobnego? Nie zrobiłabyś mi takiego afrontu?

— Nie martw się. To tylko dzieciak, który się tu kręci. Wyświadcza mieszkańcom domu różne przysługi. - Zobaczyła, jak na to zareagował. - Przestań sobie nie wiem co wyobrażać. On nie ma nikogo bliskiego. Wszyscy go kochamy i on o tym wie. Czy jest w tym coś złego?

Uśmiechnął się.

- Jak dla mnie w porządku. - Obszedł kanapę i usiadł na niej. - Wygodna.

Podeszła bliżej, a gdy była przy nim, patrząc z góry, powiedziała.

- Powinieneś spróbować gołym ciałem. Zaśmiał się z zakłopotaniem.

Gelda poszła w stronę sypialni. Nim zniknęła za drzwiami, zaczęła zdejmować jedwabną bluzkę, tak że zdążył ujrzeć doskonałość jej pleców. Mimo dość okazałych piersi, nie nosiła biustonosza.

— Co robisz? - Wstał z kanapy i stał niecierpliwie z rękami w kieszeniach.

— Przebieram się. - Jej głos dobiegał z oddali. - Nie martw się, nic ci nie zrobię.

— Nawet o tym nie pomyślałem - odpowiedział szczerze.

— No dobrze.

Usłyszał podniecający dźwięk jedwabiu pocierającego o skórę.

— Może chciałbyś tu wejść - zaproponowała - tak bym cię widziała, skoro rozmawiamy?

— Tu mi jest dobrze. - Poczul się jak uczeń na swej pierwszej randce.

— Słuchaj - powiedziała - skoro obnażyłam przed tobą swoje myśli, nie widzę powodu, dla którego nie miałabym tego zrobić ze swoim ciałem.

— Ja też nie - odpowiedział odruchowo.

— No to wchodź.

Stał jeszcze przez chwilę w miejscu, czując się obco w tym eleganckim choć przytulnym wnętrzu. Próbował sobie wyobrazić co ona mogła tu wyprawiać ze swymi partnerami, ale nic z tego nie wyszło. Miał bujną wyobraźnię, ale w tej chwili jakby przestała funkcjonować.

Podszedł do drzwi i zaczął się przypatrywać niczym świeżo upieczony podglądacz.

Stała z jedną nogą opartą na łóżku, naciągając pończochę. Pończochy, pomyślał, a nie rajstopy. Noga stała się ciemna, ciało przebijało przez delikatną czarną siateczkę, tak że powstał bladejszy, zupełnie nowy odcień. Palce stopy odcisnęły się na narzucie jak na piasku. Wydało mu się, jakby jej nogi nie miały końca.

Miała na sobie delikatne, koronkowe, skąpe majteczki i pas w kolorze blad różowym. Poza tym była naga. Stał oszołomiony.

Odwróciła głowę i przez ramię spojrzała w jego stronę. Jej żółtawe oczy były pogodne. Uśmiechnęła się niewinnie.

— Widzisz. - Jej głos był niczym szmer. - To chyba nie bolało, prawda?

— Wolałbym, żebyś się ubrała.

Podeszła do szafy. Starał się nie patrzeć na jej unoszące się przy każdym kroku piersi, ale niestety nie dał rady. Gdy doszła, jej ręce wzniosły się, tak jak i stopień jego podniecenia. Wyjęła ciemnozielony szlafrok z jedwabnego atłasu i podeszła do niego.

- Czy tak będzie dobrze, Lew... chyba mogę tak do ciebie mówić? Jakkolwiek było, zwierzyłam ci się w tej furgonetce ze wszystkiego.

Chyba powinnam móc mówić do ciebie Lew. Co najmniej tyle. - Otarła się o niego i poszła do bawialni, z delikatnym uśmiechem na twarzy.

Oderwał się od framugi, zastanawiając się, po co jeszcze tu siedzi. Zawsze pierwszy do roboty, to właśnie ja, pomyślał. Ale tak naprawdę to myślał o swym ponurym mieszkaniu, opustoszałym niczym biurowce w dni wolne od pracy, czekającym na jego powrót. Częstsze przebywanie w domu wydawało mu się równie bezsensowne teraz, jak i wtedy gdy była tam jeszcze Alison.

- Pokochamy się teraz, czy po tym jak zjemy? - Nie był w stanie nie okazać swojej złości. Nieraz gdy zbyt długo się nad czymś zamyślił, nie potrafił się powstrzymać od mówienia tego na głos.

Gelda odwróciła się w pół drogi. Jej związany szlafrok rozchylił się jakby na zawołanie i ujrzął jedną z jej nóg w całej okazałości.

— Więc tak to odebrałeś? - Jej uśmiech był ledwo dostrzegalny niczym światło z osłoniętej ciemnym abażurem lampy.

— Chyba nie można inaczej?

— Nie można? - Jej brwi uniosły się. - Przecież wiesz, że nie robię tego z facetami.

Oczywiście, czyżby zapomniał, a może zrobił to umyślnie. Zrobiło mu się głupio. Włożył ręce do kieszeni i odwrócił się, zbyt zawstydzony, by ją przeprosić. To wszystko przez tę wyobraźnię, pomyślał. Czyż to nie dziwne, że oczy coś zobaczą, a rozum, ten nieobliczalny potwór, od razu wyciąga z tego jakieś niepojęte wnioski. Nagle poczuł się tak jak tego upalnego lata w dzielnicy biedoty, gdy nawet kąpiel przy odkręconych hydrantach nie dawała żadnej ochłody, a powietrze było tak rozgrzane, że człowiek czuł się jakby otulony kocem przez troskliwą matkę w trakcie choroby. Wszyscy byli podenerwowani i impulsywni, jakby swędziała ich jakaś blizna, której nie mogli dotknąć.

Wtedy to, przez szeroko otwarte okno dobiegł go krzyk. Zbiegając po wąskich nieoświetlonych schodach, znalazł się w spiekocie. Natknął się na niego w bocznej alejce dwa domy dalej; jego mundur był zakrwawiony i przeпоcony. Obok niego leżały powywracane kubły, z których wysypała się gnijąca zawartość, jakby w ostatnim, podkreślającym tragizm sytuacji akordzie. Jego szare oczy były otwarte i lśniące, te same oczy, które przypominały mu niebo przed burzą. Były tak delikatne.

W takich to warunkach zakończył swój żywot Martin Croaker. Po dwudziestu dziewięciu latach służby w nowojorskiej policji leżał rozwalony

w jakiejś bocznej alejce pełnej śmieci, otoczony smrodem zgnilizny., bojaźliwymi szczurami i obojętnymi karaluchami, gdzieś z oddali dobiegającym jękiem syren zbliżających się



samochodów. Postrzelony czterema pociskami, paręnaście metrów od domu.

Gdy patrzył na ciało swego ojca, poczuł, że świat się dla niego zawalił, jakby się zerwał ze swej osi. Czuł, że lada moment może zostać wyrzucony gdzieś daleko w kosmos.

Tego właściwie w tamtej sytuacji pragnął, znaleźć się jak najdalej od tego wstrętnego miejsca i nigdy tam więcej nie wrócić, ale to nigdy.

Lecz to oznaczało pójście na łatwiznę, tchórzostwo. Tak Lew Croaker nie mógł postąpić, bo został inaczej wychowany przez ojca.

Pozostał więc tam, a później poszedł do szkoły policyjnej. Jego stara, siwa matka aż płakała, gdy przyjechała na promocję i słuchała, jak wypowiada słowa przysięgi.

Nigdy nie odnalazł mordercy swego ojca, a po pewnym czasie potrzeba zemsty osłabła.

Poczuł, jak chwyciła go pod rękę. Był zaskoczony, że po tylu latach pamięć o wszystkim jest w nim jeszcze tak żywa.

- Przykro mi - powiedziała. - Nie powinnam była cię tak podpuszczać. Po prostu...

- Co? Po prostu co? Spuściła oczy.

- Cieszę się, że tu jesteś. - Starła się to powiedzieć zabawnie, ale jej nie wyszło. - Przy tobie czuję się...

— Jak? Spojrzała na niego.

— Po prostu w ogóle coś czuję. Był nadal urażony.

— Jestem pewien, że mogłabyś to ze mną zrobić i okazać zadowolenie.

— Mogłabym, jestem przecież aktorką. Czyżbyś mi nie ufał? Nie mógłbyś, nie po tym, co mi powiedziałaś w furgonetce. Wiele ryzykowałeś, mówiąc mi, że podejrzewasz mojego ojca. Postąpiłeś nierozważnie.

— Taki jestem. Ciągle robię coś nie tak.

— Tak. - Jej głos był delikatny niczym jedwabna nić.

— Wiesz, mogłabyś mi chyba wmówić wszystko. - Powiedział to, aby się przed nią obronić, była zbyt blisko. Chciał, aby wiedziała, że on jest wszystkiego świadom. Wolał się w ten sposób zabezpieczyć.

— Nie - powiedziała - nigdy bym tego nie zrobiła. Przynajmniej nie po tym co zaszło. - Pociągnęła palcami wzdłuż jego ramienia, wydały mu się rozgrzane. - Rzuciłam sobie wyzwanie, aby być z tobą szczerą. Będę się przez to lepiej czuła.

Dobiegł ich odgłos przytłumionego gongu.

Oderwała się od niego i zniknęła w przedpokoju umeblowanym w starym stylu. Jej głos dźwięczał: - Cześć, kochanie, wejdz. - Wróciła, obejmując dość wysokiego chłopca, o ciemnych włosach i migdałowych oczach. To był Philip. Croaker odwrócił się do nich tyłem, wyglądając przez okno na przepływającą rzekę. Długa barka, zavalona śmieciami, posuwała się powoli pod

prąd z pomocą holownika. Wzdłuż nabrzeża jakiś mężczyzna w biało-czerwonym dresie uprawiał biegi. Po pewnym czasie minął płynącą w przeciwnym kierunku barkę i zniknął z pola widzenia. On i Gelda w łóżku, pomyślał, ich ciała splecione.

- Co ci się stało, kochanie? Twoja twarz wygląda potwornie. Jej głos był przytłumiony niczym dźwięk z przyciszonego telewizora.

Nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie zadzwoni telefon, chciał zakosztować rozkoszy z wsadzenia tego skurwysyna Tomkina do paki na dwadzieścia lat.

— Rany boskie, co ci się przytrafiło? Wyglądasz tak, jakbyś wdał się w bójkę.

— To nie żadna bójka, Gelda.

— A więc co?

— Nic takiego. Potknąłem się...

Na wodzie pojawiła się żaglówka, możecie to sobie wyobrazić? W normalny dzień roboczy. Białe żagiel na tle kolorowych budynków, na drugim brzegu, poruszający się na wietrze z równą łatwością co chmury. Żadnych zmartwień, tylko płynąć z wiatrem i pyłem wodnym, aż zawitasz wieczorem w porcie. Jesteś tam panem sytuacji. Znów pomyślał o niej, jak pieści jej wydatne piersi, zanurza się w jej usta.

— ...idąc chodnikiem. Wpadłem na kubły do śmieci...

— Nie rób z siebie idioty i przestań kłamać. Kochanie, musisz mi dokładnie o wszystkim opowiedzieć. Zaraz obłożę ci to lodem, rób, jak każę. - Usłyszał brzęk wysypujących się kostek. - Widzisz, od razu lepiej.

Po wsadzeniu do paki Tomkina mógłby wziąć urlop, pojechać nad morze niczym Melville, gdy przeżywał rozterki sercowe i awanturował się z każdym, kto mu wszedł w drogę. Tak, nad morze, ale nie po to, by łowić ryby, ale by pożaglować. Nigdy wcześniej tego nie robił, ale być może nadszedł czas, by spróbować w tym swoich sił. Tak jak mógłby spróbować swoich sił z Geldą.

— To się stało u Ah Ma, pracowałem tam wczoraj wieczorem.

— Przecież ona by cię nigdy w życiu nie tknęła.

— Bo to nie ona, tylko mężczyzna...

— Co za zwierzę. Trzymaj łód jeszcze przez chwilę. Nie wolno ci tam więcej chodzić.

— Ale ten człowiek będzie tam znowu dzisiaj. Ona chce, bym się też stawiał...

— Nie obchodzi mnie, czego chce Ah Ma, nigdzie nie pójdziesz. Będzie musiała sobie poradzić bez ciebie.

— Ona nic beze mnie nie zrobi.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Ten facet potrzebuje właśnie mnie. Inaczej nie mógłby... mieć wytrysku. Dobrze to chyba nazwałem, prawda?

— O Boże... kim jest ten człowiek?

— Nie wiem. To jakiś Japończyk, bardzo dziwny facet, jego oczy nie mają w sobie śladu życia, jakby przybył do nas z zaświatów.

Croaker już był przy nim, jego twarz zarumieniła się z wrażenia.

- Porozmawiajmy, Philip - powiedział powoli i wyraźnie, starając się ukryć swe podniecenie. - Opowiedz mi wszystko o tym Japończyku.

Croaker czekał na nich przy wyjściu z biurowca, od strony alei Parkowej. Jego wielkie ciało oparte było obojętnie o maskę nie oznaczonego samochodu służbowego. Czerwony „kogut” stał na dachu przypięty magnesem, błyskając w wieczornej szarówce niczym latarnia ostrzegająca przepływające statki.

Nicholas wyskoczył z wozu, jak tylko podjechali do krawężnika od północnej strony. Idąc szybko w stronę Croakera, czuł podążającego za nim krok w krok Tomkina, któremu szczupły kierowca otworzył kuloodporne drzwi.

Zauważył też, że otaczające go miasto pogrążało się powoli w granatowej powłoce. Słońce było już tylko wspomnieniem, choć nadal przez zelówki można było wyczuć rozgrzany przez nie asfalt. Powietrze było przepełnione spalinami. Sznury brudnych żółtych taksówek po obu stronach ulicy wyglądały niczym karawany, podjeżdżając i odjeżdżając spod Dworca Grand Central.

- Co słyhać u twojego szefa? - Głos Croakera był spokojny, poważny i nieugięty, przypatrywał się temu co się dzieje za plecami Nicholasa.

Nicholas czując wzrastające napięcie, powiedział:

— Uspokój się, Lew. Zapomnij, że...

— Za późno, stary.

Czuł, że tamten jest już tuż za nim, gdy usłyszał głos Tomkina.

— Co, poruczniku, znów się pan ugania za jakimś opryszkiem, chroniąc porządnych nowojorczyków przed złem? - Drwina w jego głosie była oczywista.

— Nie wszystkich da się uchronić - skomentował Croaker.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Pomyśl, a sam do tego dojdiesz, Tomkin.

— Nie pozwolę, żeby mnie ktoś straszył, poruczniku, nikomu. Być może powinienem znowu pogadać z komendantem policji i...

— Wiedziałem, że to ty, ty skurwysynu...

— Zobaczymy, jak długo jeszcze będziesz porucznikiem.

— Zostałem przeniesiony, by robić to samo, do czego wynająłeś Nicholasa, będziemy się więc często widywać.

— Coś ty powiedział?

Na twarzy Croakera ukazał się zjadliwy uśmiech, jego opalona cera jaśniała i ciemniała w świetle reflektorów przejeżdżających samochodów.

Twarz stojącego naprzeciwko Tomkina czerwieniała od ich świateł tylnych.

— Mój Boże, nie zgodzę się, by znów cię mieć u swego boku!

— Obawiam się, że nic na to nie poradzisz. Rozkaz przeniesienia wydał sam komendant. Nawet ty nie jesteś w stanie go zmusić, by go zmienił, bo ośmieszyłby się zupełnie, pośpiesznie odwołując świeży rozkaz.

— Boże, czy nie dosyć już się z tobą namęczyłem? Nachodziłeś mnie...

— Jestem tu po to, by cię chronić - wyjaśnił Croaker - i złapać *ninja*, nim cię wykończy.

Tomkin skupił wzrok. Słabe światło sprawiło, że oczy porucznika wydały mu się wyblakłe, były dziwnie blade.

— Czy przypadkiem nie marzy ci się, by być tu i się przyglądać, jak *ninja* robi za ciebie to, czego sam pragnąłeś? Oczywiście, później byś się wytłumaczył: „Przepraszam, szefie, starałem się, ale nie dałem rady, on był szybszy, to chyba nie moja wina?”

— Słuchaj no, ty chuju - Croaker rzucił się na niego starając się obejść Nicholasa - robię to co do mnie należy, lepiej niż ktokolwiek w tym mieście i jeżeli każą mi cię ochronić, zrobię to. A gdy przyjdę po ciebie, dupku, to też zrobię to dla obrony prawa...

— Jakiego prawa? - odszczeknęła Tomkin. - Nie masz żadnych dowodów...

— Jeszcze nie, ale będę miał - krzyczał Croaker. - A gdy już cię dupnę, to z takim oskarżeniem, na które nic nie pomogą twoi wyszukani prawnicy!

— Nic na mnie nie masz - szydził Tomkin - i nie będziesz miał. Nie było mnie tam, gdy zamordowali Angelę Didion. Nie mam nic wspólnego z...

Zaczęli się nawzajem popychać i tarmosić. Nicholas usłyszał szybki stukot podkutych butów Toma niczym strzały z karabinu; kierowca biegł w ich stronę.

Rozdzielił walczących i powiedział: - Uspokójcie się obaj. Potem pozwolił, by Tom chwycił swego szefa i odciągnął go na bok. Tomkin poddał się swemu kierowcy, oddalając się od miejsca utarczki, wymachując palcem w stronę Croakera.

— Ostrzegam cię - krzyczał - przestań mnie nękać. Nie chcę cię więcej widzieć! - A potem znacznie ciszej do Nicholasa. - Ten człowiek się wziął, nie wiem dlaczego. Chce się na mnie zemścić, a ja mu przecież nic nie zrobiłem, Nick. Czego on ode mnie chce? - Potem się gwałtownie odwrócił i bez słowa poszedł do limuzyny, w towarzystwie Toma, który obejrzał się za siebie ze zmartwieniem na twarzy. Błyszczący „kogut” na samochodzie Croakera co chwila oświetlał ich plecy.

— Ale się głupio zachowałeś - powiedział Nicholas odwracając się.

— Co się martwisz, przecież nie jestem dzieckiem. Boże, co za facet! - Croaker wszedł za kierownicę.

Nicholas powoli obszedł samochód i wszedł z drugiej strony, nie spieszył się. Croaker patrzył w skupieniu przez przednią szybę.

— Przepraszam cię - powiedział po chwili. A potem dodał: - Ale ten facet doprowadza mnie do pasji.

— Wasza wzajemna nienawiść nie ułatwi nam pracy.

Croaker odwrócił głowę i spojrzał na Nicholasa po raz pierwszy, odkąd wsiedli do samochodu.

- Wiesz, martwię się o ciebie, Nick, naprawdę. - Ich zarysy odbijały się w przedniej szybie, to znowu znikaly, podświetlane przez przejeżdżające samochody niczym zapalający się i gasnący neon reklamowy. - Jesteś człowiekiem, który zawsze nad sobą panuje. Czy nigdy nie okazujesz złości? Albo smutku?

Nicholas pomyślał o Justine. Ujrzeć ją i porozmawiać - tego pragnął najbardziej.

— Bo jeżeli tak, to jest mi cię naprawdę żal.

— Nie ma powodu do zmartwień - odpowiedział cicho. - Reaguję tak samo jak inni. Nawet bardziej.

— Wiesz, w twoich ustach brzmi to tak, jakby to było wadą. A przecież wszyscy się z nią rodzimy, bracie.

— Ale mnie - opowiadał - wychowano w przeświadczeniu, iż nie wolno popełniać błędów, że popełnienie ich jest upokarzające.

— A mimo to je popełniałeś.

— Och, tak. - Nicholas zaśmiał się nie wesoło. - Bardzo wiele, w szczególności w stosunkach z kobietami. Ufałem im wtedy, gdy nie powinienem, a teraz boję się zacząć wszystko 'od nowa.

— Chodzi ci o Justine?

— Taaak. Znowu się ostro pokłóciliśmy. Teraz wiem, że to głównie ja zawiniłem.

— Wiesz, co ja uważam, chłopie? - powiedział Croaker zapalając silnik.

— Co?

— Uważam, że tu nie chodzi o to, co jest między tobą i Justine, tylko o to, co było w przeszłości. Co w tym złego, że się komuś zaufa? Jak już mówiłem, każdemu się to zdarza. Nieraz na tym zyskujemy, a nieraz... - Wzruszył ramionami. - A zreszrk do diabła z tym wszystkim, mam rację? Najgorsze to nikomu nie ufać. - Wrzucił bieg i wyskoczył zza limuzyny Tomkina, zjeżdżając na lewy pas, by zawrócić w przeciwnym kierunku.

Nicholas czuł, że znów nadchodzi huragan. Jego twarz nabierała to żółtej, to czerwonej karnacji albo niebieskiej, gdy nie mijały ich żadne samochody. Jego *tsunami*, duchowy huragan, szalał tuż za nim, nad całym jego światem. Nigdy nie pozbędzie się wspomnień z przeszłości, pomyślał. Poczul narastający ból, który powali ogarniał całe ciało. Wszystkie przykre zdarzenia, pozostające jak pamiątki po przeszłości, niczym zwisające sople po mrozie, powracały powoli jak płynąca rzeka. Nie miał już sił, by się temu wszystkiemu przeciwstawić.

No dalej! - pomyślał. Czekam! Niech się stanie, co ma się stać.

Ale nim cokolwiek się stało, usłyszał zwycięski głos Croakera.

- No, nie martw się, wreszcie coś mamy. Być może jeszcze nie wiemy, kim jest *ninja*, ale ja wiem, gdzie on będzie dziś o jedenastej wieczorem.

Stary, będziemy tam na niego czekać. Ty, ja i dwa radiowozy dla wsparcia. Przyskrzynimy tego drania, nim podejmie próbę załatwienia Raphaela Tomkina.

Osaka/Shimonoseki/Kumamoto/Przedmieścia Tokio

## ZIMA 1963

o tej porze roku krajobraz był szary i ponury. Piękne brązowo-pomarańczowe liście już dawno zniknęły, zamieniając się w brunatną maź pod kopytami zwierząt, a śnieg, jakby na złość, nie chciał spaść i przykryć ziemi lśniąca powłoką.

Jadąc koleją pod nisko zawieszonymi chmurami, z których lada moment miał zacząć kroić deszcz, z zalem przyglądał się rzędom ogołoconych z liści drzew, wyglądających niczym metalowe stelaże, na których natura rozwiesi w przyszłym roku dekoracje. Między nimi przebłyskiwały wiecznie zielone sosny, osamotnione, wyglądające tak, jakby Bóg pozostawił je nienaruszone, nie chcąc już bardziej ogałacać tego skrawka ziemi.

Nicholas skupiał swą uwagę na dalej położonych obiektach, gdyż bliższy krajobraz stawał się zamazany niczym widok kręcącej się karuzeli. Yukio przechyliwszy się przez niego, by móc lepiej spojrzeć przez okno, docisnęła do jego ciała jedną ze swych jędrnych piersi. Jej dłoń była oparta o jego udo, amortyzując kołysanie wagonu, paznokcie wbite w ciało dla lepszego chwytu. Poczuł, jak ciepło od jej ręki posuwa się w górę do jego członka i zastanawiał się, na wpół wystraszony, na wpół zniecierpliwiony, czy jej ręka posunie się wyżej, aż go w końcu tam dotknie.

Naprzeciw nich siedział japoński człowiek interesu, elegancko ogolony, w granatowym prążkowanym garniturze, z neseserem z cielecej skóry, leżącym na siedzeniu niczym niemy towarzysz. Na neseserze spoczywał ciemnoszary kaszmirowy płaszcz pedantycznie złożony oraz czarny melonik na samej górze tej swoistej piramidy niczym figurka na szczycie tortu weselnego. Człowiek ten przyglądał im się znad gazety. Jego oczy miały nienaturalną wielkość i kształt z powodu grubych szkielek w okularach. Mrugnął niczym ryba, gdy napotka tajemniczy przedmiot. Czy przyglądał się palcom Yukio, zbliżającym się do członka, nim powrócił do czytania? Gazeta zaszeleściła, ale równie dobrze mogłaby to być ściana.

Nicholas dostrzegł światło odbijające się od zaokrąglonej powierzchni jego grubej złotej obrączki. Przypuszczał, że człowiek ten jest ważnym przedstawicielem *zaibatsu*, tylko którego? Być może Mitsubishi? Albo Sumitomo lub Mitsui? Na pewno nie Fuyo, Sanwa, Dai-Ichi Kangyo ani też mniejszych koncernów, takich jak Nippon Steel, Toyota czy Nissan. Raczej wyglądał na człowieka z jednej z rozrastających się firm elektronicznych, takich jak Toshiba-IHI, Matsuhita czy Hitachi, chociaż nie, Hitachi nie pasuje, ani Tokyu. Zaraz, czy Tokyu produkuje sprzęt elektroniczny? Prawdę mówiąc nie był pewien.

Być może jego rodzina stworzyła Mitsubishi, gdyż jak wiedział, to właśnie rodziny znów zarządzały *zaibatsu*, tak jak to robiły od samego początku. Zasady narzucone przez Amerykanów, zmuszające je do wycofania się, okazały się tylko chwilową przerwą.

Nicholas patrzył na rozdzielającą ich gazetę, tak jakby jego wzrok potrafił przenikać materię. Miał przed sobą okrągłą żółtą twarz, lśniąca od cienkiej warstwy potu, poniżej której znajdował się śnieżnobiały kołnierzyk, sztywny i nakrochmalony, spięty cienkim jedwabnym granatowym krawatem - symbol nowej Japonii, jej trudnego wychodzenia z opóźnienia spowodowanego izolacjonizmem, który niespodziewanie był ważniejszy od skutków znacznie bliższej historycznie wojny, co świadczy o przygnębiająco selektywnym i stronnicymskim podejściu do minionych czasów. Ubieranie się w stylu zachodnim było jedną z oznak pogoni Japończyków za Zachodem. Tak zacieklej jak sam generał Tojo albo generał Mac Arthur, ten zbawiciel Japonii.

Japonia już się zrównała z Zachodem i przygotowywała się teraz do wielkiego skoku, do wyprzedzenia tych państw, które kiedyś starała się doścignąć. I nadejdzie taki dzień, o czym Nicholas był przekonany, gdy Japończycy stawszy się potęgą gospodarczą, porzucą swoje zachodnie stroje i spokojni o swe bezpieczeństwo, przywdzieją tradycyjne kimono.

Jechali szybkim pociągiem ekspresowym z Tokio do Osaki. Przez okno po prawej stronie widać było rozległe tereny Honshu, największej z wysp. Po drugiej stronie od czasu do czasu ukazywało się morze, a odbite od niego złotawe promienie słoneczne układały się w przeróżne kształty na suficie wagonu. Drgania pociągu były minimalne, tak jak i szum na pokładzie tego srebrnoniebieskiego pojazdu, cichego, przestronnego i pogodnego.

Yukio rozsiadła się i wzięła go pod rękę.



-Może byśmy zostali w Osace na noc? - zasugerowała i dodała jakby argumentując. - Nie lubię podróżować pociągiem.

Nicholas zastanowił się. Być może to nie był taki głupi pomysł. Życie nocne było tam barwne i wesołe, a on akurat potrzebował rozrywki.

Jego akcja wywiadowcza dotycząca Saigo, którą zaplanował wspólnie z Yukio, zresztą zapomniał już z czyjej inicjatywy, okazała się zbyteczna. Niespodziewanie, zanim zdążyła być na kolacji w domu wuja, gdzie miała podejrzeć stację docelową na bilecie kolejowym Saigo, Nicholasowi dostarczono list. Saigo przysłał zaproszenie do odwiedzenia go w mieście Kumamoto na wyspie Kyushu w ciągu najbliższych kilku tygodni. Jak wszystko w życiu jego kuzyna, także i zaproszenie było tajemnicze.

Nicholas czytając ten list był coraz bardziej załamany. Miał irracjonalne poczucie, że Saigo w jakiś sposób odczytał jego zamiary. Nie był w stanie zagłuszyć dziwnego przecucia, które to zaproszenie wywołało, podobnego do dzwonów ostrzegających statki we mgle. „Udajesz się w nieznaną - powiedział mu Kansatsu - jeżeli jesteś pewien, że chcesz tam być. Musisz sam podjąć decyzję, Nicholas. Ja ci w tym nie mogę pomóc. Powiem ci tylko, że tu już nic więcej nie osiągniesz. Musisz sięgnąć teraz dalej, do zła... i do dobra”. - Jego plan został tak łatwo rozpracowany, niczym w dziecinnej zabawie, a on zamiast zastanowić się, jaki jest cel zaproszenia, zamartwiał się z powodu poniesionej porażki. Ażeby go już całkowicie pogrążyć, Yukio mimo wszystko poszła na kolację do Satsugai.

Góry przesunęły się bezszelestnie za oknem. Ich zbocza były szaroniebieskie, popękane, a szczyty pokryte śniegiem niczym bitą śmietaną. Jedno z trzech pasm Alp Japońskich, najbardziej południowe, z górą Shirane, wyglądało jak pas spinający wyspę.

— Nie lubię szczególnie tego pociągu - powiedziała Yukio, tak jakby w ogóle nie było ich długiego milczenia. - Nienawidzę go. Tych szerokich foteli, chromowanych wykończeń, wielkich okien. A najgorsza jest ta cisza. Sprawia, że staję się nerwowa. - Uśmiechnęła się do niego z grymasem. - Moje stopy usnęły. - Przesunęła się tak, by wyprostować nogi, na których siedziała. Sąsiad z naprzeciwka poruszył gazetą, jakby dawał ostrzeżenie.

— Dobra - powiedział Nicholas. - Zgadza się. - Nie miał powodu, żeby aż tak się spieszyć do Kumamoto. A poza tym odwiedził Osakę tylko raz w życiu, kiedy był znacznie młodszy i teraz był ciekaw, czy miasto się zmieniło. Czy coś będzie w stanie rozpoznać. Był przekonany, że nie.

Czuł bliskość i ciepło Yukio i zastanawiał się, czy było rozsądne brać ją ze sobą. Ale po tym jak zgodził się przyjąć zaproszenie Saigo, nie był w stanie jej tego wyperswadować. „W końcu to ty - mówiła swoim oskarżycielskim głosem - wplątałeś mnie w tę całą sprawę”. Nie pamiętał, czy tak było w istocie. „Wypada więc, abys mnie teraz wziął ze sobą”. Odrzuciła głowę do tyłu w sposób wyzywający i pociągający, ale też ona zawsze, nawet gdy się złościła, była bardzo pociągająca. „A poza tym jeśli tego nie zrobisz, to i tak pojedę na własną rękę. Czy sądzisz, że mógłbyś się przede mną skryć?” Wiedział, że nie. W sposób iście niejapoński zgodził się na wszystko. Zastanawiał się, czy tak samo postępuje pułkownik w stosunku do Czeong.

Często gdy była blisko, łapały go dreszcze, jego mięśnie drgały i napinały się bezwiednie. Przyglądał się nieraz temu zjawisku, jakby był osobą z zewnątrz. Dzięki temu był w stanie osłabić uczucie przerażenia, które ogarniało całe jego ciało, począwszy od żołądka, unosząc się w górę niczym stado nietoperzy, aż do mózgu. Nie mógł w żadnym razie dopuścić, aby tak się stało, bo wtedy czuł, że zwariuje. Przejechała dłonią po jego ręce, wywołując reakcję w jego duszy, która wydawała mu się od jakiegoś czasu niedostępna nawet dla niego samego. I taką też pozostała.

Tymczasem „Pan Mitsubishi”, z twarzą świecąca się niczym końska skóra po długim galopie, odłożył gazetę złożywszy ją na pół. Następnie zburzył porządek leżącej obok piramidy, by otworzyć i zamknąć swój « nesaser. Na jego gładkiej powierzchni rozłożył papier śniadaniowy, w który zawinięta była kanapka z kurczakiem. Gdy jadł, światło odbijało się od jego okrągłych okularów momentami w taki sposób, że go oślepiało. Być może, pomyślał Nicholas, ma jeszcze schowaną torebkę chrupek albo tabliczkę czekolady.

W kolejnych rzędach foteli inni japońscy biznesmeni, wyglądający identycznie jak „Pan Mitsubishi”, zamknięci w swych ciemnych trzyczęściowych garniturach niczym larwy w kokonach, z czarnymi melonikami na kolanach, dyskutowali o zabójstwie prezydenta Kennedy’ego.

W celach turystycznych nie jeździło się do Osaki, ale do dawnej stolicy kraju, Kioto. Zwykło się uważać mieszkańców tego grodu za zwariowanych na punkcie pieniędzy, za ludzi interesu, którzy przy spotkaniu na ulicy witali się słowami *Mo kari makkd* „Jak idą interesy?” Wiedza Nicholasa na ten temat była skąpa, ale wiedział, że w zaułkach zatłoczonych ulic, niczym enklawy zamierzchłych czasów, znajdowały się kaplice poświęcone *Fudo-myo-o*, bogu kupców i hazardzistów. Kaplice te cieszyły się wielkim powodzeniem.

Zakwaterowali się w małym, nowocześnie wykończonym hotelu, w oddzielnych, ale sąsiadujących pokojach. Ponieważ było zbyt wcześnie na obiad, poszli na miasto.

Yukio nalegała, by obejrzei zamek, ostatni bastion oporu rodziny Toyotomi, szturmowany niegdyś przez wojska Ieyasu Tokugawy. Tokugawa został shogunem w roku 1603, fortecę zaś podobnie jak większość ówczesnej Osaki kazał wybudować Hideoshi Toyotomi, co uczyniono w ciągu trzech lat poprzedzających rok 1586.

- Był taki czas - powiedziała Yukio, gdy spacerowali przez park, z dzielnicą nowoczesnych wieżowców za sobą - że wzorem do naśladowania była dla mnie księżna Yodogimi. - Zamek wznosił się w świetle zachodzącego słońca, wyglądał na większy, niż był w rzeczywistości, płaski nieruchomy i kanciasty. Ieyasu, pomyślał Nicholas, wybudowałby zupełnie coś innego.

W miarę jak zbliżali się do murów obronnych, stawało się coraz bardziej tłoczno.

— Dla mnie naj... najwspanialszy... był sposób, w jaki wypełniła ostatnią wolę Hideoshiego, tak jakby sama była samurajem. Poświęciła się całkowicie zapewnieniu bezpieczeństwa ich dziecku.

— No tak - powiedział Nicholas. - Oczywiście. - Dotarli do pierwszego z wałów, potężnego i górującego w coraz ciemniejszym świetle. - Ona i Mitsunari spiskowali na szkodę całego kraju...

— Spiskowali, jak to ująłeś, by uratować syna zmarłego wodza. Robili to, co im nakazywał honor.

Nicholas pokręcił głową.

— Yukio, zrozum, Yodogimi była kochanką *kampaku*, a nie jego żoną. Miała więc aspiracje na wyrost. - Machnął ręką jakby odtrącając dalsze argumenty. - Tak czy inaczej Ieyasu okazał się dla nich zbyt silnym przeciwnikiem. - Wstał.

— Mówisz to w taki sposób, jakby Yodogimi była potworem z baśni dla niegrzecznych dzieci.

— Chyba sama przyznasz, że nie chodziło jej o dobro Japonii.

- Jej syn mógł zostać największym wodzem w historii kraju. Nicholas spojrzał na widoczny w oddali budynek zbrojowni. To właśnie tam Yodogimi zaprowadziła swego syna i kilku gwardzistów, gdy

zbliżał się koniec. To tam odebrała życie synowi, nim sama popełniła *seppuku*.

- To nie ma nic do rzeczy, chyba się z tym zgodzisz? Nim on by dorósł, w kraju nie byłoby ani jednego *daimyo* na tyle silnego, by mógł zostać shogunem i objąć rządy, co nieuchronnie prowadziłyby do wojny domowej, którą Hideoshi powstrzymał. Bez silnej ręki Ieyasu Japonia by się rozpadła.

- Niemniej jednak była to odważna kobieta. Wierna i odważna. - Głos Yukio był niczym podmuch wiatru. - Pełna poświęcenia. - Przyglądała się kolejce turystów przesuwającej się wzdłuż

budowli. - Podziwiam ją.

Słońce, które już się skryło opadło, tak jakby było zbyt ciężkie, by utrzymać się na niebie. Niebo było pełne szarych chmur, przesuwających się na wietrze w jednym kierunku niczym ciemna wstążka przykrywająca jakieś różowe ciało, raz po raz je odkrywając. Przez chwilę coś zabłysnęło, gdy światło latarni padło na jakieś złocenia.

- Chodźmy - powiedział biorąc ją za rękę. - Tą drogą dalej i pod górę.

Zamek w Osace został zniszczony w 1615 roku, podczas najazdu wojsk Tokugawy, choć wcześniej uważano go za nie do zdobycia. Miejsce gdzie się teraz znajdowali, było współczesną rekonstrukcją budowli, ukończoną w 1931 roku.

/napadła noc. Szli trak tern Dotombori, pełnym restauracji, sklepów, kiosków, kin, nocnych; lokali, tłumu przechodniów i przede wszystkim ogromnych neonów błyszczących nocą, rozświetlających ciemności, jakby dla mroku nie było tam miejsca. Światło pulsowało różnymi barwami w rytm. przesuwanego się ruchu ulicznego.

Wydawało się, że czas *j* tu stanął w miejscu, jakby w jakimś baśniowym świecie zebrani na tę okoliczność czarodzieje rzucali kolorowe gromy.

Ogromny czerwono-biały krab, ze swym błyszczącym pancerzem, oświetlony silnym żółtym światłem, niczym polewą miodową, wisiał nad wejściem do restauracji, zachęcając do wejścia i przekąszenia czegoś.

Zjedli posiłek w lokalu wykończonym drewnem pokrytym szmaragdowozieloną laką i chromowanymi prętami, które błyszczały niczym światło jarzeniowe, odbijając część ich postaci. W małej salce zasiedli na *tatami*, bez obuwia, zapychając się *saskimi* i popijając *sake*, a ona wciąż przypominała, mu o strasznej przeszłości zamczyska i zamieszkujących go duchach dawnych mieszkańców.

— Wydaje mi się, że dlatego tak ją podziwiam, bo tak wiele mi do niej brakuje. - Dołała im do kieliszków wódki ryżowej, nie rozlewając ani kropli.

— Co chcesz, przez to powiedzieć?

Patrzyła mu przez chwilę w oczy, nim jej wzrok odpłynął.

— Nie jestem wierna, a tym bardziej odważna. Jestem zwykłą Japonką. - Lekko wzruszyła ramionami. - Jestem tchórzem, a taka osoba nikogo nie obchodzi. Nie mam rodziny, a zatem i żadnych zobowiązań.

— Chyba zapomniałaś o swym wuju.

— Nie. - Pokręciła głową, jej czarne włosy lśniły w przyćmionym świetle. - O nim nie zapomniałam. Nigdy.

- Jest twoim krewnym. Jej oczy rozbliły.

— Czy tobie trzeba wszystko „kawa na ławę”? Nienawidzę Satsugai. Jak byś ty się czuł, gdyby twój wuj nie chciał mieć z tobą do czynienia i oddał cię w ręce innych... - Wychyliła kieliszek, cała drżąc.

— Któregoś dnia - powiedział spoglądając w dół - znajdziesz sobie kogoś. Zakochasz się w nim.

— Pamiętasz, co powiedziałam: żadnych zobowiązań? - Jej głos był pełen goryczy. - Urodziłam się bez nich, tak jak bez zdolności kochania. To są dla mnie obce pojęcia.

— Uważasz tak tylko dlatego, że tak bardzo jesteś przywiązana do seksu.

- Dlatego, że tylko wtedy jestem szczęśliwa - poprawiła go. Spojrzał na nią.

— Czy ty nie rozumiesz, że jest tak dlatego, że nie cenisz sama siebie? - Wyciągnął rękę i położył swą dłoń na jej ręce. - Nie potrafisz sobie nawet wyobrazić, że komiś by mogło na tobie zależeć, ze względu na twoją osobowość, a nie cię.

— Gadasz głupoty. - Ale nie cofnęła dłoni ani też nie oderwała od niego wzroku.

— Możesz tak to nazwać.

— Muszę, bo nie ufam twym słowom. Naprawdę. Czy nie możesz się pogodzić z tym, jaka jestem? Przecież rnie zmienisz mnie.

— To nie o to chodzi. Chcę, abyś wydobyła z siebie to, co w sobie dusisz...

— Och, Nicholas - przejechała palcami po jego policzku - po co zaprzątasz sobie głowę planami nie do zrealizowania. Kto wie? Za rok może mnie już nie będzie na tym świecie...

— Cicho bądź - krzyknął - nie chcę słyszeć takich głupstw, jasne?!

— Tak - odpowiedziała z pokorą. Opuściła głowę jakby w poczuciu winy i włosy opadły jej na twarz niczym czarny wodospad. Dała przykład wzorcowego zachowania Japonki, chylącej czoło przed racjami wypowiedzianymi przez swego męża.

— A poza tym, czy ktoś stwierdził, że nie jesteś odważna? - To

wszystko było dla niego nowością. Chciał koniecznie przysunąć się do niej i pocałować jej rozwarłe uszminkowane usta, ale zabrakło mu odwagi. - Pomyśl tylko przez co w życiu przeszedłeś, dorastając u swych wychowawców. To wymagało wielkiego samozaparcia.

- Tak uważasz? - Była jak mała dziewczynka.

Kelnerka wsunęła się do ich salki i uklękła przy stoliczku, rozstawiając na nim kolejne danie i napoje. Nicholas czekał, aż wyjdzie bezszelestnie przez próg.

- Chyba jasno się wyraziłem - szepnął w złości. - Co się z tobą dzieje?

- Sama nie wiem. - Spuściła oczy. - Po prostu nie wiem. Napełnił wódką jej mały biały porcelanowy kieliszek.

.Poszli na spacer, a ona bez przerwy gadała, tak jakby nie było wcześniej rozmowy, przytulała się do jego ramienia, bez celu co chwila zmieniając temat.

Starali się skraść trochę mroku, zachować go na później, gdy tak poruszali się przez zaułki tętniące nocnym życiem, migającymi światłami i głośnymi dźwiękami. W powietrzu unosił się zapach kadzidła i spalin samochodowych, a wzdłuż ścian budynków zwisały kolorowe zadaszenia otwartych na okrągło przybytków, w tym mieście ludzi interesu, równie znienawidzonych przez szlacheckich samurajów co przez biedotę wiejską.

Na chwilę stanęli przed ogromnym salonem z automatami do gry, gapiąc się niczym jacyś prymitywni wieśniacy; dobiegły ich elektroniczne drgania amerykańskiego rock'n'rolla, z jego nieomylnym rytmem wydobywającym się z głośników sklepu z płytami. Połączony skowyt jakby murzyńskich głosów z dodatkiem szarpanych strun i perkusji, nieodłącznej perkusji wytyczającej szlak, którym podąża melodia. Tańczyli przed oświetloną witryną z wielkim biało-czarnym fotosem, na którego lśniącej powierzchni widniały imiona: John, Paul, George, Ringo.

*Close your eyes and VII kiss you Tomorrow VII miss you Remember VII always be true...*

Żółto-zielono-czerwone neony błyskały, a on ją prowadził w ich rytmie, stali się natychmiast miłośnikami rock'n'rolla.

— Kto to śpiewa? - spytała zdyszana Yukio.

— Beatlesi - odpowiedział sprzedawca. - To taki nowy zespół z Anglii.

Kupił jej płytę, była prosto z importu i bardzo droga.

Ale przecnicę dalej usłyszeli głośne, przerywane dźwięki tradycyjnego *samisenu*. Ten przeskok kulturowy oszołomił ich, postanowili się tam udać, by sprawdzić, co się dzieje.

Było to przedstawienie *bunraku*, teatru kukielkowego o starej tradycji mającej swe korzenie w Osace, tak jak teatr *kabuki* wywodził się z dawnej stolicy Edo. Yukio była zachwycona i klasnęła dłońmi niczym mała dziewczynka. Sięgnął więc po pieniądze i kupił dwa bilety.

Na sali było pełno ludzi, mieli więc kłopoty ze znalezieniem miejsca. Przedstawienie już się rozpoczęło, ale zdążył przeczytać na afiszu przed wejściem, że była to sławna sztuka *Chushingura*, czyli „O czterdziestu siedmiu *roninach*”. Kukielki były prześliczne, najważniejsze z nich w lśniących strojach, tak skomplikowane w swej konstrukcji, że do ich animacji potrzebne były aż trzy osoby. Jeden lalkarz poruszał głową, tułowiem i prawą ręką, drugi zaś lewą ręką, a trzeci nogami lub w przypadku naśladowania kobiet dołem kimona.

Nicholas zauważył, że Yukio skierowała spojrzenie poza scenę, wiedział też gdzie. Niczym pies łowczy wpatrzona była w jego krocze. Kolory mieniły się w rozproszonym świetle niczym w akwariium w Tokio, do którego rodzice zabrali go kiedyś w dzieciństwie. To wszystko wydawało się urojeniem. Jej lekko rozwarte usta, unoszące się przy oddychaniu piersi, jej spojrzenie.

W ciemności poczuł jej dłoń między udami, głaszczącą go, rozsuwającą rozporek, ciepło jej dotyku. Jego członek zeszywniał. A ona cały czas się tam wpatrywała, nie odrywając wzroku, jej oczy były rozwarte i błyszczące. Czuł, że traci panowanie nad swym ciałem. Chciał krzyknąć „Przestań!”, ale nie był w stanie. Jej powieki nawet nie drgnęły. Chciał odsunąć jej dłoń, ale nie zrobił tego. Siedział oglądając przedstawienie, spoglądając kątem oka na swoje krocze, powiększające się. Jak dużego miał członka? Jak dużego można w ogóle było go mieć? Czy była to miara możliwości seksualnych, tak jak dla niektórych wielkość kobiecych piersi? Czy właśnie to podniecało kobiety?

Muzyka była wciąż ta sama. Bohaterowie przedstawienia mężnie się pojedykowali, zadając pchnięcia raz za razem. Tak jak i on!

Wiesz, czego nienawidzę w Japończykach? - spytała. Światło z latarni ulicznych przesączało się przez żaluzje, tworząc paski na przeciwległej ścianie i na części sufitu.

Przekręcił się na łóżku.

- Czego?

— Koloru oczu. - Westchnęła, a on był pewien, że jej wydatne zmysłowe wargi były wydęte. - Francuzki, które widuję w Kioto, jak również Amerykanki, mają krótko obcięte włosy i niebieskie oczy. Może to śmieszne, ale zawsze marzyłam, by mieć oczy zielone niczym szmaragdy.

— Po co do tego wracasz?

— Aby uprzytomnić sobie, jak bardzo się nienawidzę. O tu - sięgnęła po jego dłoń i położyła ją na swym rozbudzonym łonie - to jest jedyna część mego ciała, która ma jakąś wartość. Właśnie to.

— Nieprawda - powiedział cofając swą dłoń - nie ma żadnej wartości.

Położyła się na boku, jej głos przeszedł w szept.

- Ani trochę? Zaśmiał się.

— No dobra, zgadza się, ma wartość. Ale niewielką. - Podniósł się, nachylając się nad nią. W tym świetle jej skóra wydawała się blada, a gęste włosy przypominały czarny las. - Posłuchaj mnie, Yukio, byłem tobą zafascynowany, nim jeszcze z tobą zatańczyłem.

— Nim...

— Ocierałaś się o moje ciało.

Wyciągnęła rękę, delikatnie głaszcząc jego klatkę piersiową. Mięśnie mu się naprężyły i poczuł znane mu już uczucie skurczu w żołądku. Czuł się, jakby ktoś przydusił jego płuca, naciskając na nie z całej siły, tak że miał kłopoty z oddychaniem. Było to podobne do ataku astmy.

- Co ci jest? - spytała w chwili, gdy spuścił nogi na ziemię i usiadł na krawędzi łóżka. - Czego się obawiasz? - Ona też się podniosła i poczuł, jak na niego spogląda. Czuł się jakoś dziwnie. - Czy chodzi o mnie, Nicholas? Czy ty się mnie boisz?

- Sam nie wiem - odpowiedział niepewnie. I to był jego problem.

Wyjechali z Osaki starym przedwojennym pociągiem, którego wagony mimo swej nienaganej czystości bardzo różniły się od superekspresu, którym przyjechali.

Słysząc było jakieś stuki, piski, a wagony podskakiwały. O dziwo te wszystkie rzeczy wpływały na niego kojąco. W myślach powracał do przedstawienia w teatrze, a właściwie do tego, co zrobiła Yukio. Być może jest nimfomanką, pomyślał. Choć nie wiedział, po czym to poznać. Czy osoba, która była nienasycona seksualnie musiała od razu być nimfomanką? Ale nie wiedział, czy można Yukio nazwać



nienasyconą. Jej zachowanie mogło być spowodowane chwilową potrzebą. Wymagało wiele energii. A nawet jeśli była nimfomanką? Czy coś by to dla niego zmieniło?

Odwrócił od niej myśli, wyglądając przez okno. Słysząc było miarowe stuki. Ktoś idący środkiem wagonu prawie się na nią przewrócił, gdy pociąg wziął ostry zakręt. Tory stromo opadały w kierunku równiny i pól ryżowych. Wydało mu się, że w oddali ujrzał pasące się krowy. Za niespełną godzinę tory skręcają na południowy wschód, w stronę morza.

Dzień był pogodny, słońce wypalało resztki porannej mgły.

Kobe, obok Jokohamy najbardziej ruchliwy port w Japonii, z ogromną liczbą statków handlowych i obcokrajowców stanowiących jedną czwartą ludności miasta, pozostawili już daleko w tyle.

Dobrze, że się stamtąd oddaliliśmy, pomyślał Nicholas. Źle się czuł w miejscach takich jak chociażby dzielnica finansowa w Tokio, gdzie na każdym kroku mówiło się o interesach. Tak samo na lotniskach, które wszystkie były do siebie podobne, łamiąc wszelkie bariery rasowe czy językowe. Natomiast inaczej było z dworcami kolejowymi. O dziwo nie spotkał nigdy dwóch takich samych i taka właśnie odmienność w starym stylu różnych miejsc dobrze na niego wpływała. Oczywiście jadąc pociągiem można było wyjrzeć przez okno i zobaczyć coś więcej niż szare chmury na niebie, podobne do kosmyków brody jakiegoś starca, rozstępujące się niczym pajęczyna. A tak w ogóle, to jak one się tam utrzymywały?

Oderwał wzrok od przesuwającego się krajobrazu i rozejrzał się po wagonie. Nawet pasażerowie w tym pociągu byli inni. Ostatni z biznesmenów wysiadł na stacji w Kobe i teraz znajdowali się w otoczeniu ludzi z prowincji. Był tam człowiek w niebieskim kombinezonie i wysoko sznurowanych butach na grubej zelówce, siedzący z grubymi rękoma skrzyżowanymi na brzuchu, z brodą opartą o piersi, nogami wyciągniętymi do przodu i skrzyżowanymi w kostkach. Miał krótko ostrzyżone siwe włosy i szorstki, czarny wąs. Pewnie był to jakiś chłop wracający na gospodarstwo. Na drugim końcu wagonu gruba kobieta, w jasnym biało-czerwonym kimonie, spała spokojnie z rozwartymi ustami, sycząc przy każdym oddechu. Obok niej leżała kupka paczek owiniętych w brązowy papier pakowy. Dwoje dzieci ubranych na wzór zachodni klęczało na siedzeniu, z łokciami na górze oparcia, robiąc miny do każdego, kto obok nich przechodził.

— ...tam z tyłu.

— Co mówiłaś?

— Nicholas, czy ty mnie słuchasz?

— Nie, przepraszam, rozmyślałem o przedstawieniu. Zaśmiała się.

— Chcesz powiedzieć: o tym jak cię zważyłam.

— Nie wiem - powiedział - dlaczego uważasz, że musisz wyrażać się jak jakiś prostak.

Dlaczego na przykład mówisz „pieprzyć się” zamiast „kochać się”?

— Dlatego - odpowiedziała stanowczo - bo mam na myśli właśnie pieprzenie. Czy ty się kiedykolwiek z kimś kochałeś, Nicholas? Opowiedz mi, jak to jest.

— Z tobą się kochałem.

— O czym ty gadasz? Pieprzymy się jak króliki.

— Nie sądzę, abyś nawet ty tak robiła.

— Naprawdę? - Uniosła głos. - Posłuchaj mnie, Nicholas, pieprzę się z tobą w taki sam sposób, jak pieprzę się z innymi. Pamiętasz, co wyczynialiśmy w łóżku? No więc robiłam to już z innymi. Na przykład z Saigo. - Po co o nim wspomniała, pomyślał. - Pieszczę jego rękę, wewnętrzną stronę jego uda, jego język, jego nos, jego...

— Koniec! - krzyknął. - Dostyc tego! Co ty, u diabła, wyprawiasz?

Otarła się o niego i zaczęła mrużyć niczym wielki kot.

— Kto, ja? Po prostu staram się ciebie rozbudzić, to wszystko. Bo w ogóle mnie nie słuchasz i ja...

— Boże! - powiedział wstając. - W taki sposób? - Przesunął się w stronę przejścia i przeszedł na koniec wagonu, przyglądając się przez podwójne drzwi podskokom następnego wagonu. Na Boga, pomyślał, czy ona naprawdę sądziła, że opowieści o jej przygodach miłosnych go podniecą? Co za porąbany pomysł. Poczł dreszcze i skurcz żołądka. Starł się przeciwdziałać kołysaniu, opierając się mocno o ramę drzwi.

Po prawej stronie mignęło jakieś miasto, było coraz mniejsze w miarę, jak oddalali się na południowy wschód. Spojrzał na zegarek, oceniając na oko szybkość i odległość. Miejscowość ta powinna nazywać się Kurashiki. To dobrze, bo niedługo powinni ujrzyć północny brzeg Seto Naikai, czyli Morza Śródładowego, które gdy tu przyjeżdżał z rodzicami na letnie wakacje, było zawsze takie spokojne i niewzruszone.

Poruszali się w dół pośród wysokich, wątych sosen, rosnących tak gęsto, że aż pociemniało w wagonie gwałtownie, jakby byli świadkami zaćmienia Słońca. Po chwili równie szybko zieleń zniknęła i promienie słoneczne rozbłysły, ukazując wysoki nasyp, po którym się posuwali. Poniżej Seto Naikai lśniło w słońcu niczym pole usłane kamieniami szlachetnymi albo armia wojowników z uniesionymi złotymi szablami.

Patrzył, zauroczony tym widokiem. Ale część jego wyobraźni pracowała nad czymś innym. Wyobrażał sobie, że Yukio podchodzi od tyłu, obejmuje go rękoma i przyznaje, jak bardzo jest jej przykro. Ale to była tylko wyobraźnia i w rzeczywistości tak się nie działo. A właściwie niby dlaczego by miało? Choć tak, oczekiwał tego. Był niepoprawnym romantykiem.

Wyspy, tak odległe od domu, góryste, o prostopadłych skalistych brzegach, ciągnęły się jedna za drugą aż po sam horyzont. Czy rzeczywiście tak jak mu mówiono, gdy był jeszcze dzieckiem, było tu więcej ziemi niż wody? Trudno powiedzieć, a wówczas było mu to obojętne. Wyspy wyglądały niczym bogato haftowane serwety, ze względu na różnorodne uprawy posadzone na tarasach wydartych zboczom. Ziemia uprawna była w Japonii bardzo cenna.

Któregoś dnia, pomyślał, chciałbym spędzić trochę czasu podróżując z jednej wyspy na drugą, rozmawiając z ludźmi, jedząc z nimi posiłki po wspólnej pracy w polu, nocując tu i tam. Gdybym tak zrobił, to pewnie doczekałbym tu końca swoich dni i nie dotarł do ostatniej wyspy. Co za pomysł! Nigdy się nie cofać, zawsze przeć do przodu. Każdego dnia w miejscu innym od poprzedniego i następnego. Nigdy się nie zmęczyć ani nie znudzić. W przeciwieństwie do tego co teraz. Był za młody jak na takie uczucie. Ale wiedział, że tu nie chodzi ani o zmęczenie, ani o nudę, tylko o coś innego, co skrywał.

Strach.

W Hiroszynie było zupełnie inaczej. W zatoce, nad którą się poruszali niczym kłębek dymu, widniała Miyajima, z jej charakterystycznym wielkim czarno-pomarańczowym portalem do świątyni It-sukushima. Był to jeden z najwspanialszych widoków w Japonii, który wielokrotnie widział na zdjęciach, ale jeszcze nigdy w rzeczywistości.

Znajdował się tam, jakby zawieszony w powietrzu, wynurzony z wody, trójwymiarowy hieroglif, pamiątka zamierzchłych czasów, przestrzegająca przed ich zapomnieniem.

Pociąg wydawał się stać w miejscu, gdy przesuwiał się powoli przez dworzec w Hiroszynie. W koło wznosiły się rozlazłe budowle przemysłowe, od których emanowała specyficzna cisza, tak niepewna i krucha niczym ptasie jaja.

Miejsce naprzeciwko nich, które było wolne przez większość popołudnia, zajął chudy, wybiedniały mężczyzna w szarobrązowym

kimonie. Był łysy i tylko kilka kosmyków siwej brody zwisało z jego wąskiego podbródka. Jego skóra wydawała się przezroczysta jak pergamin, napięta na policzkach, choć pod oczami i z boku ust miał pełno zmarszczek, niczym słoje w starym drzewie, jakby na dowód swoich lat.

Jego oczy lśniły niby drogocenne kamienie, gdy im się kłaniał. Ręce miał ukryte w rękawach swojej szaty.

Chwilę później pociąg drgnął i ruszyli, powoli opuszczając stację. Gdy odjeżdżali, poczucie ucisku się wzmogło, jakby wyssano ze świata całe powietrze i nawet gdyby otworzyli okno i wystawili głowę, zobaczyliby, że nie pozostało już nic prócz lodowatej próżni. Równie dobrze mogliby być na jakiejś innej planecie.

Nicholas poczuł się jakoś nieswojo i spojrzął przez okno w górę, na seledynowe niebo, wypatrując samolotu, był bowiem pewien, że usłyszał jego warkot.

Pociąg poruszał się przez miasto bardzo wolno. Przez moment mogli ujrzeć, odcinając się na tle horyzontu, bryłę starego obserwatorium, nie zmienioną od pamiętnego dnia w 1945 roku, ze szkieletem jego dawnej kopuły niczym gniazdem wielkiego ptaka, niedostępnym dla mew, które choć przelatywały blisko, nigdy nie odważyły się usiąść na jego złowrogich szczątkach. Być może nawet po tylu latach mogły wyczuć żar wszechogarniającego ciepła, syk rozchodzącego się promieniowania, jakby otrzymały to razem z genami, taką wrodzoną przestrożę.

- Chcesz wiedzieć, jaka jestem naprawdę? - szepnęła mu do ucha Yukio, gdy oboje spoglądali na jedyny pomnik tego, co się stało tu tak dawno, a zarazem niedawno. - Widzisz tamto. Jestem taka w środku, cała wypalona. To co masz przed sobą, to tylko zewnętrzna powłoka.

Teraz stała się cikliwa, tak niepodobna do swej normalnej szyderczej, zadziornej postawy. Pomyślał, że to właśnie ta dwoistość tak go w niej interesowała. I nawet przez chwilę nie uważał, że jest taką prostaczką, jaką zgrywa. Wiedział, że jest to jej sposób obrony, ostatecznej obrony. Jednak nie mógł się powstrzymać od zastanowienia, co kryło się w niej za tą barierą, którą się tak skutecznie otoczyła.

Gdy opuszczali Hiroszimę, ujrzeli, jak grupy chmur przesuwają się w poprzek nieba. Brały swój początek na ziemi i sięgały w samo serce niebios.

- Przepraszam - powiedział starzec z naprzeciwka. - Proszę mi wybaczyć, że państwa niepokoję, ale to z ciekawości.

Zamilkli i Nicholas był zmuszony zapytać.

— Ciekawości czego?

— Czy odwiedziliście kiedykolwiek Hiroszimę?

— Nie - powiedział Nicholas, a Yukio pokręciła głową.

— Tak też myślałem - rzekł starzec. - Tak czy inaczej i tak jesteście za młodzi, by pamiętać, jak tu było dawniej, nim nadeszła zagłada.

— A pan? - spytała Yukio.

— Ja tak. - Uśmiechnął się, jakby się rozmarzył i wówczas zmarszczki zdały się zniknąć z jego twarzy. - Tak, ja tu kiedyś mieszkałem. Ale to było dawno temu, tak uważam. Równie dobrze mogło to być w innym wcieleniu. - Znów się uśmiechnął. - I w pewien szczególny sposób było.

— Gdzie pan był - spytał Nicholas - gdy to się zdarzyło?

— Och, byłem w górach. - Pokiwał głową. - Tak, z dala od ognistej kuli. Drzewa zdrząły nawet bardzo daleko, a ziemia zachwiała się, jakby dostała jakiegoś ataku. Nigdy nie zdarzyło się coś podobnego. Była to jak rana zadana ziemi. Było to coś więcej niż śmierć wielu ludzi i zwierząt.

Nicholas chciał go spytać, co miał na myśli, ale nie mógł się na to zdecydować. Wpatrywał się więc w niego, czując suchość w ustach.

- Miał pan szczęście, że pana tam nie było, gdy spadła bomba. Starzec spojrział na Yukio.

- Szczęście? - Powiedział to tak, jakby słowo to było mu obce. - Sam nie wiem. Być może dzisiaj tak to można nazwać, choć nie oddaje to w pełni mego odczucia. Tak naprawdę to było to przeznaczenie. Widzicie, tuż przed wojną wyjechałem akurat z kraju. Byłem handlowcem i w tamtych czasach wiele przebywałem na kontynencie, głównie w Szanghaju, gdzie sprzedawałem większość swego towaru. - Po raz pierwszy ukazał swe dłonie i Nicholas zauważył jego wielkie paznokcie, dokładnie przycięte, wypolerowane i pokryte błyszczącym, bezbarwnym lakierem. Starzec zauważył spojrzenie Nicholasa i powiedział: - To takie upodobanie, które przejąłem od chińskich mandarynów, z którymi prowadziłem interesy i się zaprzyjaźniłem. Tak bardzo się do nich przyzwyczaiłem, że nie czuję nawet, iż są takie długie. Choć oczywiście jak na chińską miarę, nie są aż tak długie. - Rozsiadł się na siedzeniu bardziej wygodnie i zaczął snuć opowieść niczym bajkę na dobranoc. Miał niezwykły głos, który choć słaby przyciągał uwagę, z dykcją godną wykładowcy akademickiego. - Po załatwieniu wszystkich spraw służbowych postanowiliśmy trochę odpocząć przez parę dni, wyjeżdżając w tym celu do jakiegoś miasteczka. Doprawdy nie wiedziałem, czego się mogę spodziewać; przebywałem przecież w towarzystwie Chińczyków.

Mandaryni mają w wielu sprawach specyficzny gust. Ale chcąc robić interesy, trzeba być otwartym w swoim podejściu, w szczególności na potrzeby klientów. Tak, w tych sprawach, uważam, że nie wolno być ortodoksyjnym ani przywiązany do własnej tradycji. Na świecie jest tyle różnych zwyczajów. Kto jest w stanie obiektywnie powiedzieć, które z nich są słuszne? - Wzruszył swymi wątlými ramionami. - Na pewno nie ja.

Na zewnątrz popołudnie dobiegało końca, a przesuujące się rzędy chmur w swych dolnych warstwach nabrały różowozłotej barwy, a w górnych szaroczarnej. Słońce zniknęło już za horyzontem, na krańcach wschodnich niebo było bezchmurne niczym ciemna, porcelanowa, przezroczyta czasza. Gdzieś wysoko kilka blisko położonych gwiazd błyskało niczym żaróweczki ustawione przez jakiegoś olbrzyma. Świat wydawał się ogarnięty całkowitą ciszą, tak jakby w środku długiego letniego popołudnia pojęcie czasu stawało się bez znaczenia. Była to magiczna chwila, w której wiele cudownych wrażeń pojawiło się jednocześnie, z oczekiwaniem w napięciu podobnym do tego, jakie spotyka się w teatrze przed wielką premierą.

- Moi znajomi mandaryni zabrali mnie w podróż. Udaliśmy się do miasta, jak już wspominałem, gdzieś w okolicach Szanghaju. Był to, przepraszam za określenie, wielki burdel. Ale nie tylko w budynku, w którym byliśmy, ale w całym mieście. Tak, było to miasto rozkoszy. Proszę mi wybaczyć, młoda damo, niektóre fragmenty mej opowieści. Ale człowiek podróżujący w interesach przez wiele tygodni nie może sobie pozwolić na zabranie ze sobą żony, z wielu powodów. Takie sytuacje stają się więc jak gdyby naturalną częścią tych podróży.

Mandaryni przywiązują do seksu wielką wagę, och tak, bardzo wielką. I ja na pewno ich za to nie potępiam. - Chrząknął znacząco, ale nie w sposób grubiański, a raczej koleżeński. - Jest to, jakkolwiek by było, ważny element życia społecznego, dlatego więc go nie aprobować.

Tak czy inaczej był to najbardziej wystawny i największy tego rodzaju przybytek, w jakim kiedykolwiek się znalazłem. Klienci wywodzili się wyłącznie z klasy mandarynów i to tylko z niektórych rodów. Był to więc lokal bardzo ekskluzywny. - Jego oczy były szeroko otwarte i rozmarzone. - Śmiem powiedzieć, że można by tam pozostać do końca swych dni. Ale to oczywiście niemożliwe. W takich miejscach nie można przebywać zbyt długo. Panująca tam specyficzna atmosfera po pewnym czasie by spowszedniała. Tak czy inaczej nie zaryzykowałbym. Życie nie miałoby sensu, gdyby takie marzenia zostały rozwiane. Każdy musi móc znaleźć w życiu chwilę, by ziścić swe marzenia, nieprawdaż?

Pociąg posuwał się naprzód, poprzez most na wysokich filarach, przez ponury i zniszczony las wyschniętych drzew, zapomniany niczym grupa maruderów jakiejś pokonanej armii. Zapadał zmrok, chmury stawały się coraz ciemniejsze, na horyzoncie wszystkie barwy zacierają się w wieczornej mgle. Noc pochłonęła wszystko, podobna matce zaganiającej dzieci do domu.

- A więc znaleźliśmy się tam. Ale nie będę wam opowiadał, co tam się działo. - Uśmiechnął się przyjaźnie. - Jesteście wystarczająco młodzi, by nie potrzebować żadnych wskazówek ode mnie w tym zakresie. Chciałbym wam raczej opowiedzieć o pewnym człowieku, którego tam poznałem. - Wprostował kościsty palec. Długi paznokieć lśnił w sztucznym świetle wagonu, co sprawiało, że był podobny do drogowskazu. - Było w tym człowieku coś dziwnego. Nie był klientem, tego jestem pewien. Ale nie wyglądał również na pracownika tego przybytku. W każdym razie nigdy go nie widziałem przy pracy.

Późną nocą, a właściwie wczesnym rankiem, można go było znaleźć w wielkim holu na pierwszym piętrze, gdyż dom miał dwie kondygnacje. Został prawdopodobnie zbudowany przez Anglików, ale do zupełnie innych celów. Siedział w jednym z foteli klubowych, grając w jakąś grę z czerwonymi i czarnymi żetonami, z którą się nigdy dotąd nie spotkałem...

— *Ma-dżong* - mruknął Nicholas.

— Nie, to nie było *ma-dżong*, ale zupełnie inna gra. Nigdy jej nie byłem w stanie zgłębić. Siedział tam w milczeniu i bezruchu, podczas gdy dziewczęta sprzątały, a gdy skończyły i zaczęły stamtąd wychodzić, zaczynał grać. Ciągłe słychać było szuranie przestawianych żetonów.

Starzec wyjął papierosa i z pewną trudnością, spowodowaną długimi paznokciami, zapalił go stalową zapalniczką firmy Ronson. Uśmiechnął się, kątem oka śledząc unoszący się dym. Robił to tak naturalnie, że był podobny do Humphreya Bogarta. Przekręcił zapalniczkę tak, by powstał jak największy płomień.

— To jest pamiątka z tamtych lat, tak odległych. Należała kiedyś do brytyjskiego dyplomaty, którego wybawiłem z kłopotów. Nalegał, bym ją przyjął, wyglądałbym więc niepoważnie, gdybym tego nie zrobił. - Schował zapalniczkę do kieszeni, zaciągnął się i wypuścił dym tak, że jego postać stała się rozmyta niczym przesuwany się za oknem krajobraz. - Nie byłem w stanie tam zasnąć, nawet po tym jak się zaspokoilem. Mam nadzieję, że wyrażam się wystarczająco oględnie, młoda damo.

— Oczywiście - odpowiedziała Yukio. Nicholas zastanawiał się, co by powiedział starzec, gdyby usłyszał jak ona „rzuca mięsem”.

- Miałem zwyczaj czytać do późnych godzin, jestem nienasyconym czytelnikiem. Tak było przez całe moje życie. Ale któregoś dnia byłem na tyle niespokojny, że odłożyłem książkę, którą akurat był *Moby Dick*. Czytałem ją w wersji oryginalnej, gdyż nie lubię tłumaczeń, bo wartość książki na tym traci. Postanowiłem przejść się.

Usłyszałem odgłos przesuwanych żetonów. Usiadłem obok niego i zacząłem się przypatrywać. W tamtych czasach byłem dość obcesowym młodym człowiekiem. Nie chodzi o to, że bym był niegrzeczny, zbyt dobrze wychowali mnie moi rodzice. Ale cechowała mnie... jakby to nazwać?... porywczosć młodego wieku, rozumiecie?

Człowiek ten był wówczas starszy, niż ja jestem obecnie i to dużo, należy jednak wziąć poprawkę na to, że nie potrafię najlepiej *oceniać* wieku po wyglądzie. Ale był niewątpliwie stary, potwierdziłby to każdy, kto go wtedy znał.

Problem polegał na tym, że miał tak długie paznokcie, że musiał nosić na nich ochraniacze, by się nie złamały. O tych ochraniaczach czytałem już nieco wcześniej. Mandaryni lubili je podobno nosić, szczególnie na przełomie wieków, aby się popisywać, jak sądzę. Ale wówczas był to koniec lat trzydziestych. Kto w Chinach nosił jeszcze tak długie paznokcie? Myślałem, że nikt, ale się myliłem.

*Najczęściej ochraniacze* wykonane były z laki, ale te o ile nie mylił mnie mój wzrok, były ze złota, czystego złota. Jak to jest możliwe? - pytałem wówczas sam siebie. Jakim cudem paznokcie były w stanie unieść taki ciężar? Ale znam się na tyle na złocie, by je poznać.

„Po co tu przyszedłeś?” - spytał mnie nie podnosząc głowy znad gry. Cały czas towarzyszył nam odgłos przesuwanych żetonów.

Byłem tak zaskoczony, że przez chwilę nie mogłem z siebie wydobyć głosu, zmuszając go, by mnie ponaglił. - „No, dalej, powiedz coś” - powiedział. Jego głos był podobny do szurania żetonów. Miał ten sam rytm.

„Nie mogę usnąć” - odpowiedziałem mu z trudem.

„Ja nie śpiam w ogóle - powiedział. - Gdy byłem w twoim wieku, szalałem każdej nocy. Być może dlatego nie mam teraz takich potrzeb”. Mówił jakimś dziwnym dialektem. Był to oczywiście język mandaryński, ale z dziwną intonacją, nietypowym odmienianiem rzeczowników, i tak dalej. Nie mogłem zgadnąć, skąd pochodzi.

„Mam z tym problemy dość rzadko - odpowiedziałem mu, nadal mając kłopoty z rozmową. - Ale nie jest pan aż tak stary”.

„Wystarczająco, by wiedzieć, że niedługo umrę”.

„Och, wątpię w to”.

Objął mnie swym krytycznym spojrzeniem. „No cóż, odczucia rzadko kiedy mają wiele wspólnego z rzeczywistością”. Zaczął układać żetony w kupkach po dziewięć. „Ale nie ma się o co



martwić. Nie lękam się śmierci. Równie dobrze mógłbym opuścić ten świat w tej chwili. Nie chcę być świadkiem tego, co nadejdzie”.

„Nadejdzie?” - zapytałem jak jakiś przygłup. - „Co nadejdzie?”

„Coś strasznego” - powiedział. Jego ręce na małej składanej polakowanej planszy wyglądały niczym jakieś drogocenne znalezisko odkopane przez archeologów. „Nowy rodzaj bomby o sile trudnej do wyobrażenia, wystarczającej, by zniszczyć całe miasto”.

Nigdy nie zapomnę tamtej chwili. Siedziałem sztywny niczym posąg, prawie nie oddychając. Pamiętam, że słychać było dzwonienie cykad tak wyraźne i głośne, jakby znajdowała się w tym samym pomieszczeniu co my. Być może to dziwne, ale chciałem ją znaleźć i wypuścić na wolność w otaczające nas ciemności.

Nie mogłem się jednak poruszyć. Czuję się tak, jakby słowa tego człowieka przekłuły moje serce, przygważdżając mnie do krzesła, na którym siedziałem.

„Nie rozumiem” - powiedziałem zaskoczonym tonem.

„Nie spodziewałem się, że pan zrozumie” - rzekł, kończąc układanie żetonów. Schował je następnie w jakiejś wewnętrznej kieszeni swojej szaty.

Wstał i przez chwilę wydało mi się, że być może już gdzieś wcześniej go widziałem. Ale po latach sądzę, że było to tylko złudzenie.

— No i co dalej się stało? - spytała Yukio.

— Co się stało? - Starzec wydawał się zaskoczony. - Ano nic. Po prostu nic. „Dobranoc panu - powiedział chłodnym tonem. - Życzę miłych snów”. Jak on mógł mi coś takiego życzyć po tym, co mi opowiedział, nie jestem w stanie wytłumaczyć.

Po jego wyjściu zapadła całkowita cisza i rozsiadłszy się w krześle miałem uczucie, że słyszę jak trawa rośnie na dworze koło żabich legowisk. Chmara komarów obijała się o siatkę w oknie.

Po jakimś czasie zawędrowałem na górę, choć nie pamiętam, jak to się stało, ale nie byłem w stanie tej nocy skoncentrować się na czytaniu nawet dzieł tak wielkiego pisarza jak Herbert Melville.

Słowa, które usłyszałem, krążyły w moich myślach, jakby zostały przez niego wszczepione podczas jakiejś operacji.

- Ale skąd on mógł wiedzieć, co się stanie? - spytał Nicholas. - Przecież wtedy nawet Amerykanie, którzy stworzyli bombę nie mogli tego przewidzieć.

Starzec pokiwał głową.

-Wiem - powiedział powoli. - Sam sobie wielokrotnie zadawałem to pytanie. Od tamtego dnia w sierpniu 1945 roku, gdy stałem na nie uczęszczanym zboczach górskim i poczułem, jak ziemia drży, a niebo płonie i usłyszałem syk fali uderzeniowej, codziennie zadaję sobie to pytanie. Jak on mógł to przewidzieć?

- I do czego pan doszedł? Starzec uśmiechnął się do nich blado.

— Do niczego, przyjacielu. - Pociąg wyhamował. Popiół wlatywał, unoszony przez wiry powietrza wywołane szybkością. Starzec wstał i uklonił się z rękami złożonymi na brzuchu, z paznokciami niczym przezroczystymi pałeczkami do jedzenia. - Moja stacja docelowa - powiedział. - Na mnie już czas.

— Chwileczkę! - krzyknął Nicholas. - Proszę zaczekać. - W ferworze zapomniał o szacunku należnym osobie starszej. Ale to i tak nie miało znaczenia, gdyż starzec już zniknął zeskakując płynnie na ziemię, zanim pociąg się zatrzymał. Kłęby pary przesłoniły widok z okna.,,

Nicholas powrócił na swoje miejsce i usiadł obok Yukio.

- Za późno - powiedział. - Za późno.

Pociąg zaczął przyspieszać na ostatnim odcinku swej trasy do Shimonoseki. W wagonie panował spokój. Nawet Yukio milczała. Gapiła się na swe dłonie, podczas gdy on wyglądał przez okno.

W ciemnościach ujrzeli płomienie. Przejeżdżali blisko któregoś z miast na południu, będącego zapleczem dla wielkiej rafinerii. Jęzory ognia unosiły się w piekielnym tańcu.

— Co powiesz o opowieści tego starca? - spytała Yukio. Odwrócił się do niej.

— Co powiedziałaś?

— Mówiłam o tym starcu. Uwierzyłeś jego słowom? Z niezrozumiałych powodów pomyślał o So-Pengu.

— Tak - powiedział. - Uwierzyłem.

- A ja nie. - Skrzyżowała nogi w kolanach, w stylu kobiet amerykańskich. - Coś takiego nie mogło się zdarzyć. W życiu jest po prostu inaczej.

Nocowali w Shimonoseki, tak blisko morza, że mogli usłyszeć szum wody, choć była przesłonięta gęstą mgłą. Słysząc było jakby żalosne trąbienie syren okrętowych, którym zmrok dodawał jeszcze tajemniczości.

Leżała z głową opartą o jego nagi tors, jej czarne włosy rozsypały się na jego bladej skórze. Długo trwało, nim usnął. Czuł jej delikatny,

miarowy oddech, jej ciało napierające na mostek i żebra. Zastanawiał się, co takiego w niej przyciągało go tak mocno. Ale nie był nawet pewien, dlaczego właściwie chciał do tego dojść.

Yukio poruszyła się, a on odniósł wrażenie, jakby była jeszcze jedną jego kończyną.

— Co ci? - spytał. Jego głos był bardzo czuły.

— Och, nic takiego. Przypomniałam sobie pewną bajkę. Taką, którą mama opowiadała mi na dobranoc. Pamiętam tylko tę jedną. Chcesz ją usłyszeć?

— Tak.

— Dawno temu żyła sobie księżniczka. Mieszkała na zamku w Roku-no-Miya. Gdzie leży to miasto, nikt nie zdołał ustalić po dzień dzisiejszy, tak właśnie mówiła mama. Tak czy inaczej, jej rodzice zginęli i wychowaniem zajęła się pewna guwernantka, była więc pod dobrą opieką. Z biegiem lat wyrosła z niej śliczna młoda kobieta.

Któregoś dnia przedstawiono jej pewnego mężczyznę, który zaczął przybywać do niej na zamek co wieczór, tak że jej życie stawało się coraz weselsze.

Ale spacerując po ogrodzie w długie popołudnia księżniczka rozmyślała o przemożnym wpływie przeznaczenia. Myślała o tym, jak bardzo jej szczęście zależy od jednego człowieka. Potem wzruszywszy ramionami spoglądała w stronę słońca.

Nocą leżała obok swego kochanka, nie czując ani szczęścia, ani nieszczęścia. Zadowolenie, które kiedyś odczuwała, osłabło.

Aż pewnego dnia nawet i to miała utracić, gdy jej kochanek oświadczył jej, że musi wyjechać z ojcem do innej prowincji, by mu pomagać na nowym stanowisku. „Ale - rzekł jej wtedy - jadę tylko na pięć lat. Potem powrócę do ciebie. Zrób mi ten zaszczyt i oczekuj na mnie”.

Księżniczka nie kryła łez, choć nie z powodu uczucia, a z faktu rozstania.

Po sześciu latach wiele się zmieniło na zamku w Roku-no-Miya. Jej kochanek nie powrócił, a cała służba opuściła ją, w miarę jak z czasem było coraz mniej pieniędzy. Księżniczka przeniosła się więc ze swoją starą guwernantką do starych opuszczonych zabudowań żołnierskich.

Jadły tylko ryż, a z powodu wielkich szpar w drewnianych ścianach były narażone na wiatr i deszcz. Po pewnym czasie guwernantka przemówiła błagalnym głosem: „Wybacz, pani, ale twój

kochanek porzucił cię. Natomiast jest inny człowiek, który się tobą interesuje. A ponieważ jesteśmy w takiej biedzie, pomyślałam...”

Ale księżniczka nie chciała o niczym słyszeć. „Nie mam zamiaru się z nikim wiązać - powiedziała - moim jedynym ukojeniem może być tylko wieczny spoczynek”.

W tej samej chwili, w innej prowincji, jej dawny kochanek leżał w łóżku ze swoją żoną. Zaniepokojony, poderwał się w ciemności i spytał: „Słyszałaś to?”

„Śpij, mój panie - odpowiedziała żona. - To tylko opadają wiśnie”.

Niecały rok później mężczyzna powrócił do Roku-no-Miya razem z żoną i swoją siostrą. Zatrzymali się w przydrożnej karczynie, żeby przeczekać brzydką pogodę i z stamtąd przesłał kilka listów do swej byłej kochanki. Nie otrzymał jednak ani jednej odpowiedzi, co spowodowało, że pozostawił żonę w domu swego ojca, a sam udał się na poszukiwanie zamku.

Gdy dotarł do niego, prawie go nie poznał tak bardzo się wszystko zmieniło. Wielkie bramy z drewna i żelaza, które tyle razy przekraczał, leżały rozwalone w gliniastej ziemi, a stojąca tu kiedyś kaplica, pokryta niebieską laką, wokół której spacerowali wiosną i latem, zniknęła całkowicie.

Zamek nie nadawał się już do zamieszkania. Jakaś potężna wichura całkowicie zniszczyła jego wschodnie skrzydło, a i reszta budowli była w opłakanym stanie.

Trafiwszy do baraków żołnierskich, zastał tam tylko starą, zmęczoną mniszkę. Powiedziała mu, że jest córką jednej ze służących księżniczki. A gdy spytał ją o swą byłą kochankę, odpowiedziała: „Niestety, panie, nikt jej nie widział”.

Ruszył więc na jej poszukiwanie, ale nikt w prowincji jej nie widział.

Pewnego ponurego, deszczowego wieczoru zatrzymał się na rozstajach dróg, gdzie napotkał mnicha, a usłyszawszy jakiś znajomy głos, zajrzał do środka przydrożnej szopy odchyliwszy w tym celu jakąś deseczkę. Z miejsca w wycieńczonej kobiecie leżącej na podłodze rozpoznał swoją dawną kochankę. Podbiegł do niej razem z mnichem i przyjrzał się jej twarzy. Umierała, więc poprosiła mnicha, by zmówił nad nią modlitwę. „Wzywaj imię Buddy Amidy” - nakazywał jej mnich. Ale ona odpowiedziała: „Widzę płonący wóz... nie, raczej złoty lotos”.

„Proszę, moja pani - wołał mnich - musisz wzywać imię Buddy Amidy. Inaczej nie będziemy mieli wpływu na rząd dusz. Musisz więc go wzywać ze wszystkich sił”.

„Nic nie widzę - wołała księżniczka. - Nic oprócz ciemności”.

„Moja kochana...”

„Jest ciemno i wieje zimny wiatr. To wiatr śmierci, tak mi zimno”.

Mnich robił wszystko, by jej ulżyć, podczas gdy mężczyzna modlił się do Buddy. Powoli jęki kobiety coraz bardziej słabły, aż nie można było ich odróżnić od gwizdu wiatru przelatującego przez las.

Yukio umilkła.

— Czy to już koniec baśni?

— Niezupełnie. Kilka dni później, gdy była pełnia księżyca, mnich znowu przesiadywał na rozstajach dróg, zarzuciwszy swą skąpą opończę na kościste nogi, by uchronić je przed mrozem.

Przechodził sobie tamtędy samuraj, podśpiewujący wesoło, i ujrawszy mnicha przysiadł się do niego. „Czy to tu? - spytał. - Mówi się w prowincji Roku-no-Miya, że nocą można tu nieraz usłyszeć płacz kobiety. Czy słyszałeś coś o tym?”

„Sam nasłuchuj” - rzekł mnich. I samuraj nasłuchiwał. Ale nic nie słyszał prócz typowych nocnych dźwięków. Wtem nagle wydało mu się, że usłyszał kobiece szloch. „Co to było?” - spytał.

„Módl się - odpowiedział mnich. - Módl się o duszę, która nie znalazła drogi ani do nieba, ani do piekła”. Ale samuraj, który nie miał w sercu miłości do bogów, tylko spojrzał nierozumnie na mnicha i poszedł dalej.

Zjedł i śniadanie w hotelu, po czym wyszli na dwór. Było chłodno i wilgotno, resztki mgły nadal kłębiły się nad ziemią. Zauważyli, że pociąg, którym przyjechali nadal stał na dworcu, a raczej stacji. Składała się ona z pojedynczego peronu z torami przebiegającymi po obu stronach, z wielkimi z grubsza ociosanymi słupami, na których unosiło się opadające niczym w pagodzie zadaszenie, pokryte laką w celu ochrony przed niszczącym oddziaływaniem atmosfery i słonej wody. Silny zapach cedru nie opuścił jeszcze drewna.

Na ich oczach do pociągu wsiadła załoga techniczna i po chwili skład ruszył w krótką drogę do platformy obrotowej, która gdy się na niej znalazł, przekręciła się o sto osiemdziesiąt stopni. Następnie pociąg podjechał z drugiej strony peronu, by zabrać pasażerów w powrotną drogę do Osaki.

Gdy było po wszystkim, odeszli wolnym krokiem. Niebo stało się całkiem białe, gdyż promienie słoneczne rozproszyły się w oparach wodnych.

Znajdowali się niedaleko portu i Nicholas był już w stanie z tej

odległości odróżnić dwa lub trzy żagle należące do statków rybackich, ostrożnie odbijających od brzegu. Wiedział, że za nimi, choć nie były w tej chwili widoczne, znajdowały się nabrzeżne równiny.

Gdy znaleźli się na cyplu, wydało mu się, że widzi na południu jakieś ciemnobrązowe wzgórze, stanowiące część prowincji Bunzen, leżącej na wyspie Kyushu po drugiej stronie cieśniny.

- Jak tu spokojnie - powiedziała Yukio, przeciągając się niczym kot. - Zupełnie inaczej niż w Tokio czy Osace, czy nawet w Kioto, tak jakby wojna i uprzemysłowienie nigdy tu nie dotarły. Równie dobrze moglibyśmy być teraz w siedemnastym wieku.

- Pełnym samurajów i ich kobiet, co? Wzięła głęboki oddech.

— To tak jakby znajdować się na krańcu świata. - Odwróciła się w jego stronę i owinęła swoje delikatne palce wokół jego nadgarstka. Był zaskoczony nieerotyczną intymnością tego gestu. W powietrzu unosił się ostry zapach suszonych ryb, wrzynający się w nozdrza niczym zapach świeżej farby. Duże szaroczerwone mewy wirowały, krzycząc wśród nisko zawieszonych chmur, chwilami znikając. - Może byśmy tu zostali, Nicholas.

— Tutaj?

Skinęła głową niczym dziecko.

— Tak. Właśnie tutaj. Dlaczego nie? Jest tu tak romantycznie. Tu się żyje tylko sprawami miejscowymi. Moglibyśmy zapomnieć o przeszłości. Uwolnić się od wszystkiego. Rozpocząć nasze życie od nowa. Jakbyśmy byli nowo narodzeni, bez grzechu czy złamanego serca. - Spojrzał na nią i jej uścisk zwiększył się pod wpływem uniesienia. - Proszę - powiedziała, głosem tak przyciszonym i powolnym, jakby rozmawiali w kościele. - Nie jedźmy już dalej. Bo i po có? Cóż takiego może nas oczekiwać w Kumamoto, czego nie mielibyśmy tutaj? Przecież masz mnie, jest tu morze. Moglibyśmy popływać żaglówką po oceanie, a nawet na kontynent, to znowu nie tak daleko. Zaraz, ile czasu by na to zajęło. A potem...

— Chyba nie mówisz tego serio - powiedział. - Trzeba myśleć realistycznie, Yukio.

— Myśleć?! - zawołała. - A niby co ja robię? Przecież nie mam do czego wracać. - Ręką wskazała na północ, skąd przyjechali. - Nikt mnie tam nie kocha, nie ma tam dla mnie przyszłości. A na południu, w Kumamoto? Co nas tam oczekuje? Saigo. Saigo i jego cholerne tajemnice. Nie chcę mieć z nim nic wspólnego. On mnie przeraża.

Minęli sprzedawcę ulicznego, owianego mgłą, i po chwili Nicholas

‘wrócił, by kupić u niego dwie porcje karmelu w przesłodzonej, brązowej, galaretowatej masie. Podał jej jedną. W każdym kubeczku znajdowała się mała drewniana łyżeczka. Spojrzała na kubeczek, potem na niego.

— Co się z tobą dzieje? - spytała. Silny podmuch wiatru, przesyconego wodą morską, sieknął prosto w nich, aż musiała odgarnąć włosy z twarzy. Kilka kosmyków przykleiło jej się do kącików ust. Jej rozpuszczone włosy powiewały na wietrze niczym długi szal. - Traktujesz mnie jak dziecko. Kupujesz mi słodycze, jakby na pociechę. - Wytrąciła kubeczek z jego wyciągniętej dłoni. Chłupnął o ziemię pozostawiając bezkształtną brązowo-białą plamę. - Nic nie jest w stanie zmienić tego, co czuję. Co wieczór, gdy idę spać, marzę, by się obudzić bez tego uczucia. Ale nic takiego się nie dzieje. Czy ty tego nie rozumiesz? - Ruszył do przodu, a ona za nim. - Nicholas, posłuchaj. - Pochyliła się albo by przeciwstawić się podmuchom, albo z wycieńczenia lub z obu tych powodów. - Błagam cię. Pozostanmy tutaj. Nie chcę przeprowiać się do Kyushu.

— Ale dlaczego? Wiedziałaś przecież, gdzie się wybieram, gdy nalegałaś, bym cię zabrał. Co ty sobie właściwie wyobrażałaś?

— Sama nie wiem - powiedziała załamana. - Nie byłam w stanie tego przewidzieć. Jestem inna niż ty, nie potrafię planować na zapas. Nigdy nie wiem, co będę robić za chwilę, co się stanie, dopóki w istocie tego nie zrobię. Nie przemyślałam sobie naszej podróży do końca. Chciałam po prostu być z tobą... - Zakryła sobie usta ręką i otworzyła szeroko oczy. Odwróciła się gwałtownie od niego i przechyliła do przodu.

— Yukio...

- Zostaw mnie w spokoju. Zaczynam gadać głupstwa. Odrzucił własny kubeczek i chwycił ją za ramiona.

— Nie wiem, co chcesz powiedzieć - mówił. - Wyjaśnij mi wszystko.

— Wiesz, że nie mogę - powiedziała. Stała nadal do niego tyłem.

— Yukio - zbliżył się do niej - musisz mi wszystko wyjawić.

- Nie jestem w stanie. Nie mogę. Odwrócił ją.

— Właśnie że możesz. Jestem tego pewien. - Patrzył w jej przestraszone oczy. - Czy łatwiej ci będzie, jak ja ci powiem?

— Tak. Nie. Sama nie wiem.

— Kocham cię - powiedział. - Sam nie wiem, od jak dawna zdawałem sobie z tego sprawę i nic ci nie mówiłem. Ja... - Czy właśnie dlatego się obawiał?

— Nie, proszę - płakała. - Nie mów tak. Błagam. Nie zniosę tego, po prostu nie zniosę.

— Ale co w tym złego?

— To - powiedziała ostrym głosem, z wykrzywioną twarzą - że ci wierzę.

Zaśmiał się czując ulgę.

— Czy to naprawdę takie przykre?

— Czy ty nic nie rozumiesz? - Zbliżyła do niego swoją twarz. - Czuję, że niedługo umrę.

Nie jest przygotowana na to...

— Właśnie że jesteś! - Potrząsnął nią tak, że aż włosy posypały jej się na twarz, a usta zadrżały. - Każdy jest. Tylko nie zdajesz sobie z tego sprawy.

— Nie poradzę sobie. - Jej głos przemienił się w łkanie. Gdzieś w oddali zawyła syrena jakiegoś statku, miarowy warkot jego silnika przeszywał ich ciała drganiem, dopóki się nie oddalił jego zielonozłote kominy ginęły we mgle. Była tak gęsta, że spojrzawszy do tyłu nie widział już sprzedawcy handlującego słodyczami.

— Mam zobowiązanie - powiedział, specjalnie zmieniając temat rozmowy. - Obiecałem, że przyjadę.

— Zawsze możesz się rozmyślić. Nikt cię do niczego nie zmusza. - Jej głos przybrał błagalny ton. Ale robiła to dla niego czy dla siebie?

— Zobowiązałem się wobec siebie samego - oświadczył spokojnie. - Muszę się dowiedzieć, co Saigo robi w Kumamoto.

— Po co? Dlaczego ci tak na tym zależy? Co to ma za znaczenie, co on robi? Dla kogo to będzie ważne. Na pewno dla żadnego z was. Dlaczego nie możesz sobie tego odpuścić? To przecież nic wielkiego.

— Nieprawda - powiedział rozpaczliwie. - To bardzo ważna rzecz. - Zastanawiał się, czy istnieje sposób, aby mógł jej to wytłumaczyć. Ale jak miał to zrobić, skoro nie był pewien, czy sam to rozumie.

— To wszystko przez tę bójkę, którą mieliście dawno temu po treningu - zauważyła spostrzegawczo. - To tak jakbyście byli złączeni w nieustających zapasach. Nawzajem się wykończycie, czy ty tego nie rozumiesz? Któryś z was musi odpuścić, bo inaczej... Dlaczego ty nie możesz tego zrobić?

— To kwestia honoru. - Dopiero teraz zdał sobie z tego sprawę, doznał olśnienia niczym blask słońca o świcie pokonujący mrok nocy.

— Nie opowiadaj mi takich bzdur - skarciła go. - Ten typ honoru nie przystaje do dzisiejszych czasów.

Jak ona mało rozumie z istoty życia, pomyślał.

- Dla ludzi takich jak ja podobne wartości nadal mają znaczenie.



— Dla samurajów - powiedziała zgryźliwie. - Tych najwspanialszych Japończyków. Wojowników, którzy rzucają się bez namysłu w wir walki. Których celem jest śmierć w boju. - Zaśmiała się, ostrym, nieprzyjemnym głosem. - Powiedz mi, kto tu potrzebuje odrobinę zastanowić się nad swym postępowaniem? Jesteście obaj tacy sami. Dwa wściekle psy, które odgryzą sobie własną nogę byle dopaść przeciwnika.

— Nie tacy sami - rzekł. - Całkowicie się różnimy. Saigo nienawidzi wszystkiego, co się ze mną wiąże. Mojego mieszanego pochodzenia, mojej miłości do Japonii w połączeniu z moimi strasznymi cechami białej rasy. Rozwściecza go to, że ktoś z moim zachodnim wyglądem może być od niego lepszy w czymkolwiek, w szczególności w czymś tak ważnym jak *bujutsu*.

— Ważnym? A co w tym *bujutsu* jest tak cholernie ważne? Co to ma wspólnego z problemami dnia codziennego, z uczuciami...

— Bo niby ty się na tym znasz. - W tej samej chwili gdy wypowiadał te słowa, wiedział, że mówiąc je popełnił błąd. Widząc wyraz jej twarzy, wyciągnął dłoń i powiedział: - Przepraszam. Ja wcale tak nie uważam...

— Właśnie że uważasz, Nicholas. Jestem tego pewna. I masz prawo tak uważać, tak sądzić. Obawiałam się czegoś od kilku dni i teraz już wiesz, co się ze mną dzieje w takich sytuacjach. Pozwoliłeś mi poznać uczucie... które myślałam... jest mi obce. Nadal nie jestem... to znaczy, co jakiś czas nachodzi mnie myśl, by uciec od ciebie i ukryć się tak, by nie spotkać żadnej innej osoby do końca życia. Czy można ci zaufać? Ciągle zadaję sobie to pytanie. Czy nie chodzi mu tylko o moją cipkę i pocałunki? Ale po tym dochodzę do wniosku, że on już to wszystko ma na dzień dobry, to po co by mu były te wszystkie gadki? A zatem on mnie nie oszukuje, choć moja intuicja mówi mi, że 1 jest inaczej. Złe doświadczenia z przeszłości nie tak łatwo odchodzą w zapomnienie. Ciągle coś mi się przypomina. Gdy do mnie mówisz, czule przemawiasz, ja wszystko słyszę, ale w moim rozumie te słowa mają i inne znaczenie, niewidoczne i niezrozumiałe dla innych niczym hieroglify, tak więc każdorazowo mam do czynienia z dwoma znaczeń - 3 niami i muszę wtedy rozstrzygać, które z nich jest prawdziwe. -! Spojrzała na niego. - Czy ty coś z tego rozumiałeś?

— Sądzę, że tak.

— A ja niezupełnie. - Jej oczy były tak pogodne, że lśniły, mimo iż nie padało na nie światło. - Po prostu chcę ci powiedzieć, że cię I kocham.

Rękoma objęła go za szyję, choć nie przypominał sobie, kiedy to

zrobiła. Przecież jeszcze chwilę temu tuliła je do ciała. Czy ona się w ogóle poruszyła? Co się właściwie z nim działo?

Gdy się całowali, czas jakby stanął w miejscu, wszystkie czynności biologiczne zamaryły niczym bezruch natury w chłodny zimowy poranek.

Poszli z bagażami do kasy promowej, którą stanowił rozpadający się drewniany budynek, nie większy od wychodka, z nie oszklonym okienkiem, nie osłoniętym przed opadami atmosferycznymi. Można tam było umrzeć z przeziębienia.

Kilkunastoletni chłopiec wziął od Nicholasa oba bilety, przestemplował je, skasował i oddał z powrotem.

- Najbliższy prom odpływa za siedem minut - powiedział. Nawet tu, na takim odludziu, panowało typowo japońskie przywiązanie do punktualności.

Yukio do momentu odpłynięcia była nienaturalnie spokojna. Ale gdy byli już w drodze, jej melancholijny nastrój powoli ją opuścił.

- Być może będziemy mogli zobaczyć jakieś nowe przedstawienie - powiedziała z zadowoleniem. - Albo odwiedzimy klub jeździecki. Moglibyśmy tam spędzić całe popołudnie. - Zachowywała się tak, jakby wcześniejsza rozmowa nigdy nie miała miejsca. Niemniej Nicholas był nadal zmartwiony.

Z tyłu Shimonoseki oddalało się, niczym przerwany sen, ponad burzącą się białą pianą za rufą promu. Mewy przelatywały z gracją nad dziobem, nurkując po skosie niczym eskadra myśliwców, nawołując się żałośnie.

Przełynęli, jak się wydawało z powodu mgły, niebezpiecznie blisko dwóch łodzi rybackich kołyszących się na falach, z czarnymi sieciami, podciągniętymi na masztach niczym żagle wymyślone przez jakiegoś wariata. Jakiś mały chłopiec będący na jednej z łodzi machał żwawo, gdy mijał go prom, choć nikt nie palił się do tego, by mu odmachać.

Jego wzrok przeniósł się powoli na stojącą obok Yukio. Jej głowa była odchylona do tyłu, jakby chciała opalić swe policzki ledwo przebijającym się światłem słonecznym. Wiatr unosił jej włosy na boki na podobieństwo skrzydeł kruka. Długa szyja była odsłonięta, padał na nią tylko niewielki cień podbródka. Jej piersi ostro sterczały. Czy było to tylko złudzenie, czy też w istocie widział jej lekko wystające sutki, które przeszły koronkowy biustonosz?

- Jak sądzisz, dlaczego Satsugai boi się pułkownika?

Wiatr utrudniał jej mówienie, niosąc wypowiedane słowa za burtę, w stronę dryfujących łodzi rybackich, które wyglądały teraz jak czarne

punkciki na wodzie przesłaniane mgłą, i przez chwilę nie był pewien, o co pytała.

- Nie wiedziałem, że tak jest.

Odwróciła się w jego stronę i spojrzała mu w twarz.

— Ależ tak, to chyba oczywiste. Nic nie zauważyłeś? No cóż, chyba nie powinnam być aż tak zdziwiona. Przebywam z nim częściej niż ty.

— Ciągłe się spierają. - Oparł się łokciami o balustradę i przechylił za burtę. Poczł, jak chwyciła go za ramię.

— Nie rób tak. Proszę cię. - Uśmiechnęła się. - Gdybyś wpadł do wody, musiałabym skoczyć za tobą, a ja nienawidzę wody.

— Wody i pociągów.

— Przede wszystkim wody. Nie przeszkadza mi przebywanie nad wodą. Właściwie to nawet to lubię. Boję się tylko przyływów i prądów.

— Co do Satsugai - powiedział. - To on i mój ojciec wyznają przeciwne linie polityczne. Ale wszystko kończy się na sporach.

— Czy sądzisz, że przebywaliby razem gdyby nie Itami i twoja matka?

Spojrzał na wodę, raz ciemną, raz lśniącą.

— Nie, chyba nie.

— Tak. No więc ja znam mego wuja. Taka nienawiść może wyłącznie wynikać ze strachu, a muszę ci powiedzieć, że jego niełatwo jest przestraszyć. Tak więc cokolwiek pułkownik ma na niego, jest to coś ważnego.

— Sądzę, że po prostu Satsugai, jako członek *zaibatsu*, był przez pewien czas uważany za zbrodniarza wojennego. Mój ojciec wstawił się wówczas w jego obronie. Nie znam szczegółów całej sprawy, ale takie zobowiązanie byłoby dla Japończyka ciężkie do zniesienia.

— W istocie. Szczyci się tym, że nie jest niczym dłużnikiem, a jest dzisiaj jeszcze bardziej wpływowy niż w czasie wojny. - Pokręciła głową. - I pomyśleć, że w pewnej mierze zawdzięcza to pułkownikowi.

— Są z jednej rodziny. Moja mama jest w tych sprawach nieugięta. Sprawy polityki nie grają tu dla niej roli. Poza mną i ojcem, Itami jest jej jedyną krewną. Nie ma nic, czego by dla siebie nie zrobiły.

Mgła znowu zapadła i znacznie się ochłodziło. Doniosła syrena promu co jakiś czas dawała ostry, smutny sygnał. Mewy zniknęły z pola widzenia i nawię woda nie była już dostrzegalna, równie dobrze mogliby żeglować w powietrzu. Otaczająca ich biel była niepokojąca. Nie było czuć nawet podmuchu wiatru. Usłyszeli jakieś głosy na drugim końcu promu, przytłumione i dziwaczne, które brzmiały jakby dochodziły z nieograniczonych głębin.

Nagle przed nimi spoza mgły ukazał się ląd i tylko delikatne stuknięcie dało znać, że prom zacumował przy pokrytej jutą pochylni. Nicholas zastanawiał się, jak kapitan promu tak bezbłędnie tu trafił. Usłyszeli trzeszczenie pali. A potem jakiś pies zaczął strasznie ujadać.

Ta Nicholasa podróż pociągiem do Kumamoto wydawała się nie mieć końca, choć stanowiła tylko niewielki ułamek całej podróży. Być może stało się to za sprawą mgły, niemniej czuł nieodpartą chęć dowiedzenia się, co takiego spowodowało tutaj Saigo. Kansatsu był tym wielce zamrtwiony. Zdał sobie z tego sprawę dopiero teraz. Jego mistrz nigdy by jednak nie wypowiedział tego słowa, po prostu dał to do zrozumienia w inny sposób. Ale cóż mogło być tak podejrzanego w przyjazdach tutaj Saigo? I dlaczego miałby się tym zamartwiać Kansatsu? Te pytania dręczyły go w czasie podróży po Kyushu i modlił się ze wszystkich sił, by znaleźć na nie odpowiedzi, choć były to oczywiście złudne nadzieje. Rzeczywiście nadzieje nie mają żadnego znaczenia. Czeong mówiła mu o tym kilkakrotnie. Jeżeli czegoś naprawdę pragniesz, to musisz to zdobyć. Ci, którzy siedzą i czekają, aż stanie się cud, do niczego w życiu nie dochodzą.

Nagle poczuł w sobie narastającą niechęć do tego wszystkiego, co nie było w nim japońskie. A mimo to wiedział, że to jest właśnie jego najlepsza strona, pełna energii, pożądania, niepokoju i zmienności. Inaczej mówiąc, właśnie dzięki temu się wyróżniał.

Yukio jak zwykle była nienasycona. W podskakującym, prawie pustym autokarze siedziała mu na kolanach, układając tak spódniczkę, by mogli się połączyć. I nie musieli się nawet ruszać.

Inaimamoto było miastem żyjącym kiedyś w cieniu zamku warownego zbudowanego z wielkich głazów, a usytuowanego na wysokiej górze, która o tej porze była ciemnobrązowa, a wiosną porastała soczystą zielenią. Ale dzisiaj zamek, choć nadal okazały, sam stanął w cieniu zabudowań przemysłowych leżących po drugiej stronie doliny w kierunku północno-zachodnim. Wznoszące się tam kilkanaście kominów wyglądało jak toporne palce wyciągnięte od niechcenia w stronę niebios.

Tego popołudnia, gdy Nicholas i Yukio wysiadali z pociągu, czubki kominów przesłonięte były mgłą, jakby naciągnięto na nie szare rękawiczki.

O dziwo, Kumamoto nie było aż tak nowoczesnym miastem jak

można by sądzić po rozmachu zabudowań przemysłowych. Praktycznie niezauważalne były tu wpływy Zachodu, czego dowodem było powszechniejsze niż w jakimkolwiek innym mieście japońskim, które odwiedzili, stosowanie przez mieszkańców tradycyjnych narodowych ubiorów. Nawet poprzez mgłę, która powoli zaczynała opadać, mogli się przekonać, w jak bardzo górzystym terenie się znajdowali. Ciemne sylwetki gór rozciągały się ze wszystkich stron, przysłaniając słońce i wywołując cienie, podobne do tych jakie widać z samolotu lecącego nad chmurami.

Zakwaterowali się w hotelu na ulicy Zapaśników.

- Proszę bardzo - powiedział unizony właściciel otwierając drzwi do ich pokoi - będą mieli państwo stąd znakomity widok na wulkan. - Postawił na ziemi ich torby podróżne i podszedł do okna w pokoju Nicholasa. - Oczywiście będzie to możliwe tylko przy dobrej pogodzie, która z pewnością do jutra powinna poprawić się na tyle, by zobaczyć może nie wszystkie pięć szczytów, ale przynajmniej Nakadake. - Odwrócił się do nich zacierając ręce. - Jest tam czynny wulkan, który wciąż dymi. - Machnął jedną ze swoich tłustych rąk w stronę okna. - Taka pogoda jak dziś jest zawsze, gdy wiatr wieje w złą stronę. - Podszedł do drzwi i jego palce owinęły się wokół klamki. - Gdy wulkan wybucha, unosi się pełno sadzy i pyłu, niebo staje się ciemne jak noc. - Pokręcił głową. - Czy państwo możecie to sobie wyobrazić? Z takiej odległości. - Mlasnął językiem o podniebienie. - Ale nie powinienem narzekać. Dzięki górze Aso przyjeżdża tu co roku dużo turystów, a co ja bym począł bez turystów? - Wzruszył ramionami. Nicholas dał mu napiwek, za który podziękował lekkim ukłonem. - Jestem zawsze do usług - powiedział, otwierając drzwi łączące ich pokoje, nim wyszedł.

Nicholas zadzwonił do Saigo, ale nie zastał go. Zostawił więc wiadomość wraz z numerem do hotelu.

Przez pewien czas szukali jakiegoś klubu jeździeckiego, ale okazało się, że w samym mieście nie ma żadnego. Yukio nie kryła swego rozczarowania.

Zjedli niezbyt obfity obiad w małej knajpce przy placu otoczonym drzewami. Ptaki śpiewały skacząc z gałęzi na gałąź. Jedzenie było wyśmienite, ale Nicholas nie był zbyt głodny. Miał rozstrój żołądka i potrzebował ruchu.

Gdy skończyli posiłek, spacerowali bez celu wzdłuż szerokich głównych alei i wąskich wypełnionych sklepikami uliczek, pełnych różnych zapachów i tłoczących się klientów.

Powrócili do hotelu późnym popołudniem, gdy słońce zmierzało

szybko ku zachodowi. Mgła opadła już całkowicie, tak że niebo znów wydawało się bardzo odległe.

Czekała na niego wiadomość od Saigo. Było to zaproszenie na kolację. Saigo miał się zjawić po nich w hotelu.

— Jak długo tu pozostaniemy? - spytała Yukio, gdy się przebierali. Drzwi między ich pokojami były otwarte.

— Nie wiem. Nie myślałem o tym. A dlaczego pytasz?

— Chciałabym już wyjechać i tyle.

— Przecież dopiero co przyjechaliśmy.

— Wiem, ale czuję się tak, jakbym tu mieszkała od roku. To miasto jest jakieś dziwne.

Zaśmiał się wciągając spodnie.

- Ty po prostu od początku nie chciałaś tu przyjeżdżać. Nie martw się, nie mieszkamy nad samą wodą. - Uśmiechnął się. - Nie wylecę więc za burtę.

Jej uśmiech był mniej radosny.

— Tak, wiem. Ale czy nie zauważyłaś? Tutejsze powietrze jest zupełnie inne, śmierdzi spalenizną.

— To z powodu rafinerii - powiedział. - Albo Aso. Nigdy jeszcze nie byłem obok wulkanu. Czy nie ma żadnego na wyspie Hokkaido?

Saigo zjawił się punktualnie o szóstej. Nicholas otworzył mu drzwi.

- No, Nicholas, nie wiedziałem... - Wzrok Saigo powędrował w głąb pokoju. Jego twarz pobladła. - Co ona tu robi? - Wypowiedział te słowa z sykiem, a co ważniejsze porzucił wszelkie formy grzecznościowe.

Nicholas odwrócił głowę.

- Chodzi ci o Yukio? Zdecydowała, że pojedzie ze mną. Nie wiedziałeś, że przyjechaliśmy we dwójkę?

Saigo spoglądał na Nicholasa z wściekłością. Jego wzrok był lodowaty i niewzruszony.

— Zrobiłaś to specjalnie, prawda?

— O czym ty gadasz?

— Dobrze wiesz, prawda? Tylko nie staraj się kłamać, Nicholas. Ona na pewno ci o wszystkim powiedziała.

Nicholas czuł tuż za sobą jej rozpalone ciało.

— Nic mu nie powiedziałam. - Głos Yukio był wystarczająco ostry, by się obroniła. - Ale skoro zachowujesz się jak małe dziecko i poruszyłeś ten temat, może sam powiesz mu, o co chodzi.

— Co on ma mi powiedzieć? Zaraz, chwileczkę!

Saigo chciał dopaść Yukio obchodząc Nicholasa. Ten stanął mu jednak na drodze,

ramieniem i lewą stopą zablokował przejście przez drzwi. Yukio wycofała się.

- Sądzę, że będzie lepiej, jak mi wszystko opowiesz.

Saigo wyczuł oznaki groźby w słowach Nicholasa i poczuł, jak krew się w nim gotuje. Zrobił więc wyrok lewą stroną ciała, maskując cios prosty prawą ręką.

Nicholas wykonał błyskawiczny blok swoim przedramieniem, uderzając Saigo wprost w nadgarstek. Cios nie spowodował żadnych obrażeń, ale naruszył system nerwowy, tak że cała ręka Saigo zdrętwiała.

Stali blisko siebie i Saigo usiłował wykonać cios stopą w kolano przeciwnika. Chciał o futrynę roztrzaskać staw Nicholasa, ale Nicholas cofnął się i noga Saigo uderzyła w drewno z taką siłą, że budynek się zatrzęsł.

Saigo zachował na tyle równowagę, by natychmiast się odwrócić i pognać korytarzem w stronę wyjścia, nim Nicholas zdążył wykonać jakikolwiek ruch. Ten jednak bez słowa udał się za nim.

Yukio podbiegła do drzwi. - Nicholas! - krzyknęła do niego. A potem udała się tą samą drogą.

Mały rekin ze skórą całkowicie szarą krążył nad dnem. Jego mała paszcza otwierała się i zamykała. Być może próbował jeść wodorosty przyrośnięte do ścian akwarium.

Dwie małe rybki przepłynęły obok niego, zakłócając jego skupienie, skrył się więc za kępą kilku roślin wodnych, poruszając się w strumieniu baniek unoszących się z urządzenia napowietrzającego.

Stali po drugiej stronie ulicy, skryci w cieniu jakiejś bramy. Na ulicy panował spokój, każdy krok przechodniów był słyszalny.

— Na co czekasz?

— Bądź cicho - powiedział Nicholas, licząc w duchu: „dwanaście, trzynaście, czternaście...”

Jakaś młoda para wyszła zza rogu i szła w ich stronę. Przez chwilę przyglądał się facetowi, po czym skierował spojrzenie na wejście do sklepu zoologicznego, do którego kilka chwil wcześniej wbiegł Saigo. „Dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy...” Gdy doliczył do trzydziestu i nadal nie zauważył nic podejrzanego, chwycił ją za rękę i przeszli przez ulicę.

Kiedy znaleźli się w sklepie, na zapleczu zabrzmiał dzwonek. Sklep był mały, z podłogą z gołych desek i ścianami wypełnionymi akwariami różnej wielkości. Tylko kilka z nich stało pustych, gromadząc kurz.

Chudy mężczyzna w podeszłym wieku, ze skórą szaroblądą niczym poranna mgła, siedział na wysokim drewnianym taborecie przed regałem pełnym filtrów, plastikowych rurek i pudełek suszonego pokarmu dla ryb.

Poza nim nie było tu nikogo.

— Czy jest stąd tylne wyjście? - spytał Nicholas.

— Co? - Sprzedawca spojrział na niego z niezrozumieniem. - No jest, ale...

Nicholas, z Yukio nie odstępującą go na krok, ruszył już do przodu, wąskim ciemnym korytarzem, przez nie zamknięte tylne drzwi.

Znaleźli się na ponurym otoczonym murem podwórzu, z którego praktycznie nie było wyjścia. Saigo mógł się z niego wydostać tylko jedną drogą, więc poszli jego śladem.

Ujrzeni go w odległości jednej przecznicy, poruszającego się w kierunku zachodnim. Dwa razy starał się ich zgubić, gdy pierwszy raz to nastąpiło, Nicholas stracił już nadzieję, że go odnajdzie, ale Yukio miała w tym swój udział. Szczęście ich nie opuściło. Skrył się w tłumie kłębiącym się wokół kiosku z gazetami, choć tak naprawdę był całkiem widoczny. To mógł być przypadek albo działanie specjalnie zaplanowane. Trudno było orzec. Pozostawała wątpliwość, dlaczego Saigo w ogóle był tak ostrożny i nie chciał, by ktoś go śledził?

Nad nimi księżyc stał w pełni, bladoniebieski, wielki niczym latarnia uliczna, zwiastun zbliżającej się zimy. Chmury, płaskie i gęste, przesłaniały co jakiś czas jego światło niczym przeciągane zasłony, utrudniając obserwację na tyle, że co jakiś czas musieli się zatrzymywać, by mógł sprawdzić dystans dzielący ich od ciemnej postaci, którą ścigali.

W pewnym momencie Saigo się odwrócił, jego twarz w świetle księżyca była z tej odległości tylko bladą plamą i Nicholas pchnął Yukio w najbliższą bramę, słysząc jej nerwowy oddech i własne serce bijące jak młot.

Saigo uciekając ciemną uliczką stawał się coraz mniej widoczny, Nicholas chwycił więc Yukio za rękę i pociągnął za sobą, aż po dłuższej chwili jego cel stanął przed wąskimi drzwiami do dość zniszczonego, topornego, drewnianego budynku bez okien. Po czym zniknął niczym nocna zwierzyna.

Nicholas stał nieruchomo w zacienionym miejscu jeszcze przez parę chwil, obok niego była Yukio. - Teraz - powiedział cicho i porwał ją biegiem na drugą stronę szerokiej ulicy.

Na budynku nie umieszczono żadnego szyldu, który wskazywałby, co się tam mieści, nie było też dzwonka przy drzwiach. Po prostu nic. Drzwi wejściowe były metalowe, pomalowane ciemnoczerwoną emalią. Chwycił za mosiężną klamkę, spodziewając się, że będzie zamknięte. Drzwi się otwarły.

Gdy weszli do środka, znaleźli się w zwykłym holu bez sufitu. Na górę prowadziły szerokie metalowe schody, niczym w zakładach przemysłowych. Na parterze nie było żadnych drzwi.



Przekonali się szybko, że nie ma ich również na pierwszym piętrze. Za to wszędzie było wiele wolnego miejsca.

W budynku panowała cisza. Słysząc było jedynie dziwne, przerywane drgania wielkich drewnianych stropów.

W końcu trafili na drzwi, zamknięte na kłódkę, ale dopiero na trzecim piętrze. Yukio zakasłała dwa razy, nim zdążyła zakryć usta dłonią, z powodu ogromnej ilości pyłu, który unosił się w powietrzu.

Czuło się tu pewien niepokój.

— Chciałabym już stąd wyjść - szepnęła mu do ucha Yukio. Pociągnęła go za rękę.

— Cicho.

Podszedł powoli i ostrożnie w stronę drzwi. Domyślał się, tak, miał rację. Światło było tak słabe, że wcześniej nie był całkiem pewien. Ale teraz, z bliska, wyraźnie widział znak namalowany odręcznie czarnym tuszem pośrodku drzwi. Był to krąg zawierający dziewięć czarnych diamentów, które z kolei otaczały ideogram *komuso*.

Nicholas przyglądał się znakowi. Zastanawiał się, gdzie go wcześniej widział. Na pewno go widział - to był znak jakiejś szkoły walki. Tak, z pewnością. Ale której szkoły? Widział ten znak przecież niedawno, chyba tuż przed opuszczeniem Tokio. Może to jakiś jej oddział terenowy. Albo...

Nagle wyciągnął dłoń do Yukio i wycofał się.

— Co się stało? - szepnęła. - Co się tu mieści?

— Chodźmy - powiedział. A potem szarpnął ją w swoją stronę. - Chodźmy!

Gdy znaleźli się na ulicy, stwierdził, że nadal ma kłopoty z oddychaniem. Zaczął więc biec ulicą, ciągnąc ją za sobą. Noc wydawała się taka spokojna, miasto było opustoszałe, a jemu wydało się, że są j tej nocy jedynymi tu ludźmi, że znaleźli się w świecie snu, z którego się nigdy nie obudzą.

Głowa pękała mu z bólu i poczuł dreszcze w całym ciele. Miał zawroty głowy, ledwo słyszał zdyszany głos Yukio.

Rozpoznał znak na drzwiach, a tym samym zrozumiał powód, dla którego musiał tu przybyć w ślad za Saigo oraz to, co mogło się zdarzyć w najbliższym czasie.

Kiedy wrócili do hotelu, kazał Yukio iść samej do swojego pokoju.

— Czy wytłumaczysz mi, co się stało?

— Za chwilę - rzekł myśląc o czymś innym. - Na razie wykąp się albo zajmij się czymś innym. Niedługo do ciebie przyjdę.

— Chyba nigdzie nie wychodzisz - powiedziała z wyrazem zmartwienia. - Nie chcę tu pozostać sama.

— Nie martw się, będę obok.

Gdy znalazł się tu przy oknie, podszedł do okna. Panował zupełny mrok, jednak, pewnie ze względu na słowa właściciela hotelu, wydało mu się, że widzi wytrysk białego pyłu z krateru Nakadake, najdalszego ze szczytów Aso.

Nie miał już żadnych wątpliwości, że Saigo pokonywał taki kawał drogi, by ćwiczyć w tej właśnie szkole walki, gdyż podobnych nie było nigdzie w okolicach Tokio. Słowa Kansatsu prześladowały go z siłą, której nie mógł nie wziąć pod uwagę: „W Japonii jest wiele szkół walki, Nicholas. Liczba nauczanych w nich sztuk walki jest właściwie nieskończona. Dobro i zło mieszają się w nich bez ograniczeń”.

Nic dziwnego, że Saigo był taki skryty w swoich poczynaniach i tak ostrożny.

Było to typowe postępowanie *ninja*.

Gdyż tym właśnie się stał. Kumamoto było główną siedzibą tej szkoły, a nie żadnym oddziałem terenowym. A właściwie jedyną siedzibą.

„*Ninja* nie respektują kodeksu *bushido*” - powiedział Kansatsu i miał rację. Ale na *ninjutsu* składało się o wiele więcej, i podobnie jak w przypadku *bujutsu* istniało wiele stylów, których nauczano i które propagowano. W dobrych zamiarach i złych. Niczym czerń i czerwień. Kansatsu sam wskazał Nicholasowi przykłady przed jego wyjazdem z Tokio. Spod znaku zła, najbardziej niebezpiecznym, najbardziej tajemniczym stylem był *kuji-kiri*. „Nazwa ta oznacza po chińsku: „cios dziewięciu rąk” i stanowi podstawę prawdziwych i domniemanych możliwości *ninja*. Mówi się, że te znaki stanowią ostatni ślad prawdziwej magii. Mnie samemu trudno się wypowiadać, ale jak sam doświadczyłeś, są takie chwile, gdy granica między jawą a wyobraźnią zaciera się”. Słowa te wypowiedział Kansatsu, gdy pokazywał mu symbol szkoły *kuji-kiri*. Taki sam, jaki ujrzał na drzwiach w tym drewnianym budynku.

Usłyszał plusk wody w napełnianej wannie i szelest bielizny.

W jego umyśle zrodziło się podejrzenie i im bardziej o nim myślał, tym bardziej był jego pewien. Czy Kansatsu wiedział, na co on tu natrafił? Jak mógł się dowiedzieć? Może tylko przypuszczał? Ale dlaczego w ogóle miał z tym coś wspólnego?

Nagle Nicholas poczuł dreszcz przesywający jego ciało na myśl, że jest pionkiem w grze sił, których istnienia nawet nie podejrzewał. Był pewien, że Kansatsu wiedział o tej sprawie o wiele więcej, niż mu powiedział. Dlaczego więc tak postąpił?

Na zewnątrz zniknęły już chmury i księżyc oświetlał ziemię pełnym blaskiem. Świat nabrał jednolitej, jasnoniebieskiej, zimnej i ostrej barwy. Daleko na horyzoncie wznosiły się zbocza wulkanu, z unoszącym się nad nim parasolem kłębiących się wyciewów, podobnych do wybuchu oglądanego w zwolnionym tempie. W bezwietrznej atmosferze pył utrzymywał się w leniwym bezruchu niczym bogacz drzemiący w swej jedwabnej pościeli.

Wydało mu się, że jego linia życia została nakreślona przez kogoś złośliwego w chwili, gdy był zajęty czymś innym. I tak jak wspominał Yukio tego popołudnia, miał pewne zobowiązania. On i Saigo stali się wrogami od chwili, gdy się poznali. Za czyją sprawą, nie był jeszcze w stanie powiedzieć, ale musiał się z tym faktem liczyć.

Co miał teraz począć?

Wiedział, był tego świadom i to go przerażało.

Słyszał, jak wanna została opróżniona z wody już jakiś czas temu. Wstał więc z parapetu, na którym siedział i otworzył drzwi do pokoju Yukio.

Zastygł w drzwiach. Światła były pogaszone i wszystko wydawało się nieruchome.

Wypowiedział cicho jej imię.

Światło księżycowe wpadało przez okno na podłogę, poprzecinane cieniem ramy okiennej.

- Yukio?

Wszedł bezszelestnie do pokoju.

I natychmiast znieruchomiał. Dał o sobie znać zmysł *haragei*. Wyczuł, że ktoś jeszcze jest w pokoju. Rozejrzał się stojąc nadal nieruchomo. Ujrzał Yukio leżącą na łóżku, na narzucie. Druga połowa podwójnego łóżka była огоłocona z pościeli. Zauważył wgłębienie, jakby ktoś tam wcześniej leżał. Yukio była naga, jej piersi i brzuch unosiły się przy każdym oddechu.

- Witaj, Nicholas. - Odwrócił się. W najdalszym kącie stał fotel, odwrócony w stronę łóżka. Wpadające światło omiatało jego oparcie, przód pozostawał w cieniu. - To miło z twojej strony, że do nas dołączyłeś.

— Saigo. Jak ty się tu dostałeś?

— A jak sądzisz, Nicholas? Jak uważasz?

— Sądzę, że mogłeś zrobić to na wiele sposobów, jak przystało na *ninja*.

Wydawał się niewzruszony.

— W istocie, masz rację. Ale widzisz, nie musiałem stosować żadnego z nich. Odczekał chwilę. - Bo Yukio mnie wpuściła.

— Yukio... - Zrobił dwa kroki w jej stronę.

— To nic nie da, Nicholas. Ona i tak cię nie usłyszy.

— Ona...

— Och nie, nic poważnego. Po prostu jest uśpiona. Nie trać więcej czasu, bo i tak jej nie ocucisz. Ale nie martw się, nic jej nie grozi.

— Obudź ją - powiedział Nicholas. Siedział przy niej na łóżku. Jej ciało było zimne, miała gęsią skórę, ale oddychała miarowo.

— Nie mogę tego zrobić. Przynajmniej jeszcze nie teraz. - Wreszcie Saigo wstał. Miał na sobie ubranie z czarnego jedwabiu, skrojone w starym stylu, podobne do tych jakie w czasie uroczystości nosili chińscy mandaryni. Włosy miał obcięte tak krótko, że wyglądały jakby je zgolił całkowicie. - Wypadałoby powiedzieć, że jest mi przykro, że stało się tak, jak mówiłem. Chodzi o ciebie. Ale mówiąc to nie byłbym szczery, gdyż nie jest mi ani trochę przykro. Prawdę mówiąc, cieszę się, że miałem rację od samego początku. Podobnie jak mój ojciec. - Przeszedł na środek pokoju, śledzony wzrokiem Nicholas. - Jak jednak do tego wszystkiego doszedłeś, nie mogę sobie wyobrazić. Muszę ci tu oddać cześć.

— O czym - powiedział Nicholas - ty, u licha, mówisz?

Oczy Saigo rozbłysły, a usta wykrzywiły się z taką wściekłością, jakby Nicholas go uderzył. Pokonał dzielącą ich przestrzeń i chwycił Nicholas. -

- Chciałeś tego - szepnął wściekle - przestanę być dla ciebie miły. Nie zasługujesz na to. Czy ty sądzisz, że ja nie widzę, że mnie śledzisz? Czy ty sądzisz, że byłbyś w stanie to zrobić, gdybym temu przeciwdziałał? Jesteś skończonym idiotą!

Nicholas podniósł ręce i uwolnił się od chwytu Saigo. Stali twarzą w twarz, patrząc na siebie, zachowując spokój niczym dwaj olbrzymi, gotowi do pojedynku o panowanie nad światem.

— Po co ty to wszystko robisz?

— Dla siebie - odpowiedział Saigo. - To chyba oczywiste. Zostałem przyjęty do grona wybrańców. To coś więcej niż to, czego

ty się uczyłeś, Nicholas. O wiele więcej. - Zrobił krok do przodu. - Mógłbyś zrobić to samo.

— Co?

— A jak sądzisz, po co cię tu zaprosiłem? Chyba nie w celach turystycznych. A ty się zjawiasz z nią. Co za głupota.

— Kocham ją.

— Zapomnij o niej. Ona jest niczym, kompletnym zerem. To zwykła dziwka. Pierdolona...

— Stul pysk, ty...!

— Ach, no tak, zapomniałem o twoim angielskim pochodzeniu. Co za rycerskość wobec damy! - Zrobił kolejny krok, tak że ich ciała się prawie stykały. - No dobrze. Nieważne, jak ją nazwiemy. Ona i tak już nic nie znaczy ani dla ciebie, ani dla mnie. Ja oferuję ci panowanie, Nicholas. Nawet nie wiesz, jak to jest, zupełnie nie wiesz. *Ninjutsu* to...

— Ale dlaczego wybrałeś *kuji-kirP*. Dlaczego służbę złu?

— Och, widzę, jak jest. Widzę, co się stało. Ta szmata Kansatsu naopowiadał ci bzdur. Tak, tu chodzi o służbę złu, ale do tego *ninjutsu* zostało stworzone. Jesteśmy najsilniejszą, najpotężniejszą szkołą. Będąc w *kuji-kiń* stajesz się nie do pokonania. Na całym świecie nikt nie może ci stawić czoła. Pomyśl tylko o tym, nieograniczone możliwości!

— Nie ma w tym dla mnie nic podniecającego - powiedział i wykonał przewrót przez łóżko z dala od Yukio, blokując nadgarstkiem ciosy w oczy, które z ogromną szybkością chciał zadać Saigo. Odpowiedział na to ciosami krawędzią dłoni, trzema, jeden po drugim. Zostały sparowane, ale nie martwił się tym, gdyż spełniły one swoją rolę pobudzając jego organizm do walki i wydzielania adrenaliny.

Przekręcił się, choć Saigo leżał na nim, i natychmiast pomyślał o wykonaniu pozorowanego ciosu łokciem, po którym zadałby cios krawędzią dłoni w jego tchawicę. Rozmyślił się jednak, gdy stwierdził, że jego lewa ręka jest przygwożdżona prawym barkiem Saigo. Wiedział, że jest w tarapatkach. Saigo, który posiadał techniki *ninjutsu*, zyskał przewagę. Nicholas miał nadzieję, że uda mu się wyrwać z jego objęć i stanąć w pewnej odległości.

Spróbował ciosu kolanem, ale Saigo nie dał się zmylić i zadał mu uderzenie w obojczyk, tak że Nicholas wygiął się z bólu. Miał szczęście, że cios był niedokładny.

Leżeli w zwarciu na ziemi, z częścią narzuty wsuniętą pod ich mocujące się ciała. Przez dłuższą chwilę nie wykonywali poważniejszych ruchów, siłując się, łapiąc za nadgarstki, uderzając łokciami w mostek,

Saigo nachylił się i ułożył Nicholasa jak Yukio. Dopiero wtedy Nicholas zdał sobie sprawę z tego, co się stanie.

Gdy członek po raz pierwszy zanurzył się w jego odbycie, poczuł pieczenie i usłyszał jęk rozkoszy, jaki wydał Saigo. Czuł nacisk jego ciała na swe ramiona i pośladki, a potem kolejne wytryski zalewające go niczym przyływ morza.

Pułkownik podjechał pod dom dość późno.

Siedział jeszcze przez jakiś czas w samochodzie, paląc fajkę i nie myśląc o niczym. Czuł się, jakby nie palił jej od wielu dni, rozkoszował się więc łagodnym smakiem czarnego tytoniu, który wyczuwał na języku i podniebieniu. Pomyślał, że ma ochotę napić się czegoś mocniejszego.

Księżyc był już nad horyzontem, przygasły i rozmyty, w drodze na spoczynek po ciężkiej nocy. Zostało z niej już niewiele. Pułkownik powoli przymknął okno, przygotowując się do opuszczenia samochodu, ale nagle ogarnął go jakiś chwilowy paraliż, który uniemożliwił mu wykonanie jakichkolwiek, choćby niewielkich ruchów.

Należało się tego spodziewać, pomyślał.

Popatrzył na zaciemniony dom i pomyślał o Czeong leżącej na ich łóżku. Była mu tak droga, a on nie spełnił jej oczekiwań ani swoich, a przede wszystkim Nicholasa. Zrobił, co tylko mógł, ale to nie wystarczyło. Już dawno temu popełnił błędy, dzisiaj udało mu się jedynie trochę złagodzić swą porażkę.

Teraz myślał o tym, jak okłamać Czeong. Do tej pory nigdy tego nie robił, a i teraz nie miał na to ochoty. Ale nie miał wyjścia, gdyż wiedział aż za dobrze, co mogłoby się stać w innym przypadku.

W końcu wysiadł z samochodu i zatrzasnął delikatnie drzwi. Noc wydawała się niesamowicie spokojna.

Obszedł po cichu dom, by odnaleźć kupkę suchych liści, które Ataki pozostawił na poranne ognisko. Podpalił je. Wsłuchiwał się w szelest palących się liści, wdychał ich ostry zapach.

Wpatrywał się w płomienie. Dziwne co człowiekowi przychodzi na myśl w takich chwilach. Niczym wychodząca z głębin łódź podwodna, tak i jemu z głębin pamięci ukazał się obraz słonecznego, letniego popołudnia, które spędził na ważnej naradzie na temat wojny koreańskiej u premiera Japonii, Yoshidy, razem z amerykańskim ministrem spraw zagranicznych Dullesem, ministrem obrony Johnsonem i szefem sztabu armii generałem Bradleyem. Dulles przyjechał wówczas do Tokio w związku z wysłaniem do Korei wojsk, które od drugiej wojny światowej stacjonowały w Japonii. Wzbudziło to protest społeczności amerykańskiej i propozycję odbudowy japońskiej armii.

Była to szokująca propozycja, gdyż klóciła się z artykułem 9. Konstytucji Cesarstwa Japonii z 1947, który mówił, że: „Żadne siły lądowe, morskie lub powietrzne, jak i inny potencjał

wojskowy, nie będą nigdy istniały”.

W typowym amerykańskim stylu Dulles i Johnson mieli w tej sprawie odmienne opinie, a premier Yoshida nie chciał przystać na remilitaryzację swego kraju. Potrzebne było jednak jakieś rozwiązanie. Pułkownik zaproponował wówczas, by siły policyjne zostały powiększone do siedemdziesięciu pięciu tysięcy funkcjonariuszy i nazwane Rezerwą Policji Państwowej. „W taki sposób będzie istniała siła podobna do armii, która nią jednak nie będzie” - tłumaczył wtedy pułkownik.

Dulles obstawał przy swoim, ale Yoshida widząc, że propozycja pułkownika daje szansę pogodzenia stron, zgodził się na nią bez uwag. Cała ta operacja musiała pozostać ściśle tajna, tak że nawet sami zainteresowani nie mieli wiedzieć, w jakim celu się ich szkoli.

Premier powołał do życia dodatkową komórkę w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, której zadaniem byłby nabór i szkolenie ludzi do tych jednostek, a na której czele stanął amerykański oficer.

Po skończeniu narady premier poprosił pułkownika, by ten jeszcze na chwilę pozostał. Mimo że tamci wyszli, napięcie w pokoju wcale nie zmalało. Premier zaproponował więc, by pospacerowali po ogrodzie.

— Jestem panu wielce zobowiązany - powiedział po tym, jak wygłosił swoje kurtuazyjne wprowadzenie, które nawet w takiej chwili nie mogło być pominięte.

— Problem w tym, panie premierze, że Amerykanie nadal nic się nie nauczyli. - Zauważył, że Yoshida spogląda na niego pytająco. - Być może nigdy się nie nauczą, jakkolwiek by było, mieli już wystarczająco dużo czasu.

Premier uśmiechnął się.

— Proszę pamiętać, pułkowniku, że i my mieliśmy kłopoty z ich zrozumieniem.

— Tak, ale sądzę, że Japończycy mają większą zdolność przyswajania sobie obcych kultur. Yoshida westchnął.

- Tak. Pewnie ma pan rację. Ale tak czy inaczej jestem bardzo wdzięczny. Pan Dulles chciał mnie do czegoś przymusić. Podejrzewam, że celem ostatecznym miał być udział wojsk japońskich w wojnie koreańskiej. Bo po cóż mielibyśmy się ni stąd, ni zowąd zbroić? - pokręcił głową, ręce miał złączone z tyłu. - To nie do pomyślenia, pułkowniku, abyśmy po tym wszystkim, co się kiedyś stało, wysłali swe wojska do Korei.

Nie do pomyślenia, przypomniał sobie pułkownik klęcząc nad ogniem, w tę kończącą się noc. Wówczas, z boską pomocą udało się uniknąć najgorszego. Teraz niestety nie.

Ogień palił się żwawo. Sięgnął do kieszeni swej ciemnej nylonowej kurtki, wyjął kawałek sznura i wrzucił w środek płomieni.

Nie dziwił się, że węzeł, który był pośrodku sznura, spłonął na samym końcu.

Pożegnać się z górą Aso, powitać znów górę Fudzi, to go czekało.

W drodze powrotnej prawie bez przerwy padało, krople deszczu smagały okno wagonu, ściekając coraz szerszymi strumyczkami, w miarę jak ich przybywało. Niski pułap złowrogich, grzmiących chmur nadawał niebu ciemną barwę. Silny wiatr z północy spowodował spadek temperatury, nadeszła zima.

Nicholas zmieniał co chwila pozycję, gdyż odczuwał ból w pośladkach, gdy nacisk na nie był zbyt wielki. Kilka rzędów dalej ktoś nieustannie zmieniał pasmo, słuchając swego radia tranzystorowego; kawałki muzyki rockowej przemieszane były z suchym, oficjalnym tonem spikera czytającego wiadomości: „Przywódca Japońskiej Partii Socjalistycznej, pan Saburo, został ostro skrytykowany za koncepcję reformy strukturalnej, którą od dwóch lat próbuje wdrożyć jego partia. Chodzą pogłoski, że może on być zmuszony do ustąpienia”.

Koło Osaki deszcz zamienił się w grad, uderzający tak mocno, jakby ktoś tańczył na metalowym dachu wagonu.

Nicholas skulił się w siedzeniu, miał dreszcze mimo tego, że w wagonie było dobrze nagrzane. Głód, który czuł wydał mu się złudzeniem, tak jakby chodziło nie o niego, ale o kogoś, kogo spotkał. Ale też nie ruszał się ze swego miejsca od momentu, gdy wsiadł w Osace do pociągu i rozsiadł się na siedzeniu. Jakikolwiek ruch wydawał mu się zbyt wielkim wysiłkiem. Obawiał się, że może być zmuszony skorzystać z toalety, nim dojedzie do Tokio. Wolał o tym nie myśleć. Tak właściwie to myślenie o czymkolwiek było dla niego problemem. Jego umysł wydawał się bezwolny, niezależnie od punktu wyjścia każda myśl prowadziła do tego samego, niczym liście spadające z różnych drzew, przesuwane wszystkie w tę samą stronę przez silny wiatr.



Przypomni sobie odgosy jekow, gorco na twarzy od lampy pozbawionej klosza. Poruszajce sie cienie, raz wiksze, raz mniejsze, nienaturalne. Widok Saigo cielcego ozko, Yukio ubranej w bluzk i spodniczk, pakujcej ich rzeczy niczym automat. Probowa co z siebie wydusi, ale czu sie tak, jakby mia usta zapchane piachem i dotkn go parali krtani.

Saigo wzi j pod rek, w drug chwyci torb. Oboje musieli zrobi nad nim krok, by dotrze do drzwi. A on lea jak jaki kaleka, mruac oczy od sonego potu i łez. Star sie przyjrze jej twarzy, ale byo to trudne, jej wosy opaday ze wszystkich stron.

Saigo zatrzyma j i co jej szepn do ucha, po czym cofn sie i nachyli, jego łsnica od potu twarz bya tu nad gow Nicholas.

- Teraz wiesz, jak jest, prawda? Tylko bd grzeczny - szydzi. - I przypadkiem nie staraj sie nas śledzi, jasne? To nie ma sensu. Żegnaj. Nie spotkamy sie ju wicej, zrozumiae? - Wycign rek i poklepa Nicholas czule po policzku. - Jeeli jeszcze kiedykolwiek staniesz na mej drodze, zabij cie.

Zowieszcze postacie... czy to na pewno dziao sie na jawie?... i nagle wszystko zniko... pozostao tylko w jego pamici. W kocu zamkn oczy i skoncentrowa sie na zapaniu oddechu.

Parali zaca ustpowa dopiero nad ranem, tak sadzi. Nie by tego cakowicie pewien, gy w pewnym momencie zasn. Tyle e gdy obudzi sie koo smej, mog ju porusza palcami u rak i nog.

Po kolejnej godzinie mog ju stanc, a nawet porusza sie o wasnych siach. Poszed do łazienki i pozosta tam przez duszy czas.

Gdy poczu sie lepiej, uda sie najpierw do drewnianego budynku. W ciagu dnia wszystko wygladao zupełnie inaczej. Budynek sta porodku dzielnicy handlowej, penej samochodw i pieszych.

Sprobowa otworzy drzwi frontowe, ale byy zamknete. Po dwukrotnym okrazeniu budynku stwierdzi, e s to jedyne drzwi. Ale nie odway sie otworzy zamka wytrychem.

Poszed wiec do pobliskiej knajpki, by zjec śniadanie. Usiad przy stoliku, z ktorego wyranie widzia wejcie do budynku. Niestety nic sie nie dziao i po godzinie da sobie spokoj.

Gdy paci za posiek, spyta o najbliszy posterunek policji. Okazao sie, e to niedaleko. Na miejscu kazano mu zgosi sie na drugim pietrze budynku z cegy i drewna. Unosi sie tam zapach cementu i terpentyny.

Sierzant, ktory akurat mia sub siedzia za biurkiem wyniszczonym niczym ciao weterana wielu wojen. By niewielkiego wzrostu, mia ciemnoolt karnacj i szeroki was, ktorym probowa zamaskowa

swoją paradontozę. Jego mundur był tak dopasowany, że odcinały się na nim fałdy koszuli.

Wydawał się sympatyczny, a nawet służalczy. Spisał wszystkie dane, w tym adres budynku. Zdziwił się jednak, gdy Nicholas powiedział mu, co kryje się za pokrytymi czerwoną laką drzwiami na trzecim piętrze.

— Szkoła *ninjutsu* Młody człowieku, czy pan sobie z nas nie żartuje?... Może to taki studencki dowcip, albo coś w tym stylu. Bo jeżeli tak, to...

— Nie - odpowiedział Nicholas. - Nic z tych rzeczy.

— Ale przecież - powiedział sierżant głaszcząc swój wąs - chyba pan wie, że *ninja* już nie istnieją. Ostatni z nich zginęli w zeszłym stuleciu.

— Czy jest pan tego pewien?

— Chwileczkę, co to ma...

— Proszę, panie sierżancie. Niech pan wyśle tam kilku ludzi, by się po prostu rozejrzeli.

Sierżant z wyrazem wątpliwości opuścił dłoń i wyciągnął ją w stronę Nicholasa.

- W porządku, panie Linnear. Już dobrze. Zajmę się tym osobiście. A pan niech wraca do hotelu i czeka na mój telefon.

Czekał aż do trzeciej po południu.

— Słucham?

— Pan Linnear? - Sierżant wydawał się zmęczony.

— Czy był pan tam?

— Tak. Pojechałem osobiście. Z dwoma ludźmi. Budynek należy do firmy Pacific Imports.

— Czy widział pan ten znak na drzwiach?

— Tam nie ma żadnego znaku. To zwykłe drzwi.

— Ależ tam musi...

— Budynek w dniu dzisiejszym był zamknięty, ale obudziliśmy stróża. Był na tyle uprzejmy, że wszędzie nas zaprowadził. Tam się mieszczą magazyny, nic więcej.

— Nie rozumiem.

— Panie Linnear, może podeślę człowieka, który by przejrzał bagaże pana znajomej? Może wtedy dojdziemy do tego, gdzie ona jest.

— Bagaże? - spytał Nicholas lekko zaskoczony. - Jej bagaży tu nie ma, sierżancie, chyba panu mówiłem.

Ton głosu z drugiego końca linii stał się jakby bardziej służbowy.

- Nie. - powiedział sierżant. - Nie mówił pan. Panie Linnear, czy nie miał pan przypadkiem zeszłej nocy kłótni ze swoją dziewczyną? Być może rzuciła pana?

— Co pan...

— Młody człowieku, może powinienem skontaktować się z pana rodzicami. Jaki jest pana adres?

Ruszył do akcji dopiero wtedy, gdy już było całkiem ciemno. Czuł, że jest jeszcze zimniej niż poprzedniej nocy, wilgoć unosząca się w powietrzu była gęsta niczym zwisająca kotara. O tej porze na ulicy było niewiele osób. Każdy spieszył się w swoją stronę, starając się jak najszybciej dotrzeć do domowego ciepła.

Obszedł jeszcze raz budynek, żeby mieć całkowitą pewność. Nikt oprócz niego się tu nie kręcił. Stał przy wejściu przyglądając się drzwiom, drżał z zimna pod wpływem coraz silniejszego wiatru. Resztki jakiejś gazety przewaliły się w rynsztoku, uniosły na wietrze, po czym opadły niczym wielka óma siadająca na lampie.

Otwarcie zamka zajęło mu cztery minuty. Był nad wyraz ostrożny. Gdy znalazł się w środku, przez dłuższą chwilę stał nieruchomo tyłem do drzwi, nasłuchując jakichkolwiek odgłosów. Musiał przyswoić sobie i zapamiętać obraz dźwiękowy tego miejsca, tak by później móc w każdej chwili odnotować nawet najdrobniejszą zmianę. Taka asekuracja mogła zdecydować o szansach ewentualnej ucieczki. Stał tak przez dziesięć minut starając się przede wszystkim wydzielić wszystkie dźwięki z zewnątrz. Potem ruszył na górę.

Budynek wydawał się opustoszały, ale przyjmując, że jest na obcym terenie postanowił zachować najwyższą ostrożność. Sierżant policji byłby co najmniej niezadowolony, gdyby przyłapano go na tym włamaniu, a on nie zamierzał narobić sobie jakichkolwiek kłopotów. Im mniej ojciec wiedział o przyczynach jego przyjazdu w te strony, tym lepiej.

Budynek nie miał okien, trudno więc było odróżnić dzień od nocy. Czas upływał tu niezauważenie. Gdy znalazł się na trzecim piętrze, wyjął latarkę i oświetlił nią drzwi.

Stał nieruchomo. Nagle gdzieś na dole zaskrzypiała deska, jakby coś na niej położono. Na dworze, na jakimś podwórzu, dwukrotnie zaszczekał pies, po czym nastąpiła cisza. Zakłóciła ją na chwilę przejeżdżająca ciężarówka.

A więc sierżant go nie okłamał. Na drzwiach nie było żadnego znaku.

Podszedł bliżej, aby się lepiej przyjrzeć. Potarł drzwi ręką, żeby sprawdzić, czy nie są świeżo malowane. Nic nie zauważył. A więc to on się mylił? Szarpnął za kłódkę.

Kwadrans później był już w drodze powrotnej, cały zeszywniały. A więc jest to magazyn, tylko magazyn. Nie ma tam żadnego śladu, że była tam szkoła walki. „I przypadkiem nie staraj się nas śledzić?”. Czyżby Saigo wiedział, że on nic nie znajdzie?

Powrócił myślami do rzeczywistości. W wagonie słyhać było jakąś nieznaną piosenkę młodzieżową. Utrzymana była w szybkim tempie i pogodnym nastroju. Na zewnątrz przesuwaną się krajobraz był rozmyty ze względu na mgłę, a padający grad odbijał się od szyb niczym piłeczki

pingpongowe.

Nicholas oparł głowę o szybę, studząc tym samym swą gorączkę. Starał się wszystko ułożyć w całość. Jak świetnie Yukio potrafiła przed nim udawać. A on, jaki był głupi, że się dał podpuścić. To było aż śmieszne. Starał się tak bardzo pozyskać jej zaufanie, a na koniec okazało się, że ona nie uznaje tego słowa. Nie, to było zbyt przygnębiające, by się z tego śmiać.

Ale za to jak ironiczne, tak, i to bardzo.

Czuł się apatyczny, tak jakby stosunek z Saigo w pewien sposób znieczulił jego ciało, wygaszając w nim iskrę życia. Pomyślał o słowach, które Yukio wypowiedziała na widok nie odbudowanego po eksplozji atomowej obserwatorium w Hiroszynie: „Jestem taka w środku, cała wypalona. To co masz przed sobą, to tylko zewnętrzna powłoka”. W jej ustach było to kolejne kłamstwo, ale on w tym momencie czuł, że tak w istocie było.

Śnieg zaczął padać, niebo zrobiło się białe. Po długotrwałym gradobiciu nastała teraz cisza, wszechogarniająca i nie do zniesienia. Właściciel w końcu zgasił radio.

Po raz pierwszy zaczął rozmyślać o Stanach Zjednoczonych jak o czymś więcej niż jeszcze jednym państwie. Czyżby nadszedł czas, by opuścić ukochaną Japonię? Chyba tak, pomyślał. Ale najpierw musi...

Nagłym ryknięciem znów dało o sobie znać radio, przywodząc znajomą melodię...

*VII pretend that I'm kissing*

*the lips Vm missing*

*And hope that my dreams will come true*

*And then while I'm away*

*VII write home every day*

*And VII send all my loving to you...*

Należało się spodziewać, że Nicholas nie pojedzie z dworca prosto do domu.

Załadował się razem z bagażem do taksówki i wskazał kierowcy adres szkoły walki, gdzie nauczał Kansatsu.

Z tego co się dowiedział, w Tokio śnieg padał już od jakiegoś czasu. Na ziemi leżała jego kilkucentymetrowa warstwa, powodując perturbacje w ruchu ulicznym. Opady zaczęły się tak późno, że wszyscy od dawna myśleli, że tego roku zima będzie łagodna i dali się zaskoczyć.

Obciążone pracą wycieraczki, w miarę jak posuwali się zrywami do przodu, nieodmiennie wydawały ten sam szelest. Mogli przyspieszyć dopiero wtedy, gdy znaleźli się na autostradzie, którą służby miejskie zdołały posypać piaskiem.

Rozsiadł się w jednym z narożników tylnego siedzenia i drzemał, dopóki nie zajechali pod wskazany adres. Kierowca obudził go, a on poprosił, by zaczekał, aż sprawdzi czy kogoś zastał.

Śniegu było tyle, że taksówka wydawała się dotykać jezdni, sapiąc białymi spalinami. Niebawem powrócił, wyjął swój bagaż i zapłacił kierowcy.

Kansatsu poczęstował go zieloną herbatą w jednym z małych pomieszczeń. W sali treningowej nie było nikogo.

- Ta podróż cię wykończyła - powiedział Kansatsu. Ponieważ jeden z parawanów był odsunięty, Nicholas widział padający śnieg, tłumiący wszelkie odgłosy. W zachodzącym świetle nabierał on błękitnego odcienia. Góra Fudzi w taką pogodę była niewidoczna.

- Widać to po tobie.

Nicholas opowiedział mu o wszystkim.

Gdy skończył, nastąpiła bardzo długa cisza, tak przynajmniej sądził Nicholas.

- Kansatsu...

Ale mistrz dał mu znak, by zamilkł.

- Wypij do końca herbatę, Nicholas.

Nicholas odtrącił szarą porcelanową miseczkę, rozlewając herbatę na ryżową matę.

— Mam już dosyć bycia traktowanym jak niedorostek! Wiem, co pragnę uczynić, co muszę uczynić!

— Sądzę - powiedział Kansatsu, nie wzruszony jego uniesieniem - że powinieneś pojechać teraz do domu.

Nicholas wstał, jego twarz była pełna złości.

— Czy ty nie rozumiałeś, co mi się przytrafiło? A może nie słuchałeś, co mówiłem?

— Wysłuchałem każdego twojego słowa. - Głos Kansatsu był stonowany i uspokajający. -

Rozumiem cię. Twoja opowieść potwierdziła moje podejrzenia. Ale nie można działać pochopnie.

Być

może sądzisz, że wiesz, co pragniesz uczynić, ale wątpię, czy jest tak w istocie. Skorzystaj więc z mojej rady i wróć do domu. Przemyśl sobie wszystko...

— Chciałbym, abys mi parę rzeczy wytłumaczył - powiedział ostro Nicholas. - Ty mnie do tej podróży namówiłeś. Wiedziałeś...

— Nic nie wiedziałem. Tak jak powiedziałem, teraz obydwaj wiemy lepiej. Ale jak sam przyznasz, jest to i tak lepsze od niewiedzy. Gdyż inaczej nie można podejmować właściwych decyzji, nie można skutecznie działać. To jest podstawa. Chyba to rozumiesz. - W jego wypowiedzi było jakby oczekiwanie na potwierdzenie.

— Tak.

— No dobrze. - Kansatsu westchnął i wstał. Stali twarzą w twarz ponad niskim lakowanym stoliczkiem. - Pozwól, iż ci powiem, że dla twojego dobra nie powiedziałem ci wówczas wszystkiego...

- Dla mojego dobra...! Kansatsu powstrzymał go dłonią.

— Pozwól, że skończę swą wypowiedź. Wówczas miałem jedynie podejrzenia co do Saigo. - Jego głos stał się delikatniejszy. - Natomiast jeśli chodzi o ciebie, powiedziałem ci wszystko, co myślałem. Dalsza nauka już ci nie jest potrzebna. To, że powróciłeś cało ze swej podróży do Kumamoto, jest wystarczającym dowodem na to; gdyby pominąć tylko moją subiektywną ocenę.

— Nie śmiałbym...

— Wiem, że byś nie śmiał. - Kansatsu obszedł stoliczek i zbliżył się, by chwycić go za ramię. Uczynił to pierwszy raz odkąd się poznali. - Jesteś moim najlepszym uczniem, ale nadszedł czas, byśmy się rozstali. Dalej musisz już postępować według własnego uznania. Zbyt długi trening u jednego nauczyciela może mieć negatywny wpływ na rozwój ucznia. Ale - uniósł do góry palec wskazujący - nim zdecydujesz się co uczynić, musisz osiągnąć spokój wewnętrzny. A sam przyznasz, że go teraz nie masz, co?

Nicholas milczał w zamyśleniu.

— Daj sobie kilka dni czasu, nie spiesz się. A gdy poczujesz, że jesteś gotów, wróć tutaj. Będę czekał. Odpowiem wówczas na wszystkie twoje pytania, najlepiej jak tylko będę mógł. Razem zdecydujemy, co masz dalej robić.

— Ale jest coś - odezwał się wreszcie Nicholas - o czym muszę stale pamiętać.

— Co takiego?

— Mam śmiertelnego wroga. - Znów wspomniał jego słowa: „I przypadkiem nie staraj się nas śledzić”. - Naruszyłem ich spokój,

zignorowałem ostrzeżenie. Teraz gdy po mnie przyjdą, muszę być gotowy.

Siedzący obok Kansatsu, patrzący na opadający śnieg, po raz pierwszy sprawiał wrażenie tak starego i bezsilnego.

Obawiam się, że mam dla ciebie złą wiadomość. Stanął z bagażem w drzwiach domu. Natychmiast przyszło mu na myśl, że chodzi o Czeong.

— Co z mamą?

— Jest u twojej ciotki. Wejź, Nicholas. - Ojciec wydał mu się bledszy i zmęczony.

Dom był jakby trochę odmieniony. Bez życia.

— Co się stało

— Chodzi o Satsugai - powiedział spokojnie pułkownik. Trzymał w ręku nie zapaloną fajkę. - Staraliśmy się z tobą skontaktować w Kumamoto. W końcu dziś po południu trafiłem na Saigo. Itami była zdziwiona, że był razem z Yukio.

Nicholas poczuł się słabo. Pomyślał o swoim nieodwzajemnionym uczuciu. Nastąpiła chwila ciszy. Usłyszał wtedy tykanie zegara na ścianie w gabinecie. Tak jakby tylko zegar pozostał przy życiu.

Pułkownik odchrząknął.

- Satsugai został zamordowany. Wiem, że to nie jest najmiłe powitanie. Zresztą widać, że i tobie podróż się nie udała.

Czy widać to było aż tak wyraźnie?

- Jak to się stało?

Pułkownik włożył fajkę do ust i dmuchnął silnie, by przetkać ustnik. Obejrzał cybuch.

- W czasie włamania, tak uważa policja. Satsugai musiał przyłapać złodzieja.

— Tylko on go usłyszał? Pułkownik wzruszył ramionami.

— Był wtedy w domu sam. Itami była u siostry.

— U której? U Ikura?

— Nie, u Teoke. Nicholas nie lubił Teoke.

— No cóż, zdarza się. - Wrócił, by zabrać torby do swego pokoju. Pułkownik schylił się, by mu pomóc i poszli razem.

— Cicho tu jakoś - powiedział Nicholas. - Jakoś tak nieswojo.

— Masz rację - potwierdził ojciec, mając coś na myśli. - Zmieniło się. - Usiadł na łożu i przetarł oczy kciukiem i palcem

wskazującym. - Służący wyszli razem z twoją matką, a Ataki dzisiaj nie przyjdzie.

Nicholas zaczął się rozpakowywać, oddzielając brudne rzeczy od nie używanych.

— Tato - spytał po jakimś czasie - co wiesz o *ninja*?

— Nie za wiele. A dlaczego pytasz?

Wzruszył ramionami, spoglądał w dół na koszulę utrzymaną w rękach.

- Kansatsu opowiadał mi trochę o nich. Czy ty wiesz, że gdy Portugalczycy zjawili się w Japonii w 1543 roku z bronią palną, to *ninja* od razu wprowadzili ją do swego arsenału? Nie wiesz? I dlatego też większość przedstawicieli innych klas, a w szczególności samuraje, nie używała strzelb i muszkietów aż do zeszłego wieku.

Pułkownik wstał i podszedł do syna.

- Nicholas - powiedział czule - co zaszło między tobą a Yu-kio? - Gdy Nicholas nie odpowiadał, położył rękę na ramieniu syna i dodał: - Boisz się przyznać?

Nicholas spojrział mu w twarz.

— Boję? Nie, nie boję się. Po prostu wiem, co o niej zawsze myślałeś. Nigdy jej nie lubiłeś.

— I dlatego mi nie powiesz...

— Kocham ją - Nicholas przyznał w rozpacz. - A i ona mi tak mówiła. A potem wszystko się między nami skończyło, tak jakby tego uczucia nigdy nie było. - Na widok cierpiącego syna pułkownikowi kroilo się serce. - Jak ona mogła mnie porzucić dla Saigo? Jak ona mogła mi to zrobić? - W jego oczach ukazały się łzy. - Nic już nie rozumiem.

Gdy pułkownik otworzył drzwi do domu i ujrzał Nicholasa, poczuł ogromną ochotę podzielenia się z nim swą tajemnicą. Ale po ich rozmowie wiedział, że tego nie robi, byłoby to zbyt egoistyczne. Musiał więc pozostać sam na sam z tym problemem. Byłoby niesprawiedliwością obciążać czymś Nicholasa na resztę życia. Pragnął jednak w jakiś sposób pocieszyć swego syna. Był jednak zaskoczony tym, że nie może znaleźć właściwych słów. Czy tak było między nimi zawsze? Nie wiedział, co ma mu powiedzieć, co by było najodpowiedniejsze. Żałował, że nie ma z nimi Czeong i od razu odrzucił tę myśl. O Boże, pomyślał, czy aż tak bardzo oddalił się od swego syna, że nie miał mu nic do powiedzenia? Czy spowodowało to jego całkowite oddanie pracy zawodowej? Pułkownikowi wydało się to największą ironią. Zdał sobie sprawę, jak bardzo zazdrościł kuzynowi jego bliskiego związku z synem. Było to coś, czego on nigdy nie zaznał. Niestety wina leżała po jego stronie.

usłyszał dzwonek. - Chodź - powiedział i oboje poszli do drzwi.

U wejścia stał sierżant z Tokijskiej Komendy Policji. Był tęgi i młodo wyglądający, wydawał się skrupowany, wiedział aż za dobrze, z kim ma do czynienia. Gdy pułkownik otworzył drzwi, oddał mu honory.

— Pułkowniku Linnear - powiedział. Miał niespokojne piwne oczy. - Porucznik Tomomi prosił, bym pana poinformował o postępach w dochodzeniu. - Wszyscy wiedzieli o co chodzi. - Nasze ostatnie badania wskazują na to, że pański szwagier...

— On nie był moim szwagrem.

— Proszę?



— Nieważne - skwitował pułkownik. - Proszę mówić dalej.

— Tak jest. Stwierdziliśmy, że to nie było włamanie. A przynajmniej nic na to nie wskazuje.

— A więc?

— Sekcja zwłok wykazała podwójne naruszenie chrzątki w krtani. To znaczy, że został uduszony. I to przez zawodowca. Porucznik Tomomi uważa, że są powody, by podejrzewać o to skrajnych lewaków.

— Chce pan powiedzieć, że to było zabójstwo?

— Tak jest. Właśnie zatrzymujemy podejrzanych. Tych co zwykle, socjalistów, komunistów, i tak dalej.

— Dziękuję za informacje, sierzancie.

— Od tego jestem, panie pułkowniku. Do widzenia. - Odwrócił się. Słysząc było, jak kroczył w czarnych oficerkach po żwirowej drodze.

W miarę jak mijały kolejne tygodnie, życie rodzinne powracało do normy. Ale jak powiedział sam pułkownik, nie było takie jak dawniej.

Pogrzeb Satsugai był prostą oficjalną ceremonią, zresztą opóźnioną o kilka dni ze względu na nieobecność Saigo.

Nicholas nie czuł smutku z powodu śmierci Satsugai. Nie było w tym nic dziwnego. Ale oczekiwał z niecierpliwością na pogrzeb, choć sam nie był pewien, czego się spodziewa, dopóki nie zjawili się Saigo i Itami. Jego serce doznało zawodu. Yukio była nieobecna. Natomiast jeśli chodzi o Saigo, to nie rozmawiał z nikim oprócz matki.

Nicholas spodziewał się, że po powrocie Saigo jego matka przeprowadzi się z powrotem do domu. Ale tak się nie stało. Mieszkała jeszcze z Itami ponad tydzień. Pewnie zostałyby jeszcze dłużej, gdyby Itami się zgodziła.

To co zaszło wystraszyło Czeong, jak zauważył Nicholas, w większym stopniu niż samą Itami. Przestała się uśmiechać i wydawało się, że myślimi jest gdzieś daleko, jakby powrót do rzeczywistości miał ją rozkleić.

Co więcej, a co było dla Nicholasa niewytłumaczalne, jej stosunki z mężem pogorszyły się. Od jak dawna Nicholas pamiętał, ich związek zawsze stanowił dla pułkownika schronienie, w którym mógł nabrać energii, Czeong była jego podporą. I choć zmiany były drobne, niezauważalne dla obcych, to on je widział i był nimi przerażony. Wyglądało to tak, jakby czyniła go odpowiedzialnym za tę śmierć. Przecież uratował już raz życie Satsugai, czy to jej nie wystarczało? Wydawało mu się, że jego matka przesadza i po raz pierwszy w życiu poczuł, że daje się wciągnąć w konflikt między swymi rodzicami.

Itami prawie codziennie jadła z nimi obiad. Kilka razy przychodziła razem z Saigo, gdy ten był w mieście. Nicholas unikał tych spotkań pod pretekstem treningów u Kansatsu albo zajęć na Todai - Uniwersytecie Tokijskim, ale Czeong opowiadała mu o nich, gdy wracał wieczorem do domu.

Pułkownik wziął w pracy tydzień wolnego, choć już od półtora roku nie był na urlopie. Powiedział, że jest chory i udał się do lekarza, po raz pierwszy od czasu jak Czeong go poznała. Wydawał się blady i przemęczony, ale ku zadowoleniu lekarz nie stwierdził żadnych zaburzeń.

Nicholas natomiast wpadł w rytm życia studenckiego. Todai było dziwną instytucją, ale on dość szybko zaaklimatyzował się na uczelni. Po zdaniu bardzo trudnych egzaminów wstępnych uświadomił sobie, że jest częścią *gakubatsu*, czyli braci studenckiej. Dowiedział się również, że Todai było jedną z najznamienitszych uczelni na świecie, kształcąca ludzi na kierownicze stanowiska w państwie. Wywodziło się z niej pięciu powojennych premierów Japonii.

Okres, w którym musiał dopilnować swoich spraw, spowodował, że był oderwany od życia rodzinnego i dopiero po kilku tygodniach miał okazję spostrzec, że dzieje się coś złego. Pułkownik przedłużył sobie urlop. Wstawał jak zawsze wcześniej rano i chodził po domu, dotykając różnych pamiątek, jakby się z nimi żegnał. Służący, gdy czasami utrudniał wypełnianie ich obowiązków, z życzliwością prowadzili go do innego pokoju albo coraz częściej, do ogrodu. Spędzał długie godziny siedząc i obserwując wijące się zwirowe ścieżki. Dla człowieka, który całe życie był aktywny i pełen energii, takie zachowanie było czymś nowym.

Itami, gdy była u nich z wizytą, wydawała się bezgranicznie przywiązana do Czeong. Coraz częściej spędzała u nich weekendy, chodziły z Czeong na spacer przez las cedrowo-sosnowy do świątyni szintoistycznej, w której była z Nicholasem wiele lat wcześniej. Być może przechodziły

obok miejsca, gdzie kochał się z Yukio. O czym przez tyle godzin rozmawiały, nie miał najmniejszego pojęcia.

Pewnego razu wrócił z uczelni wcześniej niż zwykle i zauważył, że pułkownik jest jeszcze na dworze. Był wtulony w stary angielski płaszcz, teraz dla niego za luźny.

Nicholas obszedł dom i stanął obok ojca. Był zdruzgotany widokiem kości odcinających się na zapadniętej twarzy pułkownika.

— Jak się czujesz? - spytał. Chłód spowodował, że z jego ust wydobyła się para.

— Dobrze - odpowiedział ojciec. - Tylko trochę zmęczony. - Uśmiechnął się rzewnie. - Po prostu zmęczony. - Jego wychudłe dłonie uniosły się niczym ptaki. Były całe pokryte ciemnymi plamami. W końcu spoczęły na jego udach. - O mnie się nie martw. Wiesz, myślałem o tym, czyby nie zabrać twojej mamy gdzieś daleko stąd, by sobie odpoczęła. Ona jeszcze nie ochłonęła po śmierci Satsugai. Potrzebuje się stąd wyrwać na jakiś czas. Zapomnieć o swym smutku. Twoja ciotka uczepliła się jej, jakby bez niej nie mogła żyć. Nie powinna tego robić.

- Wszystko się jakoś ułoży, tato. Pułkownik westchnął.

— Sam nie wiem. Świat się ciągle zmienia. Wszystko stało się takie skomplikowane. Nie jestem w stanie tego objąć. Być może tobie się uda, mam taką nadzieję. - Pocierał rękami uda, tak jakby go bolały. - Nic już nie będzie takie jak kiedyś. - Spojrzał na niebo. Dzikie gęsi odlatywały na południe dużymi kluczami w kształcie litery V, niczym dwa palce uniesione w górę na znak zwycięstwa. - Gdy tu przyjechałem, miałem takie plany. Mogłem uczynić tyle dobrego.

— I uczyniłeś. Zrobiłeś tak wiele.

— Wszystko obróciło się w proch - powiedział pułkownik. - Mam uczucie, że nic konkretnego nie zrobiłem, po prostu działałem zgodnie z poleceniami, sterowany przez siły, o których istnieniu nic nie wiedziałem. - Pokręcił głową. - Nie mogę pozbyć się myśli, że nie dołożyłem wszelkich starań, by dopiąć swego.

— Jak możesz tak myśleć? Przecież poświęciłeś się tej sprawie bez reszty. Całkowicie.

— Sądziłem, że tak trzeba. Może popełniłem błąd? Sam nie wiem. Ale mam wątpliwości. Z jednej strony uważałem, że powinienem był się zaangażować jeszcze bardziej, pojechać do amerykańskiego prezydenta, przedstawić mu japońską rację stanu. Z drugiej, że powinienem był więcej czasu poświęcić tobie i matce.

Nicholas położył ręką na ramieniu ojca. Zauważył, jak bardzo zeszczupłał. Gdzie też podziały się jego mięśnie? Nawet nie zamieniły się w tkankę tłuszczową. Po prostu zwiotczały.

- Wszystko w porządku, tato. - Takie puste słowa, nic nie znaczące. Ale nie umiał znaleźć lepszych. - Wszystko w porządku.

A co tak naprawdę chciał mu powiedzieć?

Ale w życiu pułkownika stało się coś nieodwracalnego i nic nie było w porządku.

Mimo częstych wizyt u lekarza, zażywania różnych lekarstw, odpowiedniej diety, a na koniec zastrzyków, pułkownik cały czas tracił na wadze, aż już nic nie było w stanie mu pomóc. Dziesięć dni po rozmowie z synem w ogrodzie zmarł podczas snu.

Uroczystość pogrzebowa była podniosła. Większością spraw zajęło się dowództwo wojsk amerykańskich. Goście zjechali się z całego rejonu Pacyfiku, przybył osobisty wysłannik prezydenta Johnsona. Nicholas uznał jego obecność za ironię losu wzięwszy pod uwagę nie spełnione nadzieje jego ojca. Amerykanie, którzy ignorowali jego opinie za życia, po śmierci chcieli wynieść go na piedestał. Nie potrafił nie czuć niechęci do tego uosabiającego Amerykanów przedstawiciela, który mimo uroku osobistego i wielkiej uprzejmości przypominał mu Marka Antoniusza nad grobem Juliusza Cezara.

Rząd japoński, zgodnie ze swym sumieniem, był bardziej szczery w swych uczuciach. Obecny był sam premier, jak i wielu członków parlamentu. Japończycy pamiętali o wielkich zasługach pułkownika dla ich kraju i zjawili się, by oddać mu hołd. Po pewnym czasie, z uwzględnieniem okresu żałoby, zwrócono się do Nicholasa z propozycją przygotowania się do objęcia wysokiego stanowiska w administracji państwowej. Podziękował jednak w sposób taktowny, mimo to doceniając fakt, że i w ten sposób chciano jeszcze uhonorować jego ojca.

Zgodnie z ostatnią wolą pułkownika ceremonię pogrzebową celebrował naczelny rabin Armii Stanów Zjednoczonych, co zdziwiło

wielu obecnych, którym wydawało się, że dobrze znali zmarłego. Rabin znał pułkownika od dawna i gdy wygłaszał mowę pogrzebową, robił to z ogromnym przekonaniem. Była to piękna uroczystość.

Chcę wstąpić do szkoły *Tenshin Shoden Katon*.

— Dobrze.

— Chcę stąd wyjechać, to znów nie chcę.

— W pełni cię rozumiem, Nicholas. Oczy Kansatsu były lśniące i pełne życia.

Siedzieli z Nicholasem naprzeciw siebie. Otaczała ich nieskażona przestrzeń sali treningowej, pustej niczym rozpalona pustynia.

- Co się ze mną stanie, gdy tam trafię?

— Niestety nie mogę ci dać odpowiedzi na to pytanie. Bo sam jej nie znam.

— Czy będę tam bezpieczny?

— Tylko ty możesz o tym zdecydować. Ale masz w sobie wystarczająco dużo siły, by tak się stało.

— Cieszę się, że przyszedłeś na pogrzeb.

— Twój ojciec był wspaniałym człowiekiem, Nicholas. Znałem go bardzo dobrze.

— Nie wiedziałem o tym.

— Wiem.

— A więc...

— Napisałem listy polecające. Opisałem w nich twoje osiągnięcia, największe z możliwych, jakie uzyskałeś w naszej szkole. - Jego oczy, skupione na twarzy Nicholasa, były niewzruszone, biła z nich siła. Ze swego szerokiego rękawa wyjął trzy ciasno skręcone zwoje papieru, związane cienkim, czarnym sznurkiem. Podał je, a gdy Nicholas je chwycił, przez moment stanowili jedność.

- Pamiętaj - przestrzegaj Kansatsu - idziesz wzdłuż łańcucha. Bardzo cienkiego. Ogniwo po ogniwo posuwasz się do przodu. Zawsze sprawdzaj wytrzymałość kolejnego z ogniw, bo inaczej pękną ci w rękach i staniesz się bezbronny. - Po czym puścił papier. Jego ręce opadły z powagą godną ich pożegnania.

— Do zobaczenia, Nicholas.

— Do zobaczenia, mistrzu. - W jego oczach pojawiły się łzy. Kocham cię, pomyślał. To właśnie pragnął wtedy powiedzieć swemu ojcu w ogrodzie.

Nie usłyszał, by ktoś zamykał drzwi, ale wiedział, że pozostał już sam.

Co dziwne, pierwszą rzeczą, którą zauważył było to, że uschnął wiciokrzew. Ataki przestał przychodzić, a przez ostatnie tygodnie pułkownik był zbyt chory, by pomyśleć o zatrudnieniu kogoś na jego miejsce. Żywopłoty, zawsze tak uważnie przyszyryżone na zimę, miały pełno wystających gałązek. Ziemia była zamrznięta.

Czuł nieodpartą chęć, by wbiec do domu i powiedzieć Czeong, że wyjeżdża, ale był tak niepewny jej reakcji, że przez moment wyczekiwał na dworze.

Niebo nad nim było szarogranatowe z niewielką ilością wysoko unoszących się chmur, a dalej na horyzoncie pomarańczowe od światła słonecznego przedzierającego się przez mgłę. Wydało mu się, że słyszy jak jakiś boeing 707 siada na lotnisku Haneda.

Być może powinien żałować, że nie poszedł na kolację w centrum z grupą przyjaciół ze studiów. Mówił rano Czeong, że wróci tego dnia dość późno. Ale gdy już raz podjął decyzję o wyjeździe do Kioto, gdzie znajdowała się nowa szkoła walki, musiał wszystko załatwić do końca. A to oznaczało powiedzenie o wszystkim matce.

Gdy wszedł do środka, zastał spokój, który panował w domu od czasu jego powrotu z Kumamoto, tak jakby ten moment był punktem zwrotnym w życiu całej rodziny. Po dobrych czasach nadeszły złe, a on zastanawiał się nad sensem tego wszystkiego. Wspomnił opowieść o księżniczce z Roku-no-Miya i jej wierze w nieuchronność przeznaczenia. Pomyślał też o słowach ojca na temat sił, które nim sterowały, a o których istnieniu nic nie wiedział.

Przeszedł przez nie oświetlony korytarz, zastanawiając się, dlaczego nikt nie zapalił lampy.

W kuchni też nikogo nie było. Nikt nie odpowiedział na zawołania. Zrzucił więc płaszcz, przełożył go przez krzesło i poszedł w kierunku tylnych pokoi. Panujący bezruch miał w sobie coś z godności staruszka.

W końcu doszedł do pokoju rodziców. Drzwi były zasunięte, ale w środku paliło się światło i zauważył jakąś poruszającą się postać.

Zawahał się, nie chcąc przeszkadzać matce, jeżeli miała zamiar się położyć. Obiecał sobie, że jutro pójdą razem na cmentarz i uklęką przed grobem ojca, paląc kadzidło, odmawiając modlitwy po angielsku i japońsku.

Postać znów poruszyła się, więc zawołał do matki w ciemnościach. Nie słysząc żadnej odpowiedzi, ostrożnie odsunął *shoji*.

Stał nieruchomo, tylko jedną nogą przekroczywszy próg. Nie mógł złapać oddechu. Krew pulsowała mu w głowie z ogromną siłą i poczuł się jakby porażony prądem.

Z pokoju uprzątnięto wszystkie maty prócz jednej. Materace

ułożone były na stos w narożniku. Zapalony był tylko wiszący na prawej ścianie kinkiet z białym kloszem. Za oknem widział biało-błękitną warstwę śniegu, pokrywającą ogród, nie skażoną nawet jednym śladem. Kontrastowało to nienaturalnie z czarnym tłem cedrowo-sosnowego lasu. Na niebie nie było ani jednej gwiazdy.

Jedyna pozostawiona mata, ułożona była pośrodku pokoju. Odsłonięte w pozostałej części deski podłogowe wyglądały jak włókna mięśni obdartych ze skóry. Na macie, tyłem do niego, klęczała Czeong. Miała na sobie uroczyste, jasnoszare kimono z szeroką przepaską. To z wyszytymi różowymi kwiatami. Była nachylona do przodu, z głową skierowaną do ziemi, jakby się modliła. Jej kruczoczarne, idealnie uczesane włosy lśniły w świetle.

Obok niej klęczała drobna Itami, bokiem do niej, tak że Nicholas widział jej profil. Ona tak samo miała na sobie uroczyste kimono koloru ciemnognatowego z czerwonymi wykończeniami i kremową przepaską.

Całkowity bezruch obu postaci oddziaływał z taką siłą, że stanowił zaporę powstrzymującą go przed jakimkolwiek działaniem czy mówieniem.

Nagle rozległ się dźwięk, tak ostry i niespodziewany jak nagłe wyładowanie atmosferyczne.

Był to syk ostrza miecza *katana* wyciąganego z pochwy.

Prawa ręka Czeong poruszyła się z taką szybkością, że przez chwilę Nicholas stracił kontakt z rzeczywistością, widząc tylko ciemnoróżowe kwiaty kwitnącej wiśni na tle zielonego krzewu. Gdy wszystko już raz się zaczęło, nic nie mogło powstrzymać tego, co miało nastąpić.

Ujrzał platynowe ostrze w całej okazałości, lśniące od światła oślepiającym blaskiem niczym słońce, kierujące się w stronę ciała z siłą woli niezbędną do tego czynu. Wbiło się w lewą stronę brzucha.

Wydała z siebie lekki pisk, niczym przestraszony ptak, ale bez hysterii, z ciałem nadal w bezruchu. Lekko zadrżała, mrugnęła oczami, a potem gwałtownym ruchem, trzymając oburącz za rękojeść, pociągnęła ostrze w poprzek brzucha. Jej ramiona wyraźnie drgały, a płuca sapały niczym miechy. Po jej czole spływały krople potu, które spadając w dół plamiły matę.

To mi się tylko śni, pomyślał Nicholas.

Zauważył, jak matka znowu napina mięśnie i pociąga ostrzem tym razem w górę w stronę mostka. Robiła to z siłą i wolą, obcą większości mężczyzn.

Bardzo powoli, milimetr po milimetrze, z pięściami zaciśniętymi wokół rękojeści, ciało Czeong zaczęło opadać do przodu, choć nadal

była jeszcze świadoma niczym żywy posąg. W końcu jej czoło dotknęło ziemi na skraju maty.

Jakby na dany znak, Itami poruszyła się. Jej prawa ręka sięgnęła do boku. Z ostrym brzękiem dobyła swój miecz skryty do tej pory pod kimonem i uniosła wysoko nad głową. Gwałtownemu cięciu w dół towarzyszył syk, jakby złowrogie ostrze rozkoszowało się na samą myśl o tym, co za chwilę uczyni.

Głowa Czeong została odcięta od tułowia. Dopiero wtedy ciało ostatecznie straciło równowagę i przewróciło się. Krew ciekła ciemnym wąskim strumykiem, tak jakby stanowiła część skromnej dekoracji.

- Nie!

Nicholas odzyskał wreszcie władzę nad swym głosem i ciałem, spiesząc w ich stronę. Itami, która przyglądała się odciętej głowie, z jej czarnymi włosami, bladą cerą i czerwienią krwi, nawet nie zwróciła na niego uwagi.

— Jak to!?! Jak to!?! - Nie był w stanie nic innego powiedzieć. Język plątał mu się, tak że najchętniej by go wyrwał. Wpatrywał się jedynie w ciało swojej matki. I jej głowę.

— Już po wszystkim, Nicholas. - Głos Itami był delikatny, choć ledwo słyszalny. Trzymała w ręku okrwawiony miecz. - Tak nakazywał jej honor.



## **ZWÓJ PIĄTY**

*Ninja*

## LATEM, WSPÓLCZEŚNIE

Ktoś zaczął wrzeszczeć, zanim rozwalił zamek i drzwi z piorunującym hukiem wleciały do środka.

Pokój był w nieładzie.

Jakaś krępa postać przebiegła obok niego w kierunku otwartego okna.

Natychmiast zaczął myśleć co dalej, gdyż to wszystko stało się przez jego głupotę i jeżeli teraz nie doprowadzi sprawy do końca, to może to się źle skończyć. A przecież nie chciał zginąć.

Zauważył dziewczynę leżącą w rozkroku na łóżku. Jej skóra była jakby namaszczona oliwą, padające nań światło rozjaśniało jej karnację. Była Chinką.

Domyślił się wreszcie o co chodzi, gdy dobijali się do frontowych drzwi lokalu Ah Ma. Przeczucia go nie myliły. Ale ci to zajęło czasu, zganił sam siebie. *Ninja* nie nazywa się Hideoshi.

Dziewczyna nie przyglądała się Nicholasowi, ale umięśnionym nogom Philipa, które krzyżowały się z jej własnymi, jego barkom na skraju poplamionej narzuty, głowie zwisającej pod dziwnym kątem. To właśnie ona krzyczała. Była przywiązana jedwabnymi chustkami do narożników łóżka. Miała wybałuszone oczy, tak że doskonale widział ich białka. Gdyby ktoś ją posądził o szaleństwo, nie zdziwiłby się.

Leżący z głową w dół Philip przyglądał mu się matowymi oczami z wyrzutem.

Dziewczyna wrzeszczała bez przerwy, raz głośniejsze, raz ciszej niczym syrena alarmowa.

Można to zrobić inaczej - mówił do niego Nicholas. - Lepiej. - Zanurzył kluskę do połowy w ostrym brunatnym sosie, po czym włożył do ust. - Nie chciałbym, aby coś się stało któremuś z twoich ludzi.

Croaker spojrział na niego ze zdziwieniem.

- Ale z ciebie dziwak, wiesz? Przecież za to właśnie nam, glinom, płacą, za ryzykowanie życia.

Siedzieli wtedy w knajpie na Elizabeth Street, między ulicami Canal i Bayard. Było tam tłoczno i głośno.

— Tak, ale w granicach rozsądku - podkreślił Nicholas. - *Ninja 1* jest mistrzem zabijania. Nie będą potrafili sobie z nim poradzić.

— Czy ty aby nie przesadzasz?

— Ani trochę.

Croaker odłożył pałeczki i odsunął talerz. Kelner z miejsca przyszedł posprzątać.

— No dobrze. A co proponujesz?

— Sam się tym zajmę.

— Chyba zwariowałeś. - Popukał się w czoło. - Słuchaj, wyjaśnię ci coś, Nick. To jest akcja policyjna. Czy wiesz, co to oznacza? Mogą mnie dupnąć tylko za to, że bierzesz w niej udział. A ty chcesz, abym ci pozwolił samemu wymierzyć sprawiedliwość? Komendant policji powiesiłby resztki mojego ciała, które wcześniej dopadłby mój szef. Wolę o tym nawet nie myśleć. Będziesz musiał się zadowolić biernym udziałem.

— A jakbyśmy tak we dwóch...

— Nic z tego. To by oznaczało, że ty się w pojedynkę zajmiesz tylnymi drzwiami. To wykluczone.

— A zatem szykuje się większa rozróżba.

— Niekoniecznie, o ile uda nam się przyskrzynieć go u Ah Ma. Nie mamy zresztą innego wyjścia.

Najbardziej martwił Nicholasa przez te kilka ostatnich sekund, gdy wchodzili po schodach do lokalu Ah Ma fakt, że byli w gorszej sytuacji od przeciwnika. Co prawda działali z zaskoczenia, ale to właśnie ich wróg znał dokładny rozkład całego budynku i wszystkie sposoby wydostania się z niego. Nie było to zbyt pocieszające.

Gdy znaleźli się na pierwszym piętrze, złapał Croakera i powiedział:

— Zdajesz sobie sprawę, że jeżeli go nie dopadniemy w pierwszych kilku sekundach, nici z całej akcji.

— Ty tylko rób swoje - odpowiedział mu wtedy Croaker i zadzwonił do drzwi lokalu.

Przycupnąwszy w ciemnym korytarzu, Croaker trzymał w ręku rewolwer kaliber 38, a w drugim nakaz rewizji; miał kłopoty z jego załatwieniem ze względu na wpływowych znajomych. Ah Ma.

Tuż za nimi słychać było w jakimś kontakcie bzyczenie wadliwej instalacji elektrycznej. Na

dworze przejeżdżający samochód głośno zatrąbił. Usłyszeli stukot biegnących stóp. A potem ostry śmiech.

Nagle ujrzał otwierające się drzwi i Croakera odpychającego na bok wysoką, dystyngowaną Chinkę. Nakaz rewizji trzepotał w powietrzu niczym zraniony ptak.

Nicholas poczuł się, jakby to wszystko ujrzał w filmie. Morderstwa jedno po drugim, układały się w logiczny ciąg. Karteczka z zapiskami Terry'ego. Te trzy słowa: „Hideoshi, Yodogimi, Mitsunari”, teraz było to dla niego tak oczywiste. Były to zaszyfrowane imiona: Satsugai, Yukio i Saigo. Tak, człowiek, który miał chronić kochankę zmarłego shoguna, lub coś w tym stylu.

Ale ze mnie idiota - pomyślał z wściekłością, wchodząc za Croakerem do środka. Dlaczego wcześniej do tego nie doszedłem?

Jakiś Amerykanin, z przerażeniem w oczach, wstał zaskoczony zrzucając drobną Chinkę na ziemię. Uciekł poprzez jedną z bawialni, do któregoś z pokojów. Croaker był już w połowie długiego korytarza prowadzącego do tylnych pokoi. Willow, która to właśnie otworzyła im drzwi, wołała bez przerwy Ah Ma. Ale zachowywała spokój mimo nerwowej sytuacji.

Ah Ma zjawiła się w chwili, gdy Nicholas zaczął iść korytarzem śladem Croakera.

— Co to ma znaczyć? - Chwyła Nicholasa za rękę. - Jak śmiecie włamywać się do mego lokalu? Mam wielu przyjaciół, którzy...

— Japończyk - powiedział Nicholas w języku mandaryńskim. Ah Ma była zaskoczona. Biegła za nim wzdłuż długiego korytarza. - Gdzie on jest?! - krzyczał Nicholas. - Chcemy tylko jego. - Rozglądał się cały czas. Zaglądał do kolejnych pokoi przez lekko uchylone drzwi, wszędzie pustki jakby ha złość. - Czy to pani jest Ah Ma? - Usłyszał z przodu jakiś łomot. To Croaker rozwał zamknięte drzwi.

— On wszystko zniszczy! - krzyknęła Ah Ma. Przypomnieli jej się komuniści, którzy wdarli się nocą i nim zabrali jej męża, wszystko zniszczyli. Na szczęście była w Ameryce.

Nicholas zrozumiał jej zdenerwowanie.

- Ten Japończyk jest bardzo niebezpieczny, Ah Ma. Może wyrządzić wiele krzywdy twoim dziewczętom.

Te słowa od razu do niej przemówiły i przestała histeryzować, spoglądała na niego.

— Gdzie on jest?

— Tam. Weźcie go. Ruszył do przodu, krzycząc:

— Drzwi na lewo. Na lewo!

Croaker odwrócił się i strzelił w zamek wskazanych drzwi. Następnie uderzył w nie barkiem i wtedy zaczęły się wrzaski.

Nicholas zobaczył biegnącą postać i odruchowo przesłonił ręką oczy.

Błysnęło jaskrawe światło, poczuł zapach prochu.

Croaker zachwiał się, Nicholas podbiegając zauważył już tylko 1 koniec nogi i stopę, wysuwające się przez otwarte okno.

- Wielki Boże!

Odwrócił się. Croaker zakrywał oczy ręką.

— Co się stało? - Jego głos był zachrypnięty.

— Świeca dymna - powiedział Nicholas. - Miniaturowa. Usłyszeli szum na korytarzu, był coraz większy.

— Uciekł nam, Croaker. Przez tylne okno.

Posterunkowy Tony DeLong otrzymał ostatnie wskazówki od porucznika Croakera przez radiotelefon, poruszając się powoli radiowozem wzdłuż Pell Street.

- To tu - powiedział jadący z nim posterunkowy Sandy Binghampton. - Zjedź gdzieś na bok.

DeLong wyłączył światła, postawił samochód w poprzek jezdni, blokując przejazd. Miało to pomóc w dwóch sprawach. Po pierwsze ograniczyć pole manewru ściganego, jeżeli uciekałby tą drogą. A po drugie uniemożliwić osobom trzecim znalezienie się w polu ewentualnego ostrzału.

Binghampton wysiadł pierwszy, przesuwając swe potężne, murzyńskie ciało wzdłuż prawej strony stojącego w poprzek radiowozu. Przykucnął i oparłszy się jedną ręką o zderzak, odwrócił się do tyłu. DeLong siedział nadal w samochodzie rozmawiając przez radiotelefon z drugim radiowozem, ale on wolał się rozejrzeć. Najgorsze co mogło się stać, to dostanie się w rejon akcji osób postronnych, co jednak często się zdarzało. Zdjął czapkę i otarł czoło o rękaw munduru.

Spojrzał przed siebie, przyglądając się uważnie ukształtowaniu terenu, szczególnie budynkowi, w którym znajdował się ścigany.

DeLong wyłączył radiotelefon, wysiadł z samochodu i obaj ukryli się w cieniu budynków okalających ulicę. Porucznik nalegał, by tak zrobili. Nie mogło być ich widać ani słyszeć. Przyglądał się rzędowi okien trzy kondygnacje nad nimi i wspominał to zalecenie. To była nietypowa akcja, w której brało udział więcej niż zwykle radiowozów. Ale DeLong zachowywał spokój. Ufał porucznikowi. Był jego podwładnym od półtora roku i był pewien, że następnym razem gdy będą

organizowali egzamin, uda mu się awansować na sierżanta. Bardzo tego pragnął. Miał już dosyć służby mundurowej i pragnął zostać tajniakiem. W tym także mógł mu pomóc porucznik. A poza tym awans spowodowałby podwyżkę pensji, która by się niezmiernie przydała, teraz gdy jego żona spodziewała się dziecka.

Czuł pokrzepiającą obecność Binghamtona. Byli nierozłączną parą i stanowiło to jego jedyne zmartwienie związane z awansem. Nie chciał psuć tego, do czego razem doszli. Ale Sandy nie pragnął niestety awansować. Lubił patrolować ulice, być wśród ludzi. - To jest dla mnie właściwa praca - mówił często do DeLonga. - Nie chcę być jakimś gryziopiórkiem. - Po prostu każdy z nich miał inne wyobrażenie o pracy detektywa. A przecież praca porucznika Croakera wcale nie sprowadzała się do siedzenia za biurkiem, niestety nie był w stanie o tym przekonać Sandy'ego. Bo gdy ten się raz uparł, to tylko diabeł...

Binghamton szturchnął go, ale on też to zauważył. Jakiś jaskrawy błysk, po czym niespodziewanie delikatny huk.

- Chyba mają jakieś problemy - powiedział DeLong. Obaj sięgnęli po rewolwery, przykucnięci w ciemnościach, zżerani przez napięcie.

Coś się w oknie poruszyło, jakiś cień, niczym w teatrzyku dla dzieci.

- Przygotuj się. - Odezwał się Binghamton swym zachrypniętym basem. - Chyba ucieka w naszą stronę.

DeLong przytaknął i razem zaczęli się posuwać do przodu. Poruszali się jak tylko mogli najciszej, kryjąc się cały czas w cieniu budynków. Dopiero teraz DeLong zauważył, że większość latarni ulicznych jest zepsuta. Dziwne, gdyż Samorząd Chińskiej Dzielnicy na bieżąco informował służby miejskie o takich sprawach. Ale był to jeden z nowojorskich paradoksów.

Obaj zauważyli postać w tej samej chwili. DeLong dał znak swemu koledze, przebiegł na drugą stronę ulicy i tam się ukrył. Czarny funkcjonariusz cały czas wpatrywał się w oznaczony budynek. Na podstawie wieloletniego doświadczenia wiedział, co planuje DeLong.

Zaczęli się zbliżać, podchodząc do metalowych schodów przeciwpożarowych z obydwu stron. Patrząc w górę, zobaczyli jak postać wbiega po schodkach i tyle. Żadnego zeskoku w dół.

Policjanci spojrzeli na siebie porozumiewawczo, po czym ostrożnie podeszli, aż znaleźli się prawie pod samymi schodami. Z miejsca w którym się znajdowali, wyglądały one jak gąszcz jasno-ciemnych pasków. Rozświetlone okna utrudniały ujrzenie czegokolwiek, powodując powstawanie kilku cieni tego samego przedmiotu.

- Gdzie on się, u diabła, podział?

-Cholera go wie. - Binghampton wsadził rewolwer do kabury i opuścił ze zgrzytem metalową drabinę. - Ale pójdę na górę rozejrzeć się. Mógł uciec po dachu. - Wdrapał się na pierwszą kondygnację, skąd zaczynały się schody i wyjął z powrotem broń. Zwinnie i po cichu wszedł na górę. Miał jednak kłopoty z właściwą obserwacją ze względu na gąszcz żelaza.

Zatrzymał się na chwilę na wysokości drugiego piętra, gdy usłyszał radiowóz jadący na sygnale aleją Bowery. Prawdopodobnie jechał na północ, gdyż dźwięki syreny były coraz cichsze i bardziej zniekształcone. Ale co ważniejsze podążał tam w innym celu.

- Znalazłeś go?

Głos DeLonga wymieszany był z innymi dźwiękami Chinatown, odgłosami samochodów poruszających się powoli wzdłuż wąskich uliczek, rozmowami obcojęzycznymi, jakimiś śpiewami, strzelaniną. Dał znak, że nic nie znalazł i w tej samej chwili usłyszał bzyczenie. Jakieś robactwo, pomyślał. Ale ciosy, trzy po kolei, nakłuwające jego klatkę piersiową i obracające nim, nie pochodziły od tak niewinnego stworzenia.

Potknął się, wyciągnął lewą rękę, a widząc jakiś ruch strzelił, po czym chwycił się balustrady. Próbował złapać oddech. Jego rewolwer stuknął o metalową podłogę.

Odwrócił się chwiejnie i ujrzał ubraną na czarno postać, która pojawiła się niespodziewanie obok niego. Wyglądała jak widmo, od padających pasów światła i cienia, zniekształcona niczym w gabinecie luster dla jego mętniejszego wzroku. Chciało mu się wymiotować.

Zapamiętał bladą twarz z przenikliwymi czarnymi oczyma. Po chwili te oczy poruszyły się, ukazując lśniące powieki. Miał poszerzone źrenice. Trucizna, pomyślał nedorzecznie. Otworzył usta i wydobył z siebie chrząknięcie niczym zarzynana świnia. - DeLong. - Czy tamten go usłyszał? W uszach dudniło mu, jakby był na koncercie rockowym.

Postać zbliżała się do niego, rosnąc w oczach z każdym centymetrem. Chcąc ją zatrzymać wyciągnął do przodu lewą rękę, jednocześnie unosząc prawą do poziomu tak, by ustawić rewolwer w linii strzału... ale właściwie to gdzie był rewolwer? Jego rozumowanie spadło do poziomu człowieka pierwotnego.

Czuł się, jakby schodził na dno morza, ciągnięty w dół masą kilkuset kilogramów. Ale dokładał wszystkich sił, by się utrzymać na nogach. Paliło go w płucach, ogarnął go otepiający ból, który odebrał mu wszelkie czucie, pozostała mu już tylko dusza, która chwilowo była jeszcze zamknięta w swym bezużytecznym cielsku. Nagle uleciała przez czubek głowy i znalazła się, samotna, w nocnych oparach. Była tak wysoko, że mógł objąć swym okiem całe rozświetlone miasto, nad którym niczym powłoka unosiła się różowobłękitna luna. Dalej był już tylko kosmos.

Patrząc w dół poprzez chmury, ledwo dostrzegał swe niewielkie z tej odległości, chwiejące się ciało, które wyciągniętą dłonią pchnęła poruszająca się postać. Dostrzegł też bladą twarz DeLonga, patrzącego z niepokojem w górę, nerwowo wyczekującego na swoim stanowisku.

Gdy spojrział znów, jego ciało powoli przewracało się straciwszy ostatecznie równowagę. Były to szczegóły ledwo dostrzegalne z jego odległości. Wszystko było przesłonięte jakimś blaskiem i zadumał się na chwilę, czy aby nie zawędrował zbyt wysoko.

Niczym Ikar, pomyślał. I nagle wszystko stało się ciemne.

DeLong czuł, że coś się stało.

Odkoczył na bok, choć nie wiedział, co takiego zostało rzucone na dół. Aż spadło na ziemię, tuż obok niego, wydając dźwięk, który nie istnieje w naturze.

- O Boże! - powiedział na wdechu. Zaczął się niesamowicie pocić. Upadł na kolana obok zmasakrowanego ciała kolegi. - Na Boga, Sandy, co się stało?

Był w szoku. Wiedział, że musi dopaść tego, kto to zrobił, ale nie był w stanie oderwać oczu od ciała. Widział, jak krew płynie bezszelestnie strużką po asfalcie. Najpierw o ziemię uderzyła lewa strona głowy, potem bark, i tak dalej.

DeLong wstał i cofnął się dwa kroki.

Usłyszał tupnięcie, \* miękkie, jakby nóg skaczącego kota, więc skierował tam wzrok. Nagle role się odwróciły i ta ulica stała się pułapką dla niego, pospieszył więc skryć się w najbliższej bramie rozglądając się wokół. Po raz pierwszy miał żal do porucznika, że ich w to wplątał. A w ogóle, pomyślał, gdzie, do diabła, jest porucznik?

Nagle ujrzał postać poruszającą się bezszelestnie na wysokości pierwszego piętra. W innych okolicznościach pewnie zignorował by ją, zakładając, że to jakieś zwierzę. Ale nie po tym, co się stało. Uniósł rewolwer i kierując na ruchomy cel, wystrzelił. Huk był bardzo doniosły ze względu na zamkniętą przestrzeń, odbijając się echem od ścian ze wszystkich stron. Metaliczny brzęk wskazał, że pocisk odbił się rykoszetem od stalowej konstrukcji.

- Kurwa mać! - Wycelował i znów strzelił. Tym razem nie było odbicia. Czyżby trafił?



By znaleźć się na ulicy, musi jeszcze raz zejść po schodach i przejść po platformie na wysokości półpiętra, myślał DeLong; dopadnę go, gdy będzie schodził. Z trudem zachował spokój. Musiał walczyć, by nie wystrzelić w stronę postaci całego magazynka. Poczekaj, mówił sobie, poczekaj i dorwij go, gdy będzie tak blisko, że nie spuścisz.

Postać znalazła się na końcu najniższej platformy i DeLong przymierzył dokładnie, trzymając rewolwer oburącz, by wyeliminować drgania. Skierował lufę w miejsce, z którego wcześniej spadł Binghampton. Jego palec zaciskał się na spuście. Jeszcze chwila. Oddychał coraz głębiej. Jeszcze moment. Teraz. Nadchodzi. Trzy strzały, jeden po drugim.

I nic.

DeLong z niedowierzaniem uniósł broń. Gdzie się ten skurwysyn podział?

Nagle kątem oka zauważył, że coś się poruszyło na ulicy. To niemożliwe, pomyślał. Jak on mógł zeskoczyć z tej wysokości bez użycia drabiny? I bez żadnego odgłosu?

Odwrócił się, rozstawił nogi, celując w klasyczny sposób jak ich uczono w szkole policyjnej. Cisza, zupełny bezruch. Starał się sobie przypomnieć, co się stało, nim strzelił i na tej podstawie określić prawdopodobne miejsce...

Poczuł obecność postaci tak blisko, że aż się przeraził. Przyklęknął i błyskawicznie, na wycucie, wystrzelił. Ale w ostatniej chwili przed strzałem przeciwnik doskoczył do niego. W lewej ręce coś miał i DeLong zauważył, że jest to hebanowa pałka z tępym końcem, o podobnych wymiarach jak pałka policyjna. Przygotował się na cios z góry i dlatego został całkowicie zaskoczony wykonaniem pchnięcia. Oniemiał z powodu bezsensowności swojej obrony.

Koniec pałki lekko dotknął jego munduru na wysokości serca. Dopiero w tym momencie szarpnął się od ostrego bólu, który poczuł w chwili, gdy kilkunastocentymetrowe ostrze, pchane siłą stalowej sprężyny, wysunęło się z końca kija i przeszło jego ciało na wylot. Przebiło serce i płuco, tak że DeLong był już trupem, zanim zdążył się osunąć na ziemię.

Croaker szedł za Nicholasem z powrotem przez cały lokal. W drzwiach poszczególnych pokoi stały rozneglizowane dziewczyny, przypatrując się im z zaciekawieniem.

Ah Ma, której Willow przekazała nakaz rewizji, stała oniemiała razem z Penny. Willow zajęła się uspokajaniem rozhisteryzowanej

dziewczyny. Ona jest dla mnie podporą w takich sytuacjach, pomyślała załamana Ah Ma. Ja też kiedyś byłam taka. Westchnęła. Nie pójdę tam do nich, pomyślała. Kiedyś bym to zrobiła. Pobieglabym ich ratować. Ale nie dzisiaj. Czasy się zmieniły i ja też. Położyła rękę na ramieniu Penny, chciała zatrzymać ją przy sobie, a także uspokoić.

— Powinniście byli go dopaść - powiedziała do Nicholasa po mandaryńsku. - Teraz może chcieć się na nas zemścić. Może być wściekły, że nie był tu bezpieczny.

— Nie zrobi tego - zapewnił ją Nicholas. - Już zabił osobę, która go zdradziła.

Musieli niestety wyjść głównym wejściem i obejść w koło cały budynek, gdyż biorąc pod uwagę zmrok i brak łączności radiowej, byłoby ryzykowne wyskakiwać przez tylne okno. Ale i tak dochodziły do nich co jakiś czas odgłosy strzałów, choć mocno wytłumione przez drgające ściany.

Na klatce schodowej szczekał pies, a piętro niżej ktoś włączył telewizor na pełny regulator, być może by zagłuszyć ich rozróbę.

- O Boże! - powiedział Croaker zbiegając po schodach i przecierając oczy, które go jeszcze piekły. - Ale się porobiło.

Gdy znaleźli się na zewnątrz, w gorącym i wilgotnym powietrzu i biegli ulicą Doyers w kierunku ulicy Pełł, znów usłyszeli strzały.

Najpierw zauważyli radiowóz, ustawiony w poprzek jezdni. Minęli go.

Nicholas od razu zauważył oba ciała. Jedno leżało całkiem blisko, drugie kawałek dalej, przesłonięte padającymi cieniami. Stał, rozglądając się wokół.

Croaker pobiegł dalej, z bronią odbezpieczoną, ale zamarł, gdy ujrzał pierwsze ciało. Powoli zbliżył się do niego, lekko przykucnięty, po czym przyklęknął i odwrócił je twarzą do góry. Z miejsca zauważył, że to DeLong i był zaskoczony tak intensywnym krwawieniem. Starł się bezskutecznie wyczuć jakiegokolwiek oznaki życia. Jego dłoń była cała zakrwawiona.

Podniósł się i w kucki przesunął się wzdłuż asfaltu do sztywnego ciała Binghamtona. Wyprostował się i schował broń. Wrócił z powrotem, minął Nicholasa bez słowa i wsiadł do radiowozu.

Wywołał centralę, prosząc o podesłanie karawanu i dyżurnego lekarza sądowego. Potem wysłał meldunek. Nadal rozmawiał przez radiotelefon, gdy podszedł do niego Nicholas i oparł się o otwarte drzwi.

- Jego już tu dawno nie ma.

Croaker odłożył słuchawkę, położył głowę na oparciu i zamknął oczy.

— To byli moi ludzie! - westchnął. - Teraz żałuję, że cię nie posłuchałem. Nie wiem, kim jest ten facet, ale...

— Słuchaj, Lew - powiedział Nicholas - posuń się, chciałbym z tobą pogadać, zanim się tu wszyscy zjadą.

Croaker odwrócił się twarzą do niego i przesunął na sąsiednie siedzenie. Gdzieś w oddali słyhać było wycie syreny. To pewnie była karetka.

- Wiem, kim jest ten *ninja*.

Croaker przez chwilę siedział w milczeniu.

- Od jak dawna?

Nicholas wypuścił z siebie powietrze, tak jak gdyby mu ulżyło na sercu. Te dwa trupy i wszystkie poprzednie ciążyły mu na sumieniu. Był zmęczony i przygnębiony.

— Od niedawna, prawdę mówiąc. Zdałem sobie z tego sprawę, jak czailiśmy się przed wejściem do Ah Ma.

— Rozumiem.

A potem opowiedział Croakerowi o wszystkim, jakby dzięki temu mógł się poczuć rozgrzeszony, zdjąc z siebie ciężar, który od zbyt dawna dźwigał w pojedynkę.

— Czy chcesz przez to powiedzieć - zdziwił się Croaker, gdy ten skończył opowieść - że Saigo nie przyjechał tu zabić Tomkina? Tylko ciebie?

— Tak i nie - odrzekł Nicholas znużonym głosem. - On tak czy tak zabije Tomkina, o ile mu w tym nie przeszkodzimy, ale wziął to zlecenie po to, by móc również dopaść mnie. Inaczej te wszystkie dotychczasowe zabójstwa nie miałyby sensu.

— Rozumiem, oczywiście, ale z tego robi się jakaś krwawa wendeta.

— Tu chodzi o obronę honoru.

— Ale ty musiałeś wiedzieć, że on się kiedyś zjawi. - Wycie syreny było coraz głośniejsze, niczym pisk, a z okolicznych okien dobiegały rozmowy gapiów. - Nie bałeś się, że...

Nicholas lekko się uśmiechnął i pokręcił głową. Na mnie już czas, pomyślał.

— Jestem na to przygotowany. I to od dawna. - Wsiadł z samochodu. Bolały go wszystkie mięśnie, a krew pulsowała w głowie, jakby ją ktoś ścisnął. Wsunął głowę przez okno, tak by Croaker mógł go usłyszeć, gdy nadjechał radiowóz, a za nim karetka. Błyszczące na samochodach czerwono-białe „koguty” wyglądały jak oświetlenie wesołego miasteczka.

— Bo widzisz, Lew... - powiedział cedząc słowa - ja też jestem *ninja*.

-Nick, zaczekaj!

Ale on już zniknął w zbierającym się tłumie, odchodząc w rozświetloną noc.

Sam?

Tato. Nigdy w życiu nie wypowiedział tego słowa, choć właśnie teraz przyszło mu do głowy.

— Słucham?

— Sam.

— Kto, u licha...?

— Czy nadal chcesz się mną opiekować?

— Co... Nick. Nick! Czy to na pewno ty? - Głos Goldmana był pełen radości.

— To ja.

— O Boże, jak się czujesz?

— Dobrze. Co u Edny?

— U Edny? Wszystko w porządku. Koniecznie chce cię zobaczyć. Gdzie ty jesteś? -

Nastąpiła cisza. - Nick, czy z tobą wszystko w porządku?

— Szczerze mówiąc, nie.

— Chwileczkę. Co...? - Dobięły go jakieś przytłumione głosy, rozmowa ze świata, którego nie poznał. Świata, gdzie miało się dom i rodzinę, dzieci, które się kochało, splatę kredytu i wykupione dwutygodniowe wczasy w Europie na wiosnę. Co on właściwie porabiał? - Słuchaj. Czy ty dzwonisz z miasta? Bo Edna powiedziała, abjś natychmiast się tu zjawił. Jest piątek i ona zrobiła rosół z kurczaka. Z prażynkami, tak jak lubisz, pamiętasz?

— Pamiętam. - Pamiętał wszystko.

— To przyjeżdżaj. Zjemy. Pogadamy. - Na chwilę zamilkł. - Edna się bardzo ucieszy. Martwiła się o ciebie.

Oparł głowę o ścianę budki telefonicznej. Na zewnątrz przewijały się samochody, prawie w zasięgu ręki.

- No dobrze - odpowiedziała po chwili. - Przyjadę. Odwiesił słuchawkę i zatrzymał taksówkę. Małżeństwo Goldmanów mieszkało w domu na rogu Siedemdziesiątej Drugiej Ulicy i Ósmej Alei. Pojechali aleją Bowery, która płynnie przechodziła w Trzecią Aleję, aż dojechali do Czterdziestej Drugiej Ulicy, gdzie skręcili w lewo, kierując się w stronę Ósmej Alei.

Kiedy przecięli Broadway, Nicholas nachylił się do przodu i zapukał w szybę z pleksiglasu. - Rozmyśliłem się. Wsiądę tutaj. - Zapłacił i wysiadł.

Gdy jechali przesyconą reklamami ulicą, przyglądał się przez lewe okno całej masie usytuowanych tam kin z programem wywieszonym u wejścia.

Spojrzał, czy nic nie jedzie i przeszedł na południową stronę ulicy. Skierował się na zachód,

mijając po drodze kilka sklepów porno nowego typu, nawołujących wywieszką: ZAPRASZAMY MAŁŻEŃSTWA. W jednym z nich drzwi były otwarte na oścież i stał w nich Murzyn w kapeluszu z dużym rondem i obcisłych zielonych spodniach. - Mam same przeboje - szepnął w jego stronę - koks, trawkę. Wszystko pierwszy gatunek.

Dalej rozciągały się kina, jedno za drugim, po obu stronach ulicy. Większość z nich puszczała filmy porno, ale to, które wcześniej upatrzył sobie Nicholas, było inne. Grano w nim potrójny seans filmów karate. W dwóch występował Bruce Lee.

Nicholas zapłacił dolara pięćdziesiąt za bilet i wszedł do środka. Pachniało tam starzyzną i stęchlizną. Było tam lepsze oświetlenie niż w większości kin. Obok dystrybutora z wodą sodową tłoczyła się grupa murzyńskich i portorykańskich dzieci.

Wszedł na widownię i usiadł. Prawie wszystkie miejsca były zajęte. Na ekranie Bruce Lee rozmawiał dobrodusznie z dwoma japońskimi zbirami. Film był dubbingowany, więc mówił po angielsku. Na widowni panował szum, w zniecierpliwieniu oczekiwano na jakieś walki. Fabuła była im obojętna.

Nicholas rozsiadł się, przyglądając się Lee. Mimo upływu lat jego popularność nie zmalała. Jego silna osobowość emanowała z ekranu, tak że nawet najgłupsza fabuła zyskiwała na atrakcyjności.

Wspomniał ich pierwsze spotkanie. To było w Hongkongu, o ironio, po powrocie Bruce'a z Hollywood, gdzie grał trzecioplanowe role w filmach i serialach telewizyjnych i uczył słynnych gwiazdorów elementów sztuk walki na tyle, by nie zbłąznili się na ekranie.

Lee stał u progu prawdziwej sławy. Od razu się zaprzyjaźnili, ale czas i wydarzenia rozdzieliły ich i nigdy się więcej nie spotkali.

Był zaskoczony wiadomością o śmierci Bruce'a. Nie chodziło tu o pogłoski, że go ktoś zabił. Znał go wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że był na tyle bezkompromisowy, by zająć za skórę wielu wpływowym ludziom. Dziwił się tylko, że ten zamach się udał. Zawsze się zastanawiał, jak mogło do tego dojść, teraz wreszcie już zrozumiał.

Na dworze nadal panował zaduch, a w tym rejonie wielkich

neonów, barów szybkiej obsługi, narkotyków i podejrzanych interesów, był on większy niż gdzie indziej.

Stracił piętnaście minut na złapanie taksówki i połowę tego, by dojechać pod właściwy adres, gdyż ruch już malał.

Przesiedział tyle minut w tym ponurym kinie, by obejrzeć sekwencję, w której Lee mści się na jakimś przeciwniku. Tego wieczoru scena ta wydała mu się jak najbardziej wzięta z życia.

Gdy Goldman otworzył mu drzwi, był elegancki jak zwykle, ubrany w jasnoniebieską koszulę w prążki i granatowe lniane spodnie. Na widok Nicholasa uśmiechnął się ciepło i wyciągnął do niego dłoń.

- Nick. Już się martwiliśmy, czy coś się nie stało. - Odwrócił się nie ruszając się z miejsca. - Edna, to on. - Wprowadził go do środka i podał mu natychmiast szklankę rumu z lodem. - Pij. Dobrze ci to zrobi.

Edna, która była puciołowatą ciemnowłosą kobieciną, wpadła do bawialni przez wahadłowe drzwiczki z wielkiej kuchni.

- Drogi chłopcze! - Pocałowała go w oba policzki. Miała w sobie jakieś promieniujące wewnętrzne ciepło, które powodowało, że jej wygląd nie zmniejszał jej atrakcyjności. - Gdzieś ty się podziewał? Dlaczego nie przychodziłeś do nas? - W jej głosie było tyle samo troski co żalu.

Uśmiechnął się.

— Cieszę się, że tu jestem.

— Mam! - krzyknęła tak, jakby znalazła tajemniczy artefakt. - Schudłeś. Chodź. - Poprowadziła go za rękę. - Najpierw coś zjemy. Cokolwiek to jest, o czym macie z Samem porozmawiać, może poczekać, aż będziecie mieli pełne żołądki.

Jedli w kuchni, która była wykończona żółtobeżową tapetą i przeróżnymi drobiazgami w stylu Dzikiego Zachodu, przy owalnym mahoniowym stoliku, pokrytym białym wyszywanym obrusem. Na ścianie przy stole wisiała półka, pośrodku której stał tradycyjny żydowski świecznik.

Po posiłku Edna sprzątnęła naczynia, a Sam dał znać Nicholasowi i obaj wstali. Nim wyszli z kuchni, Edna pocałowała ich obu w policzki.

- Jakikolwiek by to był problem - powiedziała pełna wiary - na pewno go rozwiążesz. Mam rację, Sam? Chyba się nie mylę?

- Ty się nigdy nie mylisz. - Poprowadził Nicholasa do bawialni. Wszystko w pokoju było w barwach beżu i bladej zieleni. Edna nienawidziła intensywnych kolorów. W każdym razie taki dobór kolorów działał kojąco w tak upalny dzień niczym pobyt w lesie.

Usiedli na kanapie pokrytej beżowym aksamitem i Sam położył nogi na taborecie z tego samego kompletu. Słychać było tykanie zabytkowego zegara, usadowionego nad marmurowym kominkiem niczym w ptasim gnieździe. Nie opodał w jasnoróżowej wazie stał bukiet wysuszonych kwiatów eukaliptusa, roznoszących swój ostry zapach po całym pokoju. Na jednej ze ścian wisiał obraz Utrillo, na innej Salvadora Dali, natomiast na bladoniebieskich ścianach sypialni dzieła Picassa i Caldera, których Edna zbytnio nie lubiła. Wszystkie obrazy były oryginalne, choć właściciele nie obnosili się z tym faktem.

- Znowu mnie prześladowuje - powiedział spokojnie Nicholas. - Moja przeszłość, niczym powracający huragan.

Goldman spokojnie sięgnął do dębowego pudełka, wyjął cygaro i zapalił.

- Zgubiłem już rachubę czasu. Sam nie wiem, co z mego życia jest aktualne.

Goldman wydmuchał niebieski dym na bok.

— Nicholas, przychodzą mi na myśl mądre słowa, które Szekspir w swym wielkim dziele kazał wypowiedzieć Ofelii: „Wiemy, czym jesteśmy, ale nie wiemy, co się z nami stanie”.

— Sam, nie przyszedłem tu na lekcję literaturoznawstwa! - uniósł się.

— Nie było moim zamiarem, byś to tak odebrał. - Wyjął cygaro z ust i położył je na kryształowej popielnicy. - Posłuchaj mnie, jest rzeczą nierozsądną, by chcieć dowiedzieć się i zrozumieć wszystko co nas dotyczy. Człowiek jest tak skomplikowaną istotą, że musimy się zadowolić tym, co wiemy. Choć nieraz to nam nie wystarcza.

— Rozumiem. Ale znasz doskonale historię. Ja jestem tylko po części Żydem. Nie uczono mnie o tych sprawach za młodu. Ja nie...

— To nie ma nic wspólnego z nauką - mówił Goldman z całą powagą. - Człowiek poznaje, co to jest być Żydem, tak jak poznaje, co to jest być człowiekiem, po prostu z codziennych doświadczeń, a nie przez czytanie uczonych ksiąg. Wszystko zależy od tego, co czujesz w środku i najważniejsze jest, byś działał zgodnie z tym. Wszelkie wątpliwości i strachy, niepewność dnia dzisiejszego i jutra, wszystko to wynika z nieprzestrzegania tej zasady. Twoja dusza musi być wolna, by iść tą drogą, którą pragnie. Duch, Nicholas, jest jedyną rzeczą, którą mamy, która jest w pełni wolna. Dlatego grzechem jest ograniczać jej swobodę. Wówczas życie staje się bez sensu. Po prostu popadamy w marazm, żyjemy od dnia do dnia, niczym więźni. Czy odpowiedziałem na twoje pytanie?

w nocnej ciszy wieżowca na alei Parkowej siedział z Raphaelem Tomkinem. W tej właśnie chwili Tomkin rozmawiał przez telefon. Gdyż gdzieś na świecie zawsze są godziny pracy, a to oznacza, że interesy można robić na okrągło. Ważne decyzje związane z tą lub inną z podległych mu firm, a tym samym wpływające generalnie na jego interesy, wymagały jego osobistego zaangażowania. Na trzech kontynentach oczekiwano na ostateczne decyzje płynące zza oceanu.

Podczas gdy Tomkin rozmawiał o astronomicznych sumach, jakimś językiem zrozumiałym tylko dla finansistów, Nicholas przyglądał się niewielkiemu przedmiotowi z metalu i tworzywa, który trzymał między palcami. Obracał nim niczym kulą, choć w istocie był to tylko płaski krążek, w którym odbijało się padające światło.

Być może, pomyślał, to małe urządzenie może stać się kluczem do wszystkiego. Do przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. To wszystko mogło się zakończyć właśnie tu, jeżeli tego zechce. Jeżeli zechce.

A koniecznie chciał, by to właśnie on podejmował decyzje.

Był świadom, że do tej pory to Saigo miał całkowitą inicjatywę przez co on sam czuł się ogołcony ze wszelkich atutów i bezbronny, nie wiedząc zupełnie, jaki będzie kolejny krok.

Saigo wodził go za nos, aż dostał rozdwojenia jaźni, ku uciesze przeciwnika. To była jedna z technik opisanych w książce Musashiego. Próbował sobie przypomnieć jej nazwę. Każdy błąd wywoływał swoistą „reakcję łańcuchową” a cios następował wówczas, gdy przeciwnik całkowicie tracił orientację.

— Gdzie się podziewałeś? - spytał Tomkin odkładając słuchawkę. Wyglądał o tej godzinie już trochę nieświeżo, jego kremowy lniany garnitur miał wymięte rękawy, a szary jedwabny krawat był poprzekręcany. Skóra na jego twarzy straciła świeżość, którą utrzymywała przez większość dnia, jakby została zmuszona do kapitulacji, a nie przegranej, po bojach toczonych przez tyle godzin. Zmarszczki w kącikach oczu, teraz widoczne, dodawały mu tylko ludzkiego wymiaru. Niemniej Nicholas nadal zastanawiał się, jaki Tomkin był naprawdę.

— Byłem w Chinatown.

Tomkin zachnął się, kręcąc się w swym wysokim skórzanym fotelu. Bawił się przyciskami wbudowanej konsoli, za pomocą której czuwał nad swym imperium niczym prosty wieśniak przesuwający w rękę paciorki, aby modlitwą dopomóc swym uprawom.

- W Chinatown? I to pewnie z tym skurwysynem Croakerem. - Wpatrywał się w Nicholasa swym bezzwzględnym spojrzeniem. Jego oczy, pomyślał Nicholas, są niczym spojrzenie marynarza, który przyzwyczaił się do zmiennych nastrojów morza i pogody. Były podobne oczom kapitana-rozbitka, który straciwszy całą załogę, siłą woli dotarłby do jakiejś wyspy i jak Robinson Crusoe przetrwał tam przez lata. - Lepiej by było, jakbyś się z tym gliniarzem nie zadawał. To taka przyjacielska rada. Bo ja tylko czekam, aż ten kutas popelni jakiś błąd, a wtedy go zmiżdżę.

Nicholas wspomniał, co Croaker opowiedział mu o Geldzie i uśmiechnął się w duchu. Co by zrobił Tomkin, gdyby się dowiedział, że jego córka widuje się z Croakerem? Chybaby wykorkował.

- Ten skurwysyn wziął się na mnie, a ja nawet nie wiem dlaczego. Ubzdurał sobie, że zabiłem Angelę Didion tylko dlatego, że się z nią pieprzyłem.

Nicholas patrzył na niego, pocierając swymi zrogowaciałymi palcami urządzenie



podłuchowe, które trzymał.

Tomkin chrząknął ironicznie przez nos, co dla Nicholasa zabrzmiało jak rzenie konia.

— Do diabła, wiesz jak ona się jebała? Robiła to z faciami, których nawet nie znała. Po prostu miała z tego frajdę, robiła lizaka facetom, których poderwała na ulicy. Tak po prostu. Robiła to również z dupami. Ona była pierdolnięta. Całkowicie. Gdybym wcześniej wiedział, co ona wyprawia... no wiesz, że jest homo... to bym nigdy... do diabła, ale ona się z tym kryła. - Machnął w powietrzu ręką, aż zalśniło złotem. - Tak czy inaczej to już przeszłość, przynajmniej dla mnie. Ale ten gliniarz nie chce się odczepić, wiesz? Jest jak pies ogrodnika, sam ma problemy, to i innym nie daje spokoju.

— Robi to, co do niego należy.

— Właśnie że nie robi tego, co do niego należy! - ryknął Tomkin. - O to właśnie, kurwa, chodzi. - Walił pięścią w stół. - Morderstwo Angeli Didion jest już sprawę zamkniętą dla każdego pierdolonego policjanta w tym mieście oprócz Croakera. Co on sobie myśli? Że jest wysłańcem Boga? Oświadczam ci, że nie znajdzie na mnie żadnych dowodów. Za to ja mam jego zamiary. Ucieszyłbym się, gdyby zgnojono go na łamach prasy. - Kręcił się w fotelu tam i z powrotem, bardzo szybko, jakby chciał wyładować swą energię. - Pieprzony super detektyw. Nie uda mu się ośmieszyć mnie w gazetach.

Już ja mu dam nauczkę, i tyle. - Spojrzał na Nicholasa i zapytał: - No a co z tym *ninja*?

— Właśnie w tej sprawie przyszedłem. Do tej pory to on nadaje wszystkiemu ton. Przyszło mi do głowy, że powinniśmy zmienić tę sytuację. Może nam się to udać, o ile to my będziemy działali w sprzyjającym otoczeniu. Inaczej mówiąc musimy go wciągnąć na wyznaczone przez nas pole bitwy.

— No to w czym problem? Przygotuj je. Za to ci chyba płacę, nieprawda?

— Niestety, to nie takie proste.

— Rób tak, żeby było dobrze. Nieważne, jak to zrobisz. Chcę się tego faceta pozbyć. Raz na zawsze.

— W tym wszystkim konieczny jest pański udział.

— To chyba oczywiste. Przecież to mnie chce zabić.

— Ale mnie również.

— Co ty powiedziałaś?

— Znam tego człowieka. On ma ze mną stare porachunki. To nie ma nic wspólnego z panem.

— Rozumiem.

— Tyle że to może ułatwić wygraną.

— W jaki sposób?

— Wykorzystując jeden z tych podsłuchów. - Nicholas uniósł mały krążek, tak by Tomkin widział go wyraźniej. - Widzi pan, w tej chwili on nie działa. To podsłuch nowej generacji, jeżeli zostanie z powrotem nałożony na tę samą powierzchnię, to zadziała.

Oczy Tomkina rozbłysły, podstęp był metodą, której hołdował.

— Chcesz powiedzieć...

— Założymy go. I wykorzystamy. Jest możliwe, że ten facet pomyśli, że nastąpiło chwilowe przerwanie przekazu i...

— A jeśli coś wyczuje? To przecież zawodowiec. Słyszałem wiele o *ninja*...

— Nie sądzę - powiedział Nicholas - aby to grało rolę. On chce dorwać nas obu, a jeżeli pomyśli, że może to zrobić jednocześnie, to zaryzykuje, nawet jeśli będzie coś podejrzewał. Ja to zorganizuję. Będzie więc to dla niego wyzwanie, które musi podjąć, by nie stracić twarzy. A na to by się nie zdecydował.

— Z tego wynika, że mamy go tu zaprosić - powiedział powoli Tomkin.

— W istocie.

Błękitne oczy spoglądały na niego. Wydało mu się, jakby słyszał odgłos pracującego mózgu Tomkina, rozważającego wszystkie za

i przeciw, niczym komputer, przed podjęciem ważnej decyzji w interesach. Ale w pewien sposób ta sprawa była związana z jego interesami.

- Dobra. - Jego głos był zdecydowany.

Potem, gdy Nicholas rozkręcał podsłuch i układał go na specjalnie przygotowanym, miękkim podkładzie w jednej z szuflad Tomkina, zapytał:

— Czy możemy to zrobić pojutrze wieczór?

— Nie ma sprawy.

— Cieszę się. - Gdy Nicholas zbierał się do wyjścia, podniósł słuchawkę. - Hej - powiedział - dlaczegoś nic mi nie powiedział, że ci się nie układa z Justine?

Nicholas zamarł w duchu przeklinając Tomkina. Czyżby znów kazał śledzić Justine? Skąd by inaczej wiedział?

- Trochę cię zabolęło, co? - zaśmiał się. - Potrafisz ukryć swą reakcję, ale ja nie muszę na ciebie patrzeć, by wiedzieć.

- A co pan właściwie wie? Tomkin wrzucił ramionami.

— Tyle że wróciła do miasta zabawić się z innym facetem. Nie wiem, kim on jest, ale niedługo będę wiedział. - Spojrzał na aparat i zaczął wykręcać numer. - Co za niefart. A już miałem nadzieję, że będzie z was para. Jesteś dla niej odpowiednim facetem. Niestety obawiam się, że ona wróciła na złą drogę.

— Gdzie ona teraz jest?

— Halo. Tak...

— Tomkin... - Słowa Nicholasa wdarły się w środek zaczętej rozmowy.

— Poczekaj chwilę przy aparacie... - Tomkin zakrył dłonią mikrofon. - O co pytałeś? - Jego głos stał się przyjazny.

— Gdzie ona teraz jest?

— Na dyskotecę. Gdzieś na Czterdziestej Szóstej Ulicy. - Poszperał ręką wśród notatek. - Na pewno mam tu gdzieś zapisaną nazwę lokalu. Przynajmniej miałem... Jest. - Odczytał nazwę ze skrawka papieru i uniósł wzrok. - Znasz to miejsce?

— Rzadko chodzę na dyskoteki - powiedział Nicholas. Był spięty niczym ściśnięta sprężyna. Stojący naprzeciw Tomkin miał na twarzy wyraz zadowolenia, tak jakby był dzieckiem, które właśnie najadło się słodczy.

- Tak też myślałem. W przeciwnym przypadku już byście się dawno poznali. Ona tam bywa regularnie. Być może powinienes tam się kiedyś wybrać. - Po czym wrócił do rozmowy, dając znak, że spotkanie skończone.

Przez jakiś czas rozmawiał o sprawach bez znaczenia, drugim uchem nasłuchując odgłosu zasuwających się drzwi i cichego warkotu zjeżdżającej windy, zwożącej Nicholasa do wyjścia.

Gdy wszelkie dźwięki ucichły, wyciągnął rękę i wysunął szufladę. Bez odwracania się odłożył słuchawkę na widełki.

Przyglądał się urzędzeniu z zadumą. Na jego czole pojawił się pot, jak zawsze gdy podejmował ważne decyzje w interesach. Serce mu mocno biło, a tętno wzrosło.

Zwilżył usta i powoli, z premedytacją, wyjął podsłuch z jego łoża i przyczepił pod biurkiem.

Przekręcił się w drugą stronę, tak by mógł spojrzeć na migotającą panoramę miasta. Patrzył na zachód. W tę stronę, choć tego nie widział, rozciągał się cały kraj. Po dłuższej chwili zaczął mówić.

- Sądzę - powiedział jakby filozoficznie - że to zależy od tego, jak bardzo chcesz go dopaść. Ale zastanów się, co byś powiedział na to, jakbym ci wystawił Nicholasa Linneara. Mógłbym ci go podać na tacy jak jakąś potrawę, rozumiesz? - Odkręcił się i zaczął mówić wprost do podsłuchu, który był podwieszony niczym pająk. - Sądzę, że powinno to być dla ciebie dużo warte. Na przykład tyle co moje życie. Co ty na to?

Sięgnął ręką i ponownie zdjął podsłuch, po czym ułożył go identycznie, jak to zrobił Nicholas. Tomkin był pedantem.

Potem rozsiadł się wygodnie, kładąc ręce na karku, w oczekiwaniu aż zadzwoni telefon, czego był pewien. Schowany w kaburze pod marynarką nabity pistolet, przywierający do przepoconej koszuli, był ciężarem, a zarazem dawał poczucie bezpieczeństwa.

W takich sytuacjach najlepiej było być ostrożnym.

Ktoś do ciebie.

Telefon zadzwonił tuż po wejściu Croakera do mieszkania, ale mimo iż miała włączoną automatyczną sekretarkę, Gelda i tak go odebrała.

Weszła do bawialni, by zobaczyć, kto przyszedł i teraz oboje stali tam w panującym półmroku. Patrzyła na niego, wsłuchana w głos rozmówcy, kiedy tak stał nieruchomo oświetlony do kolan prążkami światła wpadającymi przez opuszczone żaluzje. Jego twarz była oświetlona szeroką smugą żółtego światła, dobiegającą z sypialni.

- Gelda, jesteś tam?

— Tak, Pear.

— Pomyślałem, że przez chwilę przestałaś kontaktować. Czy skubnęłaś coś?

— Dzisiaj nie.

Cierpiał na przemęczenie, którego źródłem było coś więcej niż brak snu. Czuł się tak, jakby cały ten czas, który spędzał w robocie, siedząc w komendzie, chodząc po mieście, włączając się po sądach, nagromadził się w jeden przygniatający balast, niewidoczny jak przezroczysta druga skóra.

— Po prostu pytam jako koleżanka po fachu - powiedziała Pear, odczytując milczenie Geldy jako oznakę zdenerwowania - nic więcej. Skoro tak to...

— Ale nie dziś.

— Wiem, że mówię ci o tym bez wcześniejszej zapowiedzi. Robię to tylko dlatego, bo chodzi o senatora.

Gelda wiedziała o kogo chodzi.

— Niech się zabawi z kimś innym.

— Ależ, Gelda - Pear mówiła powoli i ze spokojem - on pragnie ciebie. Jego nikt inny nie interesuje. Wiesz, jaki on jest.

Stał w padającym nań świetle, wyglądając jak jakiś pracłowiek, który przez pomyłkę przywdział ubranie zamiast przepaski ze skóry. Tylko częściowo odczuwał jej obecność.

— Nie zmienię zdania. - Myślała jedynie o nim.

— A co mam powiedzieć Dare, gdy znów przyjedzie? - Pear wyraźnie coś wyczuła z ducha jej wypowiedzi.

— Odpowiedź będzie taka sama. Kończę z tą robotą. Wypisuję się.

— Rozumiem. - W głosie Pear nie dało się wyczuć ani urazy, ani chęci robienia jej wyrzutów.

Geldzie aż zakręciło się w głowie, zupełnie jakby sama wypila całą butelkę szampana.

- Będzie nam ciebie brak, Gelda. Mnie w szczególności. - To było podobne do Pear, by w tej sytuacji nie wspominać o klientach.

— Nigdy o tobie nie zapomnę - szepnęła Gelda. Słysząc było delikatny śmiech.

— Mam nadzieję. Żegnaj, Gelda.

Gelda odłożyła słuchawkę i podeszła do Croakera.

- Co ci się stało? - Objęła go ręką i poprowadziła do sypialni. Dopiero przy tym oświetleniu ujrzała zaschniętą krew na jego rękach. - Opowiesz mi? - powiedziała ze spokojem o wiele większym niż czuła sama. - Jesteś taki smutny.

— Właśnie widziałem się z krewnymi dwóch moich ludzi. Najpierw z ciężarną żoną jednego, potem z żoną i trojgiem dzieci drugiego. - Patrzył na nią z rozpaczą. - Czy kiedykolwiek w swoim życiu musiałaś kogoś poinformować, że osoba, którą najbardziej kocha, nie żyje? - Zrobił głęboki wdech. - Bo ja tak. Ale nigdy dotąd, gdy sam tę śmierć spowodowałem. - Patrzył na zaschniętą krew, wyglądającą jak jakaś farba, w której zanurzył rękę.

— Może zacznij opowiadać od początku - powiedziała czule, chwytając oburącz jego dłonie i ciągnąc go za sobą. - Ale najpierw je umyjemy.

*I knew what I was doing I knew right from the start I knew where I was going There's a radar in my heart...*

Cały lokal był wykończony lustrami i przydymionym szkłem. Miał kilka poziomów, niczym wiszące ogrody, z przezroczystą podłogą, pod którą kolorowe światła migają w rytm piosenki Billa Nelsona.

Powietrze aż drgało od dźwięków perkusji i gitary basowej, unosząc zapachy perfum, potu i palonej trawki, podobnie jak gałązki choinki unoszą świąteczną dekorację.

*Ifelt your contact coming Your star was on my chart I heard your motors humming Got a radar in my heart...*

Gdzieś z tyłu znajdował się bar, przysłonięty lasem uniesionych rąk, kołyszących się czupryn, spoconych z bezmyślnego wysiłku twarzy. Taniec i jeszcze raz taniec, to był wymóg, niczym powrót do źródeł, niczym plemienna uczta, niczym jakaś masowa orgia, sprowadzona do punktu zubożenia.

*The posters on your walls mark every fashions  
rise and fall*

*Why try to keep past alive*

*And though I know the time is almost 1984*

*It feels like 1965...*

Czuł się jak w jakimś wymyślnym świecie. Wszystkie jego zmysły były pod ciągłym ostrzałem bodźców, które stawały się

dokuczliwe niczym chwasty w ogrodzie jego umysłu. Każdy jego krok do przodu oddalał go od świadomej percepcji. Czuł się jak bohater jakiejś baśni porzucony w dziwnej pułapce albo romantycznej noweli, uwięziony w tajemniczym zamku.

*The music in my room is always slightly out*

*of tune*

*My harmony is up on trial*

*And though I know the rhythm you'd prefer me*

*dancing to*

*VII tum my revolt into style...*

Przed barem stał pusty rząd obitych skórą stołków niczym stado kawek przyglądające się latem polu kukurydzy.

Nicholas usiadł i żeby nie wyjść na prostaka, zamówił **coś** do picia. Nie był jednak spragniony. W błyskającym świetle przyglądał się migocącym cekinom, różnokolorowym butom na okrutnie wysokich obcasach. Nadmiar makijażu wprost ociekał z twarzy kobiet, które raz po raz zaczepiały go nie przerywając tańca. Widok normalnej ludzkiej cery był brzydki w otoczeniu, w którym ręce, nogi czy piersi pomalowane były w różnobarwne cętki. Widok ten przywiódł mu na myśl katastroficzne sceny z filmu *Metropolis*.

Próbował wypatrzeć Justine, ale w tym rozgardiaszu wydawało się to skazane na niepowodzenie niczym pościg za Yukio po jej odejściu w Kumamoto. Świat zamykał przed nim swe podwoje, zaraz po tym, jak je otworzył.

Nagle to co tłumaczył mu wcześniej Sam, zaczęło do niego powoli przemawiać. Nie grało więc roli, jakie rozterki przeżywa obecnie, ważne do czego dążył, czego w życiu chciał. Jedno wiedział, to nie był już rok 1963, wszystko co się wtedy stało, było już przeszłością. To stwierdzenie to jednak za mało, by się wyzwolić z cierpienia. Musiał sobie wszystko przemyśleć, gdyż bez tego normalne życie było niemożliwe. Nękałyby go *kijin*, czyli upiory z przeszłości.

- Co porabiasz? Chodź, no chodź potańczyć.

Była ciemnooką blondynką w sukience z jasnoniebieskiej krepy, tak uszytej, by podkreślała jej duże piersi.

*I feel like a wog*

*People give me the eyes*

*But I was bom just like you, you, you...*

— Nie chce ci się - kołysała lubieżnie swą pustą głową w takt piosenki zespołu The Stranglers - trochę poszaleć? No chodź.

— Nie, nie sędzę, abym...

*I feel like a wog*

*I don 't mean you no harm*

*I just want to shine your shoes...*

— Jesteś Koziorożcem? Jestem pewna, że tak. Ponurak. Wszystkie Koziorożce to ponuraki. Ale...

— Nie przyszedłem tu, by tańczyć - powiedział, zdając sobie sprawę, jak to musi idiotycznie brzmieć w tym miejscu. - Przyszedłem tu kogoś znaleźć.

*Golfy gee*

*Golly gosh*

*Don 't cali me golliwog...*

- Możemy się znaleźć nawzajem.

*Dont cali me, don 't cali me, don 't cali me I 'll cali you if I want you...*

— Ty mnie nie rozumiesz. Ja tu chcę znaleźć pewną kobietę. Kobietę.

— No i w czym problem? - Chwyliła go za rękę, jej pokryte czerwonym lakierem paznokcie aż lśniły, mieniając się, odbitym światłem.

— Tańczymy, tańczymy, aż ją w końcu znajdziemy. Cofnął dłoń.

— Nie chcesz się zabawić?! - wołała do niego.

Wszedł na wyższy poziom, gdzie wszystko było w barwach niebiesko-zielonych, jakby w jakieś grocie pełnej wodorostów. Poczł, że jego ciało poddaje się rytmowi, a tętno bije w takt tempa muzyki, która młóciła atmosferę z beztróską wesołego żniwiarza na swoim polu.

W końcu ujrzał ją na najwyższym poziomie, częściowo przysłoniętym przez konstrukcję, na której ustawione były spiralne schody. Trwało parę minut, nim zdołał się precyzyjnie przeczisnąć przez to wąskie gardło zapchane roztańczonymi ludźmi, z których jedni starali się iść w dół, a inni w górę.

W gąszczu machających rąk i podskakujących głów zniknęła mu co jakiś czas z pola widzenia, spieszył się więc wchodząc po kilka schodków naraz. Wytłumione ściany obite były czarną skórą, niczym w domu wariatów, podłoga z przydymionego szkła zaś była wysoce ryzykownym pomysłem, który mógł się źle skończyć.

Żółto-czerwone oświetlenie po odbiciu od czarnych ścian stawało się białoszare, co strasznie pogarszało nastrój, gdyż miało się wrażenie jakby kolorowy film oglądać w biało-czarnym telewizorze, coś po prostu nie tak.

Stała tam. Była z jakimś wysokim facetem, szerokim w barach, o długich czarnych włosach



i bladożółtej cerze Portorykańczyka. Miał na sobie obcisłe czerwone spodnie i podkoszulek z przypiętym wielkim czerwono-niebiesko-złotym znaczkiem reklamującym piwo.

*Didnt I hear you  
ery this morning Didn't  
Ifeel you weep  
Teardrops flowing down  
on me Like rivers in my  
sleep...*

-Justine.

Jej głowa poruszała się we wszystkie strony, a światło padało na krwiste znamiona w jej oku. Przyglądała mu się w milczeniu, aż jej partner tak nią obrócił, że straciła na moment orientację.

— Justine.

— Ty, facet, czego chcesz? Odwal się od mojej laski, co? Jasne?

*Didn't I hear your voice this morning*

*Didn't you call my name*

*I heard you whisper softly*

*But the words were never never plain...*

— Justine. Spójrz mi w oczy. - Wyciągnął do niej dłoń.

— Facet. Chwila moment. Weź te łapy. Czy ty mnie słuchasz? Posuwaj stąd. Ona leje na ciebie.

Zauważył, że jej partner jest pod wpływem narkotyków.

- Idź do kibla się naćpać, co?

*That's a strange way to tell me you love me When your sorrow is all I can see If you just want to cry to somebody Dont cry to me...*

— Słuchaj, facet. Mam już ciebie dosyć. - Metaliczny szcęk został zagłuszony przez muzykę, ale błysk ostrza nie zostawiał wątpliwości, że to sprężynowiec.

— Justine.

— Odwal się od niej, facet. - Tamten obniżył jedno ramię, by zadać cios od dołu. - Będziesz miał nauczkę.

Wykonał szybkie pchnięcie, widać było, że wie jak się obchodzić z nożem. Bez wątpienia zdobył praktykę w bójkach ulicznych, gdzie nie obowiązywały żadne zasady. Nicholas wiedział, że taki przeciwnik potrafi być bardziej niebezpieczny od zawodowca, bo nie stosuje żadnych technik. Dwudziestocentymetrowe ostrze było w stanie rozpruć brzuch jednym cięciem.

Zablokował cios lewą ręką, wykonał obrót, po czym uderzył kantem prawej dłoni w brzuch przeciwnika. Muzyka głużyła wszelkie dźwięki, ruchy walczących nie różniły się zbyt od wydumanych figur tanecznych.

Portorykańczyk z bólu otworzył szeroko usta i odrzucił do tyłu głowę. Przez chwilę przypominał postać z obrazu „Krzyk” Muncha. Gdy chciał się poruszyć, Nicholas kopnął go w wewnętrzną stronę prawej łydki. Mężczyzna stracił równowagę i przewrócił się między dwie tańczące pary. Uniesioną wysoko ręką uderzył kogoś w twarz.

To wszystko przypominało scenę z jakiejś komedii, choć Nicholasowi nie było wcale do śmiechu.

*Here are we*

*One magical moment*

*Subject the stuff from where dreams are woven.*

Justine przesunęła swe spojrzenie z Nicholasa na leżącego Portorykańczyka, który trzymał się za obolały żołądek. Nóż leżał na wzorzystej wykładzinie niczym wiśnia pośrodku tortu, którą każdy wstydzi się wziąć.

— Justine...

— Jak mnie tu znalazłeś? Czego ode mnie chcesz?

— Justine.

— Ja już tak dalej nie mogę. Proszę cię, daj mi spokój. Czy ty nie widzisz, że ja cierpię...

*There are you Drive like a demon From station to station...*

— ...przez ciebie. Przez ciebie.

— Justine. Przyszedłem tu, by...

— I nie obchodzi mnie, co sobie o tym wszystkim pomyślisz.

— ...ci powiedzieć, że cię kocham.

Z jej oczu zaczęły płynąć łzy. Powietrze było przepełnione dźwiękami: przeżartym głosem solisty, podniecającym brzmieniem instrumentów, sugestywnym rytmem powielanym przez tłum.

— Proszę. - Miał wątpliwości czy go usłyszała.

— Kocham cię. - Ich ręce zetknęły się umożliwiając wyładowanie nagromadzonej energii i niezaspokojonego uczucia. - Justine, ja...

*It's not the side effects of cocaine I'm thinking that it must be love It's too late to be grateful  
It's too late to be late again It's too late to be hateful It's too late... It's too late...*

- ... klęczałem przed tym domem tamtej nocy i płakałem. Jeszcze nigdy nie dałem tak się ponieść uczuciom.

Leżąc na materacu obok gorącego ciała Justine, pomyślał: Jesteś w błędzie, Croaker, ja też potrafię odczuwać, tak jak teraz.

— Nie wstydź się tego.

— Nie wstydzę się. - Pograżył tym samym pierwsze ze znamion minionych lat. - Inaczej bym ci o tym nie powiedział.

— Cieszy mnie to. - Dłonią objęła go za biodro, jakby szukając tam jakiegoś zamknięcia. - Że istnieje coś, za co możesz być wdzięczny. - Jej obciążone rajstopami nogi, pocierając o siebie wydawały dźwięk niczym cykady. - Tak jak ja jestem wdzięczna tobie.

— Dla mnie jest to zupełnie nowe odczucie - powiedział Nicholas. - Potraktowałem cię tak nieludzko. Ale zrobiłem to w ramach samoocale-nia. Odezwał się we mnie instynkt obronny i czując jak bliska byłaś zawładnięcia mą duszą, przypomniałem sobie...

Jej długie włosy oplatały mu ramiona.

— Co?

— Morze, które widziałem dawno temu, mgłę i prom płynący gdzieś w Japonii. - Usta miał lekko rozchylone, nawet wtedy gdy milczał, zupełnie jak człowiek we śnie. - I dziewczynę, którą kiedyś kochałem i o której myślałem, że nadal ją kocham.

— Co się z nią stało?

-Nie wiem. Mogłaby być wszędzie, naprawdę wszędzie. - Wyczuwała, jak w miarę oddychania jego piersi i brzuch unoszą się z regularnością zegarka. - Powiedziała mi kiedyś, że mnie kocha, a ja jej uwierzyłem, gdyż nigdy w swoim życiu nie spotkałem kogoś tak wyrafinowanego w oszukiwaniu.

Uśmiechnęła się, ledwo widoczna w mroku.

— Gdybyś był kobietą, spotkałbyś wielu takich mężczyzn.

— Nieraz myślę, że seks został stworzony dla zwierząt.

Przez chwilę panowała cisza, przerywana jedynie nieregularnymi dźwiękami przejeżdżających samochodów. Justine była bardzo zdziwiona jego tonem, gdyż nigdy dotąd nie słyszała takiej goryczy i była ciekawa, co też takiego zdarzyło się między nim a tą dziewczyną, tak dawno temu.

- Jestem zazdrosna - powiedziała. Była świadoma, że mówiąc to nie może być pewna jego reakcji. - Jestem zazdrosna o to, że byłeś gotów się dla niej poświęcić. - Leżał obok w milczeniu. - Pewno mówisz sobie teraz, nigdy więcej. Prawda? Nicholas? - Stykali się bokiem ciała i włosami. - Kto teraz cierpi?

Gdy przemówił, jego głos był spięty. Co go jeszcze męczyło?

— Dzięki niej... czułem...

— Co czułeś?

— Czułem, po prostu czułem.

— Co w tym strasznego?

— To, że mnie opuściła. Odeszła z... - I opowiedział jej to, czego jeszcze nigdy nikomu nie powiedział, pogrążony we wstydzie.

Justine przyłożyła swe gorące usta do jego ucha i szepnęła:

- Rozbierz mnie, Nicholas.

Wyciągnął rękę. Zamek rozsunał się wydając dźwięk, który przywiódł mu na myśl pękające drwa, spadające z rusztu zamieniając się w popiół.

Czubki jej piersi lśniły niczym grzywy fal morskich o świcie. Tu też były zagłębienia, które trzeba było wyrównać. Ale napięcie, które poczuł w tym momencie obejmowało nie tylko okolice bioder, lecz całe ciało, jakby przemyła go fala pożądania, docierając nawet do jego umysłu.

— Tak mi ciebie brakowało. - Tym razem nie było mowy o Yukio.

— Tak - szepnęła. - Teraz wiem, co mnie gnębiło. Po prostu bez ciebie czułam się stara i nikomu niepotrzebna. - Zdjęła biustonosz.

— Chcę się nacieszyć tym widokiem, nie kochajmy się od razu.

Jej oczy z tej odległości jakby migotały, czerwony sygnał w jednym z nich był niczym latarnia wskazująca drogę do domu.

— Powiedz to jeszcze raz.

— Justine, wiesz, że same słowa nic nie znaczą.

— To co w takim razie ma znaczenie? Objął ją.

— Ja obejmę ciebie - szepnął - a ty obejmij mnie. Jej palce głaskały jego skórę.

JYlistrz *kenjutsu*, Fukashigi, obudził się, błędząc myślami gdzieś daleko.

O tak wczesnej godzinie krajobraz był jeszcze zamglony, co nadawało mu podobieństwo do nie ukończonego pejzażu.

Nie była to jednak kontynuacja snu. Fukashigi nigdy nie budził się w połowie snu.

Coś jednak nim wstrząsnęło. Jego umysł był podniecony. Natychmiast przyszedł mu na myśl Nicholas.

Nadeszła więc ta chwila. I mimo swojego doświadczenia Fukashigi poczuł strach przed nieznanym.

Wielokrotnie wcześniej rozmyślał, kiedy to się stanie, a po pewnym czasie zaczął nawet niemądrze sądzić, że w jego przypadku ten dzień nigdy nie nadejdzie.

A jednak to się stało, choć po tak długim oczekiwaniu.

Czas, o czym dobrze wiedział, nie grał tu żadnej roli.

Mimo tak wielkiej odległości czuł, że ciągnie go tam z powrotem niczym lina holownicza ciągnąca statek.

Długie lata spędzone w Chinach i Japonii były tylko zamglonym wspomnieniem jak widok z jego okna. Ale wiedział, że zachowanie ludzkiego mózgu było nieprzewidywalne i zastanawiał się, co w istocie było dla niego rzeczywistością, a co tylko sennym złudzeniem. Pod pewnym względem Ameryka nigdy nie mogła stać mu się tak bliska jak Azja, ze swoim specyficznym nastrojem tradycji i tajemniczości.

Wspominał czasy, gdy mógł sobie pozwolić na to, by zajmować się tym, czym chciał i na ile chciał. A radość z wykonanego zadania była dla niego w obecnych warunkach nieosiągalna.

Oczywiście były takie momenty w jego życiu, że miał powody, by żałować, że postąpił tak a nie inaczej. Jakkolwiek było, wybrał wyjątkowo niełatwą drogę życia, pełną prawdziwych i wydumanych zagrożeń na każdym kroku.

To w Ameryce niemal wszystkich prześladowała zazdrość niczym

nieustająca gorączka, która nie mogła być nigdy w pełni uleczona. Ich niechęć do obcych była ogromna. W szczególności do tych, którzy starali się złagodzić powody ich niepokoju.

I którym to się udało.

Fukashigi usiadł na łóżku, słysząc jak mu strzela w kościach. Czary, pomyślał. Co za nadużywane słowo. W sposób tak typowy dla ludzi z Zachodu. Aż się zaśmiał. Potem znów pomyślał o Nicholasie. Nie zazdrościł mu, ale też nie znał w ogóle takiego uczucia. A może kiedyś... Nieważne, pomyślał i wzruszył ramionami.

Kto wie, jak to się jeszcze wszystko potoczy, pomyślał.

Znów wstąpiło w niego życie.

Wydawało mu się, że wzrokiem sięga dna. Było ono pełne wzniesień i przezroczystych ryb, które wiły się nieodmiennie między skałami, piaskiem i mulistym osadem.

Legenda mówiła, że ten odcinek cieśniny Shimonoseki, zwany Dan-no-ura, od ponad siedmiuset lat nawiedzany był przez duchy. Podczas wielkiej bitwy morskiej zginął tu nieletni cesarz Antoku oraz niemal wszyscy wojownicy bitnego rodu Taira, pokonani przez armię Minamotoów.

Często można było usłyszeć opowieści o tym, że widywano kraby Heike, które miały na swych pancerzach ludzkie oblicza i nosiły w sobie dusze dawno poległych samurajów.

Zgodnie z legendą, wojownicy po dziś dzień nie mogą zaznać spokoju, nic zatem dziwnego, że w mgliste noce rybacy zaklinają się, że widzą na wzburzonym morzu jakieś płomienie i odmawiają wtedy wypłynięcia na wodę, nawet gdy wiedzą o ogromnych ławicach ryb. Boją się, że kraby Heike zaatakują przepływające łodzie, ściągając ich załogi na dno.

W celu ubłagania zagubionych, niespokojnych dusz wybudowano buddyjską świątynię Amidaji.

Jednak teraz, pomyślał Saigo, w tym miejscu straszy jeszcze silniej niż dawniej, gdyż również część jego własnej duszy spoczęła tam pokonana i martwa, w towarzystwie smutnych dusz, które nie mogą znaleźć dla siebie miejsca. Nie zaznają one nigdy dostojnego pogrzebu i nie znajdują godnego miejsca spoczynku.

Widział dokładnie spoczywającą na dnie twarz, jakby jej widoku nie były w stanie zmącić falujące wody, twarz, która nabrała odpowiedniego wyrazu dopiero po śmierci. Typowa bohaterka opowiadań, pobożna córka, wierna żona, pełna poświęcenia, pokutująca za swe doczesne grzechy.



To dobrze, pomyślał. Tak powinno być, tak było sprawiedliwie. Taki był wyrok historii.

Czy mógł postąpić inaczej?

Czuł szczypanie w oczach, które mogło zakłócić ich śmiertelny spokój łzami goryczy, dlatego też natychmiast zaczął recytować strofy Hannya-Shin-kyo:

*Samo ciało nie ma wartości*

*jest niczym pustka...*

*Jeżeli coś nie ma wartości*

*to tak jakby tego nie było...*

*Odczucia, nazwanie, zrozumienie i wiedza,*

*też jeszcze nic nie znaczą...*

*Nie ma oczu, uszu, nosa, języka,*

*ciała i rozumu...*

Ciemność oznacza grzech, ciemność oznacza śmierć. Grzech oznacza brak duszy, a zabijanie istot nie mających duszy może być określone jako akt miłosierdzia.

Ale jak mogło dojść do miłości, tam gdzie istniał grzech. To pytanie prześladowało go od lat, bardziej niż cokolwiek innego wpływając na jego sposób życia. Gdy po raz kolejny stawiał sobie ten nierozwiązywalny problem, zadawał sobie pięściami razy w czoło i policzki, starając się przełamać w sobie to nienormalne pragnienie. Wspomnienie o niej było w nim równie silnie zakorzenione jak znajomość własnego nazwiska i to właśnie ten straszny stan doprowadził go do zażywania narkotyków. Zresztą uważał, że pomogły mu one i w innych sprawach.

Było dla niego jasne, że to wszystko stało się za sprawą Nicholasa Linneara. Gdyby nie on, to nigdy by... to oni nigdy... nie doszłoby...

Gdy tak się karciał, mimo zamkniętych powiek nadal czuł w oczach blask, który i tak nie był w stanie przesłonić mu widoku przezroczystych ryb w cieśninie. Och, Amida! Jak tamtej nocy silnie dął wiatr, unosząc śnieg niczym azurową zasłonę, znikającą pośród bezkresu fal, z ciemnymi chmurami przesłaniającymi wszelką widoczność na Kyushu i Honshu. Był w swojej łodzi zupełnie sam. Czy wiatr dodawał sił wzburzonemu morzu? Czy kraby-zjawy wiedziały, że dołącza do nich kolejny niepokorny grzesznik? Niepokorny jak one, błędzące w najbardziej ponure noce, nieukojone dusze.

Tak jak głosiła legenda, ujrzał tajemnicze światła na wodzie i zaczął odmawiać modlitwy, wszystkie, które umiał; powtarzał je póki

nie dotarł do nabrzeża Shimonoseki i stanął na twardym lądzie, przerażony i spocony mimo panującego chłodu i przejmującego północnego wiatru.

Do dzisiaj słyszał, jak on wieje, niczym zawroźnienie duchów przywołujących go do siebie, by dokończył spustoszenia, które ktoś inny rozpoczął, krążących nad nim jak czarne ptaki nad umierającym ciałem.

Aż w końcu, z trudem łapiąc oddech po tych wszystkich wspomnieniach, mokry od potu, tak jakby przed chwilą wyszedł z wanny, zapadł w ciężki sen, pełen złowrogich zjaw i ich zwielokrotnień.

Nicholas też śnił: o najodleglejszym brzegu. Wyrastał z niego most z kamienia i drewna, niczym ten w Nihonbashi. I gdy zaczął nim iść, zauważył, że po bokach widzi tylko mgłę. Odwrócił się więc, stwierdził wówczas z zaskoczeniem i niemałym przerażeniem, że mgła przesłoniła również początek mostu, tak że nie widział już ani skąd wyruszył, ani dokąd zmierza, jakby mgła dostała się również do jego umysłu.

Gdy stał pośrodku mostu, wydało mu się, że słyszy jakiś głos, przesłonięty i przytłumiony przez mgłę, ale kiedy przesuwiał się dalej, był pewien, że jest to płacz kobiety.

Z czasem z oparów zaczął się wyłaniać jakiś ciemniejszy kształt, który w miarę przybliżania przybrał postać dziewczyny. Była wysoka i szczupła i miała na sobie przylegającą sukienkę z białego jedwabiu. Ociekała całą wodą, tak jakby przed chwilą wyszła z morza, nad którym rozciągał się ten most.

Stała oparta o zroszoną balustradę, jej łzawiące oczy przykryte dłońmi wyglądały tak żałośnie, że Nicholas poczuł, iż musi się do niej zbliżyć.

Gdy był prawie przy niej, usłyszał jak mówi: „Zjawiłeś się. Nareszcie! A ja już straciłam nadzieję!”

„Proszę mi wybaczyć”. Jego głos grzmiał w płucach niczym echo w nawie katedry. „Ale ja pani nie znam, choć jak rozumiem, pani mnie zna. Być może pomyliła mnie pani z kimś innym?”

Kiedy wypowiadał te słowa, poruszał głową na wszystkie strony, by się jej lepiej przyjrzeć, gdyż nie był pewien, czy ją zna czy też nie. Jednak rozwiązanie tego dylematu przekraczało jego możliwości, gdyż cała jej twarz oprócz wąskiego obszaru między jej długimi czarnymi włosami, rozwianymi na wietrze, pełnymi muszelek i mięczaków a jej

długimi palcami spoczywającymi na oczodołach była dla niego niewidoczna.

„Nie zaszła tu żadna pomyłka. Jesteś tym, na którego od dawna czekam”.

„Z jakiego to powodu tak cierpisz? Cóż takiego straszego ci się przytrafiło?”

„Zostałam w sposób podstępny zabita i dopóki nie zostanę pomszczona, moja dusza nie zazna spokoju”.

„Nie wiem, w czym mógłbym ci pomóc. Ale gdybyś odsłoniła przede mną swe oblicze...”

„To w niczym ci nie pomoże” - powiedziała tak żalnym głosem, że czuł, jak mu serce mięknie.

„A zatem jest tak, jak myślałem. Nie znamy się”.

Nie odpowiedziała.

„Odsłoń zatem twarz - poprosił - inaczej nie będę w stanie ci pomóc.”

Powoli, tak jakby miała wątpliwości, zsunęła swe dłonie. I wtedy stracił oddech.

Tam gdzie na twarzy powinny być oczy, nos, usta i wszystkie inne szczegóły, rozciągała się tylko gładka niczym skorupa jajka skóra.

- Na Boga, Nicholas, co ci jest?

Jego płuca pracowały, jakby przed chwilą ukończył bieg maratoński, a twarz pokryta była potem.

Ujrzał nad sobą zmartwioną twarz Justine, z długimi włosami opadającymi po obu stronach, niczym naelektryzowana zasłona, delikatne połączenie.

— O co chodzi?

— Skąd mam wiedzieć. Krzyczałeś we śnie.

— A co takiego?

— Nie wiem, kochanie. Nic zrozumiałego, przynajmniej nic po angielsku. Wydaje mi się, że to było coś takiego... - jej brwi zmarszczyły się w zadumie - minamara no... i tak dalej.

— *Migawari ni tatsu?*

— O to, to.

— Jesteś pewna? Całkowicie?

— Tak. Najzupełniej. Wypowiedziałeś to wielokrotnie. Co to znaczy?

— No więc dosłownie to znaczy: zastąpić kogoś.

— Nic z tego nie rozumiem.

— W tradycji japońskiej istnieje przekonanie, że jedna osoba może poświęcić swe życie, by śmierć ominęła inną osobę. Zresztą nie musi to być człowiek. Zastąpić może drzewo czy jakikolwiek inny żywy organizm.

— A co ci się śniło?

— Nie jestem całkiem pewien.

— Nicholas - powiedziała z typowym dla siebie wyczuciem - czy ktoś poświęcił się dla ciebie? Mam na myśli sen?

Spojrzał na nią, dotknął dłonią jej policzka, ale wydało mu się, że to nie ją głaszcze ani też nie jej głos dobiega do jego umysłu.

Wydało mu się, że znów stoi w tym pokoju rozgorzałym od precyzyjnie zadanej śmierci, palcami stóp dotykając krawędzi wspaniałego kimona swej matki, a nie opodal lśni blaskiem rubinu ściekająca krew. Usłyszał słowa Itami: „Musimy stąd wyjechać, Nicholas. Dla takich jak my nie ma tu miejsca”.

„A gdzie się udamy”. Jego głos był ponury.

„Do Chin”.

Jego oczy spojrzały na jej blade oblicze. „Ale tam rządzą komuniści”.

Pokręciła głową. „Nie szkodzi. Mieszkają tam ludzie, którzy żyli tam na długo przed tym, nim nastąpiła władza komunistów. Tacy jak twój dziadek So-Peng”.

„I pozostawisz Saigo samego?”

Jej oczy były pogodne. „Nicholas, czy kiedykolwiek zastanawiałeś się, dlaczego urodziłam tylko jedno dziecko? Nie sądzę, niby dlaczego miałbyś sobie zaprzętać głowę takimi sprawami?” Na jej ustach pojawił się ponury uśmiech, którego aż się przeraził. „Mogę ci tylko tyle powiedzieć, że po prostu nie chciałam drugiego, choć Satsugai myślał, że to z innego powodu. Tak, tak, okłamałam go. Z własnej nieprzymuszonej woli. Czy to cię dziwi? No”. Zakolysała się niczym młode drzewko na wietrze, przechylając się na bok. „Nie chciałam mieć drugiego takiego dziecka”. Jej ciemne oczy były przymrużone. „Czy ty zrozumiałeś, co chciałam powiedzieć? Ufam, że tak jest w istocie”.

Spojrzała na trzymany w dłoni miecz *katana*, opierający się o ziemię swym okrwawionym końcem. „Czy ty mnie nienawidzisz? To mnie zresztą nie dziwi... Ale nie, widzę, że tak nie jest. To mnie pociesza, nawet nie wiesz jak bardzo.

Kocham cię, Nicholas. Gdybyś był moim rodzonym synem, nie mogłabym cię kochać bardziej, choć podejrzewam, że gdzieś tam w głębi swojej duszy wiedziałeś o tym od dawna”. Jej głowa uniosła się gwałtownie, jakby sobie o czymś przypominała. „Czas ucieka bezpowrotnie niczym piasek między palcami. Jest to niewiele, a tyle jeszcze do zrobienia”.

Staął przy niej, była blada i przemęczona. Zadrżał, choć nie dosięgnął go żaden chłodny powiew.

„Powiedz mi - spytał - dlaczego honor wymaga takiego poświęcenia?”

„Jeżeli jakkolwiek czyn na świecie można uznać za honorowy - powiedziała Itami - to właśnie ten, który się wydarzył w tym pokoju. Takich czynów jest jednak niewiele, niestety. Bardzo niewiele”.

„Musisz mi to wszystko wytłumaczyć. Musisz”. Jego głos był niczym błagalny płacz i był pewien, że w jej oczach pojawiły się łzy niczym delikatne perły.

„Posłuchaj mnie, Nicholas. To wszystko nie jest takie proste. Chcesz, abym ci wytłumaczyła istotę Japonii. Łatwiej by mi przyszło rozpruć brzuch”. Zamknęła oczy, jak gdyby chciała przepędzić jakąś myśl. Szepnęła. „Spytaj o coś innego, byle nie o to”.

„Co się stanie z tobą, ciociu?”

Jej oczy rozwarły się, a na twarzy pojawił się uśmiech.

„Gdy znajdę się w Chinach, pojadę do miejsca, które w swoich ostatnich słowach wskazała mi Czeong. Ale nie pozostanę tam na długo”. Jej dłoń zacisnęła się na rękojeści miecza, z jego czubka na drewnianą podłogę spadła kolejna kropla krwi.

Muszę spotkać się z Fukashigi, pomyślał Nicholas wróciwszy do rzeczywistości i przypatrując się okrytej mrokiem Justine, czas, by odnowić starą przysięgę. A ona musi stąd zniknąć, udać się gdzieś, gdzie nie będzie zagrożona. Teraz pozostało mu już tylko *Akai ninjutsu*, gdyż rozbudzone zostały siły *Kan-aku na ninjutsu*, gotowe, by z nim się zmierzyć. Były odwiecznym, bezlitosnym przeciwnikiem, którego spotykał w teraźniejszości. Wiedział, że pojedynek wymagać będzie od niego całego nabytego kunsztu i sztuki, by móc wyjść z niego zwycięsko.

Gdy Saigo się obudził, przez chwilę pomyślał, że jest już w świecie zmarłych. Nie bał się śmierci, było to jednak spowodowane brakiem przywiązania do życia. Dar życia był czymś tak paskudnym, że nie rozpaczał nad możliwością jego utraty.

Potem jednak przypomniał sobie, że nie zdążył jeszcze zabić Nicholasa i wyczuł, że obudził się po raz kolejny w świecie żywych.

O chęci zemsty można by wiele opowiadać. Dla niego była ona wszystkim. Pomyślał o sumach pieniędzy nagromadzonych na jego ogromnych kontach bankowych, o licznych nieruchomościach, o czterech szybko rozwijających się koncernach elektrycznych. Jaką to wszystko miało dla niego wartość? Niewielką w porównaniu z najmniejszym ostrzem wykonanym przez dobrego płatnerza.

Pieniądze były tylko prostym sposobem na posiadanie władzy, a władza była potrzebna, by być swobodnym. Człowiek, który w erze atomu był swobodny, mógł osiągnąć wszystko.

Teraz Saigo pozostało w życiu już tylko jedno pragnienie - by wytropić ofiarę i ją zgładzić. Dziś wieczór, pomyślał, leżąc nago na swym łożu. Szarówka przebijała się przez żaluzje, przesuając się po suficie niczym wędrujący mnich w podartym i przybrudzonym chałacie z wystrzępionymi krawędziami unoszonymi na wietrze.

Był zadziwiony słabością ducha Amerykanów. Tacy tchórze z pewnością nie mogli posiadać wewnętrznej siły. Nie mógł pojąć, jak to się stało, że wygrali wojnę. Wiedział, że poczuje rozkosz na widok Raphaela Tomkina ginącego od cięcia jego miecza. Idiota myślał, że może się z nim dogadać. Na tym etapie, gdy podjął się wykonania zadania było to już niemożliwe.

Nie, zginie on tego wieczoru, a później zginie Nicholas.

Być może nawet zremisują pojedynki i obaj zginą. Nie był zmartwiony taką ewentualnością. Wręcz przeciwnie, być może miał nawet nadzieję, że tak się stanie, wiedząc, iż ważne było nie tylko kiedy, ale przede wszystkim w jaki sposób człowiek umierał. Historia odnotowała ten szczegół - pamięć o człowieku wynika zarówno ze sposobu życia, jak i sposobu śmierci.

Dla Saigo, jak dla wszystkich wojowników od najdawniejszych czasów, były tylko dwa honorowe sposoby zejścia z tego świata: przez śmierć na polu walki, bądź przez samobójstwo dokonane w spokoju i zgodnie z rytuałem. Wszelkie inne sposoby oznaczały straszne, wręcz nie do wytrzymania upokorzenie, pozostające na wieczność, zakłócające kolejne wcielenia lub co gorsza, zabierane ze sobą do krainy zmarłych.

Te rozważania nad śmiercią podnieciły go i przez chwilę żałował, że nie ma przy sobie tego małego Chińczyka, którego zabił. Był w sam raz. Ale nie miał innego wyjścia, tak jak wtedy.

Tej nocy był przepelniony nienawiścią, zgubną siłą, która prawie zwyciężyła nad jego długo ćwiczoną siłą woli. Jest to przykład tego, jak silne potrafią być uczucia, tłumaczył sobie siedząc na swoim wąskim łożu i przeklinając dzień, w którym poznał Yukio. Och, Amida! - zawołał w duchu.

Pomimo panującego na zewnątrz mroku, widział olśniewającą jasność. W nocy rozmyślał, czyby nie dorwać ich tego wieczoru. Zrobić to jak najszybciej, mieć ich razem, Nicholasa i Tomkina. Ale śniąc o świecie zmarłych, jego umysł wszystko rozważał i teraz czuł, że może mieć z tego coś więcej niż tylko satysfakcję z zgładzenia dwóch ofiar. Myślami wrócił do wydarzeń w cieśninie Shimonoseki, i zadrżał. W jego umyśle rozlegały się jakieś głosy, głośniejsze gdy I wdychał powietrze, przytłumione, gdy wydychał.

Wstrzymał więc oddech i zamknął oczy, a odczucie przeminęło.

Tak, tak, pomyślał, wstając i idąc się wykapać; w czasie treningów i nauczył się, że są rzeczy o wiele gorsze dla przeciwnika niż prosta śmierć.

Wiedział, że świat jest jednym wielkim toczącym się kołem, z którym i człowiek jest powiązany swym przeznaczeniem. Świat ten dzieli się na I wiele mniejszych światów, w których

obraca się każdy człowiek. Powoli zaczął się uspokajać, do wieczora będzie już na wszystko gotów. Gdyby przypadkiem miała do jego drzwi zapukać, śmierć powita ją z otwartymi ramionami.

Dzień był pogodny, niebo bezchmurne i bezwietrzne, z kilkoma I chmurkami gdzieś daleko na zachodzie. Jest stanowczo zbyt ładnie, by! siedzieć w domu, pomyślała Justine i położyła torbę na łóżku.

Wyszła wyprowadzić samochód zaparkowany z boku domku. Roztaczający się stąd widok plaży przy Dune Road był zachęcający.

Pojechała autostradą na wschód, nie mając jednak sprecyzowanego punktu docelowego, ale widząc zjazd do miasteczka Watermill przypomniała sobie o plaży w tej okolicy, zwanej Flying Point.

Nie zdziwiła się, gdy w którymś momencie straciła orientację, ale w tym rejonie nie było aż tak wiele dróg i po pewnym czasie odnalazła plażę, której szukała. Wysiadła, zamknęła drzwi i poszła w stronę wody.

Miała w sobie zbyt wiele energii, by się położyć na piasku, poszła więc na spacer. Plaża była szeroka i wyjątkowo czysta, z bardzo jasnym piaskiem.

Była pora przyływu, fale unosiły się wysoko w przezroczyste zielone grzywy ukoronowane białą pianą, nim opadły w stronę brzegu wylewając się na piasek srebrzystą powłoką.

O tak wczesnej godzinie nie było zbyt wielu ludzi, choć w tych okolicach spotykało się ich i tak zawsze mniej niż na zatłoczonych plażach położonych bliżej Nowego Jorku.

Było tu cicho i spokojnie. Słyszała jedynie odgłosy morza i pisk mew unoszących się w promieniach słońca.

Plaża zmieniała się, w miarę jak się wzdłuż niej posuwała, ale w sposób tak płynny, że przez dłuższy czas w ogóle na to nie zwróciła uwagi; dopiero teraz to wszystko zaczęło jej coś przypominać. Na

przykład wiedziała, że za zakrętem plaża ulegnie zwężeniu i kiedy tam doszła, tak było w istocie. Ponieważ takie sytuacje zdarzały się prawie co chwila, zaczęła się zastanawiać, gdzie się znalazła.

Gdy spoglądała na rezydencje, które miały bezpośredni dostęp do morza, zdała sobie sprawę, że rozpoznaje jedną z nich. Poczula mdłości, tak jakby spadała w urwanej windzie, wstrząśnięta swoją głupotą. Flying Point położone było niedaleko Southampton, a tym samym Gin Lane.

Oto stał przed nią w całej swej ponurej okazałości rodzinny dom.

Gdy tak się gapiła, zauważyła, jak otwierają się drewniane drzwiczki i wychodząca przez nie postać schodzi po drewnianych stopniach na wydmy.

O Boże, pomyślała. Przecież to Gelda!

W pierwszej chwili chciała uciec, ale powstrzymała ją ciekawość. Co ona, do diabła, tu robi?

W tym momencie stojąca na piasku Gelda zamarła i zdjęła okulary słoneczne.

Zauważyła mnie, pomyślała Justine w panice. Nie mogę w takiej sytuacji stąd odejść.

- Gelda podeszła do Justine. Stały naprzeciw siebie na pustej plaży, w takiej odległości, jakby miały się pojedynkować na pistolety.

— Justine!

— Tak.

— Co za spotkanie. - Jej oczy straciły blask, jakby przesłoniła je opadająca między nimi brama. Rozmawiały ze sobą w sposób wymuszony jak obcy, którzy przypadkiem zetknęli się na przyjęciu, na które przybyli jedynie z obowiązku.

— Czy jesteś tu... z kimś?

Wiatr przewiewał obok nich, unosząc ich włosy niczym proporce na polu bitwy.

— Nie, oczekuję kogoś.

— To tak jak ja.

— No więc.

— Słucham. - Nie mogła wprost uwierzyć, jak bardzo Gelda się zmieniła. Była teraz znacznie piękniejsza i poruszała się z taką gracją. A ponadto cechowała ją taka pewność siebie, która... no cóż, miała w sobie tyle pewności, że starczyłoby na dwoje. To właśnie Gelda miała powodzenie u chłopaków, to ją zapraszano na wszystkie prywatki i na zawody sportowe. To Gelda jeździła wspaniale na łyżwach, w sposób który nie zdradzał jej wagi, tak że wszyscy jej adoratorzy stawali przy bandzie gapiąc się na nią z podziwem.



Justine była zawsze zbyt młoda, by jej zezwolono na to czy tamto, zbyt drobna, by chłopcy się za nią oglądali, zbyt niezdarna, by uprawiać jakiś sport. Zajęła się więc rysowaniem, co jeszcze bardziej ją oddaliło od innych. Zazdrość zżerała ją niczym wygłodniały ludożerca.

- Czy ojciec tu jest? Gelda pokręciła głową.

— Nie, jest w biurze. - Przez chwilę zawahała się, czy ma mówić dalej, prowadząc o to wewnętrzny spór. - Ma jakieś kłopoty.

— To nic nowego.

— Jasne, ale myślałam, że chociaż trochę się tym zmartwisz. Ale ty zawsze trzymałaś z matką.

I znowu powrócił temat, który był im obu solą w oku.

- Nic nie poradzę na to, co mama czuła - powiedziała Justine jakby na swoje usprawiedliwienie. Ogarnęła ją złość i jeżeli kiedykolwiek pomyślała o powiedzeniu swojej siostrze o Nicholasie, to teraz zmieniła zdanie.

Patrzyły na siebie w milczeniu. Justine była tym załamana, ale nie mogła zrobić kroku jako pierwsza. O Boże, zachowujemy się jak dzieci. Gdy jesteśmy razem, nie potrafimy rozumować w sposób dojrzały, chcemy jedynie sobie dogryźć.

Gelda przymrużyła oczy od słońca.

— Wejdiesz na chwilę do środka?

— Nie, ja...

— Nie wygłupiaj się, Justine, chyba na tyle możesz się przełamać.

Ty też to poczułeś.

— Tak. W nocy lub nad ranem, tak dokładnie nie pamiętam.

— To ważne, że się tu zjawileś.

— Mogłem przyjść tylko tu - powiedział Nicholas. Fukashigi uśmiechnął się nieznacznie.

Tego dnia nie było zajęć i sala treningowa wydawała się ogromna z powodu tej pustki. Nicholas wspominał z żalem podobny nastrój podczas jego ostatniego spotkania z Kansatsu w jego szkole na przedmieściach Tokio. I wtedy zrozumiał, że większość czasu od tamtego faktu przeżył unosząc się bez celu na fali otaczających go zdarzeń.

Do czego właściwie doszedł będąc w Ameryce? A czego by dokonał w tym czasie, gdyby pozostał w Japonii? Przecież ominęło go tak wiele. A gdyby nie rozpoczął nauki *bujutsu*? Co wtedy? Kim byłby? Pewnie jakimś wysoko postawionym urzędnikiem państwowym, z wysoką pensją i wspaniałym ogrodem.

Co roku spędzałby dwa tygodnie urlopu w Kioto albo gdzieś na wybrzeżu, a może w Hongkongu, w okresie gdy nie ma tam tylu zachodnich turystów.

Miałby oddaną żonę i rodzinę. Chmarę dzieci, z którymi mógłby się bawić i śmiać.

Brak czegoś jest odczuwalny dopiero wówczas, gdy tego już nie ma. Justine. Była nagrodą za to, że nareszcie rozliczył się z przeszłością. Bardzo pragnął znów stanąć nad grobami swych przodków, uklęknąć, zapalić kadzidło i odmówić modlitwę.

— Czy masz wszystko ze sobą? - spytał Fukushima.

— Tak, wiedziałem, że kiedyś będę musiał skorzystać ze swych umiejętności.

— Chodźmy.

Fukushigi poprowadził go przez pustą salę, poprzecinaną padającymi cieniami i delikatnym światłem przebijającym się w nierównych przerwach między przesuwającymi się chmurami, które nadawały letniemu niebu iście marmurowego wyglądu.

Na progu wejścia do tylnych pomieszczeń Nicholas zdjął buty, a Fukushima swe chodaki i przeszli w najodleglejszy kraniec budynku do pomieszczenia z podwyższoną podłogą pokrytą matami. Mistrz odsunął *shoji* i weszli do środka.

Siedzieli ze skrzyżowanymi nogami, a Fukushima machnął wskazująco ręką.

- Postaw to tu, między nami.

Nicholas położył na macie paczkę, którą przyniósł i odwinął ją. Przed nimi leżało pudełko z wizerunkiem smoka i tygrysa, które jego rodzice otrzymali od So-Penga.

- Otwórz je. - Głos Fukushima był pełen godności.

Nicholas wykonał polecenie, unosząc ciężkie wieko, by ukazać dziewięć szmaragdów.

Gdy Fukushima je ujrzał, błyszczące w słabym oświetleniu, przez chwilę aż zapało mu dech w piersiach.

- Nigdy nie myślałem - powiedział starzec - że kiedykolwiek ujrzę taki widok. - Westchnął.

- Są wszystkie, cała dziewiątka.

Rozejrzał się. Kwadratowe pomieszczenie było bez skazy, dość obszerne, jednolite i kojące w swym wykończeniu.

- Czas wiele zmienia. Gdy zjawileś się u mnie tyle lat temu w Kioto, tylko list z rekomendacją od mego przyjaciela Kansatsu uratował cię przed odesłaniem od razu z kwitkiem. Widzę, że podejrzewałeś to. No więc tak było w istocie. Powiem więcej, nawet po przeczytaniu listu nadal miałem wątpliwości, czy nie popełniłem błędu.

Jakkolwiek by było, *Akai ninjutsu*, zgodnie z tym co mówi historia, riie można się po prostu nauczyć, trzeba do tego mieć powołanie, rozumiane równie poważnie, równie tajemniczo jak powołanie kapłanów Buddy Amidy, trzeba się z tym urodzić i długo do tego przygotowywać.

Przyznam szczerze, że z wielkim niepokojem przyjąłem cię do klanu, mimo tego wszystkiego, o czym pisał Kansatsu. On nie był *ninja*, a zatem jego zdanie nie musiało być w pełni obiektywne. W tym momencie nasza tajemnica została już jednak po części zdradzona, a na dodatek byłeś w moich oczach obcokrajowcem. Jedyne czego mogłem być pewien, to że Kansatsu nie postradał zmysłów.

Oczywiście, dzisiaj zdaję sobie sprawę z tego, że odesłanie cię byłoby błędem. - Jego palce głąskały stojące między nimi pudełko. Uśmiechnął się. - Widzisz, nie jestem, jak kiedyś o mnie mówiono, wszechwiedzący.

- Nadal tak się mówi.

Starzec uklonił się w podziękowaniu za komplement.

- A więc? Jak widzisz, jest to nieprawda. Tylko wycuciu Kansatsu zawdzięczasz to, że stałeś się pierwszym uczniem nie będącym w pełni Japończykiem, który podjął naukę w szkole *Tenshin Shoden Katon*. Zresztą jedynym. Spotkał cię wyjątkowy zaszczyt. Dzisiaj tym bardziej tego nie żałuję. Przez cały okres gdy kierowałem tą szkołą, nie przewinał się przez nią lepszy od ciebie uczeń.

Teraz Nicholas się uklonił w podziękę.

— Ale pobierałeś u nas nauki w konkretnym celu, czyż nie tak? I teraz nadszedł, jak rozumiem czas, by je wykorzystać.

— Z przykrością muszę przyznać, mistrzu, że wszystko zaczęło się już jakiś czas temu. - Opowiedział starcowi o serii zabójstw.

Kiedy skończył, zapanowała cisza. Fukashigi siedział nieruchomo. Jego głowa poruszała się, a lodowate spojrzenie spoczęło na twarzy Nicholasa.

- Gdy wstąpiłeś do szkoły, złożyłeś ślubowanie, a potem następne przy kolejnych stopniach wtajemniczenia. Wiedziałeś chyba co się święci, gdy u jednego z denatów odnalazłeś fragment *shaken*. Ale nic nie uczyniłeś. Być może z tego powodu poniosło śmierć wiele osób, w tym troje twoich przyjaciół. - Jego zimne oczy lśniły niczym światła ostrzegawcze w mglistym dniu. - Czy twoje serce też przestało bić, Nicholas?

Nicholas patrzył na swoje ręce, dotknięty do głębi słowami starca.

- Być może nie powinienem był nigdy przyjeżdżać do tego kraju. Chciałem po prostu oderwać się od tego wszystkiego, z czym borykałem się w Japonii.

— Wiesz, że to niemożliwe. Gdziekolwiek byś był, twoje przeznaczenie się nie zmieni.

— To brzmi jak wyrok.

— Jeżeli tak się na to spojrzy, to w istocie. Ale dziwię się, że myślisz zachodnimi kategoriami.

— Być może zmieniłem się tutaj, tak jak Vincent.

— Tylko ty jesteś w stanie powiedzieć, czy tak naprawdę się stało...

— Już sam nie wiem.

— Podejrzewam, że jest tak tylko dlatego, że nadal jeszcze wszystkiego sobie nie przemyślałeś.

— Moje losy są nierozdzielnie związane z Saigo i Yukio, a jednak...

— Pogodzenie się ze swoim przeznaczeniem nie powinno oznaczać hołdowania fatalizmowi. W dużej mierze sami decydujemy o sobie. Choć powinniśmy z godnością przyjmować to co jest nieuchronne. Na tym polega prawdziwe pogodzenie się z losem i tylko dzięki niemu możemy naszemu życiu nadać bardziej harmonijny charakter, bez którego życie nie ma sensu.

— Ja to wszystko rozumiem - powiedział Nicholas. - Chodzi mi o pewne szczegóły.

Fukashigi kiwał głową ze zrozumieniem. Sięgnął w fałdy swego ubrania i wyjął kilka starannie złożonych stronic papieru ryżowego. Miały wygląd starych rękopisów. Podał je Nicholasowi.

- To list od Kansatsu. Wręczam ci go dopiero teraz zgodnie z jego ostatnią wolą.

Był to czterodrzwiowy ford.

Doktor Deerforth starał się zobaczyć, kto siedział za kierownicą, ale przedpołudniowe słońce padało na przednią szybę tworząc lunę, pod której wpływem szkło stawało się nieprzezroczyste.

Przyglądał się samochodowi wystarczająco długo, by być pewnym, że śledzi on czerwony samochód sportowy, którym jechała Justine, i mając na uwadze ostrzeżenie Nicholasa, zmienił kierunek jazdy i ruszył za nimi.

Miał wcześniej wizytę domową u pacjenta na samym końcu Dune Road i w drodze powrotnej chciał zajrzeć do Justine. Gdy był od jej domu jeszcze spory kawałek, zauważył jak wyjeżdża swoim samochodem, kierując się na wschód. W tej samej chwili ruszył za nią czarny ford.

Doktor pozostawał daleko w tyle i zjechał na bok, gdy ona

pojechała na plażę. Przez dłuższy czas niecierpliwie wyczekiwał. W końcu wysiadł, chodząc za nią wzdłuż plaży, gdy w tym czasie równoległą drogą zaczął ją śledzić wolno jadący ford.

Deerforth szybko wrócił do swego samochodu i ruszył tą samą trasą.

Gdy wreszcie dotarł na miejsce i zauważył czarny pojazd zaparkowany w pewnej odległości od Gin Lane, był straszliwie spocony.

Był jednak szczęśliwy, że nie umknęli mu. A przecież ze względu na mały ruch musiał się trzymać w znacznej odległości, wielokrotnie tracąc z nimi, na krętej trasie, kontakt wzrokowy.

Wiedział, gdzie się znajdują. Natychmiast rozpoznał dom Raphaela Tomkina.

Gdy wysiadł z samochodu, podeszwy jego butów zgrzytały o żwirowe podłoże. Natychmiast też przypiął do swych okularów nakładki przeciwsłoneczne.

Teraz mógł przyjrzeć się wnętrzu forda. Był w środku pusty.

Panował tu całkowity spokój. Na wysokiej topoli siedział pojedynczy ptak, ale w ogóle nie śpiewał. Z tego miejsca nawet odgłos fal morskich nie był słyszalny, a brak jakichkolwiek dźwięków stał się dla niego równie przerażający jak spadająca lawina kamieni.

Ruszył w stronę forda. Nawet najcichsze dźwięki wydawały się głośne w tych warunkach. Powietrze było nieruchome, nie kołysały się nawet czubki drzew. Panował upał. Był już blisko samochodu, który jawił się niczym jakiś tajemniczy opuszczony zamek, gdzieś na pustyni. Któż mógł śledzić Justine? I po co? „Pilnuj jej”, wspomniał słowa Nicholasa. Ku swemu zaskoczeniu Deerforth zdał sobie sprawę, że ma do tej pary ojcowski stosunek. To chyba normalne w tym wieku, tłumaczył się sobie, to z tęsknoty za moimi córkami, nic więcej.

Jego koszula była przepocona, przywierając niczym resztki skóry trędowatego. Czuł się zupełnie tak jak w parnej dżungli wiele lat temu. I nagle potknął się, czując, że kręci mu się w głowie. To atak malarii, pomyślał, odzyskując równowagę oparłszy się o pień drzewa. Ta moja osobista odmiana zawsze występuje latem. Na jesieni znów będzie po niej.

Opierając jedną dłoń o rozgrzaną karoserię forda, nachylił się, by spojrzeć do środka. Nic tam nie było.

Stał tak pochylony, stary, łysiejący, cały spocony, gdy na samochód padł cień jakiejś postaci.

Przez chwilę Deerforth przyglądał mu się. Przypomniała mu się wówczas scena z jakiegoś przedstawienia, na którym był w Nowym Jorku, nazwana „Zstąpienie Anioła Śmierci”. Wówczas to siedzące po jego bokach córki, które były jeszcze wtedy małe, krzyknęły z przerażenia. Te same czarne skrzydła przysłoniły słońce teraz i nagle zrobiło mu się zimno.

Gdy zaczął się odwracać, usłyszał dziwny furkot. Coś mignęło w kącie jego oka, więc instynktownie przesłonił ręką twarz.

Nagle coś owinęło się wokół jego kostek i pod wpływem szarpnięcia przewrócił się. Ogniw

łańcucha drapały i wpijały się w jego ciało. A on sapał i wił się niczym ryba na uwięzi.

Spojrzał na nogi. Długi łańcuch zakończony ciężarkiem był mocno napięty, wciągając go między topole w stronę pola kukurydzy.

Wykonał przewrót, okrutnie sapiąc, by zyskać luz i usiąść. Ale poczuł nóż przystawiony do gardła.

Spojrzał w górę. W oddali widział niebo, jego błękit intensywny jak nigdy dotąd, ale znacznie bliżej była twarz, tylko po części odkryta, której się przeraził. Tak bardzo, że aż stracił dech w piersiach.

Przed sobą miał oczy bez życia, oczy szaleńca. Tak różne od tamtych wiele lat temu, a jednak tak podobne. *Ninja*, pomyślał Deerforth. Jego umysł zmarł na samą myśl, jakby nic więcej na świecie nie grało już roli. Jego życie stawało się mało znaczącym faktem, a właściwie zupełnie nic nie znaczącym.

Słysząc było dzwonienie cykad i bzyk much. Myślami był znów na Filipinach, leżąc w namiocie przywiązany do stołu.

Ze znajomą delikatnością w głosie postać spytała:

— Dlaczego mnie śledziłeś?

— A dlaczego ty śledziłeś dziewczynę?

Oczy jego oprawcy nawet nie drgnęły, był tego pewien. I nagle ni stąd, ni zowąd *ninja* szarpnęła łańcuch i zębate krawędzie ogniwi przecięły skórę, przebiły się przez ciało i zaczęły ocierać o kości.

Deerforth aż odrzucił głowę do tyłu i jęknął przez otwarte usta. Na twarzy całkowicie pobladł.

- Chyba o coś pytałem?

Słowa te wracały do niego w koło z każdym uderzeniem tętna niczym pacierz odmawiany przez mnicha na wieczornej mszy... zaraz, jak oni ją nazywali? Chyba nieszpory?

- Nie będę drugi raz powtarzał...

Utracił poczucie czasu w miarę jak ból narastał, to znów opadał, falując tak, że nie był w stanie określić, kiedy jego usta wydadzą z siebie skowyt bólu, bólu nie do zniesienia, kiedy pot zacznie z niego lać się strumieniami, mięśnie zaczną drgać, a w nogach straci wszelkie czucie.

W pewnej chwili, choć dokładnie nie zauważył kiedy, zdał sobie sprawę, że ten *ninja* jest inny. Był znacznie bardziej brutalny i bardziej uczuciowy. Była w nim jakaś nadludzka moc, która przerażała do szpiku kości. Było to tak, jakby sam diabeł stawił się na Ziemi, by zabrać go do świata zmarłych.

Że koniec jest już bliski, Deerforth nie miał wątpliwości. Już żaden ratunek dla niego nie nadejdzie, a on był zbyt stary i słaby, by walczyć z przeciwnikiem. Ale każda istota ludzka, aż do chwili śmierci, ma w sobie pewną iskierkę, którą tylko ona sama może zgasić. Nic innego nie jest w stanie przejąć nad nią panowania.

*Ninja* jednym kolaniem przygniał klatkę piersiową doktora. Delikatnie, jakby z czułością podniósł prawą rękę Deerforth'a i wykorzystując do tego tylko swoje palce, złamał mu kciuk. Wyczekał wystarczającą ilość czasu, by ból zmalął i złamał palec wskazujący. Robił tak po kolei ze wszystkimi palcami, powoli i bezlitośnie.

Deerforth drżał, sapał i wzdychał. Wypowiadał imiona swych córek, dawno nieżyjącej żony. Bardziej poczuł niż ujrzał, jak *ninja* nachyla się, by lepiej usłyszeć, co mówi. Usłyszał przekleństwo, a potem trzask. Przeszył go ból od złamanego nadgarstka.

Ktoś będzie musiał powiadomić o wszystkim moje córki. Potem ból ogarnął całe jego ciało, aż cały pulsował od niego, by w końcu zemdleć.

Być może to płacz dziecka miał wpływ na to, co się dalej stało. Dźwięk rozległ się na tyle blisko, że Saigo stwierdził nagle, że już nic mu nie przyjdzie z dalszego znęcania się, przyłożył więc do gardła doktora gładkie ostrze swego noża i pociągnął.

Twój ojciec - czytał Nicholas w liście - podejrzewał Satsugai od początku. Od pierwszego ich spotkania pułkownik zrozumiał, że I jego wysoka pozycja w *zaibatsu* wynikała z tego, że władał okazałą grupą ludzi. Podejrzewał również, co później potwierdziły dochodzenia, że Satsugai był mocno związany z *Genyosha*. To właśnie ludzie tacy jak on byli odpowiedzialni za wzniesienie nastrojów, które doprowadziły do podjęcia decyzji o ataku na Pearl Harbour.

Twój ojciec chciał się rozprawić z *Genyosha* i właśnie w tym celu uratował Satsugai od skazania przez trybunał wojenny. Wydawało mu się, że jeżeli pozwoli mu działać, to zdemaskuje prawdziwe kierownictwo *Genyosha*.

To był niezły pomysł, tyle że Satsugai go rozszyfrował. Był jednak dłużnikiem pułkownika. Nic nie mógł zrobić, gdyż kierował się

tradycyjnym poczuciem honoru. Wiedział, że nie wolno mu nic poczynić przeciwko pułkownikowi.

Dlatego wykorzystał do brudnej roboty swego syna Saigo, wysyłając go na szkolenie do Kumamoto do najstarszej ze szkół *Kan-aku na ninjutsu: kuji-kiri*.

Po latach pułkownik zrozumiał swój błąd. Zaryzykował i przegrał. Satsugai był już poza zasięgiem prawa i to za jego sprawą.

Twój ojciec był Anglikiem, ale jego dusza była tak japońska, jakby się tu urodził. Decyzja, którą podjął mogła zrodzić się jedynie w umyśle Japończyka. Satsugai zginął z jego ręki”.

Zaskoczony, Nicholas uniósł wzrok. A więc to z tego powodu jego matka czuła się na tyle upokorzona, że popełniła *seppuku*.

- Czytaj dalej - powiedział cicho Fukashigi - to jeszcze nie koniec.

„Twój ojciec był powszechnie szanowaną osobą, Nicholas, dlatego też nikt go nie podejrzewał. Nikt oprócz Saigo. Posiadłszy już podstawy *Kan-aku na ninjutsu*, szybko zrozumiał, co się stało. Nie podzielił się jednak z nikim tą informacją i kryjąc w sobie całą nienawiść, przedstawił się jedynie jako okryty żałobą syn. Ale w swoim umyśle opracowywał już plan zemsty.

Ustawił więc sprawy tak, by być w domu, gdy wiedział, że Itami wybiera się do was na obiad, a ciebie nie będzie. Nie wiem, kiedy dokładnie to było, ale to chyba nieważne.

Pewnie przekonałeś się już, jak wspaniałymi chemikami są *ninja Kuji-kiri*, jak wiele znają sposobów, by zadać śmierć na odległość.

Tak też się stało z twym ojcem. Saigo otrul go trucizną o opóźnionym czasie działania”.

Nicholas poczuł, że łzy spływają mu z oczu, tak że stracił ostrość spojrzenia. Jego dłonie mocno ścisnęły cienki arkusz papieru ryżowego, drżąc całe.

„Muszę cię w tym miejscu przeprosić. Choć nie jestem *ninja*, czuję się odpowiedzialny, przynajmniej w części, za śmierć twego ojca. Był moim wielkim przyjacielem i uważam, że powinienem być te sprawy przeczucić.

Stałeś się dla mnie uosobieniem mojej pokuty. To, że czytasz teraz te słowa, w towarzystwie mam nadzieję mojego szacownego przyjaciela Fukashigi, jest na to dowodem. Ja sam już dawno odszedłem.

Wyobrażam sobie twoje zdziwienie, gdy po dotarciu do szkoły *Tenshin Shoden Katon* dowiedziałeś się, że należność za twoje studia została już całkowicie pokryta.

Ufam, że rozumiesz, dlaczego musiałem to uczynić przed śmiercią i modłę się do Buddy Amidy, byś wszystko zrzucił na karb mojego wieku”.

Na koniec, przez potok łez, dojrzał jeszcze podpis Kansatsu, po czym pogrążył się w smutku po matce i ojcu, który w pewien sposób starał mu się to wszystko powiedzieć. Czuł, jakby się postarzał o ładnych parę lat. Po czym wspomniął swoich przyjaciół, którzy go kochali i których on



kochał. Przyszedł teraz na to czas.

Siedzący obok niego w milczeniu Fukushima rozmyślał nad krzywdą, jaka się przytrafiła Nicholasowi.

Czy przyjechałaś tu walczyć z gorzałą?

— Walisz prosto z mostu.

— Przepraszam.

— Nie ma sprawy. Sądzę, że nie powinnam się dziwić takiej opinii. Ale ja już stoczyłam swą walkę.

Siedziały w wielkiej owalnej bawialni, której połowa ścian była ze szkła, tak że wpadało do niej słońce od strony plaży i morza. Sufit zrobiony był ze szklanych wielokątów; wyglądał niczym wielki oszlifowany diament, największy na świecie, jak sobie wmawiała Justine, gdy była dzieckiem. Poranne słońce nie zdążyło jednak jeszcze przesunąć się po jego powierzchni, tak że padało na nie, niczym o zmierzchu, jedynie rozproszone światło.

Kanapa, na której siedziały była okrągła, z dwoma prześwitami, tak dopasowanymi jak części układanki, którą kiedyś ktoś podarował Justine i której nigdy nie dokończyła układać. Siedziały po przekątnej, przylegając do sztywnego oparcia, ich oczy skupione były jak u kota poruszającego się w nieznanym otoczeniu.

Na stole przed nimi stały drinki z lodem, których jeszcze nie ruszyły, jakby bały się okazać słabość.

- Długo tu będziesz? - Justine poczuła, że zabrzmiało to nie tak, jakby chciała. Miała zamiar powiedzieć, „Cieszę się, że tu jesteś”, bo tak było w istocie. Nikt nie chciałby mieć siostry alkoholiczki. Jednak zawsze gdy chciała powiedzieć swej siostrze coś miłego, nigdy jej się to nie udawało. Tak naprawdę to nic nie mogę jej zaoferować, pomyślała. Nawet nic drobnego. Poczuła, że ze wstydu cała pokryła się rumieńcami, niczym pianą, gdy matka ją kąpała w dzieciństwie.

Gdy podrosła, wyczekiwała, aż cała rodzina gdzieś sobie pójdzie. Wtedy brała kąpiel, po czym stawała cała mokra i rozgrzana, owijając wielkim śnieżnobiałym ręcznikiem swe wątle ciało i drugim mniejszym swe długie włosy. Po czym jak jakaś bizantyjska księżniczka, z romansidłem, które ciągle czytała, rzucała się na tę właśnie kanapę, kładąc się na miękkich materacach i przerzucając nogi przez oparcie. W takiej pozycji, ustawiając odpowiednio głowę, przyglądała się, jak ucieka czas wyznaczony przesuwaniem się słońca, którego promienie wpadały przez szklany sufit, dając cienie tak różne, że na ich podstawie mogła określić czas z taką samą precyzją, jakby spoglądała na zegar za nią stojący. Jego rytmiczne uderzenia pobudzały ją do marzeń, że to odgłos kropli miodu padających na jej wyciągnięty język z rozpromienionego sufitu.

W taki to właśnie sposób zabawiała się, podczas gdy Gelda chodziła na randki.

Natychmiast zdała sobie sprawę, że nie dosłyszała odpowiedzi Geldy. Ale nie zmartwiła się tym, tak naprawdę to nie zależało jej wcale na tej odpowiedzi.

— Możesz tu zostać, jak długo chcesz - powiedziała Gelda.

— Dzięki, ale będę się zbierała. - Jednak nie wykonała w tym kierunku żadnego ruchu i Gelda postanowiła więcej na ten temat nie rozmawiać.

— Musisz mi wybaczyć, ale mam inne sprawy do załatwienia. - Gelda wstała i przecisnęła się przez jeden z przesmyków w kanapie.

— Jeszcze się zobaczymy. - Położyła dłonie na oparciu. - To był twój ulubiony pokój, prawda?

— Tak - odpowiedziała Justine, zdumiona tą uwagą.

— Zawsze sobie wyobrażałam, że najchętniej to byś w ogóle spała na tej kanapie, gdyby tylko mama się na to zgodziła.

— Tak. To by było wspaniałe uczucie.

— No cóż. - Gelda skubała obicie kanapy. Spojrzała na swe ręce, a potem na Justine, która rozłożyła się na materacach. - Zajrzyj do mnie się pożegnać przed wyjściem, dobrze?

— Jasne.

Została sama, gdyż wszyscy służący dostali dzień wolnego, zupełnie jak w dzieciństwie, i jej spojrzenie automatycznie skierowało się na tę część sufitu, przez którą wpadało poranne słońce. Jak za dawnych lat zaczęła rozważać jakby to było, gdyby była jakąś księżniczką w zamierzchłych czasach, gdy nie było ani samochodów, ani telefonów, ani nawet prądu. Wprost uwielbiała, jak paliły się świece lub lampy olejowe, które przywodziły jej na myśl wyprawy morskie w poszukiwaniu wielorybów, pełne niebezpieczeństw i przygód. Wiedziała, że jako kobieta, nigdy nie dozna tych przeżyć. Wypłynąć w morze i powrócić z zapasem oleju dla całego miasta. Powinna była się urodzić chłopakiem.

Taką właśnie zastał ją Saigo, samotną i zamroczoną, zagubioną pośród marzeń. Nie była świadoma tego, że jest nieprzytomna albo że coś się z nią dzieje w tym czasie. Równie dobrze mogła po prostu spać, choć była całkiem rozbudzona.

Potrzebował na to piętnastu minut, cały czas czuwając, by ktoś mu nie przeszkodził. Nie mógł sobie na to pozwolić. Byłby wówczas zmuszony porwać ją stąd, co mogło okazać się niekorzystne. To było jej własne otoczenie, w którym czuła się swobodnie. Stanowiło to znaczne ułatwienie w wykonaniu zadania.

Przez cały czas oczy Justine były szeroko otwarte, tak że mogła patrzeć. Tyle że to co widziała, było zniekształconym obrazem jego twarzy, wyglądała, jakby na jej powierzchni doszło do ruchów tektonicznych. Powoli stawała się coraz bardziej uzależniona od tej twarzy, która stała się jakby samodzielny tworem.

Była dla niej wszystkim, ziemią, po której stąpała, pożywieniem, które spożywała, wodą, która gasiła pragnienie, powietrzem, którym oddychała. Wszystkim, całym jej światem.

Gdy więc przemówił do niej ten stwór, który wydawał się potężniejszy od diamentu lśniącego nad jej głową, słuchała uważnie. To co z nią zrobił, na tyle przerastało zwykłą hipnozę, na ile broń jądrowa przerasta maczugę.

Predyspozycje osoby, która została poddana temu działaniu, nie odgrywały żadnej roli. Można było wpłynąć na funkcje nie tylko psychiczne, ale i fizyczne, wszystko stawało się możliwe. On był *ninja*. A to co zastosował, było czymś więcej niż sztuką *kuji-kiń*, to było *kobudera*, coś co przerażało nawet jego nauczyciela *Kan-aku na ninjutsu*.

To były czary.

Począł, aż Nicholas odłoży na bok arkusze papieru ryżowego, które były teraz poplamione łzami. Dobiegało końca kolejne upalne popołudnie, miasto powoli odżywało, w miarę jak słońce chowało się za wieżowcami ze szkła i stali. Tak było na zewnątrz. Ale tu gdzie byli, świat zachodni nie miał czego szukać. Tutaj panował nastrój wiecznego Wschodu, któremu i oni się poddali. Dobiegła ich jakby starodawna pieśń, rozlegająca się na koniec dnia niczym dzwonięcie cykad.

- Kansatsu wołał dla bezpieczeństwa, byś się dowiedział o tym dopiero teraz. Gdyby to się stało wcześniej, mógłbyś chcieć dopaść Saigo w momencie, gdy nie byłbyś jeszcze na to gotowy. Pokonałby cię wtedy równie łatwo co tamtej nocy w Kumamoto.

— A jak jest teraz? - Jego głos był przepełniony ostatnimi przeżyciami.

— Nadal może cię pokonać. Niestety, Nicholas, on poszedł w swej nauce jeszcze dalej. Odszukał mistrzów, których ze względu na to czym się zajmowali, bano się dopuszczać nawet do szkół *Kan-aku na ninjutsu*. Byli to mistycy zagubieni gdzieś w bezkresach Chin, na mongolskich stepach, które to tereny do dnia dzisiejszego nie zostały dokładnie przebadane. Zetknął się z magią i poddał jej się całkowicie.

— Przecież w technikach *ninjutsu* też tkwi pewna doza magii.

— Istnieją pewne sztuczki iluzjonistyczne, Nicholas, i istnieje prawdziwa magia. Nie powinno się ich utożsamiać.

Nicholas wiedział, że to co mówi Fukushima, należy przyjąć jako fakt i pozostał już w milczeniu do końca prostego posiłku, który przygotował mistrz dla nich obu. Gdy zapadła noc, Fukushima rozpoczął rytuał, który miał potrwać aż do rana.

Masz przed sobą - palcami wskazał wieko otwartej szkatułki - *Kokoro*. - Słowo to, jak większość słów japońskich miało wiele znaczeń: serce, duch, odwaga, zdecydowanie, uczucie i wiele innych. Ogólnie rzecz biorąc znaczyło to: sedno sprawy. - Ono też jest czymś magicznym. Twoja matka wiedziała o tym i choć podejrzewała, że twój ojciec nie wie, była pewna, że ty to zrozumiesz. Dlatego przeznaczyła to dla ciebie. - Jego niewinne oczy były czujne, pełne życia, a nawet czegoś więcej. - Dziewiątka jest liczbą magiczną, Nicholas. Masz tu dziewięć szmaragdów. Po jednym na każdą formę *kuji-kiri*.

Saigo obudził się tuż przed świtem i od razu wstał z łóżka. Miał przed sobą dużo roboty, a czas biegł naprzód niezauważenie, mimo iż miał wszystko dokładnie zaplanowane. Po raz pierwszy od ponad tygodnia dobrze się wyspał, nie niepokojony żadnymi koszmarami.

Wyszedł z domu wcześniej. Udał się najpierw do dzielnicy East Village, do sklepu ze sprzętem sportowo-turystycznym, gdzie kupił ciemną, dużą torbę sportową, z potrójnie wzmocnionym dnem. Sprawdził wytrzymałość pasów nośnych.

Skierował się potem w stronę stacji metra, z którego wysiadł przy Czterdziestej Siódmej Ulicy, po czym przebył pieszo resztę drogi, do sklepu z rekwizytami teatralnymi.

Następnie odwiedził dom mody Brooks Brothers, gdzie kupił cienki brązowy garnitur. Marynarka leżała na nim idealnie, ale spodnie musiał oddać do krawca do poprawki. Wychodząc dokupił jeszcze harmonizujący filcowy kapelusz, w którym wyglądał idiotycznie, ale który w nocy spełni swoje zadanie idealnie.

Na koniec udał się do Chinatown, gdzie kupił sobie bambusową laskę. - Po czym podrzucił wszystkie zakupy, łącznie ze spodniami, do domu i wyszedł w poszukiwaniu kogoś, kto był do niego podobny. Zaraz po przyjeździe dokonał już pierwszej lustracji. Ważne było, by zgadzały się wzrost, waga i sylwetka. Nie dotyczyło to twarzy, na pewno nie po tym, gdy się nią zajmie.

Croaker wzywał centralę przez radio dwa razy, w półgodzinnych odstępach i dobrze zrobił, gdyż za pierwszym razem albo zapodziali gdzieś informację, albo też przysłała później.

Za drugim razem usłyszał to, na co czekał od dawna.

— Szukał cię Matty. Ale nie zostawił do ciebie...

— Nie szkodzi. Wiem, gdzie go łapać.

Stając w korku, zaczął się rozglądać za automatem, a gdy zauważył go, zjechał na bok.

Wyjął z kieszeni monetę i wykręcił numer. Przynajmniej tu nie ma podsłuchu, pomyślał.

— Nie ma go - powiedział Matty Gaduła udając kogoś innego.

— To ja, Croaker.

— No, cześć.

— Bez żartów. Masz to co chciałem?

— Jasne, ale to będzie kosztować o wiele...

— Matty, chyba rozmawialiśmy już na temat ceny.

— Niby tak, ale szaleje inflacja.

— Co ty chcesz jeszcze ode mnie wyłudzić?

— Tamte warunki są nieaktualne.

— Posłuchaj mnie...

— Sprawy się mają trochę inaczej, odkąd rozmawialiśmy, to wszystko. Nie ma powodu, by się unosić. Mam wszystko co pan chciał.

- Mam ochotę wziąć cię za dupę i wsadzić od pierdla. Co ty na to? Matty strzelił językiem o podniebienie.

- Kto, ja, poruczniku? Skłamałbym, gdybym powiedział, że się z tego ucieszę. Ale pan by się z tego ucieszył jeszcze mniej, bo wtedy wyciągnąłby pan ode mnie zero informacji, a jestem pana jedyną nadzieją w tej sprawie.

Croaker poczuł, jak w uniesieniu napinają mu się mięśnie. Jego serce galopowało.

— Mów, co się stało - powiedział delikatnie.

— Panu naprawdę na tym zależy.

— Gadaj.

— Ta sprawa - powiedział - mało kogo obchodziła, gdy rozmawialiśmy pierwszy raz.

— A teraz...

— Teraz aż zaroiło się od ciekawskich. Każdy o nią wypytuje. Nie tylko my szukamy tej babki. Jest teraz numer jeden na liście poszukiwanych. Tak ni stąd, ni zowąd, kupuje pan?

— Ale ty znasz jej nazwisko, adres i telefon?

— Poruczniku, gdy mówię, że coś załatwiłem, to nie odstawiam lipy. Mam jej wszystkie dane.

— Nawijaj.

— Najpierw - rzekł Matty - ustalmy nową cenę.

— Dobra, ile.

— Trzykrotnie tyle, co było.

— Trzykrotnie! Ty chyba upadłeś na...

— Poruczniku - powiedział Matty - ja ryzykuję własny tyłek. Jeżeli ktoś by pisnął...

— Na przykład kto? Wiesz, kto wypytywał o tę laskę?

— Nie wiem. Croaker westchnął.

— Może byś to sprawdził, Matty, zrobisz to dla mnie?

— Może tak, może nie. Co z ceną? Zgadzasz się pan?

— Zgadzam.

— No to ma pan swój łup. - Podał Croakerowi nazwisko Alix Logan oraz jej telefon i adres w Key West na Florydzie.

— A co do tej drugiej sprawy - powiedział Croaker. - To dobrze by było, jak byś mi to dostarczył szybciej, bo wybieram się lada moment na południe, jasne?

— Aż tak się panu spieszy?

— Od dawna należy mi się jakiś urlop.

— Dobra. Wie pan, poruczniku, równy z pana gość. Mam nadzieję, że się pan nie obraził? W interesach trzeba być twardym, rozumie pan?

— Taaak. Dzięki za podniesienie na duchu. Przyda mi się to.

— Mam jeszcze jedno pytanie. - Pytał tak, jakby tknęło go jakieś przecucie. - Czy ta sprawa jest aż tak poważna?

— A tobie co do tego?

— Jestem w nią wplątany jakoś, nieprawda? To chyba jasne. Aż po pachy. Chcę wiedzieć tylko czy to zwykła kupa gówna, czy też całe szambo...

— Do końca nie wiem. Wszystko ma się dopiero wyjaśnić. Ale podejrzewam najgorsze.

— To może powinienem zniknąć na jakiś czas.

— Ty wiesz najlepiej. Ale osobiście bym tak zrobił.

— Dzięki za dobrą radę, poruczniku.

— Robię to wyłącznie dla siebie. Nie chcę stracić dobrego informatora.

Matty Gaduła zaśmiał się zachrypniętym głosem podobnym do dźwięku piłowania.

— To prawda! Bez pana by mnie tu dziś nie było.

— Nie zapominaj o tym, Matty. Nie za\*pominaj.

Gdy wsiadł z powrotem do samochodu, ruszył w stronę posterunku. Ten tłusty cwaniak Finnigan na pewno się wkurzy, gdy go zobaczy, pomyślał.

Do diabła z nim. Croaker gwałtownie zahamował, nęka uderzył przycisk klaksonu i znów ruszył z kopyta. Najlepiej by było, pomyślał, gdyby ten idiota kopnął w kalenderz, nim on wróci z Florydy razem z Alix Logan.

Gdyby tylko zechciała zeznawać. Strach był najlepszą bronią, jakiej można było w tej sytuacji użyć. O ile dobrze wyczuł, to jego kłótnia z Tomkinem odniosła pożądany skutek. Sprawa, która wydawała się zamknięta na nowo odżyła. Dzięki temu wyjdzie na jaw powiązanie między dziewczyną a Raphaellem Tomkinem. Przez chwilę rozmyślał, czyby nie wprowadzić w to wszystko Vegasa. Jakkolwiek by było, przydałby mu się ktoś, kto by pilnował spraw tutaj, gdy on będzie w terenie. Ale po chwili odrzucił tę myśl. Nie mógł ni stąd, ni zowąd nałożyć mu takiego garba. Niestety musiał wszystkiego dopilnować sam. A to wymagało dobrej synchronizacji.

I dużo szczęścia.

Jr ożegnałem się z Justine w dniu wczorajszym - powiedział Nicholas. - Poprosiłem ją, by wróciła do West Bay Bridge i tam poczekała na finał całej sprawy.

Croaker trzasnął drzwiami samochodu i podszedł do Nicholasasa.

- Słusznie. Ja również poprosiłem Geldę, by wyjechała do jakichś znajomych lub coś w tym stylu. Woląłem, żeby nie przebywała w swoim mieszkaniu.

Unoszący 'się nad nimi w połowie wykończony wieżowiec przy alei Parkowej wyglądał niczym przekrój narysowany na desce kreślarskiej.

- On tam jest? - spytał Croaker wskazując na szczyt budynku.

— Powinien być. Przecież wszystko z nim ustaliłem. - Szli drewnianą kładką ponad nie wykończonym chodnikiem. - Ma facet jaja, to trzeba mu przyznać.

— Ja nie zamierzam mu nic przyznawać. Jeżeli on się na to zgodził, to uważam, że po pierwsze chce cię w coś zrobić, a po drugie coś z tego będzie miał.

— Jasne. Pozbędzie się Saigo. Może uważasz, że on lubi być obiektem polowania?

Croaker uśmiechnął się szyderczo.

— Nie sądzę, by ktokolwiek to lubił. A co dopiero on. - Wsiedli do windy.

— Gdzie są twoi ludzie?

— Niedługo tu będą - spojrzał na zegarek - za jakieś pięćdziesiąt minut. Wszyscy są z jednostki specjalnej, choć ubrani po cywilnemu. Będzie cała ekipa, z gazem łzawiącym, karabinami maszynowymi, a nawet dwóch snajperów z noktowizorami. Potrafią w nocy trafić w monetę z odległości tysiąca metrów. Wszyscy będą mieli kamizelki kuloodporne, wszyscy potrafią walczyć wręcz. - Gdy znaleźli się na górze, drzwi rozsunęły się i wysiedli. - Tomkin powinien więc uważać.

— Posłuchaj, ja zajmę się Tomkinem, dobra? Staraj się z nim nie zaczynać. On na ciebie naskakuje, bo się ciebie boi.

- Naprawdę? - uśmiechnął się Croaker. - Aż miło to usłyszeć. Przed drzwiami gabinetu Tomkina zatrzymali się.

— Pamiętaj - powiedział Nicholas - nie chcę, aby którykolwiek z twoich ludzi zjawił się na tej kondygnacji. Cokolwiek by się stało, jasne? Jeżeli Saigo ich minie, mają pozostać na swoich stanowiskach. Nie chcę, by ktokolwiek mi przeszkadzał. To piętro pozostaw mnie.

— Nie ma sprawy. Nie żeby mi się to wszystko podobało, ale to nie mój wieżowiec i ty tu decydujesz. A ponieważ moje metody dwa dni temu zawiodły, więc tym bardziej nie będę dyskutował. Tyle że - uniósł palec ostrzegawczo - mnie nic nie powstrzyma przed zjawieniem się tu, jakby coś poszło nie tak.

Nicholas pokiwał głową.

— Bylebyś dostał się tu drogą, którą, ustaliliśmy. Nie wprowadzaj w tym zakresie innowacji.

— Chciałbym wiedzieć, co też takiego na niego przygotowałeś.

— Wolę, żeby nikt nie wiedział, tak będzie najlepiej. Tak czy tak sprowadzi się to do pojedynku między nim i mną.

- Ale nie masz nic oprócz tego. Nicholas uniósł osłonięty miecz.



-To - powiedział - mi w zupełności wystarczy. - Popchnęli drzwi i weszli do wielkiego gabinetu.

Tomkin, siedząc jak zwykle za swym ogromnym biurkiem, spojrzał na nich jakby ze zdziwieniem.

- Co byście powiedzieli? - warknął. - Pieprzony strajk śmieciarzy. W środku lata. Boże, te skurwysyny ze związków zawodowych wiedzą, jak człowieka wkurzyć. Przecież tu będzie taki smród, że ludzie zwariują.

Starzec stał sobie na chodniku po zachodniej stronie alei Parkowej. Choć o tak późnej godzinie ruch uliczny był znikomy, czekał na zmianę świateł. Gdy w końcu to nastąpiło, ruszył powolnym krokiem przez jezdnię. Z daleka wyglądał dość mizernie, zgarbiony pod ciężarem torby sportowej zarzuconej na plecy. Miał rozwarte stopy i podpierał się bambusową laską. Ponieważ aleja Parkowa przedzielona jest dość szeroką betonową wysepką, po zmianie świateł przeszedł tylko połowę jezdni.

Stojąc, rozglądał się ze zdziwieniem, jakby został obudzony w czasie popołudniowej drzemki w swym fotelu. Powoli poruszał głową, więc obejrzenie całego wieżowca zajęło mu trochę czasu. Jeżeli ktokolwiek by go w tym czasie obserwował, nie zdziwiłby się, że staruszek rozglądał się, dopóki znów nie zaświeciło się zielone światło i mógł dojść do przeciwległego chodnika.

Zamiast skrócić w prawo, poszedł dalej na wschód, w kierunku alei Lexington. Gdy się na niej znalazł, skręcił na południe, by dotrzeć do następnej przecznicy. Tym samym obszedł już wieżowiec z dwóch stron.

Na rogu stała budka telefoniczna starego typu, otoczona szklanymi ścianami w metalowej konstrukcji pomalowanej na zielono. Obok stały czarne i brązowe torby foliowe ze śmieciami. Ustawił się tak, by ta dziwna kombinacja zasłaniała go od strony budynku, skąd obserwator mógł odnieść wrażenie, że udał się dalej na wschód.

Stanął nieruchomo w ciemnym zaułku. Zmienił najpierw swój wygląd, postawił na ziemię torbę, wyprostował plecy i ramiona. Laskę wrzucił do rynsztoka, tak że była niewidoczna nawet z samochodów przejeżdżających sporadycznie aleją Lexington. Sam zaś był niewidoczny dla kogokolwiek znajdującego się w okolicy wieżowca.

Czekał tak dwadzieścia minut.

Bez nachylania się rozsunął zamek torby, wykonując następnie kilka sprawnych i ekonomicznych ruchów. Gdy wysunął się z ukrycia, wyglądał na skromnego eleganckiego biznesmena, w dobrze skrojonym

ubrani i filcowym kapeluszu. Niczym typowy Amerykanin menedżer. Pamiętał, że musi robić duże i zdecydowane kroki, gdyż nawet najlepsze przebranie może zostać zdemaskowane na podstawie chrapliwego dla danej osoby sposobu chodzenia, niepowtarzalnego niczym linie papilarne.

Od wschodniej strony budynku nic nie zauważył, natomiast po północnej stały dwa radiowozy. W środku miały zgaszone światło, tak by myślano, że są puste. Ale on nie dawał temu wiary.

Gdy w końcu obszedł wszystkie cztery strony wieżowca, jego mniemanie o nowojorskiej policji uległo poprawie. Doliczył się pół tuzina funkcjonariuszy rozstawionych w budynku i jego okolicach. Na dodatek gdzieś, na którymś z dachów, błysnęło coś, co mogło jedynie być spowodowane obecnością snajpera.

Zbyt nie przejmował się tym, że tylu ludzi chroniło Tomkina. Co nie oznaczało, że należało to bagatelizować. Jednak nie lubił oceniać siły przeciwnika, gdyż mogło się to źle skończyć. Iluż to wojowników zginęło, bo przyjęli takie szacunki za fakt?

Torba sportowa leżała nadal tam, gdzie ją zostawił, między workami foliowymi pełnymi śmieci. Spojrzał na zegarek. Zostało mu trzydzieści sekund. Rozsunął zamek po raz ostatni. Zdjął garnitur, a kapelusz cisnął do rynsztoka. Po czym nachylił się i wrzucił torbę na plecy w stylu „chwytu strażackiego”.

Mały, ale bardzo silny materiał wybuchowy, który wrzucił pod samochód stojący od północnej ściany budynku, gdy przechodził tamtędy w przebraniu starca, eksplodował biało-zielonym błyskiem. Nawet będąc o przecznicę dalej” poczuł wstrząs od fali uderzeniowej rozchodzącej się z miejsca wybuchu. Słyszał było zgrzyt metalu i pokruszonego szkła, unoszącego się w świetle niczym strumień małych diamentów. W górę strzelały płomienie.

Nachyliwszy się, podbiegł prosto do wejścia budynku, a dalej wzdłuż południowej ściany, pod idealną osłoną nieruchomych maszyn budowlanych. Odkąd wykryto, że podszył się za robotnika, na budowie skasowano pracę na dwie zmiany.

Po czterech sekundach już go nie było.

Przesuwał się skokami do przodu, między kolejnymi słupami nośnymi, czując nierówną powierzchnię metalu pomalowanego minią. Gdy zrzucił ciężkie brzemię, spostrzegł, że w nasyconym cementowym pyłem powietrzu cienie potężnych maszyn mającą niby konstrukcje ustawione w wymarłym lunaparku. W Shimonoseki też kiedyś było

wesołe miasteczko. Wspomnienie tego i myśli o zamykających się falach kazały mu sięgnąć do kieszeni. Wyjęty z niej kawałek jakiejś substancji włożył do ust i połknął.

Przykucnął, wyglądał niczym ptak na żerdzi, czekając, aż zadziała narkotyk. To właśnie przez uzależnienie musiał opuścić szkołę *kuji-kiri*, gdy któregoś dnia na treningu przez nieostrożność upuścił porcję narkotyków. Nieostrożność, ale nie głupotę. Nic nie mógł na to poradzić, był uzależniony. Robił to, by zapomnieć o kołyszącej się łódce, szalejącym wietrze i silnym chlupnięciu, gdy wrzucał do wody...

Poczuł to. Jakby przebłysk. Obrysy i linie jakby nabrały głębi niczym scenografia teatralna. Wydało mu się, że widzi na wszystkie strony. Z miejsca pył w powietrzu stał się jeszcze bardziej wyczuwalny. Ten szczegół, tę drobną rzecz, będzie mógł wykorzystać na swoją korzyść. Ze względu na to zapylenie jego przeciwnicy będą musieli co chwila mrugać ocz\*ami, by nie zaczęły łzawić. A te małe przerwy wystarczą mu, by zadać cios.

Uniósł wzrok. Miał nadzieję, że nie będzie musiał wykorzystać tego, co leżało na przęśle, bo jeśli tak to...

Ujrzał pierwszego funkcjonariusza. Był ubrany inaczej niż tamci, których załatwił na ulicy Pell. Co więcej, zachowywał się z większą pewnością siebie.

Saigo przyglądał mu się przez kilka minut. Chciał sprawdzić kilka rzeczy, nim przystąpi do działania. Czy patroluje on konkretny obszar? Czy ma wizualny kontakt z innymi policjantami?

Gdy wiedział co chciał, zdjął z siebie dwie zaokrąglone części i skręcił je razem. W ręku miał teraz łuk z wytrzymałego plastyku z lekkim aluminiowym uchwyto-celownikiem.

Zaciekawił go fakt, że wybuch nie spowodował takiej paniki, na jaką liczył. Jednak wystarczającą, by miał czas znaleźć się na terenie budynku. Ale nic więcej. Słysząc już było przeraźliwy jęk zbliżającej się syreny strażackiej. Policjant, gdy stwierdził, że nikogo w samochodzie nie było ani nikt nie został ranny, pozostawił resztę roboty strażakom.

Ze swego stanowiska mógł dostrzec skryte ruchy snajpera. Poczekał, aż patrolujący policjant dotrze do najodleglejszego punktu swojego obchodu. Po czym wziął - strzałę ze stalowym grotem, naciągnął łuk i wycelował. Nie była to zwykła strzała. Jej grot wykonano jak głównię miecza poprzez nakładanie kolejnych warstw stali. Zwano je strzałami przeciwpancernymi. Mogły przebić wszystko łącznie z pancerzem grubości kilku centymetrów.

Wystrzelił. Przez chwile słychać było syk, jakby lecącej pszczoły, a potem delikatne tąpnięcie. Błysk lufy karabinu był już niewidoczny, jedynie czarne lotki strzały wystającej z gardła strzelca.

Patrolujący policjant właśnie kończył kolejne kółko obchodu. Stał dokładnie na wysokości Saigo i spojrzał w górę. Coś ciemnego kapalo na jego ramię. Przełożył automat do lewej ręki, by nawiązać łączność przez krótkofalówkę.

Saigo rzucił się na niego niczym ruchomy cień. Jego lewa ręka uniesiona była wysoko, po czym opadła ze świstem.

Była cała opleciona stalą od nadgarstka, przez palce, aż do wystających, zaokrąglonych, ostrych jak brzytwa pazurów. Ruchome stalowe ścięgna wzmacniały naciąg na palcach.

Policjant zdążył tylko otworzyć usta, nim pazury rozpruły mu z wściekłością gardło, wbijając się w piersi i dziurawiąc mundur, kamizelkę kuloodporną, skórę, mięśnie i wnętrzności.

Wytrysnął silny strumień krwi, a ciało zaczęło drżeć niczym pobudzone elektrycznością. Kawalki zdartej skóry fruwały w powietrzu, a zapach rozkładu był tak silny jak woń ziół w jakimś zagubionym świecie.

Pozostawił ciało w takim właśnie stanie, śmiejąc się w duchu z nieprzydatności noszonej przez policjanta kamizelki kuloodpornej, po czym poszedł po łuk, który pozostawił na chwilę w cieniu. Najpierw muszę oczyścić wielki hol, pomyślał. Nie spieszyło mu się. Tam na górze i tak na niego poczekają. Próbował sobie wyobrazić szeroką twarz Tomkina, ociekającą potem na myśl o tym, co się dzieje tu, na parterze.

Poruszał się niezauważalnie, niczym ciepły, nocny wiatr, przemykający się między słupami. W następnym sektorze natrafił na kolejnego tajniaka. Zaszedł go od tyłu i zarzuciwszy mu wokół szyi czarną nylonową linkę z grubym węzłem pośrodku, zaczął ją silnie napinać, tak by wrzynała się w grdykę policjanta. Mężczyzna wygiął się, próbując złapać oddech.

Saigo nie spodziewał się >kontakt. Gliniarz zamiast chwycić za linkę, wziął się za niego. Był potwornie silny i Saigo poczuł, że w zwarciu nic nie działo. Jego ręce, grube jak pień drzewa, owinęły się wokół pasa Saigo, zaciskając się tak samo jak linka wokół szyi. Nastąpił więc z całej siły na stopę przeciwnika, tak że tamten go puścił. Ale sam również się przewrócił, nie potrafiąc zapanować nad siłą odśrodkową.

Policjant ponownie go dopadł i choć ciężko sapał, to sama jego masa była oszałamiająca. Saigo zastosował ciosy „ręka-latawiec” i „ręka-miecz”, które tylko po części odniosły skutek, gdyż nie udało mu się wykonać niezbędnej dźwigni.

Spróbował więc się wycofać, powstrzymując się praktycznie od obrony, przyjmując na ciało potworną liczbę ciosów, ponosząc wielki wysiłek, opływając cały potem, który plamił jego czarny kostium. Przeklinał się w duchu za to, że był zbyt pewny siebie, i uwolniwszy prawą rękę, użył

noża sprężynowego. Ostrze wbiło się w ramię przeciwnika tuż pod obojczykiem. Tamten warknął z bólu i wbrew oczekiwaniom zaatakował Saigo z jeszcze większą siłą. Japończyk usłyszał odgłos pęknięcia i zrozumiał, że jego łuk został zniszczony.

Gliniarz cały swój wysiłek włożył w kolana, którymi przygniatał klatkę piersiową Saigo. I to był jego błąd. Ale skąd mógł wiedzieć, że Saigo potrafił wstrzymać oddech na ponad siedem minut.

Dzięki temu mógł się skupić na odsłoniętym torsie przeciwnika. Ze względu na ograniczone możliwości ruchu nie mógł niestety zastosować pazurów. Dlatego też naprężył palce prawej dłoni, tak że były sztywne niczym sztylet. Wbił je następnie w jego bok tuż pod żebrami. Jednak kamizelka kuloodporna zrobiła swoje i cios, choć bolesny, nie spowodował unieszkodliwienia policjanta.

W geście rozpaczy Saigo użył techniki *tettsui* i uderzył z całej siły w mostek, który pękł i przeciwnik osunął się na ziemię.

Saigo znów był górą i usiadłszy na grzbiecie policjanta, z powrotem zarzucił linkę na jego szyję, zaciągając ją całą siłą swych ramion.

Usłyszał gwizd, który był coraz głośniejszy, aż w końcu stał się niesłyszalny. Natychmiast ruszył z miejsca. Nagle poczuł jaskrawy rozprysk na prawej skroni i ogłuszony wykonał serię przewrotów po posadzce. Uwijał się, by skryć się w cieniu, śledzony dźwiękiem śmiercionośnych wystrzałów, odbijających się rykoszetem.

Kolejny snajper! Przykucnął pod osłoną grubego filara, słysząc ruch i zamieszanie, które nagle powstało w całej okolicy, przerywając spokój nocy. Krew płynęła z rany, więc automatycznie przyłożył w to miejsce dłoń. Było to tylko draśnięcie. Jednak przez swoją nieostrożność mógł wiele stracić. „Nie możemy popierać zażywania narkotyków, I jakichkolwiek - powiedział kiedyś *sensei*. Powodują one nieuchronne zawężenie pola percepcji, wzmagając jedynie odczucia jednostkowe, podczas gdy wydaje się, że jest zupełnie odwrotnie. Odczuwanie jednostkowe jest typową reakcją podczas długotrwałej walki, w szczególności w jej późniejszych etapach. Łapią się na tym nawet najbardziej doświadczeni wojownicy. Trzeba wówczas zastosować technikę «głowa szczura» lub «łeb bawołu». Gdy wyczuwamy, że koncentrujemy się na szczegółach, należy się wycofać i podejść do całego problemu od nowa”.

Taką właśnie pułapkę sam na siebie zastawił i padł jej ofiarą. W innej sytuacji nigdy by nie został ranny.

Nadal miał kłopoty z wyłapaniem wszystkich dźwięków, dlatego odbiegł gdzieś dalej od panującego zgiełku. Potrzebował chwili na zastanowienie.

Leżąc na jednym z przęseł we wnętrzu budynku, wyczuł jakiś ruch po swojej lewej stronie. Unoszący się nad nim częściowo wykończony hol ginał' gdzieś wysoko w słabym świetle, a czarna przestrzeń wypełniona powietrzem ciążyła mu, jakby znajdował się pod wodą.

Po raz pierwszy w czasie wykonywania zadania rozważał możliwość, że jego przeciwnicy są znacznie silniejsi, niż się na to przygotował. Czuł się bezradny i samotny, zupełnie jak tamtej nocy w dymiącym wietrze na wodach cieśniny, gdy żegnał się z czymś bliskim bez łzy w oku, ale cały drżąc. Zupełnie jak tego dnia, gdy ujrzał ciało swego martwego ojca. Kiedy nie było już na świecie jedynej mu bliskiej osoby, sens życia nadawało jedynie wypełnienie ostatniej woli zmarłego. Było to tak, jakby oddał władzę nad swoją osobą w ręce jakiegoś potężnego ducha, jakiegoś *jikiniki* - pozeracza istot. Być może był to jego własny ojciec. Zrozumiał ten fakt, choć nadal darzył Satsugai większym szacunkiem niż kogokolwiek, oprócz być może bohatera, na cześć którego nosił swe imię. Gdy czytał biografię tamtego, czuł, że dusza tego wielkiego patrioty zdomowiła się w ciele Satsugai. Zgodnie z tradycją buddyjską było to całkiem prawdopodobne.

Od najmłodszych lat pozostawał pod wpływem ojca, choć nigdy nie dotarł do etapu, w którym by sam określił, czego właściwie pragnie. Teraz wiedział, że nie pragnie już niczego. Ma jedynie, pewne zobowiązania do wypełnienia, które nieuchronnie zaprowadzą go do granic ostateczności.

Nie czuł ani samotności, ani strachu. Narkotyk rozszedł się po całym organizmie, wzmagając jego czujność. Jego mięśnie napinały się od rozpierającej je energii. Nadszedł czas, by wykonać kolejne posunięcie.

Gdy wyszedł z ukrycia, napotkał kolejnego policjanta, z odbezpieczonym automatem. Ujrzeni się w tej samej chwili. Lufa uniosła się, kierując się wprost na serce Saigo. Palec zaczął naciągać spust. Nagle spojrzawszy w oczy Saigo, policjant zamarł.

Stojąc nieruchomo jak posąg nie reagował, gdy Saigo uniósł do góry przypiętą do pasa czarną pałkę. Jego oczy wydawały się wpatrzone

w próżnię. Saigo przycisnął ukryty guzik i z końca pałki z sykiem wysunęło się dziesięciocentymetrowe ostrze, wdzierając się w rozdziawione usta policjanta, przebijając mu podniebienie, aż dotarło do mózgu. Ciało mężczyzny zawirowało, jego palec zakleszczył się na spuście, tak że poleciała krótka seria, kosząc śmiercionośnym łukiem.

Kiedy policjant ostatecznie padł na ziemię, Saigo już zniknął. Słyszał tupot nóg nadbiegających po podłodze wyłożonej terakotą, zachrypnięte głosy zdenerwowanych policjantów i szum krótkofalówek.

Okrażył obszar będący w polu widzenia drugiego snajpera, choć niebezpieczeństwo z jego strony było czymś niepokojącym. Tym bardziej że przeciwnik był pewnie równie mobilny jak on. *Haragei* chroniło go przed bezpośrednią napaścią, a w ciszy także przed kolejnymi pociskami, jednak z tej odległości nie dawało możliwości wycucia pozycji strzelca.

Chciał już ruszać na górę, ale wiedział, że nie może tego uczynić, nim nie pozbędzie się tej ostatniej przeszkody.

Wskoczył więc na kładkę poniżej antresoli. Dwa strzały, jeden po drugim, odbiły się od metalowej okładziny z jego lewej strony i gdyby nie był w ciągłym ruchu, co najmniej jeden z nich by go trafił.

Podbiegł kładką, koncentrując swą uwagę na tym co robił, podczas gdy jego umysł rozpracowywał lokalizację snajpera na podstawie błysków, które zauważył kątem oka podczas strzelaniny.

Następnie całe swe ciało oddał na usługi ostatecznego rozpracowania przeciwnika. Cały czas wypatrywał jakichkolwiek ruchów.

Przed nim rozciągały się dwie oświetlone połacie rozdzielone zaciemnionym obszarem. Aby je ominąć, musiałby z powrotem opuścić się o jedną kondygnację. Nie chciał tego robić, gdyż wówczas utraciłby rosnącą przewagę nad snajperem.

Stanął dwa metry przed pierwszym oświetlonym obszarem i nieruchomo przyglądał się ukształtowaniu całego otoczenia.

Wziął trzy głębokie oddechy i wystartował. Jedno odbicie, drugie i był w powietrzu, podkuliwszy nogi, jakby skakał z trampoliny, tak że przeleciał przez pierwszy obszar niczym kręcąca się kula.

Gdy już opadał na podłogę, usłyszał wystrzał z karabinu. Jednak w trakcie lądowania nie był w stanie powiedzieć, jak blisko kula przeleciała. Postanowił jednak nie ryzykować i gdy tylko stanął twardo na metalowej kładce, natychmiast wybił się ponownie w górę. Wydało mu się, jakby powietrze wokół gęstniało niczym w chmurze deszczowej.

Natychmiast wstrzymał oddech. Gdy wykonywał obroty w powietrzu, przez moment spostrzegł przed oczami matowy błysk od turlającego się pojemnika z gazem. Udało mu się

policzyć wystrzały, poczuł żar na jednym z ud, po czym znów wylądował w ciemnościach, stanął i rzucił się w stronę strzelca. Zignorował ból w prawej nodze, ograniczający i osłabiający siłę jego ataku.

Snajper, widząc biegnącą ku niemu postać w całej okazałości, nie złożył się do strzału, ale zastawił się bronią przez pierś, zasłaniając się nią niczym halabardą. Następnie pchnął ciężką kolbą w przód starając się zahamować przeciwnika, czując jakiś łoskot, gdy o coś uderzył, być może był to łokieć.

Cofnął się o jeden krok do tyłu i w bok, wykonując ścinający ruch lufą.

Saigo odtrącił ją jednak ramieniem, wykonując jednocześnie szeroki wykrok. Znalazł się tym samym w zwarciu i zastosował cios „ręka-latawiec”, uderzając krawędzią dłoni niczym kawałkiem betonu. Wszystkie żebra z prawej strony popękały snajperowi niczym skorupka od jajka.

Strzelec miał czas tylko jęknąć, jakby w zdziwieniu. Gdy jego głowa i tors przechyliły się z bólu do przodu, Saigo kopnął go, zahaczając stopą o nos. Skóra pękła i chrząstka oderwała się od napinających ją ścięgien. Z otworu w twarzy chlusnęła krew i policjanta spotkał ten sam los co jego karabin; spadał z kładki na posadzkę parteru.

Saigo biegnąc w podskokach, zmierzał w stronę schodów. Przy boku trzymał ukryty w pochwie miecz.

Na pewno go dorwali. Tyle hałasu.

Miał na myśli strzały.

Tomkin stał za biurkiem, z pierśią wypiętą do przodu niczym kulturysta. Mięśnie jego ramion były napięte, pięści opierały się blat.

Odgłosy broni automatycznej zabrzmiały jak seria grzmotów, wzmocniona i skierowana w górę przez kształt wysokiego holu wejściowego.

Nicholas, stojący przy metalowych drzwiach wejściowych, nawet się nie poruszył.

- Co ty o tym sądzisz, Nick?

Zdziwił się nagłą utratą pewności siebie Tomkina. Ostatni raz gdy się z nim widział, był spokojny i odprężony niczym człowiek wyjeżdżający na długi urlop. Teraz był kłębkim nerwów.

Stojąc na drugim końcu pokoju, Tomkin zdawał sobie sprawę z zagrożenia, był cały spocony. Zastanawiał się, czy dobrze było wchodzić w układy z *ninja*. Trochę za duże zamieszanie panowało na dole. Wiedział dokładnie, ilu ludzi rozstawił Croaker i jak byli uzbrojeni. Czy go dorwali? Dochodzące odgłosy sprawiały wrażenie, jakby tam rozgorzała wojna. A co będzie, jeśli tu dotrze? Jeśli mnie oszukał? Mój Boże, mogę liczyć tylko na Linneara, a ja go chciałem zdradzić.

Tomkin chciał już coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język. Nie mógł powiedzieć Nicholasowi, co zrobił, bez względu na to co by się stało. Włożył drżącą rękę do



kieszeni i przejechał spoconymi palcami po rozgrzanej powierzchni pistoletu. Czuł się nienormalnie, niczym pirania bez zębów wypatrująca zbliżającego się do niej rekina. Nie potrafił zachować spokoju. Lubił być zawsze górą kierując sprawami zza biurka, łagodząc spory na posiedzeniach zarządu, przekonując opornych kontrahentów zagranicznych; podczas gdy inni żyli zgodnie z losem, jaki on im gotował. Tym razem jednak to inni decydowali o jego losie i poczuł strach, którego nie zaznał już od szesnastu lat. To stało się w domu przy Gin Lane, w środku lata, gdy trawy na wydmach szeleściły na wietrze, a piasek rozpalony był niczym w hucie szkła, słychać było wzdychający wiatr i szum wzbierających i opadających fal, a potem jęki rozkoszy i pchnięcia, no i Gelda. Mój Boże, Gelda!

Serce zaczęło mu walić jak młot kowalski i coś jakby napierało na jego jądra, po czym poczuł przesuwaną się w nim wydzielinę i skurcze, jeden po drugim.

— Lepiej usiądź i zachowuj się tak, jak powiedziałem.

— Co? O czym mówisz?

— Siadaj, Tomkin. On zaraz tu się zjawi.

— Zjawi? Kto się zjawi?

— Saigo. *Ninja*.

Twarz Tomkina błyszczała w świetle wpadającym przez okna po lewej stronie. W samym pomieszczeniu były wygaszone.

— Nie dorwali go?

— Tak sądzę.

— Co się stało z tymi wszystkimi ludźmi? - Uważał, że będą stanowili zaporę ochronną. Nie mogli wszyscy tak łatwo się poddać.

Nicholas nie zrozumiał sensu jego wypowiedzi.

— Jestem zaskoczony, że się o nich martwisz. To nie był mój pomysł. Powinniśmy tu być tylko we dwójkę. Po co mają ginąć niewinni ludzie?

— Chcesz przez to powiedzieć - skwitował Tomkin, przesuwaną się trochę w stronę okna i zastanawiając się, czy Nicholas pójdzie jego śladem, tak jak sugerował *ninja* - że my, to znaczy ja i ty, i ten gliniarz, nie jesteśmy niewinni. Nicholas ani drgnął.

— Nie. Po prostu tu, na twoim prywatnym Olimpie, zwykła moralność nie obowiązuje. Gdy się człowiek przyzwyczai do patrzenia na ludzi z tej wysokości, to ich indywidualność staje się niewidoczna na tyle, że wydają się wszyscy tacy sami, niczym mrówki. A jakie znaczenie ma los pojedynczej mrówki dla historii świata? Nie warto się nawet nad nim zastanawiać.

— Zwariowałeś - powiedział Tomkin. - Nie wiem, do diabła, o czym mówisz. - Problem w tym, pomyślał, że wiem dokładnie, o czym on mówi. Palcami nacisnął skronie, zamykając powieki przed jaskrawym obrazem pojawiającym się przed jego oczami. Gelda i ta druga dziewczyna. Ale

jego tętno gnało! Nienawiść rozchodziła się po całym ciele niczym trucizna. Głowa mu pękała, jakby ją ktoś nadmuchiwał. Jak ona mogła... Wymierzył jej sprawiedliwość. Zasłużyła sobie na to. Jego umysł pracował niebezpiecznie szybko.

Gdzie zniknął czas beztrudnych zabaw? - pytał sam siebie. Wielkanocne polowania w stanie Connecticut, szkolne potańcówki, letnie wakacje pełne radości, gdy jego ładnie opalone córki wychodziły z morza wyglądając jak brązowe syreny.

Były już tylko na wypłowiałych zdjęciach, uwięzione między warstwami papieru Kodaka i odczynników, niczym raj utracony, który zniszczyła wielka powódź.

— Powiedziałeś, że niedługo tu będzie - Tomkin był wyraźnie przestraszony i musiał przełknąć, nim mógł dalej mówić. - Co wtedy zrobisz?

— Siadaj - powiedział Nicholas. - Chcę, byś się odsunął od okna.

— Muszę wiedzieć! - krzyknął Tomkin. - Tu chodzi o moje życie!

— Siadaj, Tomkin. - Nicholas mówił jeszcze ciszej niż do tej pory. - Jak będziesz tak wrzeszczał, to on tu zaraz się zjawi.

Tomkin przypatrywał mu się przez dłuższą chwilę. Skryte pod marynarką płuca pracowały z wysiłkiem. Nagle usiadł.

Nicholas odwrócił głowę w stronę tylnej części biura. Obok wejścia do łazienki był wąski korytarz prowadzący do skrzynek sieci elektrycznej i klimatyzacyjnej dla całego piętra, a dalej do pomieszczeń biurowych na drugim końcu piętra.

Nie wierzył w to, by Saigo próbował wejść głównymi drzwiami. Po pierwsze dlatego, że były zbyt masywne i powoli się rozchylały. Zbyt wiele wysiłku i czasu zajęłoby ich pokonanie. Nie mógł oczywiście wykluczyć parapetu po zewnętrznej stronie okien, ale jak w większości nowoczesnych wieżowców zastosowanie klimatyzacji wykluczyło montowanie otwieranych okien. Można je było oczywiście z łatwością wybić, ale droga ta zajęłaby wiele czasu i co gorsza spowodowałaby ogromny hałas.

Logicznie myśląc, należało się więc spodziewać ataku od tylnej strony biura. Przez chwilę rozważał możliwość ustawienia się w lepszym miejscu, na przykład ukrycia się w przegrodzie urządzeń klimatyzacyjnych. Ale jeżeli przypadkiem Saigo wybrałby jednak inne przejście, to mogłoby nie zdążyć stanąć mu na drodze, a na takie ryzyko nie mógł sobie pozwolić.

Co do tego, że Saigo do nich zmierzał, nie miał żadnych wątpliwości.

Panowała cisza, słychać było tylko delikatny szum tła, jak to bywa po przejściu huraganu. Przy zamkniętych szczelnie drzwiach nie dobiegało do nich nic z ulicznego zgiełku, tym bardziej że wszystkie okna były już na stałe zamontowane.

Słyszał, jak Tomkin ciężko oddycha, zupełnie jakby miał astmę, z lekko rozwartymi ustami. W miejscu gdzie siedział za biurkiem, panował całkowity mrok.

- Przesuń się w prawo - powiedział spokojnie Nicholas. - Z krzesłem. O tak, dobrze. -  
Odwrócił głowę. - A teraz nie ruszaj się.

Wpadające światło rozjaśniło część siwych włosów na głowie Tomkina.

Było ich pełno.

Ale wcale się temu nie dziwił.

Dwóch stało przy wejściu do klatki schodowej, trzech kolejnych przy windzie.

Najłatwiejszym sposobem byłoby zastosowanie hipnozy. Koncepcja ta była wygodna i poniekąd ironiczna. Pomyśl, że jeden z tajniaków zawiózłby go osobiście windą na górę, nawet mu się spodobał. Ale wymagało to szczególnych okoliczności. Gdyby miał więcej czasu, z pewnością by je stworzył. Jednak w obecnej chwili uważał, że nie ma na to czasu. Po pewnym czasie zapaliliby wszędzie światło, zobaczyli, jakie ponieśli ofiary i poprosili o dodatkowe wsparcie. Wolał nie ryzykować przedzierania się przez kordon uzbrojonych po zęby policjantów, czyhających tylko i wyłącznie na niego.

Nie wątpił, że mógłby temu zadaniu sprostać, ale po co miał ryzykować, skoro nie było takiej potrzeby.

Kryjąc się w cieniu zaułka, wyciągnął z za pasa cztery poduszcзки. Następnie uważnie je przywiązał po jednej do każdej podeszwy i wewnętrznej strony dłoni. Przewiesił miecz przez plecy. Nie mógł teraz wykonać ruchu, bez zwrócenia na siebie uwagi, gdyż z każdej poduszki wystawały ustawione w odpowiedni sposób pięciocentymetrowe kolce.

Odwinął ze swej talii długi sznur nylonowy, obciążony z jednego końca małym ostrym hakiem. Rozejrzał się, wypatrując szczegółów architektonicznych holu, który już wstępnie zdążył poznać, pracując jako robotnik. W końcu natrafił na to co chciał i zaczął kręcić obciążonym końcem nad głową.

Puścił koniec sznura, który uniósł się wysoko w powietrze i owinał wokół poprzecznej belki. Była ona na tyle blisko ściany, że gdy poderwał się do góry, został siłą rozpędu przerzucony na drugą stronę. Uniósł nogi do góry, tak by stopy były prostopadłe do kierunku ruchu. Natrafił na ścianę i poczuł szarpnięcie, w momencie gdy kolce wbijały się w podłogę ze sztucznego marmuru.

To była jedna z najstarszych technik *ninjutsu*, wykorzystywana od wieków do pokonywania murów obronnych. Żadna ściana, niezależnie od tego jak stroma, nie mogła być przeszkodą dla *ninja*.

Posuwał się w górę z oszałamiającą szybkością. Był niczym mucha na ścianie, niewidoczny z dołu, nawet gdyby ktoś przypadkiem spojrział w tę stronę. Znowu był całkowicie bezpieczny.

Dla zaskoczonych i zszokowanych funkcjonariuszy, kręcących się na parterze, wyglądało to tak, jakby nagle po prostu zniknął, i tak też zameldowali przez radio Croakerowi.

Narkotyk oddziaływał już z całą siłą. Jego wyczucie najbliższego otoczenia było całkowite. Wdrapując się po ścianie, mógł operować wszystkimi zmysłami jednocześnie.

Jakieś ciche dźwięki, szorstkie i odbite, dobiegały go z dołu, przenoszone specyficzną akustyką wnętrza budynku. Było to o tyle dziwne, że ze swej obecnej pozycji słyszał lepiej, niż jakby był na dole: ludzkie głosy, tupot nóg w nerwowym poszukiwaniu karetek. Im już nic nie pomoże, pomyślał. Słowa padające bez odpowiedzi. Krótkofalówka, pomyślał. Nieważne.

Pył, który wzburzało jego przejście, unosił się w prawie nieruchomym powietrzu, w promieniach światła wyglądając niczym mikroskopijny cyklon.

Na górnym piętrze panowała cisza, stało się tak za sprawą Nicholasa, dlatego nalegał, by żaden z ludzi Croakera tam się nie pojawił. Jakiegokolwiek dźwięki mogły się stać jego największym wrogiem.

— Chciałbym - powiedział do Tomkina dużo wcześniej - abyś odwrócił się do niego tyłem, gdy się już tu zjawi. Dasz radę to zrobić? - Pytał, bo jedną z najtrudniejszych rzeczy, jakie mogły się człowiekowi w życiu przytrafić, było odwrócenie się tyłem do zabójcy. Ale w tym przypadku było to niezbędne. Nicholas obawiał się tego, co może zdziałać sztuka *kuji-kiri* wobec Tomkina. Na przykład nakłonić go, by wybił szybę i wyskoczył przez okno.

— Chyba tak.

Znów wyczuł w głosie Tomkina strach, dający do myślenia.

— Czy właśnie w tym miejscu będziesz stał, gdy on się tu zjawi?

— Już ty sobie tym głowy nie zaprzataj. Pamiętaj tylko o tym, co powiedziałem. Jeżeli zaczniesz robić coś po swojemu, to istnieje duża szansa, że będziesz martwy, zanim to poczujesz. To nie miejsce, by zgrywać twardziela.

— A co ty o tym wiesz? - Tomkin zdał sobie sprawę, że część jego strachu wynika z tego, że w Nicholasiu odnalazł jakby bratnią duszę. Nie miał ani wiedzy, ani odpowiedniego wycucia, by zrozumieć, z czego to wynika, wiedział tylko, że tak jest. Był osobą niebezpieczną, niczym dzikie zwierzę trzymane w ryzach pod delikatną powłoką człowieczeństwa. Tomkin aż bał się pomyśleć, co by się stało, gdyby tej powłoki zabrakło. Być może dlatego chciał się z nim dzielić swoimi tajemnicami, ale nigdy nie mógł się w końcu przemóc, by to zrobić. Byli sobie bliscy i dlatego oceniał Nicholasa w tych samych kategoriach co siebie. Zrobiłby wszystko, by siebie uchronić, dlatego też...

— Wiem coś na ten temat. Całe życie taki byłem. To źle wpływa na człowieka. Zatraca się wycucie w wielu sprawach.

— Co masz na myśli? - pytał, choć czuł, że zna odpowiedź.

— Czuję się tak, jakbym od lat zażywał środki znieczulające. - Na chwilę zamilkł, przekręcając głowę, tak że widać było, że nasłuchuje jakiegoś odległego dźwięku, aż Tomkin poczuł, że ściska go w dołku. Czy on już nadchodził? Boże, jak bardzo chciał pobiec do łazienki!

— Twoja córka jest niezwykła.

— O kim mówisz, o Justine? - Tomkin zachnął się, czując się od razu lepiej, gdy zmienił temat rozmowy. - Jasne, jeżeli dla ciebie wariaci są niezwykli. Bo dla mnie nie.

— Ty naprawdę jesteś szalony, mam rację? - Przez moment zapanowała cisza, gdy wypatrywali się w zaciemnionym pomieszczeniu. Nicholas zastanawiał się, czy Croaker to wszystko słyszał i śmiał się z nich.

— To rzecz dyskusyjna, nieprawda? - powiedział Tomkin, wycofując się ze zwarcia. W takiej chwili nie wypadało się kłócić z Linnearem. - Chciałem przez to wyrazić, że miałem z nią wiele problemów. Ty ją znasz od niedawna. Ale przypomnij sobie - zastukał palcem wskazującym w blat biurka - przecież to ja powiedziałem ci, gdzie ona jest, tak czy nie? To ja ci pomogłem ją odnaleźć. Chciałbym, aby wam się powiodło, już ci to mówiłem i nadal podtrzymuję. Ty jesteś dla niej właściwym facetem. Masz na tyle silny charakter, że ją powstrzymasz od...

— Wcale jej nie znasz - powiedział Nicholas. - Ona ma charakter silniejszy niż wielu znanych mi facetów. - Chciał, by słowa te zabrzmiały wyraźnie. Jeżeli to była z jego strony prowokacja, to Tomkin nie dał się na nią złapać.

Być może zmieniła się. Muszę szczerze przyznać, że już od dawna jej nie widziałem. Pewnie nadal myślę o niej jak o małej dziewczynce. Gelda, jej starsza siostra, zawsze była bardziej samodzielna, nawet gdy obie były jeszcze dziećmi, i też bardziej towarzyska niż Justine. - Towarzyska, pomyślał, to na pewno. Zaśmiał się w duchu ze swoich słów. Pieprzyła się z innymi babkami. Boże, gdzie ona się tego nauczyła? - Obawiam się, że nie jesteśmy zbyt zżyłą rodziną. - No bo jak, u diabła, moglibyśmy nią być? - Moje córki nie są ze mną w najlepszych stosunkach. Żałuję tego bardzo, choć można się było spodziewać, że tak się stanie. Gdy rodzice nie mają dla nich zbyt wiele czasu - Nicholas wyczuł, jak Tomkin wzruszył ramionami - dzieci nieuchronnie odwracają się od rodziców i szukają bratniej duszy wśród innych. - Przestał pukać palcami w biurko. - Można powiedzieć, że moje córki, w pewnym sensie, zatrzymały się w swoim dojrzewaniu. No cóż.

Od dłuższego czasu milczeli. Panowała zupełna cisza, całkowicie nie przystająca do wielkomijskiego zgiełku. Tak jakby świat zewnętrzny w ogóle nie istniał. Żyli we własnym świecie, w którym prawa natury nie obowiązywały. Otaczające ich wąskie korytarze, niczym tajemne przejścia w piramidach, przejęli we władanie bogowie śmierci. Lata mijały niczym brązowe liście opadające jesienią z drzew.

Nadchodzi, pomyślał Nicholas. Nareszcie nadchodzi.

Odnosił się do pierwiastka ziemi, *Dai-en-kyo-chi*, zgodnie z tym co nauczała sztuka *Akai ninjutsu*: „Wiedza wszechogarniającego zwierciadła”. To była jego broń, zaczął więc recytować *Shu-ji*, mantrę złożoną ze słów-kluczy, która miała go wprowadzić w stan pełnej gotowości do walki na śmierć i życie.

A w chwilę po tym, jak usłyszał delikatny odgłos, gdy Saigo wkroczył na ich kondygnację, dobiegł go szczełk miecza dobywanego z pochwy.

Croaker, pomyślał Nicholas, lepiej mi się teraz w to nie wpięprzaj. Ostrzegałem cię. To jest sprawa między mną a Saigo i niech Bóg ma w opiece tych, którzy chcieliby nam przeszkodzić.

Na piętrze nastąpiły jakieś ruchy. Ale nikt ich nie wyczuł oprócz Nicholasa. To było właśnie

*haragei*, czuł, jak tamten się zbliża. Miał na sobie cienką czarną jedwabną bluzę i bawełniane spodnie. Trzymał miecz oburącz, przyjmując postawę *heppo biraki*, czyli „otwarcie na osiem stron świata”, która była jedną z technik opracowanych przez Miyamoto Musashiego ponad trzysta lat temu. Stanowiła ona skuteczną osłonę przed jakimkolwiek atakiem, co zostało jednoznacznie udowodnione na długo przedtem, nim przyszedł na świat.

Energia gromadziła się w nim, jakby był podłączony do jakiegoś generatora. Noc żyła własnym życiem, jakby miała duszę, zmierzając w nieznanym kierunku.

Na wszystko patrzył jak na części większej całości, którą stanowiło obecnie to piękno. Meble, ich wysokość, szerokość i grubość, obrazy, urządzenia, cały ten świat szczegółów, wokół których odbędzie się finał ich pojedynku rozpoczętego tak dawno temu.

Drgnął jakiś cień i Nicholas zrozumiał, że Saigo znajduje się w wąskim korytarzyku. Ruszył w tamtą stronę, trzymając miecz uniesiony wysoko w górę, z głębi płuc wydając okrzyk bojowy.

Jego nozdrza wzdęły się i w połowie drogi wykonał przewrót w bok z dala od wejścia do korytarzyka. Wyczuł rozchodzący się zapach, zanim nawet usłyszał brzęk pojemnika turlającego się po ziemi.

Skorzystał z tego, że drzwi do łazienki były otwarte. Błysk był znikomy, ale wstrząs wzmocniony echem małego pomieszczenia straszny. Wyczuł, że Tomkin poderwał się z miejsca i spojrzał w ich stronę.

Saigo był już w środku, wykorzystawszy wybuch dla odwrócenia od siebie uwagi. Natychmiast ruszył w stronę Tomkina.

- Odejdź odemnie! - krzyknął Tomkin, zasłaniając się rękoma. Zdał sobie sprawę, że mógł zginąć na dziesięć sposobów, nim zdążyłby sięgnąć po broń. - On jest tam! - krzyknął wskazując nerwowo na Nicholasa.

Saigo nic nie powiedział, ale jego oczy pały złością mrozącą krew w żyłach, tak że Tomkin cały drżał ze strachu. Po raz pierwszy w życiu rozmyślał o śmierci jako o czymś realnym i całkiem prawdopodobnym. Zaraz zginę, pomyślał, widząc w osobie Saigo coś niezwykłego. Tak mogłoby być, gdyby wierzył w tego typu sprawy, w diabła, który się zjawia po kolejną duszyczkę. Ujrzał przeraźliwy błysk stalowych pazurów, wysuniętych z lewej dłoni, która była uniesiona i zaczynała opadać w stronę jego klatki piersiowej, w której już i tak działo się piekło.

Nagle, w mgnieniu oka, *ninja* został odtrącony w bok, ale już się turlał po podłodze w stronę okien.

Nicholas podbiegł za obracającym się ciałem, z opuszczonym prawym barkiem, trzymając miecz oburącz przed sobą.

Saigo po wykonaniu przewrotu natychmiast wstał, twarzą do Nicholasa. Lewą ręką wyjął własny miecz z pochwy, a prawą czymś rzucił.

Nicholas jednocześnie wykonał unik i odskoczył. Kulka wielkości groszku poleciała w górę. Odbiła się od podłogi przed biurkiem. Jednak Saigo nie odzyskał jeszcze w pełni równowagi i pocisk zamiast przelecieć nad biurkiem, odbił się od wystającego blatu i wrócił w to samo miejsce.

W tym momencie nastąpił wybuch, który wytrącił miecz z rąk Nicholasa i rozerwał na strzępy cały przód biurka oraz otaczającą je wykładzinę.

Saigo natychmiast rzucił się w stronę przeciwnika, który dopiero co przychodził do siebie po wstrząsie spowodowanym wybuchem.

Kątem oka Nicholas dojrzał nadbiegającego. Był w trudnej sytuacji. Żadna typowa obrona nie miała w jego położeniu zastosowania, zwłaszcza w przypadku ataku ze strony takiego przeciwnika jak Saigo. Bez większego namysłu podjął decyzję. Podrzucił swe ciało do góry, wykorzystując całą siłę dłoni, ramion i barku, i obróciwszy się, uderzył stopami w dłonie Saigo zaciśnięte wokół rękojeści miecza. Skręt dodał uderzeniu siły, tak że miecz wypadł z uchwytu i poleciał na bok.

Saigo rzucił się do przodu z wyciągniętymi pazurami, na co Nicholas odpowiedział ciosami „ręka-miecz” skierowanymi w wątrobę i śledzionę i choć nie trafił, zablokował przynajmniej *ciosy* przeciwnika.

Saigo natychmiast starał się trafić w serce ciosem „ręka-latawiec”. Cios ten, poza tym że był śmiertelny, pozwalał przełamać sytuację patową, która była na rękę Nicholasowi. Każda chwila, o którą przedłużało się *ich starcie*, sprawiała, że ucieczka Saigo po wykonaniu zadania była coraz trudniejsza.



Saigo zignorował „cios węża” skierowany w jego mostek, zagryzając zęby z bólu, tak by mieć czas wkonać to co chciał. Był zdziwiony techniką jaką prezentował Nicholas. Niektóre ciosy wywodziły się z *ninjutsu*, ale ze stylu, z jakim się jeszcze nie spotkał. Czy mógł to być styl *Akai ninjutsu*? Przez jego głowę przemknęła szalona myśl. **To by miało pewien sens. Na Buddę! Walczyli więc jak *ninja* przeciwko *ninja*.**

Uwolnił się z „chwytu czterech dłoni”, który zastosował Nicholas i był gotów na to, by wykonać cios „ręka-latawiec”. Za moment Nicholas będzie martwy, niezależnie od swoich umiejętności.

Oderwał się jednak i rzucił na ziemię w chwili, gdy rozległ się nad nim gwizd pocisku przelatującego tam, gdzie jeszcze przed chwilą trzymał głowę. A więc byli tu we trójkę. Klął siebie za to, że tak podniecił się faktem odkrycia tajemnicy Nicholasasa. Jego umysł był tak zajęty, że nie wyłapał obecności trzeciej osoby. Gdzie też on stał?

Ale Nicholas wykonał w jego stronę kolejny cios, dając mu wystarczająco dużo roboty, by musiał skupić całą swą uwagę na walce.

Z szalonym trudem odparował wszystkie ciosy Nicholasasa i rzucił się w miejsce, gdzie leżał jego miecz. Nicholas natychmiast rzucił się za nim i wykorzystując całą długość swego ciała, chwycił palcami za kostki Saigo. Obaj wpadli z hukiem na deskę kreślarską. Saigo chwycił miecz. Kolejny pocisk odbił się rykoszetem od narożnika deski, sypiąc drzazgi wprost w jego twarz, tak że odskoczył, klnąc.

Nicholas chwycił go za rękę, ostrożnie wypatrując ostrzy, które w każdej chwili mogły trafić go w twarz. Aby wyprowadzić Saigo z równowagi zmienił nagle styl, gdyż słysząc podobnie jak jego przeciwnik szum nadjeżdżających wind wiedział, że ludzie Croakera nie będą drugi raz ryzykowali i z miejsca użyją gazu łzawiącego.

Saigo wiedział, że czas, który miał na wykonanie zadania, przedłuży się ponad miarę. Na dodatek pojawił się czynnik, którego w ogóle nie brał pod uwagę. A Nicholasowi wystarczyła sytuacja patowa, podczas gdy on...

Zaatakował serią szybkich ciosów skierowanych w grdykę Nicholasasa, lecz zostały one sparowane i wtedy zaczął się denerwować. Jego umysł pracował błyskawicznie, ale ciągle wracał do tego samego. Jeżeli nie mógł zabić obu naraz, musiał trafić co najmniej jednego z nich, a drugiego załatwić innym razem. Wybór był oczywisty.

Przepuścił dwa kolejne ciosy i przewrócił się, udając, że zwija się z bólu. Sięgnął prawą ręką za pas i wyjął kolejną kulę. Tym razem rzucając nie mógł popełnić błędu.

Lekko odchylił głowę, by zobaczyć, gdzie stoi Tomkin, ale Nicholas wiedział od razu co się święci. Oderwał się od Saigo i rzucił się przez

biurko w tym samym czasie, gdy jego przeciwnik miotał kulką prosto w nieruchomego Tomkina; usłyszał, jak obok nich spada ładunek. Odpychając Tomkina, przesunął za siebie nogą masywny fotel z wysokim oparciem. Jednocześnie usłyszał wystrzał i coś na kształt grzmotu pioruna. Rzucił się na ziemię w chwili, gdy nastąpił wybuch.

Najpierw zajarzyło się zielono-biało-żółtym światłem, po czym nastąpiła eksplozja, najpierw sama fala uderzeniowa, a potem brzęk resztek mebli, opadających niczym gradobicie.

Nicholas przekręcił się na plecach i usiadł.

- Co...?

Położył rękę na głowie Tomkina i przytrzymał ją w dole.

- Zamknij się - warknął.

Ujrzał głowę Croakera wystającą zza długiej kanapy.

— Chryste Panie! - Wstał. - Czy z Tomkinem wszystko w porządku?

— Całkowicie - powiedział Nicholas, wiedząc jak mało brakowało, by tamten zginął. Miał wyrzuty sumienia, że pozwolił Saigo uciec. Po tylu latach czekania chciał go zabić sam, ale nie miał wystarczająco dużo samozaparcia. Choć w pewnym sensie było to szczęśliwe. Saigo doznał szoku, gdy zdał sobie sprawę, że Nicholas też jest *ninja*. Miał z tego chociaż tyle, lecz wiedział, że następne starcie będzie tym trudniejsze. Dzisiaj nie był w odpowiedniej formie.

— O Boże! - odezwał się znowu Croaker i Nicholas spojrział w to samo miejsce. - Nie wierzyłem swoim oczom, gdy ujrzałem to przed wybuchem, ale teraz...

W miejscu trzeciego okna od końca sterczały już tylko resztki szyby. Podłoga była zasypana odłamkami szkła, które podmuch nocnego wiatru uniósł z powrotem do środka.

- Pierdolnięty - powiedział Croaker, chowając rewolwer do kabury. - Facet był albo pierdolnięty, albo to samobójca. - Odwrócił się w chwili, gdy metalowe drzwi otworzyły się, po czym kazał swym ludziom się wycofać. - Wracajcie na dół - powiedział do sierżanta z rozczochraną czupryną. - Sprawdźcie, czy z tego skurwysyna zostały na chodniku jakieś resztki, które można by odwieźć do kostnicy.

Nicholas podszedł do wybitego okna i spojrział w dół. Croaker stanął obok.

- Nic stąd nie widzę - powiedział - oprócz tych pieprzonych „kogutów” na radiowozach. - Miał na myśli dziesiątki migających lamp na pojazdach, których zjechała się ogromna liczba.

Tomkin stał za nim otrzępując garnitur, zniszczony, wypłowiały od wybuchu, jakby miał już kilkadziesiąt lat.

Croaker wyszedł z gabinetu, nie spojrzawszy nawet na niego.

- Nick. - Po raz pierwszy w życiu głos Tomkina stracił na pewności. - Czy on nie żyje?

Nicholas nadal wyglądał na dół. Widział coraz większy ruch i zapalające się w budynku światła. Znaleźli ciało.

- Uratowałeś mi życie. - Tomkin odchrząknął. - Chciałbym ci za to podziękować. - Być może Nicholas nie usłyszał tego, co powiedział temu wariatowi. Był głupcem, że wszedł z nim w konszachty. Najbardziej bolał go fakt, że bez cienia wątpliwości, gdyby nie obrona Nicholasa, leżałby teraz martwy. Ku swemu zmartwieniu stał się więc jego dłużnikiem. Był na siebie coraz bardziej wściekły, momentami nienawidząc się równie mocno co tamtego dnia wiele lat temu, gdy podniósł się, cały sztywny i klejący się od potu, z rozłożonego ciała swojej córki, przy asyście palącego słońca i odgłosu uderzających fal. W ich domu na Gin Lane.

Gdy Nicholas znalazł się na ulicy, zobaczył, że resztki ciała zostały już włożone do torby na zwłoki. Zatrzymał ich, nim włożyli je do karetki, zresztą jednej z wielu. Zastępca lekarza sądowego, jasnowłosa kobieta z różową cerą, spojrzała pytająco na Croakera, który kiwnął w odpowiedzi głową.

- Po takim upadku niewiele z niego zostało - powiedział Croaker bez emocji.

Miał rację. Z głowy Saigo pozostały tylko strzępy, jego twarz była zmiażdżona. Jedno ramię wydawało się rozbite, a kręgosłup złamany w dziwny sposób.

- Nogi ma jak galareta - powiedział Croaker z zadowoleniem w głosie. - Żadna kość nie ostała się w całości. Tak, pani doktor?

Lekarka kiwnęła ze znużeniem głową.

- Zabierzcie ciało - powiedział. - Jest już po oględzinach. Ja mam tu jeszcze robotę z pozostałymi. - Odwróciła się i Nicholas ujrzał cały rząd noszy, wyłaniających się kolejno z budynku.

Na pobladłej twarzy Croakera widać było zmęczenie, gdy jego oczy próbowały zliczyć ofiary.

— Czterech zabitych, Nick. - Jego głos był zachrypnięty. - O tych wiemy na pewno. Dwóch kolejnych zaginęło, no i kilku jest pod opieką po zatruciu gazem. Twój kumpel Saigo zabija ludzi częściej, niż ja jem posiłki. - Przetarł dłonią twarz. - Cieszę się, że już po wszystkim. Do diabła, jak ja się cieszę.

— Przykro mi, że tak to musiało się skończyć - powiedział Nicholas.

— Tylko nie mów mi, iż mnie ostrzegałeś, że tak będzie.

— Wcale nie to miałem na myśli. Po prostu nagle go nie ma. Mogę się zająć własnymi sprawami. Chcę zobaczyć się z Justine.

— Dlaczego on skoczył?

— Był wojownikiem. Dla niego tylko śmierć podczas walki miała sens.

- Nie rozumiem takiego podejścia do życia. Nicholas wzruszył ramionami ze zrozumieniem.

— Nieważne ~~ Rozejrzał się. - Czy znaleźliście jego *katana*? Chciałbym go sobie zachować.

— Jego co?

— Chodzi mi o miecz.

— Ach, o to. Nie. Jeszcze nie wszystko znaleźliśmy. Na pewno gdzieś tu jest. Znajdziemy go.

— Zresztą nieważne. Croaker spojrzał na Nicholasa.

— Chyba twój szef cię szuka.

Nicholas odwrócił się i z uśmiechem powiedział:

- Chciałeś powiedzieć, były szef.

Tomkin stał przy otwartych drzwiach swojej limuzyny, jego ubranie było całe w szaroczarnych plamach. Przy nim stał Tom, służaczko trzymając drzwi. Samochód był cały czas na chodzie. Syreny karetek głośno zawodziły, jakby w hołdzie zmarłym. W miejscu gdzie stali, noc była aż jasna od reflektorów.

- Posłuchaj - powiedział Croaker chwytając Nicholasa za ramię i odciągając na bok. - Nim sobie pójdziesz, chcę, abyś wiedział, że otrzymałem wreszcie informację, na którą czekałem. Ta druga babka, która była w mieszkaniu Angeli Didion, tamtej nocy gdy ją zamordowano. Wiem gdzie się ukrywa.

Nicholas spojrzał na niego, a potem na Tomkina stojącego w milczeniu przy limuzynie.

— Nie zamierzasz tej sprawy odpuścić, prawda?

— Nie mogę. Muszę go za to przyskrzynić. Powinieneś mnie zrozumieć. To kwestia honoru. Jeżeli tego nie zrobię, to on zawsze będzie bezkarny.

— Ale czy jesteś pewien, że to to?

Croaker wsadził do ust wykałaczkę. Jego oczy były ciemne. Na jego twarzy tego wieczoru znaczyło się większe przemęczenie niż dwa dni wcześniej, choć być może było to tylko złudzenie. Opowiedział Nicholasowi szczegóły rozmowy z Mattym Gadułą.

- Myślałeś, że ja się tak po prostu rzucam, jak gadałem z Tomkinem, prawda? Matty nie wiedział, kto oprócz niego węszył wokół tej sprawy, ale założę się, że robił to Frank. Może widywałeś go ostatnio? Nie? To spytaj swego byłego szefa, gdzie się Frank podziewa, dobra?

— Nic nie będziesz w stanie powiedzieć, dopóki z tą babką nie pogadasz.

— Tak. Dlatego wyrywam z miejsca do Key West. Choć w pracy powiedziałem, że jadę na od dawna odkładany urlop.

— Mam nadzieję, że wiesz o co grasz.

Odjechała właśnie ostatnia z karetek, wyjąc syreną na cały głos. Przez chwilę oświetleni zostali wiązką obracającego się czerwonego światła. Po chwili karetka skręciła i zniknęła z pola widzenia. Nagle zrobiło się znowu ciemno, jakby nadchodziła burza.

— Dziwna uwaga - powiedział Croaker - ze strony człowieka takiego jak ty.

— Nick! Idziesz już? - Głos Tomkina dobiegł ich jakby z zaświatów.

— Jeszcze chwilę! - odkrzyknął Nicholas bez oglądania się. Po czym zwrócił się do Croakera.

— Wpadniesz do Geldy przed wyjazdem?

— Nie mam na to czasu. Zadzwońię do niej. A poza tym numer, który mi podała, ma kod kierunkowy 516. Więc i tak nie zdążyłaby tu szybko wrócić. - Przez chwilę patrzył na ziemię.

— Chciałbym jej tylko powiedzieć, że już po wszystkim. Wiesz - dodał, gdy Nicholas już odchodził - powinieneś zrobić to samo. Justine pewnie umiera ze zdenerwowania.

Gdy Tomkin zobaczył, że Nicholas już idzie, wsiadł do środka. Tom przytrzymał drzwi, dopóki nie wsiadł również Nicholas, po czym zamknął je delikatnie i poszedł zasiąść za kierownicą.

Nocny zgiełk pozostał poza dźwiękoszczelnym wnętrzem. Silnik pracował cicho. Była włączona klimatyzacja.

Przed budynkiem kręciło się jeszcze sporo policji. Nicholas widział, jak Croaker rozmawia z młodo wyglądającym funkcjonariuszem. Pokiwał głową w odpowiedzi na jakieś pytanie i wskazał na wnętrze biurowca.

- Jestem ci wdzięczny, Nick. - Tomkin położył rękę na górnej krawędzi oparcia, ściskając lekko palce.

- Naprawdę. Jutro się zgłosisz do mnie po swoją gażę. Plus ekstra premię. Zasłużyłeś sobie na nią.

Nicholas siedział w milczeniu trzymając swój schowany w pochwie miecz na kolanach. Miał głowę przechyloną do tyłu i zamknięte oczy.

— No i pogadamy - mówił dalej Tomkin - na temat twojej dalszej pracy w firmie.

— Nie jestem nią zainteresowany - powiedział Nicholas. - Ale dzięki za pamięć.

-Och, nie powinieneś podejmować żadnych pochopnych decyzji. - Jego głos stał się mniej dosadny. Choć nadal był jednoznaczny, pełen serdeczności. - Przydałbyś mi się. Na jakimś poważnym stanowisku. Masz nie lada zdolności. - Tomkin przez chwilę milczał. Nawet z zamkniętymi oczyma, Nicholas wiedział, że go obserwuje.

- Co byś powiedział na wyjazd do Japonii?

Nicholas otworzył oczy, patrząc prosto w dzielącą ich od kierowcy szybę z pleksiglasu.

— Mogę tam pojechać bez twojej pomocy - powiedział spokojnie.

— To fakt - przyznał Tomkin. - Masz całkowitą rację. Mógłbyś wykupić bilet na dziś wieczór i być na miejscu za dziesięć godzin. Ale gdybyś to zrobił ze mną, mogłoby to oznaczać pensję w wysokości co najmniej, powiedzmy, ćwierć miliona dolarów.

Nicholas spojrzał na Tomkina.

- Mówię całkiem serio. To, że zginął ten *ninja*, nie oznacza, iż nie mam innych problemów.

Wręcz odwrotnie. Potrzebuję eksperta, który...

Nicholas podniósł dłoń.

— Beze mnie, Tomkin. Tamten wzruszył ramionami.

— Tak czy inaczej przemyśl to sobie. Masz teraz dużo czasu. Patrząc do tyłu Nicholas zauważył, jak Croaker wsiada do samochodu.

Tomkin odezwał się do kierowcy.

- Pojedź na Trzecią Aleję. Chcę coś przekąsić, nim podzucimy do domu pana Linneara.

Limuzyna ruszyła z miejsca, skręcając w lewo na alei Parkowej, wokół wysepki, tak by mogli pojechać na wschód ulicą biegnącą wzdłuż południowej ściany wieżowca. Nicholas zobaczył, jak Croaker rusza za nimi, by udać się co centrum i złożyć do akt meldunek o całym zajściu, zanim pojedzie na lotnisko La Guardia.

- Jak się czuje Justine? - spytał Tomkin.

On naprawdę jest pozbawiony wszelkich skrupułów, pomyślał Nicholas. Chciał pojechać do domu, by móc do niej zatelefonować.

- Czy kazałeś mnie śledzić w tej dyskotecie? Tomkin zaśmiał się sztucznie.

- Ależ nie. Wiedziałem, że od razu byś to wyczuł. Po prostu moja ojcowska intuicja mówi mi, że tam poszedłeś.

Gdyby to nie było takie żalodne, to pewnie by go rozśmieszyło.

— W porządku.

— To dobrze, cieszę się.

Światła zmieniły się i ruszyli do przodu. Tomkin odchrząknął. Miał już coś powiedzieć, ale się rozmyślił. Byli na wysokości wieżowca. Reszta policjantów stała na nie wykończonym chodniku i rozmawiała między sobą.

- Nick, wiem, że ty mnie zbytnio nie lubisz, ale mimo to chciałbym cię prosić o przysługę.

Nicholas nic nie odpowiedział. Patrzył przez okno na znikający w tyle biurowiec.

- Chciałbym... to znaczy nie chciałbym utracić kontaktu z Justine. Nie wiem już co mam począć i pomyślałem, że może ty mógłbyś coś zrobić... byśmy znowu byli razem...

Po tej stronie wieżowca stało pełno ciężarówek, a mniej więcej pośrodku wysoki na trzy piętra dźwig, wystający nad ulicę. Przy jego pomocy zdejmowano wielkie tafle przydymionego szkła.

— Sądzę - powiedział Nicholas - że musicie rozwiązać ten problem między sobą.

— Ale ty przecież jesteś z nami związany - stwierdził Tomkin takim głosem, jakby ubił z kimś interes.

Limuzyna przejechała pod wystającym dźwigiem, noc wydawała się coraz ciemniejsza.

Nicholas odwrócił się do okna i spojrzał na Tomkina.

- Tak przy okazji - powiedział - już dawno nie widziałem Franka. Gdzie on się podziewa?

W tej samej chwili rozległ się głośny trzask rozlatującej się lewej strony przedniej szyby. Tom podskoczył na siedzeniu niczym ryba na haczyku. Jego głowa trzasnęła do tyłu z taką siłą, że pękła przegroda. Jego dłonie poleciały na bok i Nicholas usłyszał delikatny jęk, jakby chorego dziecka.

Nagle marynarka Toma rozdarła się i dziesięciocentymetrowy kawałek ostrza wysunął się z jego pleców. Krew siknęła niczym z fontanny i w samochodzie zapanował okropny smród.

- O Boże! Co...? - Twarz Tomkina była biała jak kreda. Samochód jechał dalej ulicą na wschód, dojeżdżając do skrzyżowania i przecinając aleję Lexington.

Z przodu słychać było jakiś łoskot, choć T\*om już nie wydawał z siebie jęków. Coś albo ktoś wciskał się do środka przez wielką dziurę w przedniej szybie.

Pozostawiony sam sobie samochód skręcił na lewo, wjechał na chodnik i uderzył przodem w słup lampy.

Przód limuzyny był zaciemniony, jakby noc się tam wkradła.

Nicholas zdjął miecz z kolana i trzymał go w lewym ręku.

Wyciąganie go z pochwy w tak ograniczonej przestrzeni nie miało sensu. Siedzący obok Tomkin majstrował coś przy klamce, ale drzwi nie chciały się otworzyć. Zamki automatyczne miały przełączniki przy kierownicy. Takie rozwiązanie zostało zastosowane ze względów bezpieczeństwa. Teraz Tomkin je przeklinał.

Ciało Toma zostało odrzucone na bok. Smród bijący od niego był tak straszny, że wydawało się, jakby wszystko inne przestało istnieć.

Jakaś ciemna postać waliła w pękniętą przegrodę, która cała drżała. Nicholas wyczekał aż do trzeciego uderzenia, odmierzając czas w swojej głowie. W chwili gdy nastąpiło czwarte, silnie kopnął w przegrodę z drugiej strony podbiciem obu stóp. Szyba rozleciała się od ciosów i Nicholas przeskoczył do przedniej części.

Saigo uciekł ze szczytu wieżowca, przesuwał się ostrożnie po wąskim parapecie, z którego zrzucił spreparowane ciało.

Pozostał tam wystarczająco długo, by stwierdzić, że oszustwo się udało, po czym powoli spuścił się w ciemnościach na dół. Tych kilku policjantów, którzy przyglądali się jeszcze wybitemu oknu w gabinecie Tomkina na górnym piętrze biurowca, nie zauważyło go. Jedynie Nicholas, gdyby przypadkiem był na ich miejscu, być może by go rozpoznał.

Kucając w ciemnościach, w duchu przeklinał, gdyż czuł teraz gorzki smak strachu. A więc Nicholas też był *ninja*. Zaczęło mu się kręcić w głowie i włożył do ust kolejną dawkę narkotyku, żując go, by przyspieszyć jego działanie.

Po chwili środek pobudzający rozchodził się już po całym ciele, krążąc żyłami razem z wydzielaną adrenaliną. Wydało mu się, że na niebie wznosi się chmura w postaci czarnoczerwonego grzyba, mięśnie naprężyły się, szyja nabrzmiała od wzbierającej w nim siły, a gdy strumień dotarł do mózgu, w oczach pojawił się błysk. Wprost tryskał energią.

Potem w lewym uchu usłyszał rozmowę, więc podniósł rękę i dotykając palcem wskazującym z boku głowy, poprawił ułożenie odbiornika sygnałów radiowych wewnątrz ucha. Usłyszał, jak Tomkin i Nicholas rozmawiają, usłyszał „Trzecia Aleja” i z miejsca ruszył w stronę południowej ściany wieżowca, gdzie jak wiedział, znajdował się dźwig zachodzący nad ulicę. Gdy przejeżdżała tamtędy limuzyna, opuścił się na nią tak delikatnie i z taką zręcznością, że żaden z pasażerów tego nie odczuł.

Przykucnął na dachu i dobywszy miecza z pochwy, pchnął nim w dół, do środka, przebijając szybę, wyjąc z ekstazy, gdy samochód, na którym siedział zakołysał się niczym postrzelona zwierzyna.

Croaker miał właśnie ruszyć aleją Parkową na południe, gdy wydało mu się, że zauważył jakiś ruch w otoczeniu limuzyny Tomkina jadącej na wschód. Nie mógł stwierdzić, co to było, jednak z piskiem zahamował i gwałtownie skręcił w lewo.



Opony zapiszczały, aż zarzuciło tył samochodu. Przez dłuższą chwilę musiał się skoncentrować na tym, by nie stracić panowania nad kierownicą i nie wpaść na wysepkę. Inne samochody trąbiły, a on próbował pokonać siłę odśrodkową.

Ruszył ostro z powrotem aleją Parkową w stronę biurowca.

w pierwszej chwili Nicholas był w szoku, co stawiało go w gorszej sytuacji. Saigo wiedział o tym i wykorzystał to. Schylił się, gdy Nicholas przeskakiwał do przodu i odwracając się wykonał *kansetsu-waza*, próbując uderzeniem łokcia wyłamać mu stawy.

Nicholas leżąc nad nim, wyczuł bardziej niż dojrzał brak oporu ze strony przeciwnika i wykonał *osae-waza* blokując wszelkie poczynania atakującego, zbijając jego łokieć, aby z miejsca zaatakować.

Przez moment ręka, w której Saigo trzymał krótki miecz *tanto* była wolna. Ale po chwili ostre jak brzytwa miecze, które stanowiły część ich duszy, najświętszą ze wszystkich, zgrzytnęły o siebie.

Mięśnie naprężyły się na ich skulonych plecach, cali oblani byli potem. Nicholas przydusił Saigo. Było to tak, jakby Słońce i Księżyc starły się w jednym miejscu, przeciwieństwa z tym samym rodowodem. Czy to samo przeznaczenie zetknęło ze sobą Kaina i Abla, każąc im ze sobą walczyć?

Nadszedł czas, gdy musieli iść na całość. Gdyż obaj byli *ninja*, ze szkół, które się zwalczały od niepamiętnych czasów, gdy gwiazdy na niebie były ułożone inaczej, lata gorętsze, zimy chłodniejsze, a kontynenty dopiero wyłaniały się z morza, wieczności, której sami w młodości stali się częścią.

Nicholas, aby przełamać patową sytuację, chciał zastosować zmianę stylu, ale Saigo właśnie na to czekał i wykonał kontratak *shime-waza*, czyli „duszenie trzema palcami”, na co Nicholas nie był przygotowany. Ale wyratował się ciosem „ręka-latawiec”, który jednak nie mógł być silny ze względu na ciasnotę. Przez cały czas ciało Toma ocierało się o nich, tak że cieknąca z niego wolno krew pomazała im ręce i twarze.

Ich mięśnie pracowały niczym silniki parowe, nabrzmiące żyły i lśniące strużki potu odznaczały się na ich skórze. Odgłosy ich sapiących płuc, identyczne w brzmieniu, były głośne jak praca miechów w tej gorącej ciasnocie. Patrząc jeden na drugiego, krzyżowali swe spojrzenia. Na tym etapie na jakiegokolwiek słowa nie przyszedł jeszcze czas, dlatego wyrażali swą nienawiść jakimiś sykami niczym językiem jaskiniowców.

Ostrze krótkiego miecza było odwrócone w drugą stronę i Nicholas wykorzystał ten dodatkowy element, by odepchnąć dłoń Saigo jeszcze bardziej. Jednak nie wywodził się ze szkoły *Kanaku na ninja*, nie znał technik *koppo*. W przeciwieństwie do niego Saigo wiedział jak blokować zamiary przeciwnika. Podciągnął prawe kolano i jednocześnie rozpoczął ruch prawą ręką. Który

cios był markowany? - zastanawiał się Nicholas, a może oba?

W ułamku sekundy, który miał na podjęcie decyzji, Nicholas popuścił swój chwyt na lewym nadgarstku Saigo, po czym w ogóle oderwał swą dłoń. Czubek miecza natychmiast ruszył w górę, w stronę twarzy Nicholasa. Udało mu się zbić cios, uderzając kością nadgarstka w koniec rękojeści.

W sercach mieli tylko żądzę zniszczenia. Ich umysły uwalniały się wreszcie z nienawiści gromadzonej przez lata, przenosząc ją w emocjonalizm chwili, podsycany wydzieloną adrenaliną i *hsingi*, czyli siłą woli, której ogrom musieli spożytkować, by dojść do takiego mistrzostwa.

Teraz Nicholas, chcąc zakończyć walkę, zastosował cios „ręka-latawiec” w serce; zaskoczony trafieniem, Saigo wykonał cios po łuku w bok głowy przeciwnika.

Po tym natychmiast wysunął się przez otwór w szybie. Nicholas poszedł w jego ślady, zeskakując z maski nieruchomej limuzyny na chodnik.

Ujrzał Saigo, ubranego w całości na czarno, stojącego za uszkodzonym słupem oświetleniowym. Odrzucił na bok pochwę swego miecza, trzymając ostrze w pozycji klasycznej.

Kątem oka Nicholas ujrzał gwałtownie hamujący samochód. Wsiadł z niego Croaker. Bez odwracania głowy Nicholas krzyknął:

- Nie wtrącaj się! Zajmij się Tomkinem. Jest na tylnym siedzeniu.

Po czym zbliżył się do Saigo.

Gdy człowiek stał się *ninja*, to wówczas widzi nie tylko oczyma, ale dzięki *haragei* robi to całym ciałem. Dlatego też gdy Nicholas przybliżał się do Saigo, zanim jego oczy ujrzały, że przeciwnik trzyma miecz jedną ręką, to ciało zdążyło już zareagować.

Stosując technikę *iai*, błyskawicznego dobywania miecza, zdążył unieść głownię na czas, by odtrącić parę *shaken*, które rzucił w niego Saigo; niczym rozwścieczone pszczoły, pomknęły po ceglanych schodach, opadających za Saigo w stronę obniżonego podwórka przed wieżowcem. Obok niego wznosił się sztuczny wodospad, z którego woda opadała po sześciennych głazach do basenu znajdującego się na podwórku.

Ich miecze ścięły się w technice „ognia i kamienia”, aż zadrżeli. Tylko wspaniałe dzieło japońskich płatnerzy mogło bez uszczerbku znieść tak potężny cios.

Saigo wyglądał jak w ataku szału. Jego źrenice były tak poszerzone, że oczy wydawały się całe czarne, aż nieludzkie. Croaker stał zauroczony siłą *hsing-i* tak mocno, że odczuł to, jakby sam otrzymał ciosy.

Saigo zaatakował z siłą i zdecydowaniem. Jego możliwości były niesamowite, nawet dla osoby tak doświadczonej jak Nicholas. Poczul się wciągnięty w wir burzy magnetycznej, która miotając nim, powodowała, że groziło mu całkowite oszołomienie. Nie wytrzymał tego naporu i poddał się.

Zauważył, że Saigo powoli i delikatnie porusza wargami, pytanie tylko jaką dawkę narkotyków zażył i co korzystnego dla niego z tego wynikało.

Potrząsnął głową, gdy jeden z ciosów o mało go nie trafił. Jego ręce były coraz bardziej ociężałe. Powieki zamykały się. A na twarzy Saigo pojawił się szyderczy uśmiech.

Nicholas zakołysał się i poczuł wodę lejącą się od tyłu na jego nogi. Stał w strumieniu wodospadu, który opadał za jego plecami. Nie mógł pojąć, jak się tu znalazł.

Poczul ostry ból w ręce i zobaczył, że miecz Saigo ocieka krwią, niczym szczeka wściekłego psa śliną, i zrozumiał, co się stało.

To było *kobudera*. Magia, której bali się stosować nawet najwięksi adepci stylu *Kan-aku na ninjutsu*. Wszyscy oprócz Saigo.

Nicholas cofał się pod natarciem, aż obaj znaleźli się w wodzie. Pod wpływem magii noc zdawała się tryskać czerwienią. Nie miał już w nogach żadnego czucia, zakołysał się. Palce mu zdrętwiały, trzymał miecz coraz słabiej. Oddychanie zmieniło się w sapanie.

I przez cały ten czas Saigo wciąż napierał, zadając ciosy z uśmiechem na twarzy, wypowiadając zaklęcia *kobudera*.

Stopa Nicholasa pośliznęła się o wygładzony kamień i o mało się nie przewrócił. Znowu dostał cięcie. Krew trysnęła w nocne powietrze. Jego krew. Był w stanie agonalnym i wydało mu się, że już nie potrafi oddychać. Cokolwiek Fukashigi z nim robił poprzedniej nocy, pomyślał, było to mało skuteczne.

Przeptywająca woda moczyła go, aż poczuł dreszcze. I w swym wytężonym oddechu, który wymagał wysiłku całego ciała od ust do stóp, poczuł przebłysk świeżości, która przebijała się przez zaciskającą się wokół niego powłokę.

Pomyślał o Musashim, Świętym Szermierzu, stojącym w swym ogrodzie, ponad trzysta lat temu. „Co znaczą słowa, że człowiek może być twardszy niż kamień?” - spytano go. W odpowiedzi Musashi przywołał jednego ze swych uczniów i kazał mu popełnić samobójstwo przez rozcięcie sobie brzucha nożem. W chwili gdy uczeń miał zamiar wykonać polecenie swego mistrza, ten powstrzymał go i powiedział: „Oto co znaczą słowa, że człowiek może być twardszy niż kamień”.

Tą drogą poszedł też Nicholas i sięgnawszy do głębi duszy, znalazł coś, o czym nawet nie śnił. Pochwycił to całą swoją mocą i wówczas stało się to, o czym kiedyś napisał Musashi: nie było go w stanie osiągnąć nic, ani miecz Saigo, ani *kobudera*.

W mgnieniu oka ciął mieczem z lewa na prawo. Zaskoczony Saigo uniósł własną broń, wytrzeszczając oczy.

Krew wystrzeliła, lśniąc kardynalską purpurą i Saigo przechylił się do tyłu z otwartymi ze zdumienia ustami.

Woda ochlapała i podrywała ich ledwo stojące ciała. Saigo, który miał rozciętą nie tylko skórę i ciało, lecz nawet mostek, utrzymywał się na nogach z niezwykłym trudem. Jego miecz zwisał w bezwładnej lewej ręce, której palce ruszały się w nieładzie nie odbierając już żadnych bodźców przez naruszony układ nerwowy. Chwiał się z boku na bok niczym pijak. Złapał się za ramię, koło łopatki, ale Nicholas czubkiem miecza odtrącił śmiertcionośną gwiazdę *shaken*, którą tamten szykował.

Jęcząc, Saigo podtrzymywał się ręką swego miecza, wykorzystując go do podpierania się niczym laską. Bez jego pomocy byłby bezradny jak starzec.

- Możesz mnie teraz zabić. - Jego głos był zachrypnięty, ledwo szmer przebijający się przez bulgot opadającej wody. - Ale najpierw muszę ci powiedzieć, kuzynie, coś co chciałem już od dawna... - Jego ramię zadrżało. - Podejź bliżej. - Jego głos załamał się, robiąc się jeszcze cichszym. - Podejź. Nie można pozwolić, byś się tak pysznił swym zwycięstwem i to w żadnym razie!

Nicholas zrobił krok do przodu. Jego piersi i brzuch były poplamione krwią i lśniąco wydzieliną jego organów wewnętrznych. Dla Nicholasa ból w ręce, którą rozciął Saigo był niczym tępe dudnienie.

- Powinieneś był mnie zabić wtedy, gdy miałeś okazję - powiedział. - Ale zawahałeś się, *kobudera* pochłonęło cię i tylko mnie drasnąłeś. A teraz widzisz po sobie, co można uczynić jednym ciosem.

Saigo zakłócił się.

- Co powiedziałaś, kuzynie? Podejdź bliżej, bo cię nie słyszę. - Na jego twarzy pojawił się wyraz bólu, by po chwili zniknąć niczym przesuająca się chmura, chowając się za jedną z masek, które były w ich usposobieniu. Takie właśnie zachowanie, bardziej niż cokolwiek innego, odróżniało Japończyków od innych narodowości, ta twardość ukryta pod różnymi maskami, wieloma warstwami, nieskazitelnej obowiązkowości i synowskiej miłości. Z tego powodu zawsze będą parli naprzód nie cofając się nigdy o krok. Ale, wielki Boże, jakże ich wspomnienia „sięgały daleko, jak mówiły liczne legendy, dalej niż granice świata żywych.

Nicholas miał ochotę usnąć. Jego ciało poradziło sobie z pierwotnym szokiem i teraz gdy ból znacznie zmalał, uspokajał się. Zaczął go ogarniać pewien marazm...

- Myślisz, że odniosłeś zwycięstwo, ale tak nie jest - wyrzucił z siebie Saigo. Wąska strużka krwi wyciekła z kącika jego ust. Zlizał ją błyskawicznym ruchem języka, niczym żmija, i połknął. - Najlepiej jak ci to wszystko wytłumaczę... Ależ podejdź bliżej, kuzynie, tak bym nie musiał krzyczeć. O tak. - Jego oczy były lodowate. - Pewnie myślisz, że Yukio jeszcze żyje, gdzieś tam, pełniąc rolę pani domu i wspominając w wolnych chwilach dni spędzone z tobą. Ale cóż, mylisz się! - Starał się zaśmiać, ale zakończyło się na chrapliwym kaszlu. Zakrztusił się i wypluł na ziemię zakrwawioną ślinę. Spojrzał Nicholasowi w oczy i powiedział: - Ona leży na dnie cieśniny Shimonoseki, dokładnie tam, gdzie ją wrzuciłem.

Kochała cię. Widać to było w każdym jej drgnieniu, w każdym słowie. Oczywiście, mogłem ją odurzać narkotykami, tak jak tamtej nocy, i wówczas przez pewien czas o tobie zapominała. Ale za każdym razem gdy dochodziła do siebie, wszystko było po staremu. W końcu doprowadziło mnie to do obłądzenia. Była jedyną kobietą, którą miałem, jedyną, którą... poza nią w moim świecie byli sami faceci i tylko faceci i nic poza... - Jego oczy były rozpalone, przekrwione z szału. Strużka krwi robiła się coraz większa, ściekając niczym nadmiar farby z pędzla i wpadając do wody. - To przez ciebie musiałem ją zabić, Nicholas - powiedział z nagłym wyrzutem. - Gdyby tak bardzo cię nie kochała...

- Gdyby świat był inny... - powiedział ze złością Nicholas. Jego dłonie były już w ruchu i miecz lśnił niczym promień światła, przenoszący karę wymierzoną przez Boga, poszybował przez rozgrzane powietrze jak samodzielny byt.

Głowa Saigo poszybowała w górę, lecąc łukiem, kręcąc się

w powietrzu niczym wirująca planeta, z ciągnącym się z szyi czerwonym strumieniem tryskającej krwi, przypominającym ogon latawca czy komety. Opadła za krawędź chodnika, turlając się w dół po białych schodach, niczym wypuszczona przez dziecko piłka, zatrzymując się przy końcu wodospadu, na dziewiątym schodku od góry.

- ... ale nie jest - dokończył swą myśl Nicholas. Opływająca jego stopy woda wirowała, lekko drżąc, niczym morska fala, dając ulgę naprężonym mięśniom nóg.

Oczywiście, kiedy już było po wszystkim, Croaker chciał się dowiedzieć, jak Saigo mógł tego dokonać. Nakłonił więc Nicholasa, by udał się z nim do kostnicy obejrzeć tamto ciało.

- Nie widzę między nimi żadnej różnicy - powiedział. - Do diabła, mogliśmy nigdy się nie kapnąć.

Nicholas obejrzał stłuczone i połamane ciało. Na pewno był to Japończyk, tego samego wzrostu i wagi co Saigo. Szczegółowa autopsja wykazałaby jednak różnice w umięśnieniu, gdyż po tym człowieku widać było, że nie był tak wytrenowany jak Saigo. Ale można by na to wpaść, tylko jeżeliby się wiedziało, czego szukać.

Wyciągnął rękę i odwrócił głowę Japończyka na bok, przypatrując się szyi, macając ją palcami.

— W tym miejscu - powiedział.

— Co takiego? - Croaker spojrzał tam. - Ma złamany kręgosłup. No i co w tym dziwnego? To normalne przy upadku.

— Mylisz się, Lew. To nie jest od upadku. Spotkałem się już z tym przed laty. Kości połamane tak, jakby ktoś je pociął. Skutki upadku są inne. To jest *koppo*, Lew. Jedna z technik *ninja*.

— Boże - powiedział Croaker. - Chcesz powiedzieć, że zabił tego faceta tylko po to, by nas wprowadzić w błąd.

Nicholas przytaknął.

- Przewidział różne warianty.

Wsluchiwał się w ciszę, oddzielony od wieczornego chłodu na dworze jedynie drzwiami z siatki. W szum fal, syczących, gdy się wznosiły, zawijały i opadały, po raz tysięczny z rzędu, niczym jego własny oddech.

Wspominał Japonię, ojca, Czeong, Saigo, a w szczególności Yukio.

Teraz gdy zemsta został już dopełniona, a wszystkie niesamowicie pomieszane sprawy zostały sprowadzone do swej pierwotnej postaci, każdy z nich spoczął na swoim miejscu, umierając w spokoju równym swoim narodzinom.

Nienawiść, którą płonął, gdy Saigo mu wszystko powiedział, była teraz niczym dogasający popiół. Wspomnił swój sen i tajemnicza kobieta nagle zyskała twarz. Dopiero teraz powoli zaczynał pojmować wielkość poświęcenia Yukio. Mogła w każdej chwili odejść od Saigo. I gdzie by się wtedy udała? Tam, gdzie pragnęła być cały czas: u jego boku. Fukushima tłumaczył mu: „Nie byłes jeszcze wtedy gotów. On by cię pokonał...” Nicholas rozumiał teraz pełny sens tych słów. Pozostając z Saigo, Yukio powstrzymywała wybuch jego złości przez to, że on ją miał, a nie Nicholas. Poświęciła własne życie, by go uratować. *Migawari ni tatsu*.

„Dlaczego płaczesz tak mocno? Co ci się takiego stało? Niehonorowa śmierć... i dopóki nie zostanie pomszczona, moja dusza będzie wędrować bez celu”.

Teraz wędrówka skończona.

Wyczuł Justine podchodzącą po cichu od tyłu i poczuł wielki spokój, jakby natrafił na własny domek na skraju morza, strzeżony przez wysokie sosny, znane mu z dzieciństwa. Jego duszę omiół ciepły podmuch i zamknął oczy, w chwili gdy jej ręce objęły jego ciało, a usta obcałowywały twarz.

— Dobrze się czujesz?

— Ależ tak. - Zadrżeli oboje niczym dwa liście na gałęzi. - Morze jest takie niebieskie, bardziej niż niebo.

— Dlatego, że niebo odbija się w nim. Widzisz, jak się zmienia?

— Poznać fachowe oko artysty. Dostrzegasz różnicę barw.

— Ty ją chyba też dostrzegasz?

— Teraz, gdy zwróciłaś na to moją uwagę, tak. Oparła głowę o jego ramię.

— Szkoda mi doktora Deerfortha.

— Mnie też. - Spojrzał na morze. - Jego córki powinny wkrótce przyjechać.

— Saigo musiał zawędrować na Gin Lane szukając ojca, ale dlaczego zabił doktora?

— Nie wiem - odpowiedział cicho Nicholas. - Być może zobaczył go i podejrzewał, że coś knuje. - Ale myślami był zupełnie gdzie indziej.

Po dłuższej chwili przyrzadzili sobie kolację i zjedli ją na werandzie, na wietrze, który unosił jej włosy na bok niczym pełna czułości matka, a potem poderwał ich papierowe serwetki i poniósł ponad wydmami, by w końcu zniknęły pośród fioletowopłatynowych fal.

Jakaś para szła trzymając się za ręce, bosymi stopami naruszając piasek, zostawiając po sobie wydeptaną ścieżkę, niczym dwa kraby.

Przed nimi biegł gładkowłosy seter irlandzki, który czekał na nich, podskakując z wywieszonym jęzorem nad brzegiem wody, jego sierść lśniła w zachodzącym świetle karmazynowa barwą.

- Chciałbyś teraz tam wrócić? - spytała. - Do Japonii. Spojrzał na nią i uśmiechnął się. Wspomnił ofertę jej ojca.

— Chyba nie. - Rozsiadł się na krześle, które swojsko zatrzeszczało, wydając dźwięk niczym stalowe liny uderzające na wietrze o maszt. - Może kiedyś... Pojedziemy razem w celach krajoznawczych, jako turyści.

— Ty nigdy nie będziesz się tam czuł jak turysta.

— Mógłbym spróbować.

Blisko na horyzoncie widać było łódzie powracające do portu na pełnych żaglach, wzdętych silnym wiatrem. Gdyby nie późna godzina, można by sądzić, że trwają jakieś regaty. Gdzieś z plaży dobiegła ich muzyka, która raptem się urwała, jakby zamknięta we wnętrzu samochodu.

Justine zaśmiała się.

— O co chodzi? - Uśmiechnął się także, spodziewając się, że usłyszy od niej jakiś dowcip.

— Przypomniało mi się, jak przyszedłeś i zabrałeś mnie wtedy z tej dyskoteki. - Jej twarz nagle spoważniała. - Powinieneś był mi powiedzieć - szepnęła - o wszystkim.

— Nie widziałem potrzeby, by cię straszyć.

— Ja tylko - powiedziała - bałabym się o ciebie.

Wstał, trzymając ręce w kieszeniach, co było typowe dla ludzi z Zachodu.

— Teraz już po wszystkim, prawda? - Patrzyła w górę na niego, z głową pochyloną tak, że resztki zachodzącego słońca, odbite od wody, odkładały się na jej twarzy, dodając jej blasku.

— Tak - powiedział, pocierając swą zabandażowaną ranę. - Jest już po wszystkim.

W chwili gdy Justine przyszła z łazienki, on leżał na boku, drzemiąc. Kiedy zgasiła światło, odczuł to, jakby nastąpiło zaćmienie księżyca.

Poczuł jak bezszelestnie wsuwa się do łóżka, przesuwając poduszkę, by było jej wygodniej, po czym jej gorące ciało dotknęło go: jej prosty kręgosłup, delikatne piersi, nogi ocierające się o jego uda. Poczuł jakby spięcie elektryczne.

W miarę jak ogarniało go zmęczenie, wspominał Yukio. Teraz rozumiał, że jego strach wynikał z miłości do niej. Jej nieokiełznana zmysłowość podniecała go za każdym razem gdy byli ze sobą. Ale bał się, a tym samym nie chciał zrozumieć drugiej prawdy o ich związku, że i w nim drzemała podobna prymitywna zmysłowość. To, że Yukio potrafiła ją w nim rozbudzić, było powodem, że uwielbiał ją i zarazem się jej obawiał.

Wielce smucił go fakt, że przez tyle lat żył w fałszywym przekonaniu, myśląc, że ona go po prostu zdradziła. Ale teraz gdy się przekonał, że go kochała równie mocno jak on ją, został



wystarczająco pocieszony. Odeszła od niego dawno temu, pozostając tylko w snach. Wspomnienia o niej nie mógł mu nikt odebrać i zrobi dla niej to, co uczynił dla swych rodziców, zapali kadzidło i pomodli się w rocznicę jej urodzin.

Justine poruszyła się, więc się odwrócił. Miała prawą rękę podłożoną pod głowę, dłoń wsuniętą po wygniecioną poduszkę. Dobiegi go jej delikatny, miarowy oddech...

W domu na wzgórzu, zalany pogodnymi, złocistymi promieniami słonecznymi, na przemian z pasmami cienia odkładającymi się w poprzek drewnianej podłogi, Nicholas napotkał So-Penga. Wyglądał tak, jakby się nie postarzał od tamtego czasu, gdy go odwiedzili pułkownik i Czeong. Stał pośrodku pokoju, wysoki i szczupły, z pogodnymi czarnymi oczyma, długimi rękoma i jeszcze dłuższymi paznokciami, które stuknęły niczym zęby jakiegoś baśniowego stwora. I patrzył na Nicholasa.

„Obdarowałaś mnie wielce. Jestem ci bardzo wdzięczny”.

Nicholas rozejrzał się, ale nic nie zobaczył. W pomieszczeniu poza nim i So-Pengiem nikogo nie było. Nic nie rozumiał.

„Gdzie ja jestem?”

„Gdzieś - powiedział starzec - na wschód od Księżyca, na wschód od Słońca”.

„Nie pamiętam, jak tu dotarłem”. Nicholas poczuł, jak ogarnia go strach. „Nie będę tu umiał powrócić”.

So-Peng uśmiechnął się i klasnął paznokciami, wydając dźwięk niczym cykady o północy. „Dotarłeś tu raz. Dotrzesz i kolejny”.

Nagle Nicholas był tam sam, widząc przed sobą jedynie wysokie lustro.

Obudziło go nad ranem, wpadające przez okno sypialni, blade i słabe światło słoneczne. Justine jeszcze spała. Podniósł koldrę i delikatnie wysunął się z łóżka.

Umył i ubrał się po cichu, po czym przeszedł korytarzem do kuchni, by zaparzyć sobie zielonej herbaty. Mieszał kawaleczki liści tak długo, aż się wszystkie rozpuściły. Na powierzchni zebrała się cienka pianka, bladozielona, niczym jesienna mgła w górach Japonii.

Pociągnął łyk, bardzo powoli, rozkoszując się gorzkim smakiem, niepodobnym do żadnego innego gatunku. Po czym przeszedł do bawialni. Zapalił światło nad akwariem i wyspał pokarm dla jego mieszkańców.

Dzień był wyjątkowo przejrzysty. Chmury, unoszące się bardzo wysoko, odcinały się białą od tła, ich ślady były wyraźne niczym żyły w marmurze. Powoli przesuwały się pod wpływem podmuchów wiatru. Otworzył drzwi wejściowe, nie ruszając jednak chroniącej przed owadami siatki. Od morza wiał wiatr, świeży i wilgotny.

Justine śniła o człowieku, którego całą twarz zajmowały usta. Były podobne do szramy, czarnej i złowieszczej, jak burza grzmiąca na horyzoncie, rozchylająca się, a potem zamykająca, w

momentach gdy wyziewały z niej na wielką odległość ogniste gromy.

Krzyczał na nią co chwila, choć dźwięki te przypominały szept, a każdy z nich kłuł ją w samo serce, wywołując rany, pozostawiając po sobie trwałą bliznę.

Starala się nad tym wszystkim zapanować, rozsądnie pomyśleć, ale wrzeszcząca twarz wszystko jej pokręciła, więc leżała beczynn timer.

To co twarz wykrzykiwała, spadało na nią jak gradobicie, aż do granicy bólu, tak że jedyną rzeczą, o której marzyła, było zatkanie rękoma uszu, by nie słyszeć więcej już tych okropności. Ale nic nie dawało się zrobić.

Jedyny sposób, by z tym skończyć, to poddanie się jej woli.

Teraz chciała się już obudzić. A może nie chciała. Sama już nie wiedziała. Zaczęła skomleć i płakać. Czy działo się to we śnie? A może naprawdę? Co chciała teraz poczeć? Obudzić się? Czy spać dalej? Była przerażona i z każdą chwilą, gdy pozostawała w śnie, jej strach się wzmagał.

Zaczęła walczyć. Poczwała w swych dłoniach stal.

I nagle jej źrenice rozszerzyły się.

W chwili gdy Justine weszła do pokoju, Nicholas siedział na klęczkach z wyprostowanymi plecami, twarzą do okna, przez które widział morze i budzący się dzień. Miał przymknięte oczy, a przed nim stała miseczka z gorącą zieloną herbatą. Jego duch ulatywał, wznosząc się coraz wyżej, aż sięgnął niebios.

Justine, z oczyma szeroko otwartymi i rozplamionymi, przemknęła bezszelestnie obok akwarium. Jej bladożółta koszula nocna unosiła się wokół niej, jakby była zanurzona w oparach sięgających od podłogi, po której stapała, aż do szyi.

Odwróciła się i sięgnęwszy obiema rękoma w stronę wieszaka, wyjęła z pochwy *wakizashi*, który wisiał poniżej *katana*. Chciała wziąć ten

drugi, ale nie mogła go sięgnąć.

Po czym odwróciła się, całkowicie odmieniona. Oczy miała jakby nie swoje. Ich dawny kolor i małe czerwone znamiona zniknęły pod nabrzmiałą tęczowką. Poczwała zarazem z przerażeniem i podnieceniem, że jej twarz straciła na kobiecości, choć jej figura nie zmieniła się. Niczym jakiś przemieniający się stwór. Jej wzrok zamglil się, więc potrząsnęła głową. Na jej oczach kolory zmieniały swoje barwy, a przedmioty rozmiary. Wszystko traciło wygląd, jaki miało do tej pory. Dom stał się nieprzyjazny i odpychający, smutny i wymarły jak pustynia.

Jej płuca pracowały niczym miechy, jakby pod wpływem jakiejś złowrogiej siły, nie pojętej przez jej rozum. Jej przerażona dusza skuliła się w sobie, cała drząc i płacząc.

Ale dłonie Justine były spokojne i opanowane. Uchwyciła więc w nie oplecioną skórą rękojeść miecza, wyczuwając jego ciężar i punkt wyważenia, zdając sobie sprawę z jego doskonałości, choć nie w kategoriach, jakie znała do tej pory.

Powoli stąpała swymi bosymi nogami, stawiając je jedna za drugą pod określonym kątem, zbliżając się coraz bardziej do umięśnionych pleców siedzącego przy oknie Nicholasa.

Poranne światło padło na nią w momencie, gdy wyszła z cienia i musiała zatrzymać się na chwilę, by jej wzrok mógł dostosować się do blasku.

Była już tak blisko, że wydawać się mogło, że podmuchy jej oddechu padają na jego skórę. Uniosła ręce wysoko ponad głowę, przygotowując się do zadania śmiertelnego ciosu. Za chwilę miało być po wszystkim, tyle co potrzeba, by zapalić zapalną albo strzelić paznokciami. Chwilę, która oddziela życie od śmierci.

Sztylek miecza zaczął drżeć, w miarę jak wzbierała się w niej niezbędna energia. W tych warunkach nie mogła jednak wydać z siebie *kiai*, okrzyku, dzięki któremu wyzwolana jest cała energia wewnętrzna. Skąd ja to wiem? - pytała sama siebie. Cała siła musiała wyjść z podbrzusza, tylko jej mięśnie były tak słabe.

I właśnie w tym momencie, gdy miecz rozpoczął już swoje zbrodnicze opadanie, jej prawdziwa istota, widząc co się dzieje, zaczęła się powoli odradzać.

Nie - krzyknęła w duchu. - Nie!

Ale ostrze było już w ruchu, rozcinając powietrze w swojej drodze w dół i załamana czuła, że jest już za późno.

Jego unoszący się duch przybrał postać starca. Konkretnego starca.

Nicholas, choć był teraz stary, nie czuł w ogóle swych lat. Zwisły z niego jak garść jedwabnych chustek, każda w innym kolorze, odpowiadającym różnym wspomnieniom.

Na świtającym niebie tańczył taniec życia, podobny uradowanemu dziecku, które jednak już wiele przeszło i doświadczyło w trakcie swego żywota. Z chmur lepił snopki pszenicy, po czym chwytając po jednym do każdej ręki wywijał nimi nad głową, niczym papierowymi chorągiewkami.

Rozciągający się pod nim kontynent azjatycki wyglądał jak ogromny tygrys, ziewający po przebudzeniu, wykonujący swe pierwsze z rana ruchy. Ale była to inna Azja, sprzed wielkiego uprzemysłowienia, sprzed rewolucji w Chinach, wojny w Wietnamie i Kambodży. Powietrze pachniało kadzidłem.

Nicholas wyczuł obecność Justine i swego miecza jednocześnie. Gdyby myślami nie zawędrował tak daleko, *haragei* pozwoliłby mu wyczuć wszystko znacznie wcześniej. Ale był zbyt rozluźniony; w ostatniej chwili usłyszał grzmot tajemnej siły i odwrócił się w momencie, gdy miecz już opadał.

Nie miał oczywiście czasu na zastanowienie się. Gdyby poświęcił na myślenie choć jedną chwilę, już by nie żył. I tak był o włos od śmierci.

Istnieje kilka technik walki gołymi rękoma przeciw mieczowi. Ta, którą Nicholas znał najlepiej, to „wymuszenie puszczenia rękojeści”, dlatego też ją zastosował, instynktownie wznosząc ręce, skrzyżowane na wysokości nadgarstków, tak że znalazły się one między przedramionami Justine, odbijając je na boki i w górę.

Wstał, a ona zaatakowała go poziomym cięciem z lewa na prawo i wtedy zrozumiał, co się stało.

Wydając ogłuszający okrzyk, zrobił krok lewą nogą zgiętą w kolanie, po czym krzyżując prawą rękę nad lewą wykonał cios, uderzając podbiciem dłoni w jej ręce zaciśnięte na rękojeści.

Tupnął tak, że ją przestraszył, po czym sięgnął w stronę miecza. W pół drogi zdał sobie jednak sprawę, że cios, który miał zamiar wymierzyć, zmiażdży kości jej nadgarstka, dlatego tylko ją złapał, wykręcając ręce do tyłu, prawa na lewą, aż jęknęła z bólu i wypuściła broń na ziemię.

Uniosła kolano i kopnęła go w brzuch. Odruchowo zgiął się w pół, a wtedy uderzyła go w plecy jednocześnie obiema pięściami.

Stracił całkowicie oddech, ale przewracając się wykorzystał przedramię, by ją podciąć. Upadła wprost na niego i natychmiast przeszła do ataku.

Nicholas wyciągnął rękę w nawałnicy ciosów i dotknął jej szyi. Coś ryknęło. Wydobyło się to z jej szeroko otwartych ust, wykorzystało jej

struny głosowe, ona sama nigdy by takiego dźwięku nie wydała. Jej gałki oczne przekręciły się, tak że wielkie czarne tęczęwki zniknęły i pozostało samo białko, po czym powieki opadły i osunęła się nieprzytomna na niego, rozrzucając swe długie włosy po lśniącym ostrzu porzuconego

miecza.

To dzięki temu drugiemu cięciu. Z lewa na prawo. Justine była praworęczna i wykonałaby je z prawa na lewo. To nie Justine podniosła na niego klingę. Tak czy inaczej, ona sama nie byłaby w stanie tak dobrze władać mieczem.

*Saiminjutsu*, sztuka hipnotyzowania, było tylko jedną z wielu umiejętności, które nabył wiele lat temu stając się *ninja*. Oddziaływał na nią przez ponad cztery godziny, ale wyrwanie z hipnozy było o wiele trudniejsze od procesu wprowadzania w trans, dlatego musiał wykorzystać całą wiedzę jaką posiadał, aby wygonić z niej diabła, który został jej wszczepiony.

Pot kapał z ich ciał niczym deszcz, mieszając się na drewnianej podłodze, a on pracował nad nią bez przerwy, aż w końcu jej ciało zadrżało i wydała z siebie przenikliwy okrzyk przerażenia.

Po kilku chwilach mocno spała. Ale nie chciał jej zostawić i cały czas trzymał ją przytuloną, w swych ramionach, opuszczając ją tylko raz w ciągu całego upalnego dnia, by pójść do toalety i by zmoczyć w zimnej wodzie ręcznik, którym jej robił okłady.

Prawie przez cały czas wpatrywał się w jej twarz, która wydała mu się inna niż poprzednio. Tylko raz jego zamyślenie zostało przerwane dźwiękiem pracującej pompki w akwarium i przez moment rzucił wzrokiem na mieszkańców mórz bawiących się zielonymi kłębkami wodorostów i ostrymi krawędziami kolorowych kamieni. Patrzyli na niego obojętnie zza grubego szkła, ze swego tak odmiennego świata.

Doszła w pełni do siebie dopiero po trzech dniach. Do tego czasu większość dnia spędzała w łóżku, jak zwykle gdy się człowiek próbuje wyleczyć z ciężkiej choroby.

Przez te wszystkie dni Nicholas mył ją i karmił. Długimi godzinami przesiadywał na werandzie, patrząc daleko w morze, ponad kąpiącymi i opalającymi się na plaży ludźmi, którzy dla niego nie istnieli. Sam jednak nie zdecydował się, by pójść pochodzić po piasku lub wejść do wody. Nie chciał się od niej oddalać na zbyt wielką odległość.

A gdy kolejnego dnia o świcie otworzyła oczy i ujrzał je znów takimi jakie były, z lewym oznaczonym małymi czerwonymi plamkami, odcinającymi się niczym ognisko na pustkowiu, objął ją i pocałował.

Dopiero gdy przygotował dla nich śniadanie, a ona przyniosła dostarczoną gazetę, opowiedział jej o tym, co się wydarzyło. Opowie-

dział jej wszystko ze szczegółami, dlatego że uważał, iż musi o wszystkim wiedzieć i rozumieć, że miała w sobie tyle siły, by to przezwyciężyć. Bo bez jej pomocy sam by nie dał rady jej z tego wyciągnąć. Przecież przeciwstawiała się oddziaływaniu *kobudera* od samego początku.

— Jestem więc silna. - Śmiała się. - Tak silna jak ty.

— W pewnym sensie - skomentował całkiem poważnie - tak. Zadrzała.

— Z posiadaniem takiej siły trzeba się oswoić.

Czytała gazetę, podczas gdy on sprzątał i dobiegający ją z kuchni cichy stukot talerzy w zlewie spowodował, że było jej przytulnie i miło.

- Jak skończysz - powiedziała - to pójdziemy na plażę.

— Jak najbardziej. Lato już się kończy. Powinniśmy wykorzystać resztę dni, które nam zostały. Tak czy inaczej - otarł ręce po robocie - mam kilku znajomych w Nowym Jorku, których chciałbym, żebyś poznała...

— Nick... - Podniosła wzrok i spojrzała na niego. Poszedł do miejsca, gdzie siedziała.

— O co chodzi? - Pocałował ją.

— Spójrz na to. - Podała mu złożoną gazetę. Wziął gazetę i przeniósł wzrok na tekst.

- Powinnam zadzwonić do Geldy - powiedziała gdzieś w tle. „Nowojorski policjant zginął w wypadku”, ujrzał nagłówek.

Korespondencja pochodziła z Key West na Florydzie. - Zgodnie z komunikatem rzecznika Komendy Policji Hrabstwa Monroe wczoraj w godzinach wieczornych w wypożyczonym samochodzie zostało odnalezione martwe ciało porucznika Lewisa J. Croakera. Kierowca, jadący prawdopodobnie z nadmierną prędkością, stracił panowanie nad kierownicą i stoczył się z autostrady po skarpie leżącej około dziesięciu kilometrów na wschód od Key West, po czym samochód stanął w płomieniach. Ciężkie opady i silne wiatry, które przez dwa ostatnie dni nawiedzały ten rejon, mogły mieć wpływ na to zdarzenie.

Porucznik Croaker, lat 43, zgodnie z oficjalnym komunikatem, przebywał w Key West w ramach urlopu. W jego macierzystej komendzie, spytany o zdanie kapitan Michael C. Finnigan, bezpośredni przełożony porucznika Croakera, powiedział...

Ale Nicholas przestał już czytać. W jego piersiach dudniło, był to głuchy dźwięk niczym echo w opuszczonej świątyni. Oczy zaszyły mu mgłą i nieświadomie zwinął w dłoniach gazetę.

- Nicholas... - Justine stanęła obok, z rękoma skrzyżowanymi na piersiach, trzymając się za ramiona, powstrzymując się od reakcji jedynie siłą woli. - Wprost nie mogę uwierzyć.

W przeciwieństwie do niej już się z tym pogodził, z typowym dla Azjatów przyjmowaniem rzeczywistości taką jaka jest. Przeznaczenie, pomyślał z wściekłością. Ale śmierć Croakera była bolesna niczym nóż wbity w jego własny brzuch, powodując piekący ból, który nie chce przeminąć.

Po chwili przypomniał sobie, po co właściwie Croaker pojechał do Key West. Jeszcze raz po cichu prześledził artykuł, tym razem w całości. W ramach urlopu, może i tak, pomyślał. Poczł, jakby z jego prawej strony krążyła dusza Croakera, wspominając jego słowa: „To morderca, Nick. Gdybym miał jakiegokolwiek wątpliwości co do jego udziału w morderstwie Angeli Didion, zniknęły one w chwili, gdy starano się wyciszyć całą sprawę. To prawdziwy ludożerca. Musisz się z tym pogodzić”. Zaczł wspominać obrazy minionych wydarzeń i dobiegl go gorący podmuch od strony cmentarza, spoza cienia stojących tam wiązów. Te wszystkie utarczki między Tomkinem i Croakerem nie były przypadkowe. Croaker chciał go koniecznie przyskrzynić, starał się więc sprowokować Tomkina do wykonania jakiegoś nie przemyślanego ruchu, na przykład próby wyciszenia całej sprawy. W końcu stało się, trach i po wszystkim. W tym czasie Frank, szef ochrony Tomkina, zniknął na parę dni, wyjechał nie wiadomo dokąd...

„Muszę go przyskrzynić tym razem. To kwestia honoru”. Każde wspomniane jego słowo, było niczym kolejne pchnięcie nożem. „Jeżeli ja tego nie zrobię, to już nikt go przed niczym nie powstrzyma”.

Przemyśliwszy sobie wszystko wstał i podszedł do telefonu, po czym wykręcił numer. Ból przeszywał całe jego ciało, jakby ktoś go torturował. Uważał, że to co się stało, było przykładem niesprawiedliwości losu. Gdy się zawarło z kimś przyjaźń to po to, by się nią nacieszyć, a nie by jakiś bandyta podstępnie to odbierał. Czł się tak, jakby obaj stali się ofiarą. Jednak ten tok myślenia był zdecydowanie w stylu zachodnim, dlatego odłożył go do lamusa, niczym niepotrzebny przedmiot, do chwili gdy znów się przyda. Jeszcze przez chwilę wyobraził sobie, że w czwórkę, z dziewczętami, płyną sobie dużą żaglówką, zroszeni słońcą wodą, weseli i zrelaksowani, opalając się w słońcu. Po czym ten obraz zniknął, niczym ostatnie promienie słoneczne dobiegające znad horyzontu o zachodzie. Ale czy coś się zmieniło? Nic, o czym zresztą się już przekonał. W Japonii miłość i przyjaźń były nierozdzielnie ze sobą związane, a on mimo tylu lat spędzonych na Zachodzie, mimo tutejszego ubioru i nowej osobowości, był człowiekiem Dalekiego Wschodu i pozostanie nim na zawsze. Miał tego nagłą i bolesną świadomość, która jednocześnie go rozbudzała i uspokajała. Wyczuł wreszcie swoje miejsce, jak i swój czas.

Poświęcenie i zemsta, na których opierał się bieg wydarzeń historycznych w Japonii, stanowiły również część jego osobowości. To była myśl, którą Itami przekazała mu w swych ostatnich słowach, choć wówczas jeszcze nie w pełni pojął ich znaczenie.

Ale śmierć Croakera uzmysłowiła mu wszystko.

Teraz przyszła mu do głowy jedna z myśli Teyasu Tokugawy, niczym pojawiający się drapieżny ptak, krążący po jego umyśle jak po niebie. Wiedział już, co musi zrobić.

- O co chodzi? - spytała Justine. Jej głos był niski, jakby jeszcze nie ogarnęła się z szoku.

Położył palec na ustach, po czym przemówił do słuchawki.

- Zastąłem go? Mówi Nicholas Linnear. - Przez chwilę musiał zaczekać. Justine stanęła za nim obejmując go rękoma.

Odezwał się Frank. A więc wrócił już, skurwysyn. Ale w niczym nie dał po sobie znać.

- Jak tam urlop?... No tak... Szkoda, bo działo się tu wiele. - Czuł, jak jej piersi dotykają jego pleców. Wygiął jedną rękę do tyłu, by ją objąć. - Jasne. Jak tylko się zobaczymy, opowiem ci wszystko ze szczegółami. - To może stać się szybciej, niż się spodziewasz, pomyślał. Frank poprosił go, by trochę zaczekał.

Zamknął na chwilę oczy i ujrzał morze w momencie, gdy zachodzące słońce staje się najznamienitszą częścią krajobrazu, a woda lśni niczym świetlisty dywan.

— Witam - powiedział. - Rozmyślałem nad propozycją, którą mi złożyłeś... Tak, pamiętam, co powiedziałem. - Jego oczy znów się szeroko otworzyły i Justine, przytulona do jego ciała, wyczuła rosnące w nim napięcie, zastanawiając się nad sprzecznością tego z luźnym charakterem rozmowy. - Ale od tego czasu moja sytuacja się trochę zmieniła. Dlatego jeszcze raz sobie to przemyślałem... Tak też sądziłem. - Och, Ieyasu! Udowodnię, jak słuszne są twoje myśli! - Każda pora mi odpowiada. - Jego pięść zaciskała się wokół słuchawki, aż pobielala na kostkach. - Tak. Czytałem o tym przed chwilą w gazecie... Tak. Był moim kolegą... Trochę się przyjaźniliśmy. - Justine, wyczuwając narastającą w nim złość, przytuliła się do niego jeszcze bardziej, jakby jej obecność mogła go w jakiś sposób ułagodzić. Nicholas, czując ciepło z jej ciała przenoszące się na niego, wiedział, że już za chwilę, na pewno przed pójściem na plażę, chciałby się z nią pokochać, a nawet potrzebowałby tego dla zrównoważenia po stracie przyjaciela. Być może tylko z tego powodu. Stawał się znowu tym kim był, podobnie jak ona.

— Za tydzień? - mówił. - Nie, nie sprawi mi to kłopotu.



Będziesz musiał mnie tylko we wszystko wprowadzić. Albo nawet nie... Możemy wszystko omówić w samolocie, prawda?... Tak, tak. - Słuchał jeszcze głosu Tomkina, ale myślami był już daleko. - No to do zobaczenia. Już niedługo.

Zgadzał się ze słowami Ieyasu: „By poznać swego wroga, trzeba stać się jego przyjacielem”. Starał się pobrać od Justine całe ciepło, które mogła mu dać. Świadomość tego, że Tomkin wysłał Franka, by załatwił tę kobietę w Key West, przyprawiała go o dreszcze. A potem Croaker zginął również w Key West. Oznaczać to mogło jedynie morderstwo. Słowo to dudniło mu w głowie niczym dzwon. Dla ciebie na trwogę, pomyślał, odkładając słuchawkę.

„A gdy już będziesz jego przyjacielem, staje się on wobec ciebie bezbronny. Wówczas możesz obmyślić najlepszą metodę jak go zniszczyć”.

## POSŁOWIE

W japońskiej filozofii sztuki walki, która zawiera wiele elementów z buddyzmu i shintoizmu, istnieje pięć symbolicznych pierwiastków: Ziemia, Woda, Wiatr, Ogień i Pustka.

Dzieło Miyamoto Musashiego „Go rin no sho” zachowało się po dziś dzień. Tytuł w swobodnym tłumaczeniu znaczy „Księga pięciu zwojów”, a w każdym z tych zwojów zawarto część filozofii walki.

„Ninja” jest również „księgą pięciu zwojów”.

„KB”